

Autorka numer 1 list bestsellerów

Lisa Jackson

Nancy Bush

Wyspa kłamstw



Jackson Lisa, Bush Nancy

Wyspa kłamstw

Myślała, że już nigdy się nie zakocha, choć potrafi odgadnąć przyszłość. Lecz czy niespodziewana miłość i paranormalny dar ocalą ją przed prześladowcą ogarniętym furią zemsty?

Laura zawsze potrafiła wyczuć zło. Teraz odbiera przerażające telepatyczne groźby. I wie, że ma to związek z tajemnicą sprzed lat. Zbyt straszną, by ją wyjawić. Nawet komuś takiemu jak Harrison Frost - niezwykle uparty i niezwykle pociągający reporter, który nęka ją pytaniami. Harrison nie wie, co łączy Laurę z zagadkowymi kobietami mieszkającymi w odludnym domu nad oceanem. Ale dobrze wie to Justice Turnbull, który uciekł z więziennego szpitala psychiatrycznego. Jest na wolności. I coraz bliżej Laury...

Rozdział 1

Czuję ją!

Ją też zdradza zapach!

Nawet w celi czuję jej mdłości. Jej brud. Jej żądzę.

Kiedy tu gnilem, byty też inne. Na których trzeba się zemścić. Które razem ze swoim diabelskim pomiotem muszą zostać strącone w piekielną otchłań, skąd się wzięły!

Och, chore kobiety z niepohamowanymi pragnieniami.

Idę po was...

Laura Adderley oparta jedną dłoń o drzwi łazienki, w drugiej ścisnęła test ciążowy. Nie była w stanie na niego spojrzeć. Nie chciała tego. Nie teraz, kiedy jej małżeństwo właśnie się zakończyło, a rozvodu pragnęła tak bardzo jak jej, na szczęście już były, mąż, albo nawet bardziej. Byron zdążył zamieszkać z inną kobietą, którą z pewnością będzie zdradzał tak, jak zdradzał Laurę. Ale dla niej nie miało to znaczenia. Ich małżeństwo było nieprzemyślane, tyle że Laura potrzebowała trzech lat, żeby to sobie uświadomić.

Nieprzemyślane...

Zebrała się na odwagę, powoli rozpostarła dłoń i wpatrywała się w dwie oślepiająco różowe kreski testu ciążowego. Pozytywny.

Wiedziała, że tak będzie. O Boże...

Zacisnęła powieki i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Ignorowała objawy tak długo, jak się dało, ale nie mogła dłużej chować głowy w piasek. Była w ciąży. Nosila dziecko byłego męża. Podpisali papiery rozwodowe w tym tygodniu, chociaż Byron usiłował przeciągać sprawę, bo po prostu nie chciał pozwolić Laurze uwolnić się od jego kłamstw i tyranii.

I co teraz?

Doktor Byron Adderley był chirurgiem ortopedą w szpitalu Ocean Park, a ona, Laura, pielęgniarką. Przenieśli się na wybrzeże jakiś rok wcześniej, rezygnując z pracy w większych i bardziej prestiżowych szpitalach Portland na rzecz spokojniejszego życia. Laura nie chciała się przenosić, była temu zdecydowanie przeciwna. Z powodów, o których nie chciała wspominać Byronowi, musiała trzymać się od Ocean Park i Deception Bay najdalej, jak się da.

On, jakby jakimś cudem odgadł jej sekrety, oznajmił, że przyjął posadę w szpitalu Ocean Park i że się przeprowadzają. Laurę zamurowało. Powiedziała, że nie jedzie. Po prostu nie jedzie. W końcu jednak ustąpiła, bardzo niechętnie, ale zgodziła się przeprowadzić, mając próżną nadzieję, że jej małżeństwo przetrwa, chociaż wiedziała, że męża już nie kocha i nigdy go nie kochała! Ale łudziła się, że w nowym miejscu coś się zmieni. Może Byron na nowo zdobędzie jej serce. Może będzie chciał tylko jej. Może wszystko będzie... lepsze.

Później został nakryty, jak obściskiwał jedną z pielęgniarek Ocean Park. Szpital chciał udzielić Byronowi Adderleyowi nagany, ale on nie należał do mężczyzn, których można ganić. Pielęgniarkę dyscyplinarnie zwolniono, sprawę zamieciono pod szpitalny dywan... a Laura złożyła pozew o rozwód.

Z początku się sprzeciwiał. Nie dlatego, że chciał ją zatrzymać, ale po prostu dlatego, że to nie on podjął decyzję, więc nie mógł się z nią pogodzić. Nie słuchała, więc zmienił taktykę i zaczął ją błagać o drugą szansę. Była podejrzliwa, wiedziała, że Byron może udawać, jednak bez niego przyszłość rysowała się w ponurych barwach, Laura bała się samotności. Którejś nocy, trzy miesiące temu, przysiągł, że ją kocha, że nigdy więcej jej nie zdradzi, że będzie się starał naprawić błędy przeszłości. Tak bardzo chciała mu wierzyć. Potrzebowała tego. Stłumiła ostrzegawczy sygnał w głowie i jakimś cudem wylądowali w łóżku. Kochali się rozpaczliwie. Była to druga szansa, może ostatnia, którą Laura musiała wykorzystać.

Wkrótce kolejna pielęgniarka poskarżyła się, że doktor Adderley okazywał jej niechciane względy. Byron wszystkiego się wypierał, ale Laura miała zdolności, których on nie rozumiał - niektórych nie rozumiała nawet ona - i wiedziała, bez cienia wątpliwości, że mąż kłamie.

Pozwoliła sprawie rozwodowej biec swoim torem, a Byron jak to Byron zajął się kolejną kobietą. Tym razem Laura nie oglądała się za siebie. Miała dość Byrona Adderleya i aż do dzisiejszego dnia była zdecydowana wrócić do Portland i znaleźć pracę daleko, daleko od Ocean Park i Deception Bay.

Ale teraz...

Drzwi łazienki się otworzyły.

- Lauro? - zawołała siostra Perez.

- Już wychodzę - powiedziała Laura, spuszczać wodę. Zdradziecką tekturkę owinęła w papier toaletowy i schowała do torebki.

- Potrzebujemy pomocy na ratunkowym. Mamy uraz głowy.

- Dobrze.

Kiedy usłyszała, że drzwi za pielęgniarzką się zamknęły, wyszła z łazienki. Myjąc ręce, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Patrzyły na nią poważne szaroniebieskie oczy. Zauważyła, że ma już odrosty blond, a dłuższe, ciemniejsze kosmyki wymykają się z kitki i zawijają pod brodą - wydatną, jak jej kiedyś powiedziano. Przez tę brodę, wydatne kości policzkowe i gęste rzęsy wyglądała jak arystokratka, chociaż wcale nią nie była.

W jej głowie pojawiła się znajoma presja, nie uległa jej, wyobraziła sobie sześciometrową żelazną bramę, która chroni ją przed atakiem. Odruchowa reakcja, kiedy wyjątkowo silnie atakowały ją niechciane, złe myśli. Przez lata była przekonana, że taką zdolność ma każdy, ale w końcu powoli zaczęło do niej docierać, że jest nią obdarzona tylko ona. Miała wrażenie, że ktoś puka do jej głowy, usiłując dostać się do środka, a ona stawia w myślach mur, żeby mu to uniemożliwić. Tym razem było jednak inaczej, atak był bardziej gwałtowny i zaciekły. Jakby ktoś walił w mur metalowym młotkiem. W jej umysł.

Siosssstrrrrrro!

Laura ocknęła się i rozejrzała dookoła, jakby spodziewała się, że zobaczy tego, kto się odezwał. Ale nikogo nie było. Nikogusieńko. Głos był zdecydowanie męski.

Otworzyła szeroko oczy. Obserwowała swoją reakcję w lustrze, kiedy uświadomiła sobie prawdę, której rozpaczliwie chciała zaprzeczyć. On wrócił.

Zacisnęła mocno powieki i wyteżyła umysł, umacniając mur, aż łomot zamienił się w cichutkie puk, puk, puk i w końcu zniknął.

Zanim dotarła na oddział ratunkowy, karetka już wyla na podjeździe. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści. Koniec czerwca, więc było jeszcze jasno, chociaż pod sosnami wirginijskimi rosnącymi wzdłuż drogi kładły się już cienie. Błyskały czerwone i białe światła, a przeraźliwe wycie syreny wprawiało powietrze w drganie.

Karetka zatrzymała się z piskiem opon. Ze środka wyskoczył sanitariusz i pobiegł na tył pojazdu. Drzwi się otworzyły i wyciągnięto ofiarę na noszach, z głową owiniętą białym bandażem, ciemnoczerwonym od krwi.

- Jezu, to Conrad! - jęknął ktoś.

- Conrad? - powtórzyła przerażona Laura. Spojrzała na nosze. Leżał na nich jeden ze strażników w Ocean Park - Conrad Weiser.

- Co się stało? - spytał chirurg urazowy.

- Oberwał w Halo Valley - odparł ratownik. - Jechał po pacjenta, jeden ze świrów wtłukł mu i uciekł.

- Halo Valley? - powtórzyła Laura, ledwie poruszając ustami.

- Tak, w szpitalu psychiatrycznym - przytaknął Dylan, ratownik medyczny.

- Bierzemy go - zarządził chirurg, a z karetki wyciągnięto drugiego rannego.

- Nic ci nie jest? - spytał Dylan, spoglądając na Laurę ze zmarszczonym czołem.

- Nie.

Laura wróciła do terażniejszości i pomogła wwieźć na izbę przyjęć drugiego rannego. Był przytomny, ale miał obandażowane gardło i nie mógł mówić. Spoglądał na nią gniewnie ciemnymi oczami.

- To jest doktor Maurice Zellman z Halo Valley - powiedział Dylan, kiedy zostali sami. Laura znowu doznała szoku.

- Został pchnięty długopisem w gardło.

- Też przez uciekiniera?

- Na to wygląda.

Patrzyła, jak Zellmana pośpiesznie przewożą przez podwójne drzwi oddziału ratunkowego i nie była w stanie zapanować nad drżeniem.

Halo Valley. Szpital psychiatryczny dla chorych umysłowo przestępców. Tam był on.

Prawda?

A może właśnie dlatego starał się przed chwilą zburzyć mur w jej umyśle? Uciekł! I ściga ją.

O Boże, nie! Nie teraz! Pomyślała o dziecku i serce jej niemal stanęło. Strach przebiegł jej po kręgosłupie i zagnieździł się w mózgu. Nie, nie, nie!

Stłumiła potworny strach i odwróciła się do jednej z pielęgniarek.

- Kto to zrobił? - spytała.

- Szkoda, że nie możemy zapytać Zellmana - odparła siostra Carlita Solano. - Z pewnością jakiś czubek.

Proszę, Boże, niech to nie będzie on.

Ale wiedziała, że to on. Justice Turnbull uciekł z Halo Valley Security Hospital. Był wolny i znów mógł zacząć mordować.

Laura patrzyła jak za rannym lekarzem zamykają się drzwi i zastanawiała się, jak udało się Justice'owi uciec.

Dzień jak wiele innych.

Doktor Maurice Zellman, jeden z najlepszych psychiatrów w Halo Valley Security Hospital... a może najlepszy, gdyby spytać jego, zaczął dzień od zjedzenia suchego tostu pszennego, jajka na miękko i kawałka kantalupy. O siódmej piętnaście był już w szpitalu. Udzielił kilku porad, w południe zadzwonił do swojej żony Patricii i dowiedział się, że ich szesnastoletni syn Brandt narozrabiał w szkole i do końca tygodnia będzie musiał zostawać po lekcjach. Zellman prychnął z niesmakiem i powiedział Patricii, że Brandt zostanie też ukarany przez niego, a potem, podminowany, odwiedził kilku pacjentów w ich pokojach - które tak naprawdę były celami, chociaż nikt tak o nich nie mówił. Przez resztę popołudnia myślami był gdzie indziej.

O szóstej została mu tylko wizyta u najgorszego pacjenta: Justice'a Turnbulla, chorego psychicznie zabójcy, który usiłował zamordować własną matkę i, jak się okazało, obsesyjnie pragnął pozbawić życia kobiety, które mieszkały razem w Oregonie, nad oceanem, w domu zwanym Pieśń Syreny. Okoliczni mieszkańcy mówili po cichu, że kobiety należą do sekty zwanej Kolonią, są pustelnicami i dziwaczkami. Nie wiadomo, o co Justice miał do nich pretensje. Zellman usiłował się tego dowiedzieć od ponad

dwóch lat, odkąd osadzono Justice'a, ale mu się nie udało. Justice popełnił kilka innych morderstw i wszyscy byli zgodni co do tego, że jest osobliwym przypadkiem.

Nikt w Halo Valley nie wiedział, co z nim zrobić, a już z pewnością, jak się z nim obchodzić. Inni lekarze nie byli tak zaangażowani. Byli dobrzy, ale Maurice Zellman był wyjątkowy. On leczył pacjentów naprawdę, nie poprzestawał na pozornych zmianach w ich zachowaniu. A Justice... hm... Dzięki Maurice'owi zrobił znaczne postępy. Znaczne. Owszem, nadal miał obsesję na punkcie kobiet z Pieśni Syreny, ale to dlatego, że najwyraźniej coś go z nimi łączyło. W każdym razie, tak mu się wydawało, ale należało to jeszcze udowodnić. Może te kobiety należały do sekty, a może nie. Na pewno były paranoicznymi samotnicami, a wyglądały tak, jakby zostały przeniesione z poprzedniego wieku. Zellman skłaniał się ku opinii, że należy zostawić je w spokoju. Każdy żyje po swojemu i nie ma złej ani dobrej drogi, ale uświadomienie tego Justice'owi wymagało czasu. Z sobie tylko znanych powodów Justice Turnbull najwyraźniej zawiązał się, żeby je wszystkie zamordować.

Ale... postęp był, stwierdził Zellman, w myślach poklepując się po plecach. Na początku, kiedy Justice został umieszczony w Halo Valley, wciąż wrzeszczał głośno, że zabije je wszystkie i ich diabelskie potomstwo! Z początku personel nie miał pojęcia, kogo miał na myśli, ale Justice wyjaśnił, że zamierza zabić wszystkie ssiosstrrrryyyy z Pieśni Syreny. Czas i leki psychotropowe sprawiły, że prawie zrezygnował ze swojej misji. Kobiety z Pieśni Syreny nadal go denerwowały i nie potrafił tego ukryć, kiedy Zellman wspominał o nich. Ale nie był już tak zawzięty jak na początku. Czyżby wyzdrowiał? Nie. Czy kiedykolwiek będzie zdrowy? Było to mało prawdopodobne, chociaż doktor Maurice Zellman był skłonny z nim pracować, dopóki widział choćby cień szansy.

Maurice rozumiał, że Justice'a nękają demony, które sam stworzył. Dla jego kolegów lekarzy nie miało to najmniejszego znaczenia. Zamknęliby człowieka na kilka następnych dziesięcioleci, pozbawiając go szansy na wyjście na wolność. Paranoidalny schizofrenik. Socjopata. Psychopata. Szaleniec zabójca. Może w tych określeniach było trochę prawdy, ale mimo wszystko Justice Turnbull był pacjentem, który potrzebował pomocy.

Zellman zerknął na zegarek. Miał dla Justice'a niespodziankę. Zellmanowi w końcu udało się załatwić to, o co prosił go Justice choć nie bez trudu. Z uśmiechem satysfakcji skierował się do pokoju Justice'a, który znajdował się na końcu korytarza. Celowo, bo nikt nie chciał go odwiedzać. Prawdę mówiąc, nikt nigdy go nie odwiedził, nie licząc personelu szpitalnego. Pozostali pacjenci uważali go za dziwaka, co było bardzo wymowne, bo sami byli przestępcami chorymi psychicznie, każdy z nich. Ale w każdej grupie obowiązuje hierarchia i Halo Valley Security Hospital nie był wyjątkiem. Jako jeden z najlepszych psychiatrów w szpitalu, leczący kilku najtrudniejszych pacjentów - zabójców, sadystów, gwałcicieli - Maurice Zellman doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak niestabilni i obłąkani są mężczyźni i kobiety w tej części szpitala, w której przebywają skazani za ciężkie przestępstwa. Co prawda, z powodu choroby uniknęli normalnego więzienia, ale nie znaczyło to, że nie są groźnymi przestępcami. To dlatego zostali umieszczeni w części B, jak eufemistycznie nazywano tę odosobnioną część szpitala. Część B. Dla tych, dla których nie ma ratunku. Połączona była z częścią A, gdzie leczeni byli chorzy psychicznie bez skłonności przestępczych, krytym korytarzem, ogrodzona wysoką siatką i drutem pod napięciem, częściowo ukrytym przez żywopłot - wszystko po to, żeby szpital sprawiał wrażenie miejsca ciepłego i przytulnego. Tak naprawdę część B była więzieniem dla psychicznie chorych przestępców.

Doktor Zellman znajdował się wysoko w hierarchii specjalistów w części B. Rozumiał umysł przestępcy, co jednocześnie fascynowało i przerażało lekarzy o mniejszej wyobraźni. No, ale to ich problem, nieprawdaż? - pomyślał, prychnąwszy. Maurice Zellman wykonywał swoją pracę. I robił to bardzo, bardzo dobrze.

Zaciskając usta, przyspieszył kroku. Był już spóźniony, a przez wizytę u Turnbulla spóźni się jeszcze bardziej. Nie miał jednak wyboru, bo Justice był jego pacjentem, a reszta personelu śmiertelnie się go bała. W pewnym sensie bawiło to Zellmana, który pracował z tym dziwnym mężczyzną, odkąd przywieziono go do części B. W rzeczywistości Justice nie był bardziej przerażający niż inni psychopaci. Był po prostu trochę bardziej ukierunkowany, skupiony na kobietach, zwłaszcza tych z Kolonii.

Kiedy Zellman dotarł do pokoju Justice'a, drzwi się otworzyły i właściwie wypadł z nich na korytarz Bill Merkely, jeden ze strażników. Nie od razu zauważył Zellmana, bo patrzył w stronę pokoju Justice'a.

- Zdaje ci się, schizolu! - wrzasnął ochryple. Jego nalana twarz była czerwona. Zatrzasnął drzwi i sprawdził automatyczny zamek. Stojący za nim Zellman odkaszlnął. Merkely podskoczył jak rażony prądem, a jego czerwona twarz nabrała buraczkowego odcienia. - Gnojek powiedział, że mnie zabije! - krzyknął, usprawiedliwiając się.

- Nie można go słuchać.

- Nie słucham. Ale on na pewno wie, co mówi!

- Co pan robił w jego pokoju?

- Chciałem zabrać tacę. Ale musiałem ją zostawić. Mam nadzieję, że żarcie mu zgnije!

Odmaszerował w kierunku dyżurki strażników, która oddzielała część B Halo Valley od części A. Zellman uważał część A za skrzydło chorych na alzheimera, ale nie powiedziałby tego głośno, żeby nie urazić pracujących w nim lekarzy. Pokręcił głową nad wieloma z nich. Przenikliwość. Wielu było jej kompletnie pozbawionych.

Miał klucz do pokoju Justice'a i ostrożnie otworzył drzwi. Justice nigdy go nie atakował; nigdy nie zaatakował nikogo, odkąd znalazł się w szpitalu, ale miał swoje za uszami, oj, miał.

Stał w rogu, dochodząc do siebie po tym, co zaszło pomiędzy nim a Merkelym. Był wysokim, ciemnym blondynem, szczupłym, niemal kościstym, ale silnym jak tur. Nie nawiązał kontaktu wzrokowego, kiedy Zellman wszedł, ale rzucił okiem na metalową tacę z jedzeniem, nietkniętym z wyjątkiem jabłka.

- Ten facet się mnie boi - powiedział Justice syczącym głosem. W jego słowach zawsze słychać było syczenie. Poza, pomyślał Zellman.

- Owszem, boi się.

- Zawsze zostawia tacę.

Zellman trzymał pod pachą skoroszyt i długopis. W pokoju Justice'a były kamery śledzące każdy ruch pacjenta.

Zellman nie musiał oglądać taśm z nagraniami, żeby przypomnieć sobie przebieg każdego spotkania. Robił notatki i pisał raporty, których, jak podejrzewał, nikt nigdy nie przeczytał. Wszyscy chcieli zapomnieć

o Justisie Turnbullu i jego skrzywieniu. Kiedy przywieziono go do Halo Valley, kobiety, które zamierzał skrzywdzić, określał mianem „siostr”, w swój syczący sposób.

- Sssiiossstrrrry... - wysyczał. - Muszę je wszystkie zabić! Ten dramatyzm z czasem osłabł.

Nie można było powiedzieć, że Turnbull nie jest niebezpieczny. Zanim znalazł się w szpitalu, zabił i terroryzował kilka kobiet. Pozbył się też kilku przypadkowych osób i o mało nie zabił swojej chorej psychicznie matki. Leżała teraz w ośrodku opieki dla chorych z zaburzeniami świadomości, nie pamiętając ataku, właściwie nie mając kontaktu z rzeczywistością.

- Justice - odezwał się Maurice Zellman stanowczym, ale przyjaznym tonem, którego używał od lat. - W końcu dostałeś przepustkę na badania lekarskie w szpitalu Ocean Park. Furgonetka jest już w drodze. Ale ostrzegam cię. Jeżeli okaże się, że problemy żołądkowe były tylko pretekstem, żeby wyrwać się z Halo Valley, zostaniesz ukarany. Nie będziesz wychodził na spacer. Nie będziesz wychodził na dwór, żeby patrzeć na morze. - Zellman usłyszał swój lekko szyderczy ton i się pohamował. - Koniec przywilejów.

Justice odwrócił się i spojrzał na lekarza jasnoniebieskimi, niemal przezroczystymi oczami. Był wyjątkowo przystojny, poza tym że... było w nim coś nienaturalnego, co wprawiało człowieka w zdumienie. Reakcja na coś, co od niego emanowało, a czego Zellman nigdy nie rozszyfrował. Teraz kąciki warg miał opuszczone. Skrzywił się lekko, jakby coś go bolało.

Z czasem dzięki intensywnym sesjom Zellman uświadomił sobie, że niektóre problemy Justice'a były spowodowane odrzuceniem i pogardą. Odrzucały go i pogardały nim kobiety. Może nawet własna matka. Niepokoiły go zwłaszcza kobiety z Kolonii. Może nie były to jego siostry, ale najwyraźniej on uważał je za siostry. Czyżby był z nimi spokrewniony? Zellmanowi wydawało się to mało prawdopodobne. Justice żył w świecie od początku do końca stworzonym przez niego samego.

Mimo wszystko Justice był świecie przekonany, że mieszkanki Pieśni Syreny były Wybranymi, które nie wpuściły go za mury. Wykluczyły go. Odrzuciły. Zostawiły z matką, która, jak domyślał się Zellman, przez większość dorosłego życia cierpiała na chorobę psychiczną. Kto wie cokolwiek na temat jego ojca? Na pewno nie Justice ani nikt, z kim rozmawiał Zellman.

Nietrudno było sobie wyobrazić, że nie miał miłego dzieciństwa.

- Możemy iść? - Justice wpatrywał się w niego uporczywie. Zellman skinął głową. Justice miał na sobie luźne szare spodnie

i białą koszulę, regulaminowy strój pacjentów z części B.

- Najpierw muszę wziąć kajdanki, przepraszam.

- Od strażnika? - spytał łagodnie Justice.

- Tak.

- Nie ucieknę.

- Takie są przepisy.

Justice się skrzywił i złapał za brzuch.

- Ten ból mnie wykończy.

Zellman przyjrzał się mężczyźnie. W furgonetce będzie skuty w pasie łańcuchem. Kajdanki miały stanowić tylko dodatkowe zabezpieczenie. Pewnie, że pozwalając mu na odrobinę wolności w drodze do furgonetki, złamał regulamin i podstawowe zasady szpitala. Ale ból brzucha, na który skarżył się Justice, wyraźnie się wzmacniał, a Zellman wiedział, kiedy ktoś mówi prawdę, a kiedy kłamie. Miał po prostu... dar. Justice mówił prawdę.

Potrzeba byłoby czasu, żeby zdobyć te cholerne kajdanki, czasu i wysiłku. A Maurice nie lubił Billa Merkely'ego niemal tak bardzo jak Justice.

- No to chodź - powiedział. - Szybko.

Twarz Justice'a lekko się rozjaśniła, chyba nikt nigdy nie sprawił, że miał bardziej przyjazny wyraz twarzy. W szarych filcowych kapciach pośpiesznie wyszedł z pokoju za Zellmanem. Na suficie w korytarzu znajdowały się duże, lśniące lustrzane półkole, w których umieszczone były ukryte kamery. Justice spojrzał na nie, a Zellman uśmiechnął się do siebie. Rozpęta się piekło, kiedy zauważą, że złamał regulamin. Pani doktor Jean Dayton, dobrze wychowana czarnoskóra laska wiecznie niezadowolona, będzie się darła ile sił w płucach.

Szli razem korytarzem i, ramię w ramię, wspinali się po przemysłowych metalowych schodach. Na górze znajdowało się przejście do kuloodpornych zamkniętych podwójnych drzwi z małutkimi szybami zabezpieczonymi drucianą siatką - drzwi, które prowadziły na zewnątrz. Stali razem, patrząc przez szyby. Czekali, aż biała szpitalna furgonetka z logo Ocean Park podjedzie pod wejście. Zaczynało się ściemniać. Ostatnie promienie słońca igrały na trawie.

Zellman obserwował, jak kierowca, sanitariusz z Ocean Park, wyskakuje z furgonetki. Na pewno się spodziewał, że Justice będzie w kajdankach, więc Zellman z lekkimi wyrzutami sumienia odwrócił się do Justice'a i otworzył usta, żeby... co? Poprosić go, żeby był grzeczny?

Justice ruchem szybkim jak błyskawica wyrwał Zellmanowi skoroszyt i długopis spod pachy. Teczka upadła na podłogę, a kiedy zaskoczony Zellman wybałuszył oczy, Justice wbił mu długopis w szyję i wyciągnął. I znowu wbił. Krew trysnęła jak gejzer.

- So? So? So? - bełkotał Zellman.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich kierowca. Justice chwycił go za głowę i walnął nią w metalowe drzwi. Raz, drugi, trzeci. Znowu krew Całe litry.

- Kluczyki - zażądał.

- Fur... fur... - mamrotał kierowca, przewracając oczami. I takim sposobem Justice uciekł.

Zellman leżał na podłodze jak szmaciana lalka, bezradnie ściskając się za szyję. Krew tryskała mu przez palce.

Przerażony i rozwścieczony tym, że Justice skłamał. Że boli go brzuch. Że musi jechać do szpitala. Wszystko było kłamstwem!

A on, Maurice Zellman, doktor psychiatrii, członek Mensy, mu uwierzył. Gorsza niż ból gardła, niż rana od własnego cholernego długopisu była świadomość, że on, doktor Maurice Zellman, się mylił.

Rozdział 2

Sssiosstrrrro... Dziwko...!

Z szatańskim nasieniem, które w tobie rośnie...!

Gdy szła na oddział chirurgiczny, żeby sprawdzić, jak się czuje Conrad, głos znów zaatakował. Laura skrzywiła się i o mało nie potknęła, kiedy wznosiła w umyśle mur. Jej najgorsze obawy się potwierdziły. To naprawdę był Justice.

Wie, że jest w ciąży? Skąd?

Dreszcz, który przebiegł ją po kręgosłupie, był jej starym przyjacielem. Czowała go już wcześniej wiele razy, do chwili kiedy Justice Turnbull został schwytyany, skazany i zamknięty. Ale nie był taki jak ten.

Za drzwiami oddziału chirurgicznego się rozejrzała, bo jak zawsze nie miała pewności, czy przypadkiem nie usłyszał go także ktoś inny, chociaż z doświadczenia wiedziała, że zdarza się to tylko jej. Umiała go zablokować, tak że nie mógł dostać się do jej myśli i uczuć, ale nie potrafiła uchronić swojego umysłu przed tym, żeby go usłyszał.

Był diabłem. Dopustem bożym. Chorobą, która zagrażała im wszystkim. Był...

- Laura? - Jej były mąż Byron Adderley wdarł się do jej myśli, sprawiając, że podskoczyła jak rażona prądem. - Co się z tobą dzieje? - spytał. Marszcząc czoło, zdjął z dłoni chirurgiczne rękawice i wrzucił je do pojemnika na śmieci. Uniósł brwi, jakby czekając na jej odpowiedź.

Jakbym była potulnym szczeniakiem, pomyślała z goryczą.

Uświadomiła sobie, że właśnie wyszedł z sali operacyjnej. Oczywiście musiała na niego wpaść. Prawo Murphy'ego. Zebrała się w sobie i zignorowała jego pytanie.

- Co z Conradem? Wiesz coś?

- Z kim? A, z tym strażnikiem? - Odgarnął z oczu włosy. - Wwierciliśmy mu się do głowy, żeby obniżyć ciśnienie na wypadek krwaka podtwardówkowego. Mam nadzieję, że mózg wytrzyma. Ma szczęście, że żyje. - Uśmiechnął się, jakby powiedział coś dowcipnego. - To chciałaś wiedzieć?

- Po prostu się martwiłam.

- Lubisz go? - Jego uśmiech znikł, a on spojrzał na nią ostrym wzrokiem.

- Ledwie go znam - odparowała. - Chciałam się tylko upewnić, że wszystko z nim w porządku.

- Tak, jasne. „W porządku” może nie jest dobrym sformułowaniem. - Byron ziewnął. Wyciągnął ręce nad głowę ruchem, który kiedyś wydawał jej się seksowny. Już nie. - Boże, muszę się przespać - oznajmił. - Wczoraj późno wróciłem, a dziś wcześnie przyszedłem.

Jakby ją to obchodziło.

- Co z doktorem Zellmanem? - Laura pracowała jako pielęgniarka na oddziale, nie asystowała przy operacjach, więc informacje musiała zdobywać z drugiej ręki.

- Jezu. Cud, że przeżył! Ten pieprzony psychopata dźgnął też Zellmana. Trafił dokładnie w struny głosowe. - Byron mówił

tak, jakby naprawdę był zamartwiony. - Możliwe, że nie będzie mógł mówić.

- Och, mam nadzieję, że się mylisz. - Zerknęła w stronę podwójnych drzwi prowadzących na blok operacyjny. - Tak mówią? - spytała.

- Za wcześnie, żeby coś mówić. - Wzruszył ramionami.

- A psychopata, który to zrobił...?

- Żadna niespodzianka. Pamiętasz go. Justice Turnbull. - Byron pokręcił głową, a niesforny lok znów opadł mu na oko. - Świr jakich mało. - Stłumił kolejne ziewnięcie. - Myślisz, że Turnbull wróci na stare śmieci i dalej będzie ścigał te wariatki?

Laura zamarła. Usiłowała zachowywać się tak, jakby ta uwaga nie dotknęła jej do żywego.

- Biuro szeryfa go znajdzie - powiedziała z wysiłkiem.

- Oj, tak. - Zaśmiał się. - Możesz na nich liczyć. Cyniczny jak zawsze.

Laura dość już usłyszała.

- Muszę wracać do pracy. - Odwróciła się na pięcie.

- Ej, Lauro.

Nie obejrzała się i zacisnęła zęby. Jakim cudem kiedykolwiek uważała go za atrakcyjnego i dlaczego, do cholery, za niego wyszła? Jej myśli pobiegły ku rozwijającemu się w niej dziecku, jego dziecku, które Justice najwyraźniej wyczuł. Skręciło ją w środku.

- Kiedy przestaniesz farbować włosy? - krzyknął za nią Byron.

Zagryzła wargi, zła na niego i na siebie, że myślała, że stworzą rodzinę. Przecież od samego początku wiedziała, że nie jest mężczyzną w jej typie. Podejrzewała, że jest egoistą i narcyzem. Jakim cudem zdołał ją przekonać do wyjazdu z Portland na ten fragment wybrzeża, do szpitala Ocean Park, skoro wiedziała, że to może być niebezpieczne? Boże, była skończoną kretynką, skoro dała mu się namówić na coś tak idiotycznego. Nie chciała się przeprowadzać. A już na pewno nie chciała przenosić się tutaj, ze wszystkich miejsc na ziemi wybrać akurat to. To, co wynajmowali razem w Deception Bay, jakieś dziesięć kilometrów jazdy drogą 101, dopóki Byron się nie wyprowadził, nie bardzo można byłoby określić słowem „dom”, a mieszkanie, do którego wprowadził się później, było jeszcze mniej imponujące, ale to była zaledwie kropla w morzu jej nieszczęść.

Po co za niego wyszłaś?

Zanim skręciła, odważyła się obejrzeć szybko przez ramię, ale Byron już się odwrócił. W najmniejszym stopniu nie przejmował się potwornymi wydarzeniami w Halo Valley. Jeżeli nie znajdował się w centrum wszechświata, to sam wszechświat nie miał dla niego znaczenia.

Bo chciałam wierzyć, że ktoś mnie kocha.

I była na tyle głupia, żeby nabrać się na jego wygląd, tani urok, sukcesy... ale z niej idiotka, a teraz... Jej dłoń odruchowo powędrowała do brzucha, w którym zaczynało się rozwijać nowe życie. Nie mogła zatrzymać tego dziecka. Dziecka Byrona. Nie mogła. A jednak, było to dziecko... jej dziecko...

W jej stronę korytarzem szła siostra Baransky, opryskliwa kobieta w średnim wieku.

- Zjrzy pani do pani Shields? - spytała.

- Właśnie do niej idę. - Laura robiła wszystko, żeby nie było po niej widać, że się spieszy, ale uciekała, uciekała, uciekała. Od Byrona, od swojego małżeństwa, od dziwnego dzieciństwa, od Justice'a... od prawdy...

- Była pani na oddziale ratunkowym? - spytała Baransky.

- Właśnie wracam z chirurgii. Nic jeszcze nie wiadomo na temat Conrada ani doktora Zellmana.

Baransky skinęła głową.

- To ten szaleniec, który uciekł, prawda? Ten, którego złapali podczas strzelaniny w motelu kilka lat temu? Nie mogę sobie przypomnieć, jak miał na imię. Justin, jakoś tak.

- Justice - przypomniała ostrożnie Laura. Jego imię miało gorzki smak, a jego dźwięk ją przeraził.

Sssiiooooostttrrrroooo. Jego syk niósł się w jej mózgu. Dobry Boże.

- Wieźli go tu na badania, bo od dawna skarżył się na ból brzucha.

- Udawał - powiedziała Laura bez zastanowienia.

- Powiedzieli pani?

Laura prawie ugryzła się w język, usiłując cofnąć swoje słowa, i od razu pożałowała, że wyskoczyła z czymś, o czym nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać.

- Po prostu się domyślam. - Wycofała się na widok pacjentki idącej niepewnie korytarzem - kobiety, która półmetek życia miała dawno za sobą. Wyglądała niewyraźnie, pulchne palce zaciskała mocno na poręczy balkonika z kroplówką.

- Pomóc pani? - spytała Baransky, a kobieta posłała jej uśmiech i pokręciła głową, za wszelką cenę chcąc iść dalej samodzielnie. - Powiedziała pani, że Justice Turnbull udawał chorobę? - spytała Baransky, znów skupiając uwagę na Laurze.

Nie wiedziała, jak wytłumaczyć, skąd wie, że Justice udawał. Aż za dobrze wiedziała za to, że nie może powiedzieć o tym, że Justice dobijał się do jej umysłu od dzieciństwa. Jego siła z biegiem czasu malała, aż dał jej spokój, odkąd został uwięziony, ale teraz wrócił, żeby się zemścić. Laura potrafiła go powstrzymać, ale zawsze mijał ułamek sekundy, zanim udało jej się wznieść mur, nieskończenie krótka chwila, kiedy zdążył zostawić ślady swoich myśli, strzępy, na których poznanie była skazana. Wiedziała, że symulował bóle brzucha, bo tyle jej powiedział. Była to raczej świadomość, a nie wyraźne słowa.

Wiedziała też, że od długiego czasu planował ucieczkę. I wiedziała, że teraz poluje na nią... Skąd się dowiedział o dziecku?

- Lauro? - Baransky przyglądała jej się bacznie. Miała donośny głos i małą, albo wręcz żadną tolerancję dla wszystkiego, co wydawało jej się nonsensem.

Laura wiedziała, że zbladła na twarzy.

- Jestem po prostu przemęczona. Niezbyt dobrze spałam zeszłej nocy.

- Może powinna pani usiąść? Mogę zajrzeć do pani Shields.

- Nie, nie, nic mi nie jest.

Laura zdobyła się na uśmiech i odeszła. Czowała mdłości, które nie były wywołane ciążą, ale świadomością tego, że Justice Turnbull uciekł. Kiedy szalał kilka lat wcześniej, przed jego myślami chronił ją wysoki mur, który wzniosła w głowie. Wcześniej nie stanowił zagrożenia dla niej ani dla innych, których sobie upatrzył. Aż nagle zaczął ścigać je wszystkie! Zagrażając całej rodzinie, wszystkim w jakikolwiek sposób z nią spokrewnionym, wszystkim, którzy mieszkali w wielkim domu odgrodzonym od świata masywnym żelaznym ogrodzeniem. Jej siostrom.

Siosstroo... On nadał temu słowu potworne brzmienie. Dostawała gęsiej skórki na wspomnienie jego syku, skrzypiącego jak przesuwające się po tablicy szpony.

Justice chciał niszczyć i zabijać, a Laura, chociaż wcześniej tego nie wyczuwała w sterylnych szpitalnych murach, teraz poczuła, że to ją obrał sobie za cel.

Pani Shields siedziała na łóżku, ciemnymi oczami świdrując wchodzącą do pokoju Laurę. Kobieta była po pięćdziesiątce i przeszła operację rekonstrukcji kolana.

- Ile razy mam wciskać ten guzik? - spytała z pretensją w głosie. - Potrzebuję tabletki przeciwbólowej, siostró Adderley. Gdzie jest pani mąż?

- Mój były mąż - sprostowała Laura po raz dziesiąty.

- Potrzebuję silniejszych środków przeciwbólowych. Górna granica bólu to dziesiątka na wykresie, zgadza się? - Chodziło jej o wiszący na ścianie wykres, jak radzić sobie z bólem, na którym znajdował się rząd uśmiechniętych buzi, na których uśmiech przechodził w grymas w miarę zwiększania się bólu. Zero był to brak bólu, dziesiątka oznaczała ból nie do zniesienia. - W tej chwili mam poziom dwudziesty! - upierała się pani Shields, a ponieważ Laura nie zareagowała dość szybko, dodała: - Potrzebny mi doktor Adderley, natychmiast!

- Dostaje pani takie dawki leków, jakie przepisał - oznajmiła spokojnie Laura, próbując zmierzyć kobiecie temperaturę.

- Za małe! - powiedziała pani Shields, unikając termometru. Mówiła podniesionym głosem, który sprowadził do pokoju

siostrę Ninę Perez. Nina, atrakcyjna czterdziestolatka, bezpośrednio przełożona Laury, była oddana swojej pracy i gorliwie ją wykonywała. Była też bystra i szybko potrafiła ocenić sytuację.

- Wszystko w porządku?

- Nie! - Pani Shields miała zostać wypisana tego dnia, ale należała do tych nielicznych pacjentów, którzy chcą zostać w szpitalu najdłużej, jak się da. Robiła wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę, a męża dręczyła tak długo, że stał się człowiekiem, który zatracił tożsamość i nie potrafił podejmować decyzji.

- Potrzebuję silniejszych środków przeciwbólowych - oznajmiła pani Shields, kiedy Laura wyjęła termometr i zapisała wynik. Trzydzieści sześć i sześć. Prawidłowa. -1 proszę ją napelnić. - Pani Shields wycelowała szklanką w Laurę. Palce Laury otarły się o jej palce, a nerwy Laury przekazały do mózgu sygnał.

Trzustka.

Słowo pulsowało jej w myślach. Żywe. Czerwone.

Mało nie wypuściła szklanki z rąk.

Laura wiedziała, z całą pewnością, że pani Shields zachoruje w przyszłości na raka trzustki i że umrze. Laura od czasu do czasu odbierała takie informacje, kiedy dotykała innej osoby. Była to dziwna zdolność, która sprawiła, że zainteresowała się medycyną. Nie mogła nikomu o tym powiedzieć, tak samo jak nie mogła nikomu powiedzieć o tym, że komunikuje się z Justice'em Turnbullem, ale wierzyła swoim odczuciom.

- Zobaczmy - powiedziała siostra Perez. Odwróciła się do kroplówki i przyjrzała się przepływowi. Laura przypuszczała, że wszystko robiła po to, żeby uspokoić panią Shields, która dostawała odpowiednią dawkę leku.

- Czy w pani rodzinie były przypadki raka? - spytała Laura od niechcienia.

- Nie. Dlaczego? - Pani Shields była podejrzliwa.

- Wydawało mi się, że widziałam taką informację w pani historii choroby. - Nalała wody do szklanki z prawie pustego dzbanka stojącego na tacy przy łóżku pani Shields i zwróciła uwagę na to, że pacjentka dużo pije.

Kobieta chrząknęła.

- Mój ojciec miał raka trzustki - przyznała. - Zabił go po pięćdziesiątce.

Nina Perez spojrzała na Laurę uważnie. Raczej nie zdarzało się, żeby pielęgniarki studiowały historię choroby pacjentów. Polecenia wydawali lekarze, a pielęgniarki po prostu je wykonywały.

- Miała pani tyle badań przed operacją. To na pewno też pani sprawdziła - powiedziała Laura, posyłając jej nieszczerzy uśmiech.

- Niczego nie jestem pewna! - oznajmiła pani Shields. Płatki jej nosa lekko drżały i zacisnęła wargi. - Niech pani powie mężowi, żeby to też zbadał!

Byłemu, pomyślała Laura, ale skinęła głową, wychodząc. Była wdzięczna Ninie Perez za to, że nie wypytywała jej szczegółowo, ale teraz, kiedy „usłyszała” tę informację, chciała ją sprawdzić. Musiała odnaleźć Byrona. Złapała go, kiedy wychodził z dyżurki. Kąciki jego warg uniesione były w tym chłopięcym uśmiechu, który kiedyś wydawał jej się czarujący, a oczy mu promieniały, kiedy żartował z jedną z pomocnic pielęgniarek - dziewczyną o oczach jak łania, zadartym nosie, która miała pewnie niewiele

ponad dwadzieścia lat. Twarz miała rozpromienioną i zarumienioną i patrzyła na niego z uwielbieniem, którego nawet nie próbowała ukryć.

Laura nie wiedziała, czy jest zdegustowana, czy rozbawiona.

Ostatnia kobieta Byrona, którą z pewnością nie była ta dziewczyna, na pewno nie wybaczy mu flirtu.

Byron, kątem oka obserwując byłą żonę, znieruchomiał, jakby przyłapała go na niemoralnym postępku. Dobrze ci tak, pomyślała Laura, kiedy zdezorientowana pomoc szpitalna wychodziła, spoglądając tęsknie na Byrona, aż dostrzegła Laurę. Zmarszczyła czoło i znikła za rogiem.

Idiota, pomyślała Laura, ale ugryzła się w język. Kogo to obchodzi?

Z zaskoczeniem stwierdziła, że jej nie.

Jesteś w ciąży. Z jego dzieckiem.

- Byłam u pani Shields - powiedziała, ignorując uporczywy, irytujący głos w głowie. - Powiedziała mi, że jej ojciec zmarł na raka trzustki po pięćdziesiątce, mniej więcej w tym wieku, w jakim ona jest teraz.

- Znam jej historię - odparował, najwyraźniej poirytowany. - I co z tego?

- Nie wiem. Pomyślałam, że może warto byłoby to sprawdzić.

- Co? Dlaczego? - spytał urażony.

- Należyta staranność.

- Bawisz się w lekarza?

Nie miała zamiaru dać się wciągnąć w jałową dyskusję, a zresztą pager Byrona się rozdzwonił i Byron wyszedł szybko. Na szczęście skierował się w stronę pokoju pani Shields. To dobrze. On sobie z nią poradzi.

Laura poszła w przeciwnym kierunku, ale czuła, że były mąż ogląda się za nią przez ramię i przygląda się jej badawczo. Jak zawsze, kiedy stawała się zagadką, której nie był w stanie zrozumieć. Nie mieściło mu się w głowie, że jego była żona nie jest kwadratową zatyczką, która idealnie pasuje do kwadratowego otworu, w który chciał ją wcisnąć.

Ale nie miało to już dla niej żadnego znaczenia.

Odsunęła wszystkie myśli od niego i, na razie, od niespodziewanej ciąży. Na razie zamierzała skupić się na pracy i na utrzymaniu tego potwora Justice'a z daleka.

Na szczęście dalsza część jej dyżuru przebiegła bez nieoczekiwanych wydarzeń, ale wracając do domu, zmysły miała wyostrzone. Miała nadzieję, że Justice został już złapany, ale wiedziała, że ta nadzieja jest mało realna. Była przekonana, że gdyby go złapano, wysłałby jej pełną wściekłości wiadomość, a tymczasem od ostatniego syczącego *ssiostrro* milczał.

Dom który wynajmowała z Byronem, miał dwie sypialnie, białą stolarkę i szarą dachówkę. Jedną łazienkę. Zbudowany był w latach pięćdziesiątych, odnowiony w siedemdziesiątych i pozostawiony własnemu losowi. Razem z Byronem kupili luksusowy apartament w centrum Portland, a później, kiedy rynek nieruchomości się załamał, sprzedali go z niewielką stratą. Byron był wściekły, nienawidził tracić. O wyborze domu na wynajem zdecydowała niewielka odległość od szpitala. Podpisali umowę na sześć miesięcy, która przekształciła się z czasem w najem przedłużany comiesięcznie. Kiedy Byron się wyprowadził, niski koszt najmu był Laurze na rękę, nawet jeżeli oznaczało to cieknący

^"podjechała pod tylny ganek, wyłączyła silnik i wysiadła ze swojego subaru. Byron jeździł czarnym porsche, ale Laura wolała ciemnozielonego outbacka. Porsche był kupiony na kredyt i był kłopotem Byrona, subaru outback należał do Laury. Kolejne błogosławieństwo. r

Idąc pospiesznym krokiem przez rododendrony, które dawno już przekwitły, usłyszała szum fal Pacyfiku i poczuła zapach morza, kiedy cementową alejką podchodziła do ganku. Schował się pod nim czarny kot sąsiadów. Weszła po dwóch stopniach i otworzyła tylne drzwi. .

Znalazła się w małej kuchni, włączyła światło i położyła torebkę i kurtkę na blacie. Jego pooblupywaną formikę zeskrobała kiedy się wprowadziła, i sama pomalowała wszystkie szatki, listwy i ściany. Przypląciła to zmęczeniem, ale dzięki temu było biało i lśniaco.

Prawdziwy dom.

Jej sanktuarium. . .

Kiedy Byron się wyprowadził, myślała, że dopadnie ją nostalgia, że będzie miała poczucie straty, ale tak naprawdę czuła jedynie ulgę i spokój. Aż do dzisiaj.

Kiedy Justice dotarł do niej i przypomniał jej, że jest inna. Wszystko przez młodość w Pieśni Syreny. Teraz była bezbronna... tak bardzo bezbronna. Westchnęła i usiadła na jednym z dwóch krzeseł barowych, stojących przy małym szklanym stole, oparła łokcie o blat i ukryła twarz w dłoniach.

Dziecko... dziecko...

Powinna porozmawiać z ciotką Catherine, powiedzieć jej o tym, że przepowiednia Cassandry się spełniła. Ale gdzieś tam jest Justice. Na wolności. Czeka. A ona, będąc poza murami Pieśni Syreny, jest oczywistym celem.

Och, dobry Boże.

Wzdrygnęła się. Nigdy nie opowiadała Byronowi o swojej przeszłości. Powiedziała po prostu, że została odebrana matce, a ojca nigdy nie poznała. Poznali się w drugim roku jej pracy w szpitalu, gdzie on był rezydentem, a zaczęli się spotykać zaraz po tym, jak dostał etat ortopedy. Ona była naiwna i zbyt napalona, a jego zaintrygowała jej zdolność rozumienia, właściwe diagnozy ukrytych problemów pacjentów, które nie miały nic wspólnego z naprawianiem złamanych kości. Nazywał to instynktem i oboje pozwolili, żeby stało się to dla nich właściwie tematem tabu. Teraz wiedziała, że właśnie to różniło ją od innych młodych pielęgniarek i pracowników personelu medycznego, które rzucały Byronowi pełne zachwyty spojrzenia. Kiedy od niechcenia zaproponował małżeństwo, ona skwapliwie przyjęła propozycję. Nie przejmowała się jego egoistycznymi pobudkami. Nie obchodziły jej po prostu. Chciała obrazka jak z bajki: domu z parkanem, dwoje dzieci, psa i męża. Podejrzewała, że Byron nie marzy o tym. To, że nie interesował się jej rodziną, było pewną wskazówką, ale jej wydawało się, że nic się nie stanie, jeżeli ona będzie bardziej zakochana od niego.

W tej kwestii się pomyliła.

I to bardzo.

Okazał się niewierny. Nieczuły. Bez skrupułów. Chciał jej za żonę. Intrygował go jej instynkt, ale nie miał zamiaru być monogamistą. Tak to po prostu było. Usiłowała się z tym pogodzić, ale nie potrafiła. Starła się kiedyś uwierzyć, że uda im się wrócić do siebie, ale okazało się to zupełną pomyłką, z powodu której w dodatku była teraz w ciąży. Z Byronem. Tak długo pragnęła dziecka, miała nadzieję na dziecko, a teraz... o Boże, teraz czuła gorącą miłość do tego dziec-

ka, ale nie oszukiwała się, że samotne wychowywanie dziecka -dziecka Byrona - będzie łatwe.

Siedziała przy stole przez długi czas, w końcu wstała, podgrzała wodę w mikrofalówce, a kiedy minutnik się odezwał, zamoczyła w parującym kubku torebkę bezkofeinowej herbaty. Kiedy aromatyczny napój się parzył, włączyła telewizor i trafiła na wiadomości.

Serce prawie jej stanęło.

Pauline Kirby z Kanału Siódmego, o pociągłej twarzy, z lśniącymi ciemnymi włosami, które rozwiewał wiatr, informowała, że Justice Turnbull, znany morderca, uciekł z Halo Valley Security Hospital. Dwaj mężczyźni zostali poważnie ranni. Jeden z nich walczy o życie.

- Och, dobry Boże. - Laura wpatrywała się w ekran.

- Szaleniec jest na wolności - mówiła Pauline, a Laura rozpoznała w tle fasadę szpitala psychiatrycznego i zadrzała. Zapominając o herbatce, obejrzała wiadomości do końca. Serce jej waliło, bo jej najgorsze obawy się potwierdziły. Nagle zamarzyła, żeby znalazł się ktoś, kto odnajdzie Justice'a Turnbulla, wyciągnie go z kryjówki, w której się schował, i dopilnuje, żeby został zamknięty na tyle spustów, żeby nigdy nie mógł zrobić krzywdy jej ani rozwijającemu się w niej nowemu życiu.

Rozdział 3

Dla Harrisona Frosta ten dzień był mniej niż interesujący, ale wszystkie takie były, odkąd go zwolniono, wywalono, pozbyto się, kopnięto w tyłek i zesłano dziesięć milionów kilometrów od „Portland Ledger” i jego dawnej pracy. Jednego dnia był szanowanym dziennikarzem śledczym, a następnego stał się żarciem dla psów. Wszystko dlatego, że zabrał się do kilku wątków, do których nie należało się zabierać. Ale zrobiłby to znowu. Jego szwagier został zamordowany, chociaż wielu ludzi twierdziło, że to nie było morderstwo, on w końcu tego dowiedzie.

A dziś wieczorem... Dziś wieczorem pracował nad inną historią, mniej dramatyczną, która była jednak fascynującym studium postaci. Siedział przy stoliku w kawiarnianym ogródku, celowo w pozycji półleżącej, i patrzył na Broadway Seaside, główny

deptak Oregonu - w stronę budki z rożkami wafłowymi. Prawą ręką głaskał Chico, kundla siostry. Będzie miał szczęście, jeżeli ten złośliwy mały bydlak nie odwróci się i go nie ugryzie. Bestia najwyraźniej miała awersję do wszystkich mężczyzn, ale za to cholernie lubiła dziewczyny, i właśnie dlatego Harrison zdecydował się z nim wyjść. Pracował nad tematem dotyczącym nastolatków i nie chciał, żeby dziewczyny pomyślały sobie, że jest groźnym facetem, więc miał przy sobie Chico, żeby sprawiać wrażenie bardziej przystępnego.

Pies warknął cicho, gardłowo, więc Harrison cofnął dłoń. Wolał nie ryzykować ugryzienia z powodu tego kamuflażu. Chico ugryzł go już tyle razy, że Harrison szanował terytorium małego łotra. Jezu. Jedyna dobra rzecz w tym zleceniu była taka, że nie wymagało wielkich przemyśleń i zastanawiania się nad sobą. Mógł po prostu pójść dalej i zapomnieć, a przynajmniej odłożyć na bok wydarzenia, które go tu sprowadziły. To była praca. Nie wymagała od niego niczego poza obecnością.

Harrison zerknął na zegarek. Była dwudziesta pierwsza. Dziewczyna, którą obecnie miał na oku, była szesnastoletnią złodziejką i miała bardzo nieładny zwyczaj żucia gumy z otwartą buzią; zachowywała się bardzo swobodnie. Wyglądało na to, że wraz z koleżankami i kilkoma chłopakami założyli bandę i zaczęli okradać zamożniejsze rodziny z sąsiedztwa. Nie żeby same nie były zamożne. To była rozrywka, ćwiczenie, sposób zabicia czasu. Były oszołomione, pijane władzą i własnymi tajemnicami. Zmierzały zygzakiem w stronę czegoś gorszego - napadu na dom. Jedynie kwestią czasu było to, żeby złapał ich na gorącym uczynku właściciel domu, a wtedy kradzież zmieni się w coś o wiele gorszego. Nadmorska policja nie jest jeszcze świadoma przestępstw, bo ofiary milczały. Może myślały, że zamieszane są w to ich własne dzieci? A może nawet tak było. Faktem było to, że nikt nie wziął nastolatków na celownik, a Harrison tego tematu nie szukał, tylko po prostu się na niego natknął.

Przeprowadził się z Portland na wybrzeże za swoją siostrą Kirsten i jej córką Delilah, którą wszyscy nazywali Didi, po tym, jak mąż Kirsten, Manuel Rojas, został zastrzelony. Harrison nie zamierzał przeprowadzać się z siostrą. Chciał ujawnić morderców Manny'ego, którzy byli okrutnymi zabójcami. Ale tak się nie stało, a kiedy Kirsten, smutna i załamana, rok temu spytała,

czy pojechałby z nią, niechętnie zrobił to, o co go prosiła, a teraz przeprowadził się z jej małego domku do własnego mieszkania. Znajdowały się w nim tylko dmuchany podwójny materac, śpiwór, kilka składanych krzeseł i nierozpakowane kartony.

Mąż jego siostry, Manny, został zabity w strzelaninie, kiedy jakiś dzieciak otworzył ogień do ludzi czekających na wejście do nocnego klubu, a potem wycelował broń w siebie. Wśród tych ludzi był Manny. Usiłował załagodzić kłótnię, jaka wybuchła pomiędzy dwoma mężczyznami o anorektycznie szczupłą blondynkę, która nieopodal paliła papierosa. Nagle dzieciak wyjął rewolwer i posłał kilka kul w tłum. Manny i jeden z mężczyzn zginęli na miejscu, drugi mężczyzna, kobieta i jej chłopak zostali poważnie ranni i zmarli w szpitalu, a chłopak, który strzelał, i którego i tak nie wpuszczono by do klubu, był niepełnoletni, skierował broń w swoją stronę i pociągnął za spust. Później okazało się, że był bezrobotny, wcześniej wyleciał ze szkoły. Połknął taką ilość prochów, że powaliłaby słonia. Anorektycznej blondynce nic się nie stało, po prostu zniknęła. O jej istnieniu było wiadomo tylko dzięki kamerom monitoringu. Wydarzenie nazwano potworną tragedią. Cała wina spadła na nafaszerowa-nego lekami chłopaka, który ćpał od zawsze. Ale nigdy nie wykazywał samobójczych ani morderczych skłonności. Nigdy nie był agresywny. Kiedy Harrison oglądał taśmę, zobaczył, że chłopak wyjął pistolet i wycelował w Manny'ego. Potem chyba otrzeźwiał i zorientował się, co zrobił, zaczął strzelać na prawo i lewo, trafiając każdego, kto znalazł się na linii ognia, a potem zabił siebie.

Partner Manny'ego, współwłaściciel nocnego klubu przed którym Manny zginął, Bill Koontz, stał się właścicielem klubu, a Kirsten otrzymała niewielką kwotę z ubezpieczenia.

Harrison otrzymał pewnego dnia anonimowy listy napisany ładnym kobiecym pismem, sugerujący, że naćpany zabójca mógł być powiązany ze współnikiem Manny'ego.

Blondynka? Może. A może ktoś inny. W każdym razie jak tylko Harrison zaczął pisać artykuły na temat Billa Koontza, które zawierały więcej pytań i domysłów niż suchych faktów, w „Ledger” pokazano mu drzwi.

Co było dziwne. Dziennikarz ma chyba ujawniać prawdę, zgadza się? Nawet, jeżeli wskazywałby na winę Koontza?

Te myśli przemknęły mu przez głowę w ułamku sekundy. Owszem, możliwe, że spieprzył sprawę. Po śmierci Manny'ego z pewnością nie był całkiem obiektywny. Lubił szwagra, ciemnowłosego, przystojnego mężczyznę z lśniącymi białymi zębami i śmiechem, którym zdobył jego siostrę podczas pierwszej randki. Chciał odkryć spisek, który doprowadził do śmierci Manny'ego, i nierozważnie zaczął zajmować się wyimaginowanymi wątkami, a plotki i domysły przedstawiał jako fakty.

Porządnie wkurzył Koontza, który znał ważne szczy. Nie żałował, że go wkurzył.

Od tego czasu odsuwano go od pracy - to znaczy oficjalnie on się wycofał, kiedy walnięto mu przemowę „odpuść albo wylecisz”. Zaczął unikać wszystkiego, co miało choćby niewielki związek z prawdziwym dziennikarstwem śledczym, dopóki nie wpadł mu w ręce temat młodzieżowego złodziejstwa. Czyżby to, że był nim zainteresowany, oznaczało postęp? Czy był gotowy na to, żeby dać sobie spokój z bzdurnymi tematami, którymi zajmował się dla „Seaside Breeze” i znów zawalczyć o wielki sukces? Może nawet znów spróbować nieco bardziej zgłębić temat śmierci Manuela Rojasa? W wolnym czasie, rzecz jasna, nie angażując w to „Breeze” ani nikogo innego? Harrison też miał przyjaciół na wysokich i niskich stanowiskach. Wyczuwał, że jeżeli kiedykolwiek wypłynie na szersze wody, zostanie przez jednych powitany z radością, przez innych będzie przeklinany.

Ale czy tak naprawdę jeszcze go to obchodzi? Nie przejmował się tym od ponad roku. A jednak... Miał wielką ochotę, której nie mógł się wyprzeć.

Zmienił pozycję, a Chico znów warknął.

- Zamknij się - wymruczał Harrison bez złości, ale Chico kompletnie zignorował polecenie, nie przestając warczeć, jakby poczuł się do tego zachęcony.

Zrobiło się już zupełnie ciemno. Harrison zerknął na lewo, na kawiarnię-lodziarnię-sklep z upominkami, w którym jego „ofiara” rozmawiała z dziewczyną za ladą. Bez patrzenia mógł szczegółowo opisać je obie - szczupłe, ciemnowłose, właściwie pozbawione bioder, w drogich dzinsach lub krótkich spodenkach odpowiednich na pogodę taką jak dzisiaj, w japonkach, z chytrymi uśmiechami na twarzy. Dziewczyna za ladą miała włosy związane w kucyk. Ta druga była ubrana w niewiarygodnie krótkie spodenki, tak mocno

postrzeżone, że wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść. Włosy miała założone za uszy i Harrison dostrzegł kolczyk. Diamenty? Podróbki? Jej własne czy ukradzione?

Harrison śledził wiadomości i wiedział o kilku niepowiązanych ze sobą kradzieżach, chociaż z początku jego radar wcale nie zareagował. Ale w końcu pewnego wieczoru, kiedy wybrał się na spacer plażą z Chico, chociaż żadne z nich na ten spacer nie miało ochoty, usłyszał, jak dziewczyna - ta, którą dzisiaj obserwował - rozmawiała z grupą przyjaciół o napadzie na posiadłość Bermiana. Z przyzwyczajenia zwrócił uwagę na nią i jej paczkę. Obserwował, jak wstają z kamiennej ławki i idą spokojnym krokiem w stronę głównej nadmorskiej promenady.

Dwa dni później Bermanowie zostali okradzeni. Złodzieje zabrali pieniądze, biżuterię i drogie torebki.

A Harrison pomyślał: Hm.

Przez kilka ostatnich dni celowo czekał z Chico przed kawiarnią-lodziarnią, myślami bezwiednie wędrując do Manny'ego i przyczyn jego śmierci. Wpakował się w kłopoty, sugerując, że śmierć jego szwagra nie była przypadkowa, że Koontz, wspólnik Manuela, jeden z tych zabójczo charyzmatycznych sprzedawców, którzy pokazują ci uśmiech, podają dłoń i po sprawie, był w to w jakiś sposób zamieszany. Zarówno Koontz, jak i Manny znali chłopaka z bronią, bo nieraz usiłował wejść do ich ekskluzywnego klubu o bezsensownej nazwie - Boozehound, pokazując sfałszowany dowód.

W całym tym scenariuszu coś było nie tak, ale Harrison został zastraszony i teraz czekał tu i patrzył, jak życie toczy się dalej.

Był lekko podniecony, bo ta sprawa go zaintrygowała, pierwsza od śmierci szwagra. Zastanawiał się, czy pójść na policję, ale zrezygnował. Tak naprawdę nie słyszał nic konkretnego i polegał jedynie na domysłach. Przecież sparzył się dość mocno, próbując odkryć prawdę na temat śmierci Manny'ego, prawda?

Dziewczyna z lśniącymi kolczykami zaczęła przechadzać się obok niego.

Szarpnął lekko smycz i Chico, jak na rozkaz, zaparł się, akurat wtedy, kiedy dziewczyna usiłowała przejść. Smycz zaplątała jej się wokół nóg i dziewczyna zaczęła się chwiać.

- Ej! - krzyknęła. - Co, do ku...?

Harrisem w jednej chwili zerwał się na równe nogi, wyciągnął rękę i przytrzymał dziewczynę, ratując ją przed upadkiem.

- Przepraszam.

- Puść mnie! - Zdołała wyplątać nogi ze smyczy i wyszarpnęła rękę z jego uścisku. - Jezu, mógłbyś trochę pilnować swojego cholernego psa!

- Staram się, ale on ma własne pomysły.

Przewróciła oczami, jakby śmiertelnie znudziło ją to wyjaśnienie, a później sięgnęła ręką w dół i rozmasowała nogę w miejscu, w którym smycz wpiła się w ciało. Cienka czerwona pręga robiła się coraz szersza.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nie! - powiedziała ze złością, a potem wyprostowała się i spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

- Potrzebujesz lekarza?

- Co? Nie! - Później, kiedy nieco jej złości wyparowało, dodała: - Przeżyję.

- To dobrze. - Odwrócił się do psa. - Chico! Chodź, chłopie! - Wiedząc, że dziewczyna ciągle go obserwuje, podniósł psa i wsadził go sobie pod ramię. Oczywiście Chico rozbłysły czystą nienawiścią, jakby uświadomił sobie, że posłużył jako pionek w grze, ale nie warknął ani nie ugryzł.

- Fajny pies - przyznała dziewczyna, obdarzając go przeciągłym spojrzeniem.

- Chyba tak. - Zmierzył sierść na łebku Chico.

- Mówię poważnie. - Najwyraźniej jej furia zniknęła. I dobrze. To był pierwszy raz, kiedy nawiązali rzeczywisty kontakt.

- Wabi się Chico?

- Tak. - Skinął głową. - Prawdę mówiąc, nie za bardzo mnie lubi.

- Tak? Dlaczego? - spytała. - Bijesz go?

- Nie. Zresztą nie miałbym za co. Te dzisiejsze psy - ciągnął.

- Karmisz je, kochasz, uczysz. Kupujesz im auto, kiedy kończą szesnaście lat, i co za to masz? Kłopoty.

Nie mogła powstrzymać nieoczekiwanego uśmiechu, nawet jeżeli pomyślała, że on jest banalny. Harrison odwzajemnił uśmiech, chociaż uśmiechał się do ludzi tylko w pracy. Prywatnie był, jak sam przyznawał, samotnikiem. Niewielu ludziom ufał. Większość, jak się przekonał, kłamała.

A on kłamców nie znosił.

- Tak naprawdę to pies mojej siostry - wyjaśnił Harrison, stawiając Chico z powrotem na chodniku. - Wyprowadzam go na spacer, ale on mnie ledwie toleruje.

- Mogę go pogłaskać?

- Jasne. Śmiało. Nie ugryzie cię... za mocno.

Pochyliła się, zawahała, zorientowała się, że Harrison się droczy i wyciągnęła rękę. Harrison wypuścił Chico, który szarpał za smycz, merdając ogonem, i wsunął kudłaty łepiek pod jej dłoń, obwąchując ją i liżąc. Mały zdrajca.

Harrison miał na sobie džinsy, tenisówki, czarną koszulkę i znoszoną bawełnianą koszulę w kratę w charakterze marynarki, luźno wypuszczoną. Jego ciemne włosy były dłuższe niż zwykle, sięgały obojczyka, i celowo były nieco zmierzwione. Był ogolony i bez okularów słonecznych, bo słońce zaczęło zachodzić. Miał nadzieję, że wygląda sympatycznie. Chciał informacji.

- Widziałam cię już tutaj - powiedziała. - Jesteś bez pracy?

- Uskuteczniłam spacer z psem.

- Ale z czego żyjesz? - spytała. Bez zaproszenia przysiadła na krześle naprzeciw niego. Nagle zaczęła sprawiać wrażenie zaciekawionej. Albo nie miała dokąd pójść.

- Nie zarabiam wiele - przyznał. - A ty? Masz jakąś dorywczą pracę? Wyglądasz na licealistkę.

- Jak myślisz, ile mam lat? - Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się, przyjmując seksowną pozę. Prawie flirciarską. Jej złość na niego dawno wyparowała.

- Osiemnaście? - Przypuszczał, że ma szesnaście, może siedemnaście.

- Piętnaście do trzydziestki - odpowiedziała sprytnie. - W każdym razie, tak mawia mój ojczym.

Harrison wiedział, że w rozmowach z nastolatkami obowiązują pewne zasady. Niepisane zasady. Zasada numer jeden - należy udawać, że chce się mówić tylko o sobie samym i obserwować, co się będzie działo.

- Kiedyś pracowałem w Portland dla pewnej korporacji - powiedział. - Byłem pracownikiem biurowym. Zaczynałem o ósmej, kończyłem o siedemnastej. Szedłem do domu, piłem drinka. Oglądałem wiadomości. Jadłem kolację.

Kładłem się spać.

- Boże, zabiłabym się - powiedziała.

- Miałem pensję.
- To było chyba strasznie nudne.
- Owszem. - Nigdy nie pracował w biurze. Podczas pracy mógł kłamać, ale tylko w nieistotnych kwestiach. W sprawach istotnych, kiedy chodziło o ludzi, na których mu zależało, liczyła się dla niego tylko prawda. Nie było innej opcji.
- Przechyliła głowę i spojrzała na niego spod mocno wytuszo-wanych rzęs.
- Chodzę do liceum West Coast. Słyszałeś o nim?
- Podaj mało znaczącą informację, zignoruj rozmówcę i bum! Nie mogą przestać mówić o sobie.
- Do tego, które zbudowano, kiedy powstawały ekskluzywne domy?
- Dla bogatych dzieciaków? Tak. Tylko niektóre nie są już tak bogate. Ich ojcowie stracili pracę. - Wzruszyła ramionami. - Szkoda.
- A twój ojciec?
- Ojczym - poprawiła. - Ma pracę. Ale mój tata ją stracił. Zwolnili go.
- Zwolnienia grupowe. - Harrison się skrzywił.
- Nie. Zadał się z mamą Britt, a pracował dla ojca Britt, więc nie wyszło mu to na dobre.
- Brzmi jak jakiś dramat.
- Cholera, fakt. Lecą na niego wszystkie - powiedziała z nagłą furją. - Britt to suka.
- Harrison zastanawiał się, czy Britt to Britt Berman.
- Chico zaskomlał, stanął na tylnych łapach, a przednimi wskoczył na kolana dziewczyny. Podrapała go za uszami, a potem cofnęła się i otrzepała palce.
- Obrzydliwe. Psia skóra. - Spojrzała na paznokcie. - Ja mam pracę... tali jakby... - Na jej usta zakradł się uśmiech. Chytry uśmieszek, mówiący „bardzo chciałabym ci powiedzieć, jaka jestem sprytna”. - Można powiedzieć, że założyliśmy własną firmę i nie jest to wcale nudne. - Zagryzła dolną wargę, naprawdę bardzo się starając, żeby mu nie powiedzieć, a jednak ledwie mogła się powstrzymać.
- Firmę - powtórzył z nutą sceptycyzmu. Złapała przynętę jak wyskakujący z wody wieloryb.
- Tak, firmę. Tak jakby pracujemy razem. Jesteśmy sojusznikami.

Słowo „sojusznicy” zabrzmiało, jakby się nim upajała. Na pewno nie należało do tych, którymi operowała swobodnie. Pewnie usłyszała je, oglądając jakieś reality show. Gdyby nie widziała, zanurzyłby rękę w kieszeni bojówek i zaczęłyby ją nagrywać na dyktafon w telefonie. Ale siedziała pod takim kątem, że widziałyby, jak go włącza, więc musiał poczekać.

- Co to za „my”? Ty i twoja rodzina?

- Boże, nie. - Rzuciła mu pochmurne spojrzenie. - Mój ojczym to skończony dupek. Gorszy niż mój tata. Mam na myśli moich przyjaciół i mnie. - Rozejrzała się, jakby się spodziewała, że któryś z tych przyjaciół się pokaże.

- Z liceum?

- Zadajesz dużo pytań - oznajmiła, odsuwając się od stołu. - Nie wiesz, co potrafimy.

Właśnie w tej chwili jego telefon zaczął wibrować. Zignorował go, chociaż niewielu ludzi miało jego numer. Siostra. Redaktor naczelny „Portland Ledger”. Naczelny „Seaside Breeze”.

- Dobra, poddam się - powiedział. - Nie wiem, co potraficie. Potraktowała to jak wyzwanie.

- Jesteśmy paczką... zbieramy się... i robimy coś. - Jej oczy iskrzyły tak mocno jak światła neonów, migoczące w mieście; była z siebie dumna i podniecona, a chytry uśmieszek igrał w kącikach jej warg.

- Ty i twoi piętnastoletni przyjaciele.

- Tak. No i paru starszych też. Jak Envy.

- Envy? - powtórzył Harrison.

- Wiesz, co znaczy „envy”? Zazdrość.

- No tak.

- To jego inicjały. N.V. Mówi, że to grzech śmiertelny.

- Okej - powiedział Harrison. Jego telefon znów zaczął cicho wibrować.

- Jest siedem grzechów głównych.

- Uhm. Jak w filmie *Siedem*.

- Znasz go? - spytała zaskoczona. - Jest naprawdę stary.

- Morgan Freeman. Brad Pitt. Gwyneth Paltrow. - Naprawdę stary, pomyślał Harrison, śmiejąc się w duchu, sięgając po telefon. Ale przecież tego dzieciaka nie było jeszcze w planach, kiedy film był wyświetlany w połowie lat dziewięćdziesiątych.

- Nie jesteśmy dziwni ani nic takiego jak w filmie.

- Po prostu coś robicie.

- Nasza siódemka - powiedziała. - Zgadnij, kim jestem ja.

- Hm, a jakie masz inicjały? Jeżeli na tym to polega.

- Nie tylko na tym.

- No więc, nie kojarzysz się z obżarstwem. Z gniewem raczej też nie. Może pycha? Pożądanie?

Jej telefon komórkowy zadzwonił, a ona jakby nagle uświadomiła sobie, że powiedziała zbyt wiele zupełnie obcemu człowiekowi, zerwała się na równe nogi. Spojrzała znów przez ramię. Wyglądała, jakby chciała uciec, a później zerknęła na wiadomość na wyświetlaczu telefonu.

- Innych nie pamiętam - zażartował, ale ona nagle puściła się pędem przez ulicę, jakby chciała od niego uciec najszybciej jak się da.

Jak tylko zniknęła mu z pola widzenia, Harrison wyciągnął telefon. Chwycił go, kiedy przestał wibrować.

- Halo? Halo? Cholera.

Zerknął na numer, ale go nie rozpoznał. Kiedy oddzwonił, po jednym sygnale odezwał się ostrożnie kobiecy głos.

- Frost?

- Kto mówi?

- Geena Cho.

- Geena? - Zaskoczenie Harrisona mieszało się z ostrożnością. Geena pracowała w biurze prasowym Biura Szeryfa Okręgu Tillamook. Poznał ją, kiedy po pracy siedziała w miejscowej speluncie, Davy Jones's Locker, i przespał się z nią, ale nie miał ochoty od razu się wiązać. Każdy jego związek stawał się zbyt gorący, zanim zdążył poznać kobietę. Później, kiedy czas ujawniał ich dziwactwa, bagaż doświadczeń i szaleństwo, namiętność szybko gasła. Kiedy Geena powiedziała, że pracuje w biurze szeryfa, zapal Harrisona ostygł jeszcze szybciej. Z trudem utrzymywał ją w szufladce „przyjaciół”, bo dążyła do czegoś więcej. Była jedną z niewielu osób, którym dał swój numer.

- Mamy uciekiniera z Halo Valley - powiedziała cicho, a on uświadomił sobie, że rozmawia z nim przez komórkę i przekazuje mu informacje, których biuro szeryfa jeszcze być może nie chce upubliczniać. - Ranił dwóch mężczyzn, którzy zostali zabrani do Ocean Park. Połowa policji jest w Halo Valley.

- Kim jest uciekinier? - Już stał, szarpiąc opornego Chica, który obwąchiwał nowo przybyłego, puszystego białego bolończy-

ka, który chciał się bawić. Chico usiłował wskoczyć na suczkę, co nie podobało się jej właścicielce, więc Harrison odciągnął psa.

- Ten facet sprzed kilku lat, który terroryzował sektę. Harrison przypomniał sobie tę historię, ale nazwiska mężczyzny nie pamiętał.

- Masz nazwisko?

- No, jeszcze nie - powiedziała, nagle powściągliwa, jakby już żałowała tego, że zadzwoniła. Nie mógł za bardzo jej naciskać.

- Więc - ciągnął Harrison. - Ten bezimienny zabójca... -I słynny świr. Wytropi go w Internecie, wystarczy, że włączy komputer. Teraz jego komórka nie miała takiej funkcji. - Zaatakował dwóch mężczyzn w Halo Valley, próbując uciec?

- Na to wygląda. Nie mogę długo rozmawiać. Wszyscy wyjechali stąd parę godzin temu, na światłach i na sygnale. Są przekonani, że wpadnie nam w ręce.

- Kim są ofiary?

- Pracownikami szpitala. Tyle tylko wiem. Pewnie kolejny wykręt.

- Okej.

- Muszę lecieć - powiedziała, jakby żałowała przedwczesnego telefonu. - Pamiętaj - dodała po chwili wcale nie subtelnie. - Mamy układ. Jestem „anonimowym informatorem z wydziału policji”.

- Zgadza się - powiedział, chociaż był pewien, że jeżeli ktoś naprawdę chciałby się dowiedzieć, billingi telefonu komórkowego ją zdradzą.

- Harrison?

- Tak?

- Wyświadczyłam ci przysługę.

- Dzięki, Geena. - Tyle wiedział sam.

Nie za bardzo wiedział za to, co zrobić z tą informacją.

Nie pracował dla „Breeze” jako dziennikarz śledczy. Chociaż temat na pewno byłby dla nich interesujący. Informacja o psychopacie zbiegłym ze szpitala psychiatrycznego była ważnym newsem, zwłaszcza o tym psychopacie, który kiedyś terroryzował okolicę.

Harrison dostał szansę wrócenia do gry. Jakim kosztem? -dręczył go sceptyczny umysł. Pamiętaj, długi wdzięczności to przekleństwo.

Wsunął telefon do kieszeni, zignorował wątpliwości, podniósł Chica, który ugryzł go w nadgarstek, a potem skierował się szybko do swojego ciemnobrązowego chevroleta impali. Po drodze minęła go pędem para jadąca na tandemie, a jego nozdrza wypełnił zapach karmelowej kukurydzy i grillowanych hot dogów. W brzuchu mu zaburczało.

Kiedy dotarł do swojego dziesięcioletniego samochodu, o mało nie przejechał go dzieciak na deskorolce. Skręcił za rogiem i przeskoczył ławkę, kiedy Harrison wrzucał Chica na siedzenie małego samochodu. Pies odwrócił się i wyszczerzył zęby, a Harrison wsiadł do auta. Też wyszczerzył zęby na Chica, a ten zawarczał.

Harrison stwierdził, że dopiero kiedy pozbędzie się psa, będzie mógł wyruszyć do szpitala Ocean Park. Nie miał ochoty szukać informacji w szpitalu psychiatrycznym Halo Valley, mając za konkurencję całe biuro szeryfa, zwłaszcza Freda Clausena, któremu Harrison zdążył już nadebrać na odcisk. Ocean Park, do którego przewieziono ofiary, będzie lepszym miejscem. Pewnie uda mu się tam przeprowadzić kilka wywiadów. Jego nastoletni Śmiertelni Grzesznicy na chwilę zeszli na dalszy plan, wciągnął go inny temat. Podobało mu się to. Śmiertelni Grzesznicy. Chwytna nazwa, którą pewnie ta grupa, czy też ten cały N.V. sobie wymyślili, pewnie po obejrzeniu *Siedem*. Czy już nikt nie ma żadnych nowych pomysłów? Harrison wrócił myślami do uciekiniera ze szpitala.

- Jak on się nazywa? - powiedział głośno, starając się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat dziwnego mężczyzny, który zabijał w okolicy Deception Bay, zwykle sennego małego nadmorskiego miasteczka, w którym teraz mieszkały jego siostra i siostrzenica. Czy ten facet uciekł z Halo Valley tylko po to, żeby odzyskać wolność? A może ma nowy plan? Psychopaci tacy są. Z zasady się nie poddają. Chico spojrzał na Harrisona gniewnie i warknął.

- Nie jesteś taki fajny, jak ci się wydaje - ostrzegł go Harrison. Pies zaczął wściekle szczekać.

Dziesięć minut później Harrison z ulgą pozbył się Chica, kręcąc głową, gdy mała kudłata kulka wskoczyła w ramiona Kirsten i lizła ją z dziką miłością, merdając przy tym ogonem.

Kirsten stała w drzwiach swojego domu, a dobiegający ze środka zapach pieczonego chleba mieszał się na dworze ze słonym zapachem morza.

- Nie wiem, co masz do Chica - powiedziała, wzdychając, na widok miny Harrisona.

- A kto mówi, że coś do niego mam?

Spojrzała na brata, a on odwzajemnił ciepłe spojrzenie. Kirsten była dziesięć centymetrów niższa od niego, miała tak jak on brązowe włosy, orzechowe oczy, lecz była szczupła. Miała na sobie džinsy i granatową koszulkę, była boso.

Chico zeskoczył na ziemię i pobiegł do domu, pewnie szukając Didi, córki Kirsten.

- Wręcz odwrotnie. Kocham tego psa.

- Jasne - prychnęła, zamykając drzwi.

- Naprawdę.

Powiedział to do siebie, wsiadając do auta. Stwierdził, że nie ma mowy, żeby zgadnąć, co się dzieje w małym psim pokręconym mózdzku, i skierował samochód na południe, w stronę szpitala Ocean Park. Dom Kirsten znajdował się na północnym krańcu Deception Bay. Miasteczko położone było na urwisku nad plażą, wznosiło się nad biegnącą w obie strony autostradą 101 i oddalone było od szpitala o jakieś dwadzieścia minut.

Pokręcony mały psi mózdzek. Pokręcony mózg zabójcy psychopaty.

Harrison mógł się założyć, że uciekinier ze szpitala Halo Valley zamierza zacząć tam, gdzie przerwał. Tak właśnie działał zabójca psychopata.

- Jak się nazywasz? - spytał głośno w gęstniejącym mroku. I gdzie jesteś, do cholery.

Rozdział 4

Ten vanagon najlepsze dni ma już za sobą, pomyślał Justice, obserwując samochód, który zjeżdżał na skraj szosy. Z punktu widokowego na urwisku jak z lotu ptaka widział wijącą się niżej autostradę.

Volkswagen przestał je produkować w latach dziewięćdziesiątych czy na początku 2000 roku, zastępując bardziej nowoczesną wersją volkswagena busa, ale one również zniknęły z salonów,

wyparte przez touaregi, jetty i pasaty, i inne. Justice Turnbull w młodości interesował się samochodami. Były jego pasją. Ale to było, zanim poznał swoją misję i porozmawiał z Bogiem, który poprosił go - nakazał - unicestwić armię szatana, armię poczętą w łonie dziwek wyplutych z czeluści piekielnych, które udawały niewinność. Dziwki. Każda. Wyznawczyni szatana.

Same zamknęły się w więzieniu, które uważały za sanktuarium. Idiotki ! Chore na umyśle, przesiąknięte smrodem idiotki. Pieśń Syreny. Z ogrodzeniem i bramą z kutego żelaza. Można je pokonać. Można. To tylko kwestia odpowiednich planów. I czasu. Uśmiechnął się do siebie na myśl o tych, które tam mieszkają, i o tym, co im robi. Każda umrze powolną śmiercią w męczarniach. Każda z tych czarownic dowie się, co to znaczy go atakować, poczują jego ból... Będą płonać... W swoim czasie. Po kolei.

Nozdrza mu zadrgały i przeszedł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, że sytuacja nie wygląda tak, jak powinna. Nie wszystkie z nich były „bezpieczne” w murach otaczających Pieśń Syreny. Mimo wysiłków Catherine, żeby je zamknąć, kilka tych bardziej upartych i ciekawych uciekło. Tymi trzeba się będzie zająć najpierw. Potem przypuści szturm na ich plugawe więzienie, w którym się zamknęły, przekonane, że są bezpieczne. Oj, jak się mylą. Łatwo będzie zabić je wszystkie. Wystrzela je jak kaczki.

Kto to powiedział? Sama stara Szalona Maddie. Górna warga zadrżała mu na mgliste wspomnienie, które nie chciało się skryształizować, kiedy o niej pomyślał. Wróżka czytająca z dłoni? Jasnowidzka? Oszustka!

Mrużąc oczy, zauważył, że vanagon daleko nie pojedzie. Wyglądał na uszkodzony, a na pewno złapał gumę. Czyżby to był znak od Boga? Czy to była jego droga?

Powąchał powietrze i płatki nosa mu zadrżały. Zapach tych kobiet był jak puls, który tylko on potrafił wyczuć.

Przychodził do niego falami, przypominając zapach gnijącego mięsa. Przy ostatnim wdechu był bliski omdlenia, później otworzył oczy i znów spojrział w światła brązowego vanagona.

Czas ruszać.

Kiedy dzienne światło nikło, schodził ostrożnie, niemal bezgłośnie, po zboczu wzgórza, między powykrzywianymi sosnami i krzewami jeżyn. Myślał o plugawych czarownicach, które miał

unicestwić. Niemal stracił ich trop, gdy go zamknęli, faszerowali lekami i trzymali w grobowcu bez okien. Przez betonowe ściany trudno było je tropić. Nie widział ich. Z początku nie był nawet w stanie ich wyczuć. Ale teraz... Najłatwiej było je namierzyć, kiedy były w ciąży. Wtedy kilka razy wyczuł zapach tych, które przespały się z diabłem i nosiły w swoim łonie nasienie Lucyfera, mimo że znajdował się w dziurze, w jaką usiłowały go wepchnąć. Ale nie mogły powstrzymać go wiecznie. Został wysłany, żeby wykonać bożą wolę. A Bóg chciał, żeby diabelskie nasienie płonęło w czeluściach piekielnych. To była misja Justice'a.

We śnie, który był pewnego rodzaju wizją, jakiej doświadczał w szpitalu, zobaczył siebie udającego chorobę. Wizja pojawiła się późno w nocy. Obudził się, czując znajomy zapach. Ani przez sekundę nie miał wątpliwości, że jest to słowo od Boga, a Bóg pokazał mu, co ma zrobić. Justice był zlany potem, jakby naprawdę działał we śnie. Nie zawahał się ani na chwilę. Właściwie było to nawet zbyt proste. Doktor Zellman, pompatyczny idiota, chciał wierzyć, że rozumie go i jego ukryte myśli.

Ale Zellman nie podejrzewał Justice'a o inteligencję. Ten lekarz o rozbuchanym ego nie doceniał też intelektu Justice'a, jego zdolności do odczytywania motywacji lekarza. Mało tego, Zellman nie brał pod uwagę zwykłych zwierzęcych instynktów, sprawności drapieżnika, umiejętności zwabienia ofiary, żeby ją brutalnie zaatakować. Justice, znając słabości Zellmana, udawał, a ten idiota z poważnym tytułem dał się nabrać.

Jeden kłopot mniej.

Teraz Justice skradał się do vanagona. Jego właściciele najwyraźniej lubili psychodeliczny styl życia, jaki najczęściej utożsamiany był z busem volkswagena i latami sześćdziesiątymi, bo boki samochodu ozdobione były ręcznie malowanymi pacyfami, tęczę i postaciami dziewczyn z długimi włosami, które zmieniały się w winorośle i stawały się gałązkami, na których mogły przysięść gołębie. Justice miał kiedyś małą replikę VW busa w swojej kolekcji zabawek samochodów, jednak pozbawiony był on artystycznych szczegółów, które miał ten pojazd. Kolory vanagona z czasem wyblakły, ale nadal oddawał hołd kulturze hippisowskiej.

Kiedy Justice wynurzył się spomiędzy kłujących sosen rosnących przy drodze, długowłosego faceta z opaską i lennonkami wyprostował się z przodu tylnego koła, które oglądał.

- Hej, człowieku - powiedział śpiewnie na powitanie.

Bus zaparkowany był w małej zatoczce, w której nie było za dużo miejsca na manewry, bo koło mogłoby wpaść do rowu. Facet palił skręta, oglądając łysą, sflaczałą oponę. Wyciągnął skręta do Justice'a.

- Marihuana - stwierdził po prostu Justice.

- Tak. Zioło, chłopie. Dobrze.

- Nie, dziękuję. - Mdły, słodki zapach zioła zakłócił Justice'owi węch.

- Jezu, cholera - powiedział facet, wskazując więzienie Justice'a i wypuszczając chmurę dymu. - Widziałeś? Całe cholerne biuro szeryfa okręgowego tędy pędziło! - Wystawił kciuk i pokręcił głową. - Nikt się nie zatrzymał, wiesz?

- Później rozważył konsekwencje, jakie czekałyby go, gdyby policjant się zatrzymał i znalazł marihuanę. - Może i dobrze. - Znów mocno się zaciągnął.

- Którędy jedziesz? - spytał Justice, który, słysząc o policji, zrobił się niespokojny.

Facet wskazał przeciwny kierunek, zachód, w stronę wybrzeża, a po kilku sekundach wypuścił chmurę dymu.

- Skąd się wzięłeś? - wysapał.

Justice wskazał północne wzgórze o ściętym szczycie. Szpitalną karetką pokonał błotnistą drogę wzdłuż wschodniej strony wzniesienia, jadąc po konarach i kamieniach. Sforsował zapomnianą furtkę z siatki, dodając gazu. Znał okolicę i dokładnie zaplanował, gdzie się ukryje. Wjechał na sam szczyt wzgórza i zjechał kawałek w dół z drugiej strony. Zatrzymał karetkę na skraju klifu, wysiadając, chwycił kurtkę z logo szpitala Ocean Park, którą zostawił ratownik, później przełączył auto na luz, stanął za nim i je zepchnął.

Furgonetka zjechała w dół, prosto w przepaść, ścinając po drodze małe drzewa, rozbiła się i staczała niezdarnie, a na końcu wpadła do strumyka i przewróciła się na bok. Narobiła dużo hałasu, ale cała akcja trwała zaledwie dwie minuty. Justice, zmęczony, nadstawiając ucha, czekał na szczycie wzgórza ukryty w krzakach z nadzieją, że nikt nie zwróci uwagi na huk rozbijanej karetki. Widział kolumnę policyjnych samochodów pędzących w dół na

sygnale, migających światłami w zapadającym zmroku. Patrzył, jak znikają. Usiadł i czekał, niepewny, w jakiej formie może ukazać mu się kolejna wiadomość od Boga.

Po chwili, jakby sam Bóg mu odpowiedział, powoli na pobocze zjechał vanagon. Nie zastanawiając się ani minuty nad tym, czy to jego przeznaczenie, Justice szybko zszedł na dół.

- Mogę się zabrać? - spytał, powstrzymując się od kaszlu. Śpieszyło mu się.

- Pomożesz mi naprawić koło? - spytał z nadzieją facet.

- Masz pompkę?

- Tak, ale jest dziura.

- Masz zapasowe?

- Nie... niesprawne...

- Daj mi pompkę - rozkazał Justice. Usłyszał odgłos zbliżającego się samochodu i przewycięzył chęć ucieczki w krzaki.

- Uhm, okej. - Facet spojrzał na niego znowu i zauważył jedynie, że jest lekko spięty. Wzruszył ramionami i otworzył tył furgonetki. Zaczął grzebać w stosie dziecięcych kłopotów - między rowerem trójkołowym, kojcem, jakimś mechanizmem z uchwytami w jaskrawych kolorach, aż znalazł skrzynię z narzędziami i pompkę.

Silnik samochodu zaczął pracować głośniejsze i Justice, udając, że się pochyla nad nim, ukrył się, kiedy terkocząca stara toyota przemknęła obok. Zauważył kierowcę - czerwono włosą nastolatkę, która ledwie spojrzała na uszkodzony vanagon.

- Jestem Cosmo - powiedział facet, jakby właśnie uświadomił sobie, że do tej pory się nie przedstawił. Postawił skrzynkę z narzędziami u stóp Justice'a. - A ty?

- Bob.

- A na identyfikatorze masz... - Cosmo zmarszczył czoło.

- Tak, wiem. - Justice zbył pytanie machnięciem ręki i pochylił się nad skrzynką. Jeżeli facet będzie za bardzo podejrzliwy, będzie musiał wyjąć młotek ze skrzynki i... Jego palce zacisnęły się na gładkiej drewnianej ręczce. - Musiałem dzisiaj pożyczyć od kumpla. Moją zostawiłem w samochodzie. Czasami jestem skończonym idiotą!

- Słuchaj, Bob, jeżeli to naprawisz, zabiorę cię, dokąd tylko chcesz - oznajmił Cosmo ze swobodnym uśmiechem, który ukazywał rząd lekko krzywych zębów.

Jeżeli nawet miał wątpliwości w kwestii „Boba”, znikły w oparach zioła.

- Masz gumę? - spytał Justice, próbując nie okazywać podenerwowania, kiedy wyciągał młotek i przyglądał się zawartości skrzynki. Klucz nasadowy, wkrętak, cęgi... wszelka broń, jakiej mógł użyć.

- Uh... - Cosmo przesunął dłońmi po kilku kieszeniach i wyjął paczkę. - Guma do żucia.

- Mogę napompować oponę i zakleić dziurę gumą. - Justice chwycił nóż introligatorski za osłonę i cichaczem wsunął go sobie do kieszeni. Wyprostował się, a jego cień rozciągnął się nad Cosmo. - Powinno wytrzymać kilka kilometrów. Ale musisz je naprawić w Tillamook.

- Nie ma sprawy. - Cosmo skinął głową, nieco uspokojony. - Na pewno nie chcesz skręta? Albo piwa? Nie jest zimne. Musiałem na chwilę zostawić moją kobietę z dziećmi. Afera. Wielka afera. Masz dzieciaki? Niemowlaki? -

Pokręcił głową, a długie loki pod jego opaską zafalowały. - Nic tylko płaczą.

Justice pomyślał o niemowlakach. O ciąży. O nienarodzonych. Ale się nie odezwał. Pochylił się i zaczął pompować koło, a Cosmo dokończył palić skręta, a później wziął gumę do żucia.

Przez cały czas myślał o upływającym czasie, o glinach... O Boże, czy już dotarli do szpitala i zaraz będą wracać? Ścisnęło go w żołądku i nakazał sobie się zrelaksować, próbował zachować spokój.

Ostrożnie wziął gumę i odszukał miejsce, gdzie znajdował się gwóźdź. Oblepił go dookoła gumą, cienką, nierówną linią. Może pomoże. Może nie. Chciał tylko zniknąć z tej drogi, i to szybko.

- Nieźle - powiedział Cosmo, uśmiechając się szeroko, kiedy oglądał niemal łysą oponę z jej różową łątką.

Justice znalazł się na samochodach. Na silnikach. Łódkach. Na dzieciach też się znalazł. Diabelskie nasienie. Jego nos nagle wypełnił się słodkim, zgniłym zapachem zdrady i oszustwa, zapachem, który stawał się coraz bardziej intensywny. Jedna z nich była blisko. Ta, która go słyszy i odpycha! Wszystkie mają tę przeklętą zdolność, a ta... była blisko.

Dostał gęsiej skórki i stracił kontakt z rzeczywistością, usiłując przywołać jej obraz...

Ocknął się szybko

Pośpiesz się! Marnujesz czas!

- Moja kobieta wściekła się na mnie ciężko, bo powiedziałem: „Nie możesz mu zamknąć paszczy?” Trochę podle, zgoda, ale ona wpadła w szał. Wyrzuciła wszystkie moje ciuchy za drzwi. No to wzięłem furgonetkę i te wszystkie dziecięce Marnoty i po prostu pojechałem w cholerę. Kocham ją. I dzieciaki. Ale to było wkurzające. Pracujesz w szpitalu? - mówił Cosmo.

Justice znów znalazł się na grząskim gruncie. Cholera. Skinął pośpiesznie głową.

- W pogotowiu.

- Tak? Jak facet, którego masz kurtkę? Hm.

Justice się spał. Cosmo zaczynał składać wszystko do kupy.

- Tak, pracujemy w tej samej firmie.

- No to... co tu robisz?

- Łapię stopa. Sam mam problemy z kobietą - zaimprovizował znów, mając nadzieję, że poruszy w mężczyźnie czułą strunę.

- Aaa... - Chyba starał się dodać jeszcze to do układanki, ale jednak coś mu nie pasowało.

- Długo nie wytrzyma. - Justice spojrzał na koło.

- A do Tillamook?

- Zależy od tego, jak szybko ujdzie powietrze.

- No dobra, wsiadaj - powiedział nagle Cosmo, jakby sam sobie zwrócił uwagę, że darowanemu koniowi się w zęby nie patrzy. Kolejne z powiedzonek Maddie. Boże, dlaczego akurat ona przychodzi mu dzisiaj na myśl? Cosmo wrzucił skrzynkę na tył vanagona i zatrzaskał drzwi. - Szkoda dnia. Ruszajmy. - Poszedł na przód volkswagena i wsunął się za kierownicę.

Kiedy Justice usiadł w fotelu pasażera i uchylił szybę, dusząc się od ciężkiego zapachu marihuany, Cosmo odpalił silnik tego mniej niż niepozornego samochodu.

Po kilku sekundach znaleźli się na drodze, podskakując, bo, jak się okazało, amortyzatory też były zepsute. Justice w myśli odliczał sekundy. Kiedy ludzie z biura szeryfa będą wracać? Na pewno domyślili się, którądy pojechał, kiedy z długiego podjazdu Halo Valley zjechał na dwupasmową drogę, która łączyła Willamette Valley z wybrzeżem.

Wiedział, że na zniknięcie ma niewiele czasu. Najlepiej byłoby, gdyby skierował się na wschód, w stronę Salem, ale nie znał za dobrze tego regionu. Bardziej znajome mu było wybrzeże w Oregonie. Ziemia była tu stepowa, a nad

huczącą kipiela wznosiły się strome klify, porośnięte setkami akrów starych lasów, z ukrytymi jaskiniami, które Pacyfik wydrążył w skałach wybrzeża.

Było tu wiele miejsc nadających się na kryjówkę.

A, co ważniejsze, była tu ona.

Kiedy podróżowali, wyczuwał zmianę... łagodną zmianę świata... nastąpiła chwila, kiedy zagłębił się w sobie i pozwolił, żeby zawładnęły nim zmysły, żeby jego cielesna powłoka otworzyła się na jego prawdziwe „ja”.

Jest ich tyle. Tyle.

Nie możesz zabić ich wszystkich - ostrzegła mnie staruszka, a ja wtedy mało nie udusiłem jej za to, że mi nie uwierzyła! Mogę. Zabiję - powiedziałem. Bóg je ocali...

Ale one nie słuchają Boga. Ich mistrz pochodzi z czarnych piekielnych otchłani. Szatan jest ich bratnią duszą. Ich kochankiem. Ojcem ich dzieci. Ich ojcem!

Nie mogę się doczekać, żeby wykonać bożą wolę i wypełnić moją misję na tym świecie.

Najważniejsze są te poza murami. Jedna w pobliżu... i blisko staruszki, która wbrew wszystkiemu, przeżyła. Moim obowiązkiem jest zakończyć jej męki. Droga, droga matka.

- Ej. - Głos Cosmo jakby dobiegał z oddali.

Justice otworzył oczy i zobaczył przed sobą światła, bo zbliżyli się do miasteczka Tillamook. Poczł, że koła vanagona toczą się niepewnie, wyczuł znajomy zapach bydła z pobliskich farm mlecznych. Miasteczko położone było na południowym krańcu zatoki Tillamook i znajdowało się właściwie daleko od oceanu. Był bliżej celu, czuł się ożywiony, końcówki jego nerwów były wyraźnie pobudzone.

- Zasnęles, ale jakby z otwartymi oczami. Przerażające. -Cosmo zerknął na niego i się uśmiechnął.

Justice cieszył się z narkotyku, który najwidoczniej spowolnił percepcję Cosmo.

- Daliśmy radę - dodał Cosmo. - Ale opona chyba jest już do niczego. Muszę podjechać do jakiegoś warsztatu. Boże, może powinienem zadzwonić do mojej starej. Jest trochę nerwowa.

- Nie dzwoń do niej.

Cosmo skierował vanagon na południe, na drogę 101, która prowadziła przez sam środek Tillamook. Justice chciał się udać na północ, ale nie był jeszcze na to gotowy.

- Chłopie, ty mi udzielasz sercowych porad? - Cosmo znów spojrzał na niego, a jego lennonki zamigotały w blasku ulicznych świateł.

Justice zastanawiał się chwilę i dostał gęsiej skórki, kiedy myślami zanurzył się w swojej nagiej duszy. To był jego kamuflaż. Wiedział już, że będzie musiał zabić Cosmo i ukryć jego ciało, żeby, kiedy jego furgonetka zostanie odnaleziona, nie został po nim ślad. Przypomniawszy sobie, czego dotyczyła. Pompka. Lewe tylne koło. Klamka drzwi pasażera, skrzynka z narzędziami, młotek...

- Jedź dalej - powiedział Justice, kiedy Cosmo zerknął w stronę stacji benzynowej na południowym krańcu miasta, która wyglądała prawie na porzuconą. Tablica z fluorescencyjnymi światłami migotała, a czerwony pas wymalowany na zadaszniu nad dystrybutorami paliwa wyblakł i się łuszczył.

- Daleko nie zajedziemy - oznajmił Cosmo, nie zwracając na niego uwagi.

Podjechali na stację i Cosmo opuścił szybę pod dziwnymi, mrugającymi światłami. Po, jak się wydawało, całych wiekach z biura wyszedł nastolatek, który najwyraźniej pełnił dyżur sam.

- Tankujecie? - wrzasnął, marszcząc czoło, jakby nie widział zbyt dobrze.

- Mamy dziurę w kole - krzyknął do niego Cosmo.

- Nie mogę wam pomóc, jeżeli nie zatankujecie.

- Cholera.

- Jedź z powrotem na drogę - powiedział cicho Justice, chociaż ledwie panował nad nerwami. - Napompuję je jeszcze raz.

- Przecież możesz wysiąść i napompować teraz.

- Nie.

- Co jest? - Cosmo obrzucił go badawczym spojrzeniem. Justice pomyślał, że być może nie jest tak tępy, na jakiego wygląda. Tak czy owak, przypieczętował swój los.

- Jedź na drogę - powtórzył, a Cosmo, wznosząc ramionami, wjechał na ciemną stojadynkę w kierunku na południe, ciągnącą się przez pola. Od głównej drogi odchodziło wiele wąskich, bocznych dróg, zarówno na wschód, jak i na zachód. Były

to właściwie ścieżki, wijące się przez pola i zarośla na pogórzu Coast Range. Były rzadko uczęszczane, samochód może tam stać niezauważony w nieskończoność. Idealnie.

- Jedź dalej. - Justice niemal z namaszczeniem chwycił palcami nóż introligatorski, który wcześniej wsunął do kieszeni.

- Kopiesz sobie grób - powiedział Cosmo, nieświadomy ironii swoich słów.

Rozdział 5

Harrison wjechał na parking szpitala Ocean Park z duszą na ramieniu. Przed wejściem stała furgonetka Kanału Siódmego, a Pauline Kirby i jej ekipa szykowali się do nagrywania materiału na temat zbiega. Po drodze przypomniał sobie nazwisko psychopaty - Justice Turnbull, a Geena Cho niechętnie potwierdziła.

- Nie słyszałeś tego ode mnie - powiedziała przez telefon. - Ale teraz jesteś moim podwójnym dłużnikiem. Bingo. Szaleńcem, który uciekł, był Justice Turnbull.

Zerwał się wiatr, a idealnie ułożone włosy Pauline rozpaczliwie usiłowały wymknąć się z fryzury, ale w światłach parkingowych stylistka spryskała jej głowę czymś, co podziałało jak klej przemysłowy, bo ciemne kosmyki przylgnęły jej do głowy i tak już zostały.

Harrison nie miał zamiaru zadawać się z Pauline. Zresztą nie był pewien, czyby go poznała. Byłby bezpieczny, gdyby nie wrzawa, jaka się rozpętała po tym, jak oskarżył współnika Manny'ego

o jego śmierć. Potem dziennikarskie sępy zwróciły się przeciwko jednemu ze swoich. Przeciwno niemu. A na ich czele stała Pauline. Pamiętał wycelowane w niego mikrofony i jej wargi, odsłaniające idealnie równe, białe jak śnieg zęby i jej kpiący uśmiezek, który różnił się o ton od szczerzego uśmiechu.

Czy ktoś ją lubi? - zastanawiał się, wysiadając z chevroleta. Może człowiek nie potrzebuje sympatii, dopóki ma wysokie notowania. Ona na pewno była wszędzie tam, gdzie coś się działo i wygrywała rywalizację dzięki temu, że była despotyczna, w jego stronnictwej opinii.

Nie było już tak ciepło, jak wcześniej, gdy siedział przy kawiarnianym stoliku. Nie pomyślał o tym, żeby wziąć kurtkę, która

na wybrzeżu jest nieodzowna, i drżał, idąc z pochyloną głową, wzrokiem wbitym w asfalt, starając się uniknąć kontaktu z Pauline.

Jej jasne oczy namierzyły go. Nie zauważył tego, ale wyczuł. Miał nadzieję, że wygląda jak szpitalny gość, ale z każdą minutą robiło się coraz później. Godziny wizyt dawno minęły.

- Hej! - krzyknęła.

Harrison przyspieszył kroku. Jeżeli uda mu się wejść do środka, da radę uciec. Nie jest jej potrzebny do tego zlecenia. Nie bierze w nim udziału.

Pauline miała nosa do tematów i węszyła wokół niego. Co prawda, on nie należał do badaczy wątku Justice'a Turnbulla, ale Pauline nie zaliczała się do tych, którzy pozwalają, żeby cokolwiek im umknęło.

Zrobiła kilka kroków w jego stronę, ale on szedł dalej. Widział ją kątem oka. Zdażył zniknąć za rozsuwającymi się szklanymi drzwiami i szedł dalej, jakby wiedział, dokąd się kieruje. Zwykle nie był takim cykorem, ale nie chciał mieć do czynienia z Pauline Kirby, która posunęła się do tego, żeby pokazać jego twarz w głównym wydaniu wiadomości o jedenastej, uniemożliwiając mu prowadzenie dochodzeń teraz i w przyszłości. Sam miał dość rozgłosu wokół swojej siostry.

Znalazł się na szpitalnym korytarzu podobnym do tysiąca innych szpitalnych korytarzy: lśniące linoleum na podłodze, fluorescencyjne oświetlenie, chemiczny zapach, przywodzący na myśl procedury i leki, który przyprawił go o lekki niepokój. Nie miał pojęcia, z kim porozmawiać, kto mógłby znać sprawę. Ocean Park nie był wielkim szpitalem, miał zaledwie dwa piętra, chociaż mógł sprawiać wrażenie większego, bo rozciągał się na powierzchni prawie dwóch hektarów.

Harrison gwałtownie odwrócił się na pięcie i skierował się z powrotem tam, skąd przyszedł, bo zorientował się, że poszedł w złą stronę, oddalając się od oddziału ratunkowego, gdzie bez wątpienia rozgrywała się cała akcja. Jeszcze raz minął recepcję, rzucił przelotne spojrzenie w stronę drzwi przesuwanych, tak że akurat zdażył zobaczyć Pauline, jak wychodzi na zewnątrz, wprost w ostre światło kamery i zaczyna mówić do mikrofonu.

W izbie przyjęć kilka osób czekało na udzielenie pomocy: popłakujące dziecko z bezwładną ręką, tulone przez matkę, starszy mężczyzna, który ledwo siedział w wózku inwalidzkim, opanowana

kobieta z krwawiącą prawą dłonią. Harrison widział ścięgna i mięśnie, które wyglądały, jakby ledwie trzymały się na kciuku. Zagadnął pielęgniarkę.

- Jestem Harrison Frost z „Seaside Breeze”. Z kim mógłbym porozmawiać o ofiarach przywiezionych z Halo Valley, pani Solano? - spytał, spoglądając na jej identyfikator.

Wydawało mu się, że miała ochotę powiedzieć mu, żeby spadał. Ale zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i nagle chyba straciła ochotę, żeby go odpędzić.

- Nie jest pan z Kanału Siódmego? Pokręcił głową.

- A to źle czy dobrze?

- Dobrze. - Uśmiechnęła się lekko. - Są jak kolec w mięśniu pośladkowym wielkim.

- Nawet wiem, co to jest.

- Mamy tu trochę roboty - powiedziała, rozglądając się.

- Nie będę wchodził w paradę.

- To pewnie kłamstwo, ale niech pan idzie ze mną. I proszę, cokolwiek pan napisze, niech pan nie podaje mojego nazwiska, dobrze?

- Jasne. - Poszedł za nią, a ona po drodze skierowała jednych pacjentów z poczekalni do właściwego lekarza, innych zapewniła, że zaraz ktoś się nimi zajmie. Skinęła na Harrisona, przesuwając się do miejsca tuż za drzwiami izby przyjęć. Stamtąd było dokładnie widać długi podjazd, na który kierowały się przyjeżdżające karetki.

- Co chce pan wiedzieć? Za dużo nie mogę powiedzieć.

- O której godzinie przyjechała karetka z Halo Valley? Zawahała się.

- To będzie na billingu, to był telefon pod 911.

- W porządku. Około ósmej. Może ósma trzydzieści.

- I były dwie ofiary: kierowca karetki i jeden z lekarzy.

- Kierowcą karetki był właściwie jeden z naszych sanitariuszy. Dostał polecenie, żeby odebrać pacjenta z Halo Valley i przywieźć go tutaj.

- Ale w Halo Valley został zaatakowany.

- Tak. - Wyglądała tak, jakby się przez chwilę zastanawiała.

- Co się stało z karetką?

- Nie wiem. Pewnie ciągle tam jest. Conrad na pewno nią nie przyjechał.

- Conrad?

- Mówiłam panu, nie mogę podawać nazwisk - wycofała się szybko, rzucając mu błagalne spojrzenie.

- Przypuszczam, że Pauline Kirby zdobyła już większość z nich - zwrócił jej uwagę Harrison. - Jej ekipa najpierw pojechała do Halo Valley. Na pewno przeprowadziła już wywiady z personelem szpitala i pracownikami biura szeryfa.

- Chyba tak.

- Chcę się tylko dowiedzieć kilku szczegółów do mojego artykułu - przyznał. - Nie mam zamiaru wpędzać pani w kłopoty.

Spojrzała na niego spod długich rzęs.

- Dobrze...

- Wiem, że ofiary zostały zaatakowane przez jednego z pacjentów Halo Valley. Tego samego, który grasował w tej okolicy kilka lat temu, zabił kilka kobiet. Zaatakował własną matkę i...

- To on? - Jej twarz pobladła.

- Pamięta go pani?

- A kto nie pamięta? Terroryzował całą okolicę! - Była wyraźnie wstrząśnięta. - A wy, dziennikarze, stwierdziliście wtedy, że miał coś do kobiet z sekty.

- Sekta - powtórzył Harrison, przypominając sobie. Zgadza się. Musiałby dostać się do komputera i zalogować się do Internetu, żeby odświeżyć sobie pamięć o wydarzeniach sprzed kilku lat.

- Wiem, że kilka zabił - przerwała, marszcząc czoło i zagryzając wargę, kiedy sobie przypominała. Teraz nie wydawała się już taka zmartwiona tym, że rozmawia z Harrisonem. - Hm, złapali go w motelu, który do tej pory jest zabity deskami.

- Pamięta pani nazwę tego motelu?

- Chyba... Nie wiem. Zdjęli sztyl. To ta rudera zaraz za Deception Bay. Na klifie nad wodą. Już wtedy był ruiną, a od tamtej pory jest zamknięty. Jak latarnia morska. Wie pan, ta, w której mieszkał ten psychopata.

- A, tak. Latarnia morska. - Harrison skinął głową, przypominając sobie całą historię.

- Ona też jest zabita deskami. Odkąd go złapali, wstęp do latarni jest zabroniony, nie żeby wcześniej nie był... - W jej oczach pojawił się strach. - Jest bardziej stuknięty niż rozbity samochód. Naprawdę przerażający facet.

Tyle Harrison pamiętał.

- Jak duże są obrażenia mężczyzn, których zaatakował?
- Dość rozległe. Conrada uderzył w głowę, a lekarzowi wbił długopis w gardło.
- Czy to był jego lekarz? Ten, którego zaatakował?
- Nie wiem.
- Są teraz w sali operacyjnej?
- W pooperacyjnej. - Odsunęła się od ściany. - Będzie mnie pan cytował? - spytała, rozdarta pomiędzy podnieceniem a niepokojem. Piętnaście minut sławy lub utrata pracy. - Niech pan pamięta, proszę, żeby nie podawał pan mojego nazwiska.

Harrison skinął pośpiesznie.

- A mógłbym po prostu powiedzieć: informator ze szpitala?
- Tak, dobrze...

Pojawiła się inna pielęgniarka i przyglądając się pani Solano, ruszyła w ich stronę z ponurą miną.

- Carlita - warknęła.

Rzucając mu ostatnie błagalne spojrzenie, siostra Solano odeszła.

- W czym mogę pomóc? - spytała kategorycznie nowa pielęgniarka.

Odczytał nazwisko na jej identyfikatorze: Nina Perez.

- Nazywam się Harrison Frost...
- Z Kanału Siódmego? - przerwała.
- Nie.
- Poznaje pana - warknęła, jakby ją okłamał.
- Nie jestem z Kanału Siódmego.
- Ale...

Zanim zdążyła dokończyć, z izby przyjęć w ich stronę ruszył pędem lekarz. W fartuchu chirurgicznym, z rozczochranymi włosami, jakby przed chwilą zerwał z głowy czepek. Był wysoki, szczupły i miał kwaśną minę. Zachowywał się tak autorytarnie, że Nina Perez przerwała w połowie słowa, zamknęła buzię i odwróciła się do lekarza. - Gdzie Laura? - spytał kategorycznym tonem, przesuwał dłoń po włosach, próbując je ułożyć.

- Wyszła. - Siostra Perez wyraźnie się zjeżyła. - Jej zmiana się skończyła.
- No to niech wraca. Jesteśmy pod ostrzałem tych cholernych mediów, a jedzie następna karetka. Skończyłem dyżur.

- Wychodzi pan? Nie zaprzeczył.
- Kto ma dyżur w izbie przyjęć? - spytała, przerażona.
- Ktoś inny. - Był zmęczony i zarozumiały, jakby w ogóle go to nie obchodziło. Spoglądając z wyższością, jakby mówił: nie muszę ci odpowiadać, skierował się w stronę drzwi.
- Dupek - mruknęła pod nosem Perez ledwie słyszalnym szeptem.
- Chirurg? - domyślił się Harrison, kiedy zadufany w sobie facet zniknął.
- Ortopeda - powiedziała, zaciskając usta. Później, jakby zrozumiała, że mówi więcej, niż zamierzała, dodała: - Jest bardzo dobry w tym, co robi.

I obwieszcza to wszem wobec, dodał w myślach Harrison.

- Idzie do wyjścia, a tam na zewnątrz jest Pauline Kirby.
- Chyba o tym wie - zauważyła z przekąsem, a potem się odwróciła.

Harrison, który stwierdził, że akcja właśnie się przeniosła w inne miejsce, ruszył w stronę drzwi wejściowych, żeby zobaczyć, co się będzie działo.

Laura nie jadła kolacji, więc zrobiła sobie kanapkę. Pokrojone jajka na twardo, ogórki konserwowe, kapka majonezu na białym chlebie. Zdążyła ją ugryźć dosłownie dwa razy, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i zorientowała się, że to Byron. Nie chciała odbierać, ale dzwoniłby do skutku. Im bardziej go ignorowała, tym bardziej za nią latał.

- Tak? - odezwała się ostrożnie.
- Wracaj tu. Co robisz? Rozpętało się piekło.
- Jem kolację.
- Są tu dziennikarze. Ja zaraz będę rozmawiał z Pauline Kirby. Jedzie kolejna karetka. Czołowe zderzenie dwóch samochodów.
- Jeżeli będą mnie potrzebować w szpitalu, zadzwonią.
- Cholera, Laura, uruchom swój radar. Nie czekaj! - Rozłączył się.

„Radar” Laury była to jej osobliwa zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa. Był to tak naprawdę jej wewnętrzny alarm, który uruchamiał się, kiedy ktoś próbował dobijać się do jej mózgu. Czasami nie był to on. Czasami była to spanikowana

inna osoba, która jakimś cudem na milisekundę pokonywała jej bariery ochronne.

Zawahała się na chwilę, a potem wstała, owinęła kanapkę w plastikową torebkę i ruszyła do samochodu. Ze szpitala zadzwonili, kiedy wjeżdżała na drogę 101.

Doktor Byron Adderley stał z Pauline Kirby otoczony tłumem ludzi przed drzwiami wejściowymi do szpitala Ocean Park i była to miłość/nienawiść od pierwszego wejrzenia. Średnie zainteresowanie Harrisona zamieniło się w nieskrywaną radość, kiedy odpowiedzi Adderleya na pytania Pauline stawały się coraz krótsze. Stał obok recepcji i obserwował wszystko przez szklane szpitalne drzwi.

- Dowiedzieliśmy się, że pacjentem, który uciekł z Halo Valley jest Justice Turnbull, z tych okolic. - Pauline zakreśliła trzymanym w ręce mikrofonem łuk, wskazując okolicę, patrząc w kamerę, chociaż zwracała się do Adderleya. - Uciekł z zamkniętego szpitala Halo Valley - powtórzyła. - Jak pan myśli, jak to możliwe?

- Jestem chirurgiem ortopedą w szpitalu Ocean Park - odpowiedział lakonicznie Adderley.

- Ale z pewnością ma pan na ten temat jakieś zdanie, jako lekarz, który ma kontakt z ludźmi. Niepokojąca musi być świadomość, że tak łatwo można zostać „załatwionym” przez kogoś takiego jak pan Turnbull.

- Nie wiem.

- Rozumiem, że Justice Turnbull miał być przewieziony tutaj, na wizytę do internisty, ale zaatakował jednego z waszych kierowców i ukradł karetkę Ocean Park, która do tej pory nie została odnaleziona. Ten poszkodowany, kierowca, przeszedł dziś wieczorem operację, podobnie jak jeden z najlepszych lekarzy Halo Valley, zgadza się?

- Nie mogę wypowiadać się w imieniu Halo Valley. - Wargi Adderleya właściwie same go zdradzały. Chociaż wydawało mu się, że wywiad z Piranią Pauline jakoś pójdzie, nie był przygotowany na zderzenie z rzeczywistością.

- A w imieniu Ocean Park może się pan wypowiadać? - Jej uśmiech miał być łagodny, ale ta kobieta była niebezpieczna.

- Pracuję w tym szpitalu ponad rok. To wspaniała placówka.

- To znaczy?

- Że opieka tutaj jest... na najwyższym poziomie - wyjął.

- Doktorze Adderley, prawda jest taka, że gdyby Justice Turnbull dotarł dziś do pańskiego szpitala, nie miałyby znaczenia, czy opieka w szpitalu jest na najwyższym poziomie, czy nie. Miałyby pan w swoim szpitalu seryjnego zabójcę. - Odwróciła się od niego i spojrzała w obiektyw kamery poważnym wzrokiem. - Właśnie nad tym wszyscy się tu zastanawiamy. Czy jesteśmy bezpieczni? Nie tak dawno Justice Turnbull zabijał w tej okolicy, a Biuro Szeryfa Okręgu Tillamook postanowiło milczeć na ten temat, dopóki sprawa nie została zakończona. Dzisiaj, ostrzeżeni, co możemy zrobić, żeby zapobiec tej samej przerażającej sytuacji? Jak możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo? - Odwróciła się z powrotem do Adderleya, który próbował ukradkiem się odsunąć. - Czy szpital ma zamiar dzisiejszej nocy powziąć szczególne środki bezpieczeństwa?

- Nie mogę wypowiadać się w imieniu dyrekcji.

Pauline szybkim ruchem dłoni przed obiektywem kamery zatrzymała nagranie.

- Przecież powiedział pan, że może się pan wypowiadać w imieniu szpitala Ocean Park? - spytała, spoglądając groźnie na Adderleya.

- Skąd miałem wiedzieć, że zrobi pani z tego cyrk? - odparował. - Pani to nazywa dziennikarstwem? To oburzające i bezcelowe!

- Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że chciał pan oglądać swoją przystojną gębę w kamerze, dopóki nie zaczęły się trudne pytania, doktorze?

Adderley odszedł szybko, a Harrison wyszedł na zewnątrz i minął zwijającą się ekipę Pauline. Zauważyła go znowu i zmarszczyła brwi. Tym razem pozwolił jej dobrze się sobie przyjrzeć.

- Pan jest z „Portland Ledger” - powiedziała, pstrykając palcami. - Frost.

- Kirby - odpowiedział.

- Co pan tu robi? Węszy za kolejnym tematem? Przecież może pan sobie jakiś wymyślić.

- W tej kwestii radzi pani sobie całkiem nieźle - powiedział z półuśmiechem.

- Tak. Jasne. - Wzruszyła ramionami. - Prawdziwy temat był w Halo Valley. My po prostu badamy sprawę, a ten dupek

zachowywał się jak dyrektor. Mnie chodziłoby o kogoś z charyzmą, kto wypadłby dobrze przed kamerą i kto przekazałby prawdziwe informacje, a przynajmniej opinie.

Kamerzysta Pauline nagle podszedł do niej i szepnął jej coś na ucho.

- Chcesz nagrać ją? - zasugerował.

Harrison odwrócił się i oboje zauważyli szczupłą, ciemnowłosą kobietę w fartuchu pielęgniarki, która właśnie zamknęła samochód i kierowała się w ich stronę przez kałuże światła lamp sodowych, zwalniając kroku na widok ekipy telewizyjnej. Sprawiała wrażenie niezdecydowanej.

- Pryśnie w stronę izby przyjęć - powiedział kamerzysta.

- Ja temu zaradzę! - Pauline znów polowała, z mikrofonem wycelowanym jak AK-47. - Włącz z powrotem tę cholerną kamerę, Darrell!

Rozdział 6

W głowie Laury kłębiły się wizje przyszłości. Co zrobi z dzieckiem? Co to oznacza dla jej związku z Byronem?

Jak mam uratować moje dziecko? Jak mogę uchronić ją przed Justice'em?

Może nie będzie to dziewczynka, ale w rodzinie Laury rodziło się osiem dziewczynek na dwóch chłopców I, z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny, a może po prostu z powodu pecha i pogmatwanej historii jej rodziny, dzieci płci męskiej, które przeżyły poród, zwykle umierały przed osiągnięciem dojrzałości.

Dlatego w umyśle Laury to dziecko, to, o którym dowiedziała się zaledwie kilka godzin temu, było dziewczynką. Zaparkowała zielone subaru, zamknęła drzwi i wyszła w ciemną noc. Chłodne palce wiatru objęły ją w chwili, kiedy wyjąca karetka wjechała na podjazd prowadzący na oddział ratunkowy. Odwróciła się od wyjącego alarmu i skupiła się na ekipie telewizyjnej. Widziała ich, podjeżdżając, ale tak naprawdę nie sądziła, że mogą do niej podejść. Ale kiedy odwrócili głowy od karetki, spojrzeli w jej kierunku.

Cholera.

Pomyślała o Justisie... i o kamerach telewizyjnych... i swojej twarzy na ekranach telewizorów w całej okolicy... i przeszył ją dreszcz do szpiku kości. Nie. Ma. Mowy.

- Przepraszam! - W stronę Laury krokiem tak szybkim, że niewiele różnił się od biegu, zbliżała się sama Pauline Kirby.

Laura starała się stłumić w sobie chęć ucieczki. Stała nieruchomo a Pauline podtykała jej mikrofon, światła kamery ją oślepiły.

- Nie mogę odpowiedzieć na pani pytania - powiedziała, odwracając głowę.

- Szukam informacji o pechowych ofiarach Justice'a Turnbulla, o państwa ochroniarzu, Conradzie Weiserze i doktorze Maurisie Zellmanie.

Laura kątem oka dostrzegła postać znajdującą się w cieniu kamer, która zmierzała w jej stronę.

- Informacje o pacjentach szpitala Ocean Park są objęte tajemnicą. - Odwróciła się. Przy odrobinie szczęścia, nie będą mieć powodu, żeby pokazać ją w telewizji.

- Ale zostali przywiezieni tu karetką i przeszli operacje.

- Przykro mi. Nie mogę rozmawiać na temat pacjentów. Muszę iść. - Już była odwrócona tyłem do nich i odchodziła.

- Chcemy tylko uzyskać informacje na temat ich stanu! -krzyknęła Pauline. - Justice Turnbull jest nadal na wolności! Myśli pani, że znów będzie na nich polował?

- Nie - odpowiedział władczy męski głos.

Laura nie zwalniała, ale dostrzegła, jak doktor Dolph Loman, siwowłosa, dobrze po osiemdziesiątce, emerytowany ortopeda, którego zastąpił Byron, wchodzi w pole kamery. Był postawnym mężczyzną z jasnoniebieskimi oczami i prostymi plecami, czym się szczycił, chociaż czasami, od niedawna, widywała go z laską.

Nie lubiła go ani trochę.

Ale cieszyła się i czuła ulgę, że odwrócił od niej zainteresowanie i że mogła szybko dostać się do drzwi oddziału ratunkowego, przed którymi właśnie zatrzymywała się karetka z migającym kogutem i milknącą syreną.

Usłyszała, że Pauline przesłuchuje Lomana.

- Może pan się wypowiadać o pacjentach? - spytała.

- Nazywam się Loman - przedstawił się, a jego głos cichł, kiedy Laura oddalała się od ekipy telewizyjnej. -

Pracowałem w Ocean Park przez prawie pięćdziesiąt lat. Siostra Adderley

ma rację. Stan zdrowia pacjentów jest chroniony tajemnicą i nie wolno o nim bezmyślnie rozgłaszać w telewizji.

- Adderley? - Głos Pauline był cichy i odległy. Laura przyspieszyła kroku. - Wcześniej rozmawialiśmy z doktorem Byronem Adderleyem.

- Szpital Ocean Park jest wyróżniającą się placówką... - Głos Lomana za nią zamienił się w mamrotanie. To była zbyt duża ilość informacji. Zbyt wiele danych. Myśl o tym, że Pauline puści w eter chociażby ich część przyprawiła Laure o dreszcz.

Druga karetka, jeszcze niewidoczna, zbliżała się na sygnale. Wjechała na podjazd, kiedy Laura kierowała się do rejestracji oddziału ratunkowego. Jako pielęgniarka pracowała tam, gdzie była potrzebna, a dzisiaj, z powodu wypadku, pewnie będzie miała dyżur na oddziale ratunkowym.

Obok niej pojawił się wysoki mężczyzna, musiała podnieść głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Cześć. - Jego jasnobrązowe włosy były długie i lekko zmierzwione, popołudniowy zarost pokrywał mocno zarysowaną, niezwykle męską szczękę. Miał orzechowe oczy i przyjacielski uśmiech. Zbyt przyjacielski, pomyślała w jednej chwili. Wyglądał trochę znajomo i to wzbudziło w niej czujność.

Nie był to Justice, ale może ktoś, kogo znała...

- Nazywam się Harrison Frost - przedstawił się, wyciągając rękę. Zignorowała ten gest, nagle mu nie ufając, chociaż nie wiedziała jeszcze dlaczego.

Opuścił dłoń.

- Poradziła sobie pani z Pauline jak profesjonalistka. - Znowu uśmiech, błysk białych zębów, wesołość w oczach. - Często ucieka pani przed wywiadami?

- Kim pan jest?

- Harrison...

- Nazwisko poznałam - ucięła. - Pytam o to, co pana tu sprowadza.

- Temat - powiedział bez wahania.

- Ach... - Skłoniła głowę i chciała go minąć, ale zastąpił jej drogę. - Pan i pańska ekipa musicie sobie znaleźć kogoś innego do wywiadu.

- Nie jestem z Kanału Siódmego. Pauline Kirby nie obchodzi to, z kim przeprowadza wywiad ani co mówi, liczy się tylko

to, żeby rozmówca dobrze się prezentował na wizji. Pani dobrze się prezentuje na wizji.

- Ale mnie nie pokażą - powiedziała szybko. - Niczego nie powiedziałam.

- Nie wiadomo.

- Nie. - Laura była nieugięta.

- Wygląda pani bezbrinnie. I ładnie.

- Proszę... niech pan nie próbuje mnie łapać na komplementy, dobrze? - Nie odpowiedział. - Więc mamy jasność.

- Dobrze. - Skinął głową i zmierzył ją wzrokiem. - Zanim pojawił się Herr Loman, Pauline dałaby pani piętnaście minut sławy i jeszcze trochę. Nie miałyby znaczenia to, co pani powiedziała. Może pani dziękować pocziwemu doktorowi, że panią wybawił, bo chyba tego pani właśnie chciała. - Spojrzał na nią z bliska.

- Dla kogo pan pracuje?

- „Seaside Breeze”.

Teraz Laura obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Tego „Breeze”? Skinął głową.

- Jest pan dziennikarzem lokalnej prasy? - Nie zadawała sobie trudu, żeby ukryć sceptycyzm.

- Szaleniec zabójca Justice Turnbull ucieka ze szpitala psychiatrycznego, rani dwie niewinne osoby, z których jedną jest jego własny psychiatra. To jest temat. Lokalna gazeta też potrzebuje sensacji.

- Lokalna gazeta jest tworzona przez... hm, miejscowych. - Zmrużyła oczy z namysłem. - Jest tu pan z innego powodu. I gdzieś już pana widziałam.

- Tak, możliwe - przyznał. - Zaczyna pani dyżur? Możemy się spotkać później?

- Nie.

- Nie, nie zaczyna pani dyżuru?

- Nie, nie spotkam się z panem później. Proszę... - Uniosła dłonie, prosząc, domagając się większej przestrzeni. Był to wystarczająco feralny dzień, a ona nie chciała, żeby ten facet, ten dziennikarz o seksownym wyglądzie, z wyćwiczonym urokiem i niekończącymi się pytaniami przedłużał te i tak już długie godziny. - Niech pan odejdzie - poprosiła z irytacją w głosie. - Mamy za mało personelu i wezwano mnie do pomocy. To wszystko.

- Więc nie pracuje pani na całą zmianę.

- Panie Frost...

- Może mógłbym porozmawiać z pani mężem? Widziałem, jak wcześniej odpowiadał na pytania Pauline.

Byron. Super. Robi się po prostu coraz ciekawiej. Laura nie trudziła się kolejną odpowiedzią. Skończyła z mediami tak jak z byłym mężem. Do szklanych drzwi podeszła siostra Perez i, widząc Laurę, skinęła na nią.

Nie potrzebowała innego zaproszenia.

Harrison obserwował, jak Laura Adderley właściwie od niego odskakuje, jakby uciekała od piekielnych bram. Był przyzwyczajony do tego, że jest odpędzany, to było wpisane w jego zawód. Nie był właściwie pewien, dlaczego chciał rozmawiać z tą pielęgniarką, poza tym że się mu podobała. Wyglądała świeżo, poważnie, i, owszem, bezbrannie. Dostrzegł to wszystko, kiedy wpadła w łapy Pauline, i zrobiło na nim wrażenie to, jak sobie sprytnie poradziła. Punkt dla Laury Adderley.

Może Adderley jest jej bratem. Albo zbieżność ich nazwiska jest wyłącznie przypadkowa?

Jasne, akurat. Zauważył, że się spięła, kiedy powiedział nazwisko Adderley. Byli ze sobą związani. Jakoś.

Teraz patrzył, jak skręca za rogiem. Jej zgrabna figura ukryta była pod fartuchem i kurtką, ciemny kucyk kręcił się lekko i podskakiwał pomiędzy jej łopatkami. Dostrzegł błysk inteligencji w dużych niebieskich oczach, zauważył kilka drobnych piegów na prostym nosie, kiedy spojrzała na niego gniewnie.

Czyżby naprawdę była żoną takiego nadętego dupka, jakim był chirurg ortopeda?

Poszedł za nią. Bardziej zaciekawiony nią niż tematem.

Na oddziale ratunkowym panowało poruszenie. Łóżka na kółkach terkotały, wioząc rannych ludzi. Krew, maski tlenowe, kroplówki, pielęgniarki i lekarze, wśród nich Laura Adderley, przemieszczali się pośpiesznie. Były też jęki. A jedna kobieta wydawała z siebie bulgoczący krzyk, od którego włoski na rękach stanęły mu dęba, a siedząca para przysunęła się bardziej do siebie.

Harrison nigdy nie lubił szpitali, zwłaszcza oddziałów ratunkowych. Ostatni raz był w szpitalu, kiedy umierał Manny,

a Kirsten dotykała czoła męża i szeptała do niego: „To nic. To nic. Wyzdrowiejesz. To nic. To nic...”. Ale nie miał wyzdrowieć. To nie było „nic”. I chociaż Kirsten i Didi poszły naprzód, przeprowadziły się na wybrzeże i kupiły dwupokojowy domek z mikroskopijnym widokiem na błękitną wodę, a Kirsten dostała pracę w miejscowej herbaciarni i jej dochody zasilala dodatkowo wypłata z ubezpieczenia na życie, a Didi znalazła przyjaciół w miejscowym przedszkolu i wszystko szło jak z płatka, z koronkami, pędami lucerny i zieloną herbatą -zupełnie nowe życie, Harrison nie mógł pójść dalej. Z początku nawet usiłował powstrzymać Kirsten przed wyjazdem, a potem sam pojechał za nią na wybrzeże.

Ale był taki czas, kiedy kopał bezustannie, nie zważając na to, jak to szkodziło jego karierze. Jego upór i obsesja sprawiły, że stanął pod prąd wobec innych tropicieli newsów i znalazł się przed kamerami Kanału Siódmego, gdzie Pauline zadawała mu trudne pytania.

Dlaczego jest tak pewny, że to było morderstwo?

Czy zabójca nie zaczął strzelać? W kolejce do klubu nocnego?

Dlaczego Frost jest pewien, że był to spisek?

Czy Bill Koontz i Manuel Roj as nie byli przyjaciółmi?

Czy Bill Koontz nie był przyjacielem wielu polityków z Portland?

Czy to możliwe, że on, Harrison Frost, po prostu nie może się pogodzić z tym, co się stało, i być dziennikarzem śledczym, a zamiast tego draży temat, który nie istnieje?

Czy nie zajmuje się karaniem zamiast dziennikarstwem?

Cóż... nie. Temat istniał. Ale był jedną ze spraw, które Harrison musiał na chwilę odłożyć. W centrum uwagi znalazł się on i jego tak zwana zemsta, więc Harrison musiał trochę odczekać, potrzebował nowego planu, żeby dotrzeć do prawdy, dowiedzieć się, co naprawdę się wtedy stało. Zachowywał się wtedy jak słoń w składzie porcelany, i dopiero kiedy sama Kirsten poprosiła go, żeby sobie odpuścił, przestał atakować Billa Koontza. Mogli go zwolnić, ale nie mogli go powstrzymać. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, dotrze do prawdy. I do diabła z nimi wszystkimi.

Ale na razie miał bogatych nastoletnich złodziei i ucieczkę psychopaty Justice'a Turnbuła.

Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta.

Gdzie jesteś, Justice? - zastanawiał się Harrison. Jaki masz plan?

Detektyw Langdon Stone z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook rzucił okiem na policyjne samochody, które ciągle stały przed podwójnymi drzwiami szpitala Halo Valley, prowadzącymi do części A, jak nazywali ją pacjenci i personel, części szpitala, gdzie byli leczeni zwykli pacjenci. Nie było to jego ulubione miejsce. Nigdy. I nigdy nie będzie. Ale fakt, że kobieta, którą kochał, pracowała tu jako lekarz, pomagał mu spoglądać na demony związane z tym miejscem z odpowiedniej perspektywy.

Tkwili tu już od kilku godzin, zdążyło zrobić się ciemno. Połowa personelu biura szeryfa pognęła do zamkniętego szpitala Halo Valley, jakieś trzydzieści minut od centrum Tillamook, czterdzieści pięć od miasteczka Deception Bay, w którym kiedyś mieszkał Justice Turnbull i w którym nadal znajdował się dom zamieszkały przez kobiety z Kolonii. Połowa funkcjonariuszy na służbie zebrała się na parkingu z tyłu szpitala przed częścią B, w której osadzeni byli prawdziwi psychopaci, przestępcy. Druga połowa jego biura znajdowała się z powrotem na drodze, kierując się w stronę wybrzeża, bo nikt nie wierzył, żeby Justice uciekał w głąb łądu, do Salem i Willamette Valley.

Poza dżipem Stone'a znajdowały się tu jeszcze dwa inne samochody patrolujące. Detektyw Langdon Stone, który miał awersję do Halo Valley, chociaż cały czas pracował nad tym, żeby ją przewyciężyć, stał ze swoim partnerem Fredem Clausenem i z kobietą o kasztanowych włosach w mundurze biura szeryfa, Savannah „Sawy” Dunbar, która wypracowała sobie stanowisko detektywa. Było tu także dwóch innych funkcjonariuszy, Burgh-smith i Delaney.

- Kto, do cholery, wpadł na pomysł, że Justice'a Turnbulla może wyprowadzić jeden strażnik? - mruknął po raz piąty Lang.

- Jego główny lekarz - odpowiedziała spokojnie Sawy po raz piąty.

- Zellman ma kompleks Boga - warknął Lang.

- I przez niego wylądował na chirurgii w Ocean Park - zauważył Burghsmith.

- Porozmawiam z nim, jak tylko będzie mógł mówić - oznajmił Lang.

- O ile będzie mógł - odpowiedział Clausen.

Lang spojrział w stronę drzwi wejściowych do części A. Jego narzeczona, doktor Claire Norris, psychiatra, pracująca w części A, spotkała się z nim wcześniej, wraz z kilkoma innymi lekarzami, sanitariuszami i pielęgniarkami z części B. Wszyscy byli wystraszeni. Justice Turnbull nie był małym problemem. Ale nie było tu już czego szukać. Ptaszek wyfrunął, jeżeli można tak powiedzieć.

- Wracamy do kwatery? - zasugerował Delaney.

- O tej porze wszyscy już powinniśmy być po służbie - stwierdził Lang, spoglądając w czarne niebo.

- Ja nie idę do domu - powiedział Clausen, któremu zawtórował chór głosów kolegów, z których żaden nie miał najmniejszego zamiaru czekać do rana, żeby ścigać zbiega.

- Może wpadniemy na niego w drodze powrotnej do Tilla-mook - mruknął bez przekonania Lang.

- Nie powinno być trudno go znaleźć - zauważyła Sawy. - Jest w szpitalnej karetce i w szpitalnych ciuchach.

- Gdzie jest karetka? - zapytał Lang.

- Zakładam się, że w godzinę ją znajdziemy - powiedział Burghsmith.

Clausen chrząknął.

- Żadnego z was nie było tu ostatnim razem. Facet jest wyjątkowym psychopatą klasy A. Nigdy nie było go łatwo znaleźć. A nawet jeżeli go znajdziemy, trudno będzie go złapać. Jest cwany. I dziwny.

I śmiertelnie niebezpieczny, pomyślał Lang, ale nie powiedział tego głośno.

I tak wszyscy wiedzieli.

Rozdział 7

Słońce wylaniało się na wschodzie. Kolory świtu sprawiały, że można było pomyśleć, że wschodzi na zachodzie - płonąca kula, która zaraz miała wystrzelić w niebo nad Pacyfikiem. Było to kłamstwo, trik, fenomen, którego Justice nie oglądał ponad dwa lata, a teraz wpatrywał się w niego zachłannie. Ocean... Pacyfik, który ciągnie się w nieskończoność... dotykał jego serca i pociągał. Zawsze tak było.

Nagle pojawiło się wspomnienie, które podkraǳło się do niego jak złodziej.

Był dziwnym dzieckiem. Wszyscy tak mówili. Ona zaciągała go co pewien czas do sekty, ale one na niego nawet nie spojrzały. Zaciągnęła go przed tę niegodziwą sukę z blond włosami i fałszywym uśmiechem, która z odrazą oznajmiła: „odmieniec”, kiedy omiotła go wzrokiem czarownicy. Nie wiedział, co to znaczy, ale ona zaczęła bełkotać, przysięgać, że tak nie jest, obrzucając wzrokiem wszystkie blond dziewczynki, które urodziła niegodziwa suka i które zostały przyjęte do kręgu, a on został wykluczony, wyrzucony z ich grupy, wzgardzony. Suka uśmiechnęła się do niego złośliwie, stojąc w bramie, i przykazała jej, żeby zabrała go bardzo daleko.

- On nie ma duszy - stwierdziła poważnie, spoglądając kryształowo niebieskimi oczami zza żelaznych prętów ogrodzenia. Później, rzucając ostatnie lekceważące spojrzenie na Justice'a, odwróciła się od żelaznej bramy i poszła w stronę posiadłości, gdzie czekało na nią cudowne potomstwo w postaci blond aniołków. Chichoczących.

Śmiejących się z niego. Bezpiecznych w ogromnym domu za wysokim ogrodzeniem.

A on został z nią.

Nienawidził suki z mądrymi niebieskimi oczami.

Ale nie tak bardzo jak nienawidził jej - szlochającej, bełkoczącej kobiety, która przyprowadziła go do nich do ich fortecy ukrytej wśród drzew.

Ona.

Jego matka.

To ona odciągnęła go od ich domu, przysięgając i płacząc, że kiedyś go przyjmą. Że nie jest odmieńcem. Że jest jednym z nich. Czy one tego nie widzą?

Wszystko to było żałosne i bezcelowe.

Kiedy znalazł się z powrotem w swoim pokoju, ukrył się przed nią i ukradkiem odszukał słowo. Ona nie podejrzewała, że on ma swoje sposoby. Wróżka, która nie potrafiła śledzić swojego jedyneǳiego dziecka! Kiedy ona nadal rozpaczała nad niesprawiedliwością, on wyciągał gwóźdź z nieheblowanej deski, z których zrobiona była podłoga w jego sypialni i wyjął jedną z książek, które kraǳł przez lata. Ta, której potrzebował, była zwykłym słownikiem.

Z sercem łomoczącym ze strachu, przekartkował strony, aż znalazł słowo, którego szukał:

„Odmieniec: idiota; istota o zanizonej inteligencji; dziecko zamienione z innym stworzeniem w okresie niemowlęcym”.

Innym stworzeniem... czymś, co nie jest człowiekiem...

Z początku czuł obrzydzenie, chciał krzyczeć na cały świat, wściekły na niegodziwą sukę za bramą, która tak bardzo, bardzo myliła się co do niego! Był ich kuzynem. Wszystkich tych szczebioczących, okropnych niebieskookich dziewczynek. Był jednym z nich! Tam było jego miejsce!

Oczywiście, był tam później zapraszany i z upływem czasu zaczął uświadamiać sobie, że ta niebieskooka strażniczka bram miała rację, w pewnym sensie. On rzeczywiście był od nich inny. Lepszy. Znajdował się o wiele dalej na ścieżce wyznaczonej przez Stwórcę. Boga.

To jego Bóg wybrał.

Z czasem jego misja stała się jasna, a kiedy ona, przynosząca wstyd szarlatanka i wróżka, zarabiała na życie przyjmowaniem monet od turystów, on dokumentował blond aniołki, uczył się ich imion, zwyczajów, szczególnych zdolności.

Pierwszą łatwo było zabić.

Zbyt łatwo, jak się okazało, bo stał się zarozumiały i zbyt pewny siebie. Blond aniołki zrobiły się o wiele bardziej przebiegłe i sprytniejsze, niż mu się z początku wydawało.

Zaślepiiony sukcesem, stracił ślad tych, które żyły poza murami, natrafiając na nie ponownie, dopiero kiedy były w ciąży, kiedy mógł znowu je wyczuć.

A kiedy wszystko znów zaczęło się układać, kiedy miał wysłać kolejną z nich w szalejące piekielne płomienie, tam, skąd przyszła, nabrano go! Oszukano. Wywiodły go w pole. Został ujęty i osadzony.

Wyśmiany...

Był cierpliwy.

Ale w końcu znalazł się na wolności.

Skrzywił się na myśl, że znowu ich wszystkich wykiwał. Włącznie ze słabą kobietą, która go urodziła.

Obserwował, jak zachodni horyzont przybiera odcień drażniącego oczy rózu i wdychał przejmująco wilgotny zapach morza. Ogromny bicz wodorostu, z pęcherzem przywiązany do jednego

końca, który unosił się w podmuchach powietrza, leżał skrzyty na piasku tuż przed nim.

Miał kształt litery „m”.

Matka.

Znak od Boga. Prowadziła go boża ręka.

Jeszcze raz poczuł, że idzie do wyjątkowego miejsca, że jego zewnętrzna powłoka się rozpuszcza, objawia jego prawdziwą istotę, jego piękno. Ale miał pracę do wykonania, więc niechętnie się temu oparł. Nie mógł się poddawać, tak jak w przeszłości, pozwalając, żeby górę brało jego prawdziwe „ja”, bo w tym świecie mógł się potknąć i znów zostać schwytyany.

Nie... Nie...!

Z wysiłkiem utrzymał oczy szeroko otwarte, żeby nie czuć i nie widzieć niczego poza tym, co znajduje się tuż przed nim: zaśmiecanej plaży, wzmagającego się ruchu i żalostnego chichotu mew, szukających łupu przy fali, cudowne refleksy światła palącego go w oczy, niezmużonej, przyzywającej wody w odcieniach szarości i zieleni.

Teraz odrzucił prawdziwego siebie i prawie miał ochotę to wykrzyknąć. Był to jego jedyny ratunek. Jego świątynia. Ale Bóg miał plan, a on nie mógł się ociągać.

Odwrócił się od plaży, wspiął po kilku kamiennych, przysypanych piaskiem stopniach na parking powyżej, gdzie czekał vanagon z całym swoim kolorowym, kwiecistym splendorem. Każdemu, kto go zobaczy, na pewno zapadnie w pamięć, ale nikt nie widział go za kierownicą na drodze do tej zatoczki z widokiem na ocean.

Minał vanagon, zaledwie zerkając na niego przelotnie. Cosmo nie będzie go już potrzebował, a on nie mógł być przy nim widziany.

Znajdował się kilka kilometrów na południe od małej wioski zwanej Sandbar, która leżała na południe od Tillamook, które z kolei położone było jeszcze bardziej na południe od Deception Bay, jego ostatniego miejsca pobytu. Miał prawo jazdy Cosmo i jego ubranie, które na długość było dobre, ale za szerokie. Nie stanowiło to jednak problemu jak na strój plażowy na wybrzeże Oregonu. Czerwcową pogodą była nieprzewidywalna i w każdej chwili mógł spaść deszcz i zerwać się wiatr. Każde ubranie było dobre.

Miał też plecak Cosmo, buty trekkingowe, które były właściwie dobre, i ciepłą czapkę, którą znalazł pod dziecięcymi zabawkami.

Zapuszczał brodę. Miał trzydzieści dolarów, dzięki uprzejmości Cosmo, który naprawdę nazywał się James Cosmo Danielson. Podobało mu się to nazwisko.

Maszerował drogą, aż minął wysokie skały, które dzieliły tę część plaży od tamtej, na której zostawił vanagona. Teraz schodził ze stromego kamiennego klifu, a kamyki przesuwały mu się pod stopami i spadały na plażę, ponad dziewięć metrów w dół. Kiedy znalazł się na piasku, podszedł do brzegu i ruszył na północ. Palce wiatru wbijały mu się w kurtkę, rozpinają ją. Było zimniej, niż się wydawało. Minął kilka osób: spacerującą brzegiem parę -byli opatuleni i tulili się do siebie, kobietę uprawiającą jogging, mężczyznę z goldenem, któremu rzucał patyk. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, a więc było dokładnie tak, jak się spodziewał. Dorastał w tych stronach i znał linię brzegową lepiej niż ktokolwiek inny. Nie znał go tu nikt prócz oceanu, który szeptał do niego głosem Boga, uwieczonym w jego falach i głębinach.

Palec ziemi ciągnął się w morze, a potem gwałtownie skręcał na północ, tworząc naturalną zatokę, oddzielającą Pacyfik od małego osłoniętego obszaru spokojniejszej wody. Justice wspiał się na przesmyk, kamienną mierzeję, kierując się w stronę drogi. Na wschodnim krańcu zatoki znajdował się sklepik z przynętą. Była to rozpadająca się drewniana rudera. Część budynku, która znajdowała się w opłakanym stanie, była kiedyś fabryką konserw. Fabryka konserw z kolei była jedyną pozostałością po kwitnym swego czasu przemyśle, który przez dziesięciolecia prawie zanikł. Czerniałe, pooblepiane skorupiakami słupy stały w rzędzie wzdłuż wybrzeża, wskazując, gdzie kiedyś znajdowały się dawno pogniłe doki.

Kiedy zaskrzeczała mewa, wspiał się po trzeszczącej drewnianej rampie na tył sklepu z przynętą i spojrzał w stronę zatoki, a potem chwycił klamkę. Znak „Do wynajęcia” zobaczył, kiedy przejeżdżał tędy wcześniej, dlatego pozbył się vanagona na tamtym parkingu, żeby szybko wrócić do tego miejsca. Poszukiwania Cosmo będą prowadzone w różnych kierunkach od furgonetki i Justice'a łatwo byłoby złapać, gdyby nie to, że znał teren i wiedział dokładnie, jakim człowiekiem jest właściciel sklepiku, stary Carter: były więzień pogardzał policją w ogóle, a Biurem Szeryfa Okręgu Tillamook w szczególności.

Pod warunkiem że jeszcze żyje. I nadal tu jest.

Kiedy Justice wszedł do środka, dzwonek nad drzwiami obwieścił jego przybycie. Carter, kilka kilogramów cięższy niż go zapamiętał, trochę bardziej siwy, stał za ladą. Chociaż Justice wiedział o Prestonie Carterze, ten go nie znał, a poza tym był w połowie ślepy i stary jak świat.

- Słucham? - warknął Carter, unosząc głowę. Jego niebieskawe oczy łzawiły, do zmierzwionej brody przykleiły się resztki owsianki ze śniadania.

- Pokój - powiedział Justice.

- Chce pan pokój? - powtórzył na głos Carter. Najwyraźniej miał też kłopoty ze słuchem.

- Mam tylko trzydzieści dolarów.

- Trzydzieści? - Wyglądał, jakby się zastanawiał. - W porządku. Może być na początek. Ma pan dowód? - krzyknął. Justice wyciągnął z portfela prawo jazdy Cosmo, a Carter przyjrzał mu się zmrużonymi oczami. Niczego nie zapisał, tylko pchnął dokument z powrotem po blacie z formiki.

- Jak ci na imię, synu?

- Dan - odpowiedział Justice, wręczając mu pieniądze. Carter pomacał banknoty.

- Każę mojej dziewczynie, Carrie, sprawdzić, czy to są na pewno dziesiątki - ostrzegł. - Nie widzę już tak dobrze jak kiedyś.

- Proszę bardzo.

Skinął głową z satysfakcją.

- W porządeczku. Chyba mogę dać panu klucz. Wie pan, gdzie jest toaleta? Tam z tyłu, przy zlewach do mały. -

Machnął ręką, wskazując inny budynek w ruinie. - Innej nie mamy.

Justice zerknął w stronę sąsiedniego budynku, z zardzewiałym falistym dachem, w którym znajdował się rząd zlewów, sprzęt do łowienia mały i krabów, szpadle, sieci i inne przybory, ustawione pod dachem upapranym łajnem mew.

Justice mruknął na znak zgody. Bez wątplenia widział już gorsze rzeczy. I choć budynek był w ruinie, liczyło się to, że Justice był wolny. Z dała od piekła szpitala Halo Valley.

- Dobrze. - Carter odwrócił się i z puszek po kawie wyjął klucz. Podał go Justice'owi i interes został ubity. Justice powiedział, że zatrzyma się w pokoju nad sklepem tak długo, jak

będzie potrzebował. Kilka dni, tygodni, miesięcy... Ale będzie czujny. Jeżeli biuro szeryfa zacznie go szukać, będzie o tym wiedział.

Wspiał się po lekko skrzypiących zewnętrznych schodach do pomieszczenia pełnego pajęczyn, ze zniszczoną podłogą wyłożoną linoleum, której porysowana i szerniała powierzchnia wyglądała jak jedna wielka plama. Pomyślał z tęsknotą o śpiworze w furgonetce Cosmo, ale wyruszając w drogę, wiedział, że będzie się bardziej rzucał w oczy i zostanie zapamiętany, jeśli będzie szedł ze śpiworem na plecach... Nie, to nie przejdzie. Więc zostawił śpiwór.

Nie szkodzi. Justice był utalentowanym złodziejem i umiał zdobyć rzeczy, których potrzebował. Nie był dobry w rozmowach. Nie umiał postępować z ludźmi. Był zbyt dziwny. Mówił za mało. Sprawiał, że ludzie zapamiętywali go, nawet się nie wysilając.

Ale był widmem. Ona kiedyś tak o nim powiedziała.

Określenie to nie było, co prawda, komplementem, ale było trafne.

Położył plecak Cosmo na środku pokoju, rozpiął go i przeszukał. Hipis miał kilka interesujących przedmiotów, wśród których znajdował się także scyzoryk. Do kompletu z nożem introligatorskim. Justice schował nóż do kieszeni i wyjął paczkę suszonej wołowiny, dwa skrety, zdjęcie kobiety trzymającej niemowlę i inne dziecko za rękę. Włożył kawałek wołowiny do ust i zaczął powoli żuć. Skrety schował w wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie zamierzał palić, ale mogły mu się przydać. Zdjęcie kobiety i dziecka podarł na maleńkie kawałeczki, które wsunął do kieszeni spodni. Później je wyrzuci.

Inne przedmioty zostawił w plecaku, zamierzając przyjrzeć im się uważnie później. Na razie musiał się wyspać, więc położył się na podłodze, głowę oparł o plecak i przypatrywał się belkom stropowym oblepionym pajęczynami.

Niedługo będzie musiał pozbyć się reszty dowodów, które zabrał zmarłemu Jamesowi Cosmo Daniel sonowi.

Nagle przyszła do niego znowu, ona, a jej ciężki, ohydny zapach unosił się w tym obskurnym pokoju delikatnymi, ale wyczuwalnymi falami.

Siossttrrrro... Czuję cię...

Otworzył szerzej oczy.

Była blisko. W promieniu piętnastu kilometrów. Może nawet była z nimi w twierdzy.

Uśmiechnął się, posyłając wiadomość: *Zapach twojego diabelskiego nasienia jest jak latarnia morska... Idę do ciebie...*

W sobotni poranek Laura stała bez ruchu pod strumieniem wody z twarzą zwróconą ku gorącym igiełkom, zaciskając powieki. Jego słowa atakowały jej umysł, kiedy kolejny raz zatrzasnęła przed nim drzwi.

Czy on naprawdę był w stanie wyczuć, że ona jest w ciąży?

Czy to może być prawda?

Przecież ona sama dopiero co się dowiedziała.

Było to nierealne i niepokojące. Wyczuła furję i nienawiść w jego przesłaniu i zadrżała, nie tylko ze strachu, ale pod wpływem wzbierającej wściekłości. Jediną osobą, która poza nią wiedziała o ciąży, był ten śmiertelnie niebezpieczny psychopata pałający żądzą mordy!

Po twoim trupie, bydlaku, pomyślała, zakręcając kurki, a potem chwyciła ręcznik i się wytarła. Ledwie trzymała się na nogach -wróciła o świcie, ale nie miała odwagi zasnąć i dać mu choćby cień szansy odnalezienia jej.

Nie miała wątpliwości, że zrobiłby to; dorastała, rozumiejąc, że podobnie jak ona i niektóre jej siostry Justice również posiadał wyjątkowy „dar”, który ona uważała za przekleństwo. Innym, ludziom, którzy wychowywali się poza murami Pieśni Syreny, jego wyostrzone zmysły, zdolność przekazywania rozwścieczonych myśli, wydałyby się dziwaczne i nieprawdopodobne, ale ona wiedziała, w najgłębszym zakamarku serca, że poluje na nią podstępnie i z cierpliwością drapieżnika. To, że porozumiewał się z nią, było darem. Owszem, robił to, żeby ją terroryzować i udawało mu się to. O ludzkie, była śmiertelnie przerażona. Ale była ostrożna, miała możliwość, żeby się przygotować na jego atak i czas na to, żeby udaremnić jego plany.

- Tylko spróbuj, bydlaku - wymruczała pod nosem, wycierając parę z lustra na szafce z lekami nad umywalką i dostrzegła wściekłość we własnych oczach. Zanim dowiedziała się, że jest w ciąży, strach nie był tak paraliżujący, ale teraz nie tylko ona była w niebezpieczeństwie. Rósł w niej maleńki okruszek życia, który musiała chronić.

Niech diabli wezmą Justice'a Turnbulla. Przerzuciła ręcznik przez drzwi prysznic i przeszła do sypialni. Włożyła dzinsy, sweter i wiatrówkę, wsunęła na nogi skarpetki i adidasy. Przed lustrem toaletki rozczesała włosy i zauważyła cienką linię jasnobrązowych włosów na środku, odrosty. Farbowanie włosów stało się niemal jej obsesją. Jak tylko się dowiedziała, że wyjeżdżają z Byronem z Portland w okolice Deception Bay, ogarnęła ją panika, poczuła, że musi zrobić coś, żeby ukryć swoją tożsamość. Wybrzeże opuściła wiele lat temu, żeby zacząć nowe życie, ale także po to, żeby być z dala od rodziny, żeby wszyscy byli bezpieczni. Justice stanowił prawdziwe zagrożenie, chociaż niejedyne, ale on był zdecydowanie najgroźniejszy, najbliższy, najbardziej zawzięty. Próbowwała zmienić swój wygląd, żeby jej nie rozpoznał, ale teraz zrozumiała się, że nie doceniła jego metod. Poszła do kuchni, niezdecydowana, jaki powinien być jej następny krok, zdjęła klucze z haczyka przy tylnych drzwiach. W pracy musiała być dopiero następnego wieczoru. Pomyślała o rodzinie. Miejscowi nazywali ich Kolonią, a ich dom - Pieśnią Syreny. Mieszkała z nimi, a kiedy skończyła kilkanaście lat, znalazła pracę w miejscowym sklepie, gdzie przez pewien czas pracowała. Żyła w dwóch różnych światach, bo nie mogła się zdecydować, czego chce. Dwie z jej siostr zostały w dzieciństwie oddane do adopcji. Inna po prostu odeszła. Większość młodszych od Laury nadal znajdowała się w twierdzy, pod baczna opieką czujnej, ocierającej się o paranoję Catherine. Może nie jest aż taką paranoiczką, pomyślała teraz. Kiedy Justice parę lat temu wpadł w szal zabijania, brama, która i tak była zamknięta dla świata zewnętrznego, została zatrzaśnięta na klucz. Laura była wtedy zostawiona samej sobie z Byronem. Wysłała do Catherine list, pytając, czy chce, żeby wróciła i przygotowała się na najgorsze, ale w odpowiedzi otrzymała tylko wiadomość: *Trzymaj się z daleka.* Później Justice został schwytany, a Byron, który nigdy nie podejrzewał, że jego żonie grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, że pochodzi stąd, z wybrzeża w Oregonie, przyjął posadę w Ocean Park. Z początku Laura zastanawiała się, czy istniał jakiś powód, który go tu przywiódł, czy Byron się zorientował, że ona jest z tej części świata, ale doszła do wniosku, że był to przypadek.

I chociaż opierała się ze wszystkich sił, powodowana strachem o rodzinę, dała się uwieść pomysłowi. Wymyśliła sobie, że może być częścią rodziny, wiodąc życie z Byronem poza Pieśnią Syreny. Dlaczego nie mogłoby tak być, pytała siebie. Nie było to wcale nierealne marzenie. Prawie każdy odłączał się od swojej pierwszej rodziny i budował nową, ale nowa rodzina utrzymywała kontakt ze starą.

Ale określenie „prawie każdy” nie dotyczyło jej rodziny. Jej rodzina nie dzieliła się tajemnicami ani historią. Tylko one miały dar.

Zacisnęła zęby i ruszyła w stronę drzwi i samochodu. Dar. Niezły żart. Teraz zrobiłaby wszystko, żeby się go pozbyć. Chyba że musiałaby zniszczyć rodzinę.

Rozdział 8

Harrison przebudził się nagle i zastanawiał się, gdzie, do cholery, jest, dopóki nie oprzytomniał. Zobaczył, że leży w śpiworze, na podłodze w swoim nowym mieszkaniu. Było cholernie zimno. Jezu. Czerwiec na wybrzeżu Oregonu mógłby uchodzić za zimę. Było gorzej niż w Portland.

Podniósł się z podłogi, poszedł pod prysznic i skierował sobie na głowę strumień gorącej wody. Nie wiedział, jak długo tak stał. Przypuszczał, że na tyle długo, żeby działacze na rzecz ochrony środowiska rwali włosy z głowy.

Włożył szare spodnie od dresu i czarną bluzę z długimi rękawami i poczłapał boso do kuchni. Parzył kawę, tak pogrążony w myślach, że prawie się zdziwił, kiedy ekspres zapiszczał, dając znać, że kawa gotowa.

Nalał parującego napoju do kubka, otworzył lodówkę w nadziei, że znajdzie mleko lub śmietankę, chociaż dobrze wiedział, że niczego takiego nie ma. Wypił kawę czarną, biorąc kilka głębokich oddechów pomiędzy łykami. Po dziesięciu minutach czuł się niemal jak człowiek. Włączył telewizor z odtwarzaczem wideo - słabość, która miała kluczowe znaczenie w jego pracy - i odtworzył główne wydanie wiadomości Kanału Siódmego z jedenastej. Zerknął na nie, kiedy wrócił wczoraj w nocy, posiedział trochę w Internecie, szukając informacji o ucieczce Justice'a Turnbull-

la, a potem zmogło go zmęczenie i wsunął się do śpiwora. Teraz oglądał fragment dotyczący ucieczki Turnbulla w skupieniu, zapamiętując fakty.

Najpierw było ujęcie z Pauline sprzed szpitala Halo Valley. Wszędzie stały samochody policyjne, niektóre z włączonym kogutem. Pauline opowiadała o dwóch częściach szpitala, o tym, że część B jest przeznaczona dla przestępców. Reporterka wyjaśniała, skąd uciekł Justice Turnbull, a kamera w tym czasie pokazała portyk przed częścią B, który znajdował się z tyłu budynku. Tu także stały samochody ludzi z biura szeryfa. Wyglądało, jakby przysłali tu wszystkie swoje cholerne siły. Może rzeczywiście tak było.

Pauline zadawała pytania stróżom porządku publicznego i personelowi Halo Valley. Kamera pokazała detektywa Langdona Stone'a z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook. Harrison przyjrzał mu się uważnie, bo to chyba on dowodził akcją. Jeżeli ma się zagłębić w ten temat, na pewno w niedalekiej przyszłości przyjdzie mu się zderzyć ze Stone'em i raczej nie będzie to łatwa przyjaźń.

Stone miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, dżinsy i buty kowbojskie, a jego brązowe włosy rozwiewał wiatr. Słowa: „bez komentarza” powiedział tyle razy, że brzmiały jak tekst raper-skiej piosenki. Pauline najwyraźniej go znała, albo tak jej się wydawało, i w jej głosie nie było zwykłego ostrego zabarwienia, jednak Stone wyraźnie uznał, że jest męcząca. Kiedy w zasięgu kamery pojawiła się jedna z lekarek, doktor Claire Norris, uwagi Harrisona nie umknęło, że Stone wpatrywał się w nią z pewnym zawstydzeniem. Coś ich łączy, wydedukował Harrison.

Doktor Norris nie mogła rzucić wiele światła na ucieczkę Turnbulla, bo pracowała w części A, nie B. Pauline przeszła szybko do wejścia do części B, gdzie przeprowadziła wywiad z inną lekarką, Jean Dayton, poważną, i najwyraźniej wściekłą z powodu ucieczki Justice'a Turnbulla. Później wspomniano o strażniku szpitala Ocean Park, który został ranny, Conradzie Weiserze i lekarzu prowadzącym Justice'a, Maurisie Zellmanie, którego stan opisano jako stabilny. Stan Conrada był poważny. Doznał urazu głowy, który wymagał interwencji chirurgicznej. Zellman również przeszedł operację gardła i strun głosowych, ale reagował i był przytomny.

Przez chwilę Harrison widział wściekłego doktora Byrona Adderleya, a później w obiektywie kamery znalazła się siostra Laura Adderley, a potem ekran wypełniły lodowato niebieskie oczy i siwe włosy doktora Dolpha Lomana, który z przesadnym zachwytem opowiadał o tym, jak wspaniały jest szpital Ocean Park.

Pauline przerwała mu i podała krótką historię wcześniejszych przestępstw Justice'a Turnbulla, atakował głównie kobiety, i nie wypowiadając słowa „sekta”, wspomniała o Pieśni Syreny, a nawet pokazała kute żelazne ogrodzenie ukryte w gęstych starych drzewach.

Harrison odnalazł mały notatnik i spisał nazwiska ofiar i szpitalnego personelu, pokazane na ekranie telewizyjnym, wraz z pielęgniarkami Niną Perez i Carlitą Solano. Dopisał także detektywa Langdona Stone'a z biura szeryfa i doktor Claire Norris z Halo Valley, część A.

Wpatrywał się w nabazgrane notatki i doznał olśnienia. Prawdziwym tematem nie była ucieczka Justice'a ani ofiary w momencie ucieczki. Prawdziwym tematem były wcześniejsze i przyszłe ofiary jego morderczej pasji.

Sekta.

Od tego powinien zacząć.

Przepłukał kubek po kawie i przeczesał schnące włosy. Boże, powinien się ostrzyć. Przebrał się z dresu w dzinsy, T-shirt i koszulę w kratę, swój „strój” dla nastolatków, chociaż nad tym tematem miał zamiar pracować dopiero pod koniec dnia. Ta nowa historia była o wiele bardziej interesująca i dopiero zaczynała się rozwijać.

Obrzucił wzrokiem mieszkanie i gorąco zapragnął mieć łóżko, kilka przyzwoitych mebli i jakieś dwadzieścia tysięcy w banku.'

Zszedł po schodach na parking, ponurym wzrokiem przyglądając się łysym oponom swojego chevroleta. Powinien napisać te artykuły i zarobić na nich. Czyżby pragnienie niewielkiej ilości gotówki było czymś aż tak złym?

Kiedy odwrócił się od swojego mieszkania, przyszło mu do głowy, że właśnie poznał szósty grzech główny: chciwość.

Lang dzielił biurko z detektyw Savannah Dunbar, która siedziała na krześle pod ścianą, na której przyczepiano zdjęcia podej-

rzanych. Trzymała laptop na kolanach i wpatrywała się w ścianę w skupieniu. Lang próbował jej wytłumaczyć, że on nie potrzebuje własnego biurka i że powodem tego, że je dzielili, była kwestia braku przestrzeni, a nie pieniędzy. Ale Sawy po prostu go zbyła. Była młodą, atrakcyjną, poważną kobietą, która wolala słuchać, niż mówić. Awansowała do stopnia detektywa z prędkością komety. Przeniosła się z Wydziału Policji w Gresham, dużego miasta, które rozciągało się po wschodniej stronie Portland, i wyrobiła sobie opinię dzięki bezgranicznemu oddaniu i gotowości do pracy po godzinach. Dostała się do Biura Szeryfa Okręgu Tillamook, depcząc po piętach samemu Langowi, chociaż tak naprawdę nie było dla niej miejsca. Lang zastanawiał się nad decyzją szeryfa O'Hallorana, aż jeden ze starych dobrych chłopaków z biura, który już się wypalił, delikatnie został odprawiony z biura. Wtedy zatrudnienie Sawy stało się zrozumiałe.

Czując na sobie jego wzrok, Sawy uniosła głowę. Oczy miała kryształowo niebieskie, bujne włosy w odcieniu intensywnie kasztanowym ostatnio związywała w kitkę.

- Jest sobota - powiedział.

- I?

- Co my tu robimy? Uśmiechnęła się lekko.

- Niestety, przestępcy nie działają w godzinach pracy. Lang uśmiechnął się i przesunął dłonią po zarośniętej brodzie. Po prostu nie mógł rano wykrzesać z siebie energii, żeby się ogolić.

- Znalazłaś coś o Justisie?

- Nic, czego byśmy nie wiedzieli. Dorastał w Deception Bay. Jego matka nazywa się Madeline Turnbull. Jest znana w tych okolicach jako Szalona Maddie. Zarabiała na życie, prowadząc podrzędny motel i jako wróżka. - Sawy spojrzała na niego poważnym wzrokiem. - Ja nie wierzę w te wszystkie czary-mary, ale niektórzy twierdzą, że jej przepowiednie były nieprawdopodobnie trafne. Dwa lata temu Justice mało jej nie zabił, chociaż nie wiadomo, czy był to przypadek, czy chciał to zrobić celowo. Może weszła mu w paradę, kiedy polował na Rebecce Sutcliff. Tę sprawę prowadził detektyw Sam „Mac” McNally z wydziału policji w Laurelton, a z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook pracowali nad tym Clausen i Kirkpatrick.

Lang zastąpił Kirkpatricka, kiedy ten znalazł inną pracę.

- Jednym z tych, którzy zatrzymali Turnbulla był Clausen -powiedział Lang. - Może powinienem porozmawiać z McNallym, wysłuchać, co ma do powiedzenia.
- Mam zamiary na Wydział Policji w Laurelton - podyktowała Langowi numer telefonu. - McNally jest już na emeryturze - dodała.
- Do pokoju wpadli Clausen i Burghsmith, którzy wyglądali na śmiertelnie zmęczonych. Pokręcili jednocześnie głowami, widząc uniesione brwi Langa.
- Nic - powiedział Clausen. - Facet się rozpląnął. Pieprzony duch.
- Duch psychopata - mruknęła Sawy.
- Może poszedł w kierunku doliny? - zasugerował Burghsmith, ale bez entuzjazmu.
- E tam, kieruje się w stronę wybrzeża. - Clausen obrzucił drugiego funkcjonariusza spojrzeniem, które wskazywało, że omawiali to ze sto razy.
- A gdzie jest karetka? - Lang zadał pytanie, które powtarzał prawie jak mantrę. - Przecież ktoś ją chyba widział.
- Albo porzucił ją w rowie, albo przemknął tak, że nikt go nie zauważył. - Clausen wzruszył ramionami.
- Mało prawdopodobne, żeby przemknął - powiedziała Sawy.
- W takim razie, gdzie ją porzucił? - spytał Lang. -1 czy wobec tego przemieszcza się pieszo?
- Może ktoś na niego czekał - zauważył Burghsmith i pociągnął za swój nagle ciasny kołnierzyk.
- To nie ten typ. - Clausen zmarszczył czoło, siadając przy innym wspólnym biurku. - Jest dziwny.
- Dziwacy też miewają przyjaciół. - Burghsmith nie miał zamiaru ustąpić.
- Ale nie takie dziwadło jak on - upierał się Clausen.
- Dobra, w takim razie idzie pieszo albo znalazł inny środek transportu - powiedział Lang.
- Może załatwił innego kierowcę - zasugerowała Sawy. Clausen chrząknął, co robił dość często.
- O jego ucieczce mówili we wszystkich wiadomościach. Myślisz, że ktoś o tym nie wie? I postanowił podwieźć autostopowicza? - Wysunął górną szufladę i zaczął szukać gumy, wyciągnął paczkę i trzymał ją, częstując kolegów w milczeniu. Wszyscy przecząco pokręcili głowami.

- Może ktoś nie oglądał wiadomości - mruknął Lang.

- W takim razie może być wszędzie. - Burghsmith wzruszył ramionami. - Pytaliśmy po całym wybrzeżu, w jedną i w drugą stronę, ale jak na razie, nikt go nie pamięta.

- Jeżeli nie wpadniemy na trop szybko, będziemy musieli pojechać do Pieśni Syreny i porozmawiać z Catherine. Ostrzec ją - powiedział Lang.

- A co z Rebeccą Sutcliff? - spytała Sawy. - Nadal mieszka w Laurelton, o ile nam wiadomo. Raz mu uciekła, ale jeżeli faktycznie jedynym jego celem jest misja, jak wszyscy sądzą, należy ją ostrzec.

- Ma misję, zgadza się - przytaknął Clausen. - Temu bydlakowi chodzi tylko o to.

- Ta Sutcliff pewnie też widziała wiadomości - powiedział Lang. - Zadzwońię do niej.

- Na wypadek gdyby kierował się w głąb lądu - dodał Burghsmith.

Clausen posłał mu ponure spojrzenie.

- Nie ma mowy. Po prostu ma we krwi to cholerne morze. Jak okoliczni rybacy. Czuję coś do niego. - Lang spojrzał na Clausena. - To jest w paru oryginalnych raportach. Wierzcie mi, jeżeli Turnbull dokądkolwiek się kieruje, to w stronę oceanu. Stawiam moją miesięczną pensję.

Nikt się z nim nie założył.

Omówili szeroko zakrojone poszukiwania, które przeprowadzono wzdłuż drogi i w dolinie, a także przeszukiwanie drogi 101. Od zniknięcia Justice'a minęło już ponad dwanaście godzin.

- Gdzie jest teraz jego matka? - spytał Sawy Lang.

- Madeline Turnbull jest pacjentką Seagull Pointę. To dom pomocy i opieki. Płaci za nią Medic-aid.

- Czyli stan - przytaknął Lang. - Jest w domu opieki, nie ma kontaktu z rzeczywistością. - Wszyscy o tym wiedzieli. Sawy skinęła głową, a jej kasztanowe włosy zaśniły w bezlitosnym świetle jarzeniówki.

- Wpadnę tam i zobaczę, czy da się z nią porozmawiać.

- Dobrze. - Lang odsunął się od biurka. - Zapoznam O'Hallorana z najnowszymi faktami, a potem wykonam kilka telefonów.

- Ja mam jeszcze na głowie dalsze przeszukiwanie drogi 101 - powiedział Clausen. Nawet nie patrzył na Burghsmitha.
- Ja padam z nóg.
- Wszyscy musimy się przespać - zgodził się Lang. - Spotkajmy się w południe. Jeżeli dopisze nam szczęście, będziemy mieli trop.

Rozdział 9

Kiedy mgła zaczęła się skradać od morza w głąb lądu, zapuszczając długie palce pary między stare jodły o opadających omszałych gałęziach, Laura wjechała swoim subaru outback na krętą drogę prowadzącą przez las do Pieśni Syreny. Bliźniacze koleiny przecinały stanowiska jodeł i sosen, między którymi rosły kępy golterii szalon o lśniących liściach.

Gałęzie ocierały się o samochód, a gęstniejąca mgła rozbudziła wyobraźnię Laury. Przy każdym zakręcie spodziewała się, że z zarośli wyskoczy Justice z nożem w ręce i wykrzywioną z wściekłości twarzą szaleńca. Serce jej waliło, spocone palce zaciskała na kierownicy, a subaru podskakiwało i trzęsło na kamieniach i wybojach. Za ostatnim zakrętem ukazała się wielka brama Pieśni Syreny. Laurze zaschło w gardle, włosy na karku się podniosły. To było niebezpieczne. Właśnie tego starała się uniknąć, kiedy Byron oznajmił, że przeprowadzają się na wybrzeże.

Justice był na wolności i nie mogła się dłużej łudzić, że jest bezpieczna. Mógł być tutaj, czaić się w ciemności, czekać na nią.

Sssiossstrrrro...

Niemal słyszała jego syk, ale był to jej umysł, płatał jej figle, wspomnienie. Wyłączyła silnik i nasłuchiwała, jak stygnie, mrużąc przy wtórze żalostnego zawodzenia mew, któremu akompaniował ryk morza z oddali.

Nie nakręcaj się, upomniała się. Wsiadła i zamknęła samochód. Gęste, wilgotne powietrze było zimne i utrudniało oddychanie, a do jej umysłu wśliznęły się niechciane wspomnienia -zaplecionych włosów i sukienek, zamiatających podłogę starego, topornego domu.

Dom, pomyślała, chociaż dawno temu odcięła się od Pieśni Syreny i wszystkich jego mieszkańców.

Walcząc z dreszczami, przeszła przez wilgotną ziemię, porośniętą gęsto paprociami i pokrzywami i złapała pręty bramy wjazdowej z kutego żelaza, skąd widziała dom z ciemnymi oknami migoczącymi w dziwnym półświecie gęstego lasu.

Nie było sposobu, żeby skontaktować się z mieszkankami Pieśni Syreny. Nie miały telefonów, telewizji kablowej, Internetu, żadnych elektronicznych łącz. Prąd zapewniał generator, ale tylko na parterze. Kobiety w domu żyły jak w ubiegłym wieku. Zdecydowała o tym ciotka Laury, Catherine Rutledge, pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy Laura była jeszcze dzieckiem. Laura buntowała się przeciwko takiemu życiu i nieustannie wpędzała ciotkę w rozpacz. Dopiero kiedy poszła swoją drogą i pozwolono jej przebywać poza murami, zaczęła doceniać proste życie w Pieśni Syreny, i odcięcie od świata, które zapewniało bezpieczeństwo.

- Halo! Catherine? - krzyknęła, ale miała wrażenie, że jej głos niknie. Nie było dzwonka, więc zaczęła trząść bramą, ale słysząc brzęk, wyobraziła sobie duchy szarpiące łańcuchami, i znów przebiegł ją dreszcz po kręgosłupie.

Uświadomiła sobie, że jest na straconej pozycji. Na co liczyła, przyjeżdżając tu? Rzeczywiście chciała ostrzec rodzinę czy może ten dom był miejscem, w którym chciała się schronić jak w sanktuarium?

Nie była tutaj wiele lat. Nauczyła się staczać boje poza murami Pieśni Syreny.

Ale to było przed Justice'em.

Już miała się poddać i wrócić do samochodu, ale dostrzegła poruszający się cień pomiędzy drzewami, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe i na szeroki frontowy ganek wyszła kobieta mniej więcej w wieku Laury. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć szczupłej trzydziestoparolatki - minęło tyle czasu - ale nagle rozpoznała arystokratyczne rysy Isadory i serce jej podskoczyło.

- Isadora - wyszeptała.

Isadora była najstarszą z sióstr. Laura zapamiętała, że była bardziej nowoczesną kobietą. Teraz jednak jej jasne długie włosy były splecione w warkocz, spod niebieskiej sukni prawie sięgającej ziemi wystawały praktyczne buty. Isadora jakby wyczuła, że ktoś na nią patrzy, odwróciła się w stronę bramy. Jej oczy miały nadal kolor nieba, były w nich ciepło i spokój.

- Isadora! - krzyknęła Laura, uśmiechając się szeroko. Boże, jak za nią tęskniła! Nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Laura? To ty? - Isadora uśmiechnęła się nieśmiało, ukazując równe zęby. Szybko zbiegła po kamiennych schodach, omijając błoto.

- Boże, Isadora - odezwała się Laura, kiedy druga kobieta znalazła się z drugiej strony bramy. - To... niesamowite znów cię widzieć.

- Zamrugła, chcąc powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Twoje włosy...

- Wiem. Ufarbowałam. - Nie powiedziała dlaczego, nie musiała.

- Co tu robisz? - spytała Isadora, splatając palce z palcami Laury. Drugą rękę zanurzyła w głębokiej kieszeni sukni.

- Muszę się zobaczyć z Catherine.

- Ucieszy się, że tu jesteś. - Isadora z obszernej spódnicy wyciągała pęk pobrzękujących kluczy. - Cudownie cię widzieć. - Laura dostała gęsiej skórki, gdy brama głośno zazgrzytała. - Earl, nasza złota rączka, jest chory - powiedziała Isadora w ramach wyjaśnienia.

Kiedy brama się otworzyła, padły sobie w ramiona. Laura walczyła ze wzruszeniem, biorąc siostrę w objęcia, i zamrugła, żeby powstrzymać głupie łzy, przywierając do siostry.

Czy to naprawdę jest dom?

A może po prostu była zestresowana? Jej hormony szalały?

- Ciebie też miło widzieć - powiedziała, w końcu wypuszczając Isadorę z objęć.

- Czemu chcesz się zobaczyć z Catherine? - spytała Isadora.

- Dlaczego akurat teraz? - Te mądre niebieskie oczy nagle spoważniały. Zmartwione. Zerknęła w stronę drogi, jakby spodziewała się kogoś jeszcze.

A więc wiedziały.

- Boisz się, że tu przyjdzie, prawda? - spytała, nie wymieniając imienia Justice'a.

Isadora wbiła wzrok w Laurę. Skinęła głową, jakby nie chciała wypowiedzieć tej myśli na głos.

- Wejźmy do środka.

Isadora starannie zamknęła bramę.

Laura starała się nie oglądać przez ramię. Szybko, szybko, szybko, myślała. Justice nie odezwał się do niej w myślach przez kilka godzin, ale wyczuwała jego obecność, jakby szedł obok nich.

Nieheblowane dębowe drzwi do domu otworzyły się, jak tylko przed nimi stanęły. Catherine, wysoka, surowa, z siwiejącymi blond włosami związanymi w ciasny kok na karku, spoglądała na Laurę lekko zamglonymi niebieskimi oczami. Nie słyszeła z wylewności, wręcz odwrotnie. Ale odkąd Laura przestała się buntować, kobiety stały się sobie bliskie, prawie jak matka i córka.

Prawie.

- Lorelei - przywitała ją Catherine i po zaledwie paru chwilach wahania Laura padła w objęcia starszej kobiety, czując dławienie w gardle.

Kiedy się rozejrzała, zobaczyła wszystkie swoje siostry. Niebieskookie. Z włosami w odcieniach od ciemnopopielatego do niemal platynowego blondu. Ubrane w kretonowe sukienki wyglądające identycznie jak jedyna sukienka, którą Laura zachowała z czasów młodości. Kiedyś Byron ją znalazł i powiedział pogardliwie: „Hej, mamó, hej, tato, chodźmy się przejechać na wozie z sianem!”

Laura niczego mu nie tłumaczyła. Wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się, jakby był to jakiś kostium. W pewnym sensie był.

Catherine poprowadziła swoje podopieczne i Laurę krętymi schodami na piętro. W jadalni stał wielki dębowy stół. Było przy nim miejsce dla wszystkich mieszkanek domu. W kamiennym palenisku z cichym sykiem płonął ogień, a żarzące się drewno w kolorze krwistej czerwieni przepełniało powietrze zapachem dymu. Żyrandol łagodnie oświetlał stojące w milczeniu dziewczęta. W ich oczach widziała pytania i strach. Wszystkie wiedziały, każda z nich, o niebezpieczeństwie, jakie stanowił Justice Turnbull, a ona miała potworne wrażenie, że mogła nieświadomie sprowadzić tego szaleńca bliżej nich.

- Dorosłyście - zauważyła, kiedy ostatnia ławka została przysunięta do stołu, przy którym przez lata jadały wspólnie posiłki.

- Tak to bywa. - Ravinia nawijała na palec kosmyk włosów, który wysunął się z warkocza. Miała piętnaście lat i była pewna siebie. Nawet lodowate spojrzenie Catherine nie było w stanie zbić jej z tropu. Laura rozpoznawała zapowiedź kłopotów, znała to z doświadczenia. Wiedziała też, że jeżeli zasady nie będą przestrzegane, dziewczęta mogą spotkać dziwne i straszne rzeczy.

Cassandra się pochyliła. Jej włosy były ciemniejsze, niemal brązowe.

- Widziałam go - powiedziała na lekkim wydechu. - Justice'a.

Laura wiedziała, że Cassandra nie widziała Justice'a w rzeczywistości. Widziała go w swojej wizji lub we śnie - miała wyjątkowy dar.

- Wiecie, że uciekł z zamkniętego szpitala Halo Valley? - Laura spojrzała na Catherine.

Ta skinęła głową z powagą. Rysy jej twarzy były ostrzejsze, niż Laura zapamiętała.

- Od Cassandry - wyjaśniła Catherine.

W ten sposób mieszkanki Pieśni Syreny dowiadywały się o tym, co dzieje się za bramą. Opis wydarzeń był zaskakująco dokładny. Laura spojrzała na Cassandrę, która na chrzcie dostała imię Margaret, ale później, kiedy zorientowano się, jakie umiejętności posiada Margaret, ich matka po prostu zmieniła jej imię na Cassandra, od greckiej bogini, która potrafiła przepowiadać przyszłość, ale jej nigdy nie wierzono. Laura dostała imię Lorelei. W jednym z germańskich mitów Lorelei - jak syreny, które przyzywały Ody-seusza i jego załogę - wabiła żeglarzy. Od tego mitu wzięło nazwę ich schronienie - Pieśń Syreny. Miejscowi byli przeświadczeni, że kobiety mieszkające za murami potrafią rzucić urok na mężczyzn i odebrać ich żonom. Laura, kiedy była młodsza, bardzo przeżywała to, że były traktowane jak wyrzutki, ale wiedziała też, że jej rodzina cierpi, albo dostępuje błogosławieństwa, w zależności od tego, jak na to spojrzeć, z powodu niewytłumaczalnych zdolności - od przepowiadania przyszłości do czytania w myślach. Teraz, bez złośliwości, sama myślała o domu jako Pieśni Syreny.

- Przepowiedziałas, że będę w ciąży przed końcem roku - powiedziała Laura łagodnie do Cassandry, która była zaledwie rok młodsza od Isadory.

- Sprawdziło się! - Cassie wstrzymała oddech. Jej oczy tańczyły, a twarz rozjaśnił uśmiech. - Wiedziałam!

Laura skinęła głową.

- O nie... - jęknęła Catherine. Zamknęła oczy i na chwilę pochyliła siwiejącą głowę, jakby ciężar tych słów był dla niej zbyt wielki.

- On chce twojego dziecka - oznajmiła Cassandra zdławionym głosem.

- Chce zagłady! - sprostowała Catherine. Zaciśnęła zęby, jej oczy lśniły. - Zagłady nas wszystkich!

- Wtargnął do mojego umysłu - powiedziała Laura. Wszystkie zwróciły się w jej stronę.

- Chcę porozmawiać z Laurą - powiedziała Catherine. - Cassandro i Isadora, zostańcie. - Pozostałe siostry Laury wyprosiła z pokoju. Ravinia przewróciła oczami, oburzona z powodu faworyzowania Cassandry i Isadory, a Lillibeth, siedząca w wózku inwalidzkim posłała Catherine błagalne spojrzenie, rozpaczliwie chciała zostać. Catherine była nieubłagana.

- Proszę. Idź do swojego pokoju, tylko na chwilę - zwróciła się cicho do Lillibeth. Dziewczyna odjechała, wózek ślizgał się po starej drewnianej podłodze.

Kiedy dziewczęta opuściły jadalnię, Catherine ze złością pokręciła głową.

- Chce każdej dziewczynki, każdej kobiety, chce nas wszystkie. Ja nie mogę go zobaczyć tak, jak widzi go Cassandra, ani wyczuć go tak jak ty. - Doskonale zdawała sobie sprawę z talentu Laury, ze wszystkich jej talentów. - Ale znam go od małego. - Wyjrzała ostrożnie przez okno. - Mary... nie była dla niego miła. - Kręciła głową. - Obawiałam się, że do tego dojdzie - wyszeptwała. Jej głos przypominał szelest suchych liści na wietrze.

Laura usiłowała przypomnieć sobie Justice'a albo Mary, jej własną matkę, która wszystkie je urodziła, a potem pewnego dnia zniknęła.

To było dziwne. Niepokojące. Ale w zasadzie wszystko, co robiła Mary, można było zakwalifikować jako dziwne i niepokojące.

Mary, która nigdy nie była troskliwa, czuła, traktowała Justice'a surowo, czego Laura nigdy do końca nie rozumiała, ale przypominała sobie wyzwiska, jakimi go obrzucała

Kretyn.

Głupek.

Idiota!

Dureń.

Złośliwość Mary ścinała Laurze krew w żyłach. W głosie Mary słyhać było taką obrzydliwą nutę wyższości, że Laura, już jako dziewczynka, wiedziała, że żaden człowiek, który ma w sercu choć odrobinę dobra, nie odzywałby się do nikogo tak jak Mary do Justice'a.

Laura z trudem przypominała sobie matkę Justice'a, Madeline Turnbull, z tamtych czasów. Pamiętała jak pokazywano ją w wiadomościach po tym, jak Justice został zatrzymany, a Madeline cudem uszła z życiem. Madeline również miała wyjątkowe zdolności i wykorzystywała je dla materialnych korzyści. Miejscowi złośliwie przezwali ją Szaloną Maddie. Madeline była kuzynką Mary i Catherine, miała podobne geny. Mieszkała poza Pieśnią Syreny, która została zbudowana przez pradziadka Mary.

- Usiłował zabić Madeline - powiedziała Laura.

- Jest umyślowo chory - stwierdziła Catherine, zaciskając usta z nienawiścią. - Mieliśmy mnóstwo takich przez lata. Laura nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Chociaż wiedziała, że Catherine ma rację, Justice'a nie można było porównać z nikim innym. Chciał zabić je wszystkie, to była jego misja.

- Nazywa mnie siostrą - powiedziała. Był jej kuzynem, nie bratem. Mieli wspólnych prapradziadków, Nathaniela i Abigail Abernathych, a jednak zwracał się do niej „sssiossstrro”, usiłując sprawić, żeby myślała, że są blisko spokrewnieni...

- Zatrzaśnij przed nim drzwi, Lorelei! - nalegała Catherine. - Nie będzie mógł zrobić ci krzywdy, jeżeli go nie wpuścisz.

- Martwię się o moją córeczkę. - Laura z trudem przełknęła ślinę.

- Chcesz ją urodzić? - spytała Catherine.

- Tak! - powiedziała odruchowo, nieco zaskoczona swoją stanowczością. Wczoraj o tej porze jeszcze nie wiedziała, że jest w ciąży.

Nikt nie podważał jej przekonania, że to dziewczynka. W ich rodzinie rodziły się tylko dziewczynki, a jeżeli już rodził się chłopiec, oznaczało to coś złego, jakieś cierpienie, które prędzej czy później go dotknie. Nathaniel był tego najlepszym przykładem, chociaż jego śmierć spowodowali ludzie, nie choroba. Miała dwóch innych braci, których już też nie było na tym świecie.

No i, oczywiście, był Justice... jedyiny mężczyzna w ich rodzinie, potwór.

- Powiedziałaś mężowi? - spytała Catherine. Laura spojrzała na nią, myśląc intensywnie.

- Odeszłaś od niego - stwierdziła Catherine.

- Rozwiodłam się. Zaszłam w ciążę, bo usiłowałam ratować małżeństwo, chociaż już wtedy nie istniało. - Znow poczuła chłód na całym ciele. - To... to był błąd.

- Więc masz zamiar sama wychowywać dziecko? - Catherine była sceptyczna.

Tak! Laura rozpostarła dłonie, nie wiedząc jeszcze, jak wyjaśnić swoje pogmatwane emocje, jej przywiązanie do tego rosnącego w niej dziecka.

- Słuchajcie, teraz chcę je ochronić przez Justice'em.

Cassandra wpatrywała się w dal. Laura spojrzała na nią i poczuła, że włoski na rękach unoszą się jej. Z dzieciństwa pamiętała tę nieruchomą jak maska twarz, kiedy Cassandra miała wizję. Jej oddech stawał się wtedy płytki, jakby zaraz miała przestać oddychać. To, co widziała Cassandra, nie było wizją w dosłownym znaczeniu tego słowa, ale migoczącymi obrazami z przyszłości. Luźne kawałki, które mogły do siebie nie pasować. Ale same w sobie były wymowne.

- Potrzebujesz go - powiedziała Cassandra cicho.

- Kogo? - spytała Laura, usiłując zrozumieć. - O Boże, Justice^? - Zdusiła uczucie przerażenia.

- Nie. Poszukiwacza prawdy - powiedziała Cassandra tym samym nieobecny głosem, który przyprawiał Laurę o dreszcze.

- Kto to jest? - spytała Laura.

- Nie słuchaj jej - stwierdziła Catherine. - Wiesz, co się z nią czasami dzieje.

Laura wiedziała. I to ją przerażało.

- Cassie? O kim ty mówisz? Cassandra powoli pokręciła głową.

- On na ciebie czeka.

- Nie wiem, o kim mówisz. - Położyła dłoń na ramieniu Cassandry, ale ta prawie nie zareagowała. - Cassandro, przestań - powiedziała sfrustrowana Laura.

Cassandra nie zareagowała. Sposób, w jaki otrzymywała informacje, był denerwujący, jakby zbierała okruchy, kawałki, skrawki ważnych informacji. Laura widziała to już wcześniej, wiele lat temu, kiedy Cassie ostrzegła przed tragiczną burzą w pogodny dzień. Tamtej nocy, ona, Laura, mało nie zginęła, kiedy zerwał się wiatr, który wzmógł się, nabierając siły huraganu. Była wtedy w pracy. Próbowała wrócić do domu, w deszczu i ciemności. Niewiele brakowało, żeby zginęła pod kołami samochodu, którego kierowca stracił nad nim panowanie... Przeżyła. Kierowca, dziesiętnastoletni chłopak, nie miał tyle szczęścia.

A teraz ciąża.

Nie była tu, w ich azylu, od lat. Prawie nie знаła swoich młodszych sióstr, bo postanowiła odejść, kiedy miała naście lat. Catherine powiedziała Laurze o tym, że Cassandra przepowiedziała jej ciążę podczas jednej z rzadkich rozmów, i jak się okazało, miała rację.

- Poszukam go - powiedziała Laura, martwiąc się przepowiednią, zastanawiając się, co może znaczyć. Poszukiwacz prawdy? Naprawdę?

- I nie wpuszczaj Justice'a - ostrzegła znów Catherine. Zmarszczyła brwi.

- Powinnaś zostać z nami - powiedziała Cassandra. Wróciła z przyszłości, ale w jej głosie był niepokój. -

Przynajmniej dopóki nie zostanie złapany.

- Nie. - Laura była nieugięta. Miała swoje życie poza tymi murami. A jeżeli chodzi o innych... o siostry... - Nie martwcie się. Nic mi się nie stanie. - Jakoś da sobie radę. - Ale Isadora powiedziała, że nie macie pomocnika. -

Odwróciła się do Isadory. - Kto przywozi zakupy?

- Mamy kierowcę - wyjaśniła Isadora. - Jest z pogórza, raz w tygodniu zawozi Catherine do sklepu.

- Nie wychodźcie poza mury - ostrzegła Laura. - Żadna z was. Tam nie jest bezpiecznie.

- Dla ciebie też jest niebezpiecznie! - Twarz Cassandra znów była ożywiona, a na jej ładnej twarzy malowało się zmartwienie.

- Wiem. - Laura usiłowała ją trochę uspokoić. - Żadna z nas nie jest bezpieczna, ale ja mieszkam na zewnątrz. Mam pracę. Życie po drugiej stronie murów. Nic mi nie będzie. - Powiedziała to tak, jakby naprawdę w to wierzyła, z pełnym przekonaniem.

- Więc po co przyjechałaś? - chciała wiedzieć Catherine.

- Żeby się upewnić, że u was wszystko w porządku.

- W porządku - zapewniła Catherine i uśmiechnęła się, chociaż jej oczy nie przestały być ponure, w kolorze ciemnego błękitu. - Nie dostanie się do nas.

Doskonale wiedziały, że to złudna nadzieja.

- Sprawdźcie ogrodzenie - zasugerowała Laura, wzdrygając się. - Dopilnujcie, żeby nie można było się dostać do środka.

- Już to zrobiliśmy. - Catherine wyprzedzała ją o lata świetlne. - Poza tym i tak będziemy wiedzieć, jeżeli się do nas wybierze.

Wszystkie spojrzały na Cassandnę, która skinęła głową z powagą.

- Tak. Pewnie go zobaczę, ale... - Zmarszczyła brwi, jakby intensywnie myślała. W końcu westchnęła, jakby dotarło do niej, że jest zupełnie bezradna. - To ty jesteś najbardziej bezbronna, Lorelei - powiedziała, kiedy Laura wyglądała przez okno na las otaczający dom i ustępującą poranną mgłę.

- Wiem - wyszeptała.

Rozdział 10

Harrison wszedł do piekarni Sands of Thyme kilka minut po ósmej rano. Jego mieszkanie w Seaside od Deception Bay dzieliło około czterdziestu minut drogi. Ziewając, podszedł do lady. W sklepie pracowały dwie kobiety, dziewczyna, która według plakietki miała na imię Cory, oraz jego siostra Kirsten, która na jego widok położyła sobie rękę na sercu.

- Wstałeś przed południem? Coś podobnego.

- Często wstaję przed południem - odparł Harrison, czując zapach ciepłego, świeżo upieczonego chleba, który mieszał się z zapachem kawy i cynamonu. - Wszystko zależy od tego, o której się kładę. r

- Właśnie. A kiedy ostatnio poszedłeś spać przed północą?"

- Uniosła brwi pytająco.

- Dwie noce temu - odpowiedział. Prawda była taka, że cierpiał na lekką bezsenność, która pogorszyła się jeszcze od śmierci Manny'ego.

- Dlaczego?

- Oglądałem... film na DVD, który widziałem już kilka razy i padłem, zanim się skończył.

- Która była godzina? Jedenasta pięćdziesiąt dziewięć? -

Uśmiechnęła się.

Odwzajemnił uśmiech.

- I pięćdziesiąt pięć sekund.

- Podać ci coś? - spytała, uderzając go lekko ręcznikiem.

- Kawę. Czarną. Z dużą ilością kofeiny.

- A właściwie, co tu robisz tak wcześnie? - spytała, podając mu papierowy kubek.
- Odłuszczona waniliowa late - krzyknęła druga dziewczyna w stronę trzech kobiet, pochylających się nad gazetą rozłożoną na jednym ze stolików.
- To moja! - Kobieta w przeciwdeszczowym płaszczu poderwała się z krzesła i podeszła do dziewczyny, trzymającej parujący kubek z czapą piany.

Harrison podszedł do części samoobsługowej i nalał sobie z termosu parujący brązowy napój. Nie zawracał sobie głowy wieczkiem, ale Kirsten wyskoczyła zza lady, chwyciła jedno i wcisnęła mu w rękę.

- Jest gorąca - powiedziała. - Żeby ci się nie wylała w samochodzie.

- Jeszcze nie wychodzę.

- Tak? Masz czas do randki z przeznaczeniem, czymkolwiek ono jest?

- Bardzo zabawne - parsknął, przyglądając się szklanej ladzie, w której widać było cynamonowe bułeczki, drożdżówki, bajgle i ciastka kawowe. - Co to za drożdżówki? Macie z porzeczkami?

- Ulubione Didi - powiedziała, wracając na swoje miejsce za ladą.

Cory obsługiwała kolejną klientkę, dziewczynę, która właśnie weszła, i Harrison cofnął się o kilka kroków, kiedy, wręczając dziewczynie papierowy kubek, wskazała na termosy z kawą znajdujące się za nim. Dziewczyna wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka i miała na sobie piżamę. Człapała w stronę termosów z kawą jak we mgle. Kirsten chwyciła szczypcami drożdżówkę z porzeczkami, położyła ją na talerzyku i spojrzała na Harrisona pytająco.

- Podgrzać ci?

- Nie.

Kiedy podawała mu talerzyk, nastolatka o mało na niego nie wpadła. Cieszył się, że dziewczyna miała na tyle rozsądku, żeby przykryć kubek wieczkiem, bo nie była okazem gracji. Usiadł przy stoliku, nakrył kubek wieczkiem, a potem ugryzł drożdżówkę. Była dobra, więc pochłonął całą, a później kciukiem zebrał okruszki i wsadził sobie do ust.

Nastolatka popijała kawę. Harrison prawie widział działanie kofeiny. Z bardziej przytomnym spojrzeniem wyszła do najnowszego modelu bmw. Na specjalnej tablicy rejestracyjnej napisane było „Britt88”.

Obserwował, jak wyjeżdża z piskiem opon i kieruje się na północ. Na próżno zastanawiał się, czy właśnie poznał Britt Berman, która jechała do liceum West Coast. Do wakacji zostało jeszcze parę dni.

Oglądając się przez ramię, zobaczył, że Kirsten bacznie mu się przygląda.

- Ona jest w liceum - syknęła scenicznym szeptem.

- Nie szukam dziewczyny - zapewnił ją Harrison. - Po prostu wydała mi się znajoma, ale dziewczyna, o której myślę, mieszka w Seaside, nie w Deception Bay.

- Wydaje mi się, że tu mieszka jej ojciec. Była tu z mm kilka razy, mówiła do niego „tato”. Przyjeżdża z południa, bierze kawę i jedzie na północ. Może przed szkołą odwiedza matkę?

- Jest sobota - zauważyła zza lady druga dziewczyna, biorąc kilka filiżanek i precyzyjnie się za Kirsten do ekspresu do kawy.

- Może po prostu jedzie do domu - zastanawiał się Harrison. - Zawsze chodzi w piżamie?

- Często - odparła Kirsten.

- Wiesz, jak jej na imię?

- Na tablicy rejestracyjnej ma Britt. - Kirsten pokręciła głową. Harrison przytaknął. W tej chwili do środka weszła jakaś para,

a on się zamyślił. Dziewczyna przypominała mu o drugim temacie nad którym pracował, a w którym, jego zdaniem, niebawem nastąpi zwrot akcji. Musiał zachować równowagę pomiędzy tą sprawą a ucieczką Justice'a Turnbulla. Za dużo szczęścia naraz. I pomyśleć, że jeszcze kilka tygodni temu pracował nad tak pasjonującym wydarzeniem jak parada z okazji czwartego lipca. Wstał i podszedł do lady.

- Wiesz, gdzie znajduje się dom sekty? - spytał Kirsten. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Cory, która nalala kawę do dwóch filiżanek, zniosła je do stolika, wróciła za ladę i powie- W górę stojędynką. Nad oceanem. Czasami trudno go zobaczyć, jeżeli człowiek się skupia na drodze, ze wszystkich stron rosną krzaki. Ale jest niesamowity.

- Po prostu w górę? - Harrison wskazał palcem północ.
- Uhm. Ale nie możesz się zobaczyć z kobietami z sekty ani nic takiego. Nie wychodzą już na zewnątrz.
- Już? - zapytał Harrison.
- No, bo chyba kiedyś wychodziły. Ale są dziwne, wiesz.
- A kto im robi zakupy? - spytała Kirsten.

Do środka wszedł mężczyzna i poprosił o półlitrowy kubek na kawę. Cory podała mu go, otworzyła szufladę kasy, wrzuciła pieniądze i wydała klientowi resztę. Zamknęła szufladę brzuchem. Mężczyzna zerknął na Kirsten i Harrisona, wkładając banknoty do portfela, skierował się do termosów.

- Nie wiem. - Cory wzruszyła ramionami. - Ktoś im. chyba przywozi.
Harrison dopił kawę i wyrzucił kubek do śmieci, sprawdził godzinę w telefonie komórkowym i zrobił krok w stronę drzwi.

- Dałabym ci filiżankę, gdybym wiedziała, że usiądziesz - powiedziała Kirsten.
- Sam tego nie wiedziałem.
- Zabierzesz Chico na spacer? - krzyknęła za nim Kirsten.
- Boże, mam nadzieję, że nie. Dam ci znać.

Drzwi się za nim zatrzasnęły. Na dworze nabrał do płuc słonawego morskiego powietrza, ciężkiego od wilgoci, i pilotem otworzył drzwiczki auta. Musiał nacisnąć pilota parę razy, powinien wymienić baterię. Wsunął się na miejsce kierowcy i uruchomił silnik. Zachmurzyło się. Typowa czerwcową pogodą na wybrzeżu. Chmury wyglądały tak, jakby miały zstąpić na ziemię w postaci mglistego koca. Były aksamitne.

Kiedy odjeżdżał spod piekarni, zobaczył parę w średnim wieku wysiadającą z pikapa. Oboje mieli na sobie koszulki z napisem „Posprzątaj plażę!” Przypomniawszy sobie, że dziś ludzie w całym stanie zbierają śmieci z plaży.

Szlachetne przedsięwzięcie, ale on miał inne plany na ten dzień. Było jeszcze wcześnie, ale co tam. Chciał przyjrzeć się domowi za murami z bliska.

Jadąc na północ, myślał o nastoletnich złodziejach, Śmiertelnych Grzesznikach. Podejrzewał, że zaczną się zbierać dopiero po południu. Było to niemal credo nastolatków. Ale postawiłby ostatniego dolara na to, że się spotkają. Wszystkich kradzieży, jak

dotąd, dokonywali w weekendowe wieczory. Na ogół w soboty. Miał wrażenie, że dzisiejszy wieczór będzie dla nich wspaniałą okazją.

Może dzisiaj da sobie spokój z Chico i postawi na coś innego? Może pójdzie za nimi do domu. Trzeba ich przede wszystkim obserwować. Chodzić za nimi. Patrzeć, kim są ich przyjaciele. Przyłapać ich na następnym złym uczynku... Może dziś wieczorem...

Ale najpierw co innego.

Przegapił zjazd do Pieśni Syreny. Przejechał dokładnie obok, co nie było trudne, bo droga była zupełnie niepozorna, w dodatku zarośnięta drzewem laurowym i żarnowcem miotlastym. Sam dom znajdował się przy bocznej drodze, którą stanowiły w zasadzie dwie wypełnione wodą koleiny, prowadzące do bramy z kutego żelaza i imponującego budynku w tyle, piętrowej budowli z drewna i kamieni i z podjazdu z płyt chodnikowych, ciągnącego się do drzwi wejściowych.

Przed bramą stał samochód. Ich? - zastanawiał się, podjeżdżając do niego. Ubłocony zielony subaru. Hm. Trochę nie pasował do pustelniczek, ale kto wie?

Kiedy zastanawiał się, czy wysiąść z samochodu, z domu wyszły dwie kobiety. Starsza i młodsza. Widział je przez prawe boczne okno swojego chevroleta. Żegnały się. Było to trochę dziwne, zachowywały się tak, jakby nie wiedziały, czy się objąć, podać sobie ręce czy po prostu iść w cholerę.

Obie jednocześnie zauważyły jego samochód i zamarły, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Pieprzona Laura Adderley - wyszeptał pod nosem zaskoczony Harrison.

Co ona tu robi, do cholery? - pomyślał, a pół sekundy później uderzyło go podobieństwo do starszej kobiety, które pojawiło się w jego umyśle jak meteor.

Matka i córka? Poza kolorem włosów były do siebie bardzo podobne.

Zaczęły gorączkowo szeptać. Laura odetchnęła głęboko i zacisnęła zęby. Spojrzała na niego, mrużąc oczy, i ruszyła po chodnikowych płytach do bramy. Starsza kobieta poszła za nią, a Harrison zauważył w jej ręce pęk kluczy.

Otworzyła Laurze bramę i zamknęła ją za nią, rzucając Harrisonowi ponure spojrzenie, które mówiło dobitnie, że nie jest tu mile widziany.

Nic dziwnego.

Laura podeszła do zielonego samochodu. Harrison, który cały czas miał włączony silnik, opuścił w swoim aucie szybę od strony pasażera.

- Więc... jest pani jedną z członkiń sekty - powiedział.

Zamarła, jakby poraził ją prąd. Po chwili odwróciła się i nachyliła do otwartego okna od strony pasażera. Był zaskoczony głębokim błękitem jej oczu, zahipnotyzowały go ciemniejsze smużki odchodzące od źrenicy, gładka skóra na policzkach. - Co pan tu robi? - spytała bez cienia uśmiechu na twarzy.

- Dlaczego farbuje pani włosy? - spytał.

Żadne z nich nie odpowiedziało na zadane pytanie. Laura chyba intensywnie się zastanawiała. Nagle gwałtownie się odwróciła.

- Chce pani, żebym napisał, że należy pani do sekty? A może zjemy razem śniadanie i mi pani o tym opowie?

- Odjeżdżam. - Otworzyła drzwi samochodu.

- A co będzie, jak za panią pojedę?

- A co będzie, jak zadzwonię na policję? - odparła ze złością.

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, że to byłby pani pierwszy ruch - stwierdził, przyglądając się jej. Była piękna na swój sposób, niemal idealne rysy i nutka tajemnicy. Jest żoną tego dupka Adderleya, przypomniał sobie. Teraz już wiedział, że nie są rodzeństwem. - Jest pani z nimi spokrewniona, prawda? - spytał Harrison, wskazując kciukiem bramę i znajdujący się za nią dom.

- Dlatego farbuje pani włosy? Żeby ukryć podobieństwo?

- Nie jestem panu winna żadnych wyjaśnień.

- Boją się, że Justice po nie wróci? A pani? Boi się pani? Zdażyła już wsiąść do auta, więc Harrison szybko wysiadł z chevroleta, obszedł maskę jej samochodu i stanął przy oknie od strony kierowcy. Spoglądała na niego poważnie zza szyby. - Niech pani da się zaprosić na śniadanie - zaproponował.

- Chciałbym z panią porozmawiać. Oczywiście, nieoficjalnie.

Niechętnie opuściła szybę.

- Oczywiście - zakpiła, a na jej twarzy odmalowała się nieufność.

- Oficjalnie informuję, że nie wierzę w żadne nieoficjalne zjawiska.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Więc miała poczucie humoru.

- Ja nie żartuję - powiedziała.

- W porządku, w porządku. Będzie, jak pani chce. Obiecuję. Ale artykuł o sekcie napiszę, z pani pomocą lub bez.

- O sekcie - powtórzyła, kręcąc głową. - Świetnie. W takim razie bez mojej pomocy. Włożyła kluczyk do stacyjki i zanim go przekreśliła, spojrzała na Harrisona gniewnie. - To nie jest żadna sekta. To rodzina.

- Pani rodzina.

Powiedziała coś niezrozumiałego pod nosem.

- To są po prostu kobiety, które chcą, żeby zostawić ich w spokoju - powiedziała, starannie dobierając słowa.

Czas przejść do rzeczy.

- Justice Turnbull nie zostawi ich w spokoju. Czego od nich chce? Dlaczego obrał je sobie za cel?

- Wyciąga pan pochopne wnioski. - Ale wyraźnie zbladła.

- Nieprawda. Ścigał je wcześniej. Jedna zginęła ponad dwadzieścia lat temu, a potem zaczął ścigać kolejną. Później była ta dziennikarka. I jego matka... ta, która jest w domu opieki. Pani jest jedną z nich. - Wskazał dom. - Jest z panią spokrewniony i stanowi zagrożenie?

Wahała się przez pół sekundy i pokręciła głową.

- Nie będę z panem rozmawiać.

- Dlaczego?

- Bo wszyscy jesteście tacy sami! Szukacie sensacji! Zachłannie szukacie perspektywy, tego wątku, tego „czegoś”, dzięki czemu wasz artykuł się wybije! Liczą się dla was tylko pieniądze. Jesteście tacy sami jak paparazzi. Polujecie na ludzi, nieważne, za jaką cenę!

- Co pani przez to rozumie? - spytał.

- Wszystko! Sam pan to powiedział. On na nas poluje. Chce nas pozabijać, panie Frost. - Straciła opanowanie i na jej twarzy zobaczył całą gamę emocji. Strach. Wściekłość. Niepewność.

Przez kilka sekund przypatrywali się sobie, a las spowijał ich jak całun. Dotarło do niego, że ma ochotę jej dotknąć i ją pocieszyć. Pogłaskać po plecach. Po głowie. Dotknąć jej. To było oczywiście nie na miejscu i pewnie zaczęłyby wzywać pomocy, gdyby tylko spróbował.

- Dość już powiedziałam. - Przekreśliła kluczyk w stacyjce i samochód odpalił.

- Jedno śniadanie i dam pani spokój - obiecał, zastanawiając się, dlaczego rozmowa z nią jest dla niego taka ważna. - Niech pani zaproponuje miejsce.

Zamknęła oczy. Odniósł wrażenie, że była tak sfrustrowana, że miała ochotę uderzyć głową w kierownicę albo zrobić cokolwiek, żeby się od niej odczepił.

- W porządku. Piekarnia Sands of Thyme.

- Nie.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Przecież dopiero co powiedział pan, że...

- Wiem. Ale moja siostra tam pracuje. Nie chciałaby pani tam ze mną iść. A może Davy Jones's Locker?

- Bar? - spytała z pogardą.

- Mają też śniadania. Całkiem niezłe.

- To knajpa - powtórzyła i spojrzała na niego, jakby postradał zmysły albo nigdy ich nie miał.

- Ej... - Wzruszył ramionami i wyciągnął ręce. Starał się być najbardziej czarujący, jak potrafił.

Zacisnęła palce na kierownicy.

- Nie... mogę.

- Dlaczego?

- Bo bardzo się pilnuję, żeby nie robić głupot.

- A kto mówi, że to głupota? Nie widzę w tym nic głupiego.

- Pana definicja głupoty jest najwyraźniej zupełnie inna niż moja. - Spojrzała na niego z ukosa, wrzucając bieg. - Ale jeżeli pan obieca, że to jest nasze jedno jedyne spotkanie, nieoficjalne, i że potem zostawi pan mnie i moją rodzinę w spokoju na zawsze, zrobię to - powiedziała niechętnie.

- Załatwione. Ale zastrzegam sobie prawo, żeby wpłynąć na zmianę pani zdania. - Uśmiechnął się promiennie.

- Nie uda się panu.

- Może mnie pani polubi, kiedy mnie pani pozna. Nie jestem taki zły. Owszem, szukam tematów, ale nie jestem Pauline Kirby. Chcę faktów. Prawdziwego tematu.

- Ale jest pan dziennikarzem.

- Jestem poszukiwaczem prawdy, pani Adderley. To wszystko. Nie bardzo rozumiał, dlaczego nagle zbladła jak ściana. - Co się stało? - spytał szybko.

- Nic. - Pokręciła głową. - Jestem... - Zawahała się, ale zaśmiała się lekko. - Nie jestem... Tak naprawdę jestem panną. Nie jestem mężatką.

- Nie jest pani mężatką. Ani żoną doktora Byrona Adderleya.

- Zgadza się.
- Cóż, tym lepiej. - Uśmiechnął się szeroko.
- Do zobaczenia w Davy Jones's, panie Frost - powiedziała, a on zauważył, że drżą jej ręce na kierownicy. - Jedno śniadanie. I na tym koniec.
- Jak pani sobie życzy - zapewnił.
- Nieoficjalnie.
- Mają tam naprawdę dobre jajka po wiejsku.
- Nieoficjalnie - nalegała.
- Nieoficjalnie - zgodził się, odchodząc od jej samochodu, kiedy zawracała i skierowała subaru na główną drogę. - Oczywiście, o ile nie zmieni pani zdania...

Rozdział 11

Laura wjechała na parking Davy Jones's Locker. Obłożony deskami, kiedyś czerwonymi, teraz w odcieniu różu, budynek wyglądał na ruinę, z zapadniętym dachem i zniszczonymi drewnianymi stopniami i gankiem. Nigdy tu nie była. Kiedy była młodsza, to miejsce w ogóle jej nie interesowało. A odkąd wróciła na wybrzeże, nie miała okazji, żeby choć o nim pomyśleć, ale się tu znalazła.

Przez chwilę siedziała w samochodzie, patrząc, jak brązowy Chevrolet Harrisona Frosta wjeżdża na parking i zajmuje wolne miejsce daleko od jej samochodu. Serce waliło jej mocno i szybko. Poszukiwacz prawdy. Czy naprawdę można tak powiedzieć o dziennikarzu? Czy można tak powiedzieć o Harrisonie Froście? Wydawał się taki... bezpośredni, ale przy tym miły. A może zachowywał się tak tylko po to, żeby wyciągnąć z niej informacje? Czy to możliwe, że był tym, którego miała na myśli Cassandra?

Dostała gęsiej skórki na rękach. Było to ostrzeżenie. Przykazała sobie, żeby postępować ostrożnie. Kto wie, jakie są prawdziwe intencje Frosta?

Wysiadła z samochodu, zamknęła go i przyglądała się, jak Frost omija kałuże, które utworzyły się na wysypanym żwirem parkingu. Miał na sobie dżinsy, czarną koszulkę i jakąś cienką bluzę z kapturem. Wyglądał trochę jak nastolatek, pomyślała,

kiedy się do niej zbliżał. Ale przecież na wybrzeżu nikt się nie stroi, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Harrison Frost nadał codziennemu ubiorowi nowy wymiar.

Odgarnął sobie z oczu kosmyk brązowych włosów, kiedy do niej podchodził, ale wiatr radośnie znowu go poderwał. Oczy miał orzechowe z ciemnymi iskierkami, uśmiech, którym starał się ją rozbroić, i dołeczki w policzkach. Laura złapała się na tym, że porównuje go z Byronem, którego twarz była surowa, a oczy jak lasery. Często czuła się przygwożdżona jego spojrzeniem.

Ten facet był o wiele bardziej swojski.

Albo chciał, żeby za takiego go miała.

Upomniała się, żeby się pilnować.

- Dzięki - powiedział w ramach powitania, kiedy do niej podszedł. - Oficjalnie, ja stawiam.

Niemal się roześmiała.

- Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że mają tu najlepsze jajka po wiejsku na całym tym cholernym wybrzeżu.

- Myślałam raczej o daniu z owoców.

Spojrzał na nią ostro, a jego orzechowe oczy rozblęły.

- To był żart, prawda? - spytał, wskazując rozpadający się budynek, do którego mieli zaraz wejść. - Zabawne - dodał, a dołeczki w jego policzkach zrobiły się bardziej wyraźne.

To rzeczywiście był żart, bo Laura była raczej pewna, że Davy Jones's Locker należał do tego rodzaju lokali, których menu nie obfituje w świeże owoce. Wyglądało na to, że stawiają na smażone jedzenie w dużych ilościach. Sama była zaskoczona, bo żartowanie nie leżało w jej naturze, z zasady. Była zbyt... ostrożna... żeby pozwolić sobie na tego rodzaju wymianę zdań, na flirt.

Flirt... Czyżby właśnie flirtowała? Prawie się skrzywiła. Nie daj się uwieść jego urokowi. Nie ufaj mu.

Weszli razem po szerokich, zniszczonych schodach i Harrison precyzyjnie przeszedł przez drzwi ze świetlikiem. W środku stały drewniane stoły, ławy i boksy z siedzeniami z czerwonej skóry ekologicznej. Pod ścianą był bar. Gdy weszli, barman wycierał blat białą ścierką.

- Można siadać wszędzie - rzucił barman, a Harrison poprowadził ją do jednego z boksów.

Ku jej zaskoczeniu w lokalu kilka osób jadło śniadanie. Był to chyba raj dla wszelkiej maści pracowników budowlanych.

W dwóch boksach toczyła się zagorzała dyskusja o pracy przy budowie mieszkań w okolicy lub jej braku.

- Nie powiem niczego na temat mojej rodziny - zastrzegła, wieszając kurtkę na haczyku przymocowanym z tyłu siedzenia. Usiadła naprzeciwko niego. - Właściwie nie bardzo wiem, czemu się na to zgodziłam. Jestem... Pomyślę nad tym później. Ale nie dam panu historii.

- Chyba powinna pani zjeść śniadanie. Dwa jajka? - spytał. Poradziła się żołądka, ale stwierdziła, że się nie buntuje, więc skinęła głową.

- O ile są naprawdę dobre.

- Są.

- Dobrze. Niech pan pamięta, że rozmawiamy prywatnie - przypomniała znowu.

W ich stronę szedł przystojny barman, którego śniada skóra wskazywała na latynoskie albo rdzennie amerykańskie pochodzenie, który najwidoczniej był też kelnerem. Harrison uniósł dwa palce.

- Jajka. Kawa. Dwie?

- Pewnie - powiedziała Laura. - Ze śmietanką.

- I to będzie wszystko - zwrócił się Harrison do barmana. - Chyba że macie dania z owoców.

- Mam sok pomarańczowy i inne napoje.

- Nie, dziękuję - powiedziała Laura, uśmiechając się blado. Skinął głową i poszedł z powrotem, żeby przygotować to, co zamówili.

- Słyszał pan, co powiedziałam? - spytała Laura, jak tylko barman oddalił się na tyle, że nie mógł ich usłyszeć.

- Słyszałem, że chce pani ze mną porozmawiać - powiedział. Laura otworzyła usta.

- Powiedziałam, że rozmawiamy prywatnie!

Pochylił się bliżej, a ona zorientowała się, że odruchowo się odsuwa. Było w nim coś zbyt pociągającego, jakiś aspekt jego osobowości, o którym, jak podejrzewała, doskonale wiedział, i który wykorzystywał.

- Pozwoli pani, że powiem kilka rzeczy. Media będą żyły tym tematem, dopóki Justice Turnbull nie zostanie schwytyany. Telewizja, gazety, Internet... Psychopata na wolności to sensacyjna wiadomość. W tej chwili dziennikarze przekopują stare doniesienia

na temat tego, co się działo tutaj kilka lat temu. Justice należy do pani rodziny. Wszystko to zostanie wyciągnięte. Pani rodzina nie jest w stanie uniknąć rozgłosu. Pani może się uda, bo żyje pani na zewnątrz i chyba nikt o pani nie wie, ale pozostałe... - Powoli pokręcił głową. - Ten dom nie jest rajem. Jest celem na wielkiej czerwonej tarczy. On je ściga, a one tam są.

- Ale nie dostanie się do nich - powiedziała Laura.

- A dlaczego? Bo mają mur i bramę?

- Nie zaatakują ich bezpośrednio. Ma inny plan działania.

- A pani się wydaje, że pani zna jego plan działania? Zawahała się.

- Tak - powiedziała po chwili stanowczo.

- No to może powinna pani powiedzieć o nim policji, żeby mogli go znaleźć i zamknąć z powrotem w szpitalu psychiatrycznym.

- Nie uwierzą w ani jedno moje słowo, a gdybym powiedziała im, skąd to wiem, pomyśleliby, że ja też jestem psychicznie chora.

- Dobrze, ja to strawię. Skąd pani wie?

- Ale zostanie to między nami, zgoda? Skinął głową.

Kelner przyniósł im dwa białe kubki i dzbanek z kawą. Nalał obojgu kawy do kubków i zostawił miseczkę saszetek z cukrem i mały dzbanek śmietanki. Laura z wdzięcznością skorzystała z czasu, jaki zajęło nalanie kawy i dodała trochę śmietanki, myśląc o tym, co zamierza powiedzieć.

Skupiała się nad tym, mieszając powoli śmietankę.

- Wszyscy myślą, że jesteśmy sektą - odezwała się w końcu. - To nieprawda.

- Już pani zdążyła zauważyć, że mamy różne definicje tej samej rzeczy - wtrącił. - Ale nazewnictwo mnie właściwie nie interesuje.

- Jesteśmy po prostu kobietami, które mieszkają razem. Ja z nimi mieszkałam, czas przeszły. Jesteśmy siostrami - powiedziała, chociaż to słowo zabrzmiało dziwnie. Dzięki Justice'owi Turnbullowi.

- Jesteście siostrami? Prawdziwymi, z krwi i kości?

- Tak. Cóż, z prawnego punktu widzenia jesteśmy przyrodnimi siostrami. Ja... hm, chyba nie jestem pewna.

Przypatrywał się jej, jakby wszystko zmyślała.

- Poważnie - powiedziała. - Pytał pan - przypomniała mu.

- I pani mieszka, mieszkała z ciotką? To była ta kobieta, którą widziałem przed domem. Skinęła głową, wracając myślami do domu, do tego, jak bezpiecznie się tam czuła w dzieciństwie, chociaż było to złudne poczucie bezpieczeństwa.

- Moje młodsze siostry mieszkają tam teraz... to znaczy, niektóre. - Spróbowała kawy. Była gorąca i odegnała chłód, który towarzyszył jej od wyjścia z Pieśni Syreny.

- Nie ma pani braci? - spytał.

- Miałam brata, który zmarł, i dwóch innych, którzy odeszli...

- Tak po prostu odeszli i słuch po nich zaginął? Wzruszyła ramionami. Jak miała wytłumaczyć mu, że nie wie, bo w Pieśni Syreny skrywano wiele tajemnic, których ona nie była w stanie odkryć? Nie było mowy, żeby ten mężczyzna kiedykolwiek zrozumiał, jak skomplikowane jest życie za murami Pieśni Syreny. I może nie powinien wiedzieć. Może tak jest lepiej.

- A co z pani mamą i tatą? - drażył Harrison. Posłał jej uśmiech i upił łyk kawy.

- Mama i tata - powtórzyła, uświadamiając sobie, jak dziwnie zabrzmiały jej słowa. - Nie znałyśmy naszych ojców - oznajmiła ostrożnie.

- Ojców? W liczbie mnogiej?

- Między nami - powiedziała znowu.

- Jasne, do cholery! - powiedział, kręcąc głową. - Twierdzi pani, że to nie jest sekta, ale nie ulega wątpliwości, że ma pani obsesję na punkcie tego, czego dowie się o was świat. Westchnęła, zastanawiając się, jak dużo, i czy w ogóle, może mu zdradzić. Pewnie nic, ale było za późno. Siedziała w pieprzonym Davy Jones's Locker. Z dziennikarzem.

- Dobra, niech pan słucha. Ale to trudny temat. Moja matka... - Jak ma opowiedzieć o kobiecie, którą sama ledwie знаła, o matce, która była odległa, tajemnicza i mroczna? - Najłatwiej chyba powiedzieć, że była psychicznie nie zrównoważona. - Laura potarła palcem płamę na stole. - Matka, Mary, nie była wybredna, jeśli chodzi o kochanków, a w każdym razie tak twierdzi moja ciotka. Niewiele z tego pamiętam, ale poskładałam sobie wszystko przez lata. Moja matka miała dużo dzieci, jedno po drugim.

Kilkoro pierwszych oddała do adopcji, ale wydaje mi się, że później coś się stało i już nie oddawała dzieci.

- A co takiego się stało?

- Nie wiem dokładnie. Catherine, moja ciotka, była chora około roku i wszystkim kierowała moja matka, co nie wychodziło jej zbyt dobrze. - Laura wzruszyła ramionami, a wewnątrz restauracji zmniejszyło się do rozmiarów jej pola widzenia, kiedy zaczęły wyłaniać się wspomnienia z domu. Przypomniała jej się Mary z bladą twarzą, stojąca przy oknie na piętrze, patrząca w morze, ze łzami ciekącymi po policzkach i w poplamionej krwią długiej sukni... Laura stała na ciemnych schodach i, kiedy matka płakała, ona w milczeniu, po cichu wymknęła się na dół, wiedząc, że jeżeli powie choć słowo, przeszkodzi matce, ta wpadnie w furję.

Teraz, czując zapach potraw smażonych na głębokim tłuszczu i słysząc śmiech z boksu przy automatach wideo do gry w pokera, które działały jej na nerwy, zamrugła i dotarło do niej, że wpatruje się w niedowierzające oczy Harrisona Frosta. Niesamowite, inteligentne oczy. A nawet seksowne. Ale sceptyczne.

Odkasznęła, zepchnęła niechciane wspomnienia z powrotem w ciemny kąt umysłu, tam, gdzie ich miejsce.

- Nie wie pani, co się stało z Mary? - zagadnął, najwyraźniej zaintrygowany.

Odwróciła wzrok, bo nie mogła wytrzymać tego dociekliwego, strasznie męskiego spojrzenia.

- Ostatni raz, kiedy matka była w ciąży, poroniła, później zajął się nią lekarz, a niedługo potem... odeszła.

- Odeszła?

Kiwnęła głową, przypominając sobie świsty wiatru w starym domu, który jak złowrogi szept duchów wślizgiwał się pod piec. Nagle zrobiło jej się zimno jak na mroźnym, przenikliwym wietrze.

- Umarła?

- Tak. - Obejmowała dłońmi kubek z kawą, opierając łokcie na stole, usiłowała ogrzać się od ceramicznego kubka.

- Co się stało?

- Nie wiem. Nie wie chyba żadna z nas, siostr. W każdym razie mnie nikt nigdy nic nie powiedział.

- Ale ktoś musi wiedzieć. Catherine - zasugerował.

- Jeżeli wie, zatrzymała to dla siebie.

- Jest pani pewna?

- Ja w ogóle niczego nie jestem pewna - odparowała, bo była to najszczerza prawda. - Na terenie posiadłości jest grób, w którym leży Mary.

- Na prywatnym cmentarzu - sprostował.

- Tak. Wtedy był to wielki sekret. Moja ciotka bała się, że nas przestraszy, ale w końcu pokazała nam grób. Kiedy moja matka, Mary, odeszła, Catherine wszystko zmieniła. Adopcje zakończyły się dużo wcześniej, a Catherine zamknęła bramę, odcinając się od świata zewnętrznego. Ja byłam jedną z najstarszych z rodzeństwa, w każdym razie z tego, które mieszkało w domu, i nie podobało mi się to za bardzo. Cały czas próbowałam uciekać, więc Catherine się ze mną dogadała i przez jakiś czas pracowałam w Deception Bay, w sklepie spożywczym, a potem chciałam pójść do szkoły dla pielęgniarek i opuściłam dom, kiedy skończyłam osiemnaście lat.

- Była pani ostatnią, która odeszła?

- Tak, ja... to znaczy... tak. Z tego co wiem, a Catherine powiedziałyby mi, gdyby coś się zmieniło. Wysyłałyśmy do siebie listy. Ślimaczą pocztą. Nie mają komputera i Internetu.

Harrison skinął głową i wyciągnął mały cyfrowy dyktafon z kieszeni kurtki.

- O nie. - Pokręciła głową. - Umówiliśmy się, pamięta pan? Żadnego nagrywania.

Zawahał się i schował go z powrotem do kieszeni.

- Nie jest włączony, prawda? - spytała, gotowa wyjść z knajpy. - Nie włączył go pan i zostawił, żeby nagrywał, jak w filmach?

- Na miłość boską! - Znów wyciągnął małe urządzenie i położył je na stole. Wskaźnik nagrywania był ciemny, ale żeby udowodnić, że nie kłamie, przewrócił go, zdjął osłonę i wyjął baterie. - Zadowolona? - spytał.

- Chyba.

- To dobrze. Ale parę rzeczy chciałbym zanotować. - Wrzucił rozbrojony dyktafon do kieszeni i wyjął notatnik i długopis. Znów miała zaprotestować, ale on pochylił się przez stół. - Niech pani posłucha. Umówiliśmy się i dotrzymuję słowa, zgadza się? Nie zamierzam rozpowiadać pani historii, gdzie popadnie, ale chciałbym zapamiętać kilka szczegółów do artykułu o Justisie, kiedy go złapią.

Laurze się to nie podobało.

- Zaczynam żałować, że z panem rozmawiam.

Ku jej przerażeniu sięgnął przez stół i chwycił ją za rękę.

- Niech mi pani zaufa - powiedział. Palce miał niewiarygodnie silne i ciepłe. Wydało jej się, że przez żyły przepłynął jej prąd i szybko cofnęła rękę. Jego uśmiech sprawiał wrażenie szczerego i zachęcającego. - Nie zrobię ani nie wydrukuję niczego, czego pani nie będzie chciała. Obiecuję. Chyba że miałoby to pomóc ująć tego bydlaka.

W tym tkwił problem, prawdziwy powód, dla którego zgodziła się na wywiad. Jeżeli Frost może pomóc wsadzić Justice'a za kratki, to ona chciała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby mu pomóc, a wiązało się to też z tym, żeby pozwolić mu zajrzeć do Pieśni Syreny. Znowu wpatrywał się w nią tymi cholernymi oczami.

Wyćwiczony urok. Znowu.

- Ale najpierw mi pan powie? Prawda? Zanim cokolwiek pan zrobi? - To nie potoczyło się tak, jak zamierzała. Wcale - Tak.

Przyglądała mu się, zastanawiając się, czy może mu wierzyć. Nie ma mowy, skoro robi notatki. Ale niestety, stało się, już otworzył notes.

- Wracając do pani matki, Mary. Niech mi pani coś o niej opowie. Jaka była?

- Naprawdę nie wiem, szczerze. Była dla nas wszystkich trochę tajemnicza. Catherine mówiła, że cały czas się z mamą o nas kłóciła. Odmienne podejście do wychowania. Catherine była zwolenniczką dyscypliny, a moja matka chciała wolnej miłości.

- Ile miała pani lat, kiedy matka zmarła?

- Chyba dziesięć, prawie jedenaście. Nie wiem dokładnie. Byłam dzieckiem, a to był swoisty temat tabu.

Zanotował.

- Ale stało się to mniej więcej wtedy, kiedy Catherine zamknęła bramę.

- Chyba tak.

- To dziwne. - Pokręcił głową.

Nie tylko dziwne, pomyślała, biorąc kolejny łyk kawy ze stygnącego kubka, to było konieczne. Zeby nie wpuścić demonów.

Rozdział 12

Justice obudził się nagle i niemal podskoczył na prowizorycznym łóżku, które zrobił z ciężkiej kurtki Cosmo i swojego ubioru z Halo Valley, który zwinięty w kłębek służył za poduszkę. Stare dębowe deski pod nim były twarde. Serce obijało mu się o żebra, kiedy siadał. Światło sączyło się do środka ponuro przez szpary w okładzinie ścian i przez jedno brudne, pokryte pajęczynami okno w zachodniej ścianie budynku.

Potrzebował transportu... mógłby...

Jego nos wypełnił zapach obrzydliwej perfidii.

Jedna z nich jest w pobliżu!

Ta w ciąży.

Jego wargi uniosły się bezwiednie.

Jej odór przyzywał go, żeby posłał ją i rosnącego w niej potwora w czarną otchłań, z której się wzięli.

Puls mu przyspieszył, serce mocno waliło i zaczął się pocić, chociaż nadal panował poranny chłód, a za jedynym oknem mglisty poranek zasłaniał brudną szybę. Senność nagle zniknęła i ukazała mu się skwiercząca wizja wielkiego zła i wijącego się między korzeniami jego drzewa genealogicznego. Jak wąż, który zakradł się pomiędzy nich i zatrzał ich krew. Był tam od lat. Przez pokolenia. I znalazł mieszkanie w kobiecym sercu i łonie, wysłany wprost z piekła, żeby wypełnić wolę szatana.

Dostał gęziej skórki. Widział szatana w kobiecie, która wydała go na świat. Wyczuł go w ciałach swoich sióstr.

Dziwek, co do jednej. Ukrywających się jak węże pod głazami... tylko zapach tej jednej był zbyt mocny. Była w pobliżu.

Pozwolił, żeby podniecenie w nim narastało. Spędził lata w zamroczeniu, bezsilny, nie mógł zrobić tego, co zrobić trzeba. Później była Jezebel. Wytropił ją poza murami ich diabelskiej twierdzy. Aż wpuszczono ją do środka.

Przyjęto ją. Do samego serca Pieśni Syreny, ohydneho miejsca, z którego wyrzucono go jak śmiecia. Razem z suką, która go urodziła. Był zmuszony przetrwać kolejne jej ciąży i znosić potwory, które urodziła. Jego siostry. Te, które były najbliżej z nim spokrewnione, o wiele bliżej niż kobiety, które teraz mieszkały w domu, i które, o czym doskonale wiedział, były jego kuzynkami, a łączyli ich przodkowie, którzy wybudowali dom...

Siostry...

Wzdrygnął się na myśl o nich wszystkich. Był niepewny i niezdecydowany, dopóki nie złapał i nie zadźgał Jezebel. A wtedy już wiedział. Wyraźnie widział swoją drogę. Ale matka suka popadła w szaleństwo i wyśmiewano się z niej w mieście. Wróżyła z dłoni i z kart za pieniądze. Kłamała, żeby móc się wyżywić. Marzyła, żeby móc być znowu z nimi.

Chociaż nigdy nie powiedziano mu prawdy - o nie, to matka czarownica zamierzała trzymać go cały czas w nieświadomości, ale się dowiedział. Ona, ta dziwka, która go urodziła, została wyrzucona, bo przespała się z jednym z mężczyzn plugawej suki. Nienawidził jej tak bardzo jak całej reszty. Raz niewiele brakowało, żeby ją zabił. Teraz dostał drugą szansę, żeby wykonać zadanie.

To była wola Boga.

Usłyszał drapanie pazurów o dach, a potem krzyk samotnego kruka. Zamrugał i przesunął dłonią po zaroście na twarzy. Potrzebował transportu. Był przecież tylko człowiekiem, chociaż różnie go nazywali. Psychol. Schizol. Szaleniec zabójca. Świr. Nie robiło już to na nim wrażenia, chociaż kiedyś bolało go to tak, jakby wbijali mu gwoździe w oczy i uszy za każdym razem, kiedy któraś z siostr obrzucała go epitetami.

Bydlak.

Głupek.

Niedorozwój.

Psychol.

Nie były wcale lepsze. A właściwie były o wiele gorsze.

Palił się do tego, żeby wypełnić bożą wolę. Wziął na siebie obowiązek zabicia ich wszystkich. Każdej jednej, żeby choroba, która je nęka, została raz na zawsze pokonana.

Pomyślał, że nie może liczyć na nikogo. Wstał, poczuł, że ma pełny pęcherz, i pokręcił głową, aż chrupnęło mu w szyi. Był jedynym mężczyzną w rodzinie, który dożył wieku dorosłego. Siostrom udało się zabić wszystkich innych. Każde dziecko płci męskiej. Oprócz niego.

Złość wzburzyła mu krew, aż zazgrzytał zębami na tę niesprawiedliwość. Zacisnął pięści tak, że na nadgarstkach pokazały mu się żyły.

Był zdecydowany, żeby pomścić śmierć braci.

I był zdecydowany, żeby zostać ostatnim z ich przekłętego pokolenia na ziemi.

Sawy pchnęła szklane drzwi Seagull Pointę i przeszła po pasie przemysłowej niebieskiej wykładziny do biurka. Nie była w mundurze, bo tak naprawdę nie była zastępcą szeryfa. Wcześniej była detektywem w Gresham, a teraz była detektywem w Biurze Szeryfa Okręgu Tillamook i nie lubiła zwracającego uwagę piaskowego munduru. Miała jednak plakietkę, którą pokazała dziewczynie za ladą, oddzielającą obszar biurowy od holu recepcji. W powietrzu wisiał zapach kawy i bekonu po śniadaniu. Paru mieszkańców siedziało jeszcze przy stołach w jadalni, dużej sali w olbrzymim wykuszu obok głównego wejścia. Recepcjonistka wpatrywała się w plakietkę Sawy, jakby nie miała pojęcia, co zrobić.

- Detektyw Savannah Dunbar z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook - przedstawiła się Sawy. - Chciałabym się spotkać z jedną z pacjentek, Madeline Turnbull.

- Och... uhm... - Recepcjonistka obejrzała się przez ramię, jakby miała nadzieję, że nagle zjawi się ktoś bardziej kompetentny, ale kiedy dotarło do niej, że jest zdana wyłącznie na siebie, spojrzała na zegar nad drzwiami. - Uhm... Zadzwoń do dyrektora.

- Recepcjonistka, która wyglądała najwyżej na osiemnaście lat i która na identyfikatorze miała napisane „Keri”, wcisnęła przycisk i czekała. - Uhm... chyba go nie ma. - Oblizwała nerwowo wargi. Rozmowa z przedstawicielem władz najwyraźniej ją krępowała.

- Chwileczkę - powiedziała, wstając z krzesła. - Przyprawdę Inge.

Jaką Inge, do cholery, pomyślała Sawy.

Czekała kilka minut, zdażyła obejrzeć wszystkie wyróżnienia wywieszane dumnie obok listy obecności i wazonu z jedwabnymi kwiatami - różami i goździkami.

Keri pojawiła się znowu z Ingą, prawdopodobnie, i nie przejmując się tym, żeby ją przedstawić, opadła z powrotem na swoje krzesło.

- Jestem Inga Anderssen - powiedziała kobieta w średnim wieku, siwiejąca blondynka, szczupła, pospolitej urody. Przyjrzała się Sawy dokładnie. - Nasz dyrektor, Darius Morrow, jest niedostępny. W czym mogę pani pomóc?

Sawy jeszcze raz wyniszczyła, o co chodzi, a Inga po prostu pokręciła głową.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Madeline nie odpowie pani na żadne pytania. Nie jest świadoma tego, co się dookoła niej dzieje.

- Mimo wszystko chciałabym się z nią spotkać.

- Media już próbowały. - W głosie Ingi słychać było cień satysfakcji. Oczywiście, dziennikarzom się nie udało, a ona to przewidziała.

- Rozumiem, że nie chciała pani dopuścić mediów, ale ja jestem tu z urzędu.

- I powiedziałam pani, że nie da się z nią porozmawiać. Keri przesunęła papiery na drugą stronę biurka, a starsza para ruszyła korytarzem, pchając swoje balkoniki, żeby uciec z okolicy recepcji. Sawy i Inga zmierzyły się wzrokiem.

Sawy doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jej młody wiek i wygląd na ogół działają na jej niekorzyść.

- Zmusi mnie pani do tego, żebym zdobyła nakaz sądowy? - powiedziała z uśmiechem, ale jej głos nie był zaczepny. Inga zmierzyła ją wzrokiem. Chciała wojny. Bardzo, bardzo chciała. Ale dla obu było jasne, że Sawy będzie miała po swojej stronie prawo.

- Dobrze - wycedziła w końcu przez zęby, wruszając obojętnie ramionami. - Tędy. - Poprowadziła Sawy korytarzem na prawo, prowadzącym do tej części budynku, w którym znajdował się dom opieki. Pokoje pacjentów wymagających opieki znajdowały się po przeciwnej stronie, o czym informowały znaki przymocowane na ścianach. Inga zwolniła przy jednej z sal i weszła do środka.

Madeline „Szalona Maddie” Turnbull leżała na szpitalnym łóżku, a jej skóra na tle białej pościeli wydawała się szara. Pokój był zupełnie pusty, nie było w nim ani jednej osobistej rzeczy. Żadnych zdjęć w ramkach, bukietów, pamiątek z poprzedniego życia. Obok łóżka stało krzesło z deską sedesową i zbiornikiem, a w jej stronę zwrócony był stolik z tacą, na której stała szklanka z wodą i ze słomką. Nawet roleta okienna była spuszczone, a pokój wydawał się obrzydliwy i ciemny, prawie jak grób. Unosił się w nim charakterystyczny zapach moczu i środków dezynfekujących. Oczy Madeline były otwarte i wpatrywały się w sufitowe płytki. Sawanah widziała podobne spojrzenie u ojca, kiedy

wszedł w mroczny nierealny świat niedługo przed śmiercią. Nie wiedziała nic o tej kobiecie, ale mogła się założyć, że za kilka tygodni czy dni jej nie będzie.

- Detektyw Savannah Dunbar - przedstawiła się milczącej kobiecie. - Pani syn Justice był pacjentem zamkniętego szpitala Halo Valley. Uciekł wczoraj wieczorem i do tej pory nie został odnaleziony.

Madeline leżała cicho, jej pierś ledwie unosiła się i opadała. Żadnej reakcji na wiadomość.

- Może chce się z panią zobaczyć. - Sawy czekała, ale nic się nie wydarzyło.

Panująca w pokoju duchota zaczęła ją męczyć i zrobiło jej się niedobrze. Ta fizyczna reakcja ją zaskoczyła, bo nie przypuszczała, że jest tak wrażliwa, chlubiła się profesjonalizmem i miała zawsze odporny żołądek. Ale wrażenie nieuchronnej śmierci, zapach chloru, potu i czegoś słodkiego, czego nie mogła zidentyfikować, przyprawiło ją o lekkie zawroty głowy.

Kiedy usłyszała za sobą ciche piknięcie, spojrzała na Inge Anderssen, przyglądającą się małemu pagerowi, który wyjęła z wewnętrznej kieszeni.

- Kończy pani?

- Tak.

- Wyjdę z tym na zewnątrz - ostrzegła i się wymknęła. Savannah usłyszała, jak dzwoni do kogoś i z miejsca zaczyna go strofować za opiekę nad innym pacjentem.

Przymknęła drzwi, skupiając się znów na Maddie.

- Uprzedzimy personel. Dopilnują, żebyście pani i pozostali pacjenci byli bezpieczni. Jeżeli jednak uda mu się nawiązać z panią kontakt, niech pani przywoła pielęgniarkę przyciskiem. Niech pani natychmiast da nam znać.

Czekała, odliczając w myślach sekundy, aż będzie wypadało wyjść, żeby nie wyszło na to, że uciekła. Usłyszała, że Inga Anderssen kończy rozmowę na korytarzu i odwróciła się bokiem do drzwi.

- To chłopiec - odezwała się kobieta z łóżka.

- Słucham? - Sawy obejrzała się za siebie i serce prawie jej stanęło. Myślała, że kobieta jest w śpiączce, ale mówiła wyraźnie. Maddie spojrzała w bok, przeszywając ją wzrokiem w niemal upiorny sposób. Sawy poczuła niepokój.

- Chcesz poznać swoją przyszłość? - spytała staruszka.

- Pani detektyw? - Głos Ingi z korytarza sprawił, że Savannah podskoczyła jak oparzona.

Pielęgniarka pchnęła drzwi, otworzyła je mocniej i patrzyła na nią, marszcząc brwi, z surową miną.

- Skończyła pani?

Sawy obejrzała się na Madeline, której oczy delikatnie się zamykały, jakby wysiłek ją wyczerpał. Przez długą chwilę przyglądała się staruszce bliskiej śmierci, a potem odwróciła się do Ingi.

- Właśnie się do mnie odezwała.

- Co? - Inga uniosła jedną brew. - Niemożliwe.

- Nie mówi?

- Ani słowa.

- Ale do mnie się odezwała.

- To chyba pani urok - powiedziała Inga z niedowierzaniem. - Słyszysz, Maddie? Pani detektyw myśli, że się do niej odezwałaś.

Kobieta na łóżku ledwie oddychała.

- Tak, faktycznie. To po prostu gaduła nie z tej ziemi. Co chciała zrobić? Powróżyć pani? - Inga chichotała, a Sawy, widząc, że Szalona Maddie znów odpłynęła w mroczny świat pomiędzy życiem a śmiercią, wyszła na korytarz, mijając bezwzględną pielęgniarkę. Ominęła staruszkę na wózku i skierowała się szybkim krokiem w stronę drzwi wyjściowych. Chłód poranka wymierzył jej mocny policzek, ale szła dalej, chociaż miała ochotę biec. Szalona Maddie wyrwała się ze śpiączki i powiedziała parę słów. I co z tego?

- Jezu, ogarnij się.

Szła przez parking i akurat kiedy znalazła się przy służbowym dzipie, zadzwoniła jej komórka. Wypuściła nieświadomie wstrzymywany oddech.

- Dunbar - powiedziała.

- Burghsmith i Clausen znaleźli karetkę - oznajmił krótko Lang. - Tę z Halo Valley, którą uciekał Turnbull.

- To dobrze. A co z nim?

- Na razie nie ma śladu, ale wygląda na to, że mieliśmy rację. Kieruje się na wybrzeże. Karetkę znaleźli sporo na zachód od Halo Valley.

Sawy obejrzała się przez ramię po prawie pustym parkingu, jakby spodziewała się, że zza krzaków wyskoczy Justice Turnbull. Oczywiście, nie wyskoczył.

- Jak ci poszło z Szaloną Maddie? - spytał Lang.

Sawy, marszcząc czoło, spojrzała w tył, na drzwi wejściowe do Seagull Pointe.

- Jest przykuta do łóżka. Właściwie nieświadoma. Powiedziała jej o Justisie, ale nie wiem, ile do niej dotarło.

- Odpowiedziała?

- Wydawało mi się, że coś do mnie powiedziała, ale... - Przecież wiesz, że coś powiedziała! - ...Pielęgniarki twierdzą, że nie mówi ani słowa.

- Wracaj, to pojedziemy tam, gdzie znaleźli karetkę. Chyba wygląda na to, że Turnbull wjechał nią na górę i zepchnął ją do wąwozu. Musiał się z kimś zabrać. Podejrzewam, że mógł wtedy wrócić do doliny, ale musiałby przejeżdżać obok Halo Valley, obok wszystkich naszych ludzi. W każdym razie wiemy, że ma tu niedokończoną sprawę.

Myślisz, że będzie się próbował spotkać z matką?

- Możliwe. - Znów poczuła niepokój, co było niedorzeczne. Na miłość boską, była glina, o stalowych nerwach i tak dalej.

- Usiłował ją kiedyś zabić - przypomniał Lang, bardziej jakby mówił do siebie niż do Savannah.

- Personel jest ostrzeżony, są bardzo opiekuńczy w stosunku do Madeline. Nie chcieli mnie do niej dopuścić. Nic nie powinno się jej stać.

- A co o niej myślisz?

- Jak mówiłam, nie jest zupełnie świadoma.

- Pytałem o nią ludzi w mieście. W swoim czasie była niezłą wariatką.

„To chłopiec!”. Przez myśl przemknęły jej słowa Maddie.

- Niektórzy wciąż się jej boją - ciągnął Lang. - Chociaż wydaje mi się, że bardziej nieznośna była w ostatnich latach, zanim Justice na nią napadł. Patrolujemy teren dookoła zabitego deskami motelu, ale nic się nie dzieje.

- A latarnia?

- Prowadzi tam tylko jedna droga. Nie próbował się tam dostać. Obserwujemy Szaloną Maddie, jej motel, latarnię, Pieśń Syreny i czekamy, aż Justice się pokaże. Ale ciężka sprawa, może być wszędzie i jest za cwany, żeby wracać w stare miejsca. - Lang był sfrustrowany. - Nieważne, wracaj i jedziemy.

- Czekaj! Skontaktowałaś się z McNallym? - spytała, mając na myśli emerytowanego detektywa z policji w Laurelton.

- Nie dodzwoniłem się. Dowiedziałem się, że wyjechał na kemping z synem na weekend. Jest chwilowo poza zasięgiem. Ale rozmawiałem z Beccą Sutcliff Walker. Od ucieczki Justice'a siedzą z mężem, Hudsonem Walkerem, jak na szpilkach. Powiedziałem im, że do nich pierwszych zadzwonię, jak tylko uda nam się go złapać.

- Mam nadzieję, że szybko - powiedziała Sawy z przejęciem.

- Ja też.

Sawy się rozłączyła, zamknęła oczy i uniosła głowę ku niebu. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Z gór zeszła mgła, która osiadła na plaży, sprawiając, że poranek był ciemny, a wszystko mniej wyraźne.

Wsiadła do dżipa, sprawdziła, która godzina, i uświadomiła sobie, że cała akcja z Inga, Maddie i rozmową z Langiem trwała niecałe pół godziny.

Boże, to będzie długi dzień! Wyjeżdżając z parkingu, spojrzała we wsteczne lusterko. Wiedziała, że Justice Turnbull jest zabójcą. Obsesyjnym psychopatą, który ma jeden cel. Ale jeżeli jest choć w połowie tak przerażający jak jego matka, to znaczy, że tym określeniom czegoś brakuje. Czegoś nieokreślonego.

„Chcesz poznać swoją przyszłość?”

Pokręciła głową i uruchomiła stacyjkę.

Do diabła, nie.

Rozdział 13

Laurze zaczęło burczeć w brzuchu.

Miała wrażenie, że całą wieczność czekali na jajka po wiejsku, które w końcu im podano z przeprosinami.

- Zamieszanie w kuchni. Przepraszam - powiedział barman, bo zamawiali pół godziny temu.

Laura ostrożnie spróbowała potrawy. Harrison się jej przyglądał.

- Naprawdę smaczne - stwierdziła, zaskoczona, po pierwszym kęsie.

- Mówiłem - odparł z satysfakcją. - Warto czekać.

- Tego nie wiem.

Przez kilka chwil byli pochłonięci jedzeniem.

- Trochę za łatwo się z panem rozmawia - powiedziała ostrożnie Laura.
 - Rozumiem, nie ufa mi pani.
 - A powinnam?
 - Niech pani mi powie. - Roześmiał się.
 - To nie jest odpowiedź, Frost. - Wycelowała w niego widelec. - Domyślam się, że to - śniadanie, potulne podejście, beztroski uśmiech - składa się na pana technikę przeprowadzania wywiadów.
 - Jeżeli działa, może to pani nazywać, jak pani chce. - W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.
 - Wiem. Nie zagłębia się pan w nazewnictwo.
- Wziął butelkę ostrego sosu i polał nim jedzenie na swoim talerzu.
- Niech mi pani powie - zastanawiał się głośno - dlaczego policja miałaby pomyśleć, że jest pani stuknięta, gdyby powiedziała im pani, że zna plan Justice'a?
 - A pan by tak nie pomyślał?
 - Może. - Wziął kęs i popił go kawą. - A właściwie, jaki jest?
 - Jego plan? - Laura spojrzała w jego orzechowe oczy, które ją lekko hipnotyzowały. I przerażały. - Chyba jedynie on może na to odpowiedzieć.
- Harrison dolał im kawy z dzbanka, ona dodała do swojej śmietanki.
- Wierzy pan w zjawiska nadprzyrodzone? - spytała ostrożnie, mieszając kawę, aż śmietanka zniknęła. Wiedziała, że wchodzi na niebezpieczny grunt. On był dziennikarzem, interesowały go fakty, rzeczy, których mógł dotknąć, posmakować, usłyszeć i powąchać. Raczej nie zainteresują go „odczucia” i „wrażenia”.
 - Niezupełnie.
 - Tak myślałam.
- Włożył do ust widelec z fasolką, tortillą i sosem wiejskim.
- Dlaczego? - spytał, kiedy przełknął.
 - Policja też nie wierzy.
 - Chce pani powiedzieć, że ma pani zdolności parapsycho-logiczne?
 - Niezupełnie - powiedziała, celowo go naśladując. - Ale moja rodzina doświadcza...
 - Doświadcza? - powtórzył, kiedy zwiesiła głos.
 - Mamy... wszystkie mamy...

- Tak?

Zastanawiała się, poważnie się zastanawiała, czy naprawdę zamierza się do tego przyznać. Serce zaczęło jej walić.

- Paranormalne zdolności? - podsunął.

- Wiedziałam, że mnie pan wyśmiej.

- Nie śmieję się - powiedział z taką szczerością, że prawie mu uwierzyła. Prawie. - Staram się tylko zgadnąć, dokąd pani zmierza. - Ona milczała, więc odezwał się on. - Chce pani powiedzieć, że ma pani nadprzyrodzone zdolności czy coś takiego?

- Nieźle, niepotrzebnie zaczęłam ten temat - mruknęła. - Wiedziałam, że będę żałować.

- Niech pani posłucha, może trudno mi uwierzyć w te wszystkie nadprzyrodzone kwestie, ale nie neguję tego.

- Nie? - sprowokowała go.

Uśmiechnął się, tym seksownym uśmiechem, który wydawał jej się nedorzecznie fascynujący. Spojrzała w talerz, opierając się urokowi Frosta, jego skutecznym sztuczkom.

- Udowodnię pani. Może mi pani podać przykład tego, o czym pani mówi?

- Jestem pielęgniarką. Dobrą pielęgniarką i wierzę w naukę i medycynę. Jeżeli powtórzy pan to, co zamierzam panu powiedzieć, wyprę się. Będę zwyczajnie kłamać, bo jestem dobra w tym, co robię, i nie chcę, żeby pacjenci mieli mnie za wariatkę.

- W porządku.

Odwzajemniła jego uśmiech z niedowierzaniem.

- Własne opinie nie pomagają w przeprowadzaniu wywiadów - zauważył Harrison. - Muszę przyznać, że strasznie mnie pani zaciękawiała.

- Mam siostrę jasnowidzkę - oznajmiła Laura. - Widzi przyszłość.

- Na przykład?

- Wiedziała, że Justice uciekł, zanim jej powiedziałam.

- Hm, o tym mówili w wiadomościach...

- Uhm-uhm. - Laura pokręciła głową. - Nie mają telewizora. Żadnych informacji z zewnątrz. Wiedziały tylko to, co powiedziała im Cassandra.

- Cassandra?

- Niech pan tego nie pisze! - powiedziała szybko, kiedy Harrison sięgał po notes, a drzwi restauracji otworzyły się i do środka

weszło trzech mężczyzn, którzy zajęli miejsca przy stoliku obok. Ściszyła głos. - Mówię poważnie.

- Wiem. - Uniósł dłonie. - Rozumiem. Właśnie miałem panią zapytać, jak wszystkie mają na imię. Z tego co widzę, przeszkadza pani to, żebym je sobie zapisał.

- Nie podam ich imion. Niech pan nie robi czegoś, przez co pożałuję, że powiedziałam panu o Cassandrze.

- Dobrze - powiedział.

- Dobrze. - Była stanowcza.

- A w takim razie, co z panią? Jakie pani ma zdolności? Spojrzała na swój w połowie pełny talerz i odsunęła go delikatnie. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Wiedziała, że nie może.

„Potrzebujesz poszukiwacza prawdy”.

- Pani Adderley?

- Laura. A właściwie Lorelei.

- Lorelei, jak w micie?

Wpatrywała się w niego zaskoczona. A więc wiedział. Niewielu kojarzyło to imię.

- Specjalizowałem się w dziennikarstwie z literaturą angielską - wyjaśnił.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Cały czas ją zaskakiwał, aż zaczęła sobie zadawać pytanie, czy przypadkiem nie ma uprzedzeń. Nie, nie. Nie będzie się zastanawiać. Jeżeli cokolwiek się nauczyła z małżeństwa z wszechwiedzącym Bogiem pod postacią Byrona Adderleya, to tego, że naprawdę zna swój umysł. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Dobrze, proszę bardzo. Czasami wiem, co jest pacjentowi. Potrafię odgadnąć diagnozę.

- A to takie dziwne... jak na kogoś, kto zajmuje się medycyną?

- Może nie. - Zaciśnęła usta. Wiedziała, że jej zdolność jest czymś wyjątkowym, ale jeżeli on nie był skłonny w to uwierzyć, nie miała zamiaru drażnić tematu. Chciała, żeby ktoś pomógł odnaleźć Justice'a, a jak na razie, najlepszym kandydatem był on. - Ale... prawdziwą zdolnością paranormalną, o której chyba chciałbyś wiedzieć... jest...

- Jest? - ponaglił.

O mało się nie roześmiała. Co wyniknie z tego, że się przyzna?

- Dobra. Jest to, że potrafię słyszeć Justice'a.

- Słyszeć? Jak to?

O Boże, co teraz. Teraz Frost będzie pewien, że jest stuknięta.

- To znaczy, że słyszę jego głos dobijający się do mojego umysłu. Mówi do mnie.

Harrison Frost naprawdę bardzo, bardzo mocno się starał, żeby nie zdradzić się miną. Laura wyczuwała, jaki wysiłek wkłada w to, żeby jej uwierzyć.

- No i co takiego mówi? - spytał ostrożnie.

- Wiedziała. Nabijasz się ze mnie.

- Co mówi? - powtórzył.

- Mówi: „sssiosstrro” - syknęła. - Słysząc w tym taką groźbę, że przedziera się do mojego umysłu i wiem, że mnie ściga.

Harrison bacznie się jej przyglądał, ale na jego twarzy nie było niedowierzania.

- Czułam go przez całe życie. Wysyłał wiadomości od lat, chociaż zrozumiałam, o co w nich chodzi, dopiero kiedy byłam starsza. A ostatnią zrozumiałam dopiero teraz, odkąd ma misję.

Twarz Harrisona była poważna, oczy pociemniały mu groźnie, mocno zaciskał szczęki, a na jego ustach drżał cień uśmiechu.

- Misję zabijania ludzi? Od kilku lat? O tym mówisz? Skinęła głową.

- Justice ściga moją rodzinę. Nie wiem dokładnie dlaczego. Chce zabić nas wszystkie.

- I w tym celu wysłała ci informacje?

- Tak. Wiem, jak to brzmi. - Potarła mocno twarz, żalując, że zaczęła temat, bo wiedziała, że teraz nie ma już ucieczki. Poza tym potrzebowała, żeby ktoś wiedział o tym, że ma kontakt z Justice'em, chociaż podejrzewała, że powierzenie tego dziennikarzowi takiemu jak Harrison Frost nie było najlepszym pomysłem. - W tej chwili jego głos jest naprawdę mocny. Wie, gdzie jestem. Ma mnie na celowniku.

- Myślisz, że chce cię zabić. I moje dziecko.

- Tak. - Tego była pewna.

- Co ma do was wszystkich?

- Dobre pytanie. Catherine mówi, że Mary była dla niego okrutna, kiedy był dzieckiem. Ale do końca nie wiem, co się za tym kryje. Ludzie mogą być niemili, a nawet brutalni, ale okrucieństwo można sobie też wmówić. Tak czy siak, ofiara jest prawdziwa.

Pstryknął długopisem, marszcząc czoło w skupieniu.

- A co z matką Tustice'a?
 - Madeline - powiedziała, przypominając sobie. - Nie wiem. Ale próbował ją zabić. Nigdy nie wysłał mi na ten temat żadnej informacji, a kiedy... kiedy się do mnie zbliża, blokuję go.
 - Mówisz o umyśle?
 - Tak. Zdecydowanie.
 - Więc on też ma tę zdolność.
 - Tak, chyba tak. - Skinęła głową.
 - Więc jak to się dokładnie odbywa? - Harrison zmrużył oczy.
 - Buduję w umyśle mur i w ten sposób go blokuję. Wyobrażam sobie ścianę, buduję ją mocną i wysoką, i tak się od niego odcinam.
 - Powiedziałaś, że jego głos jest teraz mocniejszy.
 - Od uciezki. Tak. - Skinęła głową i poczuła, że włoski na karku jej się uniosły na myśl o odrażających syczących wiadomościach Justice'a. - O Boże, to jest straszne.
- Harrison przyglądał jej się przez chwilę.
- To mi chyba wystarczy. Na razie nie mam więcej pytań.
 - To dobrze. - Prawdę mówiąc, była wykończona. Wydobywanie z pamięci tych wszystkich wspomnień i skupianie się na wrogości Justice'a było wyczerpujące.
- Harrison wychylił się, i dał znać barmanowi, żeby przyniósł rachunek. Po kilku sekundach był przy ich stole. Harrison zostawił na stole kilka banknotów, a ona w tym czasie włożyła kurtkę. Przeszli pomiędzy stolikami i minęli bar, przy którym, mimo wczesnej pory, barman nalewał piwo i robił bloody mary.
- W pewnej chwili Laura poczuła na plecach dłoń Harrisona.
- Chcę dopaść tego faceta. Naprawdę chcę go dorwać.
 - Ja też - odpowiedziała Laura z przekonaniem. Nie zaśnie spokojnie, dopóki Justice nie znajdzie się z powrotem za kratkami. Albo zginie.
 - Jeżeli możesz mi pomóc, jestem jak najbardziej za, nieważne w jaki sposób. - Otworzył szeroko drzwi, ukazując ponury dzień za nimi. - Jeżeli się do ciebie odezwie, daj mi znać.
 - Dobrze. - Miała taki zamiar, chociaż nie wiedziała, czy wyniknie z tego coś dobrego. Stała na schodach, spoglądając na ocean, i zauważyła, że mgła przesuwana się w stronę brzegu. W końcu całkiem przesłoniła plażę i utrudniła pracę sprzątającym ochotnikom, którzy przyjechali na wybrzeże zbierać śmieci.

Zastanawiał się przez chwilę, kiedy zaczęli schodzić po szerokich schodach, przeszkadzając mewie, która grzebała w ziemi przy chodniku.

- Chwileczkę. To działa w obie strony? Ty też możesz do niego mówić?

Nigdy nie próbowała. Nie chciała.

- Nie wiem. Może. - Wszystko jest możliwe.

- Może raczej powinienem spytać, czy zdobyłabyś się na to, żeby się do niego odezwać. Wiesz, żeby go zwabić.

Przystanąła na ostatnim stopniu i spojrzała na niego groźnie.

- Dobrze zrozumiałam? Chcesz, żebym naraziła się na niebezpieczeństwo. To psychopata. Jeżeli... jeżeli go wpuszczę, będzie wiedział, gdzie jestem.

Harrison mrużył oczy w postrzępionym świetle przebijającym się przez gęstniejącą mgłę.

- I przyjdzie po ciebie. Tak myślisz?

- Tak!

- Jesteś pewna?

- Raczej tak.

Jeszcze bardziej spochmurniał.

- Okej. To niedobrze.

- Całkiem niedobrze. - Czuła, jak zimna wilgoć poranka pieści jej skórę, przesywając ją znów chłodem do szpiku kości. - Wie, gdzie pracujesz?

- Nie wie o mnie niczego poza imieniem. Przynajmniej taką mam nadzieję - powiedziała, czując ukłucie w sercu, kiedy szli przez parking wysypany żwirem, który chrząścił pod ich stopami.

- Wie, jak wyglądasz? - spytał.

Nie zdążyła się powstrzymać i dotknęła swoich farbowanych włosów, a on podążył wzrokiem za jej gestem.

- Jeżeli się do mnie zbliży, to chyba mnie pozna.

- To dlatego wczoraj unikałaś kamery?

- Nie chciałam wystąpić przed kamerą z różnych powodów, ale tak - przyznała. - Ten był najważniejszy.

- Kiedy słyszałaś go ostatnio? - spytał.

- Dzisiaj rano, pod prysznicem. - Przypomniała sobie jego syk w strumieniu wody i znów poczuła Justice'a... tak blisko., tak cholernie blisko. - Powiedział, że idzie po mnie.

- Słowami?

- Nie... nie wiem. - Laura czuła się zawstydzona. Obnażona. To, jak Harrison na nią patrzył i usiłował zrozumieć, było męczące.

- Wyjaśnijmy coś. Odkąd uciekł, myślisz, że wiadomości są wyraźniejsze - powtórzył.

- Jestem tego pewna. Możliwe, że wiadomości od niego były zablokowane, kiedy był w Halo Valley. Nie docierały do mnie, odkąd został osadzony.

Harrison powoli skinął głową.

- Wiem, jak to brzmi - powiedziała Laura. - Jakbym była pomyłona, o krok od Halo Valley.

- Nie. - Pokręcił głową, a ona zauważyła, że jego włosy pod wpływem wilgotnego powietrza stają się ciemniejsze. - Słyszałem już wiele dziwnych rzeczy. Może masz jakieś zdolności. Może nie. Może to po prostu intuicja. Może coś więcej. Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to. - Wyglądało na to, że mówi szczerze. Jednak nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy, bo się bała, że może się w nich zatracić i zacząć wierzyć we wszystko, co Harrison mówi, a wiedziała, że to byłoby głupotą. - Ale chcę pójść tym tropem i zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Ty oczywiście w to wierzysz, a jeżeli dzięki temu uda się schwytać bydlaka, to dobrze. Wydaje ci się, że przez pewien czas go nie słyszałaś, bo był zamknięty.

- Tak... może z powodu odległości, ale... mam przeczucie, że mogło to być spowodowane lekami, które w jakiś sposób zakłóciły jego zdolności. Ale to tylko moje domysły. Nie wiem tego na sto procent.

- Nieważne. Chodzi o to, że nie mógł do ciebie dotrzeć, dopóki nie uciekł. Ale teraz odzywa się głośny i wyraźny.

- Tak - powiedziała, wiedząc, że przynajmniej w części jest to kłamstwo.

Ciąża. To dlatego jest blisko. Znalazł mnie dlatego, że jestem w ciąży. Nie było to spowodowane tylko tym, że wcześniej był uwięziony.

- Co? - spytał Harrison, błędząc wzrokiem po jej twarzy, jakby czytał jej w myślach.

Muszę ocalić moje dziecko.

Mało nie wpadła w dziurę, ale Harrison chwycił ją za rękę.

- Wszystko w porządku?

Nie, nie jest w porządku. Nigdy nie będzie w porządku, dopóki Justice będzie na wolności, a może dopóki nie umrze.

Starając

się zapanować nad swoimi emocjami, zamknęła oczy i zwróciła twarz do oceanu. Czowała ciężkie od deszczu powietrze, kojące jej szalejący umysł, kiedy silna dłoń trzymała ją mocno za łokieć.

- Posłuchaj, zamierzam go ścigać - powiedział z przekonaniem. - To zabójca. Może znajdzie go policja. A może ja znajdę go wcześniej.

- Do artykułu? - Usłyszała zgryźliwość we własnych słowach.

- Dla dobra ludzkości. - Obdarzył ją uśmiechem i puścił jej rękę. - A przy okazji, oczywiście, będzie to niezły temat. Zawisło między nimi pytanie, niewypowiedziane i niewyraźne jak mgła, jednak odgadła, co Frost ma na myśli.

- Chcesz mi pomóc go odnaleźć, prawda? Jasne, że chciał. Po to był ten cały wywiad.

- Tak. - Był szczerzy. - Ale to twoja decyzja. Na razie zrobię małe dochodzenie. Może jego matka coś wie. A może któraś z twoich siostr albo ciotka? Jest jakaś szansa, żebym mógł z nimi porozmawiać?

- Nie - odpowiedziała szybko. - Jesteś dziennikarzem. W dodatku mężczyzną.

- Hm... Dobrze. Justice tu mieszkał. Twoja rodzina tu mieszka. Wróci tu, żeby dopaść was wszystkie. Policjanci nie są idiotami. Też to wiedzą, tylko kwestia czasu, kiedy zostanie złapany.

- Ale ty chcesz go znaleźć wcześniej - domyśliła się, szukając w torebce kluczyków.

- Taki mam zamiar.

- Szalony zamiar. Wzruszył ramionami.

- A „sekta” będzie niezłym tematem.

- Nie lepszym niż schwywanie mordercy psychopaty. Może być ciekawym wątkiem pobocznym - przyznał, niezawstydzony. - Ale zatrzymam wszystko dla siebie, dopóki nie dasz mi zielonego światła.

Musiała mu wierzyć. Ufać. Właśnie obnażyła przed nim swoją cholerną duszę... no, prawie. Nie wspomniała o dziecku ani o tym, że z powodu ciąży jest bardziej bezbronna i łatwiejsza do znalezienia.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - spytała, otwierając samochód.

- Teraz? Po pierwsze, trzymać się blisko ciebie. Jeżeli wysyła ci wiadomości, chcę być w pobliżu, kiedy dotrze następna. - Har-

rison spojrział na nią. - A jeżeli zmienisz zdanie i zdecydujesz się odezwać do niego pierwsza, chcę przy tym być.

- Chyba czuję, że jestem wykorzystywana.

- Ależ skąd.

Aż tyle dla dobra ludzkości.

- Chyba nie powinieś liczyć na to, że pierwsza odezwę się do psychopaty - powiedziała Laura, otwierając drzwi od strony kierowcy. - To kwestia instynktu samozachowawczego.

- Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo.

- Jasne. - Posłała mu spojrzenie, w którym było więcej sarkazmu niż w jej głosie.

- Poważnie, będę chodził za tobą krok w krok.

- No pewnie. Zostaw to idiotycznie romantycznym filmom drugiej kategorii.

Znów dotknął jej ręki. Długie palce zacisnęły się wokół rękawa jej kurtki.

- Nie żartuję. Ale to twoja decyzja.

- Zgadza się.

- Jeżeli zmienisz zdanie, jeżeli będziesz chciała złapać go szybko, daj mi znać. ,

- Nie łudź się! - Wyszarpnęła rękę, ciesząc się, że uwolniła się od jego dotyku. Co ona sobie wyobraża? Że on się przejmuje? Na miłość boską, ledwie go poznała! - Ludzie szeryfa sobie poradzą.

- Na pewno robią, co mogą - przyznał.

Ale nie dokończył tego zdania: Tylko nie mają jedyne źródła, które może im wskazać miejsce jego pobytu.

- Zadzwoń do mnie? Kiedy odezwie się do ciebie następnym razem? - Podał jej wizytówkę i napisał na niej swój numer. - Moja komórka - powiedział, a ona, mówiąc sobie, że jest stuknięta, że cholerny dziennikarz na próżno się łudzi, wsunęła wizytówkę do przegródki torebki. Głupia, głupia kobieta!

- Zastanowię się. Dzięki za śniadanie. Miałaś rację, jajka były tego warte.

- Nie ma za co, Lorelei. - Posłał jej przelotny uśmiech i skierował się do swojego auta, biegnąc po asfalcie i żwirze, z wyprostowanymi plecami, wyciągając nogi w lekki, sportowy sposób.

Odwróciła się i wsiadła do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła, jak wsiada do swojego zdezelowanego chevroleta.

Seksowny facet. Bardzo seksowny facet z misją. To, czego akurat w tej chwili w życiu nie potrzebowała. Patrzyła, jak wyjeżdża z parkingu, zastanawiając się, w co też się wpakowała.

Rozdział 14

Doktor Maurice Zellman siedział w sali na piętrze. Lang zauważył na szyi mężczyzny biały bandaż z gazy i ból, który znaczył linię warg. Z oczu Zellmana biła złość. Jak tylko zobaczył Langa, skinał, żeby wszedł.

- Langdon Stone z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook - przedstawił się, robiąc kilka kroków w stronę łóżka.

Zellman kiwnął bardziej nerwowo i Lang się przesunął, stanął obok łóżka. Przyglądał się mężczyźnie z przyciętą brodą i ponuro zaciśniętymi ustami. Zellman dotknął zabandażowanego gardła, a później wskazał na drżące wargi i lekko pokręcił głową.

- Nie może pan mówić. - Lang skinał głową. - Miał pan operację. Może zadam kilka pytań, a pan odpowie „tak” lub „nie”, kiwając lub kręcąc głową?

Grzeczne skinienie.

- Chcę tylko ustalić kilka faktów. Pański pacjent Justice Turnbull dźgnął pana w szyję pana własnym długopisem. Zellman zacisnął usta jeszcze bardziej i znów kiwnął głową. Przez uchylone drzwi, które zostawił Lang, do środka dobiegł odgłos terkoczącego wózka z lekami.

- Nie miał kajdanek. Czy to pan zdecydował, by mu ich nie zakładać?

Lekarz spojrział na niego płonącymi oczami i nie odpowiedział.

- Zaatakował strażnika, Conrada Weisera, uciekł szpitalną karetką. Czy może pan przypomnieć sobie cokolwiek, co teraz wydaje się ważne? Coś, co mogłoby nas do niego doprowadzić? Może jakaś błahostka po zastanowieniu okaże się wskazówką, czy planował ucieczkę?

Zellman wpatrywał się w Langa. Detektyw wyczuwał, że z mężczyzny uchodzi falami wściekłość. Może złość i zażenowanie. Nieprzestrzeganie przez lekarza procedur było bezpośrednią przyczyną tego, że Justice mógł uciec. I on o tym wiedział.

- Jeżeli przyjdzie panu coś do głowy, może mógłby pan to napisać? - odezwał się Lang. - A może przypominałby sobie pan coś z sesji terapeutycznych, coś, co mogłoby pomóc... - Lang wiedział, że zaufanie pacjenta do lekarza jest święte, ale przecież ten psychopata dźgnął Zellmana w szyję, a to, zdaniem Langa, musiało coś znaczyć.

Zellman, zaciskając usta, wskazał niecierpliwie, żeby dać mu papier i długopis, więc Lang wyszedł na korytarz i poprosił pielęgniarkę o ich przyniesienie. Wróciła tak szybko, że Lang posłał jej uśmiech wdzięczności, wywołując rumieniec na twarzy dziewczyny.

Podał Zellmanowi mały notes i długopis, któremu lekarz długo i intensywnie się przyglądał.

„Latarnia morska. Motel jego matki. Seagull Pointę?”, napisał w końcu.

- W Seagull Pointę przebywa jego matka - powiedział Lang dla potwierdzenia.

Zellman skinął jeszcze raz, a jego ramiona lekko opadły.

- Obserwujemy te miejsca, ale jak na razie w żadnym się nie pojawił. Coś jeszcze?

Zellman zastanawiał się, mrużąc oczy. Po kilku chwilach napisał: „Chce patrzeć na morze. Mówił o nim z namaszczeniem. Patrzył na zachód. Nawet jak był zamknięty”.

Lang zastanowił się nad tym. Wybrzeże Pacyfiku było spore.

- Myśli pan, że zatrzyma się w okolicy Deception Bay? Zellman jeszcze raz skinął, potakując głową.

- I znowu będzie ścigał kobiety z Pieśni Syreny?

Słyszając to, lekarz zmarszczył czoło i napisał: „To jego obsesja”. Przerwał, a po chwili dopisał: „Ale niebezpieczeństwo grozi każdemu, kogo spotka”.

- Wcześniej nigdy nie zaatakował domu bezpośrednio - powiedział Lang. - Myśli pan, że tym razem planuje taki atak?

Zellman znów zacisnął usta. „Zabierze się do nich po kolei. Razem są zbyt silne. Jest sprytny. Przewidujący. Zdolny”.

W tych słowach był niemal podziw. Czyżby dobry doktor dał się uwieść JusticeWi? A może usiłował wytłumaczyć swój błąd w ocenie Justice'a?

- Jeżeli przyjdzie panu jeszcze coś do głowy... - powiedział Lang, zerkając na notes, który Zellman trzymał w ręku.

Lekarz skinął ponuro, a później spojrzał przed siebie. Jego brwi układały się w czarną linię wściekłości i zawziętości. Lang się domyślił, że Zellman nie znosi, kiedy się z niego szydzi, robi idiotę, a właśnie to zrobił Justice.

W oczach Zellmana płonęła cicha, tłąca się złość.

Dał się nabrać, ale na pewno nie był z tego powodu szczęśliwy.

Czerwcowy dzień był szary, ponury i zimny, a od lądu nadciągała mgła, która przesłaniała wydmy, budynki i pasmo wybrzeża. Justice stał na mokrej plaży. Nie widział wiele oprócz silnych fal, pędzących w stronę jego butów.

Zaskoczyło go, że mimo mgły na plaży było pełno ludzi. Przy takiej pogodzie plaże Oregonu zwykle są puste. Był tak pogrążony w myślach i zaabsorbowany swoją misją, że mało nie wpadł na dwie osoby.

Najpierw usłyszał, a potem zobaczył grupę może siedmiu osób, które szły w jego stronę, rozmawiając beztrioskim tonem, w kurtkach, czapkach, rękawiczkach i wysokich butach. Kręcili głowami w różne strony, wyciągali ręce i wskazywali palcami. Odwrócił się, kiedy się zbliżyli i zobaczył czapkę bejsbolową z wyhaftowanym jaskrawoczerwonym napisem: „Posprzątaj plażę!”.

Dzień sprzątania plaży. Nagle stał się zaborczy. Ten skrawek piachu należał do niego. Wynoście się, pomyślał.

Cholerni wolontariusze. Zostawcie mnie i to miejsce w spokoju.

Zacisnął pięść. Uświadomił sobie, że wygląda tak samo jak oni. Miał doskonałe przebranie. Następny boży dar. Buty Cosmo, kurtka i spodnie, które mocno ściągnął w pasie, bo był chudszy niż hippis o przynajmniej dziesięć kilogramów.

Grupa szła dalej, aż znikła w gęstej mgle, a Justice wypuścił wstrzymywany oddech. Stał twarzą zwrócony do morza i pomyślał o tłumach, które przez cały dzień będą przeczesywały piach. O tłumach ukrytych we mgle.

Mogą mu pomóc.

Skoro na plaży są ludzie, na parkingach i w zatoczkach przy wydmach powinny być samochody.

Jeżeli chodzi o samochody, był dobry.

Szybkim krokiem ruszył na północ, w stronę drogi. Udając, że się schyla i szuka w trawie na plaży śmieci, oddalał się od tymczasowej kryjówki. Od Deception Bay dzieliło go jeszcze wiele

kilometrów, ale nie zamierzał pokonać całej drogi piechotą. Mógł wziąć samochód, ciężarówkę albo SUV-a i jeździć nim przez kilka godzin, jeżeli wszystko dobrze zaplanuje.

Jakieś dwa kilometry od miejsca, z którego wyruszył, puścił się pędem przez wydmy w stronę domów zwróconych frontem do morza, a później ruszył krótką drogą, która łączyła się z drogą 101. Było przy niej miejsce na duży parking z widokiem na ocean, przynajmniej w pogodne dni. Na parkingu stały zwykle trzy albo cztery samochody, ale dzisiaj był pełny, tak że między stykające się niemal zderzaki mogła się wcisnąć jedynie mgła. Jakieś trzy rzędy aut od plaży stał srebrny kompakt. Za kierownicą siedziała młoda kobieta z telefonem komórkowym przy uchu, która wychylała się przez otwarte drzwi. Właściwie krzyczała do słuchawki.

- Nie! Cholera! Nigdzie nie mogę zaparkować! Nigdzie! Jakieś społeczne akcje, masakra, Kay, Boże, nie. Nie widziałam Dereka. Jeżeli go nie ma, to w dupie z nim. Ja wyjeżdżam. - Słuchała przez kilka sekund. - Powiedz mi tylko, że byłam, okej? Jadę do domu przespać ten cholerny ból głowy. Zadzwoń, jak dojadę do Portland.

Wyłączyła telefon i nagle wyczuła, że Justice ją obserwuje.

- Na co się gapisz, głupku - spytała, nie odwracając się w jego stronę.

Poczuł znajomy chłód rozlewający mu się w środku. Głupek. Odmieniec.

W pobliżu nikogo nie było. Osłoniła ich mgła, która sprawiła, że najdalej stojące samochody wyglądały jak jednakowe wzniesienia na zapomnianym parkingu. Pochylił się.

- Walnie pani w tył - powiedział.

- Pieprz się. - Chwyciła klamkę drzwiczek, ale Justice był szybszy. - Spadaj, kretynie! - krzyknęła.

Uderzył ją w głowę tak mocno, że rozległ się głuchy huk.

- Ccc... Co? - krzyknęła, usiłując wstać z fotela, ale Justice chwycił ją obiema rękami za głowę, spojrzał w jej wielkie, niebieskie, przerażone oczy, a potem przekręcił z całej siły. Walczyła z nim mocno, udrapnęła go w rękę, co jeszcze bardziej go rozjuszyło i nabrał pewności, że jest wstrętna. Z nową energią i podnieceniem chwycił ją za szyję i ścisnął tak długo, aż wydała z siebie coś, co brzmiało jak ostatni oddech.

Była nikim. Musiała umrzeć.

- *Siossstrrrro* - wyszeptał na głos, wysyłając wiadomość do innych jej podobnych. Ta się nie liczyła, ale będą wiedzieć, co zrobił i ich czarne dusze zadrżą.

Przesunął bezwładne ciało kobiety na miejsce pasażera, odchylił jej głowę i oparł o zagłówek. Oczy miała szeroko otwarte, język lekko wysunięty. Zamknął jej oczy. Wyglądała na martwą. Zapiął ją w pasy, a później ostrożnie odwrócił ku sobie, układając ją tak, żeby wyglądała na pogrążoną we śnie.

Później ustawił fotel kierowcy tak, żeby zrobić sobie trochę miejsca na nogi, i wyjechał ostrożnie na jezdnię.

Siossttrrrro...

Wiadomość zaskwierczała Laurze pod skórą. W jednej chwili poderwała głowę ze stołu, na którym zasnęła.

Zamrugła kilka razy, z trudem wracając do rzeczywistości. Była w domu. Zdrzemnęła się na krześle. Wspomnienia tłukły jej się po głowie. Na parkingu pod Davy Jones's Locker Harrisonowi Frostowi udało się ją przekonać, żeby skontaktowała się z nim, jak tylko Justice się do niej odezwie. A teraz to - atak Justice'a na jej umysł.

W pełni rozbudzona, zganiła się w myślach, że tak otwarcie rozmawiała z Frostem i zastanawiała się, co takiego w sobie ma, że chciała mu do tego stopnia zaufać, wtajemniczyć, wciągnąć do swojego świata. Jego, dziennikarza, ni mniej, ni więcej.

Ta drzemka... ten chwilowy brak koncentracji dużo ją kosztował. Nieświadomie straciła kontrolę nad murem w umyśle.

Siossttrrrro... Jego syk przedostał się do jej umysłu.

Serce w niej zamarło. O Boże, nie!

Niemal natychmiast odgrodziła się od niego murem, ale do jej umysłu zdążyła się wedrzeć informacja, która przyprawiła ją o dreszcz przerażenia.

Zabił kogoś. Kobietę. Po drodze.

Niewinną!

Wstała niepewnie z krzesła, podeszła do okna i spojrzała za firankę, palcami rysując po parapecie. Dotarło do niej, że Justice chciał, żeby wiedziała. Chciał, żeby wszystkie wiedziały. Nie była nawet pewna, czy informacja, którą jej przekazał była prawdziwa, ale z pewnością chciał, żeby tak myślała. Żeby ją przerazić.

- Bydlak - mruknęła.

Nie powinna pozwolić Harrisonowi odejść, pomyślała. Chwyciła torebkę i poszukała wizytówki i telefonu.

Drżącymi palcami wybrała numer jego komórki. Później położyła palec na zielonym przycisku, gotowa zadzwonić.

Ale... czy dobrze robi? Chciał, żeby to ona odezwała się do Justice'a, ale nie była pewna, czy może.

A jeżeli Justice naprawdę kogoś zabił? Powinna powiadomić policję? Kogokolwiek?

Zasłaniając usta dłonią, liczyła uderzenia serca i usiadła na krześle w salonie przy kominku. Justice chciał, żeby uwierzyła, że zabił kobietę. Jeżeli tak, to na pewno nie grozi jej już żadne niebezpieczeństwo, Justice na pewno o to zadbał. A jeżeli to nieprawda, a ona zadzwoni na policję albo do Harrisona, będą się dopytywać, skąd ma tę informację i zrobi się bezsensowne zamieszanie.

Harrison uwierzyłby jej prędzej niż władze, ale informowanie go też niosło ze sobą ryzyko.

Ale co miała zrobić? Co powinna zrobić?

Wpatrując się w telefon, wcisnęła kciukiem zielony guzik.

W sobotnie popołudnie mgła przypominała szare futro zarzucone na plażę na południu, ale miasteczka Seaside nie zakryła. Harrison siedział przy stoliku przed kawiarnią-lodziarnią, tym razem, dzięki Bogu, bez Chico.

Zamówił kawę, której nie tknął. Jego umysł przepelniało wspomnienie poranku z Laurą - niech będzie, Lorelei - Adder-ley. Była żoną Byrona Adderleya. Należała do sekty, mieszkała kiedyś w Pieśni Syreny.

Samo to było już niezłym tematem. Na razie zabroniła mu o sobie pisać, ale temat był wart kontynuacji.

To tylko część sagi o Justisie Turnbullu, pomyślał, obserwując pieszych i motocyklistów, którzy przemierzali się długim pasem Broadwayu i poczuł zimny oddech morskiego powietrza na karku.

Nie chciał jej zostawiać, ale nie mógł tak po prostu zażądać, żeby wzięła go na ochroniarza. I tak by się na to nie zgodziła, a on miał jeszcze inne sprawy na głowie. Nie za bardzo uwierzył w to, że Laura może „rozmawiać” z Justice'em, ale suma summarum

nie miało to większego znaczenia. Była powiązana z sektą. Jej pełnoprawną członkinią. Mógł od biedy uwierzyć, że z powodu pewnych zawirowań w rzeczywistości potrafiła wyczuć, gdzie jest psychopata. I dobrze.

Nieważne. Tak czy siak, cała sprawa była dla dziennikarza spełnieniem marzeń. Wziął duży łyk stygnącej kawy.

- Ej, proszę pana - odezwał się zimny kobiecy głos za jego lewym uchem.

Dużo go kosztowało, żeby nie podskoczyć, ale opanował się, przeciągnął i ziewnął.

- Tak, słucham? - odezwał się znudzonym głosem. Podeszła i stanęła przed nim. Nie była to dziewczyna, z którą rozmawiał dzień wcześniej, ale ta z lodziarni. Włosy na czubku głowy miała splecione, a reszta ciemnych kosmyków opadała jej swobodnie na ramiona. Zza dekoltu wystawał jej tatuaż w kształcie serca, a lewy nadgarstek okalało kilka bransoletek. Była wkurzona, i to bardzo.

- Co pan tu robi? - spytała categorycznym tonem. - Kręci się pan tutaj, usiłuje pan poderwać nieletnią? Powinam zadzwonić na policję.

Była ładna, ale wychudzona. Z podejrzliwą miną wyglądała na starszą niż szesnaście czy siedemnaście lat, które pewnie miała, sprawiała też wrażenie twardej.

- A może po prostu nie mam pracy ani celu i wcale nie jestem zboczeńcem? - warknął do niej. - Mam kobietę, okej?

Ona mi w zupełności wystarcza i jest przynajmniej na tyle dorosła, żeby mieć trochę rozsądku!

Z jeżyła się. Zaskoczona. Nagle zaatakowała znowu.

- Co pan chce powiedzieć, proszę pana? Że jestem głupia?

- Ja tylko tu siedzę, okej?

- Codziennie, od wielu dni.

- Ej, kupuję kawę. To wolny kraj. Idź się żalić komuś innemu. - Kiwnął ręką, odganiając ją.

- Widziałam, jak rozmawiał pan z Laną. Wypytywał ją pan o wszystko, co nie powinno pana obchodzić!

Obrzucił ją ostrym spojrzeniem, jakby był wściekły, że zakłóca mu spokój.

- Słuchaj, Jenny, nie znam żadnej Lany - warknął. - Może wróciłabyś do pracy i dała mi spokój?

Jej oczy otworzyły się trochę szerzej i zasłoniła dłonią identyfikator na czerwono-białej górze służbowego stroju.

- Niech... pan się trzyma od nas z daleka! - Odparowała i odmaszerowała do podnoszonej lady, przez którą wchodziło się do jej części sklepu.

- Z przyjemnością - wymruczał. Wyciągnął się na krześle i posłał w jej stronę ponure spojrzenie pełne odrazy.

W duchu się cieszył. Imię Jenny znał z plakietki, ale nie wiedział, jak na imię ma Lana. Znał już dwie dziewczyny spośród siedmiorga członków Śmiertelnych Grzeszników, a dzięki temu, że Lana wspomniała o N.Y, wiedział już o trzech. Te dzieciaki wcale nie ukrywały swoich wyczynów i nie siliły się na dyskrecję. Nietrudno będzie ich wszystkich rozszyfrować.

Na próżno zastanawiał się, o której Jenny kończy pracę. Był przekonany, że bez trudu uda mu się za nią pójść. Mógł się założyć, że spotka Lanę i z innych. Na plaży. W tłumie cholernych wolontariuszy, sprzątających plażę będą po prostu jedną z wielu grup.

W dodatku była sobota. Wszystkie ich kradzieże miały miejsce w sobotnie wieczory.

Zadzwoił jego telefon, ale nie rozpoznał numeru. Drugi raz w ciągu dwóch dni, pomyślał wkurzony.

- Frost.

- Tu Laura Adderley. Dzwonię... do ciebie... bo... - zawiesiła głos, żeby nabrać powietrza.

Był zaskoczony. Mile zaskoczony. Dziś rano po śniadaniu pożegnała się z nim tak, że nie spodziewał się, że szybko do niego zadzwoni. Tymczasem okazało się, że zadzwoniła po paru godzinach.

- Bo? - spytał przymilnym tonem.

- Wydaje mi się, że Justice kogoś zabił.

Rozdział 15

Harrisona zatkało.

Nie przesłyszał się? Justice Turnbull kogoś zabił i Laura o tym wiedziała?

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Nie. Może. Ale... tak, jestem pewna - powiedziała, a on usłyszał strach w głosie Laury. - To kobieta. Nie z mojej rodziny, jestem raczej pewna. Ktoś inny. - Usłyszał w jej głosie narastającą panikę.

- Chwileczkę, powoli. Nic ci nie jest?

- Jest, zdecydowanie coś mi jest. O Boże.

Zmarszczył czoło, myśląc intensywnie, odsunął krzesło i się zerwał.

- Skąd wiesz?

- Wiesz skąd. Mówiłam ci.

Zerknął przez ramię na Jenny, która stała za ladą z rękami założonymi na piersiach i spoglądała na niego groźnie i podejrzliwie. Odwrócił się do niej plecami.

- Skontaktował się z tobą? Telepatycznie? Cisza.

- No... tak.

- I...?

- Chciał, żebym wiedziała, że... kogoś zabił. O Boże, nie wiem kogo. Wiem, że mówię, jak wariatka, ale...

- Wcale nie. Nie dla mnie. - Usiłował jej przerwać, zanim zupełnie się rozklei.

- Wcześniej czegoś takiego nie robił.

- Spróbuj się uspokoić.

- Oszalałeś? Uspokoić się? Słyszałeś, co powiedziałam? On właśnie kogoś zamordował!

- Okej.

- Ej, koleś! Uważaj. - Kobieta przebiegająca obok niego mało nie wpadła mu w ramiona. Zignorował ją.

- Dobrze. Gdzie jesteś?

- W domu.

- Czyli gdzie? Zawahała się.

Nie mógł jej winić. Był nieznajomym.

- Chcę pomóc. - Nie przypomniał jej, że sama do niego zadzwoniła.

Odetchnęła głęboko.

- Właściwie, jakie to ma znaczenie - powiedziała i podała mu swój adres. Szybko. Jakby słowa, które dłużej pozostałyby w gardle, mogły ją udusić.

- Dobra. Będę u ciebie za jakieś pół godziny - powiedział. Odległość obliczył, nie biorąc pod uwagę mgły i korków. Źle, bo chodziło o sobotnie popołudnie, w dodatku dzień taki jak dziś, kiedy pomiędzy Seaside a Deception Bay była mgła, a na wybrzeże przyjechało mnóstwo osób sprzątać plażę. Nie chciał jednak mówić Laurze, że potrwa to tyle, ile naprawdę miało potrwać. Mogłaby pożałować i próbować wycofać się ze spotkania z nim.

Zerknął jeszcze raz na Jenny i zobaczył, że obsługuje klientkę, w skupieniu wkładając różowego loda do wafelowego rożka, a kobieta z dzieckiem trzymającym się kurczowo jej nogi wyciąga pieniądze z portfela. Wiedział, że temat kradzieży porzuca w kluczowym momencie, że Jenny mogłaby go zaprowadzić do reszty młodocianych przestępców, ale nie przejmował się tym.

W tej chwili najważniejszym tematem był Justice Tumbull.

A Laura mogła być w niebezpieczeństwie. Sama. Bezbronna wobec tego, co chciał zrobić Tumbull. A ty potraktowałaś ją instrumentalnie, prawda? Zachęcałeś do tego, żeby „skomunikowała się” z psychopatą zabójcą. Poczul wyrzuty sumienia, ale tak naprawdę trudno było mu uwierzyć w telepatię, czy jak ona to tam nazywała... Dom, zmarła matka, straszna ciotka, telepatyczne porozumiewanie i mury, jakie stawiała w umyśle - wszystko to ocierało się o lekką paranoję.

Ale Justice Tumbull znów był na wolności.

Ta myśl go zdopingowała.

Pognał do swojego chevroleta. Starał się panować nad nerwami. Jedną dłoń trzymał na klaksonie i trąbił na snujących się turystów, których z powodu akcji „Posprzątaj plażę!” było pełno dosłownie wszędzie. Koła auta powoli pokonywały kilometry, a Harrison zamienił się w strzępek nerwów - wciskał hamulec i powstrzymywał się, żeby nie trąbić w przesuwającym się powoli korku. Furgonetki, SUV-y, sedany, pikapy... sznur samochodów wlokących się stojedynką.

Klnąc pod nosem, w końcu znalazł się przy zjeździe do jej skromnego zaniedbanego domu. Od jej telefonu minęła ponad godzina.

- Cholera.

Wyskoczył z samochodu, porwał laptop z tylnego siedzenia, ale odłożył go z powrotem, razem z cyfrowym dyktafonem. Nie

chciał, żeby sobie pomyślała, że rozkłada swoje zabawki, chociaż taki był jego pierwszy pomysł.

Trzeszczące drewniane schody prowadziły na równie trzeszczący drewniany ganek. Wszystko pomalowane było na szary kolor, powycierany w przejściu. Zapukał do drzwi, zaglądając przez jedno z trzech witrażowych okienek.

Widział, jak biegnie mu otworzyć. Ciemne włosy odgarnęła do tyłu.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczył tylko jej oczy, zielonawo-niebieskie, poważne, ostrożne, pełne tajemnic. I śmiertelnie przerażone.

Przez chwilę miał ochotę porwać ją w ramiona, powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. I dotknąć ustami jej włosów, pocieszyć ją.

A niech to!

Wcisnął hamulce w myślach, żeby nie zrobić nic głupiego. Przeraziła go jego reakcja. Zanim się opamiętał, zdążył wyciągnąć rękę i musiał wykonać niezdarny gest, żeby jakoś zatuszować wpadkę. Do cholery, co się z nim dzieje?

- Nic ci nie jest? - spytał. Ona też wyglądała, jakby chciała mu paść w ramiona, ale nie zrobiła tego, tylko wsparła się o drzwi i wstrzymała oddech.

- Nie, to znaczy, muszę się trzymać. - Zdobyła się na słaby, nieszczęśliwy uśmiech i nerwowo spojrzała mu przez ramię. - Wchodź. - Wpuściła go do środka, zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę. Stali w sieni, w szarym świetle, które wpadało przez trzy przeszklenia w drzwiach. Laura zagryzła wargi i pokręciła głową. - On się nami bawi - powiedziała cicho. - Chciał, żebyśmy wiedziały, co zrobił. Że kogoś zamordował. - Zmrużyła oczy. - Chciał się pochwalić.

- Wyjawił ci powody? - Chociaż cała ta telepatia nadal wydawała mu się niedorzeczna, odpuścił sobie. Dla niej, na pewno, była prawdziwa.

- Ja po prostu... O Boże, czasami wydaje mi się, że go rozumiem. - Zadrżała. - Chore, co?

- Nie wypowiem się w tej kwestii - powiedział. - Kim jest kobieta, którą, jak ci się wydaje, zabił?

- Nie wiem. - Pokręciła głową.

- Widziałas ją?

- Nie.

- No więc co się stało? Co ci powiedział?
 - Chyba się niecierpliwisz - powiedziała nagle.
 - Owszem, niecierpliwę się. Jeżeli kogoś zabił, to chyba normalne, że jestem niecierpliwy!
- Jej niebieskie oczy zmierzyły go, oskarżyły o kłamstwo.
- Nie wierzysz mi. Nie do końca. Chcesz po prostu informacji, a mnie masz za idiotkę!
- Kiedy się odwróciła, chwycił ją za rękę, a ona ją wyszarpnęła.
- To ty do mnie zadzwoniłaś - przypomniał.
 - Bo pomyślałam, że lepiej zadzwonić do ciebie niż na policję. Myliłam się?
- Stała bokiem do niego, widział profil jej twarzy. Usta, brodę i wypukłość policzka. Puszyste, miękkie włosy na skroniach. Łuk brwi, o wiele jaśniejszy niż włosy.
- Nie wiem, co robię - rzuciła przed siebie, w przestrzeń, jakby się przebudziła. Przeszła przez korytarz.
 - Ściga cię zabójca - oznajmił Harrison bez ogródek, idąc za nią do pokoju dziennego z kamiennym kominkiem i meblami, które pamiętały lepsze czasy. - To, jak sądzę, jest faktem. Nie orientuję się w tej całej komunikacji pomiędzy nim i twoją rodziną, ale nie interesuje mnie to. Jesteś w niebezpieczeństwie. Wielu ludzi jest w niebezpieczeństwie, jak choćby ta kobieta, o której ci powiedział.
- Wzruszyła ramionami i pokręciła głową, obejmując się rękami i wyjrzała przez okno wychodzące na ulicę i na podjazd. Jego samochód, zaparkowany na podjeździe, było widać, podobnie jak dom po drugiej stronie ulicy.
- Jeżeli wiesz coś konkretnego, radziłbym ci zadzwonić na policję.
 - Nie chcę rozmawiać z policją - oznajmiła szybko.
 - Wiem. Domyślałam się dlaczego. Ja też mam z nimi swoje problemy i wiem, że czasami trudno się z nimi dogadać. Na przykład z detektywem Fredem Clausenem z biura szeryfa. Widziałem niemoralne zachowanie zastępców szeryfa, a on ledwie się powstrzymał, żeby nie wyrzucić mnie siłą na ulicę. - Wydawało mu się, że go nie słucha, ale ciągnął dalej. - Bo zasugerowałem, że odwracał głowę, kiedy jego brat uprawiał seks z nieletnią i to mu się za bardzo nie spodobało.
 - Zasugerowałeś?

- Okej, oskarżyłem. Nie myliłem się, ale nikt nie chciał tego słuchać, a już najmniej Clausen. Opublikowałem ten artykuł, chociaż mój redaktor robił w majtki ze strachu.

- I co się stało? - spytała, odwracając się lekko, tak że znów widział jej profil. Miała płynne ruchy, z czego zupełnie nie zdawała sobie sprawy.

- Facet stracił posadę szkolnego psychologa z „innych” powodów - powiedział. - Kiedy dziewczyna skończyła osiemnaście lat, uciekli razem. Wszyscy byli na mnie wściekli, nawet jej rodzice. Romans im się nie podobał, ale jeszcze bardziej nie podobał im się rozgłos. Facetowi nie postawiono zarzutów. Ale historia była prawdziwa. Działo się to zaraz po moim przejściu do „Brćeze”, kiedy sam miałem pewne problemy z własnym wizerunkiem.

- To znaczy? - Odwróciła się do niego twarzą.

Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B. Nie lubił opowiadać o tym, co się stało z Mannym, ale ona się przed nim otworzyła. Teraz jego kolej. Jak to się mówi, coś za coś.

- Oskarżyłem współnika mojego szwagra o to, że zaplanował jego morderstwo, tak żeby wyglądało na wypadek.

- Teraz cię sobie przypominam. - Oczy jej rozbłysły. - Widziałam cię w telewizji, kiedy mówili o strzelaninie przed klubem nocnym. Twoim zdaniem to było coś więcej.

- Snuję teorie spiskowe. - Harrison prychnął. - Jeżeli wierzyć adwokatom Billa Koontza i Pauline Kirby i jej ekipie.

- Koontz był współnikiem twojego szwagra? - upewniła się, a jej brwi złączyły się, kiedy układała sobie w głowie to, co usłyszała.

Skinął głową.

- Teraz jest jedynym właścicielem Boozehound. Manny nie żyje. A moja siostra i siostrzenica dostały tyle co nic.

- Twoim zdaniem Koontz zaplanował morderstwo twojego szwagra.

- Tak. Nie mogę tego udowodnić. Jeszcze. Ale udowodnię. Przez to, jak podszedłem do tematu, straciłem pracę w „Portland Ledger” - dodał. - Ale powtarzam, że miałem rację.

Zastanowiła się nad tym. Kilka razy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili z powrotem je zamykała.

- Jeżeli uda ci się wyprzedzić policję w tej kwestii... - odezwała się w końcu. - ...Jeżeli tobie pierwszemu uda się odnaleźć

Justice'a albo doprowadzić do niego policję... miałbyś duże szanse na odzyskanie wiarygodności, prawda?

- Tak. Jasne. - Wpatrywał się w nią poważnie.

- Dobrze - powiedziała i wzięła głęboki, drżący oddech, siadając na kanapie.

- Dobrze?

- Chcę, żebyś mi pomógł. Naprawdę pomógł, mnie i mojej rodzinie. Chcę, żebyś nas ochronił przed Justice'em, a w zamian postaram się ciebie do niego doprowadzić, albo, ściślej mówiąc, pozwolić mu przyjść do mnie. - Zadrżała, kiedy to mówiła, jakby stąpała po grobie nieumarłego.

- Dobrze - powtórzył. Patrzyli na siebie.

- Więc jak dokładnie kontaktujesz się z Justice'em? - spytał Harrison po chwili.

- Jeżeli na chwilę się odsłonię, wyczuje mnie. - Odwróciła wzrok, jakby wstydziła się tego, że brzmiało to głupio.

- Więc... - Uniósł dłonie, w milczeniu pytając, co chce zrobić.

- Nie... Jeszcze nie mogę. Boję się - przyznała. Skinął głową.

- Wyznaczysz sobie jakiś termin?

Roześmiała się cicho, ale dłonie miała nadal niespokojne.

- Nie. Muszę po prostu zebrać się na odwagę. To... nie jest łatwe.

- Dobrze. Tak. Rozumiem. Poczekam, aż będziesz gotowa. -Prawdę mówiąc, wcale nie był uszczęśliwiony perspektywą tego, że miała się skontaktować z Turnbullem. Gdyby można było to załatwić inaczej, gdyby mógł dorwać tego bydlaka sam albo znaleźć sposób, żeby nasłać na niego policję, byłoby lepiej. Ale, jak na razie, nie miał wyboru.

Spoglądała na niego wielkimi, pełnymi smutku oczami.

- Dzięki. Ja po prostu... muszę... wiedzieć, że wszystkie moje siostry są bezpieczne. Nie chcę pogorszyć sytuacji. -

Zamknęła na sekundę oczy i ukryła twarz w dłoniach. - Nie mogłabym żyć ze świadomością, że przeze mnie którejś stała się krzywda.

- Nie pozwolę cię skrzywdzić - powiedział z całym przekonaniem.

- Nas - powiedziała cicho.

- Was wszystkich - powiedział. - Catherine. Twoich sióstr. Ale dopóki Turnbull jest na wolności, nikt nie jest bezpieczny. Zaufaj mi, Lorelei, ja po prostu chcę go dorwać.

- I napisać o tym. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się, bez cienia wesołości.

Poczuł lekki wyrzut sumienia przez to, że wykorzystuje ją do swoich celów, ale naprawdę chciał zapewnić jej bezpieczeństwo. Obiecał to sobie.

- I napisać o tym - przyznał.

Rozdział 16

Karetkę wciągnięto z wąwozu za tylną oś. Kiedy już znalazła się na szczycie wzgórza, detektywi dokonali szczegółowych oględzin. Potem karetkę załadowano na lawetę i przewieziono do wydziału ekspertyz sądowych.

Langdon Stone podszedł do swojego dżipa i czekał na Sawy Dunbar, która przyjechała z nim, gdy wróciła od Szalonej Maddie w Seagull Pointe. Sawy nigdy nie była gadatliwa, ale teraz przez całą drogę milczała jak grób.

- Co cię gryzie? - spytał.

- Zastanawiałam się, kto go podwiózł. Lang skinął głową. On też o tym myślał.

- Ktokolwiek to jest, jeżeli jeszcze żyje, jest w niebezpieczeństwie.

- I to wielkim - przytaknęła, wpatrując się w drogę, na której zniknęła laweta z poobijaną karetką. - Jak myślisz, kto mógł go zabrać?

- Ktoś, kto nie oglądał wiadomości albo nie miał okazji porozmawiać z kimś, kto ostrzegłby go przed Justice'em.

Skinęła potakująco głową i wsunęła sobie niesforny kosmyk rudawych włosów za ucho. Zdaniem Langa była za ładna jak na glinę. Widział wielu ładnych ludzi wśród mundurowych, którzy z różnych powodów szybko odchodzili ze służby. Podejrzewał, że Sawy wytrzyma góra sześć miesięcy.

- Wyjechał z Halo Valley około szóstej, wpół do siódmej - powiedział Lang, analizując przebieg zdarzeń. - Skierował się na zachód. Dotarł do zjazdu i staranował łańcuch około siódmej? Zepchnął karetkę około siódmej piętnaście lub siódmej trzydzieści. Wrócił na drogę i czekał. Zatrzymał nadjeżdżający samochód.

- Był w ciuchach szpitalnych - powiedziała Sawy.

- Kobieta by się raczej nie zatrzymała.
- Mężczyzna też nie, jeżeli był tak ubrany. Lang zaczął się zastanawiać.
- Gdyby szedł pieszo, już byśmy go znaleźli.
- Mógł się z kimś skontaktować i poprosić o pomoc?
- O nikim takim nie wiemy. - Lang się skrzywił. - Nie miał przyjaciół, krewnych usiłował zabić. Włącznie z własną matką.

Sawy otworzyła drzwi dzipa od strony pasażera i wsiadła do środka. Lang wsunął się za kierownicę i spojrzał na nią z ukosa.

- Chyba czegoś mi nie mówisz o jego matce?
- Mam nadzieję, że szybko go znajdziemy. - To była jej jedyna odpowiedź.

Laura była prawie chora ze zmartwienia. Obietnica to jedno, jej spełnienie, co innego. Powiedziała, że nie będzie wznosić osłon ochronnych przed Justice'em. Pozwoli mu wtargnąć do swojego umysłu. Obiecała, a potem się wycofała.

Ale myślała nie tylko o sobie, chodziło także o dziecko. Justice chciał skrzywdzić ich oboje. Tak ją znalazł. Dzięki dziecku, co Laura nie do końca rozumiała, ale właśnie dlatego miał ją teraz na celowniku.

Harrison przekonał ją, że naprawdę jest po jej stronie, potem przyniósł laptop, a teraz huśtał się na krześle w kuchni, stukając w klawiaturę z zawrotną prędkością. Kiedy zaczęła wymigiwać się od tego, żeby skontaktować się z Justice'em, Harrison po prostu rozsiadł się wygodnie i wymamrotał, że musi uzupełnić notatki.

Laura starała się nie chodzić nerwowo. Próbowwała nie myśleć za dużo o rozwijającym się w niej dziecku i o tym, jaki los czeka Catherine i jej siostry, gdyby Justice dostał się do domu. Wiedziała, że jest bezbronna, bo chyba na niej najbardziej się skupił. Dlatego, że znajdowała się poza murami? Dlatego, że była w ciąży? A może jedno i drugie? Może powinna pójść na policję. Powiedzieć wszystko i zaryzykować, Ale wyjaśnienia byłyby nieskładne i wiedziała, że nie uwierzyliby jej.

Naprawdę mogła liczyć na to, że Harrison jest jej sprzymierzeńcem? Nie uwierzyłyby w to, gdyby nie to, że sam mógł na tym zyskać. I jak na razie był jedynym człowiekiem, który wiedział o jej związku z kobietami z Pieśni Syreny.

Fakt, lubiła go.

Przeczesła palcami włosy, oderwała wzrok od ramion Harrisona, który pochylał się nad komputerem, i skupiła się na tym, co łączyło ją z mężczyzną, który chciał pozbawić ją życia, z Justice'em Turnbullem.

Kiedy była młodsza, wyczuwała Justice'a, ale nie była do końca świadoma tego, co usiłuje jej powiedzieć o swoich planach. Jej talent nie był jeszcze wtedy rozwinięty, a ją interesowały wyłącznie wiadomości, które dostawały się do jej umysłu dzięki niegroźnemu podsłuchiowaniu. Nie rozumiała, że Justice jest zabójcą, dopóki dwa lata temu nie zaczął się zachowywać jak szaleniec, a kiedy jego głos stał się w jej umyśle wyraźny, został schwytany. Jego syczące słowa znikły razem z nim w murach zamkniętego szpitala Halo Valley.

Dzięki Bogu.

Aż nagle, wczoraj... to było wczoraj?... Jego głos nagle ryknął w jej głowie. Głośniejszy. Niedający za wygraną.

Ociekał nienawiścią. Justice musiał je wszystkie skrzywdzić.

Zatrzasnęła przed nim drzwi, ale mimo to udawało mu się przedrzeć, gdy przez chwilę nie była czujna.

A teraz myślała o tym, żeby wpuścić do swojego umysłu?

Znow spojrzała na Harrisona. Nie mógł się doczekać, był gotowy, żeby skontaktować się z Justice'em za pośrednictwem Laury, żeby dowiedzieć się, gdzie jest, i zacząć go ścigać. Ale czy to dobry pomysł? Czy dzięki temu pomoże go schwycić, czy może, bawiąc się w kotka i myszkę, ściągnie na siebie większe niebezpieczeństwo?

Przyglądała się Harrisonowi, który przeczesał włosy, podobnie jak ona przed chwilą, a potem bawił się dłuższymi kosmykami na karku. Wpatrywał się w monitor laptopa, ale wyczuwała, że kątem oka ją obserwuje. Była to pewnego rodzaju czujność, zarezerwowana dla ludzi, którzy bardzo dobrze się znają. Widziała ją u zakochanych.

Doświadczyła jej trochę przy Byronie, chociaż on należał do tych, których dość trudno zrozumieć. Sygnały, które wiele mówiły. Harrison był świadomy jej obecności. Ona była zdruzgotana, osłabiona.

Bała się.

- Chcesz porozmawiać o Kolonii? - spytał od niechcienia, cały czas wpatrując się w monitor.

- Nie. - Już i tak powiedziała mu więcej, niż zamierzała.
 - Może opowiesz o dawnych czasach, kiedy ciebie i twoich siostr nie było jeszcze na świecie?
 - Lekarz, który opiekował się nami, gdy byliśmy dziećmi, napisał książkę o historii mieszkańców Deception Bay. Są w niej wymienieni moi przodkowie - powiedziała. - Catherine uznała, że naruszył nasze prawo do prywatności, że postąpił nieetycznie.
 - Może miała rację. Gdzie jest ten lekarz?
 - Nie żyje. Spadł z mołu do Pacyfiku dawno temu.
 - Tak? Wiesz, wielu ludzi związanych z Kolonią umiera.
 - Każdy kiedyś umiera, Harrison - powiedziała.
 - Wiem. Ale niektórzy w Pieśni Syreny umarli chyba za wcześnie. - Odstawił laptop i spojrzał na Laure. - Na przykład Mary, twoja matka. Nie znalazłem na jej temat żadnych danych, ani aktu urodzenia, ani zgonu. Trochę dziwne, nie sądzisz?
 - Nie wiem już, co mam myśleć - przyznała. Była to prawda. Choć bardzo się starała, żeby jej życie było choć trochę normalne, jeszcze jej się to nie udało. Dzieciństwo spędziła w Pieśni Syreny, a ludzie tam mieszkający, jej krewni, byli dziwni. Uciekła i poszła do szkoły dla pielęgniarek, ale nawet tam czuła się osamotniona, nie miała wielu przyjaciół, a potem poznała Byrona... Teraz była w ciąży z mężczyzną, z którym się rozwiódła. - W domu dzieje się wiele dziwnych rzeczy - powiedziała, pokazując palcami cudzysłów.
 - Chcesz powiedzieć, że powinienem przejrzeć tę książkę, jeżeli chcę się dowiedzieć więcej o twojej rodzinie?
 - To chyba drzewo genealogiczne. - Zastanowiła się chwilę. - Ja się po prostu martwię, że do druku może pójść coś, czego tak naprawdę nie miałam zamiaru upubliczniać. Możesz dysponować tylko tymi informacjami, które znajdziesz w książce. Nie chcę, żeby moja rodzina miała mnie za zdrajczynię.
 - Nie chcę cię skrzywdzić - zapewnił poważnie, patrząc jej w oczy zza okularów w drucianych oprawkach, które nosił, kiedy pracował na komputerze.
- O Boże, jak bardzo chciała mu zaufać, uwierzyć, ale on nie miał pojęcia o poczuciu sprawiedliwości Justice'a, o jego żądzy zemsty, o tym, jak głęboko w jego sercu zakorzeniło się zło.
- Obliznęła wargi nerwowo i podeszła do małej spiżarni poszukać herbaty, żeby się czymś zająć.

- Mówiłem ci, że nie napiszę niczego, czego nie zaakceptujesz. - Odwrócił się na krześle i spojrzał na nią z taką szczerością, że mu uwierzyła. Tak jakby.

- Dzięki.

- Możesz mi opowiedzieć więcej o Justisie?

Wyjęła torebkę ziołowej herbaty o nazwie Calm i zamknęła drzwi szafki.

- Wiem tylko tyle, że Madeline Turnbull, Catherine i moja matka to kuzynki. Więc Justice jest moim dalekim kuzynem.

- Poznałaś go? Należał do waszego... klanu? Usiłowała cofnąć się w czasie, do wspomnień, do których od lat nie wracała.

- Tak, poznałam go. Kiedy byłam dzieckiem. Przychodził do nas, kiedy był młodszy. - Znalazła kubek i wlała do niego wody.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Ze sześć. - Prawdę mówiąc, nie była tego wcale pewna. Między Catherine i Mary istniały tajemnice, których Catherine nigdy nie ujawniała, chyba że było to absolutnie konieczne, nawet Laurze i jej siostrom.

- Mniej więcej w wieku Justice'a?

- Chyba tak. - Wstawiła kubek do kuchenki mikrofalowej i nastawiła zegar, a potem wcisnęła przycisk „start”.

- Chcesz herbaty, kawy albo...? Pokręcił przecząco głową.

- Twoja matka zmarła, kiedy miałaś dziesięć lat?

- Tak powiedziałam - zauważyła chłodno Laura. Znów dotknął czulej struny. Nie wiedziała, a przecież powinna. Szczegóły związane ze śmiercią matki były niejasne i Laura była zażenowana, że właściwie ich nie zna.

- Jest pochowana na terenie posiadłości?

- Chyba już ci to mówiłam?

Zdjął okulary i położył je na stole. Zanurzył palce we włosach i spojrzał na nią.

- Co jej się stało? To znaczy na co umarła?

- Catherine powiedziała, że umarła, bo pękło jej serce. Wiem, że to brzmi... nierealnie.

Dzwonek mikrofalówki zabrzączał, a ona wyjęła kubek i zanurzyła torebkę herbaty we wrzącej wodzie. Harrison przeszył ją wzrokiem.

- A co to właściwie znaczy? „Umarła, bo pękło jej serce”? Ludzie tak mówią, ale co to właściwie znaczy? Załamała się, kiedy rzucił ją kochanek?

Laura wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Myślę, że nie było konkretnej przyczyny. Po prostu umarła. -Zawahała się. - Miała chyba kilku kochanków - dodała po chwili.

- Wszystkie macie innych ojców.

- Tak...

- To się działo chyba przed zamknięciem bramy.

- Bardzo śmieszne.

- Troszkę śmieszne - przekomarzał się, unosząc jeden kącik ust. - Chciałem tylko rozładować napięcie.

- Jasne.

- Naprawdę. Nie chciałem - powiedział, ale błysk w jego oku mówił coś innego. - Ile masz sióstr?

Wrócił do tematu. Oczywiście.

- W domu mieszka siedem - powiedziała Laura.

- Co pamiętasz o matce?

- Niewiele. - Miała kilka wspomnień. Mary, która rzadko się uśmiechała do swojej córki, a jeszcze rzadziej śmiała.

Całe godziny spędzała na czesaniu córek albo spoglądając tęsknym wzrokiem w lustro na swoje własne odbicie.

Laura pamiętała, że Mary chodziła na długie spacery nad morze, zawsze sama, i nigdy nie pozwalała żadnej z córek pójść z nią. I tak za nią poszły i zobaczyły, że stoi na klifie i wpatruje się w rozbijające się w dole fale. W tych chwilach Laura i jej siostry dla niej nie istniały. Stały pod baldachimem drżących jodeł, w deszczu padającym na leśne poszycie, ale Mary najwyraźniej nie zwracała uwagi na pogodę.

Laura zamrugała, odganiając niewyraźne obrazy, i zobaczyła Harrisona, który siedział w jej przytulnej, choć trochę zniszczonej małej kuchni i przyglądał się jej z takim skupieniem, że serce zaczęło jej szybciej bić.

- Przed oczami pojawia mi się Catherine. To ona z nami była. Co prawda, jest moją ciotką, ale była dla nas zawsze... była z nami, w przeciwieństwie do matki.

- A gdzie była Mary?

- Och, w pobliżu. - Laura położyła mokrą szaszetkę herbaty na talerzyku przy zlewie. - Żyła własnym życiem.

Pamiętam, że z jej skrzydła domu, do którego nam nie wolno było wchodzić,

wychodzili różni mężczyźni - przyznała ze skrepowaniem. - Nagle przestali przychodzić i przez jakiś czas nie wiedziałyśmy, że jej nie ma, aż Catherine pokazała nam nagrobek. Harrison wstał i pochylił się nad stołem.

- Niezła historia. Jak bajka.

- Ale tylko do twojej wiadomości, jasne? - Dmuchnęła na gorącą, pachnącą herbatę.

- Dopóki nie dasz mi zgody, tylko gromadzę informacje. - Uniósł dłoń na znak, że się poddaje.

Nie chciała spojrzeć mu w oczy, czuła lekki strach. Ona to wszystko zaczęła, ale cały czas miała ochotę wcisnąć hamulce. Pochyliła się nad gorącym kubkiem i wzięła duży łyk herbaty jaśminowej z przyprawami, starając się uspokoić. Była strzępkiem nerwów, przez Harrisona Frosta i przez Justice'a. Może dlatego, że z powodu ciąży szalały jej hormony, a może dlatego, że podnosił jej się poziom adrenaliny we krwi na myśl o tym, że Justice jest wolny i ją dręczy, w każdym razie trudno jej było zachować spokój. Mimo tej cholernej herbaty uspokajającej.

- Imię wybrała ci matka?

- Tak.

- Wiesz, że Lorelei miała niewiernego kochanka i rzuciła się do Renu? Utonęła przy skale, a później wabiła głosem żeglarzy, których czekała śmierć. Naprawdę istnieje dźwięk podobny do głosu, który stał się tematem mitu, najwyraźniej trik natury, która została zagłuszona przez współczesną cywilizację.

- Masz dobrą pamięć - powiedziała.

- Mam Internet. - Uśmiechnął się i zerknął na komputer. Wskazał urządzenie wystające z boku laptopa.

Bezprzewodowe łącze umożliwiało mu korzystanie z Internetu wszędzie.

- Aaa...

- Nigdy nie chciałaś dowiedzieć się czegoś więcej? Na przykład o twoim ojcu? - spytał, zaciekawiony.

- Raczej starałam się to wszystko wymazać z pamięci. Wydawało mi się, że tak jest... bezpieczniej. W ogóle nie chciałam tu wracać. To był pomysł mojego byłego męża.

- Teraz jesteś po rozwodzie, ale tu zostałam. Skinęła powoli.

- I nie zamierzasz wyjechać, mimo że gdzieś tu jest Justice, bo chcesz chronić rodzinę? - domyślił się.

Chyba spędził przy niej już tyle czasu, że potrafił odgadnąć jej myśli.

- Tak. - Spojrzała za niego. - A jeżeli przez to, że się do niego odezwę, sprowokuję go, żeby po nas przyszedł? Przyspieszę wydarzenia?

- To ryzyko.

- Nie wiem, czy potrafię to zrobić - przyznała. Harrison spojrział na nią. Naprawdę na nią spojrział. Tak jak mężczyzna patrzy na kobietę. Poczowała, że zaczyna się rumienić. Zawstydzona, odwróciła głowę. Co się z nią dzieje? Dobry Boże. Poznała go wczoraj, w dniu, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, i już chodzą jej po głowie takie myśli?

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Zapadła cisza.

- Słuchaj - odezwał się w końcu Harrison. - Zrobimy sobie przerwę. Pracuję też nad innym tematem. Gorącym. Chcesz mi dziś przy nim pomóc?

- Jakim tematem?

- To projekt, nad którym pracuję od kilku tygodni. W Seaside. Moi Śmiertelni Grzesznicy.

- Kto?

- Weź kurtkę. Opowiem ci po drodze.

- Teraz jesteś zagadkowy?

- Teraz musimy jechać. - Wyrzwał na zewnątrz. - Przez tę cholerną mgłę nic nie widać i jest zimno, ale dla nich to idealna pogoda. Mgła pewnie dotarła też do Seaside.

Spojrzała na niego, zaciekawiona.

- Chodź. Na kilka godzin wywiozę cię z Deception Bay - kuśił. - Będziesz miała trochę czasu na to, żeby się zastanowić, co zrobić z Justice'em. Weź bluzę, wieczorem będzie zimniej.

- Dobrze - powiedziała niepewnie.

- Ty pomożesz mnie, a ja pomogę tobie. Może gwiazdy nam będą sprzyjać i dzisiaj dopadniemy moich Śmiertelnych Grzeszników, a jutro Justice'a Turnbulla.

Chwyciła kurtkę z wieszaka przy drzwiach.

- Marzyciel!

- Zawsze - powiedział, wpatrując się w nią, a serce Laury znowu nedorzecznie podskoczyło.

Podeszła do drzwi i stwierdziła, że z Harrisonem Frostem będą kłopoty.

Chwilowo miała ich aż zanadto.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był ten dziennikarz z mocno zarysowanym podbródkiem, mądrymi oczami i świetnym refleksem. Ale czy jej się to podobało, czy nie, wyglądało na to, że resztę dnia spędzi z nim.

Problem w tym, że jej się to podobało. O wiele bardziej niż powinno.

Rozdział 17

Laura czuła się tak, jakby przeniosła się do innego życia, kiedy jechali na północ, do Seaside. Wczoraj rano była pielęgniarzką w szpitalu Ocean Park i dochodziła do siebie po rozwodzie, a dzisiaj - informatorką, towarzyszką i prawdopodobnie pomocnicą dziennikarza śledczego, który za wszelką cenę chciał od niej wydobyć informacje.

Ciężarną informatorką, towarzyszką i prawdopodobnie pomocnicą dziennikarza śledczego, który za wszelką cenę chciał od niej wyciągnąć informacje. I chciała włączyć się w jego plan. Mało tego, właściwie liczyła na to, że on ochroni ją przed zabójcą z diabelską misją.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu nie wiedziała, że jest w ciąży. Nie знаła Harrisona. Nie wiedziała, że Justice uciekł i że znów ma na celowniku ją i jej rodzinę.

Uchyliła boczną szybę i zamknęła oczy, wystawiając twarz na powiew wiatru. Martwiła się o Catherine i siostry, chociaż wiedziała, że są pewnie na tyle bezpieczne, na ile to możliwe, zamknięte za murami, a całe biuro szeryfa jest postawione na nogi po ucieczce Justice'a. Nie było tajemnicą, na kogo poluje. Dla jej sióstr nic więcej nie można zrobić. To jej groziło największe niebezpieczeństwo.

Z ulgą więc przyjęła to, że Harrison zabiera ją daleko od Deception Bay. Nie chciała przeprowadzać się do tego miasteczka i jej obawy okazały się słuszne. Nie powinna była słuchać Byrona. Nigdy.

Ale teraz nie mogła wyjechać. Musiała doprowadzić sprawę do końca i zrobić wszystko, co się da, żeby ochronić przed Justice'em siebie, rodzinę i dziecko.

Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Harrisonowi Frostowi, że jest w ciąży. Czy miało to znaczenie dla sprawy? Tylko

takie, że Justice najbardziej interesował się nią przede wszystkim dlatego, że nosiła dziecko podobne do nich, a on postanowił sobie, że je wszystkie zabije. Tyle wiedziała. Usłyszała to od niego i przeraziło ją to śmiertelnie. Spojrzała na Harrisona ukradkiem, przyjrzała się jego profilowi i serce zaczęło jej bić szybciej.

Dobry. Boże.

- Posprzątaj plażę! - wymruczał, bo przez całą drogę aż do przedmieść Seaside napotykali zaparkowane samochody w każdym punkcie widokowym, w każdej zatoczce i na każdym parkingu. Harrison jechał przez zakorkowane miasto, coraz bardziej się denerwując, kiedy bezskutecznie próbował znaleźć miejsce parkingowe. Po kilku powolnych przejażdżkach bocznymi ulicami, pełnymi pieszych, rowerzystów i tramwajów, a także samochodów osobowych i ciężarówek, w końcu dopisało mu szczęście i wjechał na parking za stacją benzynową Space Age, na miejsce, z którego akurat wyjeżdżał buick.

Laura, pogrążona w myślach, zastanawiała się, czy to z powodu napiętej sytuacji jest tak drażliwa, a pożąda mężczyzny, z którym akurat jest pod wpływem strachu. A może rozpaczy? Może przez to, że czuła się skołowana w tej zabawie w kotka i myszkę z Justice'em, wydawało jej się, że pragnie Harrisona?

Znajdowała się w bardzo dziwnym położeniu. Po plecach przebiegł jej dreszcz i strach zamienił się w pożądanie.

A może to było coś więcej?

Harrison przekręcił kluczyk w stacyjce i ze schowka wyjął puszkę drażetek miętowych. Otworzył ją, wrzucił sobie jedną do ust i podał puszkę Laurze. Poczowała lekkie obrzydzenie i pokręciła głową.

- Nic ci nie jest? - spytał, spoglądając na nią.

- Nie, czemu?

- Bo wydajesz ciche dźwięki.

- Tak? Jakie?

Parę razy westchnął ciężko, a Laura łagodnie się uśmiechnęła.

- Myślę - powiedziała.

- Za dużo myślisz. Postaraj się chociaż na chwilę zapomnieć o Justisie. - Chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

- Akurat. Niemożliwe.

- Jakies inne wieści? - Pokręciła głową, kiedy puścił jej dłoń.

- On chyba też potrafi mnie zablokować. Na pewno robi to teraz.
- Myślisz, że wie, że jesteś poza murami Pieśni Syreny?
- Oj, tak. Wie na pewno. Ale dobrze, postaram się o nim nie myśleć. Opowiedz mi o Śmiertelnych Grzesznikach. Po drodze do Seaside Harrison mówił Laurze o grupie nastolatków, okradających domy bogatych kolegów z klasy, streścił jej rozmowę z Lane i z Jenny, wyjaśnił, że ich przywódcą jest niejaki N.V., Envy.
- Chcę ich złapać na gorącym uczynku, może nawet dziś wieczorem - powiedział.
- Dlaczego akurat dzisiaj?
- Jest sobota. W weekendy się rozkręcają. Lubią to, co robią, i wydaje im się, że są sprytniejsi niż wszyscy inni. Do tego jest mgła. Trudniej ich zauważyć. Myślę, że nie przepuszczą takiej okazji.
- Policja nic nie podejrzewa?
- Oj, tak. Policja w Seaside wie o kradzieżach i patroluje bogate willowe dzielnice, ale nie mogą być wszędzie, a w letnie weekendy w Seaside wiele się dzieje. Burdy. Pijaństwo. Awantury domowe. Inne kradzieże. Wybierz sobie.
- Wracasz do lodziarni?
- Pod warunkiem że Jenny jest w pracy. Bardziej prawdopodobne, że zauważę którąś z nich na głównej ulicy i pójdę za nią.
- Przecież wiesz, jak wyglądasz.
- Muszę być ostrożny.
- Jak cię zobaczą, będzie bał, że tak powiem.
- Włóż czapkę. I obszerną kurtkę. - Wzruszył ramionami. - Mam ciuchy z tyłu. - Wskazał kciukiem tylne siedzenie, na które ona rzuciła też swoją bluzę z kapturem.
- Może ja za nimi pójdę - zaproponowała Laura. - Ty mi ich pokażesz, a ja będę ich śledzić. Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.
- Nie ma mowy.
- Nie znają mnie, jestem kobietą. Mniej prawdopodobne, że ktoś się przestraszy, jak się zbliżę.
- Zapomnij.
- Dlaczego?
- To... - Przerwał, ale Laura wiedziała, co chciał powiedzieć.

- Niebezpieczne? Bardziej niż przywołanie Justice'a Turnbulla, zabójcy psychopaty? - Mało się nie roześmiała. - Daj spokój.

- Nie i koniec. Nie pozwolę ci.

- Rozumiem. - Zirytowała się. - Nie wierzysz, że mogę przywołać Justice'a, więc to się dla ciebie nie liczy. Ale...

- Nie mogę ryzykować, żeby coś ci się stało z powodu mojego artykułu - oznajmił rzeczowo.

- Ale ja sama się na to decyduję - poinformowała chłodno.

- Nie.

- Jeżeli znajdziesz którąś z nich, ja mogę się koło niej pokręcić, żeby zobaczyć, czy mnie dokądś zaprowadzi - ciągnęła.

- Spotkają się na plaży - powiedział. - W tej mgle będę niewidzialny.

- Dopóki nie podejdziesz do nich na tyle blisko, żeby ich słyszeć.

- Podśłuchiwanie nie będzie - oznajmił. - To zbyt ryzykowne. Chcę ich tylko upolować.

- To znaczy, że się zgadzasz? - spytała, ale zobaczyła, że kręci głową.

- Nie.

Wyczuwała, że to jest sprzeczne z jego zasadami. Ale chciała pomóc. Poza tym musiała zająć myśli czymś innym niż Justice Turnbull i jego obsesja na punkcie jej i jej nienarodzonego dziecka.

- Słuchaj, możesz iść parę korków za mną, w przebraniu.

- Nie...

- W tym tłumie sprzątających plażę i we mgle nikt nie zwróci uwagi na żadne z nas.

- Jesteś pielęgniarką. Nie Matą Hari.

- Jestem młodą kobietą w dzinsach i bluzie, która sprząta śmieci z plaży, tak pochłoniętą tym, co robi, że w tej mgle mogę po prostu wpaść przypadkiem na grupę nastolatków. Po prostu żyję wielkim marzeniem, żeby świat stał się lepszy. W najgorszym wypadku popatrzą na mnie wkurzeni i będą milczeć, dopóki nie zniknę.

- Jezu...

Chwyła bluzę z tylnego siedzenia i ją włożyła.

- Teraz wyglądam jak wszyscy.

On też sięgnął do tyłu i chwycił kurtkę i czapkę bejsbolową, którą wcisnął sobie na głowę.

- Nie chcę, żebyś to robiła.

Był tak poważny, że Laurze wydało się to wszystko dziwnie zabawne.

- Ja się nie boję - zapewniła. - To rodzaj... terapii.

Była to prawda. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny żyła w obezwładniającym strachu i myśl, że mogłaby się zająć czymś innym, mogąc komuś w ten sposób pomóc, sprawiła, że poczuła się, jakby była na potężnym haju, który przyprawił ją o zawroty głowy.

- Nie podoba mi się to.

- To niewinna zabawa w porównaniu z przyzywaniem Justi-ce'a - powiedziała poważnie.

- To, że są dzieciakami, nie znaczy wcale, że nie są niebezpieczni. To złodzieje i jedna pechowa sytuacja może sprawić, że staną się kimś gorszym. Przyparciu do muru będą walczyć.

- Mówisz, że spotkają się na plaży?

- Nie słuchasz, Lorelei. Nie ma scenariusza, ale jest niebezpieczeństwo.

- Słuchaj. Jeżeli będę mogła to zrobić, skontaktuję się z Justice'em. Co ty na to? Coś za coś. - Otworzyła drzwi, więc on też musiał wysiąść.

- Nie mam zamiaru się z tobą targować!

- Oj, przestań. Mówię poważnie, pozwól mi pomóc. - Naciągnęła kaptur na głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Cholera.

Roześmiała się, widząc jego bezradność, czym zaskoczyła ich oboje. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się śmiała.

- Jestem w lekkiej hysterii - przyznała.

- Jesteś w ciężkiej hysterii - stwierdził.

Ruszyła przed siebie, ale Harrison za chwilę znów był obok niej.

- Jeżeli zobaczą cię ze mną, to będzie to strata czasu.

- Trudno - mruknął, ale nie próbował jej powstrzymać ani odesłać do samochodu. Wiedziała, że wygrała.

Szli razem Broadwayem, mijali ludzi wychodzących z plaży, którzy zbliżali się do nich jak ponure duchy i znikali. Spod kurtek, kamizelek i bluz z kapturem podobnych do bluzy Laury widać było koszulki z napisem „Posprzątaj plażę!”.

Harrison wskazał lodziarnię, na którą Laura spojrzała z zainteresowaniem. Ruszyła na przeciwną stronę ulicy, ale chwycił ją mocno za ramię.

- Dobra, słuchaj. Są pewne zasady. Nie podchodź za blisko. Nic nie rób. Tylko patrz. Zrozumiałaś?

Skinęła głową.

- Z przodu stoi Lana. Pierwsza dziewczyna, z którą rozmawiałem. Jenny nie ma za ladą, ale... - Uciał i zaklął cicho. - Jest. Wychodzi z zaplecza. Widocznie wychodzi z pracy. Która godzina?

Laura podwinęła rękaw i zerknęła na zegarek.

- Czwarta trzydzieści.

- Dobra. Chodź tu. - Przyciągnął ją do siebie, aż poczuła zarost na jego brodzie. - Pocałuję cię - powiedział. - Postaraj się, żebyśmy wyglądali na zakochanych.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale jego wargi nagle znalazły się na jej ustach. Były ciepłe. Miękkie. Delikatne. Smakowały miętą. Kolana się pod nią ugięły. Chciała się odezwać, ale przytulił ją trochę mocniej, a ona rzuciła mu ukradkowe spojrzenie i zobaczyła, że ma otwarte oczy i patrzy na lodziarnię.

Pocałunek trwał, ale kiedy się zorientowała, że on jest myślami gdzie indziej, że to tylko cholerna gra, poczuła ulgę i lekkie rozczarowanie. I zakłopotanie. Miała czas na to, żeby ocenić sytuację, i poczuła dreszcz niepokoju połączony ze strachem. Była w ciąży. Całowała się z mężczyzną, który wydawał jej się przystojny. Uciekała przed mężczyzną, który chciał ją zabić. Ją...

Siossstm...! Z plugawym demonem, który w tobie rośnie...

Szarpnęła się, przerażona. Harrison przerwał pocałunek i spojrzał na nią, marszcząc brwi. Mocno zatrzęsnęła drzwiami swojego umysłu.

- Co się stało? - spytał Harrison.

- Nic. Nerwy. - Szczękała zębami.

- Ruszają - powiedział, zerkając na drugą stronę ulicy. - W tej mgle mnie nie poznają, mogę iść za nimi.

- Nie, ja chcę to zrobić. - Wyswobodziła się z jego objęć i natychmiast pożałowała utraconego ciepła.

- Jesteś pewna?

- Tak!

- Pójdę za tobą za trzydzieści sekund. Będę na końcu zakrętu. Nie podchodź do nich, po prostu trzymaj się blisko, na ile się da.

Uniosła dłoń na pożegnanie i ruszyła za dwiema dziewczynami w stronę plaży.

Rozdział 18

Harrison próbował liczyć do dwudziestu, ale zatrzymał się na dziewięciu. Tylko tyle wytrzymał, zanim ruszył za Laurą. Na zachód. Gdzie za warstwami szarego dymu ledwie było widać rozmyte słońce.

Czuł, że popełnia wiele błędów. Całe mnóstwo. Czuł, że Lorelei była dla niego kimś więcej niż źródłem informacji. Kimś więcej niż współnik, którego nigdy nie miał.

Co ty, do cholery, wyprawiasz? - spytał siebie.

Pracuję nad tematem.

Prychnął pobłażliwie. Jasne. Nic więcej. Natychmiast zaczął przeprowadzać wywiad sam ze sobą. Tą sztuczką posługiwał się, żeby mieć pewność, że nie oszukuje samego siebie.

Jest ładna.

Tak.

Jest poważna, ale ma poczucie humoru. Tak, znowu.

Jest odważna, chociaż myśli co innego. Racja.

Lubisz ją bardziej, niż powinieneś. Masz pecha w związkach. Powinieneś poprzestać na płaszczyźnie zawodowej, bo inaczej ktoś będzie cierpiał. Nie mówię ci nic nowego, wszystko już wiesz.

- Bingo.

I umie się całować tak namiętnie, że kręci ci się w głowie, a cholerny fiut zaczyna stawać na baczność. Cholera.

Odepchnął niechciane myśli. Na razie.

Widział ledwie na półtora metra przed sobą, ale słyszał kipiel, głośny szum, któremu od czasu do czasu towarzyszył huk fali' rozbijającej się o skały. Ludzkie głosy przypominały stłumione miauczenie w łagodnym, nieostrym świetle.

Cały świat wydawał się nierealny.

Uważaj, pomyślał, czując dziwne ukłucie w sercu.

Laura przystanąła, żeby wziąć czarny worek na śmieci przy stoliku, przy którym dwie kobiety w czapkach bejsbolowych z napisem „Posprzątaj plażę!” i w za dużych koszulkach zbiera-

ły datki i udzielały informacji. Skinęła głową i poszła za dziewczynami, trzymając się w bezpiecznej odległości. Harrison miał rację, dziewczyny szły na plażę.

Zorientowała się, że nie może się skoncentrować na wykonywanym zadaniu, bo myśli o pocałunku, który jeszcze czuła na ustach. Justice'a zamknęła w zupełnie innym miejscu w umyśle i była szczęśliwa, że go tam zostawiła.

Bardzo szczęśliwa. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Pocałunek był niesamowity, ale na Harrisonie Froście nie zrobił najmniejszego wrażenia. Zadręczyłaby się na śmierć, gdyby nie była w stanie się opanować, przynajmniej udawać, że nic się nie stało. A tak była tylko w lekkim szoku i zastanawiała się nad sobą.

Dziewczyny zeszły na plażę i brnęły w piasku. Kierowały się na północ, omijając tłumy nad wodą. Laura szła tuż za nimi, czasami podchodząc bliżej, kiedy mgła była gęstsza, a czasem, odbijając w lewo lub prawo, żeby stwarzać pozory, że idą w tę samą stronę, ale nie w to samo miejsce. Mijały ludzi szukających na plaży rzeczy wyrzuconych przez morze, rodziców z dziećmi, ludzi spacerujących z psami i sprzątających plażę, ale nikt ich nie zaczepił.

Dziewczyny były w swoim świecie. Ani razu nie spojrzały na Laurę. Jakiś kilometr od zakrętu zaczęły zwalniać i się rozglądać. Klóciły się i Laura musiała przysunąć się bliżej. Pochylając się, podniosła z ziemi nieistniejącą rzecz, żeby usłyszeć, o czym mówią.

- Poszłyśmy za daleko! - narzekała Lana.

- Wcale nie! - odparowała Jenny. - Gdzieś tu są. Noah! -krzyknęła. - Noah!

- Zamknij się - odpowiedziała Lana. - Jezu. Chcesz ściągnąć gliny?

Jenny zrobiła krok do przodu, a we mgle zmaterializowała się kolejna postać. Mężczyzny. Chwycił Jenny za rękę i pociągnął na piach, daleko od Laury. Lana poszła za nimi, prychnąc niezadowolona.

- Jasne, najlepiej mnie zostawcie.

- Zamknij się, do diabła. - Bezcielesny męski głos dobiegł do Laury, która się zatrzymała i stała nieruchomo w kokonie szarej mgły. Nic nie widziała, ale była na tyle blisko, żeby słyszeć. Znowu się schyliła, tym razem naprawdę znalazła butelkę po wodzie sodowej, którą wrzuciła do worka na śmieci, nasłuchując.

- Noah - odezwał się kobiecy głos.

- Envy - syknął.

Inny męski głos wybuchnął śmiechem, na który Noah/Enw zareagował prychnięciem. ^y

- Głupki. Skupcie się. Idziemy drugi raz w pewne miejsce

- Co masz na myśli? - spytał kobiecy głos.

- Za chwilę zmienię ci imię z Pychy na Kretynkę - warknął - Ktos jeszcze ma głupie pytania?

- Okradniemy dom, w którym już byliśmy? - zgadła Jenny.

- Tak, złotko. Ulubione miejsce Lany.

- Żądzy! - syknęła Lana. - Na imię mi Żądza. Ellie nazwałaś Pychą, więc mnie nazywaj Żądzą!

- Daj spokój - powiedziała Ellie/Pycha. - Jan nie lubi swojego imienia - dodała kpiąco.

- Kogo to obchodzi? - spytał Noah. - Słyszeliście, co powiedziałem? Nie chcecie wiedzieć, który dom?

- Dostyc tego! - zaprotestował inny męski głos - Nie chce żadnych głupich imion!

- Hm...? Moje ulubione miejsce? - zastanawiała się Lana - Nie wiem, co masz na myśli, Noah... Envy.

- Imię i nazwisko na B, ciemna maso. Teraz już wiesz?

- O... to... Britt... Berman...? - zaczęła i zamilkła Widocznie Noah/Envy zasłonił jej usta dłonią i uciszył wszystkich.

Laura bała się ruszyć, ale martwiła się, że Noah/Envy może pojawić się przed nią. Czas zniknąć.

Ostrożnie zrobiła krok do tyłu, z łomoczącym sercem później drugi, i trzeci w stronę wody. Chciała biec, ale starała się iść wolno, chociaż ze strachu szumiało jej w uszach.

- Ej!- Głos Noaha/Envy rozległ się tuż przed nią. - Ty. Co robisz?

Laura nie widziała nic przez mgłę, aż nagle wyłonił się przed nią chłopak, na oko siedemnastoletni. Patrzył ponuro, miał zaciśnięte usta. Sprawiał wrażenie niebezpiecznego i Laura nie mogła powstrzymać drżenia.

- Co? - spytała. - Do mnie mówisz? - Rozejrzała się

- Tak, suko. Do ciebie. Co tu robisz?

- Sprzątam plażę! - Podniosła worek, ignorując ukłucie strachu. - I nie nazywam się suka. Zrozumiałeś?

Przysunął się bliżej, złowrogo.

- Podsluchiwałaś coś, czego nie powinnaś? - spytał ze złością. Powstrzymała się, żeby się nie cofnąć.

- Mówiłam, że sprzątam plażę, publiczną plażę, z rodziną - skłamała w nadziei, że chłopak uwierzy, że nie jest sama.

- Ty chyba też po to tu jesteś?

- Nie bądź głupia!

- Nie obrażaj mnie. - Nie zamierzała pozwolić, żeby ten nastoletni punk po niej jeździł.

- Niech to! - Chwycił ją za rękę i szarpnął raz, mocno. Wtedy zobaczyła całą grupę, zmierzającą w jej kierunku. Wyglądali groźnie. Było ich siedmioro, zgadza się. Trzy dziewczyny i czterech chłopaków. Spojrzała ostro na ich przywódcę.

- Puść mnie - powiedziała tym samym spokojnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem, jakim zwracała się do niesfornych pacjentów i spróbowała wyszarpnąć rękę. Chwycił ją mocniej.

Jeden z chłopaków rozejrzał się dookoła, skrepowany.

- E, daj spokój. Po co straszyć ludzi - powiedział.

- Tu jest mnóstwo ludzi - przypomniała Ellie, trzecia dziewczyna.

Noah/Envy nic sobie z tego nie zrobił. Przysunął się bliżej i spojrzał Laurze w oczy z czystą furją.

Wyczuła zapach czegoś miętowego, ordynarnego.

- Żucie tytoniu powoduje raka warg, języka i gardła - wyrecytowała bez namysłu. - Lepiej uważaj.

- A co cię to, do cholery, obchodzi?

- Ej - odezwał się przejęty chłopak, kiedy usłyszeli zbliżające się głosy. Śmiech dziecka i niski baryton mężczyzny.

Noah/Envy niechętnie puścił jej rękę.

- Lorelei? Jesteś tu? - usłyszała zmieniony, niemal nierozpoznawalny głos, ale wiedziała, że to głos Harrisona.

Odwróciła się tam, skąd dobiegał i zniknęła we mgle, po omacku kierując się w jego stronę. Poczowała ulgę, kiedy go zobaczyła, i padła mu w ramiona, jakby naprawdę był jej zmartwionym mężem. Dzieciaki zniknęły w szarej mgle.

Odwróciła się, przekonana, że Noah/ Envy, idzie za nią, ale nie zrobił tego.

Ona i Harrison skierowali się na południe, do zakrętu. Dotarli do niego w milczeniu i kiedy znaleźli się wśród innych spacerowiczów i ochotników sprzątających plażę, zwolnili i ruszyli w stronę

samochodu. Laura zostawiła worek na śmieci, o którym prawie zapomniała, w wyznaczonym miejscu. Jakaś kobieta podała jej naklejkę z gwiazdą morską i z napisem „Posprzątałem plażę”.

Niezupełnie. Ale nie miała zamiaru się sprzeczać.

Harrison poprowadził ją promenadą. Otworzył drzwi małego baru i zaprowadził ją do małego stolika dla dwóch osób z daleka od drzwi. Usiedli tyłem do okna.

- Słyszałem go - powiedział ponuro Harrison, zaciskając zęby. - Miałem wyskoczyć i go zabić, gdyby nie przestał ci grozić.

- Lekka przesada.

- Są niebezpieczni.

- Ja też. - Uśmiechnęła się lekko. - Na co dzień mam do czynienia z wojującymi pacjentami, do tego ta cała komunikacja z zabójcą.

- A, tak. - Chyba się trochę rozchmurzył.

- To dzieci.

- Złodzieje.

- To nic, nie boję się paru punków... na pewno nie śmiertelnie.

- A powinnaś.

- Może. - Przysunęła się do niego, ale musiała poczekać, aż żująca gumę dziewczyna ze znudzoną miną podejdzie do ich stolika. - Co podać? - spytała.

Laura zerknęła na menu, wielką tablicę wiszącą nad ladą.

- Kanapkę z indykiem z serem śmietankowym i sosem żurawinowym - powiedziała, wybierając pierwszą lepszą przyzwoitą potrawę. - Mus z małży i kanapkę z tuńczykiem na gorąco.

- Coś do picia? - spytała dziewczyna na wydechu.

- Colę - powiedział Harrison i zerknął na Laureę.

- Dla mnie woda.

Dziewczyna odwróciła się i podeszła do innego stolika, przy którym młoda matka szarpała się z trzyletnim dzieckiem, które usiłowała utrzymać na krzeselku dzieciennym.

- Z tego, co widziałam, było ich siedmioro - odezwała się Laura ściszym głosem, kiedy kelnerka oddaliła się na tyle, że nie mogła ich słyszeć. - Chłopak ma na imię Noah, ale nazywa siebie Envy. Nazwisko nie padło. Lana jest Żądzą. Ellie - Pychą. Był jeszcze jeden chłopak, któremu przypadło imię Obzarstwo,

ale mu się nie podoba, łan. Nie znam grzesznego imienia Jenny, ale zostały Chciwość, Gniew i Lenistwo. Zamierzają napaść znowu na dom Bermanów.

- Na pewno dobrze usłyszałaś? - Uniósł gwałtownie brwi.

- Powiedział, że idą drugi raz do domu przyjaciółki Lany. Kazał jej zgadnąć i powiedział, że inicjałami są dwa B. Wpadła na to, że chodzi o Britt Berman, ale nie dał jej powiedzieć więcej.

Harrison jęknął z niedowierzaniem albo zdumieniem - Laura nie bardzo wiedziała.

- Czasami rzeczy dzieją się same - powiedział w końcu. Wyjął komórkę z kieszeni i patrzył na nią przez chwilę, nad czymś się zastanawiając. Po chwili schował ją z powrotem. - Chodź. - Chwycił ją za rękę. - Napiszę artykuł - powiedział. - A potem pojedziemy do Bermanów i ich dyskretnie ostrzeżemy. - Przy ladzie zamilkł. - Bierzemy na wynos - powiedział do kelnerki.

Kilka godzin później Laura, skulona w fotelu pasażera, z pupą obolałą od siedzenia, obserwowała jak Śmiertelni Grzesznicy wylaniają się jak mroczna horda i rozpraszają wokół domu Bermanów. Siedzący za kierownicą Harrison przyłożył lornetkę do oczu i się uśmiechnął.

- Jak w zegarku. Jeżeli Envy uświadomiłby sobie, jak jest przewidywalny, mógłby być niebezpieczny.

Trzydzieści sekund później uruchomił się alarm. Nie w domu Bermanów, bo ten został uszkodzony podczas poprzedniej kradzieży i właściciele do tej pory go nie wymienili. Wył alarm sąsiadów, u których schroniła się rodzina Bermanów po tym, jak Harrison zawiadomił policję Seaside o planowanym napadzie.

Harrison był zachwycony. Obserwował przez chwilę, a potem wyszedł z samochodu, żeby porozmawiać z jednym z policjantów. Laura czuła się swobodnie i była dziwnie zadowolona. W ciągu całego dnia spędzonego z tym mężczyzną wyrobiła sobie o nim zdanie. Obserwując go w akcji, kiedy prowadził z nią wywiad, polował na siedmioro Śmiertelnych Grzeszników, pisał artykuł czy siedział z nią w ukryciu, dowiedziała się o nim więcej, niż się spodziewała.

Problem w tym, że zaczynało jej się wydawać, że zna go od lat. Bzdura.

Przyglądając mu się teraz, w świetle latarni, jego szerokim ramionom, wąskim biodrom, ciemnym włosom, dziwiła się, że kilka dni temu jeszcze go nie знаła.

Odwrócił się, jakby poczuł na sobie jej wzrok, i puścił się biegiem przez kłęby mgły do samochodu. Kilka chwil później zatrzasnął drzwi auta.

- Nazywa się John Mills - powiedział, odnosząc się do policjanta. - Rozmawiałem z nim wcześniej. Niektórzy gliniarze to dupki, ale Mills ze mną gada, więc do niego zadzwoniłem z tą sprawą.

- Uhm.

- Napiszę artykuł na podstawie tego, co wiem, a jutro z nim porozmawiam i zobaczę, czy dowiem się czegoś więcej.

- Dokąd teraz jedziemy? - spytała, zaintrygowana tym, z jakim ożywieniem opowiadał o swojej pracy.

- Do mnie. Notatki i większość artykułu mam w laptopie. Muszę go tylko dokończyć i wysłać. Znajdzie się jutro na pierwszej stronie „Breeze”.

- Jedźmy - powiedziała, nadal zaintrygowana, kiedy wrzucał bieg i zawracał na trzy razy.

Przyjechali do jego pustego mieszkania.

- Jeszcze nie dopracowałem szczegółów wystroju - zażartował, kiedy zauważyła brak mebli.

- Łatwiej dbać o porządek.

- Hm. - Ledwie jej słuchał, bo pochłonięty był tematem. Otworzył laptop, wybrał plik i dopisał kilka ostatnich słów na temat ujęcia Śmiertelnych Grzeszników. - Bez nazwisk - powiedział. - Są niepełnoletni. - Wysłał tekst mejlem. -

Dobry numer - stwierdził, zamykając laptop. - Chcesz kolację? Może wrócimy do miasta i kupimy kurczaka z frytkami w Davy Jones's. Potem ukołyszę cię do snu.

- Z podwiezienia skorzystam, ale bar sobie odpuszczę - powiedziała, marszcząc brwi. - Davy Jones's dwa razy dziennie to chyba za dużo jak dla mnie.

- Nie lubisz smażonego?

- Jak każda kobieta.

- To fakt, kobiety nie lubią smażonych potraw. A jeżeli nawet, to się nie przyznają. Bez przerwy tylko sałatki, zdrowe odżywianie i odchudzanie. Żadnej radości. Poziom radości zależy od ilości spożywanego oleju i tłuszczu, których ty unikasz - kusił.

- Jadłam rano jajka po wiejsku - przypomniała mu. - Z tobą.
 - Sa chyba pieczone. Prawie bez tłuszczu.
 - Może - Uśmiechnęła się. - Ale za kolację dziękuję. Doszła do wniosku, że spędziła z nim już za dużo czasu, a jednak chciała z nim być jeszcze dłużej. Mogła sobie wmawiać, że to wynik zdenerwowania Justice'em, że dzięki Hamsonowi Prostowi czuje się lepiej, jest spokojniejsza, ale wiedziała, że chodzi o coś więcej. . ,
- O coś, o czym w tej chwili w ogóle nie mogła myśleć.
- Ale chyba musisz coś zjeść? - nalegał.
 - Mam trochę jedzenia w lodówce.
 - Ile?
 - Domagasz się zaproszenia?
 - Może. Co masz w lodówce? - Nie odpowiedziała od razu, więc spytał: - Sałatkę?
 - I inne produkty.
 - Inne zdrowe produkty.
 - A ty nie jesz zdrowych potraw?
 - Jeżeli mnie zaprosisz, to zjem. - Uśmiechnął się.
- Porządkował ją nieodpartym urokiem, który mógł się stać przyczyną prawdziwych kłopotów.
- Dobrze - zgodziła się, ulegając nie tylko jemu, ale także swoim ukrytym pragnieniom.
 - Zawieź mnie do domu, ja przygotuję coś do zjedzenia. Ale do snu me będziesz mnie kołysał.
- Posłał jej leniwy uśmiech.
- A jeżeli spałbym u ciebie, powiedzmy, na kanapie w salonie?
- długo będzie musiała zmierzyć się z prawdziwą groźbą, która nad nią wisiała. Radość z tego, że pomogła w ujęciu Śmiertelnych Grzeszników, zniknęła. Nie mogła w nieskończoność uciekać od własnych problemów, chociaż dzisiaj jej się to udało.
- Poduszki na kanapie gryzą.
 - Jesteś pielęgniarką, prawda? Może będziesz potrafiła mi pomóc gdybym... potrzebował pomocy?
- Może - Zignorowała głos rozsądku, który mówi: Co ty wyrabiasz, Lorelei? To szaleństwo. Wariactwo! Ale myśl, że miałby u niej spędzić noc, przyprawiała ją o dreszcz.

Zamknął drzwi i zewnętrznymi schodami zeszli do samochodu. Poczula zapach morza. Noc była zimna. Czarna. Głęboka.

- A, słyszałem, że postraszyłaś Noaha rakiem jamy ustnej -powiedział. To była czarodziejska diagnoza?

- Nie. - Laura mało się nie roześmiała. - Chciałam po prostu odwrócić jego uwagę. Czułam, że żuł tytoń. A poza tym to działa trochę inaczej.

- A wyczujesz, kiedy ze mną będzie coś nie tak? - Odwrócił się do niej i zmierzył ją wzrokiem z rozbawieniem, wkładając kluczyk do stacyjki. Na zewnątrz panowała zupełna ciemność.

- Nie.

- A jak to działa? Widzisz moją aurę czy coś w tym rodzaju? - Boże, jego oczy były ciemne i seksowne.

- No i znowu się ze mnie nabijasz. - Udawała złość. Chciała być zła. A tymczasem była rozbawiona. Udało jej się odwrócić od niego wzrok. Spojrzała za przednią szybę i robiła wszystko, żeby nie patrzeć na Harrisona. Zacisnęła palce na podłokietniku.

- Więc jak to działa? - nie dawał za wygraną.

- Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Musisz wiedzieć.

- Hm - odezwała się niechętnie. - Musiałabym cię dotknąć. Może wtedy coś bym wyczuła.

- Bzdury.

- Święta prawda. - Odwróciła się do niego z uśmiechem na ustach.

- Dobra. - Wyciągnął rękę i ścisnął jej palce. Przyglądał jej się uważnie, a ją zahipnotyzowało ciepło jego skóry. Po chwili zmarszczyła czoło i wyszarpnęła dłoń.

- Co?

- Wolałabym nie mówić.

- No, przestań!

- Dobrze. - Pokręciła głową. - Będziesz miał kłopoty z układem pokarmowym. Wymagające... nieprzyjemnej operacji.

- A są przyjemne operacje?

- Ale to tylko ewentualność. Jeszcze nie rzeczywistość. Wydaje mi się, że można uniknąć problemu, jeżeli wprowadzi się pewne zmiany. - Potarła dłoń w miejscu, gdzie jej dotykał.

Wpatrywał się w nią i widziała, że zastanawia się, czy może to przypadkiem jest prawda.

- Przykro mi to mówić, panie Frost, ale powinien pan zrezygnować ze smażonych potraw.

- Cholera! - Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik ożył. -

Mówiłem, że to bzdury.

- Najprawdziwsza prawda - zaprzeczyła i oboje wybuchnęli śmiechem. .

Czterdzieści minut później wjeżdżali na podjazd jej domu, a ich radosny nastrój ulatniał się z każdym kilometrem pokonywanym przez samochód Harrisona. Laura myślała o szalencu, który był z nią spokrewniony, i o jego żądzy krwi. Jej krwi. Krwi jej sióstr. Krwi jej nienarodzonego dziecka.

Może to zrobić?

Przywołać szaleńca?

Zatańczyć z diabłem?

Patrzyła przez okno na atramentowe niebo nad Hitami, do których ocean nieustrudzenie gnał fale. Zamknęła oczy i przypomniała go sobie, kiedy był dzieckiem. Drobnym blondynem. Z niebieskimi oczami. Pełnym nienawiści. Bładym i chudym. Kilka spotkań wystarczyło, żeby zauważyła, że jest dziwny. Już wtedy jego przenikliwe spojrzenie mroziło jej krew w żyłach, ale teraz... słysząc jego syczący głos, nie wyobrażała sobie, że miałyby stanąć z nim twarzą w twarz.

Ale robi to... jeżeli będzie musiała. Zorientowała się, że dojechali do domu, dopiero kiedy usłyszała chrzęst opon na żwirowym podjeździe i zobaczyła, jak światła samochodu omiatają ścianę jej domu.

Teraz albo nigdy.

Harrison, sam ze swoimi myślami, wyłączył stacyjkę i odwrócił się do niej, żeby spytać, co teraz.

- Zróbmy to - oznajmiła, zanim zdążył się odezwać. - Jestem gotowa.

- Chcesz odezwać się do Justice'a? - spytał zaskoczony jej nagłą kapitulacją po całym dniu męczącego wahania.

Przełknęła z trudem ślinę, otworzyła drzwi samochodu i poczuła na twarzy zimne, wilgotne, nocne powietrze.

- Zgadza się, Frost - rzuciła przez ramię. - Przygotuj się na nowy etap w twoim dochodzeniu, bo zaręczam ci, że on się wścieknie.

Rozdział 19

Morze mnie wzywa.

Latarnia morska jest moim sanktuarium w bożym mieszkaniu, które ma wiele pokoi.

Moje miejsce jest w latarni, a moja dusza frunie tam nawet wtedy, kiedy ja nie mogę. Teraz latarni pilnują bezdusznicy pracownicy biura szeryfa. Przede mną. Ale to jest moje miejsce na końcu świata. Moje miejsce na małej wysepce, na której stoi latarnia, do której można dopłynąć tylko łódką albo dostać się przez most tylko podczas odpływu, ale jego wsporniki i dźwigary zniszczyły korniki i pogoda i nie można już z niego korzystać.

To było mi na rękę, ale teraz nawet ja nie mogę się dostać na wysepkę.

Dopóki nie znajdę sposobu, żeby pozbyć się tych, którzy chcą mnie schwytać. Żeby im uciec. Wywieść ich w pole. Oszukać.

Tym razem moja misja musi się powieść. Dopadnę je wszystkie. Wszystkie blondynki, podle czarownicy z kuszącymi, wykrzywionymi w szyderczym uśmiechu ustami i protekcyjnym spojrzeniem. Muszę wrzucić ich czarne dusze do mrocznej otchłani, z której nie ma ucieczki. Zostawić je tam na zawsze. Uśmiecham się, kiedy wyobrażam sobie ich męki.

- Zasłużyłyście sobie - szepczę i uświadamiam sobie, że fantazjuję. Jadę na pamięć. Przejeżdżam obok wejścia do latarni wydeptaną ścieżką porośniętą na środku chwastami. Widzę ciemną bryłę policyjnego samochodu. Mężczyzna w środku pali. Jest znudzony. Czeki. Przeklinając rozkaz, który kazał mu siedzieć, kiedy inni szukają mnie gorączkowo jak psy, które gonią własny ogon. Obok niego siedzi inny, z czapką na kolanach. A może to kobieta? Nie wiem, ale nie mogę zwolnić, żeby się przyjrzeć.

Gdybym musiał, zabiłbym tych policjantów, ale musiałbym ich najpierw wywabić z auta.

Najpierw...

Zerkam na martwą kobietę obok mnie. Kłopot, ale potrzebny mi jej samochód.

Muszę dotrzeć do ludzi.

Głowa leci jej naprzód, ale opieram jej policzek o szybę po stronie pasażera. Wygląda, jakby spała.

Justice...

Moje imię szybuje w powietrzu.

Co?! Sapię. Justice. Dźwięk dzwoni mi w uszach, ogłusza mnie, ogłupia.

Ona mnie wzywa?

Nie... nigdy! Ale znów to samo. Jusstice! Syczący dźwięk drży w powietrzu, jakby mnie przedrzeźniała.

- Suko! - wrzeszczę. Szarpię kierownicę i tracę widok za przednią szybą, bo oczy przesłania mi jej twarz. Mało nie wjeżdżam na przeciwny pas ruchu.

- Szatańska dziwko! - krzyczę głośno. Kiedy samochód ześlizguje się na pobocze, pod kołami strzela żwir. Słyszę za sobą klakson, kierowca pikapa z olbrzymimi kołami i kabiną do nieba pokazuje mi środkowy palec.

Moja towarzyszka leci do przodu i o mało nie osuwa się na podłogę, ale przytrzymuję ją dłonią, na której widok ogarnia mnie wściekłość, bo drży.

Ze strachu?

Nigdy!

Z zajadłej, palącej wściekłości. Och, ta, która mnie woła, skończy w piekielnych płomieniach!

Lorelei. Jej twarz znowu pojawia się przede mną, hamuję, a w lesie podnosi się mgła. Zasłużyła na tortury. Męki.

Po chwili uświadamiam sobie, że zabić muszę wszystkie. Wszystkie. Spalić. Spalić...

- Wyrwę ci czarne serce z piersi, suko! - mówię na głos, posyłając słowa w powietrze, wciskając je do jej umysłu.

Żadnego dźwięku. Żadnego poruszenia. Żadnego słowa. Boi się. Uśmiecham się w ponurej, przesłaniającej wszystko mgle. Jest w ciąży i jest ostatnią poza murami. Najłatwiej ją wyczuć. Najłatwiej znaleźć. Najłatwiej zabić.

*Poziom adrenaliny znów mi podskoczył... Niedługo... Odnajdę ją niedługo... Pewność na nowo wypełnia moją **duszę**.*

- Lorelei - mówię znowu, posyłając wiadomość przez ciemny korytarz do jej umysłu. - Nadchodzę.

Twarz Laury była biała jak kreda, kiedy siedziała przy kuchennym stole naprzeciwko Harrisona.

Jezu, co on najlepszego zrobił? Podsunął pomysł, żeby odezwała się do szaleńca.

- Laura! - Sięgnął przez stół i chwycił ją za rękę. Palce miała zimne jak lód.

Cholera!

- Laura!

Nie zareagowała. Była obecna ciałem, ale jej umysł, a może nawet dusza, znajdowały się zupełnie gdzie indziej. O mało jej nie wyśmiał, kiedy obstawała przy tym, że może porozumiewać się z Justice'em, ale teraz zobaczył przeblask czegoś, czego nie rozumiał, pomyślał, że jednak jest coś w tym, co mówiła.

To było niebezpieczne.

- Lorelei - powiedział, ściskając jej zimne palce. - Dobra, wygrałaś. Przerażasz mnie.

Nic.

- Laura! - Wstał.

Ocknęła się, nabierając łapczywie powietrza, ze łzami w oczach.

- O Boże...

- Nic ci nie jest? - Strach, który wspinał mu się po kręgosłupie, wcale mu się nie podobał. Do cholery, co się stało? - Jezu. Ale mnie wystraszyłaś.

- Po tym dzisiejszym dniu... prawie... zapomniałam, jak zły jest Justice. - Zgarbiła się, mocno zacisnęła powieki, ale po chwili otworzyła oczy.

- Po dzisiejszym dniu? - Zmarszczył brwi.

- Czas spędzony z tobą w Seaside był... - przerwała na chwilę i odetchnęła głęboko. Jej palce znów były ciepłe. - W twoim świecie, mimo niebezpieczeństw, poczułam... nie wiem... ulgę. - Patrzyła mu w oczy. - To było... chyba normalne, na swój sposób. Nastolatki szukające wrażeń albo zemsty, wielkie napięcie, nie wiem, ale to... jest naprawdę odrażające.

- Więc... dotarłaś do niego? - Harrison wypuścił jej dłoń, ale przy niej stał. Chciała przytaknąć, ale z jej gardła wydobył się szloch. Miała trudności z mówieniem, ale chociaż Harrison rozumiał, że jest wyczerpana, musiał się dowiedzieć, co się wydarzyło w ciągu tych kilku chwil, kiedy nieruchomo patrzyła przed siebie. - I co?

- Rzuciłam mu wyzwanie - powiedziała cicho. - Powiedziałam, żeby po mnie przyszedł.
- Na miłość boską.
- Chyba tego chciałeś?
- Chciałem, żebyśmy, to znaczy ja razem z policją, go znaleźli Nie chciałem narażać cię na niebezpieczeństwo.
- I tak mi groziło - przyznała. - Nie miałeś z tym nic wspólnego To że go wezwałam, może przyspieszyć bieg wypadków, ale możesz mi wierzyć, że problem był już wcześniej. - Wykrzywiła się z goryczą. - Przynajmniej zobaczył, jak to jest.
- Odpowiedział?
- O tak. Odpowiedział. - Jej uśmiech znikł. - Cytuję - ściszyła głos. - Wyrwę ci czarne serce z piersi, suko. Chryste!

Harrison o mało nie krzyknął. Laura miała zmieniony głos. Scena rozmowy Laury i jej dręczyciela, która najwyraźniej odbywała się bez słów, stanęła przed nim jak żywa.

Kiedy spojrzała na niego nieśmiało, zastanawiał się, czy widzi Lorelei, czy którąś z jej sióstr, a może samego Justice'a.

Udawał, że wierzy. Cholera, chciał wierzyć. Polubił Lorelei. Bardzo. Mógł sobie wyobrazić, że z nią sypia, że z nią jest i że może nawet trochę ją kocha.

Nie mógł jednak zdobyć się na to, żeby uwierzyć w telepatię Owszem, bała się Justice'a, nie bez powodu, bo należała do sekty, ale komunikacja mentalna? Może w ten sposób przejawia się u niej strach?

„Wyrwę ci czarne serce z piersi, suko”.

Nie, to było prawdziwe. Przynajmniej dla niej.

- Wtedy się wyłączyłam - powiedziała, nieświadoma wewnętrznego dialogu Harrisona. Jej twarz znów stała się twarzą kobiety, która go zafascynowała. - Ale na pewno dostał wiadomość i teraz... przyjdzie po mnie. - Powiedziała to z zaskakującym spokojem, jakby w końcu była gotowa na wydarzenie, którego spodziewała się przez całe życie.
- Najpierw musi cię znaleźć - przypomniał Harrison przytomnie.
- Wie, gdzie jestem. Potrafi mnie wyczuć.
- Wyczuwanie kogoś i pewność, gdzie się znajduje, to dwie różne rzeczy.

- Ale nie w przypadku Justice'a.

- Tak czy siak, nie zostawię cię samej - oznajmił, chociaż jego racjonalna część, dziennikarska dusza, cały czas mówiła mu, że to dziwaczna, mroczna fantazja wywołana ucieczką Justice'a Turnbulla. Niemniej Laura w nią wierzyła. - Słuchaj, będę twoim ochroniarzem, na dobre i na złe. Nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale może powinniśmy zadzwonić do biura szeryfa?

Laura spojrzała na zegarek, a Harrison zauważył, że dochodzi jedenasta.

- Jutro idę do pracy - powiedziała rzeczowo. - Nie chcę dzwonić na policję, bo ta noc będzie się ciągnąć w nieskończoność.

- Do pracy idziesz po południu - przypomniał jej. - Widzisz? Słucham cię.

- Nie będę dziś do nich dzwonić, bo nie mam zamiaru tłumaczyć tego, co było z Justice'em. Będą ze mną rozmawiać godzinami, a w końcu zaszufadkują mnie jako kolejną... No właściwie, miłym określeniem byłoby „ekscentryczną” kobietę z Pieśni Syreny. Niewielu ludzi wie, że stamtąd pochodzę i chciałabym, żeby tak zostało najdłużej, jak się da.

- To będzie niemożliwe.

- Wiem, ale padam z nóg. Naprawdę. Żadnej policji. Nie dzisiaj.

Jej twarz odzyskała normalny kolor. W tej chwili trochę przypominała mu jego siostrzenicę, Didi, i poczuł przypływ opiekuńczych uczuć wobec nich obu.

- Dobrze - powiedział.

Laura wstała od stołu, ale najwyraźniej nie wiedziała, co dalej. Po chwili wyciągnęła rękę.

- W takim razie, dobranoc... panie Frost.

- Panie Frost?

Odwróciła wzrok, a on był w stanie przysiąc, że się uśmiechnęła.

- Harrison - powiedziała, wsuwając krzesło.

- Dobranoc, Lorelei.

- Wiesz, że mówi tak do mnie tylko rodzina?

Kiedy tak stała z rozpuszczonymi włosami, pełnymi wargami układającymi się w lekki uśmiech, przypomniał sobie ich pocałunek. Oj, wiedział, że na niego spojrzała podczas pocałunku i podejrzewał, że się zastanawiała, czy na nim nie zrobił żadnego wrażenia. Prawdę mówiąc, zrobił.

I chciał ją pocałować znowu. Teraz.

- Lorelei mi się podoba.

Oboje mieli świadomość, że stwierdzenie było dwuznaczne. Chciał znów jej dotknąć, ale zdażyła odejść w stronę sypialni.

- Na kanapie są koc i poduszki. - Jej głos popłynął do niego. - Nie krępuj się.

Zrobił krok w stronę sypialni, ale się pohamował. W co on się, do cholery, wpakował?

Justice wjechał na parking pod domem opieki i spojrział w gołe okna. W większości pokoi światła były pogaszone.

Było po dwudziestej drugiej i pacjenci, to znaczy pensjonariusze, już spali.

Długo siedział w samochodzie, ciągle jeszcze lekko oszołomiony wyzwaniem, jakie rzuciła mu ta parszywa suka.

Lorelei... oj, dobrze ją znał. Umiała go zablokować, ale on zawsze potrafił znaleźć sposób, żeby wrócić. Z nią porozumiewał się najłatwiej, z powodów, których właściwie nie rozumiał, ale nie obchodziły go. Tak było i tyle.

Teraz, kiedy rozwijał się w niej plugawy pomiot, wyczuwał ją. W wilgotnym zapachu pobliskiego lasu i woni dymu z palonego drewna.

Zmysł węchu miał bardzo czuły.

Płatki nosa mu zadrżały. Właściwie mógł dokładnie wskazać, gdzie jest. Na południe od niego. Blisko morza.

Niedaleko. Ale najpierw...

Zamierzał już wysiąść z samochodu, kiedy poczuł na sobie czyjś wzrok. Wścibski wzrok. Zamarł, wpatrując się w ciemniejsze cienie przy budynku. Z północnej strony? W kuckach? Człowiek?

Czekał, wyężdżając zmysły.

Ani śladu nikogo.

Niczego.

Suka naprawdę go dosięgła. Nowe, nieprzyjemne doświadczenie. Otworzył drzwi od strony kierowcy, obejrzał się i przeżył szok. Oczy dziewczyny były otwarte. Wpatrywała się w niego!

Żyje?

Ogarnął go dziwny strach. Zamarł w bezruchu. Jej pierś lekko unosiła się i opadała. Jak mógł tego nie zauważyć?

Justice wpatrywał się w nią, aż zaczęły go piec oczy, ale dziewczyna się nie poruszyła, nawet nie mrugnęła. Żyje, ale ledwo.

Uspokoił się natychmiast; nie mogła zrobić mu krzywdy. Od wieczności dzieliło ją zaledwie kilka oddechów. Jednak stanowiła problem.

Zastanawiał się, czy nie wyrzucić jej ciała w krzaki które przy budynku były przycięte, a dalej dzikie, ale odpowiedź pojawiła się sama. Na podjazd wtoczył się ford taurus. Zatrzymał się przed wejściem do Seagull Pointę. Z samochodu wysiadł mężczyzna w szarym filcowym kapeluszu i płaszczu i ciężkim krokiem podszedł do drzwi. Wbił kod. Niewłaściwy. Po chwili kilka razy z rzędu wcisnął dzwonek, uderzając nerwowo w przycisk W końcu do drzwi podeszła mocno zbudowana kobieta w fioletowych obcisłych spodniach i wzorzystej koszulce. Wcisnęła guzik od środka i drzwi się rozsunęły.

- Jaki jest kod? - warknął, stojąc na zewnątrz, jakby nie chciał wejść.

- Możesz wejść, Gerald - zaprosiła.

- Jaki jest ten cholerny kod?

- Dwa jeden dwa jeden. Zmieniliśmy miesiąc temu, pamiętasz? Nie wszedł, ale znów wcisnął palcem przycisk zamykający

drzwi, które ich rozdzieliły - on został na zewnątrz, ona w środku Kobieta, wzdychając ciężko, wcisnęła przycisk jeszcze raz i drzwi znowu się otworzyły. Dopiero wtedy mężczyzna raczył wejść.

Tuz za podwójnymi drzwiami znajdowało się kilka wózków inwalidzkich. Justice zauważył je, kiedy Gerald i kobieta zniknęli mu z pola widzenia. Chwilę później wysiadł z samochodu i ze spuszczoną głową pognął w stronę drzwi, omiatając wzrokiem budynek. Nie było kamer, z tego co zauważył. Seagull Pointę wyglądało, jakby zbudowano je pięćdziesiąt lat temu i od tamtego czasu niewiele zrobiono, żeby je unowocześnić. Był to niski budynek z pustaków, pomalowany na biało, ze skrzydłami, które pewnie dobudowano, kiedy zaistniała potrzeba. Wbijając kod, Justice czekał niecierpliwie, żeby drzwi znowu się otworzyły. Szybko chwycił jeden z wózków i pognął z nim do samochodu. Otworzył drzwi od strony pasażera i wziął w ramiona bezwładną kobietę. Głowa jej opadała, wpatrywała się w niego z wściekłością.

Nie zwracał na nią uwagi. Nie martwił się już tym, co nękało go wcześniej. Posadził ją w wózku i zaczął go pchać z powrotem w stronę budynku. Miał wrażenie, że obserwują go niewidzialne oczy. Otrząsnął się, jeszcze raz wbił kod i wszedł. Słyszał ciche odgłosy dobiegające z głębi korytarza, telewizor, dlatego poszedł w przeciwną stronę.

Szczęśliwym trafem pokoje miały nie tylko numery, ale też tabliczki z nazwiskami pensjonariuszy na drzwiach. Potrzebował niecałych trzech minut, żeby znaleźć pokój Madeline Turnbull i wepchnął wózek z dziewczyną do ciemnego pokoju, dając czas oczom, żeby oswoiły się z mrokiem.

Na łóżku leżała stara wiedźma we własnej osobie, ze wzrokiem wbitym w sufit, jakby modliła się do samego Boga.

- Matka - prychnął.

Zamrugła, ale nie przestała patrzeć w sufit.

Chciał jej wyrwać oczy! Trawiła go ta myśl. Zgiął palce. Ale nagle jego wrażliwy nos wyczuł zapach śmierci. Ona też była prawie nieżywa.

Właściwie bezwiednie uniósł ręce i ruszył w jej stronę. Palce zamieniły mu się w szpony, które zmierzały do jej szyi, nie oczu. Te oczy nagle się otworzyły i rozejrzały na boki. Błyszczały w świetle z okna. Zachichotała.

- Jesteś stracony - wyszeptała na wydechu.

- Zamknij się, dziwko! - syknął.

- To ty jesteś prawdziwym diabelskim nasieniem.

- Zamknij się!

- Wiesz o tym. On mieszka w tobie - powiedziała z radością.-Ty...

Jego dłonie opadły lekko na jej szyję. Chciał noża. Potrzebował noża. Musiał odciąć jej głowę! Albo ją spalić.

Patrzeć, jak jej ciało zamienia się w czarny popiół!

- Spłon w piekle! - krzyknął cicho.

- Jesteś... stracony... - Tych słów nie powiedziała, dało się je odczytać tylko z ruchu jej warg, ale dla niego były tak głośne, jakby niosły się echem bez końca przez granitowy kanion, wznosząc się ponad jego brzegi, przybierając na sile, odbijając się, dudniąc mu w uszach.

Potrząsnął nią lekko i zacisnął jej ręce na szyi. Chciał ją ścisnąć z całej siły. Mocno. Mocniej. Ścisnąć!

Ale... nie mógł. Nie chciał zostawić odcisków palców Potrzebował czasu... żeby myśleli, że zmarła naturalną śmiercią żeby miał czas uciec.

Wyszarpnął jej poduszkę spod głowy, położył jej na twarzy i przycisnął. Charczała. Zaczęła się rzucać, szponiastą dłonią udrapnęła go w rękę dokładnie tam, gdzie wcześniej tamta kobieta. Przycisnął poduszkę mocniej, mocniej! Kilka minut później... walczyła z nim z taką siłą, o jaką jej nie podejrzewał. Jej chude ciało się prężyło.

Powoli zwyciężył. Wydawało mu się, że minęły wieki. Palce bolały go od ściskania poduszki. Nadludzkim wysiłkiem je rozluźnił

Odwrócił się, ciężko dysząc.

Dziewczyna na wózku inwalidzkim wpatrywała się w niego z przechyloną na bok głową. Czyżby się uśmiechała? Uniósł rękę, żeby uderzyć ją z całej siły, ale w tej właśnie chwili głowa opadła jej na piersi i wydała ostatnie tchnienie Przyglądał jej się przez chwilę, czekał, ale tym razem umarła naprawdę.

Podszedł z powrotem do łóżka, zdjął poduszkę z twarzy starej wiedźmy i włożył ją z powrotem pod głowę. Jego matka. Nie żyje. W końcu. Na dobre.

Zamknął oczy i zanurzył się w zaświatach, zaświatach których myśli płynęły jak rzeka. *Idę po ciebie, suko. Po ciebie... Lorelei.*

Rozdział 20

Laura otworzyła oczy, przerażona. Na ścianie poruszał się cień. Justice?

Mało nie krzyknęła, ale zorientowała się, że to gałąź kołysząca się za oknem sypialni. Jej sypialni. Była bezpieczna. Na razie A na kanapie prawdopodobnie spał Harrison Frost Dopiero zaczynało robić się jasno. Szary świt rzucał cienie kiedy załaty ją wydarzenia poprzedniego dnia. Justice czał się ale

odepchnęła go, przywołując obraz Harrisona Frosta. Odetchnęła głęboko. Czowała, że puls powoli zaczyna się uspokajać.

Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka, na bawełnianą koszulę nocną narzuciła lekki szlafrok i przeszła korytarzem do łazienki. Widziała jedynie brzeg kanapy i dostrzegła jedną bosą męską stopę wystającą spod koca. Ten widok dał jej poczucie bezpieczeństwa.

Które rzadko, o ile w ogóle, czuła przy Byronie.

W łazience spojrzała na swoje odbicie.

I ogarnęła ją fala mdłości.

Potykaç się, pobiegła do toalety i wymiotowała wczorajszą kolację. Cięża.

Czekała, żeby wzburzony żołądek się uspokoił, a później drżącą dłonią spuściła wodę. Wsadziła głowę pod kran i puściła zimną wodę na policzki, brodę i usta. Później z całych sił wyszorowała zęby i chwyciła dłońmi o brzeg umywalki, bo drżała.

Zwariowała, żeby drażnić Justice'a? Z pewnością. Ale inaczej mogłaby tylko czekać i mieć nadzieję, że złapie go policja, a to chyba w ogóle nie wchodziło w grę.

Może najlepszą rzeczą, którą mogła zrobić, był jej pierwszy odruch - uciekać. Wrócić do Portland. Wiać stąd, gdzie pieprz rośnie.

Ale rozważała to, zanim dowiedziała się o dziecku. I zanim spotkała się z Catherine i siostrami.

I zanim poznała Harrisona Frosta.

I zanim zadeklarowała, że pomoże dorwać Justice'a.

A teraz... Nie wiedziała, co powinna zrobić. Justice był śmiertelnie niebezpieczny, a ona tańczyła z nim śmiertelny taniec.

Puk, puk.

Podskoczyła i z ręką na piersiach wpatrywała się w drzwi łazienki.

- Wszystko w porządku? - rozległ się stłumiony głos Harrisona.

- Och... tak.

- Słysząc było co innego. Zawstydziała się, że słyszał, jak wymiotuje.

- To tylko... reakcja na to wszystko - powiedziała nieprzekonująco. - Ja... wezmę prysznic.

- Dobrze.

Wyteżyła słuch i usłyszała oddalające się kroki. Rozebrała się i wskoczyła pod strumień gorącej wody. Dziesięć minut później, w zdecydowanie lepszym nastroju, wróciła do sypialni i zmieniła szlafrok na kitel. Mokra włosy rozczesała przed lustrem toaletki. Widziała jasnobrązowe odrosty. Miała dość farbowania. Inny kolor włosów z pewnością nie zmylił kogoś takiego jak Justice, który potrafił dotrzeć do niej, posługując się wyłącznie umysłem. Poza tym to niezdrowe dla dziecka.

Jej dziecka.

Jej i Byrona.

O Boże.

Nie mogła o tym myśleć. Nie dzisiaj.

Harrison pocierał zarost na brodzie, kiedy weszła do kuchni.

- Myślałem, że dyżur masz dopiero po południu - powiedział na widok jej stroju.

- Bo to prawda, ale brakuje personelu. Jadę do szpitala sprawdzić, czy mnie nie potrzebują.

- Mógłbym nabawić się kompleksów. Wygląda to tak, jakbyś chciała ode mnie uciec.

- Nie, tylko...

Czekał, aż dokończy, ale nie wiedziała, co chce powiedzieć. Żołądek jej podskakiwał, jakby miała w nim pełno pasikoników. Przez ten obraz w głowie mało nie wylądowała z powrotem w łazience. Przełknęła z trudem ślinę.

- Nie chcę cię zostawiać - powiedział, obserwując ją.

- W szpitalu nic mi nie grozi.

- Tak? Skąd wiesz? Powiedziałaś, że wczoraj nawiązałaś kontakt z Justice'em. Że idzie po ciebie. Mówił dość obrazowo. Byłaś przerażona.

- Tak, byłam przerażona. Wiem... - Zmarszczyła brwi. Nie będzie się chowała z powodu Justice'a, a w świetle dziennym będzie się czuła bezpieczniej. - W szpitalu jest mnóstwo ludzi. Znam wszystkich. W grupie bezpieczniej.

- Mogę pomóc.

- Nie musisz zająć się swoim tematem? - Nie zaprzeczył od razu. - Możesz się tym zająć. Nie chcę, żebyś czekał tu na mnie cały dzień.

- Mogę pracować tutaj - zauważył.

- Nie, naprawdę. Nic mi nie będzie. Do zobaczenia... później?

- Powiedziałaś, że Justice się wścieknie. Powiedziałaś, że rzuciłaś mu wyzwanie. Ja...
- Proszę cię, Harrison. Spojrzał na nią sfrustrowany.
- Myślałem, że w jego kwestii i tego, co robić, jesteśmy zgodni. - Zrobił krok w jej stronę, a ona się cofnęła. Poczul się odrzucony i zatrzymał się natychmiast.
- Musisz dokończyć poważny temat - przypomniała mu znowu.
- Śmiertelnych Grzeszników? Poważniejszym tematem jest Tustice. I zagraża ci. - Miał ponurą minę.
- No to jedź ze mną do szpitala. Naprawdę czuję, że powinnam tam jechać. Muszę pracować, zająć się czymś. - Zawahała się, a on położył jej dłoń na ramieniu. - Zaufaj mi, dobrze?
- Nie podoba mi się to.

Uśmiechnęła się i odruchowo musnęła wargami jego policzek.

- Wiem. Zupełnie nie tego chciał Harrison, ale niechętnie się zgodził. Godzinę później Laura w Ocean Park pytała o nadgodziny, a Harrison wracał do Seaside. Nie wiedzieli, czy będą mogli jej zapłacić za nadgodziny. Laura czekała w dyżurce, aż podejmą decyzję.

Po chwili zastanawiała się co, o ile w ogóle cokolwiek mogła sobie kupić na śniadanie w automacie z jedzeniem.

Nadal miała mdłości, ale wiedziała, że powinna coś zjeść.

Przynajmniej, jak na razie, w murach szpitala czuła się bezpieczna. Jadła bez apetytu jogurt, przeglądając leżącą na stole gazetę i jednym uchem słuchała wiadomości, z których najważniejsza była ta, że spalił się stary młyn, a strażacy gasili pożar całą noc.

Dziesięć minut później do dyżurki wpadł Byron. Przyjrzał jej się, siedzącej samotnie przy stole, i usiadł naprzeciwko niej.

- Co się z tobą dzieje? - spytał.
- O co ci chodzi?
- Wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Po co przyszłaś tak wcześnie?
- Myślałam, że brakuje personelu, ale nie dali mi nadgodzin.
- No to po co tu jeszcze siedzisz?

Zobaczył za dużo. Nie chciała rozmawiać z Byronem, a już na pewno nie zamierzała mu się tłumaczyć.

- Zostawiłam rzeczy w szafce i pomyślałam sobie, że usiądę na minutę czy dwie - skłamała. - Nie musisz mnie przesłuchiwać.

- Nie? A ta akcja z panią Shields i jej trzustką? Stawiasz mnie w złym świetle, kiedy zabierasz się do diagnozowania przez dotyk, czy cholera wie co.

- Znalazłeś coś? - Laura się zainteresowała.

- Zrobiłem jej badanie krwi. Nie wytwarza za dużo insuliny. Wcześniej też miała niski poziom insuliny, ale nie aż tak, żeby trzeba było się przejmować. Ale teraz... wygląda na to, że dzieje się coś niedobrego. Możliwe, że rozwija się nowotwór. Sprawdzimy to. Ale przez ciebie wszyscy plotkują.

Zorientowała się, że przez nią stracił aureolę boskości i nie spodobało mu się to ani trochę.

- Jej wyniki się zmieniły. To nie twoja wina.

- Powiedz to jej - mruknął przez zaciśnięte zęby. - Laura, do cholery, jak ty to robisz? Gdzie się tego nauczyłaś?

- Ja tylko spytałam, czy w jej rodzinie były przypadki raka.

- Gówno prawda. Znam cię. - Pochylił się do niej. Laura wpatrywała się w niego.

Nie, nie znasz. Nigdy nie znałeś. Żołądek znów podszedł jej do gardła. Zerwała się z krzesła, walcząc z mdłościami. Wybiegła do łazienki, żalując z całych sił, że nie może nad tym zapanować.

Wróciła dziesięć minut później i zobaczyła, że Byron przeszywa ją ostrym spojrzeniem.

- Jesteś w ciąży! - stwierdził.

- Doktorze Adderley?

Oboje spojrzeli na młodą pielęgniarkę, biegnącą korytarzem z nerwowym uśmiechem na ustach. Wzrok miała wlepiony w Byrona.

- Grubo się mylisz - powiedziała Laura donośnym szeptem.

- Czyżby?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy i skłamała najlepiej, jak umiała.

Rzucił jej ostatnie ponure spojrzenie, odwrócił się do pielęgniarki, objął w talii, pochylił się do niej, poprowadził ją na oddział ratunkowy.

Chwilowo panując nad żołądkiem, Laura ruszyła do kawiarni, myśląc bez apetytu o toście.

Harrison pojechał do redakcji „Seaside Breeze”, która mieściła się w budynku z bloczków betonowych, ze szklanym frontem i płaskim dachem. Wjechał na parking przed budynkiem, wysiadł z samochodu, przeciągnął się, przeczesał dłonią włosy i postanowił, że jak tylko naniesie poprawki do artykułu, weźmie prysznic. Wchodząc do środka, wziął egzemplarz jednej z porannych gazet, rzucił okiem na pierwszą stronę i się uśmiechnął.

„Siedmioro Śmiertelnych Grzeszników zatrzymanych za kradzież: miejscowe nastolatki aresztowane”.

- Na pewno im pomogłeś - powiedział Buddy, jeden z korespondentów gazety, który miał nadzieję, że kiedyś zostanie etatowym dziennikarzem. Harrison mógłby mu powiedzieć, że z tej profesji nie ma kasy, ale Buddy był tak samo napalony jak Harrison kiedyś, a pieniądze i etat nie miały dla żadnego z nich większego znaczenia. - Jakim cudem udało ci się tak szybko napisać tekst? - spytał Buddy.

- Doświadczenie i talent - powiedział Harrison. Buddy prychnął.

- Jest jeszcze? - spytał Harrison.

- Pojechał do domu. Wróci koło południa.

On, to Vic Connelly, właściciel gazety i wydawca, gadatliwy facet z białymi włosami a la Albert Einstein i obcesowym podejściem. Harrison miał nadzieję, że go złapie i porozmawia o kolejnych artykułach, które zamierzał napisać i poinformować go przy okazji, że teraz zamierza się skoncentrować na zbieraniu materiałów do artykułu o Justisie Turnbullu.

Po pogawędce z Buddym, odsłuchaniu automatycznej sekretarki, sprawdzeniu skrzynki mejlowej i półgodzinnym bawieniu się z następnym artykułem wyszedł z redakcji i skierował się do swojego mieszkania, żeby wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku. Trzymanie się Lorelei było całkiem miłe, ale jej kanapa, jak uprzedzała, zostawiała wiele do życzenia.

Kiedy był już ubrany, wyjął kartkę, którą dał mu John Mills i komórkę. Na kawałku papieru napisany był numer młodego policjanta. Czekaając na połączenie, Harrison groźnie spoglądał na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał, jakby balował cały weekend.

Może pora się trochę ogarnąć. Pozbyć się wizerunku luzaka, jakiego potrzebował dla Śmiertelnych Grzeszników. Nie musiał udawać kogoś, kim nie jest, skoro nie musiał już udawać przed

nastolatkami. Nie żeby jego zwykły wygląd wiele się różnił od obecnego, niezupełnie przypominał Brooks Brothers. Ale pomyślał o Geenie Cho i pracownikach Biura Szeryfa Okręgu Tillamook. Jeżeli chce od nich wydobyć jakieś informacje, powinien wyglądać jak profesjonalista.

- Mills - odezwał się poważny głos.

- Panie Mills, mówi Harrison Frost z „Seaside Breeze”. Mówił pan, żebym dziś zadzwonił. Że może będzie pan miał dla mnie jakieś informacje?

- A, tak... - Cisza. Wahanie. - Bryce Vernon jest deweloperem, który ma posiadłości na całym wybrzeżu Oregonu - powiedział szybko. - Jego syn Noah pojutrze kończy osiemnaście lat.

Klik.

Harrison się rozłączył. Bryce Vernon był ojcem Noaha Vernona, a Noah Vernon pojutrze kończy osiemnaście lat. Za kilka dni przestanie być dzieckiem, a wtedy wszystko się może zdarzyć. Jako pełnoletni może stanąć przed sądem.

Może pójść za kratki. Może będzie chciał porozmawiać z dziennikarzem o tym, że rodzice go nie rozumieli, a miejscowa policja dręczyła. Może będzie milczał, ale równie dobrze może mieć mnóstwo do powiedzenia.

Harrison, lekko się uśmiechając, wziął maszynkę do golenia i zajął się zarostem na swojej upartej brodzie.

Detektyw Savannah Dunbar znów była w Seagull Pointę.

- Biuro szeryfa zostało powiadomione przez dyrektora, Dariusza Morrowa - zwróciła się do kobiety przy biurku, pokazując plaketkę.

- A tak. - Recepcjonistka skinęła głową. - Zadzwonię do niego. Sawy odgarnęła loki z szyi. Była na nogach pół nocy, przy

cholernym pożarze młyna Tylera. Ogień gasiły wszystkie jednostki straży z całego okręgu. Zarówno strażacy, jak i pracownicy biura szeryfa byli wykończeni. Ona przepracowała już całą zmianę, a nie zanosilo się na to, żeby mogła wkrótce wrócić do domu.

Kilka chwil później w recepcji zjawili się kobieta i mężczyzna. Kobieta była Inga Anderssen, którą Sawy zdążyła już poznać. Mężczyzną był zapewne Darius Morrow. Inga wyglądała na rozczarowaną widokiem Sawy.

- Madeline Turnbull zmarła wczoraj wieczorem - powiedziała obcesowo.

- Och. - Sawy była trochę zaskoczona, bo jeszcze poprzedniego dnia widziała Madeline żywą. - Zadzwonili państwo dlatego, że podejrzejają przestępstwo?
- Jestem dyrektorem Seagull Pointę - wtrącił mężczyzna, wyciągając rękę. - Darius Morrow. - Miał farbowane na czarno włosy, z dużymi zakolami na czubku głowy i zmartwioną minę.
- Zadzwoniliśmy dlatego, że kiedy weszliśmy do pani Turnbull, w jej pokoju była inna kobieta. Nieprzytomna. Na wózku.
- Co to za kobieta? - spytała Sawy.
- Nie wiemy - odpowiedziała Inga zduszonym głosem.
- Gdzie jest teraz?
- Przenieśliśmy ją na łóżko w wolnym pokoju.
- Nadal jest nieprzytomna?
- Tak. Nie ma dziś lekarza, więc zadzwoniliśmy pod 911. Wysłali karetkę.
- Więc żyje? - spytała Savannah. To wszystko było bardzo dziwne.
- Za chwilę powinna być karetka. - Dyrektor wyglądał na zdenerwowanego.
- A co z Madeline Turnbull? - spytała Savannah. - Można było się spodziewać, że umrze. Zgon z przyczyn naturalnych, zgadza się?
- Niech lekarz to stwierdzi - powiedział Morrow.
- Myśli pan, że w grę może wchodzić przestępstwo? - Dobry Boże, w co też się wpakowała, odbierając ten telefon? Ani Morrow, ani Anderssen nie byli skorzy do udzielania odpowiedzi i chyba trochę za bardzo się pilnowali, żeby na siebie nie patrzeć.
- Przestępstwo? Nie - odezwał się Morrow po chwili namysłu. - Nic na to nie wskazuje - dodał.
- Przepraszam na chwilę. - Sawy odeszła od nich kilka kroków i zadzwoniła, żeby złożyć meldunek. Przekazała, co powiedział Darius Morrow, że karetka będzie za kilka minut i że w drodze jest lekarz sądowy. - Wyślijcie tu jeszcze jedną jednostkę - dodała.
- Nie podoba mi się to. - Wyłączyła telefon i wróciła do Morrowa i Ingi Anderssen. - Muszę zobaczyć kobietę.
- Oczywiście... - Dyrektor zaczął się pocić, a siostra Anderssen poprowadziła ich do małego pokoju na końcu korytarza. Morrow w drzwiach zaczął chrząkać i kaszleć, aż w końcu wpuścił do

środka Sawy z Inga. Oddalił się szybkim krokiem. Inga weszła pierwsza. Leżąca na łóżku kobieta była podłączona do respiratora.

Sawy najbardziej uderzyło to, że jest taka młoda, bo spodziewała się osoby o wiele starszej. Pewnie dlatego, że w domu opieki przebywały starsze osoby.

- Została uduszona - powiedziała Sawy, widząc siniaki na szyi kobiety.

- Co? - Inga wyglądała na zaskoczoną.

- Nikt jej nie badał?

- Badał, badał, ale skupialiśmy się na oddychaniu...

- A Madeline Turnbull? - Sawy nie miała czasu na zabawę w uprzejmości. - Też ją uduszono?

- Maddie? Nie... Nie sądzę... - Na twarzy Ingi pojawiła się konsternacja i Sawy domyśliła się, że nikt zmarłej aż tak szczegółowo nie zbadał; przejęli się bardziej nową, niespodziewaną pacjentką. Poruszając kwestię niedostatecznego zbadania okoliczności śmierci Madeline Turnbull, Sawy niechcący zawstydziła Inge Andressen, co mogło jej zaszkodzić w kontaktach z kobietą.

- Jak się tu dostała? - spytała głośno Sawy, wskazując nieznaną na łóżku, ale było to raczej pytanie retoryczne.

Inga Anderssen zacisnęła usta i założyła ręce na piersiach.

- Nie jesteśmy pewni.

- Kto ją znalazł?

- Chyba pielęgniarka z porannej zmiany, ale nie jestem pewna. Sawy odwróciła się i przeszła Inge wzrokiem.

- Niech się pani dowie, która pielęgniarka, i ją do mnie przyśle. Będzie mi potrzebny pokój, lista osób, które odwiedzały Madeline Turnbull lub miały wstęp do jej pokoju i do tego również. Proszę zamknąć ośrodek, chcę też wszystkie taśmy z kamer w budynku i na parkingu.

- Ale... ale... My chyba nie mamy kamer ani...

- Proszę powiedzieć dyrektorowi, czego potrzebuję. Ale najpierw niech mnie pani zaprowadzi do pokoju Madeline Turnbull. - Przez chwilę myślała, że Inga jej się sprzeciwi, ale Savannah była przedstawicielem prawa. Inga odwróciła się na pięcie i wyprostowana poprowadziła Sawy przez labirynt korytarzy do pokoju, w którym zmarła matka Justice'a Turnbulla.

Na ciele Madeline Turnbull nie było śladów uduszenia; na jej szyi nie było siniaków. Jednak kiedy Sawy pochyliła się i dokład-

nie przyjrzała się oczom kobiety, zobaczyła wyraźne wybroczyny, które wskazywały na odcięcie dostępu powietrza. Spojrzała na poduszkę, a potem znów na Madeline Turnbull.

Inga podeszła i również pochyliła się nad ciałem kobiety i spojrzała jej w oczy.

Uduszona, stwierdziła Sawy i była pewna, że Inga też to wie.

- Potrzebuję pokoju - oznajmiła Sawy. - Gdzie jest pani szef, do diabła?

- Pójdę po pana Morrowa.

- Dobrze - powiedziała Sawy, nie kryjąc irytacji z powodu niekompetencji personelu zakładu opieki, kiedy czekała na przybycie lekarza sądowego.

Rozdział 21

Była pierwsza, kiedy Laura zatrzymała się przed pokojem, w którym leżał Conrad Weiser. Nie знаła strażnika zbyt dobrze, ale czuła się dziwnie odpowiedzialna za to, co go spotkało, przez swój związek z Justice'em. Żałowała, że nie mogła ostrzec Conrada przed niebezpieczeństwem, chociaż wiedziała, że to bez sensu. Nina Perez czekała, aż wyjdzie z pokoju.

- Bez zmian - powiedziała i było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

Laura skinęła głową.

- Doktor Zellman niedługo zostanie wypisany - oznajmiła Perez. - Ale wciąż nie może mówić.

- To trwałe uszkodzenie strun głosowych czy raczej skutek szoku?

- Moim zdaniem i to, i to, ale nie jestem lekarzem. - Nina wyglądała na przejętą. - Myślisz, że policja jest na tropie Turnbulla?

- Mam nadzieję - powiedziała Laura, zastanawiając się, czy Justice jest już w drodze po nią. Po plecach przebiegł ją dreszcz. Wahala się, czy odezwać się do Justice'a. Jeszcze raz.

Wracając do dyżurki pielęgniarek, zobaczyła Zellmana, którego odbierała żona. Do drzwi zawiozła męża na wózku, zgodnie ze szpitalnym regulaminem, ale jak tylko znaleźli się za drzwiami, Zellman prawie wyskoczył z wózka i o mało nie wepchnął go w krzaki. Ruszył żwawo przez parking, najeżony ze

złości, wściekłości czy czegoś innego, a jego żona prawie za nim biegła.

Laura obserwowała ich przez chwilę. Krążyły plotki, że Justice nie był skuty kajdankami, kiedy Zellman odprowadzał go do karetki, i że za jego ucieczkę winę ponosi głównie Zellman. Zdaniem Catherine błąd niedoceniań Justice'a popełniali kiedyś wszyscy w Pieśni Syreny. Laura nie zamierzała znowu stać się jego ofiarą. A może już się nią stała, nadeptując mu wczoraj na odcisk?

Wpatrywała się w szklane drzwi szpitala i widziała swoje zamazane odbicie. Dziwne wrażenie zaczęło się jej skradać po skórze i mimowolnie odsunęła się od szklanych drzwi. Serce wbijało jej się w żebra przy każdym mocnym uderzeniu.

On tam był.

Gdzieś.

Czekał.

I miała wrażenie, że jest blisko...

Justice patrzył nieruchomym wzrokiem przez przednią szybę samochodu. Był w innym świecie. W świecie, który wirował od emocji, pólśnów i niecierpliwości, która sprawiała mu ból. Kolory się zlewały, kształty rozplływały, jakby znajdował się pod wodą. Zamknął oczy, a w umyśle tłukła mu się jego misja. Musiał je zabić. Wszystkie. Niedługo!

Były żalonymi istotami, a ich dawne drwiny pobrzmiwały echem w jego umyśle, przypominając, dlaczego wszystkie są stracone, dlaczego musi je zabić. Wyczuwał tę, która znajdowała się poza murami, jakby była wężem w jego ciele, który wiję się w trzewiach, oplata je i zaciska się na nich, przyprawiając Justice'a o mdłości. Dostał gęsiej skórki, czując jej zapach, ten mdły zapach wypełnił jego nos.

Była blisko.

Bardzo blisko.

Nagle go olśniło.

Znajdowała się w tym szpitalu. Tym szpitalu. Ocean Park.

W środku, schowana, przekonana, że jest bezpieczna za zasłoną mgły i żelbetonowych ścian. I śmiała się z niego. Drząc z wysiłku, żeby przełknąć gorycz, wrócił do terażniejszości i wlepił wzrok w drzwi wejściowe do szpitala. Zatrzymał

się na bocznym parkingu i widział główne wejście. Była tam. Niewidzialna we mgle.

Ale czuła go. Tyle wiedział. Usłyszał łomot jej serca, poczuł krew, mocno pulsującą w jej żyłach... jej i tego paskudnego małego pasożyta w niej. Uśmiechnął się, kiedy wyczuł jej strach.

Dobrze.

Niech przerażenie zżera ją od środka. Ją, która ośmieliła się go wezwać!

Jestem tu, czarownico. Tak jak chciałaś.

Pomyślał o samochodzie, którym jeździł, srebrnym nissanie. Jak długo jest w nim bezpieczny? Zostawił jego właścicielkę prawie martwą w Seagull Pointę, ale dowiedzą się, kim jest, i zaczną szukać jej samochodu. Zamienił tablice rejestracyjne z taurusem Geralda, dzięki czemu zyskał trochę czasu, ale musiał znaleźć inne auto.

Nagle zmrużył oczy i spojrzał w stronę wejścia do Ocean Park. Zobaczył doktora Zellmana i kobietę, która, jak się domyślał, była jego żoną. Przytrzymując włosy, żeby nie rozwiewały się na wietrze, biegła, na próżno usiłując dotrzymać kroku lekarzowi. Zellman, wyprostowany, jakby połknął kij, długimi krokami pokonywał odległość dzielącą go od czarnego lexusa, który stał niemal pod latarnią. Ledwie żonka usiadła na miejscu pasażera, nie zdążyła jeszcze dobrze zamknąć drzwi, a Zellman już cofał lexusa. Opony delikatnie zapiszczały, kiedy dodał gazu i sedan wyrwał się naprzód, prawie ocierając się o zielonego minivana, zaparkowanego na sąsiednim miejscu. Zellman prawie się odwrócił w stronę Justice'a, a on uśmiechnął się chłodno, zastanawiając się, czy go wyczuł, kiedy posłał mu ostrzeżenie. Ale Zellman wyglądał na nieświadomego jak zwykle. Patrzył gniewnie przez przednią szybę lexusa. Nie potrafił wyczuć Justice'a.

Justice obserwował Zellmana z niewielkim zainteresowaniem. Lekarz uważał się za wybawcę Justice'a. Ten samouwiabiający się karaluch ośmielił się myśleć, że coś o nim wie!

Nagle Justice poczuł obezwładniający, odrażający zapach Lorelei.

Odwrócił głowę tak gwałtownie, że chrupnęło mu w szyi. Nie zwrócił na to uwagi. Płatki nosa mu drżały. Ciężarna dziwka!

Przychodzę po ciebie, powiedział, ale nie mógł pokonać muru, który wzniosła.

Przychodzę po ciebie! Chora wiédźmo! Nie mozesz się wiecznie przede mną ukrywać!

Była w szpitalu. Tutaj. Wystarczyło, żeby wszedł do środka...!

Zaślepiiony żądzą wysiadł z samochodu i podszedł do bocznego wejścia szpitala i zatrzymał się przed kamerą.

Pragnienie zabicia jej było tak silne, że aż drżał, że odebrało mu zdrowy rozsądek. Środek dnia nie był odpowiednią porą na atak, ale nie przejmował się tym. Chciał jej.

Teraz.

Dusząc krzyk frustracji w gardle, złapał się za głowę. Potrzebował morza... zimnej bryzy Pacyfiku... latarni morskiej...

Zrobił krok do przodu, znalazł się w zasięgu kamery, ale się wycofał. Kryjąc twarz, wrócił do samochodu. Zacisnął palce na kierownicy, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Nie może i nie da tej suce wygrać.

Chciał jej rozpaczliwie. Niemal czuł, jak zaciska dłonie na jej delikatnej szyi, jak uchodzi z niej życie. Wyobrażał sobie, jak nagie ciało tej dziwki płonie, obrzydliwy, cuchnący zapach wzbija się ku niebu, a ona trafia do piekła.

Lorelei.

Przed wszystkim musiał zdławić jej życie i to, które spłodziła.

Może wtargnąć do środka i po prostu ją zabrać? Możliwe?

Lexus Zellmana zatrzymał się na końcu parkingu. Najwyraźniej kłócił się z żoną, auto stało, a oni na siebie wrzeszczeli. Nagle znów ruszyło do przodu i Justice przyglądał się, jak Zell-man wyjeżdża z parkingu na główną trzypasmową drogę, która łączyła szpital ze stojadynką.

Justice odwrócił się i gapił się na szpital, aż zapiekły go oczy. Zacisnął zęby z bezsilnej złości, wrzucił bieg i wcisnął gaz. Pojechał za lekarzem.

- Nic ci nie jest?

Laura usiadła na krześle przy recepcji, bo nogi się pod nią ugięły. To uczucie... to wrażenie... Wyczuła Justice'a po drugiej stronie muru w swojej głowie, a jego nienawiść o mało jej nie udusiła.

O samopoczuciu zapytał ją doktor Loman, spoglądając na nią z góry zimnymi, niebieskimi oczami.

Jak na złość musiała się na niego natknąć. Spotkanie ze starszym doktorem było jeszcze gorsze niż z byłym mężem. Loman był arogancki i despotyczny.

Co z tymi lekarzami z Ocean Park było nie tak? Większość wyglądała na megalomanów, no, z wyjątkiem spokojnego doktora Hansona i zabawnej doktor Charles, jednej z niewielu kobiet chirurgów. Ale większość lekarzy? Despotyczne, nadęte dupki.

- Nic mi nie jest.

- Nie takie znowu nic, skoro siedzi pani w pracy - zauważył, marszcząc groźnie brwi.

No, super. Jasne.

- Chwila oddechu. - Laura wstała i ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś zgryźliwego, kiedy mijała mężczyznę.

Poszedł za nią.

- Wiem, kim pani jest - powiedział, ku jej zaskoczeniu. Włosy na karku jej się uniosły. - Jest pani jedną z nich, a ja je znam.

Laura obejrzała się przez ramię i zerknęła na Lomana. Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć, jakby zrobiła mu coś, co go rozwścieczyło.

Wiedziała, o co mu chodzi. Dolph Loman i jego niedawno zmarły brat, Parnell Loman, opiekowali się Laurą i jej siostrami, gdy były dziećmi. Dolpha sobie przypominała, ale Parnella prawie nie pamiętała. Chyba przypominała sobie jakąś niemiłą sytuację pomiędzy Parnellem a jej matką. A może to był Dolph, a może wszystkiemu była winna jej zawodna pamięć i wymyśliła sobie to na podstawie opowieści o rozwiązłej matce, jakich się nasłuchiwała. Pracując w Ocean Park, przez cały czas miała nadzieję, że Dolph jej nie rozpoznał. Teraz wiedziała, że ta nadzieja była złudna.

- Więc teraz diagnozuje pani pacjentów? - spytał, nie ukrywając szyderstwa w głosie.

- Ma pan do mnie jakąś konkretną sprawę, doktorze Loman? - spytała chłodno.

- Pilnuj się - warknął. - Jesteś tu pielęgniarką, nie lekarzem. Tylko tyle mam do powiedzenia.

- Tak? - Jego zaskoczona mina sprawiła jej satysfakcję. - Chyba mówi pan o wiele więcej.

- Oboje wiemy o pani rodzinie - powiedział. - Wróżki, wariatki i znachorki.

- Znachorki - powtórzyła, mierząc go srogim spojrzeniem. - To nowy termin medyczny?

Zarumienił się.

- Pamiętam pańskiego brata - powiedziała Laura, chociaż było to prawie kłamstwo.

Odebrało mu mowę. Otwierał usta dwa razy i zamykał.

- Mój brat był wspaniałym chirurgiem - powiedział w końcu. - Jego śmierć to tragedia!

Chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale najwyraźniej spieszył się tym, że Laura mu się postawiła. Odszedł, mrużąc coś pod nosem o jej braku wychowania, a ona zastanawiała się, co właściwie zaszło pomiędzy doktorem Parnellem Lomanem a Dolphem Lomanem. Czy Catherine by jej powiedziała, gdyby ją spytała? Czy sama to wie?

Laura wróciła do swoich obowiązków. Czowała się trochę przytłoczona wydarzeniami ostatnich dni, ale ponieważ nie była w stanie tego wytłumaczyć i ponieważ nie miała zamiaru zrzucać winy za swoje samopoczucie na ciężę, kilka razy odetchnęła głęboko i wzięła się w garść.

Zaczynała żałować, że nie posłuchała Harrisona. Była pewna, że w szpitalu będzie bezpieczna, ale teraz marzyła o tym, żeby być z nim, chciała czuć się bezpieczna pod jego opieką. Wzięła komórkę z szafki, zadzwoniła do niego, ale włączyła się poczta głosowa. Zawahała się, sfrustrowana, ale zamiast zostawić wiadomość, odłożyła telefon i powiedziała sobie, że wytrzyma do końca dyżuru bez rozmowy z nim. Triumf ducha nad materią.

Rozdział 22

Detektywie.

Lang wpadł do wydziału frontowymi, nie tylnymi drzwiami, bo dżipa zostawił na ulicy, a nie na parkingu za budynkiem. Jedno słowo rzucone przez May Johnson, ponurą czarną kobietę, która prowadziła sekretariat, zabrzmiało jak wystrzał armatni. Nie bardzo lubiła Langa, a on nie bardzo lubił ją. Wydawała mu się arogancka i uparta, a on również nie przypadł jej do gustu od pierwszego wejrzenia, bo, jej zdaniem, zbyt lekko traktował przepisy, miał zbyt wiele praw i do tego był zbyt męski. Ona uwa-

żała go za kowboja i z ubioru, i z charakteru, a teraz, spoglądając na swoje zakurzone kowbojskie buty - które zdecydowanie nie nadawały się do biura, Lang doszedł do wniosku, że owszem, ten zarzut był pewnie słuszny. Niechętnie zwolnił kroku i spojrzał na nią wyczekująco. Właśnie wracał z miejsca przestępstwa, z Seagull Pointe, i chciał złożyć meldunek szeryfowi O'Halloranowi, zanim tam wróci.

- Tak?

- Oddzwonił Sam McNally.

Lang uniósł brwi. Geena Cho była w terenie, a do dzisiejszego dnia Johnson wołała, żeby to ona przekazywała Langowi wszystkie informacje, bo nie chciała sama sprawdzać, czy został o wszystkim poinformowany.

- Dzięki.

Skinęła uprzejmie głową.

- Jak idzie adopcja? - Niemal powaliła go tym pytaniem. Lodowata maska Johnson zniknęła. Lang nie mógł uwierzyć w tę zmianę.

- Jakoś idzie. Powoli.

Narzeczona Langa, doktor Claire Norris starała się o adopcję dziewczynki, do której się przywiązała. Lang także miał nadzieję, że niedługo formalności zostaną załatwione. Zastanawiał się, czy nie zaprowadzić ukochanej do ołtarza, dzięki czemu proces adopcji by przyspieszył, ale ucieczka Turnbulla pokrzyżowała mu plany.

Johnson, jakby zawstydzona swoją poufałością, odwróciła się nagle, a Lang minął recepcję i skręcił w korytarz, który prowadził do głównej części budynku.

W korytarzu unosił się zapach starej kawy z jadalni i rozlegał się dźwięk dzwoniących telefonów. Langa minęło dwóch funkcjonariuszy, którzy pełnili dyżur przy płonącym młynie, i nadal czuć było od nich zapach spalenizny. Szeryf Sean O'Halloran był w swoim gabinecie. Miał zmartwioną minę. Jego zwykle starannie uczesane szarobiałe włosy były w nieładzie, a niebieskie oczy, na ogół tryskające wesołością, ponure i zmęczone.

- Cholerny Turnbull - warknął.

- Cholerny Turnbull - zgodził się Lang. - Chyba udusił matkę i drugą kobietę, którą usiłujemy zidentyfikować.

- Żyje?

- Ledwie.
 - Nikt jej nie zna?
 - W Seagull Pointę nikt - powiedział Lang. - Przesłuchaliśmy z Sawy cały personel i pacjentów, którzy mogliby pomóc. Obeszliśmy parking, żeby sprawdzić, czy nie ma obcych samochodów. Były tylko auta mieszkańców. W ośrodku nie ma też kamer, chociaż dyrektor szybko powiedział, że mają zamiar niedługo zamontować. Dużo nam to da. Skutek jest taki, że nie wiemy, kto to jest, ani skąd się wzięła. Jest młoda. Mamy teorię, że wpadła jakoś na Justice'a, który udusił ją i zabił matkę.
 - Istnieje możliwość, jakakolwiek możliwość, że to nie był on? Lang się zawahał.
 - Czy to jest pytanie retoryczne? Szeryf westchnął ciężko.
 - Mamy sprawdzić inną hipotezę?
 - Nie. - O'Halloran pokręcił głową. - Chyba że z całą pewnością wykluczemy Justice'a Turnbulla.
- Omówili szczegółowo sprawę i kiedy wyczerpali wszystkie nowe wątki, Lang odwrócił się do wyjścia.
- Miałem telefon z farmy na wschodzie Garibaldi - dodał szeryf. - Mewy i myszołowy krążyły nad czymś, co okazało się ciałem. Mężczyzny. Wysłałem tam Delaneya. Facet nie żyje od paru dni.
- Garibaldi leżało na południe od miasta Tillamook, ale należało do okręgu Tillamook.
- Są zgłoszenia osób zaginionych?
 - Sprawdziliśmy tablice hippisowskiej furgonetki, która przez dwie noce stała w zatoczce przy punkcie widokowym na północ od miasta. Zadzwońnięm do właściciela, że ją sholujemy, a kobieta, która odebrała telefon, zaczęła krzyczeć, że jej mąż zaginął. Myślimy, że to może być ciało tego faceta. Tak naprawdę to jej konkubent, ślubu nie mieli. Ale furgonetka jest zarejestrowana na nich oboje, a on po kłótni parę dni temu opuścił szczęśliwy dom w Salem i od tamtej pory nie dał znaku życia.
 - Może dochodzi do siebie?
 - Z tego co mówi kobieta, pokłócili się i on wyszedł. Ale twierdzi, że zawsze wracał w ciągu doby. Tak już mają.
 - Wygląda na to, że to jego ciało - przyznał Lang.
 - Bardzo możliwe. Opis się zgadza. Wziąłem zdjęcie z wydziału komunikacji.

O'Halloran coś ukrywał, coś ważnego. Lang zastanawiał się chwilę.

- O której dokładnie ten facet wyszedł z domu? - spytał.

- Około szóstej w piątek po południu.

- I przejeżdżał koło Halo Valley Security Hospital, jadąc z Salem na wybrzeże.

- Jest to pewna teoria - przyznał O'Halloran.

- Cholera! To on podwiózł Justice'a. Jak zginął?

- Od silnego ciosu w głowę. Porozmawiaj z Delaneyem.

- Porozmawiam. - Lang składał w całość fragmenty informacji

0 ucieczce Turnbulla. - Czyli Turnbull wziął furgonetkę i porzucił ją w rowie. Dlaczego?

- Nie musiałbyś pytać, gdybyś ją zobaczył. - O'Halloran prychnął. - Cała wymalowana w kwiaty, liście i inne gówna.

Hippisowska. Potrzebował czegoś mniej rzucającego się w oczy.

Lang myślał chwilę, rozważając kilka scenariuszy, i doszedł do jedyne go sensownego wniosku.

- Kobieta uduszona w domu opieki. Zabrał jej samochód po tym, jak pozbył się furgonetki.

- Myślisz, że zabrał jej auto w tym samym punkcie widokowym? - Szeryf westchnął.

- Albo gdzieś niedaleko. - Lang pokręcił głową. - A dlaczego po prostu jej nie zabił i nie porzucił?

- Prędzej byśmy ją znaleźli. Miejmy nadzieję, że się wybudzi,

i będzie mogła opisać bydlaka.

- Niech to - mruknął Lang, pocierając kark. Ledwie żyła, kiedy Justice ją zostawił, lekarz z pogotowia nie chciał powiedzieć, jakie są rokowania, kiedy zabierali ją do szpitala. - Musimy się dowiedzieć, kim jest ta kobieta. Ktoś na pewno jej szuka. Dam zdjęcie do wiadomości. Kim jest ta kobieta? Jeżeli ją poznajesz, zadzwoń do biura szeryfa.

Coś w tym rodzaju.

- Dobra - powiedział O'Halloran.

Lang szybkim krokiem wyszedł z gabinetu szeryfa i o mały włos nie wpadł na Savannah Dunbar, która była blada.

- Co jest? - spytał.

- Zmarła... - Savannah odetchnęła ciężko. Ta nieznajoma z Seagull Pointę. Jakieś dwadzieścia minut temu. -

Odetchnęła głęboko. - Lekarze z pogotowia myśleli, że ją uratują, ale... - Pokręciła głową. - Zmarła po przewiezieniu do Ocean Park.

- Cholera! - Pomyślał o nieprzytomnej kobiecie, którą widział w Seagull Pointę. Była taka młoda, i pomyślał o jej rodzinie. Może nie miała dzieci ani męża, ale na pewno była czyjąś córką, może siostrą.
- Może by przeżyła, gdyby personel ośrodka był bardziej kompetentny - wyszeptała ochryple.
- Ich postępowanie będzie objęte dochodzeniem.
- Miejmy nadzieję, że usłyszą zarzuty! - Savannah była wściekła. Smutna.
- Nie wiem dlaczego, ale mam pewność, że tego dopilnujesz.
- Bo czytasz w moich myślach. Lang skinął głową.
- Tym bardziej musimy się dowiedzieć, kim była ofiara. Pokażę jej zdjęcie w wiadomościach.
- Technicy zrobili zdjęcia Madeline Turnbull i nieznajomej, kiedy jeszcze żyła.
- Może pokażemy jedno z nich.
- Może.
- To nie twoja wina - powiedział Lang.
- Wiem. - Zacisnęła wargi. - Personel Seagull Pointę nie zauważył oczywistych znaków i dobrze o tym wiedzą. Pielęgniarka i dyrektor bardzo skrupulatnie chronili własne tyłki.
- Jeżeli masz rację, będzie śledztwo.
- Masz rację. - W jej uśmiechu nie było wesołości. - Dopilnuję tego. - Już szła w stronę biurka. - Zamierzam napisać raport.

Sawy wymieni wszystkie niedopatrzania personelu w Seagull Pointę. Nie pozwoli, żeby niekompetencja uszła im na sucho. W korytarzu Lang prawie wpadł na funkcjonariuszkę, która wylała kawę i posłała mu pełne wściekłości spojrzenie.

- E, patrz, co robisz! - powiedziała i mruknęła pod nosem o głupich dupkach.

Lang zignorował jej zły humor i pomyślał, żeby zadzwonić z telefonu stacjonarnego do emerytowanego detektywa z wydziału zabójstw, Sama „Maca” McNally'ego, który, jak powiedziała Johnson, w końcu się odezwał. Sekundę później zmienił plany. Kiwnął Johnson dłonią na pożegnanie, na co zareagowała skinieniem głowy, i wyszedł. Zadzwonił do Maca z komórki i zdenerwował się, kiedy włączyła się poczta głosowa. Tym razem Lang poprosił, żeby emerytowany detektyw zadzwonił na jego komórkę, nie

do biura. McNally znał Turnbulla jak każdy. Pracował zarówno z Fredem Clausenem, jak i byłym partnerem Clausena, Kikpa-trickiem, który awansował. Jego stanowisko w Biurze Szeryfa Tillamook, zajmował teraz Lang. Clausen powiedział Langowi, że McNally jest z porządku, co było wielką pochwałą z ust oschłego i zwykle ponurego detektywa. Lang się zastanawiał, czy Clausen nie czuł się pominięty, bo O'Halloran wyraźnie oczekiwał, że to Lang będzie głównym psem w tym dochodzeniu, a nie starszy stażem Clausen. Jemu chyba było to bez różnicy. Powiedział Langowi, żeby zadzwonił do McNally'ego, i Lang zadzwonił, ale dowiedział się tylko tego, że Mac jest na emeryturze i wyjechał z synem na weekend. Detektyw z Laurelton dał Langowi numer komórki McNally'ego, więc zadzwonił i zostawił mu wiadomość. Mac widocznie odsłuchiwał ją i oddzwonił, a teraz znów wypadała kolej Langa w tej zabawie w telefonicznego berka. A wszystko to, kiedy Justice Turnbull był na wolności. Kiedy chował telefon do kieszeni, zobaczył, że na parking wjeżdża Clausen. Lang obszedł budynek, żeby porozmawiać z Clausenem.

- Cześć - powiedział Fred, wsadzając nogę prosto w kałużę. Zaklął.

- Nie chcę być dupkiem, dlatego właśnie parkuję na ulicy -powiedział Lang.

- Jesteś dupkiem. Oficjalnie - stwierdził Clausen. Lang uśmiechnął się szeroko.

- Widziałeś „Breeze”?

- Zerknąłem - odpowiedział Lang. Clausen prychnął.

- Harrison Frost znów bawi się w wielkiego dziennikarza. Policja z Seaside rozbiła gang uczniów liceum, którzy okradali domy, ale Frost skorzystał na tym, że dał im cynk. Artykuł jest o dzieciakach, które nazwały się Śmiertelnymi Grzesznikami czy coś w tym rodzaju. Jest ich siedmioro. Frost najwyraźniej ich zna.

- To ten sam Harrison Frost, który pracował dla „Portland Ledger”? - spytał Lang. Wiedział co nieco o tym facecie z czasów, kiedy sam pracował w policji w Portland. Harrison miał kłopoty w związku ze strzelaniną przed nocnym klubem w mieście. -

Jeden z właścicieli klubu należał do jego rodziny. Harrison właściwie oskarżył drugiego właściciela o zabójstwo współnika.

- Tak. Ten sam koleś. Teraz pracuje dla „Seaside Breeze”, ale nie może przestać się zajmować wielkimi tematami. Zacznie za nami łązić, zanim się zorientujesz - parsknął Clausen. W bucie bulgotała mu woda. - Ucieczka Turnbulla to tego rodzaju temat, o jakich chce pisać.

- Jak na razie daje nam spokój.

- Przez te dzieciaki. Cholerni gówniarze z West Coast High. Mój pasierb zna jedną z Bermanów. Britt. Jej ojciec mieszka w Tillamook, a ona czasem z nami gra. Bermanowie chyba myślą, że są lepsi od wszystkich.

- Jest jedną z siedmiorga Śmiertelnych Grzeszników?

- Nie. Ale chyba mogłaby być. Pasuje do profilu. Ale w tym wypadku jest ofiarą. - Mówił tak, jakby był rozczarowany, i Lang pomyślał, że jego syn musiał być lekceważony przez dziewczynę, albo coś takiego, że Clausen tak się wyraził.

- Nie jesteś wielbicielem Frosta - zauważył Lang. - Jakies szczególne powody?

- Robi z igły widły. - Wydawało się, że Clausen powie coś więcej, ale się rozmyślił. - Ale w kwestii dzieciaków z West Coast High ma rację. Ta szkoła jest doskonałym miejscem dla snobów, zarozumiałców i samolubów.

- Ukąszenie węża - powiedział Lang.

- Co?

- Szekspir: „Większy ból niż ukąszenie węża sprawia niewdzięczność dziecka”.

Clausen spojrział na niego, jakby wyrosła mu na głowie antena kosmity.

- Aha - powiedział, ale widać było, że nie wie, o co chodzi.

- Nauczyła mnie tego matka - powiedział Lang nieprzekonująco. - Chyba byłem trochę niewdzięcznym dzieckiem. Clausen nie wiedział, co na to powiedzieć.

- Ach, te dzieciaki.

Lang uśmiechnął się do siebie i wrócił do swojego dżipa. Ruszył do Delaneya i martwego ciała znalezione pod Garibaldi.

Harrison sprawdził godzinę na telefonie komórkowym, wracając do redakcji „Breeze” z kolejną częścią artykułu. Wpół do

czwartej po południu. Miał nadzieję, że tym razem uda mu się spotkać z Vikiem i już miał spytać o wydawcę, kiedy Buddy wskazał telefon na biurku Harrisona.

- Kanał Siódmy na jedyńce.

- Co?

- Tak powiedzieli. - Wzruszył ramionami. - Słuchaj, nie mam czasu sprawdzać, kto do ciebie dzwoni, jasne? Muszę napisać artykuł. O pożarze w młynie Tylera. Nikt nie ma pewności, ale całkiem możliwe, że było to podpalenie. - Buddy był podekscytowany.

Harrison wybrał linię pierwszą i podniósł słuchawkę.

- Frost.

- Panie Frost - odezwał się młody kobiecy głos - Kanał Siódmy przygotowuje program o Śmiertelnych Grzesznikach. Mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań?

Do Harrisona dotarło, że ekipa Pauline Kirby przeczytała artykuł i chciała nakręcić materiał na ten temat.

Zastanawiał się, czy Pauline ma jakieś granice przyzwoitości. Pochlebiało mu to, że zwróciła uwagę na jego artykuł, ale jednocześnie się wściekał, że Pauline przywłaszczy sobie temat, jeżeli będzie mogła, i zbierze wyrazy uznania.

- Jestem w redakcji.

- Może spotkamy się w jakimś lepszym miejscu?

- Nie. Niech pani dzwoni tutaj. Znajdą mnie.

Kiedy odłożył słuchawkę, Buddy uśmiechnął się do niego promiennie.

- Wracasz do łask, co?

- Bogate dzieciaki okradające domy innych bogatych dzieciaków - powiedział sucho Harrison. - Pauline Kirby uwielbia takie tematy.

- Czytelnicy i widzowie też. - Harrison wziął kurtkę, wsunął ręce z powrotem w rękawy.

- Tak szybko wychodzisz? - spytał Buddy.

- Jak zobaczysz Vica, to powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać. Chcę tylko zgłosić następne artykuły.

- Jasne. Dalej będziesz pisał o tych dzieciakach?

- I o innych rzeczach - odpowiedział Harrison po chwili zastanowienia.

- A jeżeli pojawi się ekipa z Kanału Siódmego...?

- Masz moją komórkę. Daj mi znać. Tylko nie dawaj im numeru. Oddzwonię do nich.
- Masz lekkiego fioła z tą twoją komórką - zauważył Buddy. - Wiesz o tym, co?
- Tak, wiem.

Fioła dostał po tym, jak polowano na niego po śmierci szwagra. Kiwnął Buddy'emu na pożegnanie i wyszedł z redakcji, w objęcia mgły.

Rozdział 23

Laura do obiadu wytrzymała o suchym toście, ale cały dzień nie czuła się dobrze, dlatego zrobiła sobie wcześniejszą przerwę na kolację, na którą udało jej się zjeść talerz rosółu, bagietkę i małą porcję sałaty. Wciąż myślała o tym, że była w ciąży i że Byron domyślał się prawdy. Że rzuciła wyzwanie Tustice'owi Turnbullowi, a on zamierzał ją zaatakować. Badała grunt w niespodziewanej znajomości z Harrisonem Frostem, która wyglądała tak, jakby mogła przerodzić się w coś więcej.

Skąd się wzięła ta niedorzeczna myśl? Jeden pocałunek, no, dwa, licząc to muśnięcie warg na jego policzku, nie tworzyły związku! Ledwie go знаła, poznała go nie dalej jak wczoraj, na początku tego całego szaleństwa.

O Boże, dlaczego wydawało jej się, że to cała wieczność?

Jej świat wywrócił się do góry nogami od ucieczki Justice'a w piątkowy wieczór.

W bufecie panował gwar, dozownik lodu trzeszczał, a znudzeni pracownicy czekali, żeby personel i goście w końcu zdecydowali się, co chcą zamówić. Poczula zapach czosnku, sosu marinara i wczorajszego musu z małży. Odkładała tacę i kierowała się do wyjścia, kiedy do środka weszła Carlita Solano z jednym z sanitariuszy i skierowała się do lady z napojami. Gdy ją mijała, Laura usłyszała, jak mówi:

- Nie zmyślam! Znam pielęgniarkę z Seagull Pointę. Policja usiłuje tuszować sprawę, jak zawsze, dopóki nie powiadomią każdego żyjącego członka rodziny, ale Jessica mówi, że ich zdaniem ten psychopata zabił swoją równie szurniętą matkę! Niedługo powiedzą o tym w wiadomościach!

Psychopatą mogła być tylko jedna osoba. Serce Laury zaczęło walić w szalonym, napędzanym adrenaliną rytmie. Z trudem opanowała drżenie rąk.

- Poważnie? - spytał sanitariusz. - Nieźle. Superopiekę tam mają, co? - dodał po chwili drwiąco.

Laura nie wytrzymała.

- Przepraszam, niechcący usłyszałam. Mówicie o Justisie Turnbullu? I jego matce? - Pojawiło się wspomnienie Madeline jako młodej kobiety... ładnej i zagubionej, w sukience w kwiaty, jak stała przed swoim motelem stojącym na klifie z rozwianymi włosami. W dole huczało morze. Laura pamiętała, że Madeline miała smutne oczy, mroczne od sekretów...

- Zgadza się. - Carlita odwróciła się do Laury. Wyglądała na szczęśliwą, że ktoś w końcu wysłuchał jej z należyтым zainteresowaniem. - I jeszcze jedną kobietę. Obie udusił. Albo zadusił. Wszystko jedno, w każdym razie obie nie żyją.

- Lepiej, żeby wzmocnili ochronę. Nie wygląda dobrze, kiedy pacjenci są mordowani. - Sanitariusz próbował zażartować, ale mu nie wyszło. Wcisnął guzik automatu z napojami, cola zasy-czała i spieniła się w kubku z lodem.

- Co to za kobieta? - spytała Laura ze ściśniętym gardłem. O Boże, chyba nie żadna z jej siostr! Catherine na pewno nie wypuściłaby ich poza mury... Są sposoby, żeby uciec z Pieśni Syreny. Ty o tym wiesz. Inni też. W jej umyśle pojawiły się twarze siostr - Isadory, Cassandry, Lilibeth...

- Pewnie ktoś z rodziny - powiedziała Carlita, wzruszając obojętnie ramionami. - Chyba ich próbował zabić poprzednim razem. Upatrzył sobie kobiety z Pieśni Syreny.

Bo ty go wezwałaś. Dlatego dostał szału! Nie powinnaś była słuchać Harrisona...

Opanowała się. Nie mogła winić Harrisona. To ona rzuciła wyzwanie Justice'owi, wyzwalaając w nim wściekłość.

Jeżeli kogoś należało winić, to ją.

Ścisnęło ją w żołądku.

Czyżby popełniła błąd?

Który dwie kobiety przypłaciły życiem?

Czy Harrison nie radził jej, żeby zadzwoniła na policję?

Ale z czym? Z telepatyczną wiadomością?

Wyobraziła sobie detektywów wymieniających porozumiewawcze spojrzenia, kiedy usiłowałyby wytłumaczyć, jak się porozumiewa ze zbiegłym psychicznie chorym pacjentem.

- Nic ci nie jest? - spytała Carlita, a Laura wzięła się w garść.

- Nie - powiedziała, chociaż wcale nie czuła się dobrze.

Na dnie duszy Laury zagnieżdżyło się poczucie winy. Delikatnie dotknęła brzucha, przypominając sobie o rosnącym w niej dziecku.

O Boże, tyle kłopotów.

Wyszła z bufetu na nogach jak z ołowiu i wróciła do dyżurki pielęgniarek na piętrze. Kim była ta kobieta? Znała ją?

Znowu pomyślała o siostrach, najprawdopodobniej któraś z nich była ofiarą. Przecież mówił, że zabije je wszystkie.

Nie, powiedziała sobie. To nie był nikt z Pieśni Syreny. Wiedziałyby. Jeżeli nie instynktownie, to ktoś z Kolonii odnalazłby ją i przekazał wiadomość. Catherine wiedziałyby, gdyby zginęła jedna z jej podopiecznych.

Tak czy siak, dwie osoby nie żyły. Przez Justice'a.

Maddie i jeszcze jedna nieznana ofiara.

- Bydlak - mruknęła pod nosem. - Bezduszny bydlak.

- Ej, do mnie pani mówi? - spytał pacjent, pchający stojak z kroplówką. Łysiejący mężczyzna w szpitalnej koszuli zsuwającej mu się z jednego ramienia spoglądał na nią groźnie.

- Przepraszam, nie.

W głowie zaczęło jej dudnić. Miała jeszcze przerwę, więc odwróciła się w stronę pokoju dla personelu. Pograżona w myślach prawie nie zauważyła dwóch pielęgniarek, które pochylały się razem nad krzyżówką. Inna oglądała wiadomości, zanurzając torebkę herbaty w kubku z gorącą wodą. Laura spojrzała na ekran telewizora, na którym pojawiła się fasada Seagull Pointe, a dziennikarz podał kilka szczegółów poza tymi, które na temat tragedii znała Carlita.

Czy Harrison wiedział, co się wydarzyło w domu opieki? Na pewno. Pracował dla gazety. Śmieszne, że jej myśli biegły cały czas do niego.

Kiedy zaczął relację z pożaru starego młyna, Laura miała dość. Podeszła do swojej szafki. Przekręciła kombinację cyfr w zamku, wzięła komórkę i wybrała numer Harrisona, tym razem bez wahania, świadoma tego, jak bardzo się od niego uzależniła w tak

krótkim czasie. Nie odebrał i zrobiło jej się przykro. Miała się rozłączyć, ale zmieniła zdanie i zostawiła wiadomość.

- Cześć, to ja. Pewnie słyszałeś, co się stało w Seagull Pointę. Moim zdaniem to Justice zabił Madeline. Może tę drugą kobietę też. - Przerwała, targana różnymi emocjami. Strach, pragnienie, złość. - Zadzwoń do mnie - powiedziała z nadzieją, że w jej głosie nie słyhać desperacji.

W piekarni Sands of Thyme późnym popołudniem nie było dużego ruchu, ale zapach cynamonu i kawy unosił się w powietrzu, a w szklanej ladzie było kilka kanapek i muffinek. Przy małych stolikach siedziało tylko paru klientów, każdy z kubkiem kawy.

Siostra Harrisona wsparta na łokciach o ladę czytała poranną gazetę.

- Napracowałeś się - powiedziała, podnosząc wzrok znad jego artykułu w „Breeze”.

- „Breeze” to nie „Ledger”.

- No, ale przecież nie chodzi o gazetę. Chodzi o artykuł - powiedziała, cytując go. - Takie artykuły jak ten o Śmiertelnych Grzesznikach się zauważa. Grupa bogatych nastolatków napadająca na domy kolegów. - Nie odpowiedział, więc zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem. - Aha. Rozumiem. Ktoś już chce ci wydrzeć ten temat i ukraść ci część sukcesu. - Przeszywała go wzrokiem, unosząc jedną brew. - Kto? Chyba nie ten dupek, który zawsze deptał ci po piętach?

- Tamten był w „Ledger”. Nie, to Kanał Siódmy.

- Pauline Kirby? - domyśliła się Kirsten, z widocznym obrzydzeniem na twarzy. - To suka pierwszej kategorii.

- Spokojnie, tygrysie - ostrzegł Harrison, chociaż wiedział, jak się czuła. Dla żadnego z nich doświadczenia z Kanałem Siódmym po śmierci Manny'ego nie były miłe. Prawdę mówiąc, ekipa Pauline Kirby skierowała kamery Kirsten prosto w twarz, żeby wszyscy mogli zobaczyć łyzy lśniące na jej policzkach. Inne stacje wcale nie były lepsze, ale Kirsten miała ogromny żal do Pauline, co Harrison doskonale rozumiał.

- Też za nią nie przepadam - przypomniał.

Jego siostra zmrużyła oczy i domyślił się, że przypomina sobie, jak niedelikatne były wtedy media.

- Wszyscy są tacy sami.

- Dziennikarze?

- Tak - odparta. Uśmiechnęła się ironicznie. - I ty jesteś taki sam jak cała reszta.

Odwzajemnił uśmiech.

- Powiniennem był bardziej cię wspierać, kiedy to się stało. Za bardzo... skupiałem się na jednym.

Machnęła ręką.

- Chciałeś udowodnić, że Manny został zamordowany. Ja też tego chciałam. Ale teraz to już musztarda po obiedzie.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że trochę go zaskoczyła.

- A teraz myślisz, że była to tylko kwestia tego, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze?

- Oj, nie wiem. - Kirsten zerknęła w stronę drzwi, kiedy dwóch klientów wstało od stolika, a kiedy wychodzili, dzwonek nad drzwiami zadzwieczał. - Nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiem. Ale wiem na pewno, że to już przeszłość, a ja muszę żyć dalej. - Dotknęła dłoni Harrisona. - Smutne, wiem, ale prawdziwe. - Odetchnęła głęboko i cofnęła rękę. Klient zamówił kawę na wynos i Kirsten z uśmiechem wzięła od niego pieniądze, podała mu kubek i wskazała termosy. Harrison spojrzał na siostrę i po raz pierwszy uświadomił sobie, że tylko on jeszcze wraca do śmierci Manny'ego i nie może się z nią pogodzić.

- Ja muszę myśleć o Didi - powiedziała Kirsten, jakby odgadła jego myśli. - Ciągłe wracanie do przeszłości nie jest dla niej dobre. Nie chcę, żeby wisiała nad nami cały czas ta czarna chmura podejrzeń. Mam nowe życie, z córką i psem. Oczywiście, jesteśmy szczęśliwe, że mamy też ciebie - dodała, wyciągając rękę przez ladę, żeby dotknąć jego dłoni. - Tylko że... zawsze jak jesteśmy razem, jakoś tak się dzieje, że mówimy albo myślimy o śmierci Manny'ego. Nie mówię, że chcę o nim zapomnieć. Boże, nie. Chcę go pamiętać. Takiego, jaki był. To, co było między nami przed tym całym piekłem.

- Chcesz, żebym zrezygnował z tego dochodzenia? - spytał zaskoczony.

- Tego nie powiedziałam. Rób, co musisz zrobić. Tylko... niech... to już nie będzie jedyna ważna dla nas rzecz.

- Nie wiedziałem, że tak się zachowywałem.

- Oboje się tak zachowywaliśmy. Nawet, jeżeli wcale nie było tego widać. - Wpatrywała się w niego oczami o wiele starszymi niż ona.

Harrison zrozumiał i dotarło do niego, że ona ma rację. Był za bardzo pochłonięty chęcią zemsty, żeby zwracać uwagę na to, co myśli Kirsten. Ale nadal wierzył w winę Koontza.

- Nie zrezygnuję, dopóki mi nie każesz.

- Nie chciałabym, żebyś zrezygnował. Ale nie włączajmy we wszystko zmarłego, dobrze?

- Dobrze.

- W każdym razie myślę, że dzięki temu tematowi możesz znowu wypłynąć na szersze wody.

- Myślisz, że „Ledger” przyjmie mnie z powrotem? - spytał kpiąco, kiedy jeden z klientów odstawiał pusty kubek i talerz do pojemnika, naciągnął kaptur na głowę i wyszedł.

- Coś mi się wydaje, że ty już z nimi skończyłeś. - Przechyliła głowę. - Ale tak, będą chcieli, żebyś wrócił. Zwłaszcza jeżeli po Śmiertelnych Grzesznikach zajmiesz się Justice'em Turnbullem.

- Przecież ci nie mówiłem, że się nim zajmuję.

- Nie wygłupiaj się, przecież wiem.

Dzwonek nad drzwiami znowu zadzwieczał, do środka wszedł nowy klient. Harrison uniósł dłoń na pożegnanie i wyszedł. Jego komórka zabręczała, kiedy szedł do samochodu, i zorientował się, że jakimś cudem przegapił połączenie. Nie zdążył jednak odsłuchać wiadomości, bo telefon zadzwonił ponownie. Zerknął na wyświetlacz i zobaczył, że to „Breeze”. Buddy.

- Tak? - mruknął od razu.

- Nie dałem im numeru - oznajmił Buddy, zanim Harrison zdążył o cokolwiek spytać. - Przyrzekam. Ale już tu są. Zamierzają filmować przed West Coast High i chcą się z tobą spotkać.

- Są w redakcji?

- Tak.

- Jest Pauline czy tylko ekipa?

- Ekipa.

- Jestem daleko, w Deception Bay. Nie mów im tego. Powiedz Pauline, żeby do mnie zadzwoniła, a ja... Sam nie wiem. Podaj jej jakiś cytat. A najlepiej niech zadzwoni do informacji w biurze szeryfa. Za to jej płacą.

- Ale...

- A zresztą daj jej mój numer. Daj mój numer wszystkim. -Rozłączył się i wsiadł do samochodu rozdrażniony.

Będzie rozdawał swój numer każdemu Jasiowi, Markowi i Pawłowi, bo Kirsten miała rację: jego dni na wygnaniu w małym miasteczku dobiegały właśnie końca. Cały czas zasadzał się na grubą zwierzynę, taki miał plan, prawda? A jeżeli ma na nią polować, ludzie będą musieli móc się z nim skontaktować.

Jego komórka, jakby już wiedziała, że właśnie zmienił zasady, zadzwoniła znowu.

- Frost - odezwał się, nie patrząc na wyświetlacz.

- Cześć - powiedziała Geena Cho. - Masz chwilę?

- Geena... Dla ciebie, zawsze. Prychnęła, słysząc te bzdury.

- Wiesz, co się wydarzyło w Seagull Pointę?

- Nie.

- To gdzie ty jesteś, do cholery? Zapadłeś się pod ziemię?

- Można tak powiedzieć - zbył ją, uświadamiając sobie, że przez cały dzień nie włączał telewizora.

- I ty nazywasz siebie dziennikarzem? - zażartowała. Zanim zdążył odpowiedzieć, ściszyła głos. - No to słuchaj.

Wygląda na to, że Justice zabił swoją matkę, Szaloną Maddie. I jakąś inną kobietę, którą znaleźli na wózku inwalidzkim, ledwie żywą. Przenieśli ją na łóżko, ale niedługo potem zmarła. Dajemy zdjęcie do wieczornych wiadomości, bo tym razem nie znamy tożsamości. Śmierć Maddie będą trzymać w tajemnicy tak długo, jak się da. Nie chcą wywoływać paniki, ale są raczej pewni, że to robota Justice'a.

Harrisonowi zamarło serce.

- Gdzie to się stało? W Seagull Pointę? - spytał, przekonany, że Laura do niego jednak dotarła, rozdrażniła, rzuciła mu wyzwanie. Na tę myśl ścisnęło go w gardle. Przeraził się, że ona, wraz z dwiema innymi ofiarami, znajdowała się na celowniku psychopaty.

- Wisisz mi drinka, dziś wieczorem w Davy Jones's. Będę o ósmej. Nie mów nikomu, co ci powiedziałam... - Rozłączyła się.

- Sukinsyn - powiedział do telefonu.

Odpalił silnik i już miał wrzucić bieg, ale przypomniał sobie, że miał sprawdzić rejestr nieodebranych połączeń.

Rozpoznał numer Laury. Serce zaczęło mu walić jak szalone.

- Cholera. - Nie spodziewał się, że będzie do niego dzwonić z pracy. Odsłuchiwał wiadomość: „Możliwe, że Justice zabił Madeline... Zadzwoń do mnie...”

Więc już wiedziała, że Justice prawdopodobnie zabił matkę. Ale na szczęście ona żyła. Cała i zdrowa. W każdym razie kiedy dzwoniła.

Szybko wybrał jej numer i czekał niecierpliwie, bo telefon dzwonił i dzwonił. Klnąc pod nosem, zastanawiał się, czy zostawić jej wiadomość. Zdecydował się na: „Odsłuchałem wiadomość. Oddzwonź do mnie”.

- Niech to diabli. - Włączył radio, znalazł stację informacyjną i wyjechał z parkingu przy Sands of Thyme.

Zastanawiał się, czy nie pojechać od razu do Seagull Pointę, ale wolał najpierw porozmawiać z Laurą. Upewnić się, czy nic jej nie jest. Zadzwoił znowu, kiedy wyjeżdżał na główną drogę, ale tak jak wcześniej włączyła się poczta głosowa. Zaklął i dodał gazu, przekraczając dozwoloną prędkość.

Wiedział, że Laura jest w pracy, że nie ma przy sobie komórki. Na pewno dlatego nie odbierała.

A jednak... Wyobraźnia zaczęła mu podsuwać przerażające obrazy - Justice'a Turnbulla, psychopaty o lodowatym spojrzeniu, ogarniętego żądzą zabijania, i jego ofiar. Własnej matki. Nieznanej kobiety i innych... O Jezu! Dodał gazu i skierował się prosto na Ocean Park, trochę za szybko wchodząc w zakręty na stojedynce. Klify i ciemny las migają mu z prawej strony, a od zachodu ciągnął się ocean, przesłonięty mgłą. Szpital znajdował się po drodze do Seagull Pointę i zamierzał się przy nim zatrzymać. Choćby na kilka minut. Musiał zobaczyć się z Laurą, przekonać się, że nic jej nie jest.

Chociaż włókł się za ciężarówką z drewnem, pod Ocean Park znalazł się w pół godziny. Zaparkował chyba z kilometr od wejścia, bo na parkingu nie było wolnych miejsc. Przebiegł między samochodami do budynku, nie zawracając sobie głowy pytaniem

o Laurę w recepcji. Wszedł pewnym krokiem i skierował się prosto do wind.

W końcu dowiedział się, że Laura pracuje głównie na parterze. Znalazł drogę do dyżurki, ale okazało się, że jest u pacjenta. Drobną kobietą ze zbyt mocno wytuszowanymi rzęsami zaproponowała mu, żeby usiadł na jednym z dwóch plastikowych krzeseł pod ścianą. Niezbyt szczęśliwy przysiadł na brzegu pierwszego i wyjął telefon, żeby sprawdzić, która godzina. Piąta po południu. Bardzo chciał dotrzeć do Seagull Pointę przed porą kolacji. Miał

nadzieję, że uda mu się porozmawiać na temat śmierci Madeline Turnbull i nieznanej kobiety na wózku z jak największą liczbą ludzi. Samo to było informacją na pierwszej stronie. Kim była? Czy jej stan miał coś wspólnego z Justice'em Tumbullem?

- Harrisom

Z końca korytarza rozległ się głos Laury. Włosy miała zebrane w kitkę. Z kieszeni fartucha wystawała jej słuchawka stetoskopu, a na twarzy o regularnych rysach malowało się zmartwienie.

Poczuł ulgę i zerwał się na równe nogi. Boże, tak się cieszył, że ją widzi.

- Co tu robisz? - spytała, kiedy znalazła się przy nim.

- Odśluchałem wiadomość. Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierałaś.

- Wiem. Mam dyżur. - Rozejrzała się i chyba zauważyła nastolatka, który opadł na krzesło obok. Wyglądał, jakby spał, ze słuchawkami iPhone'a w uszach. Mimo wszystko Laura odeszła z Harrisonem na bok.

- Wiedziałem, że pracujesz, ale nie wiedziałem, czy... mnie nie potrzebujesz. Powiedziałaś, żebym do ciebie zadzwonił, ale nie mogłem się dodzwonić... - Nie dokończył. Pomyślał o jej rozmowie z Justice'em. - Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

- Wszystko w porządku. - Znowu się rozejrzała, czy nikt nie słyszy. Z południowego korytarza, jak na zawołanie, wyłoniła się starsza pielęgniarka, którą Harrison widział w piątek wieczorem. Perez, przypomniał sobie.

Zmarszczyła czoło, kiedy go zobaczyła.

- Pan jest tym dziennikarzem - odezwała się, przenosząc wzrok z niego na Laurę.

- Uaktualniam informacje na temat ofiar Justice'a Turnbulla - powiedział Harrison, żeby odwrócić jej uwagę od Laury.

- Jedna z nich została wypisana rano - odpowiedziała Laura, posyłając mu pełne wdzięczności spojrzenie, którego Perez nie zauważyła.

- Domyślam się, że był to doktor Zellman, bo on odniósł mniejsze obrażenia? - spytał Harrison.

- Naprawdę, nie mogę udzielać informacji na temat pacjentów - powiedziała Laura, a on dostrzegł w jej oczach ostrzeżenie.

- Panie...? - Zaczęła siostra Perez.

- Frost. Harrison Frost z „Seaside Breeze”.
- Frost - powtórzyła. - Jeżeli ma pan jakieś pytania, musi pan to robić zgodnie z zasadami. Rozmowy z pielęgniarzkami nie są odpowiednim sposobem. - Posłała Laurze ostrzegawcze spojrzenie.
- Dobrze. - Harrison skinął głową. - Zgłoszę się do recepcji i poproszę o spotkanie z waszym rzecznikiem prasowym.
- Perez zmierzyła Harrisona z góry na dół, wyraźnie zdziwiona jego szybką kapitulacją.
- Skinął na pożegnanie siostrze Perez i Laurze, zachowując pozory, ale wracał do samochodu z zaciśniętymi zębami.
- Wkurzyło go podejście Perez, ale przypomniał sobie, że Laura jest cała i zdrowa. A to go głównie interesowało w Ocean Park. Kiedy wsiadał do auta, zadzwonił telefon. Laura.
- Mam tylko chwilę - powiedziała. - Kończę o ósmej.
- Ja mam w tym czasie spotkanie z funkcjonariuszką z biura szeryfa - powiedział. - Przyjadę później do ciebie. - Było to oznajmienie, ale czekał na reakcję. - Tylko nie zabieraj ze sobą siostry Ratchet.
- Siostry Rat... a, załapałam, śmieszne - mruknęła, a jemu się wydało, że w jej głosie usłyszał ulgę. - Zapewniam cię, że pani Perez vel Ratchet nie zapraszam.
- To dobrze.
- Do zobaczenia.
- Nie mogę się doczekać, Lorelei - powiedział.
- Tylko rodzina tak mnie nazywa.
- Wiem.
- Dobrze - powiedziała po chwili i się rozłączyła.
- Lang sprawdził, która godzina na zegarze dzipa. Piętnaście po piątej. Wracał z miejsca przestępstwa. Spotkał się z Delaneyem i obejrzał ciało mężczyzny, do którego zaczęły się zlatywać ptaki padlinożerne. Spędzili z Delaneyem o wiele więcej czasu, niż zamierzali, czekając, aż technicy zabezpieczą teren i w końcu przyjedzie biegły lekarz i zbada ciało, zanim zostanie przekazane do kostnicy.
- Ciężki dzień w Gilmore - powiedział Delaney, zwracając się do lekarza. - Najpierw ciało w domu opieki, a teraz ten facet.
- Lang skinął głową.
- Złożę meldunek w wydziale i kończę na dziś.

- Ja też. - Delaney rozejrzał się po raz ostatni dookoła i zmarszczył nos z niesmakiem.

Lang pojechał prosto do biura szeryfa, szczęśliwie unikając korków. O'Halloran szykował ię do wyjścia.

- Z Salem już jedzie partnerka Jamesa Cosmo Danielsona, żeby go zidentyfikować - poinformował go szeryf.

- Czy zdjęcie naszej nieznajomej ukazało się w wiadomościach? - spytał Lang.

- Uhm. Jej zdjęcie i Turnbulla porozwieszaliśmy we wszystkich miejscach, jakie przyszły mi do głowy.

- Dobra. Muszę dokończyć papierkowa robotę. Później stąd spadam. Chyba że jest jeszcze coś na dzisiaj?

O'Halloran westchnął ciężko i pokręcił głową.

- Nie.

- Żadnych informacji od patroli przy latarni i motelu?

- Musimy reagować też na inne wezwania, no wiesz - powiedział szeryf, jakby się bronił. - Brakuje nam ludzi, dwoimy się i troimy przy ucieczce Turnbulla, pożarze w młynie i bieżących sprawach. Ale patrolujemy teren regularnie. Ktoś go w końcu znajdzie.

Lang dotrzymywał kroku szeryfowi, który ruszył w stronę tylnych drzwi. Przez okno widzieli parking i obaj przyglądali się jak zdezelowany ford focus podskakiwał w kałużach na parkingu i gwałtownie zatrzymał się przed wejściem.

- Kto to? - wymruczał O'Halloran.

- Nie wiem.

Z forda wyskoczyła kobieta z długimi, brązowymi rozwianymi włosami, niemowlakiem na ręku i kilkulatkiem, trzymającym się kurczowo jej przewiązanej w pasie sukienki w kolorach oliwkowej zieleni, brązu i ciemnopomarańczowego, która wyglądała, jakby potrzebowała prania.

- Na szczęście wychodzę - mruknął szeryf.

- Ja też - dodał Lang.

Wyraźnie kierowała się w stronę tylnych drzwi, więc obaj mężczyźni cofnęli się, ustępując jej miejsca. Wparowała do środka z czerwoną, spuchniętą twarzą i dzikim wzrokiem. Tylnym wejściem w zasadzie wchodzili wyłącznie pracownicy biura szeryfa, a kiedy kobieta znalazła się w środku, May Johnson pognała do drzwi, żeby ją wyprosić.

- Proszę pani, tędy nie wolno wchodzić - powiedziała surowo.
 - Wzięłam samochód siostry! - zawodziła kobieta. - Muszę go zobaczyć! Muszę zobaczyć Cosmo! O Boże.
 - Niedoszła żona - uświadomił O'Hallorana Lang. Poczł współczucie. Była w rozpacz, a do tego dzieciaki...
 - Aaaa. - Szeryf skinął.
 - Proszę pani... - Johnson popatrzyła na kobietę gniewnie. Co nie zrobiło na tamtej wrażenia.
 - Gdzie on jest? - zaczęła histerycznie krzyżeć. - Gdzie jest mój facet? O Boże. Proszę, proszę, Boże, gdzie jest mój piękny mężczyzna!
- Nagle osunęła się na podłogę razem z dziećmi. May Johnson, zmieszana, przyglądała się bezradnie.

Rozdział 24

Kobieta w recepcji Seagull Pointę spojrzła na Harrisona podejrzliwie, gdy powiedział, że jest dziennikarzem. Był do tego przyzwyczajony. To było wpisane w jego zawód. Recepcjonistka skierowała go do małego pokoju o spokojnym wystroju - szarych ścianach, rośliną pod oknem, pejzażem morskim na regale z książkami, na którym stało kilka tomów, włącznie z Biblią. Harrison usiadł na krześle przy okrągłym stole. Dyrektor placówki, Darius Morrow, mężczyzna sporo po sześćdziesiątce miał nabożną minę i złożone ręce tak, że wyglądał na świętszego od papieża. Przełożona pie-lęgniarka/zarządczyni/klawisz, Inga Anderssen, gdyby znalazła się w encyklopedii, jej zdjęcie byłoby podpisane: „stara jędra”.

- Informacji na temat pacjentów udzielamy wyłącznie rodzinie - poinformował Darius, gdy Harrison spytał o Madeline Turnbull. Mężczyzna miał zwyczaj marszczenia nosa, jakby w pokoju unosił się brzydki zapach. Ręce trzymał tak, że wyglądał, jakby zaraz miał się zacząć modlić.
- Rozumiem, że Madeline zmarła z powodu uduszenia - powiedział Harrison.
- Poufność, panie Frost - przypomniało mu cierpko.
- Policja prowadzi śledztwo - zauważył Harrison. Trochę zmyślał, ale informacje od Geeny Cho na ogół się potwierdzały, więc nie naciągał faktów aż tak bardzo, a poza tym widział samochód

policyjny pod ośrodkiem. - Niedługo podadzą jej nazwisko mediom. Ja zacznę informować dzisiaj, tak czy siak. Możecie podać mi fakty, a mogę opierać się na domysłach.

Inga pochyliła się do niego z groźnym błyskiem w oku, ale Darius uniósł białą dłoń.

- Seagull Pointę jest bardzo dobrą placówką o doskonałej reputacji. Oczywiście, nie chcemy domysłów.

Harrisonowi wydało się, że usłyszał w jego głosie cień rezygnacji.

- Wygląda na to, że Justice Tumbull dostał się do waszego ośrodka, znalazł matkę i ją zabił.

- To nieprawda. Nie mógł dostać się do środka - warknęła Inga i posłała Dariusowi ostre spojrzenie, które było równie wymowne jak słowa: Nie nabieraj się na jego gadki. Odwróciła się do Harrisona. - Drzwi są zamknięte.

- Trzeba znać kod, żeby wejść - wyjaśnił Darius, a Harrison skinął głową. Jego wpuściła recepcjonistka, która obserwowała podejrzliwie każdego wchodzącego.

- Ale jeżeli znał kod, mógł wejść każdymi drzwiami, prawda? Nie musiał przechodzić obok recepcji.

Darius i Inga patrzyli przed siebie, jakby oboje starali się nie zdradzić wyrazem twarzy. Harrison zastanowił się nad tym, co powiedział i doznał olśnienia, jakby zmaterializowały się przed nim ich myśli. - W nocy nikogo nie ma w recepcji.

- Od dziesiątej - przyznał Darius.

- Ale i tak potrzebowałby kodu, żeby wejść. - Harrison głośno myślał. - Jest naprawdę tajny czy to tylko sposób, żeby zatrzymać pacjentów z demencją?

- Turnbull nigdy wcześniej tu nie był - oznajmiła Inga. - Skąd miałby znać kod.

- Wcześniej - powtórzył Harrison. - Więc myśli pani, że był tu zeszłej nocy. I biuro szeryfa jest dokładnie tego samego zdania. - Nie zareagowali. - Druga kobieta, którą zabił... może podała mu kod?

- Nie była naszą pacjentką - powiedział Darius. - Nie znamy jej.

- Może kogoś odwiedzała?

- Była obca - powiedziała stanowczo Inga.

- Zna pani wszystkich, którzy odwiedzają każdą osobę?

Darius na chwilę przestał wyglądać jak święty, wzruszył ramionami i rozpostarł palce. - To dom opieki całodobowej i dziennej - wyjaśnił. - Jeżeli pojawia się nowa twarz, nie może być niezauważona. Ktoś by go zauważył. Tej kobiety nikt nie zna i nie mogłaby... - Zawiesił głos, jakby uświadomił sobie, że ujawnia więcej informacji niż powinien.

- Nie mogłaby... wpuścić go do środka? Bo była już w ciężkim stanie, zanim się tu znalazła? - Rozmowa z tą parą przypominała wyrywanie zębów.

- Nie została zaatakowana w Seagull Pointę! - oświadczyła Inga.

Pomyślał, że w tej kwestii może mieć akurat rację. Do Harrisona dotarło, że kobieta przyjechała razem z Justice'em. A zaraz za tą myślą przyszła następna... Przyjechał jej samochodem.

Darius spojrzął na zegarek w tej samej chwili, kiedy piknął telefon Harrisona. Nowa wiadomość. Spojrzął na niego i zobaczył numer z Portland. Był właściwie pewny, że to Pauline Kirby.

- Pan wybacz - powiedział Darius, dając Harrisonowi do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona.

Harrison zatrzymał się przy sztucznym fikusie i oknem wychodzącym na parking i wybrał numer poczty głosowej. Wiadomość zostawiła mu zapewne Pauline.

Telefon, pomyślał. Cierń w tyłku.

Wbił PIN i czekał na połączenie z pocztą.

- Cześć. - Usłyszał głos Pauline. - Unikasz mnie, Frost? I to teraz, kiedy się znaleźliśmy. Zadzwoń do mnie. Jakoś leci, ale chciałabym poznać twoje zdanie... - Wyrecytowała swój numer komórkowy, który był identyczny jak numer dzwoniącego.

Tak, jasne. Chciałaby poznać jego zdanie... Chciałaby wydrzeć mu informacje, które zebrał, i przedstawić je jako swoje.

Jasne, Pauline. Nie mogę się doczekać.

Mimo wszystko oddzwonił, ale odezwała się poczta głosowa. Powiedział, że czas ma głównie popołudniami.

Rozłączył się i w myślach wzruszył ramionami. Tak naprawdę, co go to obchodzi? Jeżeli Pauline chciała wykorzystać temat Śmiertelnych Grzeszników, niech jej będzie. Nie jest w stanie jej powstrzymać. Jutro zamierzał spotkać się z Noahem Vernonem i miał nadzieję, że pozna jego punkt widzenia, ale potem na pełnych obrotach zamierzał pracować nad dochodzeniem w sprawie Justice'a Turnbulla.

W tej chwili do recepcji podszedł starszy mężczyzna w granatowym swetrze z dekoltem w serek i szarych spodniach. Pchał przed sobą pusty wózek inwalidzki. Na widok Harrisona przechylił głowę.

- To pan przed chwilą rozmawiał z naszym szanownym dyrektorem? Jak się nazywa?

- Chodzi panu o Dariusa Morrowa?

- O tak. - Wydął usta i przewrócił oczami, jakby miał Morrowa serdecznie dość.

Harrison, splawiony przez Morrowa i Anderssen, miał nowego informatora. Recepcjonistka wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale telefon na biurku zadzwonił i musiała odebrać. Harrison, korzystając ze sposobności, podszedł do mężczyzny. Czuł, że kobieta zza biurka rzuca mu przeszywające spojrzenia. Nie zdziwiłby się, gdyby rzuciła słuchawką i wezwała ochronę.

- Nazywam się Herm Smythe. - Starszy mężczyzna na powitanie uściśnął mu dłoń. - Mogę usiąść? - Wskazał wózek, który pchał.

- Proszę. - Harrison przytrzymał wózek, a Herm obszedł go i opadł ciężko na skórzane siedzenie, wzdychając.

- Do kogo pan przyszedł? - spytał Herm i kiwnął dłonią w stronę korytarza, jakby spodziewał się, że Harrison popcha wózek.

- Do wszystkich, którzy wiedzą coś na temat śmierci Madeline Turnbull. Jestem dziennikarzem.

- Szalona Maddie nie żyje? - Słysząc było, że jest zaskoczony i zdenerwowany. - Nikt mi nie powiedział!

- Znał ją pan? - Harrison zaczął pchać wózek przez korytarz w przeciwną stronę niż ta, z której wyłonił się Herm Smythe. Miał pewnie pięć do dziesięciu minut, zanim dopadnie go personel Seagull Pointę.

- Jasne. Znałem wszystkie kobiety takie jak ona. Harrison, zastanawiając się, co to znaczy, zaczął nabierać przekonania, że natrafił na złotą żyłę informacji.

- Jakie kobiety, panie Herm?

- Catherine. Mary. Maddie. Napisałem ich historię, wie pan - dodał z dumą.

- Kobiety z Pieśń Syreny? - spytał zaskoczony Harrison.

- Kolonię. - Skinął głową z satysfakcją. - Tak je nazywają.

- Pan napisał ich historię?

- Niech pan nie będzie taki zaskoczony. Napisałem o nich w książce - powiedział z dumą. - Gdzie ona jest, do diabła? Ostatnio miał ją Parnell.

- Parnell?

- Doktor Parnell Loman. Nie dałem mu jej. Sam wziął. Ale już nie żyje... Od dawna. Zabił się, spadł z molo. Zaraz. Prrrr. Mój pokój jest tutaj. - Wskazał drzwi z tabliczką ze swoim nazwiskiem.

Harrison przetrawił informacje, które przekazał mu Herm, obrócił wózek i wprowadził go do środka. W pokoju oprócz łóżka były jedynie dwa pomarańczowe plastikowe krzesła i nocna szafka. Herm przesiadł się z wózka na jedno z krzesel i kiwnął Harrisonowi, żeby usiadł na drugim.

Harrison przysiadł na brzegu, zerkając w stronę otwartych drzwi.

- Niech pan je zamknie - nakazał Herm. - Nie muszą podsłuchiwać.

Harrison wstał i zamknął drzwi, a potem usiadł z powrotem.

- Doktor Loman pracuje w szpitalu Ocean Park - powiedział. - Ortopeda...

- To Dolph - sprostował Herm. - Brat Parnella. Nadęty dupek. Harrison w milczeniu zgodził się z tym.

- Ten Parnell nie napisał książki, ale ją miał.

- Zgadza się.

- Napisał pan książkę o historii Kolonii. Czy ta książka znajduje się w Towarzystwie Historycznym w Deception Bay?

- Tak, ja... - Herm zastanawiał się przez chwilę. Przytknął palec do ust i pokręcił głową, sfrustrowany. - Dinah mówiła mi coś o tym... Nie pamiętam... Cholera, starzeję się!

- Dinah? - drażył Harrison.

- Moja córka. - Jego szare oczy skrywały tajemnicę. - Wie pan, może być ich siostrą. A na pewno przyrodnią siostrą.

- Kobiet z Kolonii? - Harrison czuł się trochę tak, jakby płynął pod prąd. Za każdym razem, kiedy posunął się do przodu, był odpychany z powrotem.

- Byłem z Mary. - Herm mrugnął do Harrisona. - Swego czasu byłem kobieciarzem.

Innym razem Harrison chętnie kontynuowałby ten zabawny dialog z Hermem Smythem, ale czuł, że Herm zbacza z tematu, który ciekawił Harrisona.

- Co Dinah powiedziała panu o książce?

- Że zabrał ją Parnell. Miał nie zabierać, ale zabrał. Harrison westchnął w duchu.

- Książkę o historii społeczności.

- Tak, tę, którą napisałem. To historia Kolonii. Wspominałem o tym?

- Mówił pan, że Dinah powiedziała panu coś o książce -przypomniał Harrison.

Mężczyzna skinął głową.

- Dinah to moja córka.

- Tak.

- Jest tam cała ich historia. Kolonii. Jak stały się tym, kim są. Mówi pan, że książka jest teraz w Stowarzyszeniu Historycznym?

- Wiem od znajomej - potwierdził Harrison. - Myślała, że napisał ją lekarz.

Gwałtownie pokręcił głową.

- Jakiej znajomej?

- Ma na imię Laura - powiedział Harrison, zastanawiając się, czy mężczyzna powiąże fakty.

- Laura? Lorelei?

Harrison nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Moja znajoma pracuje w szpitalu Ocean Park - odpowiedział wymijająco.

- Z tym bydlakiem Dolphern. - Skinął głową w zamyśleniu. - Zawsze był o mnie zazdrosny. Mary lubiła mnie i Parnella, ale Dolpha nie mogła ścierpieć. - Zachichotał. - Tak, napisałem książkę, ale najlepszego w niej nie ma.

Mary była frywolną kobietą. Wolna miłość. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Wszystkim nam to odpowiadało. Ale Catherine położyła temu kres. Nigdy mnie nie lubiła. Nieważne, bo Mary i ja spotykaliśmy się i tak.

-Prześwidrował Harrisona szarymi oczami spod siwych brwi. - Te wszystkie testy DNA, o których opowiadają w telewizji? Czasami myślę, że powinienem tam pójść i sprawdzić niektóre z tych dziewczyn, czy któraś nie jest moja.

Może pan to dla mnie zrobić?

- Nie sądzę. - Nie był niemiły. - Kiedy był pan z Mary? W którym roku?

- Niech pan spyta Dinah. - Wzruszył obojętnie ramionami.

- Ma pan jej numer?

- Jasne. - Wskazał ręką szafkę nocną. - Niech pan tam podejdzie.

Harrison obszedł łóżko i znalazł listę numerów telefonicznych napisanych dużymi czarnymi literami. Był na niej numer Dinah i kilka innych, niepodpisanych. Harrison przepisał je wszystkie do małego notesu, na wypadek gdyby miały znaczenie, którego jeszcze nie znał.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - krzyknął radośnie Herm, jakby zupełnie zapomniał, że chwilę temu chciał prywatności.

Do środka głowę wetknęła pielęgniarka, przeszywając wzrokiem Harrisona.

- Wszystko w porządku, Herm?

- Jasne. Mam gościa... - Zerknął w stronę Harrisona, marszcząc lekko czoło.

- Harrison - powiedział.

- To chłopak mojej córki, Dinah.

Kobieta weszła do pokoju wyprostowana i posłała Harrisonowi długie, wymowne spojrzenie. Miała ze trzydzieści lat, mocną budowę ciała i bił od niej chłód, który ostrzegał, żeby nikt, ale to nikt z nią nie zadzierał.

- Oj, nie sądzę - powiedziała. - Nie jest w typie Dinah.

- Właśnie wychodziłem - powiedział Harrison, posyłając jej swój najmiłszy uśmiech. Podał rękę Hermowi Smythowi.

- Pytał pan o Szaloną Maddie - powiedział nagle Herm. - Jest na tym korytarzu, dalej, naprzeciwno.

Słyszając wzmiankę o Madeline Turnbull, pielęgniarka wyraźnie zeszywniała.

Harrison nie przypomniał Hermowi, że Szalona Maddie nie żyje. Informacja i tak nie zagościłaby długo w umyśle staruszka.

- Dzięki.

Kobieta wycofała się na korytarz, a Harrison wyszedł za nią. Z plakietki wynikało, że ma na imię Toni. Harrison skinął głową, ale ona nie miała zamiaru dać mu odejść bez przesłuchania.

- Keri mówiła, że jest pan dziennikarzem.

- Keri pracuje w recepcji - zgadł Harrison.

- Pan Smythe nie jest wiarygodnym źródłem - powiedziała obcesowo. - Na pewno pan zauważył, że ma problemy z pamięcią krótkotrwałą.

- Ale długotrwała jest w porządku?

- Nie wiem, nad czym pan pracuje, ale na jego słowach nie można się opierać jak na faktach. Skacze z przeszłości do

teraźniejszości i do wymyślonych miejsc. Jeżeli chodzi o panią Tumbull, najlepiej, żeby porozmawiał pan z dyrektorem.

- Miałem już tę przyjemność - powiedział Harrison. Dotarli do recepcji. Keri zerknęła na niego z nienawiścią, a on odpowiedział uśmiechem, jakby byli starymi dobrymi przyjaciółmi.

- Możemy panu jeszcze w czymś pomóc? - spytała ostro Toni.

Dzwonek telefonu uratował Harrisona od odpowiedzi. Pokręcił głową, podszedł do drzwi i czekał, aż Keri go wypuści. Odebrał telefon.

- Frost.

- No, no, no. W końcu się połączyliśmy. - Swobodny ton Pauline Kirby wywołał niemal uśmiech na twarzy Harrisona. Może i była skończoną suką, której narcyzm był legendą, a techniki prowadzenia wywiadów nietaktowne, krępujące i suma sumarum denerwujące, ale w jej polowaniu na tematy było coś, od czego zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Pauline - powiedział wymownym tonem.

- Słuchaj, nie mam za dużo czasu. Chcę tylko, żebyś w kilku słowach powiedział, co myślisz o tych nadętych, wkurzających nastolatkach. Są niebezpieczni czy to tylko pozerzy?

- Jedno i drugie.

- Myślisz, że rodzice ich obronią?

- Na razie są to tylko włamania. A ty jak myślisz?

- Z twojego artykułu można wywnioskować, że chciałbyś, żeby te maleństwa zapłaciły za błędy czymś więcej niż oberwaniem po łapach.

- Myślę, że powinni się dowiedzieć, że każda decyzja ma konsekwencje. Akcja i reakcja, *fin* i *jang*.

- Chcesz powiedzieć, że powinni iść do więzienia? - spytała Pauline.

- Chcę powiedzieć, że jakoś trzeba im przemówić do rozsądku - odpowiedział.

- Jak?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Co to znaczy dobry rodzic? Jak wychować odpowiedzialne dziecko? Czyja to wina? Dlaczego tak się dzieje? Co możemy zrobić, żeby nasze dzieci nie wybrały na drodze nieodpowiedniego zakrętu?

- Masz dzieci? - spytała tak, jakby naprawdę ją to ciekawiło, ale Harrison wiedział swoje.

- Nie.

- Planujesz?

Przed oczami mignęła mu Laura, jego uczucia do niej.

- Nie, jeżeli miałyby się włamywać do cudzych domów tylko dlatego, że mogą. Muszę lecieć.

- Jeszcze jedno. Mam wrażenie, że zajmujesz się już czymś innym.

- Dlaczego?

- Coś w twoim tonie. Chyba niecierpliwość.

- Może ty tak na mnie działasz, Pauline.

- Nie. - Była pewna siebie, a on domyślił się, że już wie, nad czym pracuje. - Zajmujesz się tematem Justice'a Turnbulla, prawda? Sprawa z twojego podwórka. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, że jeszcze się z tobą skontaktuję?

Harrison nie wiedział, czy jest wściekły, czy rozbawiony. Zdecydował się na to drugie.

- Bardzo mi pochlebia, Pauline, że musisz korzystać z moich tematów w swoich programach.

Roześmiała się.

- Jeszcze jesteś na mnie wściekły o ten epizod z twoim szwagrem? Przestań, Frost. Jesteśmy dorośli.

Prawie widział jej drapieżny uśmiech.

- Tak? - spytał i rozłączył się, zanim Pauline zepsuje mu humor.

Lang miał ochotę zasłonić sobie uszy dłońmi, słysząc jęki kobiety. Czuł, że nie może wyjść, chociaż O'Halloran nie miał takich oporów. Siedział przy biurku i kończył pracę, którą miał zostawić sobie na jutro. Co prawda był w biurze, ale cieszył się, że to Johnson i Geena Cho zajęły się dziećmi Jamesa Cosmo Danielsona, dzięki czemu Sawy Dunbar mogła zawieźć ich rozhisteryzowaną matkę do kostnicy, żeby zidentyfikowała ciało. Identyfikacja wypadła pozytywnie - rozzierający szloch, a później, według Sawy, kobieta rzuciła się na ciało - a teraz ona, która powiedziała, że na imię jej Virgin, skrót od Virginia, jak ma w dowodzie, płakała cicho, kołyszając dzieci. Zadzwonili po wspomnianą wcześniej siostrę, żeby przyjechała ją zabrać i siostra jechała do biura szeryfa z mężem, bo swój samochód pożyczyła Virgin. Mąż siostry miał wrócić do domu furgonetką w kwiaty, ale trzeba było

zapłacić mandat, i ta niesprawiedliwość na domiar śmierci Cosmo sprawiła, że Virgin zawodziła i się kołysała. Zadzwoił telefon komórkowy Langa. Leżał na biurku, więc detektyw natychmiast odebrał. Rozpoznał numer na wyświetlaczu. Sam McNally. Wyszedł ze wspólnego pokoju do gabinetu szeryfa, w którym mógł spokojnie rozmawiać, i zamknął za sobą drzwi.

- Detektyw Stone.

- Sam McNally. Wiem, że usiłuje pan się ze mną skontaktować.

- Zgadza się. Chodzi o Justice'a Turnbulla.

- Uciekł z Halo Valley, co?

- W piątek wieczorem. Myślmy, że wrócił tutaj i że jest gdzieś na wybrzeżu.

Cisza. Krótka uwaga, która zabrzmiała jak „Psiamać”.

- Wie pan, że ściga kobiety z Pieśni Syreny.

- Tak. A pan prowadził śledztwo w tej sprawie - odpowiedział Lang.

- Współpracowałem z pana departamentem. W moim okręgu mieszka kobieta, Rebecca Sutcliff Walker. Została adoptowana, ale jest jedną z nich. Była pierwsza na jego liście ostatnim razem, ale uciekła. Zamierzam przydzielić jej ochronę. Wtedy będzie próbował dostać się do tych z domu. Ma na ich punkcie obsesję.

- Chce je wszystkie zabić... - Lang usłyszał pytanie we własnych słowach, chociaż było to stwierdzenie.

- Chyba zamierza zacząć od tych, które mieszkają poza Pieśnią Syreny, ale nie można mieć pewności, że nie będzie próbował dobrać się do tych z posiadłości. To prawdziwy świr. Naprawdę psychopata.

- Rozumiem - powiedział Lang z przejęciem.

- Są jeszcze jakieś inne poza murami?

- Nie sądzę - powiedział po namyśle Lang. - Mógłbym spytać Catherine. Jest ich przywódczynią - wyjaśnił z braku lepszego słowa.

- Rozmawiacie z nią? - McNally'ego zatkało.

- Niektórzy. Nasz szeryf, O'Halloran, zna ją od lat, a moja narzeczona jest lekarką w Halo Valley. Rozmawiała z Catherine parę razy. Była nawet w posiadłości - przyznał Lang.

- Naprawdę? - McNally był wyraźnie zdumiony. - Rebecce się to nigdy nie udało.

- Co może mi pan powiedzieć o Justisie? Coś, co mogłoby pomóc go znaleźć?
 - Pewnie nic, czego by pan nie wiedział - powiedział McNally. - Pomieszkiwał w latarni. Jego matka była właścicielką motelu, który chyba od tamtej pory jest nieczynny. Wydaje mi się, że po tym, jak ją zaatakował, była w domu opieki.
 - Seagull Pointę - potwierdził Lang. - Nie podaliśmy tego jeszcze do publicznej wiadomości, ale wygląda na to, że Justice udusił ją wczoraj wieczorem albo dzisiaj rano.
 - Co? Na miłość boską! - Musi pan zapewnić ochronę tym kobietom, Stone - dodał pośpiesznie. - Jeżeli może pan dotrzeć do tej Catherine, niech pan to zrobi. Cholera, nawet nie wiemy, czy słyszały, że jest na wolności.
 - Tak, hm, mają swoje sposoby zdobywania informacji -uspokoił go Lang. - Ale postaram się dostać za bramę i sprawdzić, czy nic im nie jest. Patrolujemy okolicę ich domu i na pewno o tym wiedzą, więc wiedzą też, że coś jest nie tak. Może mi pan opowiedzieć w skrócie, co się wydarzyło zeszłym razem? Znam najważniejsze fakty, ale skoro zajmował się pan tą sprawą...
 - Mów mi Mac. Wszyscy mi tak mówią.
- Mac zaczął opowiadać o tym, że Justice obrał sobie za cel Rebecę Sutcliff i o mało jej nie zabił. Sutcliff i jej ówczesny chłopak, a teraz mąż, Hudson Walker, dowiedzieli się, że Rebecca należała kiedyś do Kolonii, ale jako niemowlę została oddana do adopcji. Ale Justice, który miał coś do nich wszystkich, znalazł ją w sposób, którego do końca nie rozumieli i zaczął ją ścigać. Próbował ją zabić nie pierwszy raz, tylko po raz pierwszy Rebecca zdawała sobie sprawę z tego, że jest jego celem.
- Powiedział też o morderstwie sprzed prawie dwudziestu lat, które miało związek z Kolonią, i o tym, jaki to morderstwo miało wpływ na dochodzenie, które w końcu doprowadziło do ujęcia Justice'a.
- Wiesz - dodał. - Mój trzynastoletni syn, Levi zeszłej jesieni na turnieju piłki nożnej poznał pewnego chłopca. Mike'a Fergusona. Mike, kilku jego kolegów i starszy brat chodzili do szkoły, którą kilka lat temu zburzono, St. Elizabeth. Przy szkole był labirynt. Dzieciaki znalazły szkielet zakopany na środku labiryntu, przed figurą Madonny. Wtedy właśnie zacząłem pracować

nad sprawą. Odkrycie tych szczątków było początkiem śledztwa w sprawie Turnbulla. W każdym razie ten Ferguson wiedział, że jestem ojcem Leviego i że tuż przed emeryturą prowadziłem sprawę. Najwyraźniej uważnie ją śledził. Naprawdę dużo wie. Ciekawe, co myśli o ucieczce Turnbulla.

- Tak. - Myśli Langa krążyły już wokół spotkania z Catherine, strażniczką bramy. - Ach, te dzieciaki - dodał, naśladując Clausena.

- Nigdy nie wiesz, na co wpadną... - ostrzegł McNally. Ale Lang już się rozłączył. Miał o czym myśleć.

Rozdział 25

Trzynastoletni Mike Ferguson wyciągał szyję jak tylko mógł, nie wspinając się na palce. Wzrok wlepił w telewizor, stojący w drugim końcu pokoju.

- Ile?

- Metr sześćdziesiąt pięć - powiedział znudzonym głosem jego brat James.

- Akurat. Metr siedemdziesiąt! - krzyknął.

- Wszystko jedno, Mikey. Nadal jesteś karłem. - James miał metr osiemdziesiąt i nadal rósł.

- Jestem Michael - powiedział, jak zawsze, kiedy brat zwracał się do niego tym przezwiskiem. Urósł osiemnaście centymetrów, odkąd stał się sławny. Nie był już Małym Mikeyem Fergusonem. Teraz miał trzynaście i pół roku, czyli prawie czternaście, a z jego twarzy zniknęła dziecięca pulchność, i dziewczyny zaczęły się przy nim głupio zachowywać, przez co jeszcze wyżej nosił głowę, chociaż udawał, że tego nie widzi.

Mike zerknął na lewo, w lustro na komodzie i przyglądał włosy na czole. Miał fryzurę w stylu Justina Biebera.

- Boże, aleś ty głupi - jęknął James.

Miał ochotę puścić pawia tu i teraz. „Puścić pawia” było jego ulubionym wyrażeniem (o niebo lepszym niż „rzygać”, „zwracać” czy „wymiotować”, czy też naprawdę żalosalne „haftować”). A ponieważ był prawie trzy lata starszy od Mikeya, zdecydowanie miał ochotę puścić pawia na myśl o tym, że jego młodszy brat uważa się za przystojnego.

Wydał z siebie serię odrażających dźwięków przed Mikeyem i Woofym Larsonem, najlepszym kumplem od czasu poprzedniego najlepszego kumpla, Kyle'a Baskina, który z rodziną przeprowadził się do Kalifornii. Mikey oderwał wzrok od telewizora i zaczął pisać esemes.

Woofy przeczesał dłonią rudą czuprynę.

- Do kogo esemesujesz? - spytał.

- To nie esemes. To tweet. Do Kanału Siódmego. - Kciuki Mike'a poruszały się szybko po małej klawiaturze.

- Mikey jest głupkiem - powiedział James.

- Raczej Michael jest głupkiem - poprawił Mike, podnosząc głowę.

- Cholerny palant - prychnął Woofy.

- Co robisz na Twitterze? - spytał stanowczo James. - Zamykaj go. - Chciał wyrwać mu telefon, ale Mike zrobił unik.

- Gadasz jak mama. - Mike, nieprzejęty, znowu zajął się telefonem.

- Nic innego nie robisz!

- Tak, a ty nie bawisz się telefonem non stop kolor.

James kopnął piłkę, która leżała na podłodze. Uderzyła z hukiem o ścianę. Odbiła się i trafiła w klosz nocnej lampki Mike'a. Lampka spadła na podłogę, a kawałki szkła rozprysnęły się po pokoju jak mały szrapnel.

- Nieźle - powiedział Mike, za bardzo spokojny, żeby się wkurzyć, na co bardzo liczył James.

James chciał, żeby wybuchł, na pewno. Mike widział, jak wściekłość uderza mu do głowy i zabarwia jego skórę na czerwono. James na ogół nie wpadał tak szybko w złość, ale ostatnio chyba wszystko go wkurzało.

- Ja pierdolę - mruknął, a potem schylił się i zaczął zbierać kawałki szkła.

Woofy, który był uprzejmy i bezkonfliktowy, chciał mu z dobrego serca pomóc, chociaż porządki nie były jego mocną stroną. Zawsze nosił tę samą koszulkę rugby i dżinsy, aż połowę szkoły przekonał, że jest skończonym biedakiem, a tak naprawdę po prostu gówno go obchodziło, jak wygląda.

- Tylko staram się dojść do tego, dokąd uciekł - powiedział Mike po chwili.

- Kto? - spytał Woofy, ale Mike był pewien, że James wie.

- Ten zabójca - powiedział James cierpiętniczym tonem. -Justice Debil. Czy jakoś tak. Mike ma obsesję na jego punkcie.

- Justice Turnbull. - Mike w końcu oderwał wzrok od telefonu, wyłączył go i wsunął do kieszeni.

- A, tak. - Woofy się zamyślił. - Ten, co go złapali, co zabił tę dziewczynę, tę, z ręką, którą znalazłeś.

- Wystawała z ziemi - przypomniał Mike. - Palce trupa. Wystające z ziemi, jakby wołały o pomoc.

- Miały ze sto lat! - stwierdził James, wkurzony z niewiadomego powodu.

- Dwadzieścia - poprawił Mike.

James parsknął. Pomyślał, że jego brat staje się naprawdę upierdliwy.

- Uciekł - powiedział Mike. - Chyba wiecie, co?

- Jasne, chłopie. - Woofy udawał urażonego, ale Mike podejrzewał, że wcale nie wie, o czym jest mowa.

- Z zamkniętego szpitala - ciągnął Mike. - Nikt nie przypuszczał, że może uciec. Nikt. Ale uciekł. Jest jak duch.

Szepcze w nocy... - Wyciągnął ręce, jakby odsłaniał kotarę. - Jest jakby... eteryczny.

- Co ty pieprzysz? - odezwał się Woofy.

- Bezcielesny, chłopie - wyjaśnił mu James.

- Znajdę go - oznajmił Mike z przekonaniem.

- Bredzisz - odparował James.

- Znajdę. Kiedyś mieszkał w tej latarni morskiej. Wróci tam. Na pewno! Trochę tam daleko. Chyba będziemy musieli wziąć łódkę.

James patrzył na młodszego brata jak na świra.

Ale Mike wiedział swoje. Należał do tych chłopaków, którzy wiedzą, czego chcą... i to dostają. James, który się nad wszystkim sto razy zastanawiał, trochę się go bał i uważał, że jest o krok od zupełnego wariactwa.

- No jasne - zakpił James. - Właśnie tak zrobimy, głupku. Pojedziemy na wybrzeże. Wynajmiemy motorówkę.

Popłyniemy na wyspę, żeby przeszukać starą latarnię morską, w której kiedyś mieszkał psychopata!

- Chyba będziemy musieli wziąć kajak i wiosła - wyjaśnił Mike. - Motorówki nikt nam nie wypożyczy.

- Nie jedziemy, ośła łąko. Przecież nie umiesz prowadzić.

- Ale ty umiesz - odparł Mike, wpatrując się w Jamesa niebieskimi oczami. - Ja będę pilotem.
 - Jezu, ty mówisz poważnie - stwierdził Woofy, mrugając z niedowierzaniem.
 - Kajak jest chyba dobrym rozwiązaniem - ciągnął Mike.
 - Myślałem, że się bawimy w gitarzystę. - James spojrział na niego gniewnie.
- Wzrok Mike'a powędrował z powrotem do telewizora i kątem oka zauważył, że James też odwrócił głowę. Pojawiła się ta niezła jędzowata, ciemnowłosa dziennikarka.
- Zrób głośniej - zażądał Mike.
 - Nie jestem twoim niewolnikiem, dupku - wymruczał James, ale Woofy, który znajdował się blisko pilota, pogłośnił telewizor.
 - Mówią o sobie: Śmiertelni Grzesznicy. Siedmioro bogatych nastolatków, którzy zaczęli wchodzić do cudzych domów... domów, które należą do rodziców ich szkolnych kolegów... i którzy, przywłaszczając sobie ich własność...
 - Kurde - wymruczał Mike. - Nie mówi o Justisie Tumbullu. Wszyscy o nim zapomnieli!
 - Nie zapomnieli - powiedział James. - Tylko nie mogą go znaleźć. Teraz już pewnie jest w Kanadzie.
 - Albo w Meksyku - wtrącił Woofy. Mike odwrócił się do Jamesa.
 - Mama i tata wyjeżdżają we wtorek. Będą dzwonić do nas na komórkę. Nie dowiedzą się, że nie ma nas w domu. Możemy pojechać do latarni we wtorek albo w środę.
 - Cholerny palant - powiedział znowu Woofy.
 - Nie jedziemy nad morze! - James spojrział groźnie na brata.
 - Głowę daję, że go znajdziemy. Możemy zostać bohaterami - upierał się Mike.
 - Ej, durniu. To psychopata. Zapomniałeś? - spytał James.
 - Zawieź mnie tam. Ja się zajmę resztą.
 - Naprawdę pojedziesz do tej latarni? - Woofy'emu oczy błyszczały z przejęcia.
 - Nie, nie pojedzie. - James był nieugięty.
 - Pojadę. Muszę tylko załatwić kajak - powiedział Michael.
 - To znajdź sobie kajak, bo popłyniesz sam! - wrzasnął James. - Boże, ale z ciebie ciołek.
 - Chyba kujon.

- Nie.

Mike znów spojrział na telewizor. Cały ekran wypełniała twarz kobiety. Widocznie nikt nie potrafił jej zidentyfikować. Ponieważ informacja nie dotyczyła Justice'a, Mike odwrócił się do Jamesa.

- We wtorek jest wolne. Mama i tata wyjeżdżają i nie będzie ich cały tydzień. Mamy czas.

- Jesteś takim samym świrem jak on. - James miał dość tego zamieszania, a zwłaszcza Mike'a. Wyszedł z pokoju brata. - Jeżeli nie chcesz grać w Wii, to ja wychodzę - krzyknął z korytarza. - Jesteś skończonym idiotą. Nie jedziemy nad żadne morze.

Bohaterowie. Ha! Następny sposób, żeby wpakować się w kłopoty. Kolejny zły pomysł. James nie miał zamiaru zawozić nigdzie tego małego głupka.

Woofy poszedł z kumplem do garażu. James wziął paletkę i odbijał pingpongowe piłeczki nad niską siatką na drugą stronę stołu. Pod migoczącymi fluorescencyjnymi światłami piłki odbijały się raz i spadały z pingpongowego stołu na podłogę. Niektóre odbijały się rykoszetem o odsłonięte krokwie, inne uderzały w starą lodówkę, w której mama trzymała napoje i piwo. Woofy wziął drugą raketkę, podniósł z ziemi piłki i zaserwował do Jamesa. Grali przez całych dwadzieścia minut, po czym James wycelował piłeczką pingpongową prosto w drzwi garażu i odłożył paletkę.

- On mnie naprawdę wkurza!

- Tak? - burknął Woofy.

- Nie zamierzam się w to pakować.

- Nikt ci nie każe. - Woofy wzruszył ramionami.

- Ale on myśli, że to zrobię.

- Co się przejmujesz? Nie zrobisz i już.

Zapadła cisza i Woofy, który nie słychał ze spostrzegawczości, wyczuł wahanie kolegi.

- Chyba że...?

- Nie - oznajmił James.

Ale ziarno ciekawości zostało zasiane. Mimo że James długo marudził, że nie ma, nie ma, nie ma zamiaru zawieźć młodszego brata na wybrzeże, żeby mógł szukać jakiegoś świra, psychopaty, w głębi duszy spodobała mu się wizja zostania bohaterem. Już widział się w wiadomościach z tą gorącą dziennikarką, jak opowiada całemu światu, jak złapali tego faceta... To byłoby mocne...

O ile czubek by ich nie zabił.

Marzenie wyparowało w jednej chwili. James cenił życie, ale jego młodszy ogarnięty obsesją brat, nie. Woofy wyszedł kilka minut później, a kiedy James wracał do domu, zadzwonił jego telefon. Belinda Mathis. Najładniejsza dziewczyna w szkole! Wymienili się kiedyś numerami telefonów, chociaż przypuszczają, że zrobiła to tylko z grzeczności. Ale dzwoni...!

- Tak? - odezwał się ostrożnie.

- O mój Boże, nie mogę uwierzyć, że to robię - powiedziała dziewczyna bez tchu. Z pewnością nie była to Belinda Mathis. - Tu Kara Mathis, siostra Belindy - wyjaśniła. - Czy to James Ferguson?

- Uhm. - Starał się nie dać poznać po głosie, że jest rozczarowany.

- Dzwonię z telefonu siostry. Był w nim twój numer. Uhm... Znam twojego brata, Michaela. Czy ty... mógłbyś... podać mi jego numer?

Niekończący się koszmar.

James zamknął oczy i w myślach policzył do dziesięciu, a później wyrecytował numer Mickeya. Kilka minut później usłyszał, że dzwoni telefon jego brata i że Mickey odbiera.

James podszedł do lodówki, otworzył ją, uwiesił się na drzwiach i gapił się niewidzącym wzrokiem.

Sława brata mogłaby mu pomóc w kontaktach z kobietami, na pewno. Mógłby na tym skorzystać.

A ten psychopata, Justice... o ile ich nie zabije, na pewno zostaną bohaterami.

Hm, pomyślał James.

Byłoby naprawdę super. Nawet Belina Mathis musiałyby go zauważyć. Jego numer już miała.

Rozdział 26

Geena Cho miała na sobie obcisłe czarne dżinsy, jedwabny top bez rękawów w biało-różowo-zielone paski i diamentowe kolczyki, z których jeden zamigotał w świetle, kiedy odgarnęła czarne, długie do ramion włosy za lewe ucho.

Harrison usiadł na pustym barowym stołku obok niej.

- Chyba się za bardzo wystroiłaś.

- Jak na tę pogodę chyba za mało - nie zgodziła się. - Jezu, kiedy ta mgła odpuści?

Spojrzał na innych klientów Davy Jones's Locker. Wszyscy poza Geeną byli w kurtkach, swetrach i wysokich butach. Wyglądała egzotycznie i atrakcyjnie i niejeden facet patrzył na niego z zazdrością. Chciał im powiedzieć, że nie jest zainteresowany, ale problemem była sama Geena. Ona była zainteresowana, nim. I musiał się naprawdę nagimnastykować, żeby wykręcić się z tej randki tak, żeby nie urazić Geeny. Nie był pewien, czy będzie potrafił.

- Dzięki za wszystkie wskazówki.

Kiwnęła na kelnera, tego samego, który wczoraj podawał jemu i Laurze jajka na śniadanie. Spojrzeli na siebie z Harrisonem wymownie, ale mężczyzna nie zdradzał sekretów, jak przystało na kelnera z prawdziwego zdarzenia.

- Zupełnie nie ma za co - powiedziała Geena z uśmiechem, ukazując głębokie dołeczki w policzkach. - Chociaż mogłabym mieć kłopoty w pracy za kontakty z mediami.

- Na pewno miałybyś kłopoty.

- No więc wypijmy za niebezpieczne życie. - Pochyliła się do barmana. - Dla mnie jeszcze jedno appletini, a dla niego, co chce. On płaci.

- Piwo. Beczkowe. Wszystko jedno jakie - zamówił Harrison.

- Nie ma sprawy - powiedział mężczyzna. Kiedy się odwrócił, Geena krzyknęła za nim.

- Jak ci na imię, skarbie?

- Alonzo.

- Podawaj mi bez zamawiania, Alonzo! - Zwróciła się do Harrisona: - Mam zamiar się trochę upić - ostrzegła go z chytrym uśmiechem. - Poniedziałki mam wolne.

- No to upijesz się sama, Geena. Ja jestem trzeźwy, dopóki nie złapią Turnbulla.

- Cholera, Harry - powiedziała rozczarowana. - To może się ciągnąć miesiącami. Zrelaksujmy się trochę, hm? -

Podniosła do ust kieliszek z martini i wzięła duży łyk. - Mówiłam, że jesteś moim dłużnikiem.

- Jestem. Ale nie wiem, czy tak samo to rozumiemy.

- Mój Boże. - Odstawiła pusty kieliszek. Alonzo wyłonił się z kolejnym appletini i piwem dla Harrisona. Geena znowu wzięła duży łyk. - Więc marnuję z tobą czas? To mi chcesz powiedzieć?

- Nie nadaję się do związków - wytłumaczył.

- A kto mówi o związkach? Jezu. Wyprzedzasz sam siebie, kolego. Ja chcę się tylko z tobą przespać. - Spojrzała na niego znad krawędzi kieliszka. - Nie miej takiej zmartwionej miny. Dobra, może to będzie pierwszy krok do związku. Wiesz, tak właściwie nie miałabym nic przeciwko temu.

Harrison obrócił kufel z piwem na podkładce.

- Prawdę mówiąc, ja wolę najpierw randkę, potem seks. Nic dobrego nie wychodzi z tego, kiedy najpierw jest seks. Poza tym naprawdę nie jestem w nastroju.

Zmrużyła oczy. Olśniło ją.

- O mój Boże. Spotykasz się z kimś innym.

- Co ty wymyślasz? - spytał, lekko podenerwowany.

- Żaden facet tak nie mówi, chyba że umawia się z kimś innym. O cholera. Jest nam pisana tylko przyjaźń? - Słysząc było, że jest rozczarowana. - Alonzo! - krzyknęła. - Musisz mi podawać szybciej. Dostałam kosza od tego faceta, zanim przeszliśmy do pierwszego etapu. Chwileczkę. Ostatnio się całowaliśmy, prawda? - Zmarszczyła brwi, patrząc na Harrisona. - Chyba niewinnie, o ile dobrze pamiętam. Ale chyba się liczy. Więc nie doszliśmy do drugiego etapu, tym bardziej szkoda. - Przewróciła wymownie oczami.

- Mogę ci w tym pomóc! - krzyknął entuzjastycznie mężczyzna z rogu sali. Miał na głowie bejsbolową czapkę, a pod nią kręcone brązowe włosy. Wyciągnął rękę i chwycił zwisającą z sufitu sieć, która należała do wystroju Locker.

Geena uśmiechnęła się do niego.

- Może później, kolego. Muszę jeszcze trochę wypić. - Odwróciła się do Harrisona. - No to po co się ze mną umówiłeś? Chciałeś mnie wydymać, że tak powiem, i to wcale nie w ten sposób, na jaki liczyłam.

- Jezu.

- Oj, nie bądź takim świętoszkiem. - Westchnęła zdegustowana. Zirytowana, wzięła kolejny łyk drinka. Z głośników ukrytych gdzieś pod ciemnym sufitem leciała piosenka Chrisa Isaaka.

- Znasz doktora Maurice'a Zellmana, jedną z ofiar Justice'a Turnbulla?

- Uhm. Tego, którego dźgnął w szyję. Chyba dupek z niego. Nie znam go osobiście, ale słyszałam. - Jej głos brzmiał tak, jakby mówiła rzeczy oczywiste. - Mieszka w fortecy nad plażą, na południe od Tillamook. Skalisty klif zaraz za Bancroft Bluff. Stało tam pełno drewnianych domków, aż Zellman kupił posiadłość i zbudował to paskudztwo. Harrison pokręcił głową, a Geena skinęła gorliwie.

- Ach, tak. Przecież jesteś tu nowy. Swego czasu było o tym głośno. Ludzie chcieli zatrzymać swoje domki i cały ten historyczny klimat. Ale Zellman wygrał. Musisz to zobaczyć. Kamienne kolumny przy wejściu. Przed podjazdem była kiedyś brama z kutego żelaza, ale jego syn, czy ktoś inny, wałnął w nią parę miesięcy temu i teraz jest otwarta. Mieszkam na południu i codziennie mijam ją po drodze do pracy.

- Chciałem spróbować przeprowadzić z nim wywiad.

- Powodzenia. Jak powiedziałam, jest prawdziwym dupkiem.

- Coś nowego w sprawie Turnbulla?

- Nie. - Z głośników przez ogromną salę popłynęły lekkie dźwięki *Wicked Game*. - Na pewno nie chcesz o tym porozmawiać w innym miejscu? - Uniosła cienką brew.

- Szczerze mówiąc, Geena, gdyby było inaczej, nie musiałabyś mnie pytać dwa razy.

- Cholera, ty się z kimś związałeś! Alonzo! - Zastukała kostkami palców w ladę. - Przynieś wódkę!

Justice stał w zagajniku. Miał dobry widok na posiadłość Zellmana. Dom był olbrzymi, z piaskowca. Główne wejście i garaż na cztery samochody oświetlały wiszące latarnie. Kilka samochodów stało przed garażem - czarny range rover i białe bmw zastawiały dwie pary drzwi, ale lexus musiał zniknąć w garażu, bo nie było go widać. Robiło się ciemno, ale głównie z powodu mgły, bo w czerwcu w tej części Oregonu jasno było do dziewiątej wieczorem albo nawet dłużej. Justice pojechał za lekarzem do domu, nie mając żadnego planu. Zaparkował przed bramą, jakiś kilometr na północ, na parkingu małego kompleksu handlowego, w którym sprzedawano świeże owoce morza i miejscowe rękodzieło, oraz sklepu z różnościami Phil's Phins and More.

Stał teraz na końcu żywopłotu otaczającego budynek. Rododendrony były ciężkie od kwiatów, a hortensje zaczynały kwitnąć. We mgle zobaczył cień. Zamarł. Zorientował się, że to tylko szary kot zeskakuje po kratkach.

Wcześniej Justice postanowił, że szybko pozbędzie się nissana i z tą myślą porzucił go na drodze. Sam pogрузił się w myślach. Myślał o nich, ich złotych włosach, szarych oczach i chytrych uśmiejach. Poczłł, że jest podniecony.

Myślał tylko o ich biodrach i tyłkach, tajemniczych zakamarkach i różowych sutkach. Widział, jak leżą przed nim rzędem, z unoszącymi się piersiami, udami drżącymi w oczekiwaniu, a on wciskał się w każdą ciepłą szczelinę, która na niego czekała. Weźmie je, będzie ujeżdżał z całych sił, spocony, jęcząc i wylewając w nie swoje nasienie.

Posiądzie je, krzycząc do nieba, kiedy będzie je brał, jedną po drugiej, pieprzył, wylewał nasienie, przyprawiając je o słodkawy lekki zapach nienarodzonych z niego dusz.

Weźmie je wszystkie. Są jego.

Na zawsze.

Ocknął się, jakby dostał w twarz. Przerażony.

Spojrzał w dół i zobaczył, że spodnie ma rozpięte, a dłoń trzyma cały czas na członku, poruszając nią wściekle, jakby była to cudza dłoń. Przestał natychmiast, zawstydzony tym, że jego członek ciągle był pobudzony, skierowany zachłannie w ciemne niebo, pragnąc ich.

Padł na kolana i ukrył twarz w dłoniach. One nie były dla niego. Były nieczyste. Zabawki diabła.

Miał wrażenie, że wraca do siebie. Coś... coś... coś było nie tak.

Z wysiłkiem spróbował pomyśleć o morzu. Morze... morze... latarnia...

Wystawiam twarz na chłodne powietrze, w stronę horyzontu, oceanu z jego gorącymi, czekającymi, wilgotnymi ustami...

Justice znieruchomiał, przerażony. Nie mógł pojechać do swojej bezpiecznej przystani! Nie mógł się tam dostać, nie myśląc o nich w ten sposób.

Musiał zacząć zabijać. Musiał wykonać swoją misję.

Musiał zacząć.

Teraz.

Z tym wyraźnym postanowieniem zaczął myśleć o transporcie...

Laura wyszła ze szpitala za piętnaście dziewiąta i szła do samochodu z inną pielęgniarką, która przez telefon trajkotała ze swoim chłopakiem. Błądziła wzrokiem po parkingu. Właściwie nie zdziwiłaby się, gdyby skądś wyskoczył Justice. Wiedziała, jak wygląda: blondyn, podobny do niej i jej sióstr, szczupły, bezduszny. Wiedziała to właściwie dzięki zdjęciu, które pokazano w wiadomościach, zrobionemu w Halo Valley, a nie z tego, co zapamiętała. Ale Justice'a nigdzie nie było. Dotarła do swojego subaru cała i zdrowa, pomachała na pożegnanie drugiej pielęgniarce i wcisnęła przycisk, który automatycznie zamykał wszystkie drzwi.

Serce nadal biło jej trochę szybciej. Włączyła wycieraczki, żeby zetrzeć wilgoć z szyby, i ruszyła krętą drogą do domu. Przez cały czas zastanawiała się, na ile jest bezpieczna. Co prawda do pracy szła z wielką odwagą, ale nie przemyślała drogi powrotnej. W nocy. Do pustego domu.

Minęła kilka rozjazdów i punktów widokowych na klifach nad Pacyfikiem, parę sklepików, w większości o tej porze zamkniętych.

Zjechała na drogę dojazdową do jej podjazdu, nie włączając kierunkowskazu. Nie chciała nikogo informować, że zjeżdża. Na podjeździe wyłączyła światła i zahamowała przy tylnym ganku. Krzewy w ogrodzie były ciemne, w nocnej mgle przebierały dziwaczne kształty. Pomyślała o obu zabitych kobietach, ofiarach Justice'a, i wstrząsnęła nią silny dreszcz. Możliwe, że tu jest.

Czeka.

Siedziała przez chwilę w samochodzie, myśląc o tych kilku krokach do domu, o tym, ile czasu zajmie jej otwarcie drzwi,

0 milisekundach ciemności, zanim włączy światło. Dlaczego nie zostawiła zapalanej lampy? Jej dom wydawał się złowieszczo czarny i odpychający.

Położyła rękę na telefonie komórkowym. Powinna zadzwonić do Harrisona? Dać mu znać, że jest w domu? Czy przeszkodzi mu w spotkaniu z kobietą z biura szeryfa?

Wpatrywała się w kwadratowy jasny wyświetlacz telefonu

i wybrała jego numer. Z zaskoczeniem stwierdziła, że guzik ją obchodzi, że przerwie mu spotkanie. Nie fruwała ze szczęścia, że poszedł na drinka z kobietą, nieważne, z jakiego powodu... co mówiło o czymś, czego nie chciała analizować.

Ale nie odebrał, jak zawsze. Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości. Pomyślała, żeby sprawdzić swój umysł, zobaczyć, czy uda jej się skontaktować z Justice'em, sprawdzić, czy jej obawy są słuszne, czy jest gdzieś daleko, ale zabrakło jej odwagi.

Dlaczego nie posłuchała samej siebie? Czy nie mówiła Catherine, żeby kupiła psa? Jej przydałby się owczarek niemiecki, rottweiler, a w tej chwili, choćby mops, jakiegokolwiek zwierzę, które narobiłoby hałasu w razie kłopotów. Jak teraz.

Siedziała przez dziesięć minut, chcąc się uspokoić, aż w końcu ostrożnie wysiadła z samochodu. Mgła ustąpiła, ale powietrze było ciężkie i zimne. Noc zapadała powoli i chociaż było ciemno, widać było leciutką łunę, która oświetlała schody na ganek, sągi drewna na końcu podjazdu.

Zanurzyła dłonie w torebce, szukając kluczy. Zacisnęła na nich palce i je wyjęła. Wcisnęła pilota, żeby zamknąć auto, i rozległo się kliknięcie. Szybko przeszła na ganek. Drżącymi dłońmi wsunęła klucz w zamek, otworzyła drzwi, zamknęła je szybko za sobą i zasunęła zasuwę.

W domu było ciemno i cicho. Wcisnęła przełącznik światła i zrobiło się przeraźliwie jasno.

Stała nieruchomo. Lustrowała wzrokiem każdy ciemny zakamarek, każdy ciemny kąt. Naczynia, które zostawiła rano, nadal były w zlewie, kurtka, którą powiesiła na oparciu krzesła - tam, gdzie ją zostawiła. Wszystko wyglądało normalnie.

Ale...

Serce jej waliło. Była w stanie policzyć uderzenia, mocne i szybkie. Umysł też szalał. Sprawdziła rząd noży w magnetycznym stojaku przybitym z boku do szafki, żelazną patelnię w szufladzie pod piekarnikiem, rozmaite przedmioty, które mogłyby posłużyć do obrony.

Stała w milczeniu przez niecałą minutę, która wydawała jej się wiecznością, a w końcu zmusiła się, żeby zapanować nad paranoją. Nie było go tu. Była sama. To tylko strach tak na nią działał.

Położyła torebkę na stole i usiadła na jednym z kuchennych krzeseł, tyłem do drzwi, za którymi znajdowała się spiżarnia. Pomyślała o pomieszczeniu za nią. Jej umysł nagle nie był w stanie się skupić na niczym innym. Po chwili wstała, szarpnęła drzwi, tłumiąc krzyk. Ale były tam tylko puszki z jedzeniem, mop i szczotka,

odkurzacz, wąż ogrodowy, owinięty taśmą w miejscu, w którym przeciekał, kilka drobiazgów i środki czyszczące. Nie krzyknęła. Czowała się, jakby przebiegła maraton. Wróciła do stolika i usiadła.

- Idiotko - mruknęła do siebie.

Miała nadzieję, że Harrison przyjedzie niedługo. Spojrzała na torebkę, zdjęła ją ze stołu i postawiła obok siebie na podłodze, a potem wsunęła palce do bocznej kieszeni i wyjęła komórkę. Chciała jeszcze raz zadzwonić do Harrisona. Może tym razem zostawi mu wiadomość. Da mu znać, że jest cała i zdrowa w domu. Tylko miała strasznego pietra. Coś spadło.

Pośpiesz się, Harrison, pomyślała, wysyłając mu w myślach wiadomość tak, jakby mogła się z nim porozumieć telepatycznie, jak z Tustice'em.

Pośpiesz się...

Rozdział 27

Geena robiła się coraz bardziej rozkoszna i zdążyła nawet wciągnąć w ich rozmowę Alonza, barmana. Harrison wiedział, że musi to znosić jeszcze przez chwilę, zanim będzie mógł się zmyć. Przy odrobinie szczęścia Geena nawet nie zwróci na to uwagi, tak była zajęta ewidentnie nią zainteresowanym barmanem, a może raczej tym facetem w czapce, który siedział w rogu sali.

Nie, jednak wyglądało na to, że w rozgrywce „zdobądź Gee-nę” na prowadzenie wysforował się Alonzo. Był jednym z tych, którzy przerzucają sobie barmańską ściereczkę przez ramię takim gestem, który wygląda na zaproszenie.

Geena nie pozostawała obojętna i stwierdziwszy, że Harrison spotyka się z kim innym, odwróciła się od niego.

Pewnie mógł wyjść już teraz, ale stwierdził, że zostanie jeszcze kilka minut. Nie zamierzał stracić cennego źródła informacji ani przyjaciółki, jaką była Geena, więc wycucie czasu było kluczową kwestią.

Alonzo właśnie się dowiedział, że Geena pracuje dla Biura Szeryfa Okręgu Tillamook i o mały włos stało się to końcem ich znajomości.

- Pieprzony szeryf kiedyś mnie aresztował - powiedział, a jego przyjazne oblicze w jednej chwili zmieniło się nie do poznania. - Myślał, że jestem członkiem gangu. - Pokręcił głową. - Złamasy. I ten Clausen...

Harrison zastrzygł uszami:

- Mnie ten facet też nie lubi.

- Clausen? - Alonzo spojrział na niego. - A co mu zrobiłeś?

- Postawiłem biuro w niezbyt korzystnym świetle - wzruszył ramionami Harrison. - Na szczęście Geena nie ma do mnie żalu.

- Fred Clausen myśli jednotorowo - zaczęła Geena, machając ręką w charakterystycznym geście „powiem wam coś i co z tego, że jestem pijana”. - Lubi, kogo lubi, i uparcie węszy, jeśli się na coś uprze, trzeba mu przyznać. Ale nie bierze pod uwagę wszystkich możliwości, rozumiecie?

- Ja tak - zgodził się Harrison.

- Ale żeby twierdzić, że jesteś w gangu...? - Geena powoli przechylała głowę to na jedną, to na drugą stronę, próbując skupić wzrok na Alonzie.

- Znałem chłopaków z Seaside - przyznał barman - ale oni nie byli w gangu, po prostu trochę rozrabiali. To tak naprawdę nawet nie należało do Clausena, sprawa spoza hrabstwa Tillamook, ale wiedział, że ich znam, a wplątali się w jakąś awanturę. Skończyło się tak, że wylądowałem w areszcie. I trochę trwało, zanim udało się wszystko wyjaśnić.

- Mnie to nie zraża.

Wymienili długie spojrzenia, a Harrison, upatrując w tym swoją szansę, zsunął się z barowego stołka.

- To ja będę leciał.

- Chyba żartujesz - powiedziała Geena.

- Ty i Alonzo świetnie sami sobie poradzicie z roztrząsaniem problemów świata. - Pochylił się, żeby po przyjacielsku poklepać ją po ramieniu, ale złapała go mocno za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Jeszcze jeden drink. Roześmiał się.

- Muszę lecieć.

- Będę potrzebowała ochotnego... ochotniczego szofera.

- Nie wątpię - przyznał, ale obstawał przy swoim.

- Jeszcze jeden - poprosiła - i koniec. Obiecuję. Harrison zerknął na Alonza, ale ten powiedział:

- Nic nie poradzę, muszę tu być do wpół do drugiej. Za to jutro mam wolne. - Znacząco spojrział na Geenę.

Ale ona przerzuciła się z powrotem na Harrisona.

- Proszę...

- Tylko szybko. - Westchnął w myślach i usiadł z powrotem na stołku.

Laura zdała sobie sprawę, że panikuje.

Nie było powodu do przesiadywania w kuchni i strachu przed wejściem dalej, w głąb domu. Zresztą dom wcale nie był duży. Parterowy: dwie sypialnie, łazienka, kuchnia i salon.

Nic wielkiego.

Ale skóra i tak cierpła jej ze strachu.

Budynek miał piwnicę i na samą myśl o tym ciemnym, niewykończonym pomieszczeniu dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Na szczęście jedyne wejście do piwnicy prowadziło przez drzwi na zewnątrz budynku. Nie było możliwości dostania się do środka bezpośrednio z piwnicy, trzeba było najpierw wyjść na dwór.

Chyba zwariowała, żeby aż tak się przejmować. Czemu akurat teraz?

Nerwowo zerknęła na swój telefon. Tak bardzo chciała, żeby Harrison oddzwonił. Dotknęła palcami klawiatury i prawie wybrała jego numer raz jeszcze, ale po namyśle zmieniła zdanie.

Stary zegar wiszący nad zwieńczonym łukiem wejściem do salonu odmierzał kolejne sekundy.

Może powinna wyjść. Przejść się. W pracy musiała być dopiero jutro po południu, więc nie musiała siedzieć w domu. Wcześniejsza odwaga gdzieś zniknęła, zapadała noc i wydawało jej się, że niewidoczne oczy obserwują ją przez okna.

Powtarzała sobie, że ma się wziąć w garść, przestać mazgaić jak małe dziecko i w końcu zmusiła się do pójścia do salonu. Zapaliła lampę w krótkim korytarzu i pokój zalał strumień światła. Potem zajrzała do łazienki i obydwu sypialni, a tętno przyspieszało jej za każdym razem.

Nagle wydało jej się, że dobiega ją ledwie słyszalny dźwięk... Czyjś oddech? Stłumione westchnienie? Włoski na karku stanęły jej dęba. O Chryste.

Wpatrywała się w drzwi szafy w swojej sypialni. Były zamknięte. Powinna po prostu je otworzyć i...

Znów usłyszała ten ledwie wychwytywalny dźwięk... Syk?

Serce załomotało jej w piersi. Zaczęła się wycofywać. Nie odrywając ręki od ściany, przesuwała palce po nierównej powierzchni. Podłoga w korytarzu zaskrzypiała pod jej ciężarem i, usłyszawszy ten dźwięk, prawie wyskoczyła ze skóry.

To śmieszne! Ale nie mogła się zmusić do spokojnego oddechu.

Potrzebowała broni.

Choćby tylko dla własnego spokoju.

Wróciła do kuchni i sięgnęła do wieszaka na noże, ale zatrzymała rękę tuż przed rękojeścią jednego z nich.

Brakowało jednego.

Na magnetycznym wieszaku było puste miejsce. Boże święty.

Krew zastygła jej w żyłach. Zaczęła drżeć, oddychała szybko. Wsłuchiwała się w ciszę. Mięśnie miała napięte. On jest tutaj! Ale gdzie? Prawie krzyknęła. Szybko zamknęła usta.

Komórkę ciągle trzymała w ręce, nosiła ją ze sobą jak dziecko pluszowego misia. Teraz spojrzała na telefon.

Dziewięć jeden jeden. Powinna zadzwonić na policję!

Tylko że...

Czy nóż naprawdę zniknął?

A może na wieszaku była już ta przerwa... Może...

Serce biło jak szalone, gdy zaglądała do zlewu, gdzie stała już góra naczyń. Ale noża do mięsa nie było. Zrobiło jej się słabo. Bała się, że upadnie.

Co z nią jest nie tak? Może to wszystko dzieje się tylko w jej głowie?

Drzwi do piwnicy znajdowały się za tylnymi schodami, w przybudówce. Podeszła do kuchennych drzwi. Szyba była jak czarny kwadrat wychodzący prosto w noc. Ostrożnie wyjrzała. Patrzyła na drzwi do piwnicy, z odległości mniej więcej pół metra. Były zamknięte. Na kłódkę.

W domu była bezpieczna.

Ale...

Widziała go w głowie, nienawiść wykrzywiała jego przystojną twarz, zmasakrowane ciała, zwłoki... radość, jaką sprawiała mu

ta rzeź. Dobry Boże, uwolniła potwora. Nie, Lauro, to nie ty go uwolniłaś. On uciekł, pamiętasz?

O tak, świetnie pamiętała. Przypomniła też sobie, jak go kusiła i rzuciła mu wyzwanie.

Jak wtedy, gdy byli dziećmi.

Zdjęła z wieszaka nóż z trzynastocentymetrowym ostrzem i stanęła bez ruchu, licząc uderzenia rozszalałego serca.

Sama się nakręcasz! Weź się w garść, Lauro. Nie świruj! Nie świruj!

Wzięła długi, uspokajający oddech, serce zwolniło odrobinę, a skóra nie napinała się już na naprężonych mięśniach.

Po kilku minutach spędzonych w zalanej światłem kuchni i w zupełnie cichym domu, bardzo przytomnie pomyślała:

I co teraz? Telewizor? Książka? Nie ma mowy.

Powoli usiadła przy stole, a krzesło zaskrzypiało pod jej ciężarem. Położyła komórkę na blacie i popatrzyła na nóż trzymany w prawej ręce.

- Bez żartów! - powiedziała szeptem.

Przemknęła jej przez głowę myśl o odłożeniu noża na miejsce. Już prawie to zrobiła. Ale jednak nie.

Nie mogła.

Dogodna chwila minęła.

Zegar tykał głośno i w jednej chwili poczuła go. Usłyszała. Dzwony alarmowe rozdzwoniły się w jej mózgu i odruchowo spojrzała w okno.

Za oknem stał Justice Turnbull.

Wpatrywał się w nią swoimi okrutnymi, bladymi oczami. W prawej dłoni trzymał nóż do mięsa.

Harrison spojrzął na rozświetlony ekranik swojego telefonu. Laura próbowała się do niego dodzwonić. Najwyraźniej nie zostawiła wiadomości, ale i tak sprawdził pocztę głosową i zaczął liczyć. Dzwoniła jakieś trzydzieści minut temu, pewnie wychodziła wtedy z pracy, a może stała już pod drzwiami domu.

Geena była trochę przymulona alkoholem, ale wciąż ubolewała nad tym, że Harrison kogoś ma.

- No dobra, kim ona jest? - zapytała z teatralnym westchnieniem. - Dawaj. Przecież potykasz się o kogoś... spotykasz się z kimś... albo coś. - Roześmiała się i potrząsnęła głową: - Auć,

jestem kompletnie pijana... Mogłoby ci się dzisiaj poszczęścić, gdybyś spróbował.

Harrison zastanawiał się, czy powinien oddzwonić. Czy to pilne? Miała kłopoty? A może po prostu sprawdzała. Już dotarli do tego etapu „związku”. Ale przecież telepatycznie kontaktowała się z Justice'em, jeżeli to w ogóle było możliwe, i myślał, że w zasadzie... Prawie wierzył, że może... W każdym razie facet był psycholem i mógł ją śledzić, bo już to wcześniej robił.

Alonzo, barman, zastanawiał się, czy ma na poważnie zająć się Geeną, czy może ona prowadzi jakąś grę i traktuje go jak pionka. Harrison czytał w jego myślach, już to przerabiał. Może na tym właśnie polegała więź Laury z Justice'em, raczej na wzajemnym zrozumieniu niż faktycznym czytaniu w myślach, czy w jej przypadku, rozmowie w myślach. A może tak naprawdę to była kupa bzdur, ale nie miało to znaczenia, bo Justice był niebezpieczny i tylko to się liczyło.

- Muszę zadzwonić - powiedział.

- Do niej, tak? - Geena spojrzała na Alonza i pokiwała głową. - A nie mówiłam? - zwróciła się z pytaniem do całej sali.

Harrison nie zwracał na nią uwagi i przycisnął telefon do ucha.

Telefon zawibrował na blacie i w tej samej chwili Laura zaczęła krzyczeć. Dzwonek przykuł jej uwagę i na sekundę odwróciła wzrok od okna. Na nanosekundę.

Kiedy znów tam spojrzała, Justice zdążył zniknąć.

Tak, jakby go wyczarowała, jak gdyby jej strach wykreował jego wizerunek.

Brzdęk!!!

Szyba rozprysła się, a odłamki szkła wpadły do pokoju, rozsypane przy wtórze ogłuszającego uderzenia. Podniosła rękę, żeby osłonić twarz, a wtedy zobaczyła jego ramię wsuwające się przez wybitą szybę i palce poszukujące klamki.

- Nie!

Złapała nóż i rzuciła się w kierunku drzwi. Telefon dzwonił nieprzerwanie, ale nie mogła się zatrzymać. Zamachnęła się i wbiła ostrze w grzbiet dłoni Justice'a, a on zaskowyczał z bólu.

O Boże, Boże! Dźgała go raz za razem, wyciągała zakrwawione ostrze i wbijała z powrotem. Przebiła rękę pod małym palcem, a zaraz potem on wyrwał dłoń z okrzykiem wściekłości

i bólu. Krew bryznęła na nią, na podłogę, na lśniące odłamki szkła.

Sama też krzyknęła i rzuciła się do stołu, po telefon. Łup!

Drewniane drzwi zadudniły.

Złapała komórkę, nacisnęła klawisz nawiązujący połączenie i puściła się biegiem przez dom. Próbowwała wybrać numer, ale jej palce były śliskie od krwi, jego krwi. Komórka wyslizgnęła jej się z rąk, kiedy łąpała oddech, skręcając ku głównemu wejściu.

- Jezu... Niech to szlag! - krzyknęła. Nie mogła stracić telefonu, nie teraz!

Trzask!

Tylne drzwi stanęły otworem w chwili, gdy padła na podłogę i schwyciła telefon.

- Boże, o mój Boże...

Pozbierała się. Kiedy on wbiegał przez tylne drzwi, ona docierała już do frontowych. Szarpnęła mocno. Nie ustąpiły. Były zamknięte na klucz.

- Szlag! - W histerii, z sercem walącym jak oszalałe, przekręciła klucz i ponownie złapała kłamekę.

Drzwi otworzyły się i wypadła na ganek. Ślizgała się na wilgotnych drewnianych deskach. Prawie upadła. Uderzyła się w kolano, ale w ostatniej chwili złapała poręcz.

- Pomocy! - wrzasnęła z rozpaczą. - Ratunku!

Ale u sąsiadów było ciemno, wszędzie wokół panowała ciemność.

- Boże, proszę!

- Sssiossstro...

Jego głos. Tym razem nie w jej głowie. Tym razem naprawdę. Oślizgły. Zimny. Pełznący jej po kręgosłupie.

Krzyknęła i spojrzała na telefon.

Wcisnęła zielony guziczek. Ostatnio dzwoniła do Harrisona, będzie na czele listy wybieranych numerów.

Desperacko zaakceptowała wybór i ześlizgnęła się z ostatniego mokrego schodka.

Jakoś utrzymała się na nogach i rzuciła się do biegu. Szaleńczego. Przez zwirową alejkę. Skręciła w kępę rozrośniętych krzewów i znikła w ciemności.

- Ratunku!-krzyknęła.

Myśl, Lauro, myśl. Wykiwaj go. Biegnij do sąsiadów!

Był tuż za nią. Oddychał głośno i z wysiłkiem.

- Wiedźma! - wydyszał chrapliwie. - Wezwałaś mnie! Wezwałaś!

O nie! Był za blisko. Biegła przed siebie na oślep, ślizgała się na trawie, wyciągnęła ręce, żeby ochronić twarz przed gałęziami i liśćmi, a pędy winorośli chwytaly ją za kostki. Ale biegła.

- Odbierz! - myślała. - Na litość boską, Harrison, odbierz telefon!

- Jestem tutaj! - zawołał Justice. Za blisko. Oddychała ciężko, przedzierając się przez krzaki i zbliżając do drogi głównej.

Czuła jego oddech. Ciepły. Cuchnący. Był dosłownie krok za nią. Rzuciła się naprzód i się zachwiała. Ogromna dłoń złapała ją za włosy. Odciągnął jej głowę do tyłu.

Krzyknęła. Przesuwał palcem po jej karku i po plecach, wzdłuż kręgosłupa.

Wyrwała się do przodu, desperacko pragnęła uciec od niego. Oparzona jego dotykiem. Naznaczona.

Żołądek ścisnął się jej i w tym momencie telefon zawibrował jej w dłoni.

Za późno!

Wcisnęła guzik.

- Lorelei?

Usłyszała Harrisona. Mówił do niej. Cicho. Z daleka. Przez głośnik telefonu.

- Jest tu! - krzyknęła i poczuła dłoń potwora zaciskającą się na swojej szyi. - O Boże!

Zahaczyła nogą o jakiś kopczyk czy korzeń niewidoczny w ciemności. Szarpnęła i wyswobodziła nogę. Dobiegła do końca posiadłości. Teraz teren opadał w dół do autostrady.

Za nią. Ciężki oddech. Był tuż obok!

- Zabiję ciebie i tego plugawego inkuba! - ryknął.

Nie zastanawiając się, co robi, Laura skoczyła naprzód. W nicość.

Telefon wypadł jej z dłoni. Runęła w ciemność.

Rozdział 28

Jest tu!

- Gdzie? Gdzie on jest? Gdzie ty jesteś? - dopytywał Har-nson, zrywając się jednocześnie na równe nogi tak energicznie

- Lorelei! Lorelei! Laura!

Głucha cisza. Połączenie zostało przerwane

W jednej chwili odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia

- Hej! - zawołała za nim Geena.

- Weź taksówkę. Na mój koszt! - krzyknął za siebie i w tej chwili wyrzucił ją z głowy. '

Dotarł do samochodu w czasie krótszym niż siedem sekund i zaczął szarpać za klamkę. Nie miał wątpliwości, kogo Laura rwała na myśi,. Ten drań tam był. Justice Turnbull znalazł Laurę

- Szlag! Niech to szlag!

Wybierał numer drżącymi palcami, usiłował się do niej dodzwonić ale bez skutku. Cisnął komórkę na miejsce pasażera i zaryczał z wściekłości i bezsilności.

Powinien był zostać z nią. Posłuchać swojej intuicji, która go ostrzegała. Nie powinien nigdy zostawić jej samej.

Boże jak w ogóle mógł to zrobić? A jeśli coś jej się stanie? Jeśli Justice ją skrzywdzi albo... Jeśli ją...? ^{>a}

Odegrał te myśli. Nie było na nie czasu. Musiał się do niej dostać. Znaleźć ją. Uratować przed maniakiem i zabić tego sukinsyna, wysłać go do wszystkich diabłów.

Chwycił kierownicę.

Jesli ten dran ja skrzywdzi...Jesli spadnie z jej glowy choc jeden wlos...

Zastanawiał się, jak mógł być tak głupi, żeby narazić ją na niebezpieczeństwo. To dlatego, że jej nie wierzył i uważał, że wymyśliła sobie tę „łączność” z Turnbullem. Targało nim poczucie winy, spanikowany naciskał pedał gazu. Noc i jadące z przeciwka samochody mijaly go, ich reflektory byly przytlumione mgla a swiatla kladly sie lukami na mokrej wstędze asfaltu wiodącego przez klify do domu Laury.

Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Wpadł w ostatni zakręt i jechał dalej jak wariat. Gdy dojeżdżał do drogi prowadzącej na jej podjazd, minął wjazd na autostradę 101, prowadzącą w górę zbocza, i prawie staranował czarnego SUV-a. Wczepiony w kierownicę Harrison w ostatniej chwili zwolnił, samochód podskoczył, a potem gnał dalej przed siebie. Wjechawszy na jej podjazd, zahamował, wpadł w poślizg na mokrej ziemi, opony pisnęły, wytrysnęły spod nich kamyczki żwiru. Zatrzymał się za jej samochodem, jedynym na podjeździe.

Otworzył drzwi, wyskoczył, ale był tak zestresowany, że stracił równowagę. Oparł się na kolanie, zachwiał, ale natychmiast się opanował, stając pewnie na nogach.

Był gotów.

Dom zalewało światło. Lampy paliły się z tyłu i przy frontowym wejściu. Za tą jasną sceną panowała ciemność. Szybko rozejrzał się, a potem schylił i na żwirowanej ścieżce szukał jakiegoś większego kamienia. Nie znalazł, ale natrafił na gałąź wawrzynu o mniej więcej trzycentymetrowej średnicy. Powinna wystarczyć.

Skulony obszedł swojego chevroleta i sprawdził samochód Laury. Był pusty. W domu, tak rozświetlonym, że widocznym jak na dłoni, też jej nie było. Niezasłonięte okna, jasne, puste pokoje. Nigdzie śladu życia.

Lauro... Lorelei... Myślał niespokojnie, a strach przenikał go jak zimny wiatr.

Powinien wejść do środka? Zaznaczyć swoją obecność? Ale jeśli Justice wciąż był w pobliżu, nie mógł nie zauważyć, że przyjechał samochód.

Wyprostował się i nasłuchiwał, ściskając gałąź w dłoni.

- Lauro! - jego własny głos wydawał się tak śmiertelnie poważny. Cisza. - Lauro! - krzyknął głośnie.

Usłyszał coś. Jęk.

Od strony autostrady. Ze wschodu.

Zwrócił się w tamtą stronę, zgiął się wpół i ruszył szybkim krokiem. Jęk zdawał się dochodzić z daleka. Działka, na której stał dom Laury, biegła łagodnie w dół zbocza. W dole była autostrada 101.

Zaciskając pobielające palce na gałęzi, szedł żwirowaną ścieżką zaczynającą się pod jej drzwiami. Wyostrzył wszystkie zmysły. Był gotów. Mięśnie miał napięte, a serce biło mu w dyktowanym przez

przerażenie równomiernym rytmem. Jeśli ten psychol wyskoczy na niego z nienacka, będzie miał poważne kłopoty.

- Lorelei! - zawołał łagodnie raz jeszcze, a jego głos przeciął ciszę.

W głosie, który go dobiegł, była ulga.

- Harrison? Jestem tu... Tu, na dole. Dzięki Bogu!

Pobiegł naprzód, ale ostro zahamował przed krawędzią klifu. Widział Laure, skuloną w rowie biegnącym wzdłuż pobocza autostrady. Jakies cztery metry niżej. Rozejrzał się szybko. Czy Justice tu jest?

- Nic ci się nie stało? - spytał. Ukląkł, chwycił się gałęzi rosnącego obok wawrzynu i przesunął się w kierunku krawędzi skarpy, świadom, że drzewo nie utrzyma jego ciężaru. W jednej chwili gałąź trzasnęła i się złamała, Harrison zsunął się w dół, prawie sturlał w tumanie kurzu, i wylądował obok drżącej Laury.

- Harrison - powiedziała łamiącym się głosem - Harrison. Przycisnął ją do siebie:

- Lorelei.

- Nic mi nie jest - powiedziała, szcękając zębami. - Nic mi nie jest.

Na początku nie mógł w to uwierzyć. Pocałował ją w głowę, przytulił, odpędził precz strach przed tym, że mógłby ją stracić. Głaskał ją po włosach, pragnął wchłonąć ją w siebie, poczuć jej serce bijące w rytmie fal rozbijających się o brzeg gdzieś tam w dole.

- Gdzie on jest? - spytał zimno. Pokręciła głową.

- Nie wiem. Ja... ja spadłam i wtedy wszystko nagle ucichło. Był na górze, widziałam go. Chyba. Trudno powiedzieć. Było ciemno i ta mgła... Ale myślę, że patrzył na mnie, tylko nie mógł zejść na dół. Pewnie bał się, że oświetlą go światła jakiegoś samochodu. Nie wiem. W każdym razie, nie ma go. Mam nadzieję... - Ukryła twarz w ramieniu Harrisona. Przycisnął ją do siebie tak samo mocno, jak ona wtulała się w niego. Czuł w jej uścisku ciepło i desperację.

Spojrzał w górę klifu. Justice mógł wciąż być w okolicy i czekać ukryty w cieniu.

- Jesteś ranna?

_ Nie Trochę podrapana. Byłam przerażona. Spadłam, ale nic mi się nie stało. Słyszałam cię w słuchawce, ale biegłam, zgubiłam telefon i... - Wzdrygnęła się.

Przytulił ją, a potem wyszeptał do ucha:

- Nie ruszaj się. Zostań tutaj. Pójdę sprawdzić dom.

- Nie! - Zerwała się na równe nogi. - Nie zostanę tu. Nie ma mowy. Idę z tobą.

- Nie sądzę, żeby...

- Mam to gdzieś - stanowczo oświadczyła. Westchnął:

- Ktoś ci już mówił, że jesteś uparta?

- Nie, ty jesteś pierwszy.

- Aha jasne. Dobrze, chodź. - Złapał ją za rękę i trzymając się blisko ściany klifu, poprowadził wzdłuż parowu aż do drogi, która docierała do jej podjazdu. - W porządku?

- W miarę.

Kiedy pokonywali ostatnie metry, przycisnął ją do siebie. Przytuleni mocno wyszli na drogę. Usiłował osłonić ją swoim ciałem ale Turnbull mógł czaić się dosłownie wszędzie i nagle wyłomc się z ciemności, zza jodeł, żywopłotu czy samochodu.

Harrison wpatrywał się w ciemność. Trzymał Laurę jedną ręką a w drugiej wciąż trzymał kij okryty gładką korą.

Kiedy dostali się na podjazd, zlustrował ich samochody i jasne okna domu.

ścisnął ją za rękę i oboje się zatrzymali. Wypatrywali i nasłuchiwali Turnbulla, ich serca biły jak oszalałe.

Harrison szepnął:

- W samochodzie mam komórkę. Zadzwonię na policję.

- Nie...-mruknęła.

- To najwyższy czas na powiadomienie policji. Jeśli już nie jest za późno.

- Wiem. Ale... Myślisz, że on wciąż tu jest? Nie wydaje mi się. Wcześniej wiedziałam, że jest tutaj, teraz tego me czuję.

- Lorelei, chciałbym ufać twoim przeczuciom, ale tym razem on tutaj przyszedł po ciebie. Fizycznie. To różnica.

- Wiem. Ale po prostu chcę wejść do środka.

Wbrew sobie poddał się i podeszli do tylnych drzwi, które były otwarte i nie dały się zamknąć, bo Justice wyłamał zamek. Harrison phnął je jednym palcem i otworzył szerzej. Nóż z krótkim, zakrwawionym ostrzem leżał na podłodze wśród odłamków szkła.

- Zostawiłam go - powiedziała Laura niepewnym głosem - Brom ara się, ale chciałam dotrzeć do telefonu. - Kiedy Harrison schylił się, żeby go podnieść i położyć na stole, powiedziała- - On ma moj nóż do mięsa.

- Chryste. - Harrison rozejrzał się ponownie.

- Nie ma go tu. Poszedł. - Rozglądał się lekko błędnym wzrokiem.

- Krwawisz - zauważył neutralnym głosem, ale widok krwi sączącej się przez lewą nogawkę jej uniformu trochę nim wstrząsnął

Podążywszy za jego spojrzeniem, Laura powiedziała- Och.

Potem schyliła się, podniosła nogawkę i odsłoniła długie zadrapanie.

- Nie jest głębokie.

Potem, jakby coś sobie przypomniawszy, dotknęła policzka który był czerwony i zaczynał się na nim pojawiać siniak

- Uderzyła mnie gałąź. Ale on już poszedł. Nie ma go tu.

- Upewnijmy się.

- Dobrze.

Wziął nóż do prawej ręki, a kijek do lewej. Ostrożnie, holując za sobą Laurę, przeszedł przez salon i zamknął na klucz otwarte na oścież frontowe drzwi, uprzednio omiótłszy wzrokiem ganek Potem sprawdził sypialnie, łazienkę i szafy.

- Masz rację. Nie ma go - powiedział, wracając do kuchni

- Pewnie uciekł, gdy cię usłyszał albo gdy zdał sobie sprawę że me da rady do mnie zejść. Wydawało mi się, że słyszałam jak przedziera się przez krzaki.

- W którą stronę?

- Na północ? Albo w górę zbocza, do lasu?

- Jak się tu dostał? - Harrison zadał to pytanie bardziej sobie niż jej.

- Myślałem, że już tu był, gdy wróciłam do domu.

· Cóż, w każdym razie nie zostaniemy tutaj. - Harrison znów wyciągnął do niej rękę. Zadzwoimy na policję, a później

- Nie! Nie dzisiaj. - Westchnęła ze znużeniem. - Wiem że powinnam była zadzwonić wcześniej i jestem zła, że tego nie zrobiłam, ale... Po prostu nie dam teraz rady znieść ich pytań.

- Będziesz musiała.

- Wiem. Ale... Czy to nie może poczekać? Przynajmniej do rana? Proszę. Po prostu nie mogę.

- To morderca. Uciekł ze szpitala psychiatrycznego. Skinęła głową.

- Dobrze. Mogą się zająć włamaniem. Powiedz im, żeby przyjechali. Ale porozmawiam z nimi dopiero rano. Harrison rozważał tę możliwość.

- W porządku, ale potem pojedziemy do mojej siostry. To niedaleko.

- Nie... Nie chcę...

- Tutaj nie zostaniesz - oświadczył. - To niebezpieczne. Jutro pójdziemy na policję - zgodził się niechętnie - ale dzisiaj masz do wyboru moje mieszkanie, motel albo dom mojej siostry. Tak czy siak, nie zostawię cię samej. Przełknęła ślinę, spojrzała na nóż, a potem powoli podniosła go i umieściła z powrotem na magnetycznym wieszaku.

- Dom twojej siostry?

- Dom mojej siostry - powtórzył. - Jak tylko powiadomię władze.

Nie odezwała się.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił, słysząc w jej głosie zniechęcenie. - Mają świeży ślad. Możesz porozmawiać z nimi rano. - Ich oczy się spotkały. - Tak trzeba.

- Do cholery - skinęła głową - niech będzie!

Coś było nie w porządku. Powietrze stało się dziwnie gęste, jakby pełne pierza, i Justice czuł się jednocześnie zagubiony i bezgranicznie wściekły z powodu Lorelei, gdy tak szedł wzdłuż brzegu morza z opuszczoną głową, a fale kłębiły się i oblizywały jego buty.

Lorelei...

Zacisnął zęby i wyteżył umysł, żeby dostać się do jej głowy. Ze wszystkich sił usiłował nawiązać połączenie, ale odrzucała go. Była silna! Silniejsza niż się spodziewał. Zanurzył dłonie w jej włosach Meduzy i teraz paliła go skóra. Szedł plażą, ale w głębi ducha gnał przed siebie. Jak daleko był od sklepu wędkarskiego? Dziesięć kilometrów? Trzyście? Szesnaście? Nie da rady przejść całej trasy plażą, zdarzały się tu skały, które dochodziły aż do brzegu morza. Tam będzie

niebezpiecznie. Będzie musiał zejść z plaży i wejść między ludzi. Ale przecież nie musi iść od razu autostradą. Pomiedzy stojedynką a oceanem były boczne zjazdy i małe ścieżki. Znajdzie drogę. Da radę. Zacisnął palce na trzonku noża w kieszeni kurtki. Jutro ją wykończy. Wiedział, gdzie mieszka. Wiedział, gdzie pracuje. Znał ją.

Dziecko.

Laura przesunęła dłonią po brzuchu. Jechali do siostry Harrisona. Tak jak powiedział, zadzwonił na policję. Odbyli z nią krótką rozmowę, krótszą niż się spodziewała, ale potwierdzili, że ich detektywi będą chcieli z nią rano porozmawiać.

Teraz patrzyła na dom siostry Harrisona. Tak jak jej, stał po wschodniej stronie wzgórza opadającego ku autostradzie 101, frontem do oceanu, ale widok zasłaniały inne budynki i zarośla! Gdy tylko wysiadła z samochodu, usłyszała głuchy ryk fal.

Chciała powiedzieć Harrisonowi, że to tylko wyścig z czasem, ale nie miała na to siły. Namówił ją, żeby się spakowała. Zrobiła to jak automat, myślała jedynie o Justisie i niedającym jej spokoju widoku jego zapadłych policzków i pustych oczu. Co za koszmar.

Z ogromnym wysiłkiem wyrzuciła z umysłu Justice'a, w jego miejsce pojawił się strach o dziecko.

Nie spadła z dużej wysokości, ale jednak uderzyła o ziemię. Leżała oszołomiona, bez tchu, skoczyła jej adrenalina, bała się, że Justice zejdzie za nią. Na autostradzie panował duży ruch i to ją uratowało - Justice nie chciał, by ktoś go zauważył.

Przed domem stała niebieska honda accord. Laura pomyślała, że to samochód siostry Harrisona.

Harrison zajrzał do domu przez frontowe okno, z którego sączyła się smuga srebrnego światła.

- Didi pewnie śpi, ale Kirsten jest na nogach - powiedział. Popatrzył na Laurę uważnie: - Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwo. Zastanawiała się, czy w ogóle jeszcze kiedykolwiek „nic jej nie będzie”. Poczowała uścisk jego

dłoni i jej serce załomotało. Zerknęła na niego i ledwie widoczny cień zarostu na linii szczęki utwierdził ją w przekonaniu, że zaczęła się w nim zakochiwać. Co było absurdalne. Ale błysk zębów, kiedy się uśmiechał, dołek w policzku i oczy... piwne, szarozielone jak Pacyfik... To głupie romantyczne bajdurzenie prawie doprowadziło ją do śmiechu.

Nie wiedziała, dlaczego zgodziła się przyjechać. Może nie chciała być sama. Może chciała być z Harrisonem. Może dlatego, że wiedziała, że on ma rację i minął już czas droczenia się z Justice'em.

A może nie było innego wyjścia.

Przeszła krótką ścieżką wyłożoną małymi białymi muszlami, które lśniły w bladym świetle przedostającym się przez szpary w żaluzjach oraz w blasku półksiężyca, z którym chmury grały w berka. Dwa stopnie prowadziły na mały ganek, całkiem ciemny, bo żarówka w zewnętrznej lampie była przepalona.

Harrison zapukał, a potem zawołał:

- Kirsten, to ja.

Pies zaczął straszliwie ujadać, a Laura usłyszała, jak Harrison mruczy pod nosem przekleństwa i cedzi coś, co brzmiało jak:

- Mały skurczybyk, nawet mnie jeszcze nie widział.

- Mówisz o psie? - zapytała, ale drzwi nagle się otworzyły i pojawiła się w nich smukła kobieta w szarym dresie i białym, zapinanym z przodu na zamek puchatym swetrze z kołnierzem.

Omiotła ich spojrzeniem i zwróciła się do Harrisona:

- Co ty wyprawiasz? - Była rozdrażniona. - Jest po dziesiątej!

- Chciałbym cię poprosić o drobną przysługę.

- To poproś rano!

- Chciałbym tu przenocować, z przyjaciółką. A właściwie chciałbym, żeby ona tu zanocowała, ja z nią.

To zastanowiło Kirsten i popatrzyła na Laure, która stała bez ruchu i czuła się idiotycznie.

- W porządku - powiedziała ostrożnie, ale zmarszczyła brwi i czekała na jakieś wyjaśnienie.

- To Laura Adderley - Harrison dokonał prezentacji. - Czy mogłabyś wpuścić nas do środka?

Cofnęła się, a mały kudłaty piesek ruszył naprzód, szczekając zawzięcie.

- Zamknij się, Chico - mruknęła z czułością. - Niech cię szlag, obudzisz Didi! Harrison, włącz i usiądź. Chico! - syknęła. Natomiast do Laury powiedziała: - Cześć. Przepraszam. Mój pies i Harry nie nadają na tych samych falach. Chico, ignorując ją, nie przestawał szczeleć na Harrisona, który, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, ruszył w głąb pokoju, usiadł na krześle i wciąż wpatrywał się w psa, a on hardo odwzajemniał jego spojrzenie. Stopniowo szczeleć przeszedł w gardłowy warkot.

- No pięknie!

Laura zauważyła podobieństwo. W pewnym sensie Kirsten wyglądała jak Harrison, mieli takie same oczy i usta, ale Harrison zdawał się hołdować stylowi „wszystko mi jedno”, a jej włosy były spięte w starannie zebrany kucyk i w ogóle wydawała się bardziej poukładana.

Kirsten popatrzyła na Laurę niepewnie:

- No więc... Mam dmuchany materac, który można położyć w salonie. Pościel jest w kredensie w holu, pompka też tam jest. Albo mogę wziąć Didi do swojego łóżka i zmienimy jej pościel...

- Nie przejmuj się nami, Kirsten. Lorelei prześpi się na materacu, a ja zajmę kanapę.

- Kanapa rozwali ci kręgosłup - zauważyła sucho Kirsten -

O czym świetnie wiesz.

- Przeżyję.

- A może powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Jutro - zmienił pozycję na krześle, przed którym na sztywnych nogach stał Chico. Drobne, czarne fagle psa lekko drgały

1 Harrison spojrział spode łba na siostrę: - Czy naprawdę...?

- Chodź, Cheeks. - Kirsten podniosła psa, a on wrywał się i wierzgał, usiłując nie spuścić Harrisona z oczu. Kirsten popatrzyła na Laurę z litością, zanim weszła do holu:

- Nie powinnaś się z nim zadawać. Będą z tego tylko kłopoty.

- Jestem jej ochroniarzem - odpowiedział Harrison, zanim Laura zdążyła otworzyć usta.

- Jasne - Kirsten zniknęła im z oczu.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi sypialni, Harrison wstał z krzesła i znalazł materac, pompkę i pościel, ale gdy się wyprostował, zobaczył, że Laura bierze koc i niesie go na kanapę.

- Hej - zaprotestował.

- Jest dla ciebie za krótka - wyjaśniła - nie chcę, żeby bolały cię plecy.

Popatrzył na nią znacząco:

- Możemy oboje spać na materacu.

Laura, która zaczęła właśnie odczuwać efekty tego długiego dnia, wysiliła się na uśmiech:

- Pójdę się przebrać i przyjrzę się temu skaleczeniu na nodze. A kiedy wrócę, chcę tu widzieć poduszkę - to mówiąc, wzięła torbę i skierowała się do łazienki. Przez cały czas zastanawiała się, co właściwie wyrabia, spędzając kolejną noc z Harrisonem, tym razem w domu jego siostry. I jakkolwiek dziwne by to było, w pewnym sensie czuła się jak u siebie.

- Jesteś chyba walnięta - powiedziała do swojego odbicia w lustrzanych drzwiczkach szafki na lekarstwa, wiszącej nad umywalką, a potem umyła zęby i wypłukała usta. - Niegroźnie, ale mocno.

Gdzieś bardzo głęboko czuła strach, że się zakochuje.

- Jakbyś nie miała innych problemów. Zakończywszy ablucje, wróciła do pokoju i zobaczyła, że na kanapie zostawił dla niej poduszkę.

Kiedy się położyła, nie mogła nie zauważyć, że on leży na plecach na dmuchanym materacu i wpatruje się w nią.

Odwzajemniła spojrzenie, a jej tętno przyspieszało z każdym niewypowiedzianym słowem. Nie mogąc złapać tchu, odwróciła się, troskliwym gestem objęła ręką brzuch i upomniała się, że jest w ciąży.

Z byłym mężem.

Rozdział 29

Była dopiero ósma rano, a Lang, który właśnie spojrzął na ścienny zegar, czuł się, jakby od chwili przebudzenia minął już rok. Gdy tylko wszedł do pracy, dotarło zgłoszenie o poprzedzonym morderstwem samobójstwie. Złożył je sąsiad ofiar, zamieszkujących jeden z bogatych domów przy Bankruptcy Bluff. Tak nazywano ulicę Bancroft Bluff, odkąd kilka domów osunęło się z klifu albo zostało poważnie zniszczonych, bo wybudowano je na niepewnym terenie, który usunął się spod fundamentów. Wydawało się,

że problem został rozwiązany, w każdym razie tymczasowo, ale sprzedaż nieruchomości w tej okolicy najpierw znacząco spadła, a później, z powodu kryzysu gospodarczego, legła, nomen omen, w gruzach. Właściciele domów prowadzili zażartą wojnę z deweloperem i urzędem miasta, ale trudno było powiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa i czy ktokolwiek tę wojnę wygra.

Zadzwoiła komórka Langa i na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Freda Clausena, który pojechał na miejsce zbrodni.

- Jak to wygląda? - zapytał.

- Zapomnij o samobójstwie - powiedział Fred. - Wygląda mi to na podwójne morderstwo. Mąż i żona zostali związani, a potem zastrzeleni. Wiadomość wypisana sprayem na ścianie nawiązuje do sprawy Bankruptcy Bluff. Lang mruknął. To żadna niespodzianka. Sytuacja była parszywa i mogła ciągnąć się w nieskończoność.

- Co jest napisane na ścianie?

- Wiadomość brzmi: „Krwawe pieniądze”. Ofiary to Marcus i Chandra Donatello. Prowadzili jakieś interesy z budowniczymi i niektórzy sąsiedzi sądzą, że dali w urzędzie miejskim łapówkę, żeby zyskać aprobatę projektów.

- Proces w tej sprawie już się odbył - zauważył Lang.

- Wiem. To po prostu jeden wielki burdel - zgodził się Clausem - Nikt tu nikogo nie wrabiał, po prostu wybrano kretyńskie miejsce pod budowę, na wątpliwym podłożu. Ale ci ludzie nie żyją, więc ktoś musiał się wkurzyć.

Lang wzruszył ramionami.

- Jakież szanse, że motyw jest inny, a Bankruptcy Bluff to tylko zasłona dymna?

- To bardzo świeża sprawa, wszystko może się zdarzyć.

- W takim razie trzymaj rękę na pulsie. O'Halloran odpuści Justice'a i pomoże ci.

- Tak? - Głos Clausena wyrażał niepewność, którą czuł także Lang.

- Wiemy, że wczoraj w nocy był w domu Laury Adderley, ale znowu uciekł, pewnie się wystraszył. Dowiemy się więcej, kiedy ją przesłuchamy i zobaczymy, co chłopcy znaleźli na miejscu. Masakra. Ale musimy szukać najlepiej, jak się da, mimo wszystko.

- W porządku. - Clausen odłożył słuchawkę i Lang poczuł rosnącą frustrację. Gdzie jest ten drań? Był poniedziałek. Justice

zniknął w piątek i od tej pory pozostawiał za sobą ślad w postaci martwych ciał. Zdaniem Langa Tumbull był wciąż na wybrzeżu, schowany w jakiejś dziurze, do której jeszcze nie trafili.

Ale znajdą go. Miał tylko nadzieję, że wcześniej niż później.

Lang obrócił się na krzesło na kółkach, ale zanim zdążył wstać, żeby nalać sobie kawy, telefon na biurku zadzwonił ponownie.

- Detektyw Stone - powiedział sucho.

- Jestem u Dooleya i popijam browarka. Złaz na dół, to ci zafunduję.

Lang wygodnie rozparł się w fotelu i uśmiechnął wbrew woli.

- Jestem jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od ciebie, więc chwilę to potrwa. Cześć, Curtis. Co tam?

Trey Curtis był dawnym partnerem Langa z wydziału policji w Portland, gdzie pracował, zanim ten przeniósł się do Biura Szeryfa w Okręgu Tillamook. Mieli niepisaną umowę, że kiedy się spotykali, ten, który pierwszy przybył na miejsce, stawiał spóźnialskiemu piwo. U Dooleya było jedynym z ich ulubionych miejsc w Portland, ale Langa od dawna już tam nie było.

- Tak naprawdę mam dla ciebie wiadomość. Właściwie to dla szeryfa, ale nieważne. Kobieta nazywająca się Kay Drescher uważa, że zna tę niezidentyfikowaną kobietę, której zdjęcia rozesłaliście.

- Tak?

- Mówi, że pani N.N. nazywa się Stephanie Wyman. Drescher usiłowała skontaktować się z nią telefonicznie, ale bez skutku. Wyman mieszka w apartamencie w Pearl.

Lang wyprostował się, kiedy tylko Curtis zaczął mówić. Pearl było ekskluzywną częścią Portland, ze sklepami, galeriami, okazałymi willami i historycznymi budynkami.

- Macie numer jej prawa jazdy, zlokalizowaliście jej samochód?

- Sprawdź mejl. Wysłałem ci jej prawko i zdjęcie. Jeździ srebrnym nissanem sentrą z 2004 - wyrecytował VIN pojazdu i numer prawa jazdy.

Lang zrobił notatki i otworzył służbową skrzynkę mejlową.

- Jeszcze tego nie ogłosiliśmy, ale ta kobieta, Wyman, jeśli to ona, zmarła wczoraj w nocy z powodu odniesionych obrażeń. Zobaczmy, co tu mamy - otworzył wiadomości, znalazł zdjęcie Stephanie Wyman i poczuł nagłą wściekłość, gdy spojrzał na jej młodą, uśmiechniętą twarz. - Tak, pani N.N. i Stephanie Wyman to jedna i ta sama osoba - orzekł.

- Cholera - Trey westchnął. - Ta Kay Drescher jest w drodze na posterunek, więc przekażę jej wiadomość. Kiedy skończymy, wybiorę się do mieszkania Wyman. Zadzwoń, jak dowiem się czegoś więcej.

- Dzięki.

Lang zastanawiał się, czy powinien rzucić wszystko i jechać do Portland, ale doszedł do wniosku że nie. Tutaj dokonano morderstwa i był pewien, że miało ono coś wspólnego z Tustice'em Turnbullem, a Stephanie Wyman, kimkolwiek była, stała się tylko jego przypadkową ofiarą. Tak czy siak, tropy były w Tillamook, nie w Portland. Sawy wróciła do biurka z kubkiem pełnym kawy, na który Lang spojrzał z zazdrością i sięgnął po swój. Zanim jednak wyruszył do automatu z kawą, poinformował ją o nowych doniesieniach i na koniec powiedział:

- Poszukajmy tego nissana.

Savannah skinęła głową i usiadła do komputera, żeby spisać wszystkie istotne dane i przekazać je funkcjonariuszom. Poranek w domu Kirsten Rojas przypominał studium kontrolowanego chaosu. Jej córka Didi obudziła się o szóstej trzydzięci, Chico zaczął szczeleć i biegać w kółko, a Kirsten wydawała polecenia niczym surowy sierżant dążący do jednego celu: wyprawienia Didi do przedszkola na godzinę dziewiątą.

Dla Laury to szaleństwo było kojące, normalna rodzina zachowująca się jak każdego ranka i spodziewała się, że jej dzień minie jak zwykle.

Spała w spodniach od dresu i podkoszulce, a teraz powlokła się do łazienki, żeby opłukać twarz i przy okazji zwymiotować tę odrobinę jedzenia, którą spożyła wczoraj.

Przepłukała usta, umyła twarz, wytarła się ręcznikiem i przed wyjściem z łazienki dotknęła ręką brzucha.

Naleśniki smażyły się już, kiedy weszła do kuchni i blado uśmiechnęła się do Didi, która wcześniej, zastawszy na kanapie obcą kobietę, łypnęła na nią podejrzliwie szeroko otwartymi oczami. Potem mała dziewczynka z ciemnymi włosami ostrzyżonymi na pazia zignorowała ją i rzuciła się na Harrisona, który udawał, że śpi, mimo że ze wszystkich sił starała się go obudzić. Próbowwała uderzania piąstkami w jego klatkę piersiową i skakała

po nim, czemu zapobiegła Kirsten, ściągnając Didi z wuja, zanim mała zdążyła zrobić mu krzywdę. Przy tym krzyknęła na Harrisona, że ma wstawać i jednocześnie przepraszała Laurę za hałas.

- Naleśniki - poinformowała Laurę Didi i zamoczyła kawałek placka w miseczce z syropem klonowym, a potem wsadziła go sobie do ust.

- Widzę - odparła Laura.

- Masz ochotę? - spytała Kirsten, zerkając to na Laurę, to na wejście do salonu. - Harrison! Wstałeś już? Ruszaj się!

- Jest kawa? - spytał, pojawiając się w przejściu, które oddzielało salon od aneksu kuchennego. Włosy miał potargane, a jego szczeka była jeszcze ciemniejsza od zarostu. Ubrany był w nisko opadające, zniszczone dżinsy i nie miał na sobie koszulki.

Laura odwróciła wzrok, ale jego widok zdążył już odcisnąć się na jej siatkówce. Nagle poczuła się bardzo beztrosko i miała nadzieję, że to z powodu ciąży, choć dobrze wiedziała, że prawdopodobnie wcale tak nie było.

Kirsten uśmiechnęła się krzywo:

- Pracuję w kawiarni, więc jak myślisz?

- Ale gotowa? - dopytywał, na co prychnęła i nalala mu kawy do białego kubka z wyraźnym czarnym napisem „Mam to gdzieś”.

- Kawy? - zapytała Laurę, której żołądek nie mógł się zdecydować, czego chce. Poczuła jednak na sobie wzrok Harrisona i powiedziała:

- Z przyjemnością.

- A naleśnika? - nalegała Didi, marszcząc brwi, jakby spodziewała się, że Laura odmówi.

- Poproszę. - Laura miała nadzieję, że uda jej się uporać ze śniadaniem bez budzenia niepotrzebnej sensacji. W jednej chwili poczuła się, jakby tonęła. Ostatnie wydarzenia zalewały ją i nie mogła nic na to poradzić. Nie było czasu, żeby przemyśleć choćby połowę z tego, co przeszła i co czuła.

- Kiedy odstawię Didi do przedszkola, wpadnę do sklepu i odbiorę kilka rzeczy. Dzisiaj mam połowę zmiany, więc do pracy idę koło południa. A wy?

- Kilka rzeczy?

- Koraliki.

- Aha. - Harrison odwrócił się do Laury. - Moja siostra zajmuje się pikowaniem, robieniem na drutach i, oczywiście, makramą.

Ma korale, sznurki, doniczki, roślinki i całą masę innych rzeczy. - Szerokim gestem wskazał kuchnię, z sufitu której zwisało kilka oplecionych sznurkowo-koralikową uprzężą doniczek. - Ma-krama - powtórzył. - Hit lat siedemdziesiątych. Kirsten stara się wskrzesić tę modę.

Kirsten rzuciła mu mordercze spojrzenie, a potem pogoniła Didi. Laura siorbała swoją kawę i wzięła kilka kęsów naleśnika. Harrison uporał się ze stosem naleśników polanych syropem i drugim kubkiem kawy, zanim Kirsten i Didi oraz Chico, który do tej pory był zamknięty w sypialni i wył, pojawili się w drzwiach.

- My wychodzimy - oznajmiła Kirsten i patrzyła to na Harrisona, to na Laurę.

- Bieriecie psa, prawda? - zapytał Harrison.

- O co wam obydwu chodzi? - powiedziała. - Nie, nie bierzemy psa. Popatrz. Polubił Laurę.

Chico usadowił się u stóp Laury, a paciorkowate oczy wlepił w Harrisona, oczekując najdrobniejszego choćby ruchu.

- Wrócisz za jakąś godzinę, tak? - dopytywał Harrison.

- Tak... - Popatrzyła na brata. - Chico był już na dworze, zrobił, co miał do zrobienia, ale nic ci się nie stanie, jeśli zabierzesz go na spacer.

- Jasne.

- Jesteś nieznośny - westchnęła Kirsten.

- Tylko jeśli chodzi o psa. - Harrison posłał jej uśmiech.

- Ja idę do pracy - wtrąciła się Laura - więc nie będziemy zawracać ci głowy.

- Nie o to chodzi - zaprotestowała Kirsten - po prostu zastanawiałam się, co się dzieje, no wiecie.

Harrison i Laura wymienili spojrzenia, a potem Harrison powiedział:

- Szczegóły później, ale chodzi o Justice'a Turnbulla. Kirsten zerknęła na Didi, która złowrogo łypała na dorosłych w poczuciu wykluczenia z rozmowy.

- Dobra - powiedziała Kirsten - pogadamy jak wrócę. Kiedy wyszła, Harrison zebrał talerz z ledwie naruszonym naleśnikiem Laury oraz swój wymięciony do czysta i wstawił je do zlewu.

- Myślałem, że idziesz na popołudniową zmianę.

- Chciałam, żeby twoja siostra wiedziała, że mam się gdzie podziać.
 - Wolałbym, żebyś została tutaj. Jesteś blada - dodał - na pewno nic ci nie jest?
 - Nie, w porządku. Naprawdę. Ale stało się coś dziwnego...
 - Co takiego?
 - Kiedy uciekałam przed Justice'em, dotknął mnie. Wplótł palce w moje włosy, a potem przesunął palcem w dół szyi.
 - Podrapał cię?
 - Nie... Niezupełnie. Po prostu mnie dotknął, ale czuję, jakby to miejsce było oparzone.
 - Chcesz, żebym rzucił okiem?
- Ciągle miała na sobie podkoszulek i dres, w których spała. Powoli odwróciła się do Harrisona plecami i odciągnęła kołnierzyk. Czowała, że patrzy na jej skórę, ale powiedział tylko:
- Nie ma śladu.
 - To dobrze. I jeszcze jedno. Wydaje mi się, że coś z nim jest nie w porządku - powiedziała powoli. Widząc ironiczny grymas Harrisona, dodała: - Fizycznie nie w porządku. Jest chory. Bardziej niż nam się zdaje.
 - Hm.
 - Mówiłam ci, że czasem dowiaduję się pewnych rzeczy o ludziach, kiedy ich dotknę.
 - Albo kiedy oni dotkną ciebie? - dodał.
 - Tak - odparła. A potem bardziej zdecydowanie: - Właśnie tak. Podniósł ręce w geście poddańczym:
 - W porządku.
 - W przypadku Justice'a to nawet silniejsze uczucie. Coś z nim jest naprawdę nie tak. To coś go zabije.
 - I dobrze!
 - Ale nie wiem kiedy. - Pokręciła głową, żałując, że nie dowiedziała się niczego więcej. - Nie wiem, ale powiem Catherine i moim siostram. Może dzięki temu poczują się różniej.
 - Wybierasz się dzisiaj do Pieśni Syreny?
 - Może.
 - Musimy iść na policję.
 - Wiem. Pójdę. Później - powiedziała. - jestem trochę zmęczona. Ale pójdę, obiecuję. Dzisiaj, tylko później.
- Harrison popatrzył na nią z ukosa, a potem zerknął na zegarek.

- Mam parę rzeczy do zrobienia, ale nie zostawię cię samej. Może pojedziesz ze mną?
- Twoja siostra wróci za godzinę.
- Zostaniesz z nią tutaj? Westchnęła, a potem skinęła głową.
- Do czasu pracy.
- Więc pójdę, kiedy ona wróci.
- Jakie masz plany na dzisiaj? - spytała, gdy zapadła niezręczna cisza.
- Najpierw idę do Stowarzyszenia Historycznego Deception Bay przeczytać trochę o twoich przodkach. Wczoraj spotkałem się z jednym facetem. Staruszką, który zna doktora Lomana, Hermanem Smythem.

Laura pokręciła głową:

- Nie znam go.

Harrison w skrócie zrelacjonował jej spotkanie w Seagull Point z człowiekiem na wózku i dodał:

- Potem zadzwonię do jego córki, Dinah i posłucham, co ona ma do powiedzenia.
- Nadal przygotowujesz materiał o mojej rodzinie? - spytała zaniepokojona.
- Na razie tło, ale tak, nadal. Nie napiszę niczego, co powiedziałaś mi nieoficjalnie, ale Lorelei, Justice nie zniknął. Usiłuje cię zabić. Ciebie i twoją rodzinę. W pewnym momencie cała ta historia wyjdzie na światło dzienne i tak, mam zamiar napisać o tym. I nie tylko ja. Ale po pierwsze i przede wszystkim chcę, żebyś była bezpieczna. Na tym naprawdę mi zależy.

Chciała się nadać. Krzyczeć i wrzeszczeć, zrobić awanturę, wyartykułować wszystkie swoje żale. Zamiast tego ugryzła się w język, niezdolna do zakwestionowania niczego, co powiedział, bo po prostu miał rację.

- Jesteś poszukiwaczem prawdy - powiedziała, wzdychając powoli.
- No... Tak... - Nie spodziewał się, że jej myśli podążą w tę stronę.
- W porządku.
- Co w porządku? - zapytał podejrzliwie.

Laura miała ochotę na dyskusję, choćby w ramach sztuki dla sztuki, ale prawda była taka, że nie chciała być sama.

- W porządku, zaufam ci - wyjaśniła, a potem poszła po swoją torbę i ruszyła pod prysznic.
- Kirsten była punktualna i wróciła akurat, gdy Laura kończyła się ubierać. Harrison polecił siostrze zaopiekować się Laurą, wysłuchał warkotu Chico, gdy objął ją na moment, pomachał ręką i wyszedł.
- No, nareszcie sobie poszedł! Mów, jak się poznaliście? -zażądała Kirsten, gdy tylko Harrison zniknął z pola widzenia. Położyła na blacie torbę pełną koralików, sznurków i innych akcesoriów i zaczęła w nich grzebać. - Powiedz prawdę. Nie będę zgorzozona, jeśli zaczęło się od jednorazowego numerku. Znam mojego brata.
- Laura stała cicho i nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi. Kirsten podniosła wzrok i zaskoczona powiedziała:
- O rany, przepraszam. Jeszcze z nim nie spałaś. Myślałam, że cała ta zabawa z łóżkiem i kanapą jest tylko po to, żeby zachować sekret.
 - Twój brat lubi jednorazowe numerki? - spytała Laura.
 - Nie zawsze - odparła Kirsten, ale widać było, że to kłamstwo.
 - Ale głównie?
 - Więc jak się poznaliście?
- Laura zastanowiła się chwilę, a potem powiedziała:
- Znajduję się na liście głównych celów Justice'a Turnbulla. Jestem spokrewniona z kobietami w Pieśni Syreny. To moje siostry. Harrison przygotowuje materiał. Ale teraz próbuje mnie chronić.
- Kirsten w zdumieniu wpatrywała się w Laurę.
- O słodki Jezu. Siadaj. Musimy porozmawiać.

Rozdział 30

Po południu do Langa zadzwonił Trey Curtis z informacją, że Kay Drescher jest w drodze do kostnicy w Tillamook, żeby zidentyfikować ciało Stephanie Wyman. Oprócz tego, że przyjaźniła się ze Stephanie, była także spokrewniona z jej jedynym żyjącym członkiem rodziny, ojcem, który mieszkał gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu.

- Kay Drescher nie wierzy, że to Stephanie - Curtis ostrzegł Langa. - Nie wierzy, ale martwi się na tyle, żeby przyjechać. Myślę, że ona myśli, że będzie mogła cię poinformować, że to ktoś inny.

Lang przypomniał sobie zdjęcie z dokumentów i wiedział, że Kay będzie rozczarowana. Kobieta w kostnicy była albo Stephanie Wyman, albo jej siostrą bliźniaczką.

- Powiem O'Halloranowi.

- Znaleźliście samochód?

- Jeszcze nie. Trochę się tu dzieje. - Lang naszkicował Curtisowi szczegóły podwójnego morderstwa przy Bancroft Bluff. - Clausen i Delaney są na miejscu i ja pewnie też się tam wybiorę.

- Wow. U nas jedyne, co się dzieje, to awantura kierowcy podmiejskiego autobusu z rowerzystą, któremu coś odbiło. Walka na pięści. Pogróżki w Internecie. Atrakcja w wiadomościach.

- Czy Pauline Kirby bierze w tym udział? - spytał Lang z niesmakiem. Sam nie tak dawno wdał się z nią w kłótnię.

- Oczywiście.

- Ona jest wszędzie - stwierdził Lang.

- Aha. Poza tym doi tę historię o małoletnich kryminalistach z Seaside. To twoja działka?

- Nie. Dzięki Bogu inny okręg.

- Widziałem ją wczoraj w wieczornych wiadomościach. Twierdzi, że te dzieciaki włamują się do domów swoich dobrze sytuowanych przyjaciół i nie tyle coś kradną, co udają, że same tam mieszkają. Coś w stylu nastolatków, które włamywały się do rezydencji gwiazd w Hollywood i spędzały tam czas.

- Parę rzeczy jednak ukradli. Czytałem w artykule Harrisona Frosta w „Breeze” - powiedział Lang - a poza tym pasierb Clausena zna jedną z ofiar.

- Cholera. A do tego macie jeszcze psychola Turnbulla, który zamordował Stephanie Wyman.

- Prawdopodobnie. Ale... Tak, zamordował.

- Może nie ma go już w twoim rejonie? - zasugerował Curtis.

- Mam nadzieję, że jest - odparł ponuro Lang. - Chcę go dorwać.

W tej samej chwili zabrzączał telefon Langa. Podniósł komórkę i zobaczył na wyświetlaczu, że dzwoni Savannah. - Mam drugi telefon, odezwę się do ciebie.

Odłożył słuchawkę i wcisnął zielony przycisk na komórce.

- Co tam?
 - Burghsmith znalazł srebrnego nissana - powiedziała krótko. - Wygląda na to, że został porzucony na promenadzie, w pobliżu sklepu Phil's Phins. Ma tablice rejestracyjne, ale należą do forda taurusa.
 - Turnbull je podmienił?
 - Aha. Taurus należy do Geralda Moncriefa, który chwilowo mieszka w Seagull Pointę. Turnbull pewnie zamienił je, gdy zajmował się panią N.N. i swoją matką.
 - Więc jest tak, jak myśleliśmy. Potem napadł na N.N., żeby odebrać jej samochód i zostawił ją konającą w Seagull Pointę, kiedy przyszedł zamordować Madeline. Może chciał, żeby umarła, a może nie. Tak czy siak, ona nie żyje, a teraz on porzucił samochód. Prawdopodobnie znamy już jej tożsamość. To Stephanie Wyman z Portland.
 - Ktoś zidentyfikuje jej ciało?
 - Przyjaciółka.
 - Rany... - Savannah westchnęła.
 - Wiem.
 - Musimy złapać tego faceta - powiedziała z determinacją.
 - Wiem. Poinformuję O'Hallorana, czego się dowiedzieliśmy.
 - A ja wyruszam do podwójnego morderstwa - oświadczyła. - Jedziesz?
- Lang rozmyślał przez chwilę, a potem powiedział:
- Myślę, że dasz sobie radę. Ja zostanę przy Turnbulla. Jak skończysz, wróc i zastanowimy się razem, co on teraz może planować.

Harrison zaparkował przed redakcją „Breeze”, wysiadł i spojrzał na zamglone słońce, które zwiastowało prawdziwy upał, gdy tylko zdoła zrzucić z siebie tę wodnistą warstewkę. Był w Stowarzyszeniu Historycznym Deception Bay i poprosił o historię Kolonii. Bibliotekarka w średnim wieku zlustrowała go szybkim spojrzeniem zza okularów z wąskimi szklami. Poinformowała, że są w posiadaniu nieoficjalnej historii, a kiedy powiedział, że może być, zaprowadziła go do półki, z której zdjęła cienką publikację przypominającą raczej rękopis niż książkę.

Powiedziała mu, że wiele osób interesuje się mieszkankami Pieśni Syreny i zapytała, z jakiego powodu on poszukuje informacji

o ich przeszłości. Zastanawiał się, czy powiedzieć, że zna jedną z nich osobiście, ale w końcu uznał, że to zły pomysł. Kiedy jednak zamiast tego oświadczył, że jest dziennikarzem i zbiera materiał do reportażu, odniósł wrażenie, że kobieta zamierza wydrzeć mu książkę z rąk. A gdy chciał ją wypożyczyć i wyjść z nią przed budynek na jakiś czas, wyraźnie zbladła, jak gdyby sama myślała o świecie zewnętrznym, znajdującym się poza jej kontrolą, przyprawiała ją o palpitacje serca.

Zanim zdążyła znaleźć pretekst do konfiskaty książki, podszedł do krzesła przy oknie i usiadł. Czaiła się w pobliżu, zaniepokojona, ale zignorował ją i skupił się na czytaniu.

Nie znalazł wiele informacji. Książka przypominała raczej ubrane w zdania drzewo genealogiczne niż opowieść o życiu rodziny i kończyła się na postaciach Catherine Rutledge i Mary Rutledge Beeman, ostatnich przedstawicielkach rodu. Była też wzmianka o gałęzi rodziny Madeline Abernathy Turnbull. Ojciec Maddie, Harold Abernathy, był kuzynem babki Catherine i Mary, niejakej Grace Fitzhugh Rutledge.

- Wygląda na to, że Mary wyszła za człowieka nazwiskiem Beeman - powiedział Harrison na głos - a ona i Catherine były dalekimi kuzynkami Madeline, która z kolei wyszła za Turnbulla. - Zerknął na bibliotekarkę, która trzymała się w zasięgu jego głosu.

Zasnuowała usta, rozdarta pomiędzy chęcią pozbycia się go, a żądzą poznania nowych plotek. Wygrały plotki, więc zbliżyła się o kilka kroków, zdjęła okulary i zaczęła przecierać szkła.

- Brak tu formalnych małżeństw - powiedziała w ramach rozgrzewki, jak pomyślał Harrison, bo ewidentnie pragnęła pokazać mu, jak dużą ma na ten temat wiedzę. - Matka Madeline Abernathy była córką indiańskiego szamana i związała się z ojcem Madeline, gdy miała zaledwie piętnaście lat, wbrew woli swego ojca, Harolda. Zmarła, rodząc Madeline. Jej ojciec, który pod wieloma względami był bardzo specyficznym człowiekiem, sam wychowywał Madeline, a ona stała się miasteczkowym dziwadłem, kimś w rodzaju genialnego głupca. Żyła z wróżenia z dłoni i przepowiadania ludziom przyszłości. Była już grubo po czterdziestce, gdy urodziła Justice'a w 1975 roku, ale ta dokumentacja urywa się w 1970. Jak pan widzi, ostatnie strony zostały wyrwane. W takim stanie dostaliśmy tę książkę.

- Więc skąd pani wie o Justisie?

- Jestem związana ze stowarzyszeniem od lat. Rok jego urodzenia podał mi doktor Dolph Loman. On mieszkał tu od zawsze, pracował w Ocean Park. W każdym razie dał nam tę książkę po śmierci swojego brata, doktora Parnella Lomana, ponad piętnaście lat temu.

- Może Dolph Loman ma wyrwane strony? - zasugerował Harrison.

- A może zaginęły - wzruszyła ramionami.

- Zatem nie dowiem się niczego o ojcu Justice'a ani tym Beemanie, którego poślubiła Mary?

- Nie tutaj.

Harrison podziękował, a po rozmowie, którą odbyli, wydawała się bardziej skłonna zaufać mu, więc zostawiła go samego i wróciła do biurka. Zanim zwrócił książkę, przyjrzał się jej uważnie. Ewidentnie historia tej rodziny mieszała się z losami Indian, w grę wchodziło także kilku szamanów, tak jakby klan Abernathy-Fit-zhugh-Rutledge coś do nich przyciągało, nawet jeśli nie zostały zawarte żadne formalne małżeństwa.

Mowa była również o „mrocznych darach”, które zdawały się ujawniać raczej u kobiet z tego rodu. Loman spekulował nawet, że miały one za kochanków właśnie szamanów, ale nie było na to żadnych dowodów.

Harrison w zamyśleniu zamknął książeczkę i zastanawiał się, czy Lorelei rzeczywiście posiada jeden z tych

„mrocznych darów”, czy może raczej od dziecka nasłuchiwała się o nich i działała tu siła sugestii. Był cyniczny? Ale czy istniało inne wyjście? Miał uwierzyć, że ją i Justice'a Turnbulla łączy jakaś paranormalna nić porozumienia?

Jeśli nie była to mentalna telepatyczna łączność, to w każdym razie jakiś inny dziwny związek, którego Harrison nie potrafił zrozumieć.

Podał cienką książeczkę bibliotekarce i powiedział:

- Poznałem autora tych zapisków, Hermana Smythe'a.

- W Seagull Pointe?

- Tak. Teraz żyje trochę w swoim świecie, ale czy to on zebrał te informacje?

- Na okładce jest jego nazwisko - wskazała palcem. Wyszedł z budynku Stowarzyszenia Historycznego i zadzwonił do Laury. Ucieszył się, gdy odebrała prawie od razu. Była wciąż u jego siostry, ale szykowała się do pracy.

Najwyraźniej spędziły

razem miły poranek. Kirsten już wyszła, ale zamierzała urwać się na chwilę z piekarni i odwiedzić Laurę do szpitala. Laura próbowała jej to wyperswadować, ale Kirsten nie chciała słuchać. Harrison potwierdził, że jego siostra jest uparta.

- Policja - przypomniał jej, ale zanim jeszcze się odezwała, czuł, że znowu się wykręci.

- Mam przerwę obiadową. Jeśli nadal uważasz, że to konieczne akurat dzisiaj, pójdę tam.

- Ja też nie chcę z nimi rozmawiać. Ale tak, uważam, że to konieczne.

- W porządku - zgodziła się niechętnie i umówili się na konkretną godzinę, kiedy wpadnie po nią w porze obiadowej. Harrison rozważał wizytę u Zellmana i sprawdzenie, czy doktor był gotowy na wywiad, ale artykuł o Grzesznikach wymagał jeszcze dopracowania, więc zdecydował się odłożyć tę rozmowę na później, choć sprawa go korciła. Zamiast jechać w kierunku siedziby „Breeze”, wykonał telefon do Dinah, córki Herma. Jego zainteresowanie historią Kolonii osiągnęło już prawie apogeum. Niestety, jak zwykle trafił na pocztę głosową, więc tylko nagrał swoje nazwisko i zostawił numer kontaktowy.

Gdy wchodził do redakcji, spotkał Buddy'ego, który powiedział mu, że Vic Connelly jest w biurze, zatem Harrison przeszedł przez krótki korytarz, zapukał w szklane drzwi i usłyszał spoza nich zimny głos Vica:

- Tak?

Harrison wetknął głowę do pokoju. Rozczochrane białe włosy Vica były dziś wyjątkowo niesforne i wyglądały jak wata cukrowa.

- Tak tylko zaglądam - powiedział redaktorowi.

- Zajmujesz się jeszcze tymi młodocianymi złodziejaskami? Jest dużo pozytywnych reakcji, odkąd weszła w to Kirby. Ludzie chcą z tobą rozmawiać.

- Jacy ludzie?

- Na przykład ojciec prowodyra całej zabawy. Bryce Vernon. Myślałem, że szlag go trafi. Zachowywał się, jakbyś zbecześcił jego słodkie maleństwo. A potem zadzwoniło do ciebie słodkie maleństwo we własnej osobie.

- Co? Noah Vernon dzwonił do redakcji?

- No tak - odparł Vic. - Odebrał Buddy, ale nie był pewien, czy może podać numer twojej komórki. O co w tym wszystkim chodzi?

Klnąc pod nosem, Harrison odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku siedzącego przy komputerze Buddy'ego. Uśmiechnięty Buddy podniósł kawałek papieru i pomachał nim w stronę Harrisona, który wyrwał mu kartkę z ręki.

- Powiedziałem ci, żebyś podawał mój numer komórki -warknął.
- Czy to pozwolenie dotyczy wszystkich?
- Nie denerwuj mnie. Tak. Nieważne. O której dzwonił Noah Vernon?

Buddy zerknął na zegar:

- Jakies siedemnaście minut temu. Wiedziałem, że już jedziesz, więc stwierdziłem, że poczekam i przekażę ci wiadomość osobiście.

Gdy Buddy kończył mówić, Harrison był już za drzwiami i wybierał w komórce numer Noaha Vernona. Po kilku sygnałach chłopak odebrał:

- Siema, kto mówi?
- Siema. Tu Harrison Frost. Dzwoniłeś do mnie. Chwila ciszy. Potem słowa:
- A, no tak, dziennikarz. Mogę ci za drobną opłatą zaoferować historię na wyłączność.

Harrison się roześmiał:

- Nie potrzebujesz kasy. O co ci chodzi?
- Potrzebuję. Stary wstrzymał zasilanie konta. - Był wyraźnie obrażony.
- Mam przy sobie trzynaście dolarów i dwadzieścia dziewięć centów.
- Dobrze wiesz, o czym mówię.
- Noah, nie mam zamiaru płacić za twoją historię. Duża jej część została już opowiedziana. Ale jeśli chcesz, żeby cię usłyszano, załatwię to. Tyle mogę zaoferować.
- Stary, ja nie mam jeszcze osiemnastu lat - powiedział, sprawdzając Harrisona.
- Tak, aż do jutra.
- Przygotowałeś się! - Był zaskoczony.
- Chcesz się spotkać?
- Mam, jakby to powiedzieć, areszt domowy - przyznał z tłumioną furją. - Ale ojciec jest dupkiem, a ja mam ochotę zajarać. Przyjedziesz po mnie?
- A co z aresztem?

- Ojciec jest w pracy. Zresztą może mnie pocałować. Mam to w dupie. Przyjedź do domu. - Podał swój adres, ale Harrison i tak wiedział, gdzie dzieciak mieszka. - Będzie wściekły, ale to nie moja brocha - dodał Noah, upajając się tymi słowami.

- Będę o trzeciej - zapowiedział Harrison, a potem o piętnaście kilometrów przekroczył ograniczenie prędkości, żeby zdążyć na czas i punktualnie zatrzymać się przed pięknie odrestaurowanym domem z przełomu wieków, stojącym przy ocienionej drzewami J Street, jednej z alfabetycznych ulic Seaside.

Noah musiał go wypatrywać, bo wyszedł z domu dokładnie w chwili, gdy Harrison zaparkował przy krawężniku. Miał na sobie spodnie, które wyglądały, jakby miały zaraz zsunąć się z bioder, długi niebieski podkoszulek i czarna nylonową kurtkę. Na głowie nosił ciepłą czapkę, więc musiał uważać, żeby nie rozpuścić się od grzejącego coraz mocniej słońca.

Wsunął się na fotel pasażera i z uśmiechem powiedział:

- Fajna bryka.

- Zawsze ubierasz się tak, jakbyś zwinął ciuchy jakiemuś klozardowi?

- Taa - spojrzał na Harrisona jasnymi błękitnymi oczami. Harrison ze zdziwieniem zauważył, że Noah był nadzwyczaj

przystojnym młodym człowiekiem. Niepokoiło go, że ktoś tak uprzywilejowany wyglądem, pieniędzmi i najwyraźniej troskliwą rodziną, choć Noah uważał swojego ojca za dupka, gardził każdym z tych darów.

- Nie mogę się doczekać, aż usłyszę, dlaczego jesteś takim syfiarzem - powiedział mu. - Wygląda na to, że rzeczywiście kiepsko ci się powodzi. - Obejrzał się w kierunku nienagannie utrzymanej posiadłości.

- Pieprz się - odpyskował Noah.

- Sam się pieprz - odpowiedział mu Harrison, gdy wyjeżdżali poza miasto. Błyskawicznie ocenił Noaha Vernona i wiedział już, jak go traktować: jak nieudacznego dupka, którym był.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytał Noah, gdy wyjechali poza granice miasta i skierowali się na południe autostradą 101.

- Nie wiem jeszcze. A dokąd byś chciał jechać?

- To porwanie!

Harrison musiał się roześmiać:

- Serio? Tylko na to cię stać? Żenada, Noah. Nie masz naj-bledszego pojęcia o niczym, a zdaje ci się, że znasz odpowiedź na wszystko.

- Nie możesz tak do mnie mówić! - zaprotestował zszokowany. - Kurde, myślałem, że jesteś w porządku. Jesteś dziennikarzem! Powinieneś notować wszystko, co mówię.

- Nie mam zamiaru kumplować się z ludźmi, którzy zastraszają bliskie mi osoby - powiedział zimnym głosem Harrison.

- O czym ty mówisz?

- Nieważne. - Nie miał zamiaru ujawniać mu czegokolwiek na temat kobiety, którą Noah nakrył na podsłuchiwanie.

- Chciałem ci tylko wyjaśnić, jaki mam do ciebie stosunek.

Noah zdziwiony mrugał.

- Jaki ty masz stosunek do mnie? Serio?

- Nie lubię cię - powiedział Harrison - ale napiszę o tobie, niech inni sami wyrobią sobie opinię. Tego chcesz, Envy? Żeby cię usłyszeli?

- Mam prawo głosu. - Wpatrywał się przed siebie spanikowany, jakby naprawdę bał się, że Harrison wywiezie go gdzieś wbrew jego woli.

- Zamieniam się w słuch - oznajmił Harrison. Ten mały gówniarz miał wszystko, ale okazywał tak wielką niewdzięczność, na jaką tylko było go stać. Pauline Kirby miała rację: Harrison też uważał, że Noah powinien zostać za swoje czyny ukarany surowiej niż tylko klapssem w rękę.

- Dobra - powiedział Noah.

- Zatrzymamy się w Ecola Park i opowiesz mi wszystko.

Kirsten podjechała pod szpital. Laura odwróciła się i pomachała jej na pożegnanie, a Chico jak szalony merdał ogonem.

To było dziwne, ale Laura czuła, jakby Kirsten była jej przyjaciółką. Siostra Harrisona była zafascynowana, że Laura jest członkinią sekty. Laura przekonywała ją, że kobiety z Kolonii nie są wcale tak dziwaczne, jak opowiadają miejscowi, ale Kirsten słusznie utrzymywała, że ich sposób życia i zachowania czynią je tematem numer jeden plotek i insynuacji.

Później rozmowa zeszła na losy Kirsten i Didi, i ich tragicznej historii, która zmusiła je do przeprowadzki do Seaside.

- Tęsknię za nim - powiedziała Kirsten, gdy skończyła opowiadać Laurze, jak poznała Manny'ego Rojas, jak ją rozśmieszał, jak się w nim zakochała w jednej chwili.
- Najgorsze mam już za sobą - powiedziała ze słabym uśmiechem. - Ale chciałabym go odzyskać.
- Przykro mi - powiedziała Laura i naprawdę tak czuła. Kirsten wzruszyła ramionami, jak gdyby otrzepywała się z depresji i smutku.
- Dobra, więc odbębniłyśmy już twoją rodzinę i moją. Teraz chcę usłyszeć o tobie i Harrisonie. Jeśli powiesz mi, że nic się między wami nie dzieje, nie uwierzę.
- Nic się między nami nie dzieje.
- Nie wierzę.

Roześmiały się obie, a potem Laura dodała:

- Właśnie się rozwiodłam. Nie mam najmniejszej ochoty na związek z kimkolwiek, z wielu powodów.
- Na przykład jakich?

Przez jedną szaloną chwilę Laura chciała powiedzieć o dziecku. Powstrzymała się jednak i zamiast tego wyjaśniła:

- Justice chce dopaść mnie i moją rodzinę. Harrison mi pomaga. Po południu idziemy na policję i powiem im, że... Justice na mnie napadł. To dlatego zjawiliśmy się u ciebie.
- Co?! Nic nie wiem!

Laura opowiedziała, co się wydarzyło poprzedniej nocy i dlaczego Harrison zabrał ją do domu Kirsten, a ona, teraz już świadoma wszystkiego, zaczęła nalegać, żeby spędzili u niej także dzisiejszą noc. Laura zgodziła się, pod warunkiem że Harrison też będzie tego chciał, ale to było tylko działanie pro forma, bo tak naprawdę nie chciała wracać do domu. Nigdy. A w każdym razie dopóki nie naprawi drzwi, które Justice wyłamał, choć bała się, że nawet wówczas nie zazna w tym domu spokoju.

Kiedy weszła do szpitala i zmierzała w stronę swojej szafki, pierwszą osobą, na którą się natknęła, był Byron. Stał przed drzwiami pokoju służbowego i wyglądał, jakby na kogoś czekał. Na nią? Czy na pierwszą lepszą ofiarę? Obserwował ją, gdy szła w jego stronę i nie mogła powstrzymać jęku. Jak, jak mogła kiedykolwiek myśleć, że jest w nim zakochana?

- Wyglądasz jeszcze gorzej niż ostatnio - powiedział, a jego natarczywy wzrok chirurga przenikał ją niczym laser.
 - Ciebie też miło widzieć - skierowała się w stronę dyżurki, ale złapał ją za łokieć.
 - Jesteś w ciąży - stwierdził obojętnie. - Czy to moje dziecko?
 - Nie.
 - Nie?
 - Nie, nie jestem w ciąży. Chyba jednak tylko ja tu potrafię stawiać diagnozy - zaryzykowała z nadzieją, że nie ma wypisanego na twarzy kłamstwa.
 - Skoro nie jest moje, to czyje? - Zbliżył się do niej.
 - Jeśli martwisz się, że w okolicy może zaroić się od małych Byronów, może zainteresuj się swoją obecną dziewczyną, jedną czy dwiema, i daj spokój byłej żonie.
- Rozdziawił usta w szczerym zdziwieniu.
- Kiedy zmieniłaś się w taką wiedźmę?
 - Zawsze byłam wiedźmą - powiedziała gorzko Laura. - Popytaj w mieście.
- Zostawiła go z wyrazem bezdennego zdziwienia na twarzy. Prawie się roześmiała. Oczywiście nie znał jej historii i nie wiedział, że jest związana z „sektą” z Pieśni Syreny.
- Jednak gdy odeszła kilka kroków, przytłoczyła ją fala realnego strachu i aż musiała się oprzeć o szafkę. Prawda jest taka, że była w ciąży. Z jego dzieckiem. I nawet jej najgorętsze pragnienie nie było w stanie tego zmienić. Wcześniej czy później będzie musiała przestać się migać i spojrzeć tej prawdzie w oczy.

Rozdział 31

Park Ecola State leżał na obrzeżach Cannon Beach, miasta nazwanego tak z powodu replik dział wydobytych z wraków okrętów i ustawionych przy każdym wyjeździe z miasta. Cannon Beach, w przeciwieństwie do Coney Island, z którym sąsiadowało od północy, było bardziej ekskluzywnym miejscem niż Seaside, pełnym drogich restauracji, sklepów ze słodyczami i ciuchami. To było miejsce, w którym wypadało się pokazać, jadąc na północne wybrzeże Oregonu, ale bogatsi mieszkańcy powoli zasiedlali również miasta - na południu.

Harrison skręcił do parku i w duchu westchnął, kiedy Noah wyskoczył z samochodu niemal w biegu i mocno trzasnął drzwiami.

Dzieciak podszedł do pustego stolika piknikowego i padł na ławkę. Harrison zdjął kurtkę, kiedy tylko słońce odważyło się wychynąć zza chmur i teraz patrzył, jak Noah ściąga z głowy czapkę i przeczesuje dłonią zmierzwione jasnobrązowe włosy. Następnie zdjął czarną kurtkę i bez tej zbroi wyglądał szczupło, bezbrinnie i dziecinnie. Siadając naprzeciwko, Harrison upewnił się, że nie znajduje się na linii wzroku chłopaka, który wpatrywał się w ocean. Po chwili sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl z niej trochę pogniecioną paczkę papierosów i rzucił Harrisonowi ponure spojrzenie, żeby sprawdzić, czy nie będzie próbował go powstrzymać. Gdy ten nie zareagował, wytrząsnął jednego papierosa, wetknął do ust, zapalił zapalniczkę i przytknął płomień do papierosa, zaciągając się mocno. Potem musiał zwalczyć atak potężnego kaszlu, który wywołał u Harrisona kolejne westchnienie, aż wreszcie wypuścił kłęb dymu i powiedział:

- Myślą, że są tacy mądrzy, rozumiesz? Ci, którzy są naszym celem. Że znają na wszystko odpowiedź. Gówno prawda, nic nie wiedzą.
- Pozwolisz, że będę robił notatki? - zapytał Harrison i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni notes.
- Niech pan robi, co trzeba.
- Ci, którzy są waszym celem... Masz na myśli swoich kolegów z klasy, ich rodziców czy jednych i drugich?
- Ich rodzice są popieprzeni, to jest pewne. Moi też. Harrison wzruszył ramionami.
- To dość przewidywalny zarzut od dzieciaka w twoim wieku, prawda?
- I co z tego? My przynajmniej coś z tym zrobiliśmy. O tym mówię. - Odwrócił niebieskie oczy w stronę Harrisona.
- Uderzyliśmy w ich słaby punkt. Otworzyliśmy ich puszkę Pandory. Pokazaliśmy im, że nie są bogami.
- Wtargnęliście do ich domów, złamaliście prawo, dokonaliście rabunku.

Noah zmarszczył brwi.

- Rabunku?
- Kradliście - wyjaśnił Harrison bez mrugnięcia okiem.

- No tak, zawiązaliśmy przymierze przeciwko nim - powiedział z pasją w głosie. - Oni traktują ludzi jak śmieci. Udowodniliśmy im, że możemy wejść do ich świata zawsze, kiedy tylko zapagniemy. Zawsze! I możemy zabierać im rzeczy. Jesteśmy potężni, człowieku. Siedmiu Grzeszników.

Harrison zrobił kilka notatek i powiedział:

- Ale przecież, biorąc pod uwagę aspekt ekonomiczny, pochodzisz z tego samego świata, co oni. Gdzie tu logika?

- Jak to? - dopytywał, ale dobrze wiedział.

Jednak Harrison zdecydował się jeszcze przez chwilę grać na jego zasadach.

- Twoim ojcem jest Bryce Vernon, odnoszący sukcesy deweloper, który nie zbiedniał nawet w czasie kryzysu. Twoja rodzina mogłaby być, zresztą pewnie jest, tak samo zamożna jak Bermanowie i cała reszta osób, przeciwko którym występujecie.

- Bermanowie to gnoje - powiedział Noah przez zaciśnięte zęby. Odwrócił się nagle, usiłując się ukryć przed wzrokiem Harrisona, ale bezskutecznie. Harrison widział, jak jego twarz robi się czerwona i mieszają się na niej różne uczucia: wściekłość, frustracja, może nawet... wstyd?

Bingo! W jednej chwili do Harrisona dotarło, jaka jest prawda. W tym wszystkim nie chodziło o pozę Noaha, o przewodzenie bandzie niedopasowanych społecznie uprzywilejowanych dzieciaków, o całe to marudzenie o daniu świadectwa. Ważni byli Bermanowie i Harrison chyba wiedział, kto konkretnie.

- Britt - powiedział, a zaskoczona mina Noaha była najlepszym potwierdzeniem jego podejrzeń.

- Britt? - powtórzył powoli.

- To od niej się zaczęło. Britt Berman. A twoja wyobraźnia zrobiła resztę. Twoje inicjały... Potrzeba zrobienia czegoś ważnego i spektakularnego wynikała ze zwykłej zazdrości. Zamieniłeś odrzucenie i niepokój w ideę.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Oczywiście, że wiesz. To przymierze Siedmiu Grzeszników. To tylko pozory. Sposób na odpłacenie się tym, którzy cię skrzywdzili. Ciebie. Noaha Vernona. I pociągnąłeś za sobą resztę, bo kupili opowieść o przymierzu. Co ci zrobiła? Ta Berman? Wystawiła cię, żeby zobaczyć, jak spadasz? Upokorzyła cię? Złamała? A może po prostu nigdy nie zwróciła na ciebie

uwagi? - zamilkł na chwilę, a potem dokończył: - Ona nawet nie ma pojęcia o twoim istnieniu.

- Ma pojęcie!

- Nie, nie ma.

- Tak, ma!

Harrison pokręcił głową.

- Zna mnie! - przekonywał. - A teraz to już na pewno!

- Teraz, kiedy włamałeś się do jej domu i umieściłeś swoich Grzeszników w wiadomościach? A jutro, w dzień osiemnastych urodzin, chcesz zobaczyć swoje nazwisko w gazecie, żeby podtrzymywało mit Noaha Vernona. Mam rację?

- Odwieź mnie do domu albo zacznę wrzeszczeć i powiem, że mnie porwałeś.

- Proszę bardzo. Ale pamiętaj, że sam zadzwoniłeś do gazety i zostawiłeś swój numer.

- I lepiej, żebyś nie napisał o tym ani słowa!

- Już nie chcesz, żeby twój głos został usłyszany?

- Nie w taki sposób, w jaki chcesz to zrobić!

- Czyli pisząc prawdę?

- Napisz chociaż jedno słowo o Britt, a oskubię cię z każdego centa! - wypluł papierosa i przydeptał niedopałek ciężkim buciorem.

- Ty i twój kochany ojczonek?

Noah był w potrzasku. Rozejrzał się wkoło, jak gdyby szukał drogi ucieczki. Harrison odczekał kilka minut i niemal widział, że powietrze uchodzi z chłopaka jak z przekłutego balonika. Noah zwiesił ramiona.

- Nie martw się, gnojku. Twój sekret będzie u mnie bezpieczny - powiedział Harrison. - Nie muszę ogłaszać światu, że jesteś tylko jeszcze jednym cieniem ze złamanym sercem. Napiszę, że jesteś Grzesznikiem, mózgiem całej grupy, chcesz być sądzony jak dorosły i pójść do więzienia za tę całą maskaradę. Bardzo proszę. To będzie decyzja sędziego, nie moja i nie opinii publicznej. Ale mogę też przedstawić to od innej strony. Napisać, że byłeś gotów na wszystko, żeby zauważyła cię dziewczyna i...

- Nie. - Był zdecydowany. - Nie o to w tym chodzi. Noah wstał i skierował się w stronę samochodu. Harrison poszedł za nim.

- Jeśli to tylko kolejna próba walki o akceptację grupy - rzucił - nie jest warta konsekwencji, które być może będziesz musiał ponieść.

- Mam to gdzieś.

- Jesteś pewien?

- Tak!

Harrison usiadł za kierownicą, a Noah opadł na siedzenie pasażera. Odwrócił twarz, a ramiona miał skulone. Harrisonowi było go prawie żal. Prawie. A tak naprawdę czuł jednocześnie ulgę i frustrację. Ten temat jest zakończony i może teraz poświęcić czas Justice'owi Turnbullowi. Czuł ulgę, bo mógł iść naprzód bez poczucia, że odpuścił ważny temat, a frustrację, bo ta sprawa kosztowała go przecież tyle zachodu. Chciał się znaleźć przy Lorelei.

Pisać jej historię. Kolonii. I Turnbulla. Zresztą te wątki splatały się ze sobą w sposób znacznie dramatyczniej szy niż cała saga małych Grzeszników.

Wyrzucił Noaha pod domem, a potem wpadł do „Breeze” i naskrobał raczej banalną relację ze swojego spotkania, w której wyjaśnił, że znudzony Noah, który w dniu publikacji kończy osiemnaście lat i wychowuje się w dobrze sytuowanej rodzinie, zapragnął dokonać czegoś spektakularnego i ważnego, namówił więc przyjaciół do włamywania się do domów innych bogaczy i kradzieży. To miało stać się ich biletem pierwszej klasy do innego świata, świata przestępców.

Kiedy Buddy przeczytał tekst, zauważył, że Harrison wsypał Vernona, podając jego nazwisko, ale Harrison zignorował to i ruszył do drzwi. Ojciec Noaha i wyrozumiały sędzia udaremnią plan chłopaka, by okryć się niesławą. Były duże szanse, że za rok dzieciak będzie w college'u, wstąpi do bractwa i będzie miał czystą, albo wyczyszczone, kartotekę.

Czyli wszystko odbędzie się tak jak już wiele razy przedtem.

Harrison rozmyślał o Grzesznikach przez cały czas, dopóki w drodze do Deception Bay nie minął szpitala Ocean Park. W ostatniej chwili powstrzymał się przed zajechaniem tam, żeby zobaczyć Lorelei; pozwolił jej pracować. Nakazał jej nosić telefon przy sobie, bez względu na to, czy łamała w ten sposób przepisy szpitalne, czy nie i pomyślał, że gdyby miała kłopoty, zadzwoniłaby do niego.

Mimo wszystko trudno było mu patrzeć na oddalający się we wstecznym lusterku szpital. Justice zaatakował ją poprzedniego wieczoru. Harrison zamierzał uczynić wszystko, żeby znaleźć się przy niej, zanim zapadnie zmrok, ale w tej chwili chciał porozmawiać z Zellmanem, jeśli tylko uda mu się namówić go na wywiad.

Przejeżdżał właśnie obok drogi dojazdowej do domu Lorelei, kiedy coś zwróciło jego uwagę. W pierwszym dogodnym miejscu zawrócił. Zauważył samochód. Zasłaniały go krzaki. Czarny range rover, ten, którego o mało nie staranował poprzedniego wieczoru.

Teraz zatrzymał się obok i obszedł samochód dookoła. W środku nie było nikogo. Spróbował otworzyć drzwi od strony kierowcy i nie mógł uwierzyć, kiedy okazało się, że są otwarte. Zapaliło się wewnętrzne światelko. Zajrzał do środka i otworzył schowek na rękawiczki, z którego wyjął dowód rejestracyjny. A potem wpatrywał się w niego, wstrząśnięty, przez prawie minutę.

Range rover należał do Brandta Zellmana.

Zellmana?

Zellmana, do którego właśnie jechał?

Tego Zellmana?

- No, no - mruknął Harrison.

Jakie było prawdopodobieństwo, że Brandt Zellman był spokrewniony z doktorem Maurice'em Zellmanem? Jakies dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent? Może Brandt był jego synem? Harrison był prawie pewien, że lekarz jest żonaty i ma nastoletniego syna.

Ale co to diabła miało wspólnego z Justice 'em Turnbullem? Jeśli w ogóle cokolwiek?

Justice „pożyczył” samochód syna Zellmana?

Harrisonowi zimny dreszcz przebiegł po plecach, gdy uświadomił sobie, co to oznaczało. Czy Zellmanowi nic się nie stało? Może powinien zadzwonić do biura szeryfa i wysłać kogoś, żeby sprawdził, czy z doktorem wszystko w porządku?

Najpierw, zdecydował, zajmie się tym na własną rękę.

Rozdział 32

Harrison ruszył w stronę domu Zellmana, ale najpierw z piskiem opon zajechał przed szpital Ocean Park - zdecydował się skrócić

dosłownie w ostatniej chwili. Szybko zatrzymał się na parkingu i wyskoczył z auta, zerkając przy tym na zegarek. Dochodziła trzecia. Laura powinna być gdzieś na piętrze, a musiał się z nią teraz zobaczyć. Plany pokrzyżował mu panujący w izbie przyjęć chaos. Doszło do zderzenia trzech samochodów na północ od Deception Bay. Jakies dzieciaki urządzały wyścigi, tylko tyle zdołał się dowiedzieć. Spróbował dodzwonić się do Laury, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Zaczynał się denerwować i mieć do siebie pretensje, że jej nie pilnuje, aż sam sobie musiał przemówić do rozsądku. Nic jej nie jest. Pracuje. Panikowanie nikomu nie pomoże ani nic nie ułatwi. Tymczasem dzwonili z biura szeryfa, więc umówił się na spotkanie po południu, kiedy funkcjonariusze zapoznają się już ze wstępnymi ustaleniami. Zadzwoił do Laury raz jeszcze i tym razem zostawił wiadomość z informacją, że w czasie przerwy obiadowej, która miała zacząć się późnym popołudniem, pójdą na policję. Kiedy się rozłączył, przyszło mu do głowy, że może powinien był powiedzieć jej o ränge roverze Zellmana porzuconym niedaleko jej domu. Raz jeszcze rozważył pójście na policję. A potem ponownie postanowił, że chce się pojawić na scenie pierwszy. Pośród miotającego się wokół niego szpitalnego personelu czuł się jak kamień w strumieniu, więc wrócił do samochodu. Chmury się rozproszyły i słońce, które czuł na głowie i ramionach, było już bardzo gorące. Pojedzie do Zellmana. Sam. Geena powiedziała mu, gdzie mieszka doktor. Kiedy skręcił ze szpitalnego parkingu na autostradę 101, zadzwoniła komórka. Cholera. Będzie musiał kupić słuchawkę Bluetooth albo dostanie w końcu mandat za gadanie w czasie jazdy. Mimo wszystko odebrał.

- Frost.
- Dzień dobry, mówi Dinah Smythe. Zostawił mi pan wiadomość?
- Tak - potwierdził Harrison, przeczesując wzrokiem pobocza. - Spotkałem się z pani ojcem. - Opisał krótko wizytę u Hermana i zakończył słowami: - Powiedział, że jeśli do pani zadzwonię, potwierdzi pani jego słowa.
- Píše pan artykuł? - zapytała ostrożnie.
- Na razie zbieram informacje.

- Niech zgadnę, skoro pyta pan o kobiety z Kolonii, ma to coś wspólnego z ucieczką Justice'a Turnbulla?
- Pani ojciec sugerował, że... może być spokrewniony z niektórymi z nich.
- Myśli, że jest ojcem przynajmniej jednej, więc może tak jest. A może nie. Nie spędza mi to snu z powiek.
- Twierdzi, że utrzymywał stosunki seksualne z Mary Rutledge Beeman, matką dwóch mieszkanek Kolonii.
- Ach, odwiedził pan Stowarzyszenie Historyczne?
- Byłem ciekaw - przyznał Harrison. Myślał o tym, jak daleko jeszcze do Zellmana.
- Mój ojciec lubi opowiadać o czasach, kiedy to w Pieśni Syreny miała panować wolna miłość. Może i tak było. A może nie. Z całą pewnością mieszka tam wiele kobiet, które muszą mieć jakichś ojców. Dużo się o tym mówi, ale w tej chwili nie traktowałabym mojego ojca jako wiarygodnego źródła informacji.
- Nakłaniał mnie, żebym porozmawiał o tym z panią.
- Bo to ja mam jeszcze dobrą pamięć - wyjaśniła oschle. -Ale jeśli przeczytał pan tę książkę, wie pan dokładnie tyle co ja.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a potem Harrison zauważył wóz patrolowy i szybko się rozłączył. Kiedy radiowóz go minął, wyciągnął z kieszeni kartkę z numerami telefonów, które znalazły się na liście Hermana. Wybrał pierwszy z nich i dodzwonił się do kliniki gerontologicznej. Czyli to pewnie telefon do jego lekarza. Pod drugim numerem zgłosiła się pizzeria z dostawą do domu.

To by było na tyle.

Z przekonaniem, że dociera do ściany, odsunął myśli o Kolonii i skoncentrował się na jeździe. W tym miejscu autostrada na kilka kilometrów wcinęła się w ląd, żeby po jakimś czasie powrócić na wybrzeże. Zaburczało mu w brzuchu i zdał sobie sprawę, że kanapka z Subwaya, którą zjadł na lunch, nie była tak sycąca[^] jak się spodziewał. Jechał przez Tillamook i patrzył na siedzibę biura szeryfa. Budynek znajdował się na pasie ziemi pomiędzy prowadzącymi na północ i południe nitkami autostrady. Właśnie tutaj on i Lorelei spotkają się z glinami. Rozumiał, jak niekomfortowo musi się czuć Laura, mówiąc o Turnbullu i jego związkach z nią samą i Pieśnią Syreny.

Ale z drugiej strony, kto czułby się komfortowo w takiej sytuacji?

Spojrzał we wsteczne lustro i zobaczył fragment swojego odbicia.

- Naprawdę potrafisz się wpakować w niezłe kłopoty - powiedział do spoglądających na niego oczu. Lorelei Adderley była kłopotem przez wielkie K. Pomijając jej dziwaczne dzieciństwo spędzone w Kolonii, pozostawała jeszcze mentalna łączność z szaleńcem, wszystko jedno, czy prawdziwa, czy wyobrażona. Tak czy siak, oznaczało to katastrofę. Poza tym był jeszcze ten apodyktyczny sukinsyn, za którego wyszła. Fiut, jeśli w ogóle coś takiego posiadał. Tak jest, Lorelei miała całkiem pokaźny bagaż, a najgorsze, że zupełnie mu to nie przeszkadzało. Była urocza, inteligentna, mądra, miała cięty język, a kiedy go całowała... Do diabła, było już po nim.

- Głupek - ogłosił, zdając sobie sprawę, że zakochuje się w kobiecie, którą znał krócej niż tydzień i której obecność oznaczała poważne kłopoty.

Oraz która była intrygująca jak żadna inna.

On, mężczyzna wyznający zasadę szkiełka i oka, starannie unikający jakichkolwiek poważnych związków przez całe swoje dorosłe życie, zakochiwał się w kobiecie, której piękno i osobowość przemawiały wprost do niego, dotykały czułego miejsca. Sprawdzała się klątwa jej imienia.

Naprawdę go to wkurzało, ale wiedział, że nic nie może zrobić.

Zmusił się do koncentracji na drodze. Jechał za ciężarówką z naczepą pełną koszyków z jagodami. Całe ich skrzynie przytwierdzono do palet, które zdawały się przesuwac mimo uwięzi.

Wyprzedził ciężarówkę i zobaczył, że ma na ogonie SUV-a. W chwili gdy zjechał z powrotem na prawy pas, SUV mający na bagażniku deskę surfingową i resztę ekwipunku, wyglądającego jak elementy lotni, co sugerowało, że kierowca ma zamiar skorzystać z którejś z licznych skał wznoszących się nad oceanem, przemknął obok niego. W tych stronach to popularny sport.

Kolejny idiota kierujący się na wschód.

Harrison jechał za nim, ale SUV zniknął mu z oczu, zanim zdążył dojechać do następnego zakrętu. Minał kolejne nadmorskie miasteczko, chlubiącego się głównie sklepem wędkarskim Cartera, bo poza nim niewiele tu było, potem przejechał obok

Bancroft Bluff, gdzie zauważył kilka samochodów z biura szeryfa i uświadomił sobie, że wciąż zajmują się podwójnym morderstwem, o którym informacja przyszła dziś rano i przejął je Buddy. To dopiero początek śledztwa. Zellman miał szczęście, że nie wybudował się w tej niepewnej okolicy; jego dom stał na solidnej skale. Harrison zwolnił, widząc kolumny po obu stronach kutej w żelazie otwartej bramy. Jechał teraz długim i krętym asfaltowym podjazdem, okolonym kawałkami skały i obrośniętym przystrzyżonymi sosnami oraz pięciometrowym nieprzycinanym żywopłotem z wawrzynu. Im bliżej domu, tym roślinność była rzadsza, aż w końcu Harrison wyjechał na dziedziniec, na którym stała okazała rezydencja z żółtego kamienia, wybudowana na planie łuku. Na jednym końcu był wielki garaż, a na drugim część mieszkalna.

Okna były z drewna cedrowego, a na parapetach stały doniczki z petuniami. Pod częścią garażową stało zaparkowanych kilka samochodów. Harrison zatrzymał swojego chevroleta na końcu rzędu, za granatowym mercedesem. Rzucił na niego okiem, idąc w kierunku wejścia, zauważył, że kluczyki były w stacyjce. Obok stało białe bmw, także z kluczykami. Marzenie złodzieja samochodów.

Przeszedł po kamiennym chodniku do osłoniętych cedrowym ganeczkiem drzwi frontowych. Były to masywne dwuskrzydłowe wrota z klamkami z kutego żelaza, a kiedy nacisnął dzwonek, zauważył, że ten kwadrat z wzorem z nadmorskiej trawy także jest wyrzeźbiony z żelaza.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna, spoglądający na Harrisona zmartwionym wzrokiem. Był szczupły, miał pofalowane ciemne włosy, dłuższe nawet od włosów Harrisona, i ewidentnie walczył z wysypem trądziku wzdłuż linii szczęki. Patrzył wyczekująco.

- Brandt? - zaryzykował Harrison.

Niepokój chłopaka przeszedł w kontrolowaną panikę:

- Kim pan jest?

- Nazywam się Harrison Frost i chciałabym zobaczyć się z twoim ojcem. Czy jest w domu?

- A... Tak... Ale nie może mówić. - Zerknął przez ramię w głąb ciemnego wnętrza. Harrison widział długi korytarz, który kończył się plamą światła wpadającego przez okna wychodzące

na tyły domu. - Myślałem, że jest pan... No nie wiem... Że przyszedł pan przekazać mi złą wiadomość.

- Na przykład o twoim samochodzie? Brandt wyglądał na zdziwionego:

- Moim samochodzie? Nie, nie moim. Czerwonym blazerem jechał Matt Ellison.

- Matt Ellison?

- Chyba jest teraz w szpitalu. Starsze klasy mają dziś wolne, dlatego nie byli w szkole. Jeszcze o tym nie mówią w wiadomościach.

- Wypadek trzech samochodów - uświadomił sobie Harrison. - Nie, nie wiem nic na ten temat.

Kiwając głową z rezygnacją, Brandt odsunął się, wpuścił Harrisona do środka i poprowadził przez długi hol do dużego, okrągłego pokoju, w którym na całej łukowatej ścianie były okna wychodzące na morze. Skórzane kremowe fotele poustawiano po kilka. Przy jednym z nich stał nieduży, lśniący czernią fortepian.

Doktor Maurice Zellman siedział na krześle i trzymał w dłoniach książkę. Obok, na stoliczku z drzewa czereśniowego z elementami żelaznymi, pociła się na podstawce szklanka z mrożoną herbatą. Doktor był drobny i żyłasty, miał ostrą linię podbródka i patrzył na Harrisona przeszywającym wzrokiem. Spod kołnierzyka codziennej niebieskiej koszuli wystawał bandaż. Nosił brązowe spodnie typu chino, do których pasowały kolorystycznie starannie dobrane skarpetki.

Wyglądał na... wściekłego.

- Nazywam się Harrison Frost. Pracuję w „Seaside Breeze”.

Zellman energicznie zamachał rękami, z czego Harrison wywnioskował, że doktor wie, kim jest. Potem skinął na stojącego na uboczu Brandta, żeby przygotował dla Harrisona drugą mrożoną herbatę. Brandt wykonał to polecenie, nie pytając Harrisona, czy ten ma ochotę na napój, ale wynikało to raczej z zamyślenia niż nieuprzejmości.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań - wyjaśnił doktorowi Harrison - ale muszę również poinformować, że znalazłem rangę rovera należącego do pańskiego syna. Powiedziałem mu o tym, ale Brandt zdaje się nie wiedzieć, o co chodzi. Zellman chwycił mały notatnik i długopis, a potem napisał wiadomość: „Gdzie?”

- Na północ od Deception Bay. Na zjeździe z autostrady 101, prowadzącym do jakiegoś domu.

Brandt wrócił z mrożoną herbatą i podał szklankę Harrisonowi. Zellman zachęcił go gestem, żeby powtórzył Brandtowi to, co powiedział jemu, więc Harrison jeszcze raz poinformował, gdzie znalazł samochód młodego człowieka.

- Ale mój samochód jest w garażu - zaprzeczył Brandt. - Dzisiaj pojechałem do szkoły mercedesem, bo stał na zewnątrz.

- W środku jest wystawiony na ciebie dowód rejestracyjny. Czarny range rover z 2007 roku.

- Niemożliwe. - A potem jakby nagle zdał sobie z czegoś sprawę: - Nie, chwileczkę. Zostawiłem samochód przed domem. O cholera! Powinien być obok mercedesa i bmw!

- I tak jak one z kluczami w stacyjce?

- No... - Zerknął na ojca, który odważemnił mu wyraźnie zaniepokojone spojrzenie. - Mamy zwyczaj zostawiać kluczyki w samochodzie. Zawsze tak robiliśmy. Gdzie mój samochód? - zapytał, przypominając sobie wszystko.

- Jeśli został skradziony, musisz zawiadomić władzę. Domyślasz się, kto mógł to zrobić?

- Nie.

Zellman napisał coś na kartce. „Może to jeden z twoich przyjaciół - młodocianych przestępców?”

- Zadzwoń do Barry'ego - wymruczał Brandt, wyciągnął z kieszeni spodni komórkę i skierował się w stronę sypialnianego skrzydła domu.

Harrison spojrzał na doktora.

- Miał pan jakieś wieści od Justice'a Turnbulla? - zapytał. Zellman zamrugnął i pokręcił głową. Nie. Czemu?

- Myślę, że to właśnie on mógł zabrać samochód pana syna - powiedział Harrison, uważając, żeby nie okazać, jak bardzo był wściekły. Gdyby nie brak profesjonalizmu Zellmana, Justice Turnbull w dalszym ciągu byłby pod kluczem, a Lorelei byłaby bezpieczna. Z zaciśniętymi zębami dodał: - Wczorajszego wieczoru Turnbull sterroryzował kobietę mieszkającą niedaleko miejsca, gdzie znalazłem samochód. Usiłował ją zabić.

Zellman mrugał intensywniej.

- A ona wcale nie była pierwsza, doktorze. Od czasu jego ucieczki straciło życie już kilka osób.

Zellman zbladł i odwrócił wzrok.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi do holu i Harrison usłyszał stukot drobnych kobiecych kroków na drewnianej podłodze. Odwrócił się, gdy do pokoju weszła pani Zellman. Widząc ich, zatrzymała się na chwilę, a potem podeszła z pewnym ociąganiem. Była niska i drobna, miała brązowe włosy i ładne niebieskie oczy. Rzuciła w stronę męża pełne niepokoju spojrzenie, które mogło oznaczać wszystko.

Zellman nawet na nią nie popatrzył.

- Co się stało? - spytała. - Jestem Patricia... Żona doktora Zellmana. Widziałam w wiadomościach informację o wypadku. Powiedzieli, że dzieciaki z tego wyjdą, tylko jeden ma dość poważnie złamaną nogę.

Zellman zamachał ręką, co najwyraźniej miało ją skłonić do zamilknięcia. Przestała mówić, ale wyglądała na trochę urażoną. Harrison przedstawił się i opowiedział o samochodzie Brandta. Kiedy wspomniał o Turnbullu, zbladła.

Odwróciła się do Zellmana.

- Morry, ten człowiek... - powiedziała błagalnie. Potem znów zwróciła się do Harrisona: - On mnie zawsze przerażał. Mój mąż go leczył, wie pan o tym. Maurice pomógł naprawdę wielu pacjentom, ale ten Turnbull... Nie wiem, czy sam Bóg mógłby mu pomóc.

Zellman wyglądał, jakby miał pęknąć. Miotał pioruny w kierunku żony, która, najwyraźniej nieodporna na to, troszkę się od niego odsunęła, jak gdyby wybudowała przed sobą mur.

Jak Lorelei, kiedy Turnbull usiłuje się z nią skontaktować.

Harrison powstrzymał się przed podniesieniem głosu. Rozsierdzenie Zellmana nikomu nie pomoże.

- Czy przychodzi pani do głowy jakiś powód, dla którego Turnbull mógł wziąć samochód pani syna? - zapytał ją.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Bo to było łatwe - powiedziała w końcu, zadziwiając go swą szczerością. - Auta są tutaj, a on wie, gdzie mieszkamy. Prawie wszyscy wiedzą. Znają ten dom. Mówiłam ci, że trzeba naprawić bramę! - zwróciła się do męża.

Zellman nakazał jej wyjście z pokoju i zabrał się do pisania. Wahala się przez chwilę, a potem tymi samymi drobnymi krokami skierowała się w stronę frontowych drzwi, które, jak usłyszał Harrison, zamknęły się za nią.

Doktor drżącą dłonią podał notatkę Harrisonowi. Napisał: „Mój laptop jest na stole w jadalni”.

Harrison spojrział w kierunku, który wskazywał doktor i przeszedł przez kuchnię, całą w stali, granicie i ciemnym drewnie, a potem wszedł do pokoju jadalnego, gdzie zobaczył ogromny prostokątny czarny stół, który wyglądał bardzo ponuro, a wrażenie to potęgował ciężki stalowy lichtarz z kilkunastoma świecami.

Laptop był lekki i cienki. Harrison przyniósł go Zellmanowi, który włączył komputer i czekał niecierpliwie.

Utworzył nowy dokument w swoim edytorze tekstu i zaczął pisać.

„Moja żona nie zna Justice'a Turnbulla. Nim kierują wewnętrzne moce. Nie ukradłby samochodu tylko dlatego, że to łatwe. Jego umysł nie działa w ten sposób. On po prostu idzie naprzód, żeby osiągnąć cel”.

- Mimo to uważam, że to on wziął pański samochód - upierał się Harrison. - Ścigał kobietę, która mieszkała kiedyś w Pieśni Syreny, i w pobliżu jej domu porzucił auto.

„Dlaczego miałby przyjść do mojego domu?”

- Tak jak powiedziała pańska żona: bo wie, gdzie jest. -Harrison wzruszył ramionami. - Bo jest pan jego lekarzem? A może przyszedł z innego powodu, ale znalazł łatwo dostępny samochód?

Zellman myślał o tym, co usłyszał przez dłuższą chwilę. „Nie poinformował pan jeszcze policji o swoich podejrzeniach?”

- Nie, ale tak jak mówiłem, pański syn powinien zgłosić zaginięcie samochodu.

„Ta kobieta, którą ściga... Jest mieszkanką Kolonii?”

- Tam żyją jej siostry. Albo siostry przyrodnie. Ona sama wychowała się tam, ale od dłuższego czasu nie mieszka z nimi.

„Jest w ciąży?”

Harrison odczytał ostatnie pytanie ze zdziwieniem.

- Nie. Czemu pan pyta?

Zellman zaczął szybko pisać: „W czasie naszych sesji Justice odsłaniał się powoli. Był skryty. Nie chciał powiedzieć o sobie zbyt wiele. Jednak wyszło na jaw, że kiedy prześladował jakąś kobietę, wybierał tę, która była na zewnątrz posiadłości. Myślę, że bał się konfrontacji na ich terytorium. Nie mógł zmusić się do przekroczenia bramy. Mówił też, że czuje ich zapach, gdy są w ciąży, i w ten sposób może za nimi podążać”.

- I chce mi pan powiedzieć, że mu pan wierzy? - zapytał Harrison, starając się nie zabrzmieć zbyt sceptycznie, ale z kiepskim skutkiem.

„Chcę panu powiedzieć, w co wierzy on. Śledził kobiety z Kolonii, gdy przebywały za murami domu i były w ciąży”.

- Cóż, prześladowuje tę kobietę, bo ona twierdzi, że łączy ich jakaś mentalna więź. Coś jak GPS. Jeśli pozwala mu na dostęp, on potrafi ją namierzyć. Kiedy zamyka drzwi, on nie wie, co robić.

Zellman wzruszył ramionami, jakby chciał pokazać, że nie jest w stanie napisać wszystkiego. „Justice jest zdolny do wielu rzeczy, których być może nigdy nie zrozumiemy. Jego psychoza jest bardzo głęboka, pod pewnymi względami niedefiniowalna. Zrobiliśmy pewne postępy, ale jego świat jest ciemnym miejscem rządzone przez żelazne reguły, którym jest bezwzględnie podporządkowany. Od trzech dni nie brał leków, których potrzebuje, żeby mieć jako takie poczucie rzeczywistości. Staje się coraz bardziej niebezpieczny”.

Harrison nie mógł z tym polemizować.

- Zatem nie uważa pan, że to on mógł zabrać auto pańskiego syna?

„To możliwe, jak sądzę. Jeśli miało pomóc w osiągnięciu celu. Ta kobieta, o której pan mówił - jeśli on jest na jej tropie, musi być nadzwyczaj ostrożna. A najlepiej niech dla własnego bezpieczeństwa wróci do Pieśni Syreny, dopóki go nie złapią”.

Harrison przemyślał to. Chociaż uważał, że Zellman opowiada niestworzone rzeczy, nie mógł tego zignorować.

- Zostawię panu numer mojej komórki. Wiem, że nie jest pan w stanie mówić, ale może pana żona albo syn będą mogli się ze mną skontaktować, jeśli przyjdzie panu do głowy coś jeszcze.

Skinął głową i Harrison zapisał swój numer w notesie, którego wcześniej używał Zellman.

„Powiadomimy biuro szeryfa o zaginięciu samochodu”.

- To świetnie. Dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie, a wychodząc, Harrison spotkał przy drzwiach panią Zellman, która wracała z dworu z pękiem kluczyków samochodowych.

Klasyczny syndrom zamykania stajni po tym, jak uciekł z niej koń.

Rozdział 33

Justice obudził się na podłodze niewykończonego pomieszczenia, które zajmował. Leżał na plecach, a pod głową miał zwiniętą kurtkę Cosmo. Przez szpary w płytach sufitu wpadało słońce, które układało się na jego ciele we wzór z pasków. Do środka docierało ciepło i światło czerwcowego dnia, a na podłodze lśniły słoneczne plamy.

Mimo to było mu zimno. Te dreszcze go obudziły. Zjadł już ostatni z energetycznych batoników Cosmo i bez większego zaangażowania zastanawiał się, skąd weźmie następny posiłek. W tej chwili nie był głodny. I nie będzie jeszcze przez jakiś czas. Wszystko, czego potrzebował, to źródło energii, żeby iść naprzód i był pewien, że kiedy zajdzie potrzeba, trafi na nie bez wzbudzania podejrzeń.

Więszym problemem był transport. Zostawił osobowego nissana i zamienił go na rangę rovera Zellmana, ale jego też w jakiś sposób stracił...

Justice zamrugał, a jego umysł otworzył korytarze, którymi mógł bez końca biec, nie znajdując wyjścia. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego stracił samochód. Żadnych wspomnień. Pustka.

I nagle bum! Pamięć wróciła w jednej chwili.

Lorelei. Kochanica szatana. Znalazł ją, a ona uciekła!

Usiadł wyprostowany, głowa rozbolała go od natłoku myśli. Coś jest nie tak, pomyślał. Jakby wszystko rozpadło się na kawałki i beładnie dryfowało we wnętrzu jego czaszki.

Lorelei... zawołał ją.

Lorelei... Idę po ciebie...

Ale nie było odpowiedzi.

Komórka Laury zawibrowała jej w kieszeni. Nie mogła też odebrać wcześniejszego telefonu, była zbyt zajęta. Ale teraz wydobyła telefon i zobaczyła, że dzwoni Harrison, więc nacisnęła zielony guziczek.

- Halo? Harrison?

- Cześć - powiedział. - Kiedy masz przerwę obiadową?

- Mogę mieć teraz. Przywieźli ofiary kraksy, ale już się nimi zajęto albo zabrano do innego szpitala.

- Był tam dzieciak o nazwisku Ellison?

- O Chryste, będziesz o tym pisał?
- Nie. Spotkałem jego kolegę z klasy. Opowiem ci, jak się zobaczymy.
- Przyjedziesz tu?
- Jedziemy do szeryfa - przypomniał jej. - Nie dzwonili do ciebie?
- Tak, wiem... Jak romantycznie - zażartowała, choć nie była w dobrym nastroju. Myślała o zbliżającym się przesłuchaniu i na myśl przyszło jej słowo „inkwizycja”. Będzie musiała zdradzić sekrety. Oczywiście zamierzała powiedzieć policji wszystko, bo bardziej niż czegokolwiek pragnęła, żeby Justice na zawsze wyłądował za kratkami, ale mimo to... Dzielić się wiedzą o tym człowieku, o dorastaniu w Kolonii, o siostrach... Wzdrygnęła się. Wczoraj opowiedziała funkcjonariuszom o wydarzeniach wieczoru, ale ich pytania nie dotyczyły jej osobistego życia. Wiedziała, że dzisiaj nie mogła już na to liczyć.
- Będzie dobrze - powiedział Harrison.
- Oczywiście, że nie będzie, ale czekam na ciebie.
- Dwadzieścia minut - zapowiedział.

Dał jej akurat dość czasu, żeby zdążyła się przejrzeć w lustrze, nałożyć trochę różu na policzki, błyszczyk na usta i zmarszczyć nos na widok bladej cery. Spod skóry przebijał ewidentnie zielony odcień, zauważyła z niepokojem. Cięża? Pewnie tak.

Lorelei...

Zablokowała umysł, ale przeszył ją dreszcz. Justice nawoływał ją przez ostatnie pół godziny, ale odcięła się od niego i była zdecydowana nie odpowiadać. Może gdyby Harrison był tutaj, przy niej... Mogłaby odpowiedzieć na wezwanie. Ale samej? W życiu. Widok wykrzywionej z wściekłości twarzy szaleńca nie opuszczał jej ani na chwilę, a krótki dreszcz zmienił się w potężne drżenie, gdy skupiła się na tym wspomnieniu.

Zbliżała się piąta, gdy wyszła przed szpital, z torebką przewieszoną przez jedno ramię. Chevrolet Harrisona wjeżdżał właśnie na podjazd, a silnik warczał głośniejszym niż wcześniej.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć coś na ten temat, ale Harrison ją ubiegł.

- Ten cholerny rzęch mógłby po prostu przestać działać - powiedział ponuro. - Będzie mi żal, jeśli sam będę musiał się go pozbyć.

- Jak długo go masz?

- Ja? Dziesięć lat. Ale nie wiem, ilu szczęśliwców jeździło nim przede mną.

Przez jakiś czas milczała, gdy przemieszczali się w kierunku Biura Szeryfa Okgu Tillamook. A potem zauważyła:

- Czasem wydaje mi się, że żyjesz w innej czasoprzestrzeni. Zerknął na nią:

- Wow, niezwykle słowa z ust kobiety, której siostry noszą długie suknie i spinają włosy w koki.

- Widziałeś kiedyś kogoś z mojej rodziny?

- Nie oficjalnie. No więc, co to znaczy, że jestem z innego wymiaru?

- Ten stary samochód. Dłuższe włosy... No nie wiem. Dziwię się, że masz komórkę - dodała.

- Są sytuacje, kiedy jest mi potrzebna, ale nie znoszę, gdy ktoś do mnie dzwoni i oczekuje, że odbiorę, bez względu na porę.

- Ale to chyba obowiązkowe wyposażenie w twojej branży?

- No tak... Do czego zmierzasz?

Uśmiechnęła się. Boże, zaczynała lubić tego faceta. Nie, to coś więcej. O wiele więcej niż zwykła sympatia i to był poważny problem.

- Nastąpił dziwny zwrot akcji w śledztwie w sprawie Turn-bulla - powiedział Harrison i tym samym brutalnie przywrócił Laurę do rzeczywistości.

- Co?

- Sądzę, że Justice jeździł samochodem syna doktora Zell-mana. To to auto, które stało przy drodze dojazdowej do ciebie. Czarny range rover.

- Co?

Opowiedział jej o spotkaniu z Zellmanami i wnioskach, do których doszedł. Zakończył wypowiedź słowami:

- Kazałem Brandtowi powiadomić władze o samochodzie. Może Justice wciąż ma to pierwsze auto? Ale jeśli nie, jak się przemieszcza? Może miał zamiar używać samochodu Brandta dłużej, tylko coś mu w tym przeszkodziło, a może nie.

- Zapędził mnie do rowu na poboczu - przypomniała Laura. - Gdyby wrócił do samochodu, zauważyłabym i prawdopodobnie wiedziała, że to on. Poza tym ty zjawileś się zaraz potem.

- Pewnie bezpieczniej było zostawić samochód i oddalić się piechotą.
- Mam nadzieję, że nie złapie stopa albo nie skrzywdzi kolejnej kobiety, żeby zabrać jej samochód.

Harrison się skrzywił.

- Potrzebuje środka transportu. Będziemy musieli poczekać i zobaczymy, co się wydarzy.

Po chwili milczenia, gdy każde z nich zatopiło się w swoich myślach, odezwał się:

- Pamiętasz, jak powiedziałaś, że on jest chory? To znaczy fizycznie chory. Zellman twierdzi, że jest bez leków wystarczająco długo, żeby pojawiły się efekty uboczne. Jego psychoza może się nawet pogłębić.
- Odkrywa się - stwierdziła nagle Laura, czując ryś biegnącą wzdłuż pleców, jak gdyby fizycznie ją naznaczył.
- Jeszcze gorszy niż do tej pory. Aż trudno w to uwierzyć. - Harrison pokręcił głową. - Zellman powiedział coś jeszcze. Coś dziwnego. Podobno Justice wyznał kiedyś, że łatwiej mu wytropić kobiety z Kolonii, gdy zachodzą w ciążę. Że wtedy czuje ich zapach. Wierzysz w to?

Laurze serce zatrzymało się w piersi. Krew pulsowała jej w głowie.

- Co takiego? - wyszeptła.
- Jego ofiary są łatwiejsze do wytropienia, gdy są w ciąży. A w każdym razie jego szalony umysł tak uważa. Z trudem przełknęła ślinę. Czy Harrison wiedział? Podejrzywał coś? Złapała się podłokietnika, aż zbieleły jej kostki.
- Powiedziałem Zellmanowi o tobie. - Słyszała Harrisona przez dudnienie w uszach. - Oczywiście bez podawania nazwisk. Tylko tyle, że Justice prześladowuje jedną z byłych mieszkanek Kolonii dlatego, że jest poza jej granicami, a nie z powodu ciąży.

Chciała umrzeć. Czy słyszał, jak wymiotowała dziś rano? O Chryste, co za koszmar.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem - kontynuował Harrison - i nie świadczy to dobrze o lekarzu, że daje temu jakąkolwiek wiarę. Co o tym myślisz?
- Ja... Nie wiem, naprawdę... - Laura ledwo mogła przełykać ślinę. Dłonie pociły jej się z nerwów.
- Wszystko dobrze? - spojrzał na nią badawczo.

Z nadludzkim wysiłkiem udało jej się powstrzymać panikę i gładko skłamać.

- Tak...

Nigdy nie będzie dobrze. Boże, Harrison, gdybyś tylko wiedział. Jestem w ciąży, a Justice o tym wie! Czuje to! Pod powiekami zebrały jej się łzy strachu o nienarodzone dziecko i żalu z powodu nieodwzajemnionej miłości. Na myśl o tym zamarła. Miłość? Jesteś zakochana w Harrisonie? Nie ma mowy! Ale nie było w tym przekonania.

- Będzie dobrze, zobaczysz.

Ale był zaniepokojony i musiała się bardzo starać, żeby zachowywać się normalnie. Miała nadzieję, że nabierze kolorów, bo była pewna, że cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Dobra, jesteśmy na miejscu - powiedział i wskazał na biuro szeryfa, usytuowane w samym centrum Tillamook.

Zjechał na pełen dziur parking na tyłach budynku, zwolnił i ostrożnie wymijał okazałe kratery wypełnione wodą.

- Widać, że pieniądze z naszych podatków idą na szczytne cele - mruknął.

Laura nie chciała tego spotkania bardziej, niż potrafiła wyrazić. Nie chciała, żeby w sprawę zaangażowało się biuro szeryfa. Nie chciała rozmawiać z oficerami o pustych twarzach, którzy będą starali się wyglądać, jakby jej słuchali, choć tak naprawdę uznają ją za kompletną świruskę, gdy tylko usłyszą o telepatycznych rozmowach z Justice'em.

Ale przecież ścigał ją wczoraj. Dotknął jej. Prawie ją złapał.

Weszli przez tylne drzwi i wspięli się na kilka schodków. Po lewej stronie był korytarz, który prowadził do kontuaru blokującego przejście do głównej części budynku. Przeszli wzdłuż niego przez cały pokój, aż do głównych drzwi.

Naprzeciwko było stanowisko oficer dyżurnej. Według tabliczki nazywała się Johnson i chociaż stanowiła furtkę do dalszej części, jej mina wyrażała wszystko, tylko nie miłe powitanie.

- Jak mogę pomóc? - Utkwiła w Harrisonie ciemne spojrzenie pełne niewypowiedzianych pytań.

- Chcielibyśmy zobaczyć się z szeryfem w sprawie Justice'a Turnbulla.

- Szeryf O'Halloran jest dziś nieobecny - brzmiała jej oschła odpowiedź.

- A kto go zastępuje? Westchnęła.
- Pana godność?
- Harrison Frost. Johnson skinęła głową.
- Aha, dziennikarz. Panie Frost, jeśli szeryf będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie, sam to ogłosi.
- Byliśmy umówieni. - Harrison patrzył na nią stanowczo.
- Z detektywem Stone'em - wtrąciła się Laura - podobno on prowadzi tę sprawę.
- Szeryf jest bardzo zajęty - odparła recepcjonistka.

Jej twarz miała groźny wyraz, ale dała za wygraną, podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła guzik. Kiedy na drugim końcu linii usłyszała głos, powiedziała:

- Jest tu dziennikarz, Frost, ma informacje w sprawie Turnbulla.

Ton jej głosu świadczył, że nie wierzy, by Harrison miał do powiedzenia cokolwiek ważnego.

Przez chwilę słuchała, a potem wskazała ręką kierunek, z którego przybyli i powiedziała:

- Proszę minąć kontuar i iść wzdłuż korytarza. Wygląda na to, że detektyw Stone państwa oczekuje.
- Dzięki - powiedział Harrison.
- Jak zwykle dowiaduję się ostatnia - mruknęła pod nosem Johnson.

Harrison złapał Laurę za łokieć i poczuła przepływ prądu; tego doznania doświadczała rzadko, jeśli w ogóle.

Ledwo minęli kontuar i skręcili w korytarz, gdy naprzeciw wyszedł im mężczyzna w kowbojskich butach, dżinsach i koszuli z wywiniętymi rękawami. Miał ciemne włosy i niebieskie oczy, które zdawały się widzieć o wiele więcej, niż dawały po sobie poznać.

- Detektyw Stone - przedstawił się. - Pan Frost? Uściskał Harrisonowi rękę i obydwaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Potem Stone zerknął na Laurę i w ostatniej chwili powstrzymał się od drugiego spojrzenia.
- Laura Adderley - przedstawiła się i wyciągnęła rękę. Wydawało się, że detektyw myśli o czymś gorączkowo, gdy wymieniali uścisk dłoni.
- Zapraszam do mojego biura.

Ruszyli za nim. Na miejscu okazało się, że jego biurem jest duży pokój służbowy, w którym jest kilka biurek. Atrakcyjna pani oficer o kasztanowych włosach i niebieskich oczach przywitała ich uśmiechem i dostawiła dwa dodatkowe krzesła do biurka Stonek. Usiedli, a policjantka zajęła miejsce za biurkiem stykającym się ze stołem Stone'a.

- Detektyw Dunbar - Stone przedstawił koleżankę, która przyglądała im się z zainteresowaniem. - A to Harrison Frost i Laura Adderley. Pan Frost jest dziennikarzem „Seaside Breeze”, a pani Adderley...

- Pielęgniarką w szpitalu Ocean Park - dokończyła za niego Laura.

Stone obrócił się na krzesła tak, żeby usiąść dokładnie naprzeciwko Laury.

- Kogoś mi pani przypomina.

Jej usta układały się już w słowo „kogo?”, ale nie wypowiedziała go. Wiedziała, jaka jest odpowiedź.

- Czy zna pani grupę kobiet zamieszkujących posiadłość zwaną Pieśń Syreny? Mieszkańcy mówią o nich jako o Kolonii - zapytał Stone.

Harrison uniósł brwi.

- Do czego pan zmierza?

- Myśli, że wyglądam tak jak one - wyjaśniła Laura. Stone uśmiechnął się, potwierdzając te przypuszczenia.

- Wygląda pani. Włosy ma pani ciemniejsze, ale jest podobieństwo. Spotkałem się z Catherine, a młodsze kobiety widziałem na zdjęciach.

- Na zdjęciach? - zdziwił się Harrison. - Jak to?

- Pierwsze ofiary Justice'a. I inne... - Zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, ile może powiedzieć.

- Farbuję włosy - przyznała cicho Laura. - Zna pan Catherine?

- Widzieliśmy się raz czy dwa - powiedział. - Ale nigdy nie wpuściła mnie do środka. Bo jestem facetem i takie tam...

Nasza znajomość... rozwija się - dokończył zdawkowo. - Proszę powiedzieć, co państwo dla mnie mają w sprawie Turnbulla?

- Uważam, że Justice ukradł jeden z samochodów z domu doktora Zellmana, rangę rovera, auto jego syna, i porzucił je w pobliżu domu Laury wczoraj wieczorem - oświadczył Harrison.

Stone w zamyśleniu zmrużył oczy, a Laura dodała:

- Wiem, że macie już raporty na temat tego, co stało się wczoraj w moim domu. Rozmawialiśmy z funkcjonariuszami. Nie powiedziałam im jednak, że jestem przekonana, że wczorajszej nocy Justice Turnbull chciał mnie zabić.

Stone otworzył usta, żeby jakoś to skomentować, ale Laura nie dała mu dojść do głosu.

- Przyszedł do mojego domu i ukradł nóż. Potem czekał na mnie. Kiedy wróciłam do domu i byłam już w środku, wyłamał drzwi i chciał mnie złapać. Uciekłam. Ledwo. Zadzwoiłam do pana Frosta z prośbą o pomoc i uciekałam.

- Ściagał panią? - spytał Stone. - Kiedy już dostał się do domu?

- Tak. Gonił mnie także na zewnątrz. Biegłam w kierunku szosy, po zboczu na końcu posiadłości zsunęłam się w dół. Znalazł mnie Harrison.

Stone usłyszał, w jaki sposób wypowiedziała imię Harrisona i zerknął w jego kierunku. To zdenerwowało Laurę.

- Panie Stone - powiedziała powoli - on po mnie wróci. Justice Turnbull po mnie wróci.

- Dlaczego?

Pytanie Stone'a brzmiało szczerze, ale Laura nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

- Bo taki już jest - powiedziała po prostu.

Rozdział 34

Laura była wyczerpana po dwugodzinnym intensywnym przesłuchiwanu przez detektywa Stone'a i detektyw Dunbar w biurze szeryfa. Przez cały wieczór ludzie wchodzili i wychodzili, widziała na przykład dwóch mężczyzn w kajdankach wprowadzonych przez tylne drzwi, telefony dzwoniły, komputery szumiały, a klawisze klawiatur klikały. Była jedna przerwa w zadawaniu pytań, akurat na tyle długa, że zdążyła zadzwonić do szpitala i poinformować, że nie wróci na resztę swojej zmiany. Menedżer szpitala, bardzo przywiązana do reguł, nie była z tego powodu zadowolona i dała jej to do zrozumienia, ale Laura załatwiła już zastępstwo, więc miała nadzieję, że rozejdzie się po kościach. Nie mogła sobie pozwolić na utratę pracy.

Stone wiedział o Kolonii i siostrach Laury więcej, niż się spodziewała, pytał ją nawet o pracę poza murami Pieśni Syreny, w markecie Drift In w Deception Bay.

- Więc to ty jesteś tą Laurą - powiedział, zaskakując ją. - Szukałem cię kiedyś, gdy chciałem dowiedzieć się więcej o kobietach z Kolonii, i powiedziano mi, że jedna z nich pracuje w sklepie.

Przyznała, że jest „tą Laurą”, a potem odpowiadała na jego pytania tak szczerze, jak tylko mogła. Długo tłumaczyła, że знаła Justice'a Turnbulla jako dziecko, ale nigdy nie było mu wolno mieszkać w Pieśni Syreny. Jemu ani jego matce.

Po kolejnej serii pytań dotyczących Kolonii Stone odchylił się do tyłu na krześle i badawczo przyjrzał się Harrisonowi.

- A jaki jest pana udział w sprawie? Oczywiście poza pisaniem artykułu.

Mięśnie Laury się napięły. Wbrew protestom detektywów uparła się, żeby Harrison był przy niej w czasie przesłuchania, i choć obiecał, że autoryzuje w biurze szeryfa każde słowo, jakie będzie chciał napisać na ten temat, Stone pozostał sceptyczny.

- Jesteśmy... przyjaciółmi - powiedział Harrison, zerkając na Laurę.

- Znać się od dawna? - spytała detektyw Dunbar. Ona też była podejrzliwa.

- Nie - przyznał Harrison i Laura poczuła, że drży. - Spotkaliśmy się już po rozpoczęciu tej całej historii.

- Proszę powiedzieć więcej - zachęcił Stone, więc Harrison wyjaśnił, że poznał Laurę w Ocean Park, gdy usiłował zebrać materiał na temat ucieczki Justice'a Turnbulla, a jego ofiary zostały przywiezione do szpitala.

- I w tym czasie zostaliście tak dobrymi przyjaciółmi, że pani nie chce z nami rozmawiać bez pana? - podsumował Stone.

- On mnie uratował - powiedziała Laura. - Gdyby Har... Gdyby pan Frost nie przyjechał, Justice pewnie by mnie znalazł.

- Więc zawdzięcza mu pani życie? - zasugerowała Savannah Dunbar.

Laura otworzyła usta, żeby stanąć w obronie Harrisona, ale podchwyciła jego ostrzegawcze spojrzenie i zamiast wychwalać go za ocalenie jej, powiedziała tylko:

- Chciałabym, żeby był obecny podczas naszej rozmowy.

Dunbar wzruszyła ramionami i Laura wiedziała, co sobie myślą: że Harrison wykorzystuje ją, żeby napisać reportaż, że znają się ledwie tydzień i trudno ich nazwać przyjaciółmi, skoro są ledwie znajomymi. Nie śmiała pomyśleć, że zakochuje się w nim, będąc w ciąży ze swoim byłym mężem. Jak miała wytłumaczyć cynicznym gliniarzom, że czuje się z nim tak związana, jak gdyby znali się całe życie? To głupie, rzeczywiście. Może to przez hormony, które pewnie szalały.

Stone zadał jeszcze kilka pytań i odwołał się do sadystycznych i morderczych instynktów Justice'a, do obsesji, jaką miał na punkcie kobiet mieszkających w Kolonii; policjant uważał najwyraźniej, że pozostałe ofiary po prostu stanęły mu na drodze w nieodpowiednim czasie. Z czym Laura całkowicie się zgadzała, choć wydawało się, że Justice jest groźniejszy niż kiedykolwiek wcześniej i zacierają mu się granice rzeczywistości. Nie wspominała nic o sposobie, w jaki się z nim kontaktuje, bo była pewna, że, tak jak Harrison, nie uwierzą jej. I trudno ich za to winić. Na szczęście Harrison też nie poruszył tego tematu.

Choć nie padły już żadne pytania dotyczące jej relacji z Harrisonem, Laura czuła po sposobie, w jaki Stone robił notatki, że on i jego partnerka są nastawieni krytycznie. Nie powiedziała im też o ciąży; to było zbyt osobiste, z nikim o tym nie rozmawiała. Nawet z Harrisonem. Poczucie winy wwiercało jej się w sumienie, ale ignorowała to. Nie byli aż tak blisko, nawet, jeśli fantazjowała na jego temat.

Hormony... znowu.

Prawda?

W końcu Stone zwrócił się do swojej partnerki:

- Nie mam w tej chwili więcej pytań, a ty? Dunbar przytaknęła:

- Mnie też nic nie przychodzi do głowy.

- W porządku. - Stone wstał z miejsca. - Zadzwonimy do pani, jeśli pojawią się jakieś kolejne pytania, a jeśli pani coś sobie przypomni, proszę o telefon. - Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni portfel i wyjął z niego wizytówkę. Odszukał długopis i na odwrocie dopisał drugi numer.

- To moja komórka.

Miał serdeczną twarz, niemal miłą. Laura chciała mu zaufać, wierzyć, że ten człowiek znajdzie sposób na schwytanie Justice'a

zanim on dopadnie następną ofiarę, ale w głębi serca wiedziała, że to niemożliwe. Justice będzie stanowił zagrożenie tak długo, jak długo będzie żywy. Zagrożenie dla niej. Dla wszystkich związanych z Pieśnią Syreny. Dla jej dziecka.

- Ja też poproszę - powiedział Harrison, a Stone posłał mu pytające spojrzenie, po czym również napisał na wizytówce swój numer komórkowy i przesunął ją po blacie biurka. Harrison wetknął kartonik do portfela.

- Czy mogę teraz bezpiecznie wrócić do domu? - zapytała Laura, której gardło ścisnęło się na samą myśl o maleństwie w jej brzuchu.

- Nie robiłbym tego na pani miejscu - powiedział Stone. -Będziemy tam wysyłać patrole, ale Turnbull już wie, gdzie pani mieszka, więc radziłbym udać się gdzieś, gdzie będzie pani bezpieczna, dopóki go nie złapiemy.

Jeśli go złapiecie, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Sprawdziliśmy porzuconego rangę rovera. - Ponownie wymienił spojrzenia ze swoją partnerką. - Należy do doktora Zellmana. Jak tylko nasze laboratorium skończy się nim zajmować, ktoś z rodziny zabierze samochód. Myślę zresztą, że już pan o tym wie.

Harrison przytaknął.

- Zellman. Ten sam, który niechętnie pomógł Turnbullowi w ucieczce - dodała Dunbar z niesmakiem.

Laura zaczęła się zastanawiać, czy Zellman miał być ofiarą, ale wydawało jej się to mało prawdopodobne, bo była pewna, że Justice jest zafiksowany na niej i jej siostrach. Ale może w przypadku Zellmana chodziło o coś innego.

Może lekarz Justice'a wiedział o nim coś, co według szaleńca nie powinno wypłynąć.

Stone mówił dalej:

- Ale pani dom jest bezpieczny. Przybiliśmy płytę do zepsutych drzwi i zakończyliśmy czynności na miejscu, więc może pani wrócić, jednak radzę uważać. - Był śmiertelnie poważny. - Nie powinna pani spędzać tam za dużo czasu.

- Czy ktoś będzie obserwował to miejsce? Pilnował Laury? Ewidentnie jest celem Turnbulla - zapytał Harrison.

Stone popatrzył na Laurę.

- Nie mamy wielu ludzi, ale tak, dom będzie obserwowany, pani również. Nie możemy jednak wyznaczyć jednego funkcjonariusza na pani ochroniarza. Po prostu nie mamy kogo.

- W porządku - powiedziała, chociaż Harrison chciał dyskutować. Przekazała mu wzrokiem, że chce wyjść, i wsunęła wizytówkę detektywa Stone'a do portmonetki. Gdy szła obok Harrisona korytarzem w stronę wyjścia, czuła, że jest odwodniona. Na zewnątrz zapadła już chłodna, pogodna noc, a światła miasta oświetlały boczne ulice, także Pacific Coast Highway, tę nitkę autostrady, która wrzynała się w wybrzeże i przebiegała przez Tillamook.
- Chciałbym oficjalnie poinformować, że zgadzam się z detektywem. Nie spędzisz tej nocy w domu - powiedział Harrison, gdy byli już w drodze do małego bungalowu Laury. Jęknęła w głębi duszy, bo zapomniała zadzwonić do gospodarza i powiedzieć mu o zniszczeniach w domu. A lepiej żeby zrobiła to sama, zanim dowie się od kogoś innego.
- Więc teraz ty tu rządzisz? - spytała. Uśmiechnął się blado.
- Coś mi mówi, że tobą nie można rządzić. Nawet taki psy-chol jak Justice Turnbull.
- Ale on próbuje - powiedziała i zapatrzyła się w okno. Byli już poza miastem, a przez przednią szybę samochodu widziała rozgwieżdżone niebo. Było bezchmurne, ogromne i błyskało na nim milion gwiazd. Jakby wszystko na świecie było w najlepszym porządku.
- Mój samochód jest pod szpitalem - przypomniała Harrisonowi, a potem dodała: - Ale możemy odebrać go jutro. Pokiwał głową.
- Zadzwonię do Kirsten i powiem jej, że dzisiaj też zostajemy na noc. Kto wie, czy Justice nie zwęszył naszych relacji i nie dowiedział się, gdzie mieszkam.
- Myślisz, że może czekać tam na nas... na mnie?
- Pewnie nie, a w każdym razie jeszcze nie teraz, ale nie ryzykujemy. Dopóki nie opracujemy jakiegoś planu działania albo póki policja nie przygwoździ tego sukinsyna, lepiej schodźmy mu z drogi. - Trzymając ręce na kierownicy, popatrzył na Laurę.
- Próbował się z tobą skontaktować? Pokręciła głową:
- Od wczoraj nie.

- Ciekaw jestem, gdzie się chowa. - Harrison jechał zamyślony, dopóki nie dotarli do zjazdu do Deception Bay i tam, przepuściwszy jeden samochód, wjechali na autostradę.

To był długi dzień. Bardzo długi.

Stone popatrzył na notatki i akta rozrzucone po biurku i jednocześnie rozmasowywał obolały kark. Niech szlag trafi Turnbulla. I jego durnego psychiatrę, któremu nie chciało się przestrzegać regulaminu. Ale czego się spodziewać, Zellman był przemądrzałym durniem. Stone stwierdził to już dawno temu. Nie spodziewał się jednak, że okaże się aż tak beztroski. Nie, to nawet nie było to. Nie beztroska Zellmana była przyczyną tragedii, ale ignorowanie wymagań, jakie przed nim stawiano. Jego kompleks Boga był tak potężny, że naprawdę uważał się za mądrzejszego od wszystkich.

I prawie przyplacił to życiem.

Co zresztą, choć stanowiło pewnie nieudogodnienie, wcale go nie utemperowało. Z tego co mówił funkcjonariusz, który go przesłuchiwał, Zellman domagał się powrotu do pracy w szpitalu.

Stone prawie parsknął śmiechem na myśl, że ten przemądrzały dupek będzie musiał publicznie najeść się wstydu za swoją nonszalancję.

Pozostali nie mieli takiego szczęścia jak on. Wystarczy pomyśleć o Jamesie Cosmo Danielsonie, Stephanie Wyman, Madeline Turnbull i Conradzie Weiserze - ten ostatni, ochroniarz, wciąż leżał na intensywnej terapii w szpitalu Halo Valley. Wprawdzie nie umarł, ale i nie wybudził się ze śpiączki i było prawdopodobne, że nigdy się nie wybudzi. A jeśli jednak się ocknie, nie wiadomo, czy będzie w stanie funkcjonować. Bez względu na to, czy Turnbull zamierzał go skrzywdzić, czy nie, Weiser był taką samą ofiarą jak pozostali.

Stone odwrócił się do komputera i poruszył kilka razy myszką, żeby dostać się do zdjęć ofiar Justice'a Turnbulla.

Chryste, ten psychol zebrał już niezłe żniwo, a jak dotąd nie udało mu się osiągnąć celu i skrzywdzić kobiet z Pieśni Syreny.

Stone odchylił się w fotelu tak daleko, że aż zaskrzypiało. W czasie wcześniejszych psychoz Justice Turnbull atakował już kobiety związane z Kolonią. Kilka uciekło, inne nie miały tyle szczęścia.

Teraz to była tylko kwestia czasu. Wczoraj wieczorem Turnbull prawie dopadł Laurę Adderley. Nieprzypadkową ofiarę. Jedną z kobiet z Pieśni Syreny. Znajdującą się na początku jego listy.

Stone podrapał się w policzek i zapatrzył na mapę miejsc, w których znaleziono dowody związane ze zbrodniami Turnbulla. Było tam wszystko: od samochodów po ciała, a także miejsca znajdujące się pod obserwacją.

Najnowszym był dom Laury Adderley. Zaznaczył na mapie stary motel, który prowadziła Madeline Turnbull, i latarnię morską, w której Justice Turnbull urządził kiedyś kryjówkę. Nieużywana latarnia na wyspie Whittier Island, zwanej przez okolicznych mieszkańców Okiem Żmii, była odcięta od lądu, chyba że był odpływ. Dwóch wyznaczonych funkcjonariuszy odbyło morderczą wyprawę łodzią, po której donieśli, że miejsce wygląda, jakby od lat nie powstała tam ludzka stopa. Jedyny ślad życia to stada szczurów i nietoperzy.

- Idealne miejsce na przyjęcie z okazji Halloween - żartował jeden z nich - gdyby tylko można się tam było dostać. Stone zaznaczył na swojej mapie także Pieśń Syreny, a innym kolorem tuszu miejsca, w których Turnbull mieszkał lub przebywał, zanim został aresztowany. Przejrzał gruby tom akt poświęconych Turnbullovi i podkreślił ustępy, mające jakieś znaczenie w jego dawniejszej historii kryminalnej.

Wszystko koncentrowało się wokół Kolonii i mieszkających tam kobiet. Pomyślał o Laurze Adderley, która przez pierwszą część swojego życia - tę, która najbardziej kształtuje człowieka - żyła w Pieśni Syreny, ale potem pozwolono jej iść swoją drogą w świecie poza bramami posiadłości.

Wszystko po to, żeby trafiła tam z powrotem z powodu szaleńca.

Postukiwał ołówkiem w biurko i marszczył brwi, przyglądając się mapie. Kontaktował się już z kobietą zza wielkiej bramy i wyglądało na to, że szykuje się kolejne spotkanie.

Następne pół godziny poświęcił na pisanie raportu, a potem odwrócił się od komputera i wybrał w komórce numer własnego domu.

Uśmiechnął się, kiedy Claire odebrała.

- Hej, detektywie, gdzie jesteś? Obiad stygnie. Wyobraził ją sobie, jak siedzi przy biurku, które wstawiła do jednej z pustych sypialni, z okularami do czytania osadzonymi

na matym nosku i z ciemnymi włosami spiętymi w nieporządny węzeł. Była filigranowa, ale silna. Pani psycholog, która konfrontowała się ze świrami pierwszego sortu, choć byłaby wściekła, gdyby usłyszała, że nazywa tak jej pacjentów.

- Nie dam się nabrać, pani doktor, o ile dobrze pamiętam, miałaś dzisiaj pacjentów? Terapia grupowa?

- Masz dobrą pamięć.

Boże, jak dobrze było z nią porozmawiać. Pamiętał spotkanie w szpitalu Halo Valley i ich dziką kłótnię.

Niebezpieczną. Był zmuszony do współpracy z nią przy innej sprawie, która ich podzieliła, łącząc się przy okazji ze śmiercią jego siostry i sprawą Pieśni Syreny. Nigdy nie pomyślał, że mógłby się w niej zakochać i miał powody, by nie ufać tej ładnej psycholożce, ale w czasie śledztwa zakochał się mocno i głęboko. Niedawno zamieszkali razem i na koniec roku planowali ślub.

- Jedziesz już do domu?

Obrzucił spojrzeniem zasypane aktami biurko i zerknął na ekran komputera, na którym migwały zdjęcia z miejsc zbrodni.

- Będę za pół godziny.

- Naprawdę?

Wiedziała, jak pracuje. Zerknął na zegarek i powiedział:

- Za dwadzieścia minut.

A potem złapał kurtkę i pomyślał, że ma zajebiste szczęście. Sawy Dunbar też wychodziła i spotkali się w drzwiach.

- Co byś powiedziała na wycieczkę do Pieśni Syreny jutro z samego rana? - zapytał, włożył kurtkę i otworzył drzwi wyjściowe.

- Brzmi cudownie.

- Prawda? - pokiwał głową i nastawił kołnierz, chroniąc się przed chłodem pogodnej nocy. Lato przybywało późno do tej części wybrzeża. A w każdym razie tak było w tym roku. - Zobaczymy, co ma do powiedzenia Catherine, strażniczka bramy.

- Miałaś szczęście przy poprzednich spotkaniach z nią - zauważyła Sawy.

- Tak, ale zdaje się, że to by było na tyle.

Laura zadygotała w fotelu pasażera, gdy Harrison zajechał przed jej dom. W oknach było ciemno, a z zewnątrz dom oświetlały tylko reflektory chevroleta.

Mimo że Harrison odprowadził ją na ganek, nerwy miała napięte jak postronki, a serce waliło jej jak młotem, gdy wkładała klucz do zamka frontowych drzwi. Obrazy z poprzedniego wieczoru stanęły jej przed oczami, Justice z nożem za oknem, jego ciężkie kroki, kiedy biegł za nią przez dom, dotyk jego palców na skórze.

Kolana prawie się pod nią ugięły.

W środku natychmiast zapaliła światła.

Rozglądała się dookoła i czuła, jak cierpnie jej skóra. Poszła do kuchni, gdzie zobaczyła szkło rozsypane na podłodze i wybitą szybę w tylnych drzwiach. Tak, jak powiedział Stone, drzwi były porządnie zabite płytą.

- Właściciel będzie zachwycony - powiedziała, gdy pod stopami usłyszała dźwięk kruszonego szkła. - Co za bałagan.

Na wszelki wypadek sprawdzę, czy wszystko w porządku.

Weszła do sypialni i przypomniała sobie strach z poprzedniego wieczoru, niepewność, kto lub co czai się w szafie. Z garderoby wyjęła bieliznę, czyste dżinsy i kilka podkoszulek, łącznie z na tyle dużą, żeby mogła w niej spać.

Włożyła to wszystko do torby, którą trzymała na dole w szafie.

Zgasiła światło i zerknęła jeszcze na swoje łóżko. Zastanowiła się, czy jeszcze kiedyś poczuje się na tyle bezpiecznie, żeby tu spać. Pewnie nie.

W łazience znalazła kosmetyczkę i schowała do niej podstawowe kosmetyki, a wszystko to wrzuciła do torby i wróciła do kuchni. Harrison klęczał na jednym kolanie i manipulował przy zamku tylnych drzwi.

- Ciągle działa - powiedział - może zniszczenia nie są aż tak duże.

- Może nie - odparła, ale nie czuła się już tutaj jak w domu. Prawda, były tu jej rzeczy, jej ekspres do kawy i filiżanki, jej ście-reczki, jej zioła w doniczkach na okiennym parapecie nad zlewem, ale od kiedy do przytulnego domku wtargnął szaleniec, miejsce stało się puste i zimne. Nie było tu już duszy.

A może nigdy jej nie było. Może sama się oszukiwała, bo w tym domu żyła z Byronem, ale nie dała rady pokochać tego miejsca. Może już czas stąd odejść.

Harrison wyprostował się i wytarł ręce w dżinsy, a Laura podjęła decyzję, że gdy Justice zostanie złapany i skończy się umowa najmu, wyprowadzi się.

Nie wiedziała jak ani dokąd, ale chciała zacząć od początku. Dla siebie. Dla dziecka.

Z trudem przełknęła ślinę i popatrzyła na Harrisona, który wyjął jej z rąk torbę.

- Gotowa?

- Tak.

Powiedziała mu tyle o sobie, nawet o swoim dzieciństwie, a ciążę trzymała w sekrecie. Przed wszystkimi. Z wyjątkiem Justice'a. On wiedział.

Krew stygła jej w żyłach, gdy pomyślała o jego zdolności do wyczuwania, że kobieta z Kolonii będzie miała dziecko. Mogłaby to wyśmiać, gdyby nie fakt, że skupił się właśnie na niej. A przy tym stracił kontrolę i zdecydował się na kolejny morderczy rajd, w którego wyniku w niebezpieczeństwie była nie tylko ona i jej nienarodzone dziecko, ale także jej siostry.

Będzie musiała coś z tym zrobić. Nie mogły wiecznie żyć w strachu, a jej dziecko... Ono musi przetrwać.

Zamykając za sobą drzwi, postanowiła, że pora na konfrontację z Justice'em.

Harrison nie dodzwonił się do siostry, żeby powiedzieć, że wraca do niej z Laurą, ale zajechał na jej podjazd, zatrzymał się i postanowił nie dzwonić.

- Halo! - zawołał jak zwykle przez drzwi i usłyszał zachwycone okrzyki siostrzenicy.

Didi, właśnie w drodze do łóżka, była uradowana, że przybycie Harrisona i Laury dało jej pretekst do odroczenia mycia zębów i kładzenia się do łóżka. Domagała się od Harrisona noszenia na barana i chichotała przy tym głośno, a potem zmusiła Laurę do przeczytania jej dwóch książeczek, zanim Kirsten nie położyła temu kresu i nie odstawiła protestującej głośno córki do sypialni.

Tylko Chico był niezadowolony z sytuacji i powarkiwiał na Harrisona ukryty za bujanym fotelem.

- Tak, tak, wiem - powiedział Harrison do psa, kiedy zadzwonił telefon, i widząc, że to Geena Cho, wyszedł na małe patio, z którego słyszał i czuł nieodległy ocean. Usiadł na ławce

pod japońską szklaną bojką do sieci zamkniętą w makramowej plecionce. Lampa nad gankiem oświetlała niebieskawe szkło.

- Wielkie dzięki - powiedziała Geena z wyrzutem.
- Wybacz - przeprosił Harrison, a potem dodał: - Nic nie wyszło z Alonzem?
- Alonzo - powtórzyła, jak gdyby dopiero teraz sobie o nim przypomniała. - Barman. Nie. Zdecydowanie nic z tego nie wyszło - westchnęła. - Właściwie, to dzwonię, żeby cię przeprosić. Wczoraj chyba trochę przesadziłam.
- Może trochę.
- Sądząc po dzisiejszym kacu znacznie więcej niż trochę. Raczej bardzo.
- Nie ma sprawy - powiedział i zapatrzył się na nietoperza, który przemknął tuż nad ogrodzeniem.
- Na szczęście dzisiaj miałam wolne. Ale... No nieważne, w każdym razie dzięki, że chciałeś zapłacić za taksówkę.
- Zrewanżuję się.
- Słyszałam o Turnbullu - powiedziała ostrożnie. - Uważaj na siebie, okej? Nie chciałabym, żeby coś ci się stało.
- Będę uważał.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut i rozstali się po przyjacielsku. Kiedy wstawał, prawie uderzył głową o sznurkowe dzieło sztuki, a potem poszedł do części jadalnianej, gdzie Kirsten przygotowywała kolację z przyniesionych z piekarni bułeczek z szynką i serem, owoców i bezkofeinowej kawy, a Laura nakrywała do stołu dla trzech osób.

- Może następnym razem zaproszę was na barbecue.
- Byłoby zabawnie.

Jego antytalent do grillowania był legendarny - spalony kurczak, surowe hamburgery potrafiły zepsuć każdą potrawę.

Zjedli szybko i usiłowali skupić się na jakimś powtórkowym programie telewizyjnym, a potem postanowili iść do łóżek, tak jak poprzedniej nocy. Harrison chciał jeszcze sprawdzić pocztę, a potem zając miejsce na materacu, odstępując Laurze kanapę, ale wiedział, że będzie mu trudno zostawić ją tam samą.

- Mogę wziąć prysznic? - zapytała Laura Kirsten. Kirsten szła właśnie w stronę łazienki.
- No pewnie. W szafie w przedpokoju są ręczniki. Poczekaj, dam ci.

Harrison wrócił do swojego artykułu, gdy Laura szykowała się do kąpieli. Zanim skończył czyścić tekst, usłyszał ryk rur i dźwięk płynącej wody. Z części sypialnianej wyłoniła się Kirsten i chwyciła Harrisona za ramię.

Zaskoczyła go, więc powiedział:

- Hej, muszę to skończyć, bo inaczej nie ukaże się jutro.

- Trudno. - Wyciągnęła go na zewnątrz, na małe patio, na którym słychać było stłumiony szum fal. Zasunęła za nimi drzwi i popatrzyła na niego.

- Przepraszam, że zawracamy ci głowę - powiedział.

- To żaden problem - zapewniła. - Naprawdę. W każdym razie nie dla mnie. Ani dla Didi. Może dla Chico, ale on nie ma prawa głosu.

- Więc?

- Chodzi o ciebie, kochany braciszku - wyjaśniła, patrząc na niego w świetle docierającym tu z jadalni przez szklane drzwi.

- U mnie wszystko gra. Parsknęła.

- Przecież wiesz, że ona jest w tobie zakochana.

- Co? - Szybko spojrzał w stronę domu.

- Kiedy się odwracasz, patrzy na ciebie i to nie po przyjacielsku, nie wzrokiem mówiącym „O rany, ale się fajnie kumpluje-my”. Zakochała się w tobie, Harrison, i zdaje mi się, że cholernie bardzo. A nie wygląda na kobietę, która zakochuje się łatwo i na chwilę albo ma wielu facetów. Trochę rozmawialiśmy. Zdaje się, że jej małżeństwo nie było udane.

Te fragmenty układanki sam poskładał do kupy.

- Jej były mąż to dupek.

- Może być, ale bądź delikatny, okej? Nie chcę, żebyś złamał jej serce. Ma już i tak wystarczająco dużo kłopotów, żeby jeszcze tym się przejmować.

Rury zadudniły na znak, że Laura zakręca kurki. Kirsten zrobiła krok w stronę drzwi.

- Poza tym jest niezłe zamieszanie z tą całą Kolonią. Wiesz, pogrzebałam dzisiaj w Internecie. Więc... - spojrzała na niego błagalnie - nie spiesz się, dobra?

- Nie spieszyć się? Kirsten, ja jestem jak ślimak.

- Tak, jesteś jak... nieważne. Ale nie tylko Laura właśnie się zakochuje, prawda? - Mówiąc to, weszła do domu i dodała: - Dobranoc.

W chwilę później Harrison dostawił krzesło do kuchennego stołu. Połączył się z bezprzewodowym Internetem Kirsten i zanim sprawdził pocztę, poczytał trochę o Kolonii. Pokrętnie odpowiedzi Laury na temat jej życia w Pieśni Syreny i kobiet tam żyjących nie dawały mu spokoju. Usiłował znaleźć cokolwiek na temat Mary, która najwyraźniej miała córki z różnymi mężczyznami. Wyglądało na to, że nie tylko nie była wybredna, ale jakimś cudem rodziła głównie dziewczynki, choć Laura wspominała również o kilku braciach.

Wszystko to było dziwne.

A potem jej śmierć i zatrzaśnięcie bramy Pieśń Syreny. Przejrzał notatki z książki, którą przeglądał w stowarzyszeniu historycznym i zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie wie nic.

W poczcie nie znalazł nic ciekawego i wyłączał właśnie komputer, gdy Laura weszła do części dziennej. Na mokrych włosach miała zawiązany ręcznik, zmyła makijaż; gdy szła w stronę kanapy, za duży T-shirt, który miała na sobie, zapewniał mu nieograniczony widok jej długich nóg, a uniesione do góry ręce, którymi wycierała włosy, zadzierały podkoszulkę jeszcze wyżej i widział fragment jej różowych majtek.

Z nadludzkim wysiłkiem odwrócił wzrok, ale wizja pozostawała mu przed oczami. Boże, była taka seksowna. I nie miała o tym pojęcia.

Fascynująca, ciekawa kobieta.

Pełna tajemnic.

Spojrzał na nią i zobaczył, że się uśmiecha, zamyślonym, niemal melancholijnym uśmiechem.

- W porządku? - zapytał i poczuł, że ma erekcję.

- Chyba tak.

- Jesteś tu bezpieczna - powiedział i poczuł nieodpartą chęć przytulenia jej.

- Z tobą?

Jęknął w duchu. Nie powiedziałbym, pomyślał, ale zmilczał to, a ona wskoczyła pod kołdrę. Ze wszystkich sił starał się pozostać na swoim miejscu.

- Oczywiście - powiedział, ale myślał o tym, jak do diabła spędzi noc, mając ją na wyciągnięcie ręki.

Rozdział 35

Wydawało się jej, że nie przespała ciurkiem więcej niż pięć minut. Przez większość nocy jej głowę wypełniały myśli o Justisie, jej siostrach i Harrisonie. Słuchała jego cichego pochrapywania metr od kanapy i zastanawiała się, jak by to było kochać się z nim każdej nocy, czuć jego ramiona zapewniające bezpieczeństwo, a potem budzić się obok niego rankiem, przy jego ciepłym ciele, jego oczy byłyby jeszcze całkiem zaspane, a uśmiech już uroczo ironiczny, i kochaliby się przez cały dzień.

Głupie fantazje, zbeształa się i zsunęła z kanapy, ruszając w kierunku łazienki. Zapaliła światło i zerknęła na siebie w lustrze. Była blada, włosy miała rozczochrane, a brak snu manifestował się ciemnymi sińcami pod oczami.

Nie tak wyglądały seksowne uwodzicielki.

Poczuła ukłucie w brzuchu, zmarszczyła brwi i skorzystała z toalety, po czym poczuła się nieco lepiej i wróciła do salonu.

Nie było już całkiem ciemno. Słońce wstawało, świt wdzierał się przez okna, szare światło wpływało do wewnątrz. Harrisona nie było na podłodze.

Materac czekał rozgrzebany, ale jego nie było.

Poczuła powiew chłodnego powietrza i zobaczyła, że przesuwane drzwi są uchylone. Harrison, bosy i bez koszulki, tylko w opuszczonych nisko džinsach, stał na patio i rozmawiał przez komórkę. Włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach, przeczesywał je wolną ręką, gdy ścisłym głosem mówił do telefonu.

Stał twarzą na zachód, tyłem do wnętrza domu. Laura obserwowała go przez chwilę; patrzyła, jak skóra napina się na mocnych, umięśnionych ramionach, a potem zjechała wzrokiem w dół jego pleców, aż do miejsca, w którym zniknęły za paskiem zniszczonych lewisów.

Zauważyła fragment skóry, który nie był opalony i poczuła w brzuchu powolny, przyjemny skurcz. Wyobraziła sobie, że muska palcem zagłębienie w plecach wzdłuż kręgosłupa, a potem jej usta pokonują tę samą trasę...

Przezań!

Gdy wychodziła na zewnątrz, przekrzywił głowę i mówił coś cicho do telefonu.

- Dobra, więc ustalone - powiedział i odwracając się, zauważył ją, zanim jeszcze zdążył się rozłączyć. Przez moment jego twarz pozostała mroczna i zdecydowana. Był niesamowicie seksowny, z nagą piersią pokrytą ciemnymi włoskami, z twardymi mięśniami, kaloryferem na brzuchu i rozpiętym guzikiem od rozporka.

Cholernie męski.

Uśmiechnął się, jak gdyby słyszał jej myśli, a białe zęby zaślniły.

- Ważny telefon? - zapytała, a w gardle miała tak sucho, jakby była na Saharze.

- Aha. Chciałem się upewnić, że artykuł o bandziorach wejdzie do wydania.

- I? "

- W porządku. - Schował telefon do kieszeni. - A ty dlaczego zerwałaś się o świcie?

- Nie mogę spać. Za dużo myśli w głowie. Uniósł ciemną brew.

- Może zrobię kawę? Albo... - Jego oczy zaślniły w półmroku.

- Albo?

Zaskoczył ją, gdy oplótł ramionami jej talię, zadarł do góry T-shirt i oparł czoło na jej czole.

- Jest jeszcze wcześnie. Moglibyśmy wrócić do łóżka.

- Wrócić na kanapę i na materac - przypomniała mu, a on roześmiał się, ogrzewając oddechem jej twarz.

- Okoliczności nie są sprzyjające. - Dotknął nosem koniuszka jej nosa.

- A do tego Didi i Kirsten - powiedziała, nie mogąc złapać tchu - niedługo wstaną.

- Potrafię być niewiarygodnie szybki. Uśmiechnęła się.

- Kobiety uwielbiają to słyszeć.

- Gra wstępna jest przereklamowana - powiedział, ale gdy przesuwiał dłonie po jej ramionach z głębi jego gardła dobiegło mruczenie. Mówił jej w ten sposób, że tylko żartował i będą kochać się całymi godzinami.

Krew jej wrzała.

A potem ją pocałował. Przyciągnął ją do siebie i przywarł ustami do jej warg. Były ciepłe i miękkie, zapowiadały zmysłową rozkosz, aż kręciło jej się w głowie od obrazów wilgotnej skóry

i gorącego pożądania. Myślała o tym, gdzie jej dotknie i jak ona mu się za to odwdzięczy.

Zamknęła oczy i przywarła do niego, czuła jego ciało przy swoim, a ciepło jego piersi przenikało przez jej cienką koszulkę.

Nie rób tego, ostrzegał umysł. To niebezpieczne, Lauro. Dobrze wiesz, że i bez tego wpływasz na niebezpieczne wody.

Ale nie potrafiła się powstrzymać i zatraciła się w nim. Jego męski zapach wypełniał jej nozdrza. Jedną ręką bładził w jej włosach, drugą przyciskał ją do siebie.

Odpowiedziała mu, otworzyła usta, a jego język zręcznie wsunął się pomiędzy jej wargi. Piersi naprężyły się, brodawki stwardniały, a pożądanie pulsowało w jej wnętrzu.

- Lorelei - wyszeptał, a ona cicho jęknęła i poczuła, że kolana jej mięką.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, podniósł ją i przeszedł przez otwarte drzwi.

- Mamusia?

Głos Didi był jak wiadro lodowatej wody. Harrison zamarł.

Laura stanęła na podłodze, poprawiła koszulkę i weszła do kuchni, gdzie złapała ekspres do kawy i zdążyła odkręcić wodę, gdy usłyszała tupot małych nóżek.

Trzy sekundy później pojawiła się Didi, ciągnąc za sobą kocyk. Chico szedł tuż za nią. Łypnął na Harrisona, zrobił śmieszny minę i zawarczał, zanim wybiegł na dwór.

- Cześć, maluchu - powiedział Harrison i złapał ją w ramiona. - Dasz ukochanemu wujkowi buziaka?

- Nie! - powiedziała groźnie, ale głośno cmoknął ją w ramię i zaczęła się śmiać; zły humor minął.

- Co jest? - Kirsten wytoczyła się z sypialni i zerknęła na kuchenny zegar. - Dopiero szósta! - jęknęła.

Harrison powiedział:

- Wydawało mi się, że jeśli ktoś pracuje w piekarni, jest na nogach od drugiej nad ranem.

- To już niemodne - wymruczała, ziewnęła i zaczęła rozciągać nad głową ramię. - Kawa gotowa?

- Prawie - powiedziała Laura i poczuła, że ma wypieki na policzkach, więc odwróciła się do kredensu i wlała wodę do ekspresu. Kirsten grzebała w szafce przy kuchence. Wyciągnęła filtr,

włożyła go do koszyczka, a potem wsypała ziarna kawy do młynka stojącego na blacie. Wcisnęła guzik i urządzenie zaczęło warczeć. Przesypała zmieloną kawę do ekspresu, włączyła go i po minucie kawa zaczęła sphywać do dzbanka.

- Teraz będziemy gotować - powiedziała i wyjęła córkę z ramion Harrisona. Zapach świeżo parzonej kawy wypełnił pomieszczenie, a Chico wrócił z ogrodu, więc Kirsten zamknęła drzwi. - Jak tam? - zwróciła się do córki. - Co zjesz na śniadanie?

- Naleśniki! - zapiszczała Didi.

- Kto by pomyślał. Leć się ubrać, a ja zrobię ciasto. - Spojrzała na brata, a potem przeniosła wzrok na Laurę. - Dla nas wszystkich.

Didi wybiegła z pokoju jak torpeda, a Kirsten z nostalgicznym uśmiechem powiedziała:

- Ech, żeby tak mieć jej energię. - Rzuciła Harrisonowi porozumiewawcze spojrzenie i dodała: - I twoją cholerną pasję.

Laura oblała się rumieńcem, ale Kirsten nie pozwoliła na żadne tłumaczenia, powiedziała tylko:

- Bądź ostrożna.

Wyjęła z kredensu trzy filiżanki i postawiła na blacie obok dzbanka z wolna wypełniającego się kawą.

- Mój brat jest gościem, który ma taki problem, że wydaje mu się, że musi chronić wszystkich dookoła.

- To jest problem? - zapytał Harrison.

- Problemem jest to, że o tym nie wiesz - wyjaśniła Kirsten.

Sawy Dunbar przejechała obok motelu, który Madeline Turnbull traktowała jak dom, zanim po brutalnym ataku Justice'a nie trafiła do domu opieki. Miejsce było zrujnowane, poszczególne domki opierały się jeden o drugiego, ganki się zapadały, ogrodzenie wzdłuż klifu było ledwie widoczne. Teren musiał być wart fortunę, ale za zdezelowane budynki nikt nie dałby złamanego grosza.

Zjechała na coś, co musiało być kiedyś podjazdem. Teraz krzewy i trawa wyrastały spomiędzy płyt, a jej samochód podskakiwał i brnął przez dziury. W pobliżu nie było innych policyjnych samochodów, nie na wiele mógł sobie pozwolić ograniczony budżet biura.

Sprawdziła teren i zajrzała do kilku domków, jeśli ich okna nie były zasłonięte, a potem pojechała autostradą do rozjazdu,

skąd mogła obserwować latarnię morską, w której pomieszkiwał Justice zanim go aresztowano. Była od dawna opuszczona, nie licząc mordercy, który ukrywał się tam przed kilkoma laty. Teraz, z perspektywy brzegu, wyglądała na pustą, opuszczoną, szarą wieżę na skalistej wysepce. Wspomnienie dawnych czasów przywodziło na myśl żaglowce i wraki leżące na kamienistym dnie.

- Gdzie się chowasz, ty żaloszny skurwysynu? - zapytała Savvy, gdy wiatr pachnący oceanem rozwiął jej włosy. Była zmęczona, jak zresztą wszyscy pracownicy Biura Szeryfa Okręgu Tillamook. Funkcjonariusze byli przepracowani i gonili w piętke.

A Justice Turnbull wciąż pozostawał na wolności.

Jakimś cudem ona i biuro musieli go dorwać.

Zanim znowu zabije.

Słońce stało już wysoko, gdy w końcu Laura dotarła do bramy Pieśni Syreny. Serce waliło jej mocno, ale nerwy miała pod kontrolą. Harrison wychylał się z samochodu i zaglądał za żelazną bramę.

- Jesteś pewna? - zapytał, a ona zmusiła się do uśmiechu.

- Nie jestem pewna niczego - przyznała. Nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście poprzednią noc spędziłam w domu twojej siostry, czy patrzyłeś na mnie, leżąc na materacu... i tego pocałunku też nie jestem pewna...

Odchrząknęła i odwróciła wzrok. - Ale to tutaj wszystko się zaczęło - wyjaśniła. Postanowiła, że nie pozwoli, żeby Justice rządził jej życiem. Przez większość ubiegłego tygodnia unikała go, bała się go, wzywała go, a potem uciekała przed nim.

Ale koniec z tym.

Nie mogła dać się sterroryzować i było to niesprawiedliwe wobec mieszkańek posiadłości za tą bramą. Po śniadaniu poprosiła Harrisona, żeby przywiózł ją tutaj. Nie protestował, nalegał tylko, żeby przedtem oszacowali skalę zniszczeń w jej domu.

Żadne z nich nie wspomniało o pocałunku ani o tym, co mogło się stać, gdyby Didi im nie przeszkodziła. Laurze to odpowiadało. Nie miała zamiaru udawać, że jej nie pocałował ani że mu się nie odwzajemniła, po prostu nie chciała o tym zbyt dużo myśleć.

Na razie.

Kiedy byli u niej, znalazł firmę szklarską, z której ktoś miał wpaść później i wymienić wybitą szybę. Zaproponował też, że sam naprawi zamek w drzwiach. Laura zostawiła właścicielowi domu wiadomość w poczcie głosowej, a potem podjechali pod Pieśń Syreny i teraz oto stała przed bramą i zastanawiała się, na jakie pytania znajdzie odpowiedzi po drugiej stronie.

- Teraz albo nigdy - powiedziała.

Ponieważ przy bramie nie było dzwonka, chwyciła stalowe pręty i szarpnęła, wołając jednocześnie:

- Catherine! Catherine!

Zanim wybrzmiał jej krzyk, w drzwiach pojawiła się Isadora. Szeleszcząc długą suknią szybko przeszła przez ganek i po kamiennej ścieżce dotarła do bramy.

- Lorelei - wyszeptała, wyraźnie strapiona, gdy zdejmowała łańcuch i szarpała za skrzydło bramy. Otworzyła się ze zgrzytem, a Isadora rzuciła się w ramiona zdumionej Laury.

- Słyszałyśmy, co się stało - powiedziała Isadora przez ściśnięte gardło. - Tak się martwiłam, tak bardzo... o Boże... - Drżała pod baldachimem liści, przez które przedostawało się blade światło słoneczne, cętkując podłoże.

Trawnik wciąż był wilgotny, pachniał ziemią i wodą, a aromat morza sączył się przez stare drzewa rosnące wokół domu.

- Wszystko w porządku - zapewniła Laura - naprawdę Isa-doro, nie martw się.

- Nic nie poradzę. To szaleniec! - Nagle zdała sobie sprawę, że nie są same i zerknęła ponad ramieniem Laury na stojącego przy samochodzie Harrisona - Och, przepraszam...

- Harrison chciałby pomóc. Isadora pokręciła głową.

- Nikt nie może pomóc.

Podejrzliwie patrzyła na Harrisona, który podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę.

- Harrison Frost.

Isadora niechętnie musnęła jego palce.

- Jest pan dziennikarzem.

- Tak.

- Ale nie tylko - powiedziała Isadora głośno, opuściła rękę i zmarszczyła brwi. - To o nim mówiła Cassandra. To poszukiwacz pra... - Zaczęła mówić, zanim zauważyła ostrzegawcze spojrzenie

Laury i zawiesiła głos. Isadora była w pokoju, gdy Cassandra wygłaszała swoje proroctwo. Słyszała też o ciąży, więc Laura desperacko pragnęła uciszyć siostrę.

- Muszę się zobaczyć z Catherine. - Laura nie zwróciła uwagi na dźwięk opon samochodowych na wysypanej żwirze alejce ani na szum silnika.

Isadora spojrzała w tamtym kierunku i krzyknęła:

- Justice!

Harrison i Laura zamarli i wpatrzyli się w wylot drogi.

- Wejdźcie do środka - poleciła Isadora - szybko! - A do Harrisona rzuciła: - Pan też!

Sama przestępowała przez próg i gotowa była zatrzaskać bramę, gdy między drzewami ukazała się maska dżipa, za którego kierownicą Laura ujrzała wysokiego mężczyznę z ciemnymi włosami, ponurym wyrazem twarzy i cieniem zarostu na mocnej szczęce.

To nie był Justice.

W fotelu pasażera siedziała kobieta. Ona też wyglądała na zatroskaną, ale zanim jeszcze dżip zatrzymał się i mogła wysiąść, Laura wiedziała, kim ona jest. Kobieta była jej krewną, siostrą. Zafascynowana spojrzała w duże piwne oczy przybyłej. Włosy z jasnymi pasemkami. Wyraźny, ostry podbródek. To szczególne, trudne do opisanie podobieństwo sylwetki.

Brama zatrzaskiwała się właśnie, gdy Isadora ją zatrzymała.

- Becca? - wyszeptała, a jej oczy zaokrągliły się, gdy na ganek wyszła Catherine.

- Isadora? - zawołała ją.

- Kim jest Becca? - zapytał Harrison.

- Jedną z moich sióstr - odparła Laura, gdy kierowca wysiadł z samochodu i okrążył go. Nie spotkała Beki nigdy wcześniej, ale wiedziała, że to jej siostra. Czytała o Becce Sutcliff i Hudsonie Walkerze kilka lat temu, przy okazji ostatniej krwawej rundy Justice'a.

Becca została adoptowana, zanim jeszcze Catherine zamknęła na zawsze bramę Pieśni Syreny i nigdy nie żyła w Kolonii ani Catherine nigdy o niej nie wspominała, ale siostry szeptały między sobą o tych, które dorastały „na zewnątrz”. Mimo, że Becca została adoptowana, Justice dowiedział się o niej i raz już stała się jego celem.

Słońce przenikało przez gałęzie ogromnych jodeł, Becca uniosła rękę i uśmiechnęła się niepewnie, a jej brązowe oczy wyrażały troskę. Mężczyzna, z którym przyjechała, prawdopodobnie Hudson Walker, otworzył tylne drzwi dzipa i Becca pochyliła się, żeby wyjąć z samochodu mniej więcej dwuletnią dziewczynkę o kręconych włosach, która siedziała przypięta w foteliku samochodowym.

Czuje je, kiedy są w ciąży.

Przerażająca deklaracja Justice'a przemknęła Laurze przez głowę i poczuła nową falę strachu. Czy Becca była w ciąży z tą ciemnowłosą dziewczynką, kiedy tropił ją Justice? Czy dlatego właśnie była jego celem?

Krew zastygła jej w żyłach, gdy patrzyła na dziecko. Błede. Apatyczne. Bez życia. O Boże...

Becca wzięła dziecko w ramiona, ale wzrokiem natrafiła na Laurę i stanęła bez ruchu.

- Ty jesteś Lorelei - zaryzykowała. - To ciebie ściga.

- Wiesz o tym?

Zawahała się, widać było, że ma ochotę skłamać, ale w końcu skinęła głową.

- Mam wizje - przyznała ostrożnie. - Widziałam, że cię gonił... Lorelei.

- O czym pani do diabła mówi? - zapytał Harrison.

- Wszystkie mamy dar - powiedziała Becca. - Lorelei panu nie mówiła?

- No tak, ale... - Harrison był zakłopotany.

- Ona nie jest jedyna - dodała Becca i ruszyła naprzód.

- Isadora! - zawołała Catherine. Kiedy zauważyła grupę zebraną pod bramą, zeszywniała i krew odpłynęła jej z twarzy.

- O Boże! - Podkasła spódnicę i zeszła z ganku, idąc w ich stronę. Jej szeleszcząca suknia miała kolor lnu, a siwe włosy zebrała w węzeł spięty na karku. - O co chodzi? - spytała z niepokojem wypisanym na twarzy.

Laura zerknęła w stronę domu i w oknach zobaczyła twarze sióstr, Ravinii i Cassandry. Lillibeth wyjechała na wózku na ganek i patrzyła w kierunku bramy.

Więźniarka.

Wózka.

Domu Pieśń Syreny. Losu.

Catherine przeszła przez bramę.

- Co ty tu robisz? - zapytała groźnie, zwracając zaniepokojoną twarz w kierunku Beki. - Nie wiesz, że on znów jest na wolności? Czy nie ostrzegałam, żebyś tu nie przyjeżdżała? To niebezpieczne!

- Nie mogliśmy czekać. - Becca, obejmując córeczkę, spojrzała na Catherine.

- Nigdy wcześniej nie był tak niebezpieczny - orzekła Catherine.

Becca pokręciła głową.

- Powstrzymałaś mnie wystarczająco długo. Nie interesują mnie wasze sekrety. - Catherine usiłowała coś powiedzieć, ale Becca jeszcze nie skończyła: - Zbyt wiele osób już straciło życie, Catherine. Zbyt wiele z nas, zbyt wiele obcych. To musi się skończyć! - Cała się trzęsła i powstrzymywała łzy. - A teraz... Rachel...

- zacisnęła mocno oczy, gdy dziecko zadrżało w jej ramionach.

Catherine spojrzała na dziewczynkę i twarz jej złagodniała.

- Wiem, że chcesz nas chronić, ale to się nie udaje. - Becca się uspokoiła, przełknęła łzy i spojrzała na starszą kobietę.

- Byłam tu tyle razy, chciałam poznać odpowiedzi, a ty mnie odtrącałaś. Odsyłałaś mnie! - W głosie słychać było poczucie krzywdy.

- A teraz... Teraz moja córka znów jest w niebezpieczeństwie.

- Wczepiona w swoje dziecko wyszeptwała: - Wpuść mnie, Catherine. Musimy porozmawiać. Wszyscy musimy porozmawiać.

- Nie wydaje mi się...

- Natychmiast! - powiedział mężczyzna, z którym przyjechała Becca, a jego oczy rozbliły błękitnym ogniem, gdy występował naprzód. Z wysokości swojego metra osiemdziesięciu centymetrów patrzył na nią z góry, także targany emocjami, z bólem w oczach.

Catherine zawahała się, a potem spojrzała na ospałe dziecko i powiedziała do Beki:

- W porządku. Ale bez mężczyzn. Weź ze sobą dziecko. Tylko się pospiesz. - Spojrzała na Laurę: - Ty też.

Stanąwszy naprzeciwko mężczyzn zarządziła:

- Zostańcie tu. To sprawa między nami.

A potem zamknęły za sobą bramę i poprowadziły Laurę, Bec-cę i Rachel do domu.

- Co za bzdury! - powiedział Harrison i próbował wepchnąć się za nimi, ale Hudson chwycił go za łokieć. - Nie pozwolę, żeby Laura...

- Daj spokój - powiedział Hudson.
- Niech to szlag.
- Będziemy tutaj - zawołał Hudson za Catherine. - Jeśli coś się będzie działo, ostrzeżemy was. - Jego wąskie wargi były blade.
- O co tu do diabła, chodzi? - Harrison zażądał odpowiedzi.
- Zobaczymy, czy potrafia pomóc mojej córce - powiedział. - Nie mam nic przeciwko staniu pod bramą, jeśli pojawi się tu ten chory skurwysyn.

Catherine skinęła głową w jego stronę i nagle przybyło jej jakieś dziesięć lat. Becca, z Rachel w objęciach, przeszła szybko przez ścieżkę, a Laura zaczęła się zastanawiać, jak bardzo była zdesperowana, by przywieźć dziecko tutaj, skoro zdecydowała się, wiedząc, że Justice jest w pobliżu. Czeka. Czai się. Przeczuwając śmierć każdej z osobna. Catherine schowała klucze do niewidocznej kieszeni w sukni i poprowadziła swoją trzódkę do drzwi, nie spuszczając z oka bramy, jak gdyby spodziewała się ujrzeć tam zastępy szatana zmierzające w ich stronę.

W domu nastąpiły szybkie powitania. Becca po raz pierwszy spotkała swoje siostry. Wyjaśniła, że mężczyzna, z którym przyjechała, to jej mąż, Hudson Walker. Nowo poznane kobiety podały jej swoje imiona: Isadora, Cassandra, Ravinia, Ophelia i Lillibeth. Wszystkie miały jasne lub popielatobrazowe włosy, niebieskie oczy i wyrażały wielkie zaciekawienie. Było ich więcej; niektóre, jak Laura czy Becca, nie spędziły tu całego życia, inne nie żyły lub zaginęły, ale duchy wszystkich wydawały się wciąż być częścią tego miejsca.

Tym razem Catherine nie przegoniła na górę młodszych dziewcząt, tylko poprowadziła je wszystkie do dużego pokoju na końcu głównego holu, naprzeciwko jadalni, którego centralnym punktem był ogromny kamienny kominek, wznoszący się na wysokość dwóch pięter, aż do górnej galerii. Ogień zasypano, a zapach zbutwiałego popiołu wisiał w powietrzu. Meble były stare i stanowiły zbieraninę sprzętów kolekcjonowanych przez ostatnich sto lat. Znajdowało się tu wszystko, od wiktoriańskich kozetek po eleganckie sofy z połowy XX wieku.

Catherine zasłoniła ciężkie kotary i wskazała im zabytkowe krzesła i kanapy rozstawione po całym pokoju. Zapaliła kilka lamp w stylu Tiffany'ego, które dawały przytłumione, kolorowe

światło, a potem stanęła przy palenisku. Lillibeth siedziała w pobliżu drzwi, a Ophelia, której Laura nie widziała w czasie poprzedniej wizyty, przysiadła na gzymsie kominka. Oczy miała okrągłe ze strachu i pocierała dłońmi ramiona, jakby było jej zimno.

Catherine patrzyła na dziewczynkę w ramionach Beki. Miała włosy ciemniejsze niż matka, ale jej oczy były w kolorze ciemnozielonym, a skóra porcelanowo biała. Patrzyła teraz łagodniej.

- Niepokoisz się, że Rachel jest kapryśna i rozgorączkowana

- zgadywała - ale nie ma żadnego medycznego wytłumaczenia dla takiego zachowania.

Becca, zaskoczona i ośmielona, skinęła głową.

- Przez pierwszych piętnaście miesięcy wszystko było w porządku, a potem... Pozmieniało się. Teraz nie śpi w nocy. W ciągu dnia zastaje ją wpatrzoną w przestrzeń. Jest rozpalona... - Delikatnie odgarnęła kosmyk włosów Rachel z jej pulchnego policzka.

- Podejrzewasz, że jest taka jest ty. Albo twoje siostry - wyszeptała Catherine, a Becca, w której oczach zebrały się łzy, ponownie skinęła głową.

- Czy to byłoby takie straszne?

- Chcę tylko, żeby moja córka była bezpieczna i szczęśliwa

- powiedziała Becca. - A to trudne, jeśli będzie inna. Nie jestem pewna, czy Hudson to zrozumie, ale przede wszystkim chcę po prostu wiedzieć, że wszystko z nią w porządku.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Catherine, a jej głos był zadziwiająco miękki. - Ma dar, to wszystko. -

Uśmiechnęła się melancholijnie. - Nic jej nie będzie.

- Muszę wiedzieć więcej - nalegała Becca, kołysząc Rachel i siadając na kozetce z nóżkami w kształcie pazurów, która wyglądała, jakby miała co najmniej sto lat. - Staraliście się zachować wszystkie sekrety, ale teraz muszę wiedzieć, ze względu na Rachel.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Mam pytania i ona też będzie miała. Catherine westchnęła.

- Obawiam się... Obawiam się, że on ją znajdzie - Głos Beki się załamał i Laura poczuła ukłucie poczucia winy. -

Muszę wiedzieć, co się stało z moją matką. Jak Mary zmarła? Nie wiem nawet, jak miał na imię mój ojciec. - Becca popatrzyła na kobiety, które były jej siostrami, i wszystkie, łącznie z Laurą, spojrzały na Catherine, czekając na odpowiedź.

- Harrison... Mężczyzna, który został na zewnątrz, czytał książkę, którą napisał ktoś o nazwisku Herman Smythe - powiedziała Laura.

- Też to czytałam - zgodziła się Becca - ale niewiele informacji jest zawartych na tych stronach.

Catherine zmęczonym krokiem podeszła do okna, rozchyliła zasłony i wyjrzała na zewnątrz.

- Bałam się tego dnia. Trzymałam tajemnice zamknięte w Pieśni Syreny, żeby was chronić i nie mogę wyjaśnić wszystkiego. Nie mamy dość czasu, zresztą nawet ja nie znam całej prawdy. Mogę wam powiedzieć, że wszystkie macie tę samą matkę. Moją siostrę, Mary. O tym wiecie. Ona była... inna. - Zasznurowała usta. - Być może nie w pełni normalna. Nie wiem, kim byli wasi ojcowie. Przykro mi. Prawdopodobnie Mary wiedziała, ale ona nie kochała mężczyzn. Wykorzystywała ich. - Catherine wpatrywała się w przerwę w zasłonach, ale Laura sądziła, że nie widzi ogrodu ani ścian domu, tylko coś, co tylko ona mogła dostrzec, obrazy z przeszłości. - Niedługo po tym, jak urodziła się najmłodsza z was, umarła. Szła skrajem klifu, co robiła często. Źle postawiła stopę i spadła na półkę skalną jakieś sześć metrów niżej. Sam upadek nie powinien był jej zabić, ale rozbiła głowę o wystający kamień. Kiedy zorientowaliśmy się, że długo nie wraca, że jej nie ma, było już ciemno. Znalazliśmy ją, ale za późno. Nie żyła. Przez chwilę panowała cisza, siostry przetrwały informacje. Potem Becca powiedziała:

- Nie znalazłam aktu zgonu ani grobu.

- Bo ich nie ma. Pochowaliśmy ją w domu rodzinnym, w Pieśni Syreny, obok przodków.

- Zdaje się, że to nielegalne - powiedziała bezbarwnym głosem Becca.

Catherine wzruszyła ramionami. Trudno było ją wystraszyć czymś nielegalnym w świecie zewnętrznym.

- Nie powinniście grzebać w przeszłości, szukać odpowiedzi, węszyć skandali. - Popatrzyła na Beccę. - Nie ma sensu. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Laura pamiętała grób Mary. Widziała w dzieciństwie ten pokryty mchem i porostami nagrobek, oznaczający miejsce spoczynku kobiety, która ją urodziła, a którą ledwie pamiętała.

- Chciałabym zobaczyć ten cmentarz - powiedziała Becca, ale Catherine zasunęła zasłony i pokręciła głową.

- W tej chwili musimy skoncentrować się na bezpieczeństwie, musimy upewnić się, że Justice został schwytany. Znam go, odkąd był małym chłopcem, i być może lepiej niż którykolwiek z jego lekarzy zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo jest chory, w jakim stopniu zdegenerowany. - Gładziła palcami brzożki draperii. -Rebecco, ty i twoja córka możecie zostać tutaj. Ty także, Lorelei. Będzie się spodziewał, że tu jesteście, ale to miejsce jest jak forteca.

- Nawet najpotężniejsza forteca może zostać zdobyta - powiedziała Laura. - I co będziemy robić? Po prostu czekać? Z nadzieją, że policja go złapie?

- A co innego możemy robić? - zapytała Catherine, szukając Laury wzrokiem.

Laura zadrżała i zastanowiła się, czy Catherine podejrzewała, że potrafi nie tylko odbierać oszalałe wrzaski Justice'a, ale także zwracać się do niego, prowokować, wywabić z kryjówki.

- Nie wiem.

- Nie mogę się tu chować - powiedziała Becca.

- Nikt cię nie namawiał do przybycia tutaj, Becco. Sama nalegałaś - przypomniała Catherine.

- Musiałam przyjechać. Nie tylko z powodu Rachel, ale... Justice i to wszystko... Miałam wizję i wiem, że tym razem poluje na Lorelei. - Becca spojrzała na Laurę z lekkim poczuciem winy. - Potem zobaczyłam, że zaatakował cię i... Powinnam była przyjechać wcześniej. - Przytuliła mocniej córeczkę. - Ale tak bardzo bałam się o Rachel.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła ją Laura. Dusila się, jak gdyby wszystkie skuliły się w schronie i czekały, aż porwie je zabójcze tornado. Wiedziała, że nie da rady siedzieć tu i czekać.

Czy powinna powiedzieć Catherine, że może mówić do Justice^? Że może zwabić go w pułapkę? Catherine i siostry mogłyby jej uwierzyć, ale biuro szeryfa na pewno nie.

Podeszła do kozetki, na której siedziała Becca, i położyła dłoń na czole Rachel, które było może trochę zbyt ciepłe, ale gładkie jak jedwab.

- Jestem pielęgniarką - powiedziała - jeśli mogę jakoś pomóc... Becca się uśmiechnęła:

- Po prostu powiedz mi, że wszystko będzie z nią dobrze.
- Oczywiście, że będzie - powiedziała Laura, ale oboydwie wiedziały, że tak długo, jak Justice Turnbull pozostanie wśród żywych, to było kłamstwo.

Rozdział 36

Tak blisko.

Podszedłem tak blisko.

Wciąż czuję w dłoni nóż, gdy gonilem ją przez noc. Ręka pulsuje mi w miejscu, gdzie mnie dźgnęła; piecze mnie skóra, w miejscach, które otarłem, gdy wybijałem szybę w jej drzwiach.

Jak mogłem pozwolić jej uciec, skoro dotarłem tak blisko... ?

To przez mężczyznę, który był z nią, nie jej męża, tylko dziennikarza! Wyczułem go poprzez jej umysł, ona myśli, że jest poszukiwaczem prawdy. Zidentyfikowanie go i namierzenie miejsca pracy ani mieszkania nie było trudne...

Wszystko jest w komputerach w bibliotece.

Na początku myślałem, że mnie rozpoznają, ale dzięki przebraniu i krótkowzroczności bibliotekarki wszedłem do biblioteki bez problemu.

Poniosłem porażkę, nie udało mi się zabić Lorelei i jej bękarta, ale muszę się otrząsnąć i spełnić swój obowiązek.

Jej zapach jest wszechobecny. Smród wypala mi nozdrza i wrzyna się w moją duszę. A teraz jest ich więcej... Ta, która uciekła... Becca... Wróciła, razem z dzieckiem. Czuję ją i wiem, że się boi.

To dobrze. Bardzo dobrze. Je też muszę zabić...

Droga powrotna do sklepu wędkarskiego i nory, w której mieszkam, zajęła mi ponad godzinę, ale już jestem.

Wróciłem. I jest tu pojazd, który mogę pożyczyć, nikt go nie używa, stoi zaparkowany obok przystani, należy do starego ślepego głupca Cartera... Zostawia go poza zasięgiem kamer monitoringu... Muszę tylko poczekać, aż zapadnie zmrok...

Ból pulsuje mi za oczami, a żołądek się kurczy, przypominając, że minęło kilka godzin, odkąd ostatnio coś jadłem.

Pieniądze, które znalazłem w portfelu Cosmo i kurtce kierowcy vana, prawie się skończyły... Będę potrzebował więcej.

Wracam myślami do tego dziennikarza. Chce cudzołożyć z Lorelei. Dłonie zaciskają mi się w pięści. Cudzołożyć z wiedźmą, w której kielkuje już nasienie.

Muszę ją zabić... Zabić ich wszystkich...

Myśli mi się rwą... Rozpadają się i muszę się bardzo starać, żeby zebrać je z powrotem, poskładać. Oddycham głęboko, ale tutaj, zamknięty w brudnym pokoju nad sklepem wędkarskim, czuję się ograniczony i słaby... Odnajduję rękojeść noża, jej noża, i przesuвам palec po jego gładkim ostrzu.

Teraz widzę je oczyma wyobraźni, dziwki szatana, zebrane razem, knujące, spiskujące, pewne, że mogą mnie przechytrzyć...

Ich obrazy się zlewają.

Popielate włosy...

Stalowoniebieskie oczy...

Ostre podbródki...

Usteczka jak pączki róż, odsłaniające drobne zęby niczym igielki... kocie zęby...

jak zwykle atakują mnie swoimi dziecinnymi zaczepkami i ostrymi jak brzytwa inwektywami:

- Bękart! - mówi jedna i piskliwie chichocze.

- Idiota! - śmieje się druga, w jej błękitnych oczach błyska samozadowolenie. Myśli, że jest niegrzeczna i tak niezwykle przebiegła.

- Kretyn! - ćwierka kolejna i pokazuje, jaka jest mądra.

- Podrzutek! - krzyczą, a chór głosów rozbrzmiewa mi w głowie, ich nikczemny śmiech odbija się echem.

- Podrzutek! Pod-rzutek! Podrzutek! - Ta ohydna przyśpiewka sprawia, że wybuchają salwami wrzaskliwego śmiechu, który mnie rani, i biegnę, szybciej i szybciej, byle dalej od nich, wzdłuż plaży, do bungalowów... i latarni morskiej za nimi...

Krzyk mewy przywraca mnie do rzeczywistości, moja namiastka pokoju cuchnąca rybami i benzyną. Ręce mam owinięte w poły brudnego kradzionego płaszcza, na którym leżę. Przez okno zasnutę pajęczynami patrzę daleko ponad ocean i na tle lazurowego nieba widzę kołującą mewę.

Czas to zakończyć.

Na zawsze.

- Ssssiossstry - syczę, ale wysiłek jest za duży, moje własne słowa wracają do mnie rykoszetem i fałują w moim umyśle. Lo-

relei chowa się przede mną za murem, który zbudowała w swojej głowie, tak jak Catherine w Pieśni Syreny...

Ale ja się przedostanę. Mam plan...

Muszę iść nad morze. Poczuc pieszczotę słonego powietrza, usłyszeć ryk fal rozbijających się o brzeg mojego serca.

Odrodzą się.

Będę silny.

I zabiję.

Ciesz się, czuję, że tak będzie, i przesuwał palcem po długim ostrzu noża. Szkarłatna linia zakwita na opuszcze palca, oglądam ją starannie, a potem ssę ranę i kosztuję słonego smaku własnej krwi.

Tak, tak. Już czas...

Laura i Becca szły zapuszczonym trawnikiem, na którym słońce przenikające przez koronkę liści malowało świetlne cętki. Spod ich stóp, z wilgotnego leśnego poszycia ulatywały obłoczki pary, wśród drzew czaiła się mgła, w dali połyskiwał Pacyfik. Becca niosła Rachel, a dziewczynka uważnie obserwowała otoczenie, choć nie powiedziała ani słowa.

W ciągu minionych kilku godzin Laura na nowo zaprzyjaźniła się ze swoimi siostrami i poznała lepiej Becę, o której wcześniej tylko szeptano w Pieśni Syreny. Co więcej, miała szansę wziąć na ręce Rachel i wywołać na jej buzi uśmiech. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że Justice mógłby skrzywdzić którąś z nich, a zwłaszcza to niewinne dziecko.

Zanim wyszły z domu, Laura podała Catherine i Isadorze numer swojej komórki, na wypadek gdyby musiały się skontaktować.

Catherine nie zapisała telefonu.

Isadora tak.

- To tutaj - powiedziała Laura, gdy wypatrzyła niski płotek otaczający mały cmentarz, znajdujący się we wschodniej części posiadłości. Jak powiedziała Catherine, spoczywali tu ich przodkowie. Cmentarz ukryty wśród bujnej roślinności, położony wysoko na skale, otoczony rachitycznym ogrodzeniem porośniętym winoroślą odwiedzały tylko mieszkanki Pieśni Syreny. Imiona i daty na rozpadających się kamiennych płytach trudno było odczytać. Pomniki zdobiły małe, proste krzyże, wizerunki aniołów i kwiatowe wieńce.

- Nie mogę uwierzyć, że wreszcie tu jestem - powiedziała Becca, torując sobie drogę przez pędy winorośli, które prawie całkiem zakryły furtkę. - Stąd wyraźniej słychać ocean.
- Tak ci się tylko wydaje.
- Jane Peony - odczytała na głos z niewielkiego nagrobka. - Ukochana córka, urodzona siedemnastego marca 1873 roku, zmarła trzydziestego pierwszego października 1875. - Becca przytuliła mocniej swoją córeczkę i dodała: - Dziecko. Jakie to okropne.
- Straszne - zgodziła się Laura. - Oto i on - powiedziała, dotarłszy do omszałego grobu, w którym pochowana była Mary. Stał na nim anioł ze złożonymi skrzydłami, spoglądający w dół; fragment skrzydeł odpadł. Inskrypcja była prosta: „Mary Rutledge Beeman, kochająca matka”, a dalej daty urodzin i śmierci.
- Prawie jej nie pamiętam - przyznała Laura. - Miałam wtedy dziesięć lat, ale wspomnienia są zamglone i nie jestem nawet pewna, czy są prawdziwe, bo może to sny albo historie, jakie ktoś mi opowiedział, i uwierzyłam, że sama je zapamiętałam.
- Ja nigdy jej nie znałam - powiedziała miękko Becca. Oczywiście, że nie. Rebecca została adoptowana, dorastała w „normalnej” rodzinie i chodziła do katolickiej szkoły Świętej Elżbiety w Portland. Do niedawna nie wiedziała o istnieniu Pieśni Syreny, tych starych murów i cmentarza.
- Dlaczego nigdzie nie ma żadnych oficjalnych danych na temat jej narodzin i śmierci? - zapytała.
- Bo tutaj wszystko jest tajemnicą.
- Albo kłamstwem - powiedziała Becca, wpatrując się w miejsce ostatniego spoczynku swojej matki. - Wiemy tylko to, co Catherine zechce nam powiedzieć, plus informacje z książki napisanej przez kogoś nazwiskiem Smythe. Ale kto powiedział, że to prawda, choćby częściowa? Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że jesteśmy spokrewnione, prawie wszyscy chłopcy w rodzinie umierają młodo i w tej chwili wszystkie, łącznie z Rachel, jeśli Catherine ma rację, posiadamy zdolności telepatyczne. - Pokręciła głową i westchnęła. - I jest jeszcze Justice Turnbull. Laura spojrzała na Rachel, która wierciła się w ramionach matki.
- I jest jeszcze Justice - powtórzyła. - Chciałabym znaleźć sposób, żeby go znaleźć, złapać i...

- Zabić? - spytała Laura i przeszedł ją dreszcz. Przypomniała sobie, jak ją ścigał, jak bardzo chciał ją zabić, czuła go tak blisko siebie... Huk oceanu zabrzmiał w jej uszach.

- On chce nas pozabijać. Wszystkie. Łącznie z... - przerwała i spojrzała w bok. Laura domyśliła się, że Becca mówi o swoim dziecku. Pomyślała o własnym i o tym, że Justice niczego nie pragnie bardziej, jak tylko odebrać mu życie, zanim jeszcze przyjdzie na świat.

W oczach Beki czaił się niepokój, ale dokończyła zdecydowanie:

- Zrobiłabym wszystko, żeby ocalić swoje dziecko, Lorelei. Wszystko. Jeśli to oznacza konfrontację z Justice'em Turnbullem i pokonanie go, niech i tak będzie. - Zdecydowanie zacisnęła usta; mówiła poważnie.

Gdzieś w wyższych partiach drzew przebiegła wiewiórka i w tym momencie Laura usłyszała głos Justice'a. Ten obrzydliwy syk zdawał się pełznąć jak wąż wśród drzew i wślizgiwał się jej do mózgu.

Ssssiossstry.

Liczba mnoga.

Do cholery. Wiedział, że Becca jest przy niej i choć brzmiał słabiej niż wcześniej, słyszała go; zamknęła oczy i skupiła się na wzniesieniu muru w swoim umyśle.

- Lauro? - Głos Beki docierał do niej jakby z bardzo daleka. - Hej, Lauro! - zawołała ostrzej i dotknęła jej ramienia.

Laura zamrugała i zobaczyła, że siostra wpatruje się w nią z niepokojem.

- Przez moment wydawało mi się... - nie dokończyła zdania.

- Próbował się ze mną skontaktować.

- Co?

- Myślę, że wie, że ty i Rachel jesteście tutaj.

- O Boże! - Becca zbladła.

- Musicie wyjechać. Gdzieś daleko - powiedziała Laura. - Zabierz Rachel z powrotem do Laurelton, gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie. W miejsce, o którym Justice nie wie. Nie pojedzie tam, w każdym razie dopóki nie rozprawi się ze mną. Mnie będzie szukał najpierw.

- Nie mogę cię zostawić, żebyś sama stawiała mu czoło.

- Nie będę sama. Policja się tym zajmie. Będę bezpieczna -zapewniła Laura. - Ty masz wizję. Ja go słyszę. Możesz zawsze

do mnie zadzwonić, ale naprawdę najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz. - Rozejrzała się po cmentarzu. Nawet mury Pieśni Syreny nie były wystarczająco mocne. - Tak będzie najlepiej. Dla ciebie i dla Rachel.

Becca zamierzała chyba dyskutować, ale Rachel zaczęła marudzić.

- Pozwól mi się tym zająć - nalegała Laura.

- Lepiej będzie, gdy staniemy przeciwko niemu razem - zaczęła Becca, ale w tym momencie Rachel zawołała:

- Puść mnie!

Laura popatrzyła na swoją siostrzenicę, a potem z powrotem na Beccę. Niewypowiedziane pytanie: „Jak byś się czuła, gdyby coś jej się stało?”, zawisło między nimi.

Laura powiedziała łagodnie, ale zdecydowanie:

- Wiesz, do czego jest zdolny. Widziałas na własne oczy. Proszę, wyjedź. Będę z tobą w kontakcie. Obiecuję. Ale ty musisz wracać do domu. Albo gdziekolwiek, byle daleko stąd.

- Mamusiu, puść mnie! - zażądała Rachel.

- Już idziemy, kochanie - powiedziała Becca. - Dobrze, wyjadę, ale bądźmy w kontakcie. Masz mój numer.

- Będziemy - obiecała Laura.

Hudson i Harrison stali przed bramą. Becca ruszyła w ich stronę, a Laura dała Harrisonowi znak ręką, że wejdzie jeszcze do domu pożegnać się z Catherine i siostrami.

Obiecała sobie, że znajdzie sposób na powstrzymanie Justi-ce'a. Retorycznym stwierdzeniem było, że on nie spocznie, dopóki nie pozabija ich wszystkich i naprawdę jako cud należało traktować fakt, że od czasu jego ucieczki nie ucierpiał nikt związany z Kolonią.

Ale to była tylko kwestia czasu.

Chyba że uda jej się pozbyć tego sukinsyna.

- Nie lubię, kiedy musimy się rozdzielać - powiedział Harrison, podjeżdżając na parking dla personelu szpitala Ocean Park. Subaru Laury stało tam, gdzie zostawiła je wczoraj.

- Muszę porozmawiać z szefową - powtórzyła i położyła dłoń na jego ręce, a on przypomniał sobie, jak niewiele brakowało, żeby zaczęli się kochać. - Spotkamy się potem u mnie i opowiem ci o mojej rodzinie.

- No ja myślę!

Spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi. Zauważył ciemne kręgi pod oczami i to, że jej skóra stała się bardzo blada.

- Szklarz będzie na miejscu za niecałą godzinę.

- W porządku - Harrison zrozumiał aluzję - poczekam na niego.

- Przyjadę niedługo - sięgnęła do klamki, ale złapał ją za nadgarstek.

- Wszystko dobrze?

Roześmiała się smutno, a w jej oczach, gdy podchwycił jej spojrzenie, zobaczył niepokój.

- A jak myślisz?

- Damy radę - zapewnił.

- Pewnie tak - pochyliła się i pocałowała go. Jej wargi były ciepłe, a on wsunął między nie język, wziął ją w ramiona i poczuł, że krew zaczęła mu szybciej krążyć.

- Przyjeżdżaj szybko - powiedział i wtedy uśmiechnęła się szczerze.

- Dobrze.

Potem odsunęła się i wysiadła z samochodu.

Kiedy się upewnił, że weszła do szpitala, wyjechał z parkingu na autostradę. Część poranka spędził przed bramą Pieśni Syreny w towarzystwie ranczera, Hudsona Walkera, męża jednej z przyrodnich sióstr Lorelei, i był pewien, że jakimś cudem Justice Turnbull dowie się, że była w środku. Nie mógł się pozbyć uczucia, że Turnbull ją znajdzie i skrzywdzi. A Hudson Walker całkowicie się z nim zgadzał. Harrison spodziewał się, że ranczer z Laurelton raczej wyśmieje jego niepokój, ale to nie wchodziło w grę. Hudson też był bardzo zaniepokojony, widział z bliska, do czego Justice jest zdolny i nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Hudson nie chciał przyjechać do Pieśni Syreny, pragnął trzymać żonę i dziecko tak daleko od Justice'a Turnbulla, jak to tylko możliwe, ale Becca nalegała, więc zgodził się, pod warunkiem że przyjedzie z nią. Przyznał, że jego żona bywa uparta jak osioł, ale nie musiał mówić nic więcej, bo Harrison z autopsji wiedział, jak nieustępliwe potrafią być kobiety z Kolonii.

To było dziwne, myślał, mijając zakręty w kształcie litery S wysoko nad Pacyfikiem. Ocean był dziś spokojniejszy, słońce błyszczało

na falach, ale na horyzoncie widać było kłębiące się chmury, które zbliżały się w stronę lądu i zapowiadały kolejną burzę.

Harrison znał Laure - Lorelei - krócej niż tydzień, ale było w niej coś, co go do niej przyciągało, i wydawało mu się to niebezpieczne.

Dom wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy go opuszczali. Cichy. Pusty. Zbyt pusty, stwierdził, gdy wszedł do środka. Posprzątał, a potem wymienił zamek. Szklarz zjawił się prawie czterdzieści pięć minut później, ocenił zniszczenie i pokręcił głową:

- To będzie wymagało więcej pracy, niż myślałem - powiedział. - Całe okno jest uszkodzone, więc naprawa będzie kosztowała tyle samo co wstawienie nowego. - Wskazał fragment drewna, który miał utrzymać szybę i przejechał palcem po uszkodzonym miejscu.

- Proszę to zrobić tak, żeby było dobrze - zlecił Harrison i fachowiec zabrał się do pracy. Kiedy okno było gotowe, Harrison dokończył montować nowy zamek, a potem sprawdził na wszelki wypadek wszystkie okna.

Laura umówiła się z przełożoną, że odpracuje przedpołudniową zmianę dziś wieczorem i nazajutrz rano. Kobieta była wciąż trochę nadąsana, ale wprowadziła zmiany do grafika.

Rozmowa nie była tak nieprzyjemna, jak Laura się obawiała, ale nadal czuła się nieswojo. Tak jak przez cały dzień. Winiła za to stres związany z wydarzeniami zeszłego tygodnia, spotkanie z Justice'em, emocjonalne rozdarcie związane z wizytą w Pieśni Syreny. Cięża też była ważnym czynnikiem, jak również sprzeczne uczucia wobec Harrisona.

Musiała powiedzieć mu o dziecku. Być szczerą. Pamiętała, jak to było całować go i chcieć o wiele więcej.

- Lauro!

Szła korytarzem, gdy usłyszała dudniący głos Byrona. Jęknęła w duchu i się odwróciła. Byron. Miał oskarżycielski wyraz twarzy, zaciśnięte szczęki, a w policzku drgał mu mięsień.

- Co się stało? - zapytał z wściekłością.

Pomyślała o wszystkim, co jej się przydarzyło w ciągu ostatnich dni. Czy słyszał już, że Justice ją zaatakował? Że włamał się do jej domu? Że spędzała wiele czasu z Harrisonem?

- Nie było cię wczoraj wieczorem w pracy i ta cholerna baba zadzwoniła do mnie. Chciała wiedzieć, gdzie jesteś, powiedziała, że porzuciłaś swoich pacjentów...

- Nie powiedziała tak - przerwała mu Laura, która miała serdecznie dość tych bzdur. - Załatwiłam zastępstwo i ona o tym wiedziała.
- Ale dlaczego?
- Byłam w biurze szeryfa. Składałam wyjaśnienia w sprawie włamania do domu i tego, że Justice Turnbull usiłował mnie zabić.
- Co? - Nagle stracił cały animusz. - Turnbull cię ściga? Dlaczego? - zapytał, a potem jego twarz zmartwiała: - Dlatego, że masz związek z Kolonią.
- Wiedziałaś?
- Podejrzywałem - rzucił Byron. - Mój Boże, nie wierzę w to. Jesteś pielęgniarzką w tym szpitalu, a ja lekarzem. Nie mogę... cię bronić ... to wszystko...
- Jesteśmy po rozwodzie, pamiętasz? Ściągnął usta.
- Wciąż jesteś ze mną kojarzona, Lauro. A jeśli nosisz moje dziecko, ten związek jeszcze się zacieśni. Poza tym, wciąż nosisz moje nazwisko. Więc bądź ostrożna. Niektórzy ludzie myślą, że wciąż jesteśmy małżeństwem!
- Więc postaraj się, żeby dowiedzieli się o naszym rozwodzie. Nie chciałabym zszargać twojej reputacji. - Potrząsnęła głową, gdy zadzwoniła jego komórka, i spojrzał na wyświetlacz, żeby sprawdzić numer. - No wiesz, ja w sekcje i tak dalej.

Rozdział 37

Mike Ferguson nie zamierzał czekać, aż jego głabowatemu bratu urosną jaja. Nie, kiedy Justice Turnbull był na wolności. Leżał na łóżku i wyrzucał w górę piłkę tenisową, usiłując rzucić najwyżej jak się da, ale nie uderzając w sufit, a potem łapał ją, po to tylko, by rzucić z powrotem.

Byłoby super, gdyby udało mu się zrobić zdjęcie tego psycho-la. Albo zabrać jakąś rzecz z jego meliny. A może nawet pomóc w ujęciu go!

Złapał piłkę w powietrzu, a potem upuścił, sturlał się z łóżka i podszedł do biurka. Wycinał z gazet artykuły o Justisie Turnbullu i przypinał je do ściany. Zdjęcie z kartoteki więziennej, zdjęcie

zapyziałego hotelu, w którym niemal zamordował własną matkę, i latarni morskiej na wyspie zwanej Okiem Żmii. Kurczę, ale chciałby tam pojechać! Po prostu się rozejrzeć. Może wspiąć się na samą górę i spojrzeć na morze... I oczywiście porobić zdjęcia. Spokojnie wystarczy mu do tego iPhone.

Zrobiłby wrażenie na ludziach w szkole.

A może nawet zaimponowałby Jamesowi.

Temu dupkowi.

James twierdził, że Mike cierpi z powodu „fajerskiej manii wielkości”, co jak na Jamesa było bardzo wyszukany słownictwem. Ale Mike nie miał zamiaru dać się zbyć. Rodzice wracali do domu w weekend i wtedy nie będzie już szansy na wyprawę na wybrzeże. Na pewno nie pozwolą Jamesowi jechać na cały dzień do Deception Bay.

Gdyby tylko miał prawo jazdy. Nie pękałby tak jak James.

Co prawda mógłby ukraść kluczyki do samochodu, kiedy James będzie spał, ale pewnie w końcu by go złapali, a przecież nie miał ani prawka, ani nawet warunkowego pozwolenia na prowadzenie samochodu. Ale właściwie, czy to było takie trudne? Wsadzić kluczyk do stacyjki, przekręcić zapłon, znaleźć odpowiednią stację w radiu i wrzucić bieg. A potem tylko nacisnąć gaz, no nie?

Jego matka potrafiła prowadzić, rozmawiając przez telefon i jedząc batonik, więc Mike też powinien dać sobie radę. Wolał jednak nie dopisywać kradzieży samochodu do i tak robiącej wrażenie listy swoich grzechów. Matka by go zabiła.

Nie, najlepszym rozwiązaniem była próba ponownego przekonania Jamesa, że podróż była konieczna, tylko że James miał od kilku dni parszywy humor. Mimo to Mike podjął jeszcze jedną wyprawę do pokoju brata, gdzie zastał go leżącego na łóżku, przerzucającego kanały w telewizorze i grającego w gry w iPhone.

- Nie! - powiedział James zanim jeszcze spojrzał na stojącego w drzwiach Mike'a.

- Nawet nie wiesz, co chcę powiedzieć.

- Oczywiście, że wiem. Chcesz, żebym zawiózł cię nad morze. Zapomnij o tym - patrzył na swój telefon i marszczył brwi.

- Ale mówię ci, byłoby super. I musimy jechać teraz, bo przez te dwa dni poziom wody będzie najniższy w ciągu roku.

- I co z tego?

- To, że łatwiej się będzie dostać do latarni morskiej Justice'a Tumbulla. Może moglibyśmy przejść po skałach.
- Skąd ty bierzesz te wszystkie bzdury? - mruknął James. - I co cię to obchodzi? Ach, no tak, zapomniałem! Jesteś świrem.
- Nie jestem...
- Żartujesz sobie? Posłuchaj sam siebie. Chcesz dopłynąć przez ocean do opuszczonej latarni morskiej, w której ukrywał się kiedyś seryjny morderca. Nie, czekaj, seryjny morderca, który w tej chwili przebywa na wolności i nadal zabija ludzi. Zdajesz sobie sprawę, jakie to idiotyczne?
- On tam nie przyjdzie. Gliny obstawiają to miejsce.
- Więc gliny cię złapią.
- Nie będą tam szukać mnie.
- Jesteś debilem, wiesz o tym? - James spojrział na brata z wyrazem szczerego obrzydzenia. - Powiedziałem, że nie ma mowy, więc daj mi święty spokój.
- Ale..
- Posłuchaj, głąbie, nie ma o czym mówić. - Jego telefon musiał zawibrować, bo odebrał i zatopił się w rozmowie. Mike zrozumiał i ruszył z powrotem do swojego pokoju. Jeśli James nie chce go zawieźć, znajdzie inny sposób. Właściwie już miał plan.
- Po prostu się boisz - zawołał przez ramię.
- Dupek! - Piłka do nogi poleciała w jego stronę, ale zdążył się schylić i uderzyła w ścianę przedpokoju, zostawiając plamę. Mama będzie zła. Ale naprawdę wściekła będzie, jeśli dowie się kiedyś, że Mike pojechał na plażę autostopem.

Catherine stała w oknie sypialni w zachodnim skrzydle domu. Ze swojego punktu obserwacyjnego na drugim piętrze widziała między drzewami ocean, mieniący się w popołudniowym słońcu. Uparte kłębowisko chmur zbliżało się do brzegu i zwiastowało mżawkę i mgły, odsuwając przybycie lata jeszcze o kilka dni.

Sprawy znowu się skomplikowały, być może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Ta wizyta Beki i Lorelei, bardzo stresująca. A Catherine widziała miny pozostałych swoich podopiecznych, zwłaszcza Ravinii, która bez końca gładziła kosmyk długich jasnych włosów. Rozpromieniła się nieco i Catherine przeczuwała, że niedługo je opuści. Cassandra ją ostrzegała, poza tym Catherine

sama widziała bunt na jej twarzy i to, jak chłonęła słowa Beki i Laury. Ravinia zawsze była niepokorna i dociekliwa i bunt był tylko kwestią czasu. Catherine nie byłaby w stanie jej powstrzymać.

Ophelia zachowywała ostrożność, ale taka już była z natury.

Najwięcej kłopotów było z Lillibeth, bo dziewczyna, choć przykuta do wózka, desperacko pragnęła wolności. Była niewinna i naiwna, każdy mógł ją wykorzystać. Wiedziała, że poza murami Pieśni Syreny istnieje życie i ludzila się, że tam czekają na nią radość, emocje i ratunek, a może nawet lekarstwo. Nie wiedziała nic o okrucieństwie ludzi, o tym, że nawet w czasach, gdy modna była polityczna poprawność i otwartość, wciąż częściej spotykało się nienawiść, wrogość i nieufność.

A poza tym był Justice Turnbull, który chciał je zabić.

Catherine, choć uważana czasem za klawisza więziennego, była pacyfistką. Teraz jednak przyniosła ze strychu starą wiatrówkę, wyczyściła ją i trzymała przy łóżku. Miała też mniejszą broń, otrzymaną od jednego z kochanków Mary, którą trzymała w kredensie w jadalni, schowaną za srebrnymi talerzami wyciąganymi tylko na specjalne okazje. Była naładowana i gotowa. Pacyfistką czy nie, jeśli Justice dostanie się tutaj, nie zawaha się przed wysłaniem drania na tamten świat.

Każdy, kto chciałby skrzywdzić którąś z kobiet, na których jej zależało, będzie musiał się najpierw zmierzyć z nią. Tak musiało być.

A przynajmniej tak było kiedyś.

Czuła, że jej życie wkrótce się zmieni. Miała tylko nadzieję, że gdy nadejdzie czas, dziewczęta zaadaptują się w świecie zewnętrznym, poza murami Pieśni Syreny.

Dziewczęta, w swoich pokojach, czekały na obiad. Catherine wykorzystała to i poszła do lasu.

Energicznie maszerowała wśród bujnych paproci, kęp golte-rii, winorośli wyciągających kolczaste ramiona, pod omszałymi jodłami z rozłożystymi gałęziami, po których skakały wiewiórki.

Wcześniej widziała, jak tę samą trasę pokonują Becca i Lorelei, jak pochylają się nad grobem Mary.

O Boże.

To był właśnie problem z kłamstwami, pomyślała Catherine, gdy wchodziła na cmentarz. Jeśli wydało się jedno, wkrótce pruła się cała konstrukcja i paskudna prawda wychodziła na jaw. Mi-

nęła kilka nagrobków, a obrazy tych, którzy odeszli, przesuwały się jej przed oczami. W końcu dotarła do grobu Mary, miejsca, w którym lata temu ziemia została poruszona, a trumna spuszczonej w ciemną otchłań.

Dzieci Mary były za małe, żeby pamiętać zdobioną sosnową trumnę, ale Catherine pamiętała...

Znowu poczuła złość, zimną furję, gdy przypomniała sobie, jak nieczuła była jej siostra dla własnych dzieci, jak je traktowała.

W pewnym sensie Mary była potworem.

Więc Catherine ją zabiła. Och, nie fizycznie, ma się rozumieć. Zabiła pamięć o niej. To wtedy zaczęła kłamać. W tym zapomnianym grobie, w zbutwiałej trumnie Mary były tylko kamienie.

Mary żyła.

Wygnała.

Uwięziona na maleńkiej wysepce leżącej poza skalistym fragmentem lądu zwanego Okiem Żmii, gdzie znajdowała się latarnia morska. Na wysepkę nikt nie przyplęwał; nikt, z wyjątkiem Catherine, w łodzi Earla.

Mary wiodła tam pustelnicze życie.

Catherine popatrzyła na ocean pomiędzy gałęziami jodły i szczwołu. Tutaj, wśród wielkich skał, kapryśnych wiatrów i wysokich fal, które często uniemożliwiały żeglowanie, pozbycie się siostry nie było bardzo trudne. Skupiła wzrok na jej wysepce, którą miejscowi nazywali Echo Island, bo dźwięk odbijał się od otaczających ją skał. Ostatnio popłynął tam Earl, który przez prawie całe swoje życie pracował dla Kolonii, zawózł Mary jedzenie.

Catherine nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała siostrę.

- Dobry Boże - wyszeptała i zamknęła oczy, pogrążona w modlitwie o to, żeby żadna z córek Mary nigdy nie dowiedziała się, co jej zrobiła.

Pierwszy ostry skurcz Laura poczuła, gdy była w delikatesach w centrum handlowym Drift In, gdzie pracowała jako nastolatka. W jednej chwili patrzyła przez szybę na gablotę w dziale spożywczym, zastanawiając się, czy kupić kanapkę z indykiem na chlebie razowym, czy pieczywo żytnie z szynką, a w następnej tępy ból przeszył jej całe ciało.

- Nie - powiedziała głośno, aż dziewczyna za ladą spojrzała na nią i zamarła z nożem w ręku.

- Słucham?

- Nie, nic - Laura ruszyła w stronę toalet znajdujących się na tyłach marketu. Weszła do jednej, zamknęła się i zaczęła przekonywać samą siebie, że się myli, że nie czuła skurczu, że nie zaczynało się poronienie... Ale dowody były namacalne.

Krwawiła. Nie, błagam, tylko nie to...

Ostry ból, jak w czasie okresu, przeszywał ją na wysokości krzyża i nie był dobrym znakiem. Wiedziała, co się dzieje, i wiedziała również, że poronienia w pierwszych trzech miesiącach ciąży nie należą do rzadkości. Mimo to była wstrząśnięta i pragnęła zaprzeczyć temu, co się działo, naprawić to, co zepsuło się wewnątrz niej, i ocalić życie, które dopiero zaczęło się rozwijać.

Ale krwi było zbyt wiele. Kupiła podpaski w automacie, płakała cicho. Ogarnął ją obezwładniający smutek, nie mogła się ruszyć z miejsca przez ponad godzinę. Ktoś szarpał za klamkę, ale Laura się nie odzywała.

Wyszła ze sklepu na trzęsących się nogach i pojechała prosto do domu.

Rozmyślała o tej maleńkiej istotce, której tak bardzo pragnęła. Ale było już za późno... Za późno...

Kiedy przyjechała, nowe okno i zamek były już wstawione. Zdobyła się na słaby uśmiech, gdy Harrison chciał ją przytulić, ale się uchyliła.

- Daj mi chwilę - poprosiła, wyjęła z szafy czyste ubranie i zamknęła się w łazience. Wciąż krwawiła.

Straciła dziecko.

Do oczu napłynęły jej łzy.

Smutek zacisnął się wokół jej duszy.

Wiedziała o ciąży jedynie przez tydzień, a zdążyła już poczuć więź ze swoim dzieckiem, miała plany na przyszłość.

Rozkręciła kurki pod prysznicem i zdławiła szloch. Rozebrała się i weszła pod strumień gorącej wody, a kiedy szum stał się wystarczająco głośny, żeby zagłuszyć jej płacz, dała upust rozpacz, a ciepła woda spływała po jej ciele.

Nie! Nie! Nie!

To się nie dzieje naprawdę.

Proszę, Boże, ocal to niewinne istnienie!

Ramiona zatrzęśły się jej od płaczu.

Ze wszystkich wydarzeń ubiegłego tygodnia utrata dziecka była najgorsza. Marzyła o dziecku od lat i mimo że rozwiodła się z Byronem i musiałaby sama wychowywać córeczkę, nie miało to dla niej znaczenia. Ale... Boże drogi... Oparła się o płytki na ścianie i pozwoliła, żeby woda rozluźniła jej mięśnie. Jakaś część niej pragnęła zaprzeczyć, że to się wydarzyło, ale nie mogła.

To nie było nieznaczne krwawienie, raczej bardzo obfity okres.

Nie mogła zrobić nic więcej poza pogodzeniem się z tą stratą.

A na to trzeba było czasu.

Wiele czasu.

Zsunęła się, wciąż oparta o ścianę, i ukucnęła, obejmując kolana rękami, a woda spływała po niej.

- Ty skurwielu - powiedziała, jakby Justice mógł ją słyszeć. - Przeklęty sukinsynu!

Zacisnęła dłonie w pięść i zwróciła się do niego ponownie. Zmobilizowała wszystkie siły, zamknęła oczy i wysłała mu ostrzeżenie.

Wróć tu i złap mnie, świrze. Tylko spróbuj tu wrócić.

A potem szybko odcięła się od niego. Gdyby nie on, gdyby nie ścigał jej po wzgórzu, śmiertelnie wystraszył w jej własnym domu, wysyłał pełne nienawiści syczące wiadomości, może nie straciłaby dziecka.

Z furią pomieszaną z żalem zakręciła kran i, drżąc, owinęła się wielkim ręcznikiem.

Drań! Drań! Drań!

Lustro nad zlewem było zaparowane. Jednak przez tę mgłę widziała swoje odbicie. Błada cera, podpuchnięte i zaczerwienione oczy, linia ust naznaczona smutkiem, żal wypisany na jej twarzy - i coś jeszcze. Głębsza i bardziej mroczna niż smutek była determinacja zniszczenia potwora, który chciał zrujnować jej życie. Psychopaty, który prześladował ją od prawie tygodnia.

Dość tego!

Nigdy więcej!

Oparła dłonie na krawędzi umywalki i zmusiła się do wzięcia kilku głębokich wdechów, a w tym czasie krople wody z jej mokrych włosów skapywały do zlewu.

Usłyszała pukanie do drzwi.

- Hej - powiedział zaniepokojony Harrison - wszystko w porządku?

- Tak - skłamała, wystarczająco głośno, żeby ją usłyszał - za chwileczkę wychodzę.

Weź się w garść, Lorelei. Musisz wziąć się w garść. Bez względu na wszystko. Zaciśnęła powieki i usiłowała nie myśleć o tej maleńkiej istocie, której się nie udało, a wtedy furia, w postaci krwistoczerwonej chmury, wypełniła jej myśli.

- Okej - odpowiedział niepewnie, a ona poczuła nową falę łez pod powiekami. Starła się je powstrzymać, gdy się wycierała i się ubierała. Czysta bielizna, dzinsy i sweter z dekoltem w serek. Przetarła lustro, żeby lepiej ocenić skalę zniszczeń, a potem związała włosy w koński ogon, nałożyła szminkę i usiłowała zamaskować to, co łzy zrobiły z jej oczami, eyelinerem i tuszem do rzęs. Wiedziała, że pewnie powinna skontaktować się ze swoim lekarzem, ale tak naprawdę, co jeszcze pozostało do zrobienia? Jej ciało sobie poradziło. Było po wszystkim.

Kiedy w końcu zebrała się w sobie i wyszła z łazienki, Harrison siedział na kanapie, a jego otwarty laptop stał na stoliku do kawy.

- Gorący materiał? - spytała.

- Taa... Prawie wszedłem na wyższy poziom w tryktraku. -Uśmiechnął się krzywo, a ona odwzajemniła uśmiech, ale odwróciła się od niego, nie była gotowa na badawcze spojrzenie. Pragnęła rzucić mu się w ramiona, przytulić się, wyznać, co się naprawdę stało, opowiedzieć o swoim bólu, ale musiała się powstrzymać. Nie mówiła mu o dziecku, kiedy jeszcze myślała, że będzie matką, więc nie było powodu, żeby wspominać o tym teraz. Każde pytanie pociągałoby za sobą następne i następne, a skończyłoby się na rozmowie o jej byłym mężu i okolicznościach, w jakich zaszła w ciążę.

- Głodna? - zapytał, zrywając się na nogi.

- Umieram z głodu - skłamała.

- Ja też. - Rozejrzał się po domu. - Może zapakujesz kilka rzeczy? Zmieniłem zamek, a w tylnych drzwiach jest nowa szyba, ale dopóki nie złapią Turnbulla, to miejsce nie jest bezpieczne.

- To mój dom. - Popatrzyła na salon, z jego zasiedzianymi krzesłami i kanapą z powgniatanymi poduszkami. Na półkach wokół kominka stały książki, na ścianach wisiało kilka kolorowych abstrakcyjnych obrazów, a wyblakły dywan na drewnianej podłodze nadawał pomieszczeniu eklektyczny szyk.

- Wiem, ale jeśli upierasz się, żeby tu zostać, wprowadzam się.

- Dobrze - zgodziła się. Był zdziwiony jej błyskawiczną kapitulacją, więc dodała: - Justice usiłował skontaktować się ze mną, kiedy byłem z Beccą na cmentarzu, ale mu nie pozwoliłam. Przemówiłam do niego dzisiaj.
- Co? Beze mnie?
- Mam dość uciekania. Stawmy temu draniowi czoło. Jestem gotowa.

Rozdział 38

Czyś ty zwariowała? - szalał Harrison i sprawdził jeszcze raz, czy zamki nie są zepsute. - Wezwałaś tego psychola?

- To był twój pomysł, pamiętasz?
- Ale to było, zanim się przekonałem, że naprawdę to potrafisz! -bronił się.
- Kiedy chciałeś zebrać materiał do artykułu.
- No... tak... - Chryste, był idiotą. Teraz wkroczyła na wojenną ścieżkę i była gotowa na starcie z psychopata, który o mało co nie pociął jej na kawałki. - Ale potem on przyszedł tutaj i prawie cię zabił, a ty kontaktujesz się i wzywasz go znowu? Lauro, nie musisz tego robić. - Położył jej rękę na ramieniu, ale strząsnęła ją.
- Nie próbuj mnie od tego odwieść. Nie uda ci się. Nie chcę przeżyć reszty życia w strachu - powiedziała spokojnie, a on zaczął zastanawiać się, co ją do tego skłoniło. Spotkanie z siostrami w Pieśni Syreny? Odwiedziny na grobie Mary? Coś, co powiedziała Catherine? Cokolwiek to było, Laura miała teraz misję.

A przynajmniej tak to widział Harrison.

Nie było już przerażonej Laury, którą poznał, a jej miejsce zajęła zdeterminowana kobieta z szalem w oczach, która była gotowa do walki, wyglądała na to, że na śmierć i życie.

- Kiedy rozmawiałam z Beccą, usłyszałam jego głos. Był słabszy, może dlatego, że byłem z jedną z sióstr, nie wiem, ale znalazł mnie i mam tego dość, dość życia w strachu, dość tego, że wciąż może mnie terroryzować. Dość jego.
- Policja...
- Nie zna go tak jak ja i nie wie, że potrafię nawiązać z nim kontakt. - Zanim Harrison zdążył zasugerować, żeby skontaktowała się ze Stone'em albo Dunbar, powiedziała: - Nie uwierzą mi,

jeśli im powiem, więc nawet o tym nie myśl. Obiecali mi ochronę i jestem pewna, że obserwują dom, więc jestem bezpieczniejsza tutaj niż gdzie indziej.

- Ale nie są tu przez całą dobę - przypomniał Harrison - to nie jest twierdza.

- Wiem. Nie dla mnie. Ani dla moich sióstr. Mur wokół Pieśni Syreny także Justice'a nie powstrzyma. - Popatrzyła na niego ze spokojem. - Trzeba się go pozbyć.

Nie był w stanie wpłynąć na jej decyzję. Widział to wyraźnie.

- Mam pistolet - powiedział - i pozwolenie na jego posiadanie. Jest w moim mieszkaniu.

- Dlaczego, do cholery jasnej, nie masz go przy sobie? Pomyślał o przemocy, której doświadczył w życiu, o swoim szwagrze, który został zastrzelony, tej niewinnej ofierze morderstwa, jednej spośród setek innych.

- Nie sądziłem, że będzie nam potrzebny, aż do tamtej nocy.

- A teraz?

- Pojadę po niego.

- W porządku.

Harrison zabrał swój laptop i inne rzeczy, a ona niechętnie pakowała torbę na dyżur. Potem pojechali do restauracji w Cannon Beach, gdzie zjedli zupę rybną podawaną w wydrażonym chlebie na zakwasie i obserwowali, jak słońce ściga się z chmurami. Powiedziała mu więcej o spotkaniu w Pieśni Syreny i że będzie musiała odpracować kilka zmian, ale czuł, że coś ukrywa, że jest coś jeszcze, jakaś tajemnica dostrzegalna w jej smutnych oczach i zaciśniętych ustach.

Po powrocie do jej domu, się rozstali. Ona pojechała do szpitala, a on, chociaż wcale nie miał na to ochoty, do Seaside. Zamierzał spędzić kilka godzin w redakcji, a potem wstąpić do domu po pistolet. Przez cały czas był bardzo zdenerwowany. Tłumaczył sobie, że Laura jest bezpieczna w szpitalu, że Justice nie ryzykowałby ataku wśród tylu osób, kamer i w miejscu, które najpewniej było pod obserwacją policji.

Zatrzymał się na parkingu przed siedzibą „Breeze”. Oczywiście żartował, mówiąc Laurze, że grał na komputerze. Tak naprawdę pracował nad artykułem o Justisie Turnbullu, z dwóch powodów. Po pierwsze: chciał o tym napisać, po drugie: ta historia była jak puzzle, które wymagają ułożenia, a Justice był mordercą i trzeba było go schwytać. Chciał się do tego przyczynić.

Chwilowo zaprzętał mu myśli jeden element układanki. Justice mógł uciec, bo uskarżał się na dolegliwość, której personel Halo Valley nie był w stanie zdiagnozować albo wyleczyć. Na polecenie doktora Zellmana miał więc być przewieziony do szpitala Ocean Park. Wydawało się jednak, że Justice symulował. Zatem jakim cudem oszukał personel szpitala, a zwłaszcza doktora Zellmana?

Ta zagwozdzka zajmowała mu myśli, gdy przechodził przez newsroom do swojego biurka, a na wiszącym na ścianie telewizorze jawiła się wielka twarz Pauline Kirby. Poważnie patrząc w kamerę, mówiła o bandzie Siedmiu Grzeszników i popełnionych przez nich przestępstwach.

- Naprawdę się tym przejęła - stwierdził Buddy.

- Niech jej będzie. - Harrison nie był zainteresowany.

- Wiesz, poważnie wpieniłeś ojca Noaha Vernona. Facet dostał szału. Dzwonił z zażaleniem, ale Connolly jest zachwycony. Cieszy się, że „Breeze” jest w centrum uwagi. Uważa, że nieważne, jak mówią, byle mówili. A Pauline nie odpuszcza. Twój tekst o Envym to dopiero początek. Ona pewnie sportretuje każdego z tych dzieciaków, zgłębi wszystkie aspekty ich osobowości.

- Niech się bawi - powiedział Harrison i ucieszył się, że już nie zajmuje się tą sprawą.

- Może oberwie jej się trochę od staruszka. Bryce Vernon straszy prawnikami.

- To bardzo w jego stylu.

Harrison marzył o tym, żeby artykuł o Turnbullu poskładał się do kupy, a przede wszystkim, żeby złapano tego psychola i wsadzono go za kratki na wieki. Wiedział, że dopóki się to nie stanie, Laura nie będzie bezpieczna.

Kiedy Buddy zaczął rozmawiać przez komórkę, Harrison usiłował wziąć się do pracy, ale nie mógł przestać myśleć o Laurze. Zastanawiał się, jak sobie radzi w szpitalu.

Nic jej nie jest, mówił sobie, ale nie opuszczało go przeczucie, że coś jest nie w porządku. Naprawdę nie w porządku. Była dzisiaj taka inna.

Ale przecież jej życie wywróciło się do góry nogami.

Przez kilka godzin pracował przy komputerze, dodawał informacje do akt Turnbulla, drukował artykuły i teksty z blogów

powstałe przy okazji jego wcześniejszych ataków, a potem pojechał do siebie.

Ruch w mieście był duży. Słońce chowało się właśnie za horyzontem, nadając niebu kolor pomarańczowoczerwony i malując barwne wstęgi także na powierzchni Pacyfiku. Zatrzymał samochód na miejscu parkingowym wytyczonym przez dwie żółte linie na zajeżdżonym asfalcie, wziął laptop i szybko ruszył do swojego mieszkania. Spod drzwi wejściowych widać było fragment oceanu, ale był tak zajęty swoimi sprawami, że tylko przelotnie zerknął na zjawiskowy zachód słońca.

Kiedy przekroczył próg, zdał sobie sprawę, że prawie od tygodnia nie było go w tym... w domu. Przez ten czas niewiele się tu zmieniło. Poza tym, że przybyło kurzu, ale zepsuty kran w kuchni nieustająco pracował na rzecz powstającego na dnie zlewu tatuażu. Nieotwarte pudełka i skrzynie zdawały się kpić z niego, a kempingowe krzesła z otworami na kubki wyglądały jak kiepski żart. Porównał to miejsce do przytulnego domu Laury. Zimna, pusta przestrzeń, która nie zasługiwała nawet na miano kawalerki, wypadła w tym porównaniu bardzo blado. Kremowe ściany bez ani jednego obrazu, tylko z dziurami po gwoździach jako pozostałość po poprzednim lokatorze, beżowy dywanik w przedpokoju, łazienka tak biała, że trzeba było mrużyć oczy, rząd oślepiających żarówek nad lustrem, a jego podróżny zestaw do golenia i zielony ręcznik wiszący na drzwiach były jedynymi oznakami tego, że ktoś tu mieszka.

Jeśli jeszcze w ogóle tak było.

Przesuwane drzwi wejściowe do mikroskopijnej kuchni miały wyłamanych kilka poziomych listewek, a wyposażenie w kolorze migdałowym pochodziło z lat siedemdziesiątych.

- Retro - mruknął, wchodząc do sypialni, gdzie na dmuchanym materacu leżał jego śpiwór. Zmusił się do schowania ubrań do niedużej komody. Jego jedyny garnitur i kilka sportowych marynarek i kurtek wisiało w szafie. Na górnej półce, wśród innych pudełek, leżało to z pistoletem, zamknięte. Zdjął je i wstukawszy szyfr, otworzył i spojrzał na pistolet. To był glock kaliber 9 milimetrów, którego kupił kilka lat temu i nigdy nie użył. Wyjął broń z pudełka, naładował, upewnił się, że jest zabezpieczona i wsadził za pasek spodni.

- Zwarty i gotowy - mruknął, kiedy znalazł skórzaną kurtkę, włożył ją i odkrył, że doskonale zakrywa pistolet. -
Zupełnie jak w telewizji.

Zadzwoił na komórkę Laury, ale odezwała się poczta głosowa; nie zostawił wiadomości. Wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Zapadała noc. Buczące lampy oświetlały na niebiesko parking. Kilka pierwszych gwiazd rozbłyskiwało wysoko na niebie, kiedy wyjeżdżał z parkingu. Zamierzał się dowiedzieć, kiedy Laura ma przerwę i spotkać się z nią w szpitalnej kafejce. Po prostu żeby upewnić się, że wszystko w porządku.

Jechał na południe Roosevelt Drive, która była kiedyś fragmentem autostrady 101 biegnącej przez Seaside. Jego telefon zadzwonił, gdy był na obrzeżach miasta. Spodziewał się, że usłyszy głos Laury, więc powiedział „Hej”.

Przez bezprzewodową słuchawkę dobiegł go chrapliwy, złowrogi głos.

- Byłeś z wiedźmą - powiedział rozmówca, a Harrisonowi krew stężała w żyłach.

- Kto mówi? - zażądał odpowiedzi i jednocześnie spojrział we wsteczne lusterko, ale nikogo za nim nie było.

- Ta ssssuka to szatańssskie nassssienie - wysyczał głos, a puls Harrisona przyspieszył. Czy dzwonił do niego pieprzony Justice Turnbull?

- Kto mówi, do cholery? - zapytał jeszcze raz i wpatrywał się w drogę przed sobą.

- Wszystkie umrą. Wszyssstkie wiedźmy sskrywające się w swojej fortecy - zadrwił. - Śśśśpiw Ssssyreny...

Sssiossstry myślą, że tam nic im się nie ssstanie. - Harrison poznał po głosie, że ten ktoś się uśmiecha. - Ale nigdy nie będą bezpieczne, dopóki szatańssskie nassssienie nie zginie, a ich czarne dusze nie pójną prosssto do piekła.

- Turnbull? - zapytał Harrison. Klik.

Telefon zamilkł. Jezu, co to było?

Natychmiast oddzwonił, ale nikt nie odebrał. Nie włączyła się nawet poczta głosowa.

- Cholera!

Naprawdę rozmawiał z Justice'em Turnbullem? Czy to tylko kawał?

Nie, niemożliwe... Głos był zbyt niski, zbyt mroczny, zbyt dziwaczny.

Psychotyczny.

Nawet teraz, gdy stał na poboczu i mijały go samochody jadące Roosevelt Drive, czuł, że cierpnie mu skóra. Gdzie do diabła był ten człowiek? Dlaczego go prześladował? Oczywiście znał kryminalistów, także morderców, którzy uwielbiali czytać o sobie w prasie. Kochali rozgłos. Ale zdziwił się, że Justice Turnbull go zna i, na litość boską, ma jego numer!

Ale kto mógł wiedzieć, co się dzieje w głowie psychopaty?

Nawet ci, którzy rzekomo ich rozumieli, mogli zostać wyprowadzeni w pole. Na przykład doktor Maurice Zellman. Był tak pewny siebie i tego, że rozumie psychopatę, że zaniedbał środki ostrożności. I niemal przypłacił to życiem. Odrobinę spokojniejszy, Harrison wyciągnął portfel i wyjął z niego wizytówkę detektywa Stone'a. Wybrał jego numer w biurze szeryfa, ale powiedziano mu, że go nie ma. Harrison wystukał więc numer prywatnej komórki. Po pierwszym sygnale odezwała się poczta głosowa i Harrison musiał zostawić krótką informację, że dzwonił do niego Turnbull i ma jego numer.

Wjeżdżając z powrotem na szosę, zadzwonił jeszcze raz do Laury.

Ona znów nie odebrała.

Próbował sobie wmówić, że jest zajęta, ale nic jej nie jest, po prostu nie może odbierać telefonu, będąc w pracy.

Przekonywał też sam siebie, że gdyby Justice Turnbull coś jej zrobił, na pewno pochwaliliby się tym przez telefon.

Prawda?

- Sukinsyn. - Dodał gazu, zadzwonił do recepcji szpitala i poprosił do telefonu Laurę Adderley.

- Chwileczkę - powiedziała recepcjonistka i kilka minut później łagodny głos powiedział:

- Pokój pielęgniarek, drugie piętro, słucham.

- Chciałbym rozmawiać z Laurą Adderley, mówi Harrison Frost.

- Pani Adderley jest w tej chwili u pacjenta. Jeśli chciałby pan, żeby oddzwoniła... Och, proszę zaczekać... - Jej głos stał się stłumiony, gdy mówiła: - Lauro, Harrison Frost do ciebie. -

A potem zwróciła się do niego: - Jeśli zechce pan zaczekać, za chwilę podejdzie.

Kamień spadł mu z serca.

- Halo? - Głos Laury był jak balsam na jego duszę.

- Cześć. Pomyślałem, że się zamelduję. Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy się spotkać w czasie twojej następnej przerwy, lunchowej, obiadowej czy jakiej tam.

- Właśnie zjadłam lunch. Następną przerwę mam o pierwszej nad ranem.

Nie chciał jej denerwować, ale pomyślał, że powinna wiedzieć, co się dzieje, więc zawiadomił ją o telefonie i na koniec powiedział:

- Oczywiście się nie przedstawił, ale zadzwoniłem do Stone'a, żeby sprawdził, na kogo, o ile na kogokolwiek, jest zarejestrowany ten telefon. To może równie dobrze być komórka na kartę.

- On cię śledzi? - zapytała, a w jej głosie słychać było zimną furję.

- Sądzę, że chodzi mu o rozgłos i martwi mnie to, bo ta potrzeba sławy, znalezienia się na pierwszej stronie, może go dodatkowo nakręcić, zmobilizować do zrobienia czegoś, co zwróci na niego uwagę.

- Na przykład do morderstwa - wyszeptała.

- Będę cię informował na bieżąco, jeśli się czegoś dowiem, ale bądź ostrożna. Myślę, że w szpitalu jesteś bezpieczna. Zadzwon, gdy skończysz pracę, zabiorę cię stamtąd.

Zawahała się.

- Lauro?

- Ty też bądź ostrożny. On ma twój numer telefonu.

- Powiedziałem Buddy'emu, że ma go podawać. Nie sądzę, żeby Turnbull był zainteresowany mną osobiście. On chce ciebie.

- I mojej rodziny.

- Też. - I prawie dodał: „Kochani cię”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

- Nie uwierzysz - powiedział Stone do telefonu, jadąc jednocześnie na południe, w stronę posiadłości Zellmana.

- Co? - zapytała Dunbar, jej głos brzmiał jakby znajdowała się gdzieś bardzo daleko.

- Ten dziennikarz, Harrison Frost, z którym się widzieliśmy, twierdzi, że dzwonił do niego Justice Turnbull.

- Co? Czemu?
- Może zależy mu na rozgłosie. Kto wie? To psychol. Ale słuchaj dalej, Frost podał mi numer komórki i sprawdziłem go. Zgadnij, do kogo należy?
- Po prostu mi powiedz. - Była jakby rozdrażniona.
- Do doktora Maurice'a Zellmana. Właśnie do niego jadę. Będę na miejscu za jakieś piętnaście minut. Frost pewnie też przyjedzie, choć kazałem mu trzymać się z daleka. Kto wie, co się tam wydarzyło.
- Próbowałeś dzwonić pod ten numer?
- Nikt nie odbiera.
- A numer domowy Zellmana?
- Tu jest haczyk. Oni nie mają telefonu stacjonarnego. Wszyscy domownicy mają własne komórki, a późne telefony do doktora przejmuje poczta głosowa. Świetny układ.
- Ale numer. Będę tam za dwadzieścia minut. Mam.. - Usłyszał ciche sapnięcie i Dunbar zaczęła nerwowo wciągać powietrze.
- Co jest? - spytał Stone. - Dunbar?
- Chyba znowu zwymiotuję - powiedziała na wydechu - muszę się rozłączyć.
- Jesteś chora?
- Chyba jestem w ciąży. Odezwę się.
- Nie przyjeżdżaj do Zellmana. Zajmę się tym - powiedział Stone kompletnie zaskoczony.
- Dobra - powiedziała i się rozłączyła.

Stone nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo właśnie z piskiem opon wszedł w zakręt. Czy Turnbull ukrył się w domu Zellmana? Ukradł telefon doktora? A może dzwonił zupełnie kto inny?

Wydawało mu się, że upłynęła wieczność, zanim wjechał między filary strzegące bramy, wciąż nienaprawionej po jakiejś niefortunnej stłuczce. Reflektory oświetliły dom. Przed dużym garażem stały samochody, więc zaczął się zastanawiać, dlaczego nie były zamknięte w środku, tym bardziej że range rover syna został już raz ukradziony.

Zaparkował za bmw i zadzwonił jeszcze raz na komórki i Zellmana, i jego żony. Żadne z nich nie odebrało.

Przez kilka sekund obserwował budynek. W wysokich oknach było jasno. Zadzwonił do biura i na wszelki wypadek powiedział, gdzie jest, a potem wysiadł i rozejrzał się wokół. Nadal nic nie-

pokojącego, mrok otaczający posiadłość położoną na wysokim klifie nad oceanem był taki, jakiego można się było spodziewać. Światło przed domem paliło się, więc ostrożnie, z dłonią na rękojeści rewolweru, wszedł po kilku schodkach i zadzwonił do drzwi.

Ze środka dobiegały dźwięki muzyki klasycznej, a potem usłyszał szybkie kroki. Kilka sekund później przez okienko przy drzwiach wyjrzała kobieta, którą rozpoznał jako panią Zellman, a potem uchyliła drzwi. Przed otwarciem na oścież chronił je łańcuch.

- Detektyw Langdon Stone z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook - powiedział Stone i pokazał odznakę.

- Ach... tak. - Posłała mu wymuszony uśmiech. - W czym mogę pomóc?

- Dzwoniłem do pani i do męża, ale nikt nie odbierał.

- Och... Jest włączona muzyka, a ja oglądałam u siebie telewizję, nie słyszałam dzwonka.

- A czy pani mąż jest w domu?

- Tak. Nie mógł się pan dodzwonić, bo kilka dni temu zginęła jego komórka... - Ściszyła głos, a potem zapytała. - Czy coś się stało? O Boże, to pewnie ten pacjent Maurice'a, tak? Znow kogoś zabił, albo ukradł samochód, albo Bóg jeden wie co jeszcze.

- Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

Mocowała się z łańcuchem, kiedy światła samochodu zalały podjazd i Stone rozpoznał starego chevroleta Frosta. Dziennikarz wyłączył silnik i szybko przeszedł przez trawnik do kręgu światła rzucanego przez zewnętrzne oświetlenie domu.

- Och! - Westchnęła pani Zellman, a potem zmarszczyła brwi. - Pan Frost?

- Zdaje się, że kazałem panu trzymać się z daleka?

- A ja zdaje się powiedziałem panu, że będę na miejscu tak szybko, jak to możliwe?

- W takim razie proszę wejść, zapraszam - powiedziała pani Zellman, a potem nerwowo zamknęła drzwi i założyła łańcuch, tak jakby zamek albo łańcuch mogły powstrzymać takiego świra jak Turnbull.

- Maurice! - zawołała przez ramię. - Mamy gości!

- Czy pani syn jest w domu? - zapytał Stone, a ona pokręciła głową, prowadząc ich przez hol.

- Brandt wyszedł z przyjaciółmi. Chyba poszli do kina na jakiś wieczorny seans. Otworzyła podwójne drzwi do wyłożonego

drewnem gabinetu, w którym za masywnym biurkiem zarzuconym notatkami i książkami siedział doktor Zellman. Muzyka w ośmiokątym pokoju grała jeszcze głośniej. Stone zgadywał, że z okna rozpościera się cudowny widok na ocean, ale teraz, w nocy, widać było tylko ciemność.

Zellman spojrział na nich znad okularów i zamrugał, a potem sięgnął za siebie, nacisnął guzik w wieży i muzyka umilkła. Szyję wciąż miał obandażowaną i nie wyglądał na zachwyconego, że ich widzi.

- Maurice, to są...

Skrzywił się i machnął ręką. Wiedział, kim są. Ewidentnie wciąż nie mógł mówić.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać o pańskim telefonie komórkowym - powiedział Stone.

Zellman napisał: „Zginął mi. Nie widziałem go od kilku dni”.

- Zgubił go pan? - zapytał Stone.

- Już panu mówiłam - wtrąciła się pani Zellman i bezradnie rozłożyła ręce, jakby chciała pokazać mężowi, że jest jej przykro z powodu najścia i zrobiła wszystko, żeby powstrzymać gości przed zawracaniem mu głowy.

Marszcząc brwi, jakby uważał detektywa za głupka, Zellman napisał: „Najwyraźniej”.

- W związku z tym nie wykonywał pan z niego żadnych telefonów w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?
„Nie. Jakim cudem?”

Zellman pokręcił głową i mimo, że siedział, jakimś cudem spojrział na nich z góry. „Dlaczego pan pyta?”

- Ktoś telefonował do mnie z tego numeru - powiedział Harrison - i wysyczał swoją wiadomość w taki sposób, że uważam, że to był Justice Turnbull.

- Nie! - szepnęła pani Zellman i przycisnęła dłonie do piersi, a nawet Zellmanowi zniknął z twarzy wyraz wyższości.

- Mój Boże, Maurice! - dodała i przeszła za biurko, żeby mąż odgrodził ją od tych wiadomości. - Ale jak to?

Dlaczego?

Zellman zaczął wściekle stukać w klawiaturę.

„Uważa pan, że mój telefon został ukradziony?”. A zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, dopisał: „Przez Justice'a Turnbulla? Wtedy, kiedy zabrał samochód?”.

- Nie wiemy tego.

- Nie... O nie... Tego się obawiałam - powiedziała żona doktora. Oczy miała szeroko otwarte, a jej skóra przybrała kolor popiołu. - Jeśli się zadaje z tymi wszystkimi niezrównoważonymi... mordercami... I ten... maniak. On jest najgorszy! Nie mówiłam ci tego? - zwróciła się do męża. W panice wyjrzała przez okno i na głos wyraziła swoje obawy: On może tu teraz być... Och, a co jeśli ma klucze do domu? Zabrane z samochodu Brandta? O Boże! - Zaczęła chodzić od okna do okna i zaciągać kotary.

„Jest pan pewien, że to Justice do pana dzwonił?”, napisał Zellman, a potem podniósł wzrok na Harrisona Frosta.

- Nigdy z nim nie rozmawiałem, ale powiedział kilka potwornych rzeczy i mówił je, jakby syczał. Na przykład „sssiossstry”.

Zellman spojrzał w bok. Na sekundę zamknął oczy. Prawie niedostrzegalnie pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć czemuś, co wiedział, że jest prawdą.

- Doktorze Zellman? - zapytał Stone.

Zellman westchnął. Na jego twarzy odmalowało się poczucie winy, gdy jego żona przeszła do następnego pokoju i zaczęła desperacko opuszczać żaluzje i zaciągać zasłony.

„On nie zawsze syczy”. Palce Zellmana niemal drżały na klawiaturze. „Tylko gdy jest podniecony, gdy mówi o kobietach ze Śpiewu Syreny, jego siostrach. Justice Turnbull mówi o mieszkających tam kobietach jako o swoich sssiossstrach”. Zatrzymał się na chwilę, a potem dopisał: „Czy o tym właśnie mówił?”.

- Tak - odpowiedział Frost lodowato zimnym i śmiertelnie poważnym głosem.

- A skąd miał numer pana Frosta? - zapytał Stone. „Wpisałem go do kontaktów”.

- Czy jest jakaś szansa, że ma komplet kluczy do domu? - pytał Stone dalej.

Psychiatra zmarszczył brwi, ale pokręcił głową. „Nie sędzę. Klucze były w samochodzie Brandta, kiedy go odzyskaliśmy”.

- Mógł dorobić - powiedział Stone, choć wątpił w to. Nie było na to czasu. Ale, trzeba było o tym pamiętać, wszystko jest możliwe.

„Justice Turnbull nie jest tak cierpliwy ani zorganizowany. Działa pod wpływem emocji i korzysta z okazji”. Kiedy Zellman

napisał ostatnie zdanie, zarumienił się i skrzywił. Stone zgadywał, że lekarz przypomniał sobie, jak Tumbull pod wpływem emocji skorzystał z okazji, żeby wywieść lekarza w pole. „Nie bierze leków, więc jest bardziej nieprzewidywalny niż zwykle, poza kontrolą”.

- Sukinsyn - mruknął Frost, wpatrując się w ekran komputera Zellmana.

- Ktoś jeszcze przyjechał - zawołała pani Zellman, a w jej głosie narastała panika.

- To pewnie moja partnerka. - Stone wyszedł z gabinetu i powiedział do zdenerwowanej kobiety: - Pozwoli pani, że otworzę drzwi.

- Dziękuję - zgodziła się z wdzięcznością pani Zellman. - Te wszystkie kłopoty z pacjentem Maurice'a wyprowadziły mnie z równowagi. - Potem ściszyła głos: - Wie pan, ostrzegałam Maurice'a przed nim. Bez skutku. Nawet gdy ten maniak go zaatakował. To nie ma znaczenia. Nie dla mojego męża i jego przeklętej pracy. - Rzuciła ponure spojrzenie w kierunku gabinetu, a potem objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

Sawy Dunbar dołączyła do nich kilka minut później i rozmowa trwała, ale Stone nie dowiedział się niczego więcej. Doktor wyglądał na zawstydzonego, że Justice jakimś cudem zdołał ukraść jego telefon - prawdopodobnie dlatego, że zostawił go w nie-zamkniętym samochodzie. Zapytany o swoje zdrowie, Zellman powiedział, że zorganizował już rehabilitację mowy i zamierza wrócić do pracy nazajutrz rano. Stone poprosił, żeby nie zgłaszał kradzieży komórki, bo była szansa, że dzięki niemu zlokalizują miejsce pobytu Tustice'a. Jeśli wykona jeszcze jakieś telefony, mogliby go schwytać, przy odrobinie szczęścia, zanim zabije znowu.

Roztrzęsiony doktor Zellman się zgodził.

Kiedy wychodzili, pani Zellman wyglądała już na nieco spokojniejszą, ale zapowiedziała, że zmieni zamki we wszystkich drzwiach i zleci naprawę bramy, kiedy tylko uda jej się wezwać fachowca.

- Świetny pomysł - powiedział Stone i miał tylko nadzieję, że nie było już trochę za późno.

Rozdział 39

Sssssiossstro!

Laura niemal upuściła termometr, który podawała pacjentowi. Odsloniła się i Justice do niej przemówił.

Nie ma go, prawda? Plugawego inkuba... Ssssstraciłaś go! I jak się z tym czujesz, sssssuko? Odsssszedt!

W jego syku słyszała satysfakcję. Kolana się pod nią ugięły. Zamknęła oczy i odpowiedziała mu: *Przyjdź tu i znajdź mnie, pieprzony świrze. No, spróbuj!*

A potem zamknęła drzwi swojego umysłu. Szybko. Z trzaskiem. Zanim zdążył odpowiedzieć.

- Halo! - powiedział jej pacjent, mężczyzna, który dzień wcześniej przeszedł operację wycięcia wyrostka.

- Przepraszam. - Zmusiła się do uśmiechu, akurat kiedy zapiszczał elektroniczny termometr, ogłaszając, że temperatura pana Greera jest w normie. Rozchmurzył się, gdy przekazała mu tę dobrą wiadomość, a potem zażądał więcej lodu w szklance z wodą i zmiany menu, bo to, które wybrał wczorajszego wieczoru, zdawało się być uzasadnione jedynie zbawiennym działaniem środków przeciwbólowych.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedziała - ale niczego nie obiecuję.

Skąd Justice wiedział, że już nie jest w ciąży? Jak silna była ich więź?

- Czas to zakończyć - mruknęła pod nosem, kiedy przyniosła panu Greerowi świeży lód, ale nie zdążyła jeszcze dotrzeć do pokoju pielęgniarek. Prędzej czy później musiała stanąć z Justice'em twarzą w twarz i ta myśl jednocześnie przerażała ją i napędzała. Musiała być na to gotowa, psychicznie i fizycznie.

Trzeba było zostawić za sobą rozpacz z powodu utraty dziecka i skierować płonący w niej gniew przeciwko swemu prześladowcy. Ale nie dzisiaj... Dzisiaj była smutna i przytłoczona sytuacją.

Po zakończeniu podwójnego dyżuru miała ochotę już tylko położyć się do łóżka i nigdy nie obudzić. Potrzebowała czasu na dojście do siebie, a potem znalezienie sposobu na pozbycie się Justice'a.

O ile prostsze byłoby życie, gdyby wpadł w ręce policji.

Ale traciła wiarę we władze z każdym dniem, który upływał od jego ucieczki. Gdziekolwiek się chował, była to dobrze zamaskowana kryjówka.

- Nie może się ukrywać wiecznie - napomniała się, przygotowując się do wyjścia z pracy.

Wyjęła z szafki torebkę i skierowała się do głównych drzwi. Praca ułatwiła jej oderwanie się od myśli o utracie dziecka, ataku Justice'a i burzliwych uczuciach żywionych do Harrisona Frosta. Zakochania się w nim zdecydowanie nie miała w planach, ale nie było w nich także ciąży, poronienia ani mentalnych i realnych bitew z psychopatycznym mordercą.

Jeszcze tydzień temu jej życie było nudne. Pełne rutyny. Przewidywalne.

Ale teraz...

Włączyła telefon i zobaczyła, że ma jakiś tuzin wiadomości, głównie od Harrisona. Miała do niego oddzwonić, kiedy skreśliła za róg i prawie wpadła na Carlitę Solano. Carlita niosła wyniki badań pacjenta, ale widząc Laurę, zatrzymała się.

- Cześć! Idziesz już?

- Aha.

- Ten facet, dziennikarz z „Seaside Breeze”, czeka na ciebie. Laurę zadziwiła niezwykła zdolność Carlity do węszenia

plotek. W Ocean Park nie mogło wydarzyć się nic, o czym by nie wiedziała. Teraz jej ciemne oczy błyszczały z emocji, jak zawsze, gdy wyczuła sensację. Zrównała się z Laurą, gdy mijały poczekalnię, w której kilka osób przerzucało wygniecione magazyny.

- Wiesz coś o Conradzie? Laura pokręciła głową:

- Z tego co słyszałam, wciąż jest w śpiączce.

Nie chciała się przyznać, że wcześniej była na oddziale intensywnej terapii i osobiście sprawdzała, jak czuje się strażnik. Conrad leżał na łóżku z zamkniętymi oczami i kłębowi skiem rurek wystających z ciała, a pracę jego serca monitorowała maszyna.

- Też to słyszałam. To takie dziwne - powiedziała Carlita. - Wydaje mi się, że za każdym razem, gdy włączam lokalne wiadomości, na ekranie pojawia się Ocean Park. A w każdym razie ta reporterka, która się tu pałęta. Pauline Jak Jej Tam.

- Kirby - sprecyzowała Laura, gdy mijały punkt przyjęć, w którym kilku pacjentów z kartami ubezpieczeniowymi i formularza-

mi czekało na swoją kolej, siedząc na plastikowych krzeselkach wśród strategicznie ustawionych fikusów.

- No właśnie. Co za suka. - Laura nic nie powiedziała, więc Carlita zmieniła temat: - Co się dzieje między tobą a tym facetem z „Breeze”?

Laura wzruszyła ramionami.

- Pewnie szuka jakichś informacji do artykułu - powiedziała i zmusiła się do uśmiechu, ale kiedy popychała drzwi, zadzwonił pager siostry Solano i szybko odeszła.

Harrison zaparkował obok jej samochodu. Po ładnej pogodzie pozostało już tylko wspomnienie. Padał drobny deszcz, przez który światło latarni było niewyraźne i odbijało się od mokrego asfaltu.

Wysiadł z samochodu, kiedy podeszła, i na jego widok serce zaczęło jej bić szybciej. Miał na sobie znoszone dżinsy, podkoszulek i powycieraną skórzaną kurtkę, a sznytu jego stylowi pod tytułem „nic mnie to nie obchodzi” dodawały rozczochrane włosy i cień zarostu. Wyglądało na to, że nie jest na to odporna, tali jak myślała wcześniej.

- Nie masz nic do roboty w pracy albo coś? - zapytała, podchodząc.

- Robię to - powiedział krótko.

- Hm.

- Posłuchaj, mamy dużo do obgadania.

Odwróciła się w kierunku szpitala i zaczęła się zastanawiać nad tym, czy ktokolwiek, łącznie z Carlitą Solano, odnotowuje ich rozmowę.

- Nie tutaj. Może u mnie? Jestem naprawdę wykończona.

- Wiesz, że nie możesz tam zostać.

Nie chciała tego słuchać, ale wiedziała, że ma rację.

- Więc może pięciogwiazdkowy hotel z obsługą, ekskluzywnymi deserami i wanną jacuzzi? - zaproponowała ze słabym uśmiechem.

- Chyba ci się śni - roześmiał się.

- No tak...

- Ale mam pomysł. Mały hotelik, bed and breakfast, należący do znajomego, w Astorii. Jest mi winien przysługę.

Kątem oka Laura zauważyła wychodzącego ze szpitala Byrona. Żołądek jej się ścisnął. Nie miała na niego nastroju.

- Lauro! - zawołał głośno Byron i ruszył ku niej.

- Mam się go pozbyć? - zaoferował Harrison.

- On jest tutaj lekarzem. A właściwie moim szefem.

Harrison zmarszczył brwi, więc dotknęła jego ramienia.

- Rozumiem - powiedziała, a potem niechętnie się odwróciła, żeby spotkać się z byłym mężem pośrodku parkingu.

- Skończyłam pracę - powiedziała szorstko.

- Wiem. - Wydawał się mniej wrogi niż wcześniej. - Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co cię spotkało w domu i że ściga cię ten maniak. Ostatnio byłem wobec ciebie nieprzyjemny.

- Niemożliwe.

Podniósł ręce w geście poddania się:

- Okej, wiem. Jestem dupkiem. Ale chciałem się upewnić, że wszystko u ciebie dobrze.

- Tak, w porządku.

Walczył ze sobą, żeby nie brnąć w to dalej, więc zamiast tego zapytał:

- A dziecko?

- Na litość boską, ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem w ciąży! Naprawdę. Zapomnij o swoich złudzeniach. Nie ma żadnego dziecka! - Serce zabolęło ją, kiedy wypowiadała ostatnie słowa i poczuła, że łzy napływają jej do oczu, ale udało jej się zatrzymać je pod powiekami.

- Prawie ci wierzę. - Byron patrzył na nią badawczo. Laura w milczeniu policzyła do dziesięciu, a potem odwróciła się i odeszła do swojego samochodu i czekającego tam Harrisona.

- O co poszło? - zapytał.

- Kolejne nieporozumienie - wyjaśniła. Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i potężny silnik zaryczał. Byron odpałał swoją corvette. Chwilę później wrzucił drugi bieg, zanim jeszcze dotarł do ulicy, gdzie wcisnął hamulec, a potem wyjechał na autostradę.

Harrison także odprowadził Byrona wzrokiem.

- Nie mogę uwierzyć, że wyszłaś za tego faceta.

- Byłam młoda.

I głupia. I łatwo było mi zaimponować. Odchrząknęła i dodała:

- Ale wróćmy do tematu. Ostatnio usiłowałeś mnie przekonać, żebym nie wracała do domu.

Skupił się z powrotem na niej, a ona zauważyła, że na deszczu włosy mu ciemnieją i lekko się kręcą.

- Robiłem materiał o hotelach B&B, kiedy tylko się tu przeprowadziłem i załatwiłem właścicielowi darmową reklamę. Po-

wiedział, że mogę się u niego zatrzymać w dowolnym terminie. Myślę, że dzisiaj świetnie się nadaje na dowolny termin.

Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona. Widząc, że się waha, dotknął jej ramienia, a drugą ręką sięgnął po telefon.

- Będiesz zachwycona!

Nie była taka pewna, ale usiadła za kierownicą swojego subaru, a on został przed chevroletem i rezerwował nocleg.

- Mamy pokój - powiedział. - Miejsce nazywa się Heritage House. Pojedziesz za mną? - Zanim wszedł do samochodu, podał jej adres, a potem odpalił silnik.

Jak automat pojechała za nim, na północ, w kierunku Astorii. Miała nadzieję, że nie jest w romantycznym nastroju, bo nie było mowy o pieszczotach. Z westchnieniem powiedziała:

- Nie będę się martwić na zapas.

Wymknąłem się z pokoju na parking pod sklepem i upajałem się zapachem morza. Tutaj jest paskudnie, cuchnie olejem, zdechłymi skorupiakami i benzyną, ale wciąż wyczuwam nutkę soli, która wypełnia moje płuca.

Zastanawiam się, czy van jest na chodzie. Po stronie kierowcy jest wyblakły rysunek seksownej syreny, nazwa sklepu wędkarskiego Cartera i telefon do właściciela. Tablice szybko zamienię z tymi należącymi do toyoty zaparkowanej na rogu. To auto Carrie, córki Cartera, ale zostawia ją tu zawsze, gdy przyjeżdża po nią jej chłopak swoim podrasowanym terenowym samochodem.

Zamiana tablic i odpalenie vana na kable to prosta sprawa. Zapala się łatwo, to dobry znak, a wskazówka poziomu paliwa wskazuje, że jest jedna czwarta baku benzyny. Na dzisiaj wystarczy.

Powoli, nie zapalając świateł, wyjeżdżam z parkingu pod sklepem i jadę w kierunku autostrady wijącej się wzdłuż wybrzeża jak wąż.

Mam coś do załatwienia...

James Ferguson nie mógł uwierzyć. Nie ma go? Serio? Mikey naprawdę zwiął?

James przeszukał dom. Dzwonił do Mikeya kilkanaście razy, zostawił kilkanaście wiadomości i wysłał mu trylion esemesów.

W desperacji zadzwonił nawet do kilku przyjaciół tego kujona, ale żaden nie przyznał się, że wie cokolwiek o miejscu pobytu Mikeya.

- Świetnie - warknął i wyszedł przez drzwi jadalnianej części kuchni na zadaszone patio. Krople deszczu ześlizgiwały się z daszku z pofalowanego plastiku i tworzyły kałuże wokół betonowego tarasu, a potem wsiąkały w trawnik. Gdzie do diabła podziewał się ten gówniarz? Rodzice mieli wrócić lada dzień, odpowiedzialny za dom był James, a tymczasem ten zakręcony gnojek znikł! Nie widzieli się po szkole i James myślał, że może Mikey urwał się wcześniej ze znajomymi, w końcu to był ostatni tydzień szkoły, ale...

- Cholera! Szlag by to trafił! Do diabła!

James przypomniał sobie o chorej fascynacji tego głupka psychopata z plaży, który niedawno uciekł. Mikeyowi ciągle było mało informacji o tym świrze. Namawiał Jamesa, żeby pojechali na wybrzeże, zanim wrócą rodzice i... do jasnej cholery! Ten debil wybrał się sam!

Kiedy tak stał na patio, a jego żołądek był już zwinięty w supeł, zebrał się na odwagę i zadzwonił do Belindy Mathis. Chociaż nigdy do niej nie dzwonił, miał ją przypisaną do numeru w opcji szybkiego wybierania. Wcisnął przycisk i niecierpliwie czekał, aż odbierze. Już sama myśl o tym, że się z nią skontaktuje wystarczyła, żeby spociły mu się dłonie. Pomyślał o jej ładnej twarzy przypominającej elfa i niewiarygodnie długich włosach. Poza tym jej śliczny tyłek i...

Przerzuciło go do poczty głosowej. Nie zostawił wiadomości, tylko wysłał esemes: „czy twoja siostra wie gdzie jest mój brat mike?”.

Deszcz miarowo padał, a James zauważył syjamskiego kota sąsiadów, przebiegającego szybko po szczycie ogrodu. Tuż przed zeskokiem na swoją stronę spojrzął na Jamesa i zasyczał.

- Genialnie!

Kiedy kot zniknął, telefon Jamesa zawiadomił, że przyszła wiadomość.

Na wyświetlaczu pojawił się numer Belindy Mathis wraz ze zdjęciem jej ślicznej twarzy.

Odpowiedź była krótka: „k mówi że na plaży myślała że z tobą”.

Żołądek Jamesa ścisnął się, gdy szybko odpisywał, a w jego głowie pojawiło się milion pytań.

James: „jestem w domu jak się tam dostał”.

Belinda: „nie wiem”.

Nie wie. Cholera! Jeśli ona nie wie, kto mógł wiedzieć? James: „kiedy pojechał”.

Belinda: „k mówi że wieczorem”.

- Szlag! - powiedział głośno, ale napisał „dziex”. Belinda: „niech zadzwoni do k”.

- No jasne, powiem mu - powiedział, gdy ponownie napisał do Mikeya. Przeżywał kolejną falę upokorzenia wywołaną tym, że jedynym tematem, na jaki mógł porozmawiać z najbardziej zajebistą dziewczyną w szkole, był jego skretyniały braciszek.

Zacisnął pięść i uderzył w podporę daszku. Bum! Dłoń pulsowała bólem.

Wiedział, co musi zrobić. Jeśli nie sprowadzi brata najszybciej, jak to możliwe, mama i ojciec zabiją ich obydwu! I to będzie wina tego szczeniaka. Wszystko to będzie jego wina!

Laura szła obok Harrisona. Nie przesadził.

Podobał jej się pensjonat. W zasadzie bardzo jej się podobał. Budynek z czasów królowej Anny położony był na stromym zboczu i górował nad ujściem rzeki Columbia River. Wewnątrz hotelik był odnowiony, w każdym pokoju była łazienka, ale pokoje zachowały swój dawny urok: lampy Tiffany'ego rzuciły ciepłe światło na drewniane meble, schody przykrywał chodnik, a w foyer porozstawiane były stoliki i fotele.

Ich pokój znajdował się na trzecim piętrze. Okno w wykuszu wychodziło na dach dawnej powozowni i dalej, na ciemne wody szerokiej rzeki, w której odbijały się światła miasta. Zaczynały się na nabrzeżu i lśniły dalej aż do potężnego mostu Astoria-Megler Bridge, który przerzucony przez rzekę łączył stany Oregon i Waszyngton.

Oregoński koniec wznosił się wysoko w górę, żeby umożliwić przepływanie pod nim wysokim frachtowcom, a potem opadał nad przewalającymi się masami wody i tak biegł aż do Waszyngtonu.

- Chyba rozreklamowanie tego miejsca nie było trudne - powiedziała Laura, kładąc torbę na łożu z baldachimem.

Oczyma wyobraźni widziała Harrisona pod grubą kołdrą, ze zmierzwionymi włosami na poduszce, jego nagie ciało wyciągnięte obok niej. Będą się dotykać i całować i...

Za wcześniej na to, za wcześniej...

Odezwał się w niej głęboki smutek, gdy usiadła na jednym z foteli przy oknie.

- Justice znowu się odezwał, ale go odrzuciłam.

- Nie myśl, że jesteś taka wyjątkowa. Pamiętaj, że ze mną też się kontaktował - powiedział Harrison.

- Jest coraz gorzej. Tyle osób. - Podchwyciła jego spojrzenie. - Nie chodzi tylko o mnie czy moje siostry. Justice terroryzuje każdego, z kimkolwiek się zetknie. Byłam dzisiaj u Conrada Weisera, tego ochroniarza, który miał pomóc go przewieźć. Jego stan się nie poprawia.

- Kiedy ten złamas znowu użyje telefonu Zellmana, policja może go namierzy i dowie się, gdzie jest.

- Może być w tyłu miejscach - powiedziała. Chociaż Justice miał słabość do oceanu, Okręg Tillamook było tylko jednym z przystanków na wybrzeżu Oregonu. Jeśli wyruszył na północ, tak jak oni teraz, mógł dotrzeć do Okręgu Clatsop i stanu Waszyngton, a na południu do Okręgu Lincoln i dalej. Poza tym mógł oczywiście uciec w głąb lądu, jeśli podążał za Beccą i Hudsonem, choć miała nadzieję, że to mało prawdopodobne.

- Na wszelki wypadek mam to - powiedział i wyciągnął zza paska pistolet.

Popatrzyła na broń. Przez moment wydawało jej się, że ma na myśli co innego i musiała się postarać, żeby nie pokazać, co jej chodziło po głowie.

- Wiesz, jak tego użyć? - zapytał.

- Widziałam w telewizji.

- Nie jest ciężki, ale po wystrzale ma odrzut, więc jeśli będziesz musiała, weź go w obie ręce, dobrze? - Podał jej pistolet, stanął za nią i wziął jej dłonie w swoje.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. - Zadrżała.

- Ja też. Ale mimo to spójrz. - Pokazał jej części pistoletu. -Jutro pojedziemy w teren i będziesz mogła poćwiczyć. Trzymała dziewięciomilimetrową splotkę najpierw w jednej dłoni, potem w drugiej, wreszcie w obu; marszczyła brwi, gdy oceniała jej wagę.

Potem Harrison odłożył pistolet na stół.

- Dzisiaj mamy go tylko dla spokoju ducha. Jutro może przydać się do czegoś więcej. Na razie zostawmy go. Skinęła głową, ale co jakiś czas zerkała w stronę stolika, na którym leżał pistolet.

Trochę rozmawiali, ale nie ustalili nic konkretnego, a potem Harrison zaproponował, że wyskoczy po coś do jedzenia.

- Jest dwudziesta druga - zaprotestowała, ale rozwiął jej obawy obietnicą, że zaraz wróci. Jak tylko wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, zdjęła z siebie ciuchy, które nosiła przez całe dwie zmiany, spięła włosy i wzięła gorący prysznic. Wciąż krwawiła, ale o wiele słabiej. Nie rozkleiła się. Było blisko, ale przekuła swoje emocje w gniew i skupiła się na spotkaniu z Justice'em twarzą w twarz.

Co on do cholery wyprawiał, wydzwanając do Harrisona z numeru Zellmana?

Wytarła się, a potem włożyła za duży T-shirt, w którym sypiała. Usłyszała, że drzwi do pokoju się otwierają, więc chwyciła płaszcz kąpielowy i wsunęła ręce w szerokie rękawy, a potem wyszła z łazienki.

Przemoczony i rozczochrany Harrison trzymał kartonowe pudełko z pizzą i butelkę wina.

- Pepperoni i merlot - powiedział. - Kolacja z wyższej półki.

- Bardzo wysokiej. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Wyobrażasz sobie coś lepszego?

- Nic a nic - powiedziała, ale głos jej zadrżał. Harrison spojrzał na nią badawczo.

- Dorwiemy go - oświadczył i położył pizzę na lakierowanym blacie stołu, a potem położył trójkąty ciasta na serwetkach. W małym barku były kieliszki i korkociąg. Harrison otworzył butelkę i nalał im po kieliszku wina, które postawił przy tekturowym pudełku.

- Ktoś się odzywał, gdy mnie nie było?

- Jeśli masz na myśli Justice'a Turnbulla, to nie. Stuknął swoim kieliszkiem w jej.

- Za schwytanie złych kolesi.

- Naprawdę złych kolesi - sprecyzowała.

- Naprawdę złych kolesi - zgodził się.

Harrison bardzo się starał trzymać ręce przy sobie, gdy Laura zasnęła tuż obok niego. Była diabelnie seksowna w za dużym podkoszulku i z włosami spiętymi na czubku głowy tak, że wyeksponowana była jej szyja, ale dzielnie pilnował swojej połowy łóżka i tylko patrzył, jak miarowo oddycha.

Wiedział, że jej na nim zależy, po tym, jak zareagowała na jego pocałunek, ale dzisiaj była jakaś wycofana, a w uszach brzmiały mu słowa siostry.

„Nie spiesz się, dobra? Nie tylko Laura właśnie się zakochuje...”

Nie chciał się do tego przyznać, ale niechętnie stwierdził, że czuje do Laury coś więcej. A czy ona rzeczywiście się w nim zakochiwała, to się jeszcze okaże, na razie miał wrażenie, że miotają nią skrajne uczucia. A może dręczyły ją te same wątpliwości co jego. Przecież zaczęło się od planów napisania artykułu na pierwszą stronę. A teraz był uwikłany w mroczną telepatyczną rozgrywkę z psychopatą i zakochiwał się w najpilniej poszukiwanej ofierze tego potwora.

Obserwował, jak jej klatka piersiowa wznosi się i opada, a potem delikatnie odgarnął z jej policzka kosmyk włosów. Serce mu zadrżało i poczuł, jak budzi się w nim mężczyzna. Usiłował nad tym zapanować, ale bał się, że nie powstrzyma się od muśnięciem wargami jej czoła. Jęknęła przez sen i widział, jak zadrżały jej usta.

Dość tego. Nie dał rady.

Wyślizgnął się z łóżka, wziął poduszkę, a w szafie wyszukał dodatkowy koc i przed położeniem się na podłodze włożył dżinsy. Leżanka była za krótka dla mężczyzny mierzącego sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu.

To spanie na podłodze, czy to u Kirsten, czy w jego własnym, przeklętym mieszkaniu, na dmuchanym materacu, zaczynało mu już wchodzić w krew.

Szlag by to trafił.

Zabrałem vana właściciela sklepu wędkarskiego. To ryzykowne, ale muszę się spieszyć. Moja misja nie może być już dłużej odkładana. Powoli, ostrożnie jadę ulicą, znikam z zasięgu wzroku i już mnie nie ma.

Wiedźmy śpią.

Już wkrótce będę na miejscu, ale zaparkuję z dala od ich kryjówki, zatrzymam samochód na jakiejś nieuczęszczanej ulicy, a pozostałe dwa kilometry przejdę pod osłoną zmroku i dotrę pod ich dom.

Chociaż bramę najłatwiej by mi było sforsować, to zbyt ryzykowne, bo może być obserwowana, więc skręcam za róg i wchodzę głębiej w las, pod baldachim z gałęzi drzew, ciężkich od deszczu. Idę naprzód w ciemności i czuję dreszcz podniecenia, przenikającą duszę ekscytację, która pojawia się tuż przed zabiciem.

Na krótką chwilę się rozpraszam i chwieję się na nogach. Słyszę głosy. Z mojej młodości. A może są tuż obok?

Odwracam się na pięcie i spoglądam za siebie.

To jakieś nocne stworzenie? Jakiś gryzoń w gęstych krzakach? Czy po prostu deszcz?

Albo twoja wyobraźnia... Wiesz, że widywałeś rzeczy, które nie mogły istnieć.

Ale na moment myśli mi się mąca i z wściekłością zwracam się do tych, które mają czelność mnie wzywać... Lorelei.

Jej zapach jest teraz słabszy... dociera z oddali.

Chwytam chropowatą gałąź pobliskiej jodły, zaciskam powieki i wolno liczę do dziesięciu, próbując się uspokoić i starając się pochwycić rzeczywistość.

Powoli biorę się w garść. Zostawiam gałąź i kiedy przechodzę przez ogrodzenie, wkładam broń, nóż Lorelei, między zęby. Jestem na tyłach posiadłości, z dala od bramy. Stojąc w cieniu, spoglądam na wielki dom, w którym wciąż palą się światła.

One są w środku.

Nieświadome.

Gdzieś w dole fale uderzają o brzeg. Oddycham głęboko, wypełniam płuca słonym powietrzem, słucham grzmiącego oceanu i wyobrażam sobie masy wody rozbijające się o przybrzeżne skały. Deszcz spływa mi po twarzy. Rozjaśnia mi w głowie. Pomaga się skoncentrować.

Mam tyle do zrobienia. I muszę to zrobić dzisiaj. Wszystko.

Słyszę w myślach obelgi wiem: bękart, idiota, świr i' krew mi się burzy, huczy mi w mózgu, te ich wyzwiska wwiercają mi się w myśli jak tysiące ostrzy. Nienawistne, podle nasienie szatana! Szmaty, które rozmnażają się jak ta suka, ich zdzirowata matka!

W głowie mi pulsuje i nagle przypominam sobie lekarza, który myślał, że może mnie wyleczyć. Głupiec!

Świętoszkowaty, zarozumiały, arogancki idiota! Jak śmiał pomyśleć, że ma jakikolwiek wpływ na mój los?

Ale przechytryłem cię, Zellman. Udowodniłem, że jesteś ko-nowałem, szarlatanem. Jednak to nie wystarczy. Musisz poczuć mój ból... Znaleźć się na samym dnie otchłani rozpaczy... Tyle jest do zrobienia.

Dzisiaj...

W wyobraźni widzę doktora w gabinecie, w jego oczach buta, uśmiech fałszywy i wymuszony, myśli, że mnie zna... Mrugam. Czuję na twarzy deszcz. Wracam do terażniejszości.

Nie ma już czasu na planowanie. Nie mogę odwlekać nawet o sekundę mojej misji. Patrzę na dom, dostrzegam ruch za zasłonami i uśmiecham się, bo poznaję jej zatroskane spojrzenie, jakie rzuca zza szyby, zanim zaciągnie story. Zaciskam palce na rękojeści noża, trzymam go mocno w prawej dłoni.

Widzę ją przez szparę w zasłonach.

Za późno, suko.

Już o wiele za późno.

Rozdział 40

Komórka w przedniej kieszeni dżinsów zawibrowała i Harrison przebudził się w jednej chwili. Pierwsze promienie dnia wpadały przez okna, ale Laura nadal spała mocno i oddychała głęboko, podczas gdy on prawie nie zmrużył oka. Spojrzał na zegarek. Szósta rano?

Sięgnął po telefon, spojrział na wyświetlacz i ujrzał numer Zellmana. Justice!

Skoczył na równe nogi, otworzył klapy telefonu i wyszedł z pokoju na podest schodów.

- Frost.

- Nie żyją - oznajmij chrapliwy głos. - Zzzzzellllman i jego rodzina.

Jak to możliwe, do cholery?

- Zellman? Doktor Zellman?

- I jego szatańskie pomioty. I nie są osstatni - zapowiedział syczący, szumiący głos. - Możesz o nich napisać. I nie zapomnij o sssiossstrach!

Harrisona ogarnęła panika. Zabrakło mu powietrza.

- Zaczekaj! Nie! Turnbull! Nie możesz... Ale ten potwór już się rozłączył.

- Cholera!

Harrison w desperacji oddzwonił.

Bez odpowiedzi.

- Nie rób tego, na miłość boską... Spróbował raz jeszcze.

Cisza.

- Jezusie, Mario i Józefie - mrucał pod nosem, a adrenalina mu skoczyła. Czy to prawda? Turnbull zamordował rodzinę Zellmanów i zadzwonił, żeby się pochwalić?

Wybrał numer detektywa Stone'a.

- No dalej, odbierz! - mrucał, ale po czterech sygnałach odezwała się poczta. - Niech to szlag!

Niecierpliwie czekał na koniec nagranej wiadomości i zostawił swoją:

- Mówi Harrison Frost. Przed chwilą ponownie zadzwonił Turnbull. Twierdzi, że zamordował Zellmana i jego rodzinę. Wyruszam do ich domu, ale jestem w Astorii, więc to potrwa. Niech pan oddzwoni. - Zatrzęsął klapkę telefonu i wrócił do pokoju.

Laura wciąż spała.

Spojrzał na leżący na stole pistolet, złapał go, a potem znalazł buty, koszulę i kurtkę, wyslizgnął się z pokoju i zamknął drzwi na klucz. Gdyby ją obudził, chciałaby jechać z nim, a nie mógł tak ryzykować. Poza tym istniała szansa, całkiem duża, że Turnbull sobie z nim pogrywa, może nawet zastawił pułapkę, więc najlepiej było zostawić Laurę tutaj, gdzie jest bezpieczna. Zadzwoni do niej później, jak tylko się dowie, co się naprawdę dzieje.

Kiedy Harrison zszedł do holu, właściciel pensjonatu był już na nogach i pracował w kuchni, gdzie jego żona wypiekała na śniadanie cytrynowe bułeczki. Harrison wyciągnął go na chwilę i powiedział, że zostawił w pokoju śpiącą dziewczynę i poprosił o natychmiastowy telefon, jeśli ktokolwiek będzie jej szukał.

- Czy ona jest w jakichś tarapatach? - zapytał właściciel.

- Nie. Po prostu jest bardzo zmęczona. Jeśli się obudzi, niech pan ją poprosi, żeby do mnie zadzwoniła. - Nie miał czasu na dalsze wyjaśnienia i wybiegł na deszcz, do samochodu. Minał subaru Laury i miał nadzieję, że gdy się obudzi, wszystko będzie już wyjaśnione.

Włączył wycieraczki i zjechał ze wzgórza w kierunku autostrady. Było na tyle wcześnie, że nie zdążył się utworzyć korek, więc jechał na południe, przekraczając dozwoloną prędkość i wyprzedzając jadące wolniej samochody osobowe i ciężarówki. Przez

cały czas myślał o telefonie Turnbulla i zastanawiał się, dlaczego tak się nim zainteresował.

Dlaczego dzwoni właśnie do niego? Chce nagłośnić swoje zbrodnie? Ale czemu nie do Pauline Kirby, która zapewniłaby mu „występ” w telewizji?

On wie, że jesteś z Lorelei. O to w tym wszystkim chodzi. Jesteś z jedną z jego sióstr.

Wzdrygnął się na myśl o szaleństwie Turnbulla. Jechał teraz przez Seaside, minął zjazd na autostradę numer 26.

Poranek był pochmurny, padał deszcz.

Był właśnie w południowej części Cannon Beach, kiedy jego telefon znów zadzwonił. Zmobilizował się do kolejnej rozmowy z bestią, ale zerknął na wyświetlacz i okazało się, że to Stone.

- Frost.

- Mówi Stone. Dostałem pańską wiadomość... Jadę do domu Zellmanów. Co się dzieje?

- Wjeżdżam w tunel w Arch Cape, momencik. - Harrison zagłębił się w ciemność, którą przecinały jego reflektory i huk jadących z przeciwka ciężarówek, obijający się od kamiennych ścian przypominających wnętrza jaskini.

Kiedy znalazł się po drugiej stronie, zdał Stone'owi krótką relację. Stone słuchał uważnie i przerywał tylko krótkimi pytaniami.

- Zostawiłem Laurę w pensjonacie, zadzwoniłem do pana i wyruszyłem.

- Nie dzwonił pan do domu Zellmana? - To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Turnbull powiedział, że Zellman jest martwy - odparł Harrison.

- Poza tym on ma komórkę doktora, więc nie mam gdzie dzwonić.

- Mógł skłamać.

Harrison pamiętał brzmienie głosu psychopaty, nieudolnie skrywaną radość z dokonanego morderstwa.

- Możliwe - powiedział bez przekonania.

- Ten facet jest zdolny do wszystkiego. Jak twierdzi Zellman, nie bierze leków. Co on do diabła wyprawia? - myślał głośno Stone.

- Dlaczego wybrał Zellmana?

- Nie wiem.

- W porządku, dzięki. A teraz proszę, żeby pan zawrócił. Niech pan tu nie przyjeżdża. Proszę zawrócić, wrócić do hotelu i czekać. To albo chory żart, albo sprawa dla policji, ale panu nic do tego.

Odpowiedzą Harrisona był krótki śmiech. Nie miał zamiaru się teraz wycofać. Nie, kiedy nadarzała się okazja przygwoźdzenia Justice'a Turnbulla.

- Proszę posłuchać...

- Będę tam za pół godziny, panie Stone. - Wcisnął pedał gazu i wjechał pod górę, mijając punkt widokowy na Neahkahnie Mountain. - Bez względu na to, czy miałem na to ochotę, czy nie, Turnbull już wciągnął mnie w tę sprawę.

- Czy pan mnie słyszał? - Stone podniósł głos. - To sprawa Biura Szery...

Ale Harrison już się rozłączył. Nie wycofa się. Nawet nie ma mowy.

Sukinsyn!

Stone spojrział przez przednią szybę. Uparty reporter nie miał zamiaru wykonać jego polecenia. Nie wtedy, gdy w grę wchodził materiał na pierwszą stronę o ucieczce Turnbulla i morderstwie. Na szczęście Stone wiedział, że w posiadłości Zellmana będzie pierwszy.

Spodziewał się ujrzeć całą rodzinę zgromadzoną przy stole, jedzącą śniadanie albo przygotowującą się już do wyjścia z domu. Dzieciak do szkoły, żona miała jakieś sprawy do załatwienia, a doktor szykował się do powrotu do szpitala. Czy nie wspominał, że wraca do szpitala? Atak psychopaty nie mógł powstrzymać doktora Maurice'a Zellmana od pracy z innymi czubkami z Halo Valley.

Zadzwoił do Dunbar i dość niechętnie powiedział jej, co się stało i dokąd jedzie. Zachowała się w pełni profesjonalnie i ogłosiła, że wsparcie jest już w drodze. Chciał wypytać o ciężę, ale stwierdził, że gdyby chciała powiedzieć więcej, zrobiłaby to sama.

Otak, zadzwonił do pracy Zellmana.

- Szpital Halo Valley - odezwał się spokojny głos.

- Chciałbym rozmawiać z doktorem Mauricem Zellmanem - powiedział Stone, a potem się przedstawił.

- Doktor Zellman jest na urlopie zdrowotnym i... Chwileczkę. To dziwne. - Usłyszał klikanie klawiatury, szybką stłumioną rozmowę i przewracanie papierów, a potem głos: - Przepraszam, wprowadziłam pana w błąd. Wygląda na to, że doktor przyszedł wcześniej rano. - Wyraźnie nie wierzyła własnym oczom. - Już łączę.

Stone zjechał z głównej szosy i wjechał w boczną drogę prowadzącą do posiadłości Zellmanów. Deszcz zamienił się w ulewę, a zachodni wiatr szalał w gałęziach drzew.

Sekundę później usłyszał słaby głos:

- Tu doktor Zellman. Stone'owi kamień spadł z serca.

- Doktorze, mówi detektyw Stone. Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale Harrison Frost otrzymał kolejny telefon z pańskiej komórki.

- Nie jestem zaskoczony - powiedział Zellman z wysiłkiem.

- Rozmówca podał się za Turnbulla i powiedział, że zaatakował pana rodzinę.

Cisza.

- Utrzymał, że pan także padł jego ofiarą, ale najwyraźniej tak nie jest.

- Nie... Ja... Nie mogłem spać i przyjechałem do szpitala wcześniej. - Jego głos, już i tak słaby, prawie zanikł.

- Jestem tuż przy pańskim domu. To może być zasadzka. - Stone wjechał w zakręt prowadzący do posiadłości.

Brama, wciąż nienaprawiona, stała otworem, a w półmroku, pomiędzy drzewami majaczyły światła.

- Ten drań bawi się ze mną. Zawsze miał mi coś za złe. - Zellman z trudem wydobywał z siebie głos, a Stone z przykrością tego słuchał. - Proszę, niech pan sprawdzi, co z Patricią... Ja... Mam ze sobą jej komórkę, więc nie mogę zadzwonić. Wziąłem do pracy jej telefon, skoro mój zginął... - Zapadła cisza, a potem doktor dodał: - Boże, niech pan mi powie, że wszystko w porządku.

- Zadzwoń do pana.

Stone odłożył telefon i wjechał na podjazd przed domem. Drzwi do garażu były zamknięte, na zewnątrz nie stał żaden samochód. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, ale kiedy wysiadł z samochodu, otworzył kaburę i wyciągnął broń. Nie miał zamiaru głupio ryzykować.

Szedł szybko w deszczu i zatrzymał się tylko na chwilę, żeby zajrzeć do środka przez okno, ale nie zobaczył nikogo.

W salonie i w jadalni było ciemno, światło dochodziło z głębi domu.

Zadzwonił do drzwi i czekał, z ręką na rękojeści pistoletu. Jeśli Turnbull ukrywał się wśród krzewów albo za drzewem, mógł zaskoczyć Stone'a, który nie usłyszałby kroków zagłuszanych szumem oceanu.

Nikt nie podeszedł do drzwi.

Zadzwonił raz jeszcze, usłyszał dźwięczną melodię dochodzącą z wnętrza domu, ale nie towarzyszyły jej kroki.

- Pani Zellman? - zawołał głośno i pięścią załomotał w grube drzwi. - Tu detektyw Stone, pani Zellman!

Nic.

Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte. Postanowił obejść ogromny dom, więc ruszył obok krzaków rododendronu drżących na deszczu aż do granicy posiadłości, gdzie las kończył się na krawędzi klifu. Rozchlapywał butami kałuże. Poczuł, że włoski na karku stają mu dęba, gdy minął róg budynku i wkroczył na patio prowadzące do salonu i kuchni.

Drzwi na taras były otwarte.

Ścisnął mu się żołądek.

Wpatrywał się w przytulne wnętrze; żaluzje, na których opuszczanie nalegała Patricia Zellman, były podniesione i w padającym przez okna świetle zobaczył stopy. Paznokcie jednej pomalowane były na bordowo, druga tkwiła do połowy w czarnym pantoflu.

- Pani Zellman! - Pchnął drzwi lufą pistoletu i wszedł do środka. Na podłodze, przed kanapą w kształcie litery L, leżała w kałuży krwi pani Zellman, a na jej jedwabnej piżamie widniały krwawe plamy.

- Cholera... Jasna cholera - wyszeptał wściekle Stone. Sprawdził jej puls, choć wiedział, że nic nie wyczuje, a wolną ręką chwycił telefon. Czekał na połączenie, pochylił się nad nią i nasłuchiwał oddechu. Nic.

- Pogotowie - powiedział operator - Co się...

- Mówi detektyw Langdon Stone - przerwał i jednocześnie przeczesywał wzrokiem pokój. A jeśli Turnbull wciąż był w domu? Podał numer odznaki i polecił: - Potrzebuję wsparcia i karetki. -Z pistoletem w prawej ręce zaczął iść przez pokój i jednocześnie podawał operatorowi adres Zellmanów. - Jedna z ofiar napaści, Patricia Zellman, nie żyje, przeszukam teraz resztę domu.

- Wysyłam wsparcie, karetka jest w drodze - powiedział operator i w tym momencie Stone usłyszał hałas dochodzący z holu.

Zakręciło mu się w głowie, a serce załomotało w piersi. Trzymał pistolet w obu dłoniach.

- No chodź tu, skurwielu - wycedził przez zaciśnięte zęby. Ciemna postać kroczyła przez korytarz.

Usiłując zyskać na czasie, Harrison jechał boczną drogą przez dolinę rzeki Miami, omijając w ten sposób mniejsze miasteczka i ich ograniczenia prędkości. Przemknął przez Tillamook i kierował się dalej na południe, a serce cały czas waliło mu jak młotem. To mogło się wydarzyć. Turnbull mógł zostać złapany i koszmar się skończy.

On i Laura będą mogli być razem.

Niemal przegapił zakręt do posiadłości Zellmana i zahamował w momencie, w którym usłyszał wycie syren, a w tylnym lusterku zobaczył światła radiowozów przesywające poranną szarówkę. Nie miał wątpliwości, że służby zmierzają do domu Zellmanów, więc mocno skręcił kierownicę i wjechał w podjazd, żeby zdążyć przed nimi.

Kiedy przejeżdżał przez otwartą bramę, zacisnął zęby. Zacisnął ręce na kierownicy i żołądek podszedł mu do gardła. Coś się stało.

Coś złego.

Zatrzymał chwoleto za policyjnym samochodem zaparkowanym przed garażem - za autem Stone'a - a potem zgasił silnik i zabrał z siedzenia pasażera broń.

Odbezpieczył ją, pochylił się i zaczął skradać do drzwi wejściowych.

Pierwszy radiowóz pojawił się na podjeździe. Gdy się zatrzymał, obydwie pary przednich drzwi otworzyły się i usłyszał:

- Policja! Rzuć broń!

Harrison zrobił, co mu kazano. Jego pistolet upadł na trawnik.

- Odwróć się!

Uczynił to i zobaczył dwie lufy pistoletów skierowane wprost na niego.

- Na kolana! - nakazał młody mężczyzna w mundurze.

- Ale to ja powiadomiłem Stone'a! Ja...

- Na kolana, kurwa, i podnieś pieprzone ręce do góry!

Z mocno bijącym sercem Stone namierzył człowieka mającego w ciemnym korytarzu. Idź prosto do piekła, Turnbull!

- Tato? Mamo?

Ciemna sylwetka zrobiła chwiejny krok, a potem runęła na podłogę.

- O nie! - Stone dopadł do Brandta Zellmana, ubranego tylko w bokserki.

- Chryste... Trzymaj się! - powiedział Stone do chłopaka i usłyszał ryk zbliżających się syren. Boże, zdążą na czas? - Dasz radę. - Krew ciekła z ran w piersi i na szyi. Brandt obrócił się na plecy, miał otwarte oczy i wpatrywał się w sufit. Stone chwycił jego zakrwawione palce. - Jestem tu. Lekarz już jedzie.

Dzieciak odpływał.

- Nie ma mowy, Brandt! Zostajesz tutaj! Usłyszał dźwięk hamujących opon. Dzięki Bogu!

Więcej syren. Bliżej. Wrzaski. Głosy. Krzyki. Gniewne komendy.

Może złapali Turnbulla. Chodźcie tu! Wejdźcie tu natychmiast! Chłopiec tracił przytomność, jego skóra była biała jak papier, pomiędzy pryszczami widać było ślady pierwszego zarostu.

- Brandt! Jestem przy tobie. Nie pozwolę ci odejść. - Ścisnął chłopaka za rękę. - Pomoc już tu jest. - Dlaczego, do cholery, nie wchodzi do środka? - Trzymaj się...

- Tutaj, na litość boską! - wrzasnął.

Kątem oka zauważył dwóch policjantów biegnących przez krzaki, z pistoletami w rękach. Przez drzwi na taras wpadła Dunbar.

- Jasna... - zaczęła.

- Potrzebuję karetki! - krzyknął Stone.

- Już przyjechała.

Stone ścisnął dłoń chłopaka, nie przestając do niego mówić, dodając mu odwagi. Wreszcie pojawiła się sanitariuszka.

- Mamy go - powiedziała.

- Nie jestem pewien, czy w domu jest bezpiecznie - ostrzegł Stone, więc dwóch policjantów zabrało się do przeszukiwania pozostałych pokoi.

- Mamy dziennikarza zakutego w kajdanki - oznajmiła Dunbar. - Znaleźliśmy go na zewnątrz z dziewięćmilimetrową splotką.

Spojrzała na ciało i zrobiła się trochę zielona.

- On zgłosił morderstwo. Turnbull do niego zadzwonił.

- Tak czy siak, będzie siedział w wozie w kajdankach, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy. - Odetchnęła głęboko i spojrzała na swojego partnera: - Niech nasz Clark Kent trochę ochłonie.

Rozdział 41

Harrisona nie było.

Ani w łóżku, ani na leżance, ani na podłodze, gdzie zostawił koc i poduszkę, ani w łazience.

Zniknął.

Razem z pistoletem.

Serce Laury stanęło. Odrzuciła kołdrę i zobaczyła na zegarku stojącym przy łóżku, że jest dziewiąta. Szybko włożyła dżinsy i sweter. Z głębokim przekonaniem, że stało się coś bardzo, bardzo niedobrego, zaczęła wychodzić z pokoju, kiedy nagle usłyszała złowrogi syk:

Ty będziesz nasssstępna, siossstro.

Prawie spadła ze schodów.

Wzniosła mur, zanim Justice zdołał ją bardziej nastraszyć, bo nie była gotowa na telepatyczną rozgrywkę...

Miała sucho w gardle, zbiegając dwie kondygnacje w dół, gdzie zapach świeżej kawy i bułeczek cynamonowych wypełnił jej nozdrza. Trzy pary i jeden samotny mężczyzna zajmowali już miejsca w jadalni. Dwie z par śmiały się i rozmawiały, planując wyprawę do pobliskiej Astoria Column, starej wieży na najwyższym wzgórzu w mieście, a trzecia kończyła właśnie śniadanie, siedząc naprzeciwko siebie przy małym stoliku i sącząc kawę przy pustych talerzach. Na oko sześćdziesięcioletni samotny mężczyzna w okularach przeglądał sportową kolumnę gazety, skubiąc cynamonową bułeczkę.

Zwyczajni ludzie i ich zwyczajne życie.

Sześć stołów nakrytych było obrusami, a na środku każdego stał pękaty wazonik z jedną różą. Na długim stole pod ścianą obok czajniczków z kawą i herbatą stały karafki ze schłodzonym sokiem pomidorowym, jabłkowym i pomarańczowym. Kobieta w fartuchu, rozdająca pogodne uśmiechy, roznosiła talerze z jakimś alichem, kiełbaskami i krokietami.

- Przepraszam, czy widziała pani może pana Frosta z pokoju 302? - zapytała Laura, gdy kobieta postawiła talerze na stole.

Przestała się uśmiechać i pokręciła głową.

- Niestety, nie.

- Dziękuję.

Nie panikuj. To, że nie ma go w pokoju, nie znaczy jeszcze, że... Ale pistolet, zabrał tę przeklętą spluwę!

Serce jej waliło, a wyobraźnia podsuwała koszmarnie scenariusze, kiedy bosą wybiegła przed pensjonat i skręciła za róg, skąd widać było parking.

Lał deszcz. Chmury wisiały nisko nad rzeką.

Samochodu Harrisona nie było.

- Cholera - mruknęła i odwróciła się na pięcie. Wróciła do pensjonatu i wbiegła po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie. Znalazła komórkę, sprawdziła wiadomości... Nie było ani głosowych, ani tekstowych. Wybrała numer Harrisona i po czterech dzwonekach odezwała się poczta głosowa.

- To ja - powiedziała, odchodząc od zmysłów - gdzie jesteś? Ja... Ja ciągle jestem tutaj, ale... Zadzwoń. - Rozłączyła się i poczuła, że żołądek podszedł jej do gardła.

Dlaczego wyszedł, nie budząc jej, nie zostawiając kartki ani nie wysyłając esemesa?

- No dalej, Harrison - zachęcała, a niepokój przeszywał jej wnętrze, gdy spoglądała na komórkę. - No!

Z telefonem w kieszeni spakowała rzeczy, związała włosy, zrobiła delikatny makijaż, a wiadomość od Justice'a wwiercała jej się w mózg. *Ty będziesz następną, siostrzyczko.*

Złapała się krawędzi umywalki, bo zrobiło się jej słabo.

Co on miał do cholery na myśli? Następna? Czy ten psychopata złapał Harrisona? Jej umysł wypełniła nowa, przerażająca wizja. Jeśli Justice skrzywdził Harrisona... albo go zabił...

Powodowana strachem złapała ich rzeczy i wyszła z pensjonatu. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Kirsten, ale postanowiła jej nie martwić. Nie chciała też zostawiać wiadomości w redakcji.

Usiadła za kierownicą, przełożyła torbę na tylne siedzenie i włożyła kluczyk do stacyjki. A potem zamarła.

Zauważyła swoje odbicie we wstecznym lusterku i w swoich oczach ujrzała panikę.

Gdzie chcesz jechać? Co zrobisz? Harrison myśli, że jesteś tutaj. Jeśli wróci, a ciebie nie będzie...

- Przecież może zadzwonić, do jasnej cholery!

Zapaliła silnik, włączyła wycieraczki i wrzuciła wsteczny bieg. Serce waliło jej jak oszalałe, kiedy wyjeżdżała z parkingu.

Harrison słyszał, że jego komórka dzwoni, ale nie mógł odebrać, bo był skuty.

Nie musiał patrzeć na wyświetlacz, żeby wiedzieć, że dzwoni Laura.

Obudziła się i zastanawiała się, gdzie się podział. Znowu wpadł w panikę.

Zostań na miejscu. Nie jedź nigdzie. W Astorii jesteś bezpieczna.

Krzyczał, usiłując skłonić kogoś do rozmowy, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przed dom podjechały kolejne samochody, także z biura koronera.

Zabił ich! Ten skurwiel zamordował Zellmanów!

Wydawało mu się, że upłynęły godziny, zanim zobaczył detektywów Stone'a i Dunbar w drzwiach, choć tak naprawdę minęło tylko dwadzieścia minut.

Mieli poważne miny, byli zatopieni w rozmowie. Dunbar powiedziała coś, czego Harrison nie dosłyszał. Ustąpili z drogi noszom.

Harrison wykręcił szyję, śledząc mijający go korowód.

Nastoletni syn Zellmanów, Brandt, leżał na noszach blady jak śmierć, a sanitariusz trzymał kroplówkę, gdy chłopak był ładowany do karetki. Dzięki Bogu. Przynajmniej on przeżył!

Stone podniósł głowę, spostrzegł Harrisona i powiedziawszy coś do swojej partnerki, ruszył w jego kierunku.

Otworzył tylne drzwi.

- Wyłaż - powiedział i gdy Harrison postawił stopy na ziemi, rozpiął mu kajdanki. - Nie posłuchał mnie pan - stwierdził detektyw. - A tego należy się spodziewać, gdy ktoś pojawia się na miejscu zbrodni, wymachując pistoletem.

- Wiem - przyznał Harrison, a gdy rozcierał nadgarstki usłyszał silnik samochodu i zobaczył czarnego lexusa doktora Zellmana.

- Jasna cholera. - Stone ruszył w stronę doktora. - Niech pan tu zostanie - polecił Harrisonowi, kiedy doktor otwierał drzwiczki.

- Brandt? - wyszeptał łamiącym się głosem Zellman. Twarz miał bladą jak ściana, a oczy szeroko otwarte z przerażenia. - O nie, nie, nie!

- Doktorze, niech pan łaskawie wróci do samochodu, dopóki wszystkiego tu nie załatwimy.

- Tylko nie Brandt. Boże, tylko nie on. Musi z tego wyjść! - jęknął. - Tylko nie Brandt! Ja muszę z nim jechać! Jestem le-

karzem - wysapał słabo, w czasie gdy przez trawnik szła do nich detektyw Dunbar.

Drzwi karetki zatrzasnęły się i kierowca usiadł za kierownicą. Syreny rozdarły się, światła zostały włączone, silnik zaryczał i ambulans ruszył w kierunku szosy.

Zellman wyglądał na skołowanego.

- Brandt... mój syn... Muszę z nim jechać. Nie powinienem był zostawiać... - Przełknął ciężko ślinę. Był oszołomiony, wyglądał niemal jak zombi.

- Doktorze Zellman - powiedziała Savannah Dunbar i lekko dotknęła jego ramienia.

- Och - zamrugał kilkakrotnie i się rozejrzył. - Patricia? Gdzie jest moja żona? - Spojrzał na detektywów niemal oskarżycielko. - Co ten potwór jej zrobił? - Patrzył to na Stone'a, to na detektywa Dunbar, a potem upadł na ziemię. -

Powiedział, że mnie dorwie. Groził mi. I wiedziałem... Dobry Boże... - Jego głos był prawie niesłyszalny.

- Groził panu? Nigdy pan o tym nie wspominał.

- Tajemnica lekarska - warknął Zellman, siadając na mokrym trawniku. A potem, już bez złości, raczej z żalem, dodał: - A ja mu nie uwierzyłem...

- Przecież był mordercą - powiedział z niedowierzaniem Stone. Zellman zamknął oczy. Potem zebrał się w sobie i wstał.

- Gdzie jest moja żona? - wyszeptał. - Patricia. Chcę ją zobaczyć.

- Przykro mi doktorze Zellman, ale mam dla pana złą wiadomość.

Komórka Laury zadzwoniła, gdy wyjeżdżała już z Seaside i zastanawiała się właśnie, czy powinna poszukać mieszkania Harrisona, czy raczej zatrzymać się w redakcji „Breeze” i zapytać, czy nje mieli od niego żadnych wieści. Odebrała telefon, nie zważając na to, że nie ma zestawu głośno-mówiącego.

- Gdzie jesteś? Odchodziłam od zmysłów, że coś się...

- Lorelei? - usłyszała drżący kobiecy głos. Serce Laury stanęło.

- Tu Catherine. Mówiłaś, żebym dzwoniła, gdy coś się wydarzy. Nie!

- Co zrobił? - zapytała Laura, a strach zawładnął jej ciałem, gdy przypomniła sobie groźbę Justice'a.

Będziesz nasssstępną, siosssstro.

- Justice zaatakował - potwierdziła Catherine. Głos jej się łamał: - Ravinia i Isadora. Miał nóż...

Mój nóż, pomyślała Laura.

- Popęłniłam wielki błąd... - powiedziała Catherine drżącym głosem, prawie przechodzącym w pisk.

- Wszystko z nimi w porządku? Z Isadorą i Ravinią? - dopytywała Laura.

- Nie wiem.

- Ale żyją? - Boże, błagam.

- Tak.

- Zadzwoń do biura szeryfa. Do detektywa Stone'a. Albo nie, zadzwoń pod 911. Chyba że już to zrobiłaś?

- Nie, wiesz, że zależy nam na prywatności...

- Do diabła, Catherine! On zaatakował moje siostry! Twoje siostrzenice! W tym jedynym miejscu, gdzie miały być bezpieczne! Gdzie teraz jest?

- Nie wiem...

- Słuchaj, będę tam za dziesięć, może piętnaście minut. Trzymaj się. - Rozłączyła się i bez zastanowienia zadzwoniła pod numer alarmowy. Do diabła z Catherine i jej sekretami, jej potrzebą prywatności, bramami i całą tą przekłętą szopką.

Dopóki Justice nie znajdzie się za kratkami albo nie zostanie zabity, nikt nie będzie bezpieczny!

Nie zwracając najmniejszej uwagi na ograniczenia prędkości, a w zasadzie z nadzieją, że trafi na jakiś patrol policyjny polujący z ukrycia na piratów drogowych, skierowała się do Pieśni Syreny. Gdzie jest Harrison? Gdzie on jest?

Gdy skręcała w drogę dojazdową do posiadłości, minęło ją porsche. Po raz pierwszy w życiu widziała bramę otwartą i mężczyznę stojącego po drugiej stronie.

- Lorelei, to ty? - zapytał. Patrzył na nią i kiwał głową, gdy otworzyły się drzwi domu i wybiegła przez nie Cassandra.

- Tak, Earl. To moja siostra. Chodź! - Ładna twarz Cassan-dry była wykrzywiona strachem, oczy miała szeroko otwarte i nie zwracała uwagi na to, że dół jej sukni jest ubłocony. - Szybko, Lauro!

- Gdzie jest Catherine?

- W środku.

Laura spojrziała na mężczyznę.

- Kim...

- Earl nam pomaga. Przez jakiś czas go nie było. To z jego komórki dzwoniła do ciebie Catherine.

Dozorca był wysoki, lekko się garbił, miał przerzedzone siwe włosy. Ubrany był w kurtkę przeciwdeszczową zarzuconą na ogrodniczki i flanelową koszulę, a na nogach uwalane błotem kalosze. Kiwał głową, gdy zamykał bramę za obiema kobietami.

- Proszę nie zamykać - powiedziała Laura - i niech pan tu poczeka, bardzo proszę. Zadzwoiłam po policję.

- O nie! - Cassandra zerknęła na nią z przerażeniem, gdy weszły na ganek. - Catherine cię zabije!

- Będzie się musiała ustawić w kolejce. Co się stało?

- To był Justice! Wspiął się po ścianie i próbował zabić Ra-vinię. Gdyby nie Isadora... - zadygotała - nie wiem, jak by się to skończyło.

Ogień w kominku w salonie się palił, Ravinia leżała na sofie okrytej białymi prześcieradłami. Isadora siedziała w fotelu bujanym, obie ręce miała zabandażowane.

Zapach popiołu, dymu i czegoś smakowitego, chyba gulaszu, zdominowany był przez woń środków odkażających.

Wybielacz i jodyna, odpowiedź Catherine na każdy rodzaj zarazków. Catherine, z popielatą twarzą, nalewała do szklanek wodę z cynowego dzbanka, który Laura pamiętała jeszcze z dzieciństwa; podobno był przekazywany z pokolenia na pokolenie, w każdym razie tak im mówiono.

Włosy miała splecione w długi warkocz. Podniosła głowę, gdy weszły Laura i Cassandra.

- Dzięki Bogu - powiedziała. - Jesteś pielęgniarką. Miałam nadzieję, że będziesz miała przy sobie apteczkę.

- Zobaczą, jak poważne są rany, ale nie, apteczki ze sobą nie mam.

Zauważyła gazę i opatrunki w higienicznych paczuszkach oraz rolki taśmy klejącej, która musiała mieć co najmniej ćwierć wieku.

Ravinia miała zabandażowane ramię, a biały opatrunek robił się coraz bardziej czerwony.

- Co się stało? - spytała Laura, a Ravinia odwróciła wzrok.

- Próbowała uciec - powiedziała Catherine, nie kryjąc nawet oskarżycielskiego tonu. - I wpadła prosto na Justice'a.

- Był tutaj?

- Po tej stronie ogrodzenia - podkreśliła Ravinia, a jej usta wygięły się w podkówkę. Najwyraźniej spotkanie z Justice'em i otarcie się o śmierć nie złagodziło jej buntowniczych nastrojów. Łypnęła na Catherine takim wzrokiem, jak gdyby starsza pani trzymała ją w więzieniu. - Tu nie było bezpiecznie. Gdyby mnie nie zobaczył, mógł wejść do domu i zaszlachtować nas wszystkie. Wystarczyło tylko zaczekać, aż zaśniemy.

- Ona ma rację - zgodziła się Cassandra.

W pokoju nie było pozostałych sióstr, tylko Ravinia, Cassandra i Isadora.

- Powiedz, co się stało - poprosiła Ravinię Laura, klękając przy kanapie, na której leżała siostra - a ja zerknę na ranę.

- Próbował mnie zabić.

- Byłaś na zewnątrz? - Laura odwijiała bandaż. Krew wciąż leciała.

- Mam serdecznie dosyć tego miejsca. - Ravinia znów łypnęła na ciotkę. - Nie wolno nam nic robić, nie mamy komputerów, telefonów, a telewizję tylko od czasu do czasu. - Spojrzała na stojący w kącie przedpotopowy odbiornik. - To dziwaczne życie.

- My jesteśmy dziwaczne - dorzuciła ironicznie Cassandra.

- Ale ty się stąd wyrwałaś. - Ravinia spojrzała na Laure, która odwinęła właśnie ostatni zwój zakrwawionej gazy. - Ty i Becca. Ona nawet wyszła za męża i ma dziecko. Ty też wzięłaś ślub. Macie prawdziwe życie!

Laura zagryzła wargi. Prawdziwe życie, niech je szlag. Oderwała bandaż i Ravinia zatrzymała oddech, gdy ukazała się głęboka, paskudna rana, która mogła być jeszcze głębsza, gdyby nóż nie natrafił na kość obojczykową. Na szczęście tętnica była nienaruszona, ale Laura obawiała się, że Ravinia może mieć uszkodzony mięsień.

- Więc byłaś na zewnątrz...

- I on tam był! Wyszedł z za rogu i zobaczyłam, że zagląda przez okno. Krzyknęłam, zauważył mnie i ruszył w moją stronę. - Zaczęła dygotać. - Zobaczyłam, że ma w ręce nóż i chciałam uciekać, ale dogonił mnie i wyprzedził. Syczał na mnie! Wyzywał, a ja kopałam go i wtedy pojawiła się Isadora.

- Wyglądałam przez okno - powiedziała Isadora - zaciągałam zasłony, gdy go zobaczyłam. Było ciemno. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale złapałam pierwszą rzecz, na jaką trafiłam, to znaczy żeliwną patelnię, i wybiegłam. Wrzeszczałam i uderzyłam go w głowę, kolana ugięły mu się na moment...

Laura obserwowała, jak Isadora z trudem przelyka ślinę i powoli porusza ustami, relacjonując horror, jaki przeżyła.

- Potem - kontynuowała - odwrócił się i zobaczyłam jego oczy. Padało skądś światło... Może księżycowe? Nie wiem, ale te oczy lśniły! Były lodowato błękitne. Skoczył na mnie i wymachiwał nożem. Zakryłam rękami twarz, zaczęłam krzyczeć i uciekać i wtedy nadeszła Catherine z pistoletem.

- Z pistoletem? Strzeliłaś do niego? - zapytała Laura, sięgając po nową rolkę bandaża.

Catherine pokręciła głową.

- Nie mogłam. Było zbyt ciemno. Bałam się, że trafię Ravinię albo Cassandrę... Wystrzeliłam w powietrze i on uciekł. Rozpłynął się w ciemności.

- I nie zadzwoniłaś po policję? Wiedząc, że jest poszukiwany? - zarzuciła jej Laura i zaczęła owijać ramię Ravinii czystym bandażem.

Catherine zmrużyła oczy i w tym momencie rozległy się syreny.

- Wygląda na to, że nie musiałam się kłopotać, czyż nie? Zadbaliśmy o to sama.

Zanim Laura zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił jej telefon. Zobaczyła na wyświetlaczu, że to nareszcie Harrison, i poczuła ogromną ulgę.

- Przytrzymaj tutaj - pokazała Ravinii gdzie - porządnie. -A potem powiedziała do telefonu:

- Cześć.

Harrison mówił krótko.

- Przepraszam, że cię zostawiłem. Afera w domu Zellma-nów. Turnbull tu był.

Zaskoczona Laura spojrzała na siostry, które gapiły się na nią i usiłowały podsłuchać rozmowę.

- W takim razie musiał być bardzo zajęty, bo w nocy przyszedł do Pieśni Syreny. Zranił dwie moje siostry.

Zadzwoniłam po pomoc, gdy się dowiedziałam, i wygląda na to, że gliny już tu są.

- Nie ruszaj się stamtąd! Już jadę!

Harrison zatrzasnął komórkę i ruszył do samochodu. Stone stał obok jednego z radiowozów i rozmawiał przez komórkę, a detektyw Dunbar wciąż zajmowała się doktorem Zellmanem.

- Jest pan pewien, że nic panu nie jest? - pytała Dunbar psychiatrę.

- Muszę wejść do środka i zmienić opatrunek - dotknął bandaża na szyi.

- Przykro mi, ale śledczy jeszcze nie skończyli.

- Muszę wejść do...

- W tej chwili to miejsce zbrodni.

- Ale...

- Czy jest ktoś, do kogo możemy zadzwonić, żeby zajął się panem?

- Nie - odpowiedział z wysiłkiem. - Muszę jechać do Ocean Park i być z synem. Brandt jest ranny i... Muszę jechać.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł, żeby jechał pan sam. Zellman zebrał się w sobie i w charakterystyczny sposób wypuścił nosem powietrze.

- Powiedziałem, że nic mi nie jest. Jestem lekarzem, znam się na tym.

Skończywszy dyskusję, odwrócił się na pięcie i podszedł do swojego samochodu. Chwilę później wyjeżdżał z podjazdu. Dunbar złapała spojrzenie Harrisona i pokręciła głową.

Harrison odwrócił się i odprowadził wzrokiem znikającego w potokach deszczu lexusa. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby zachowywać się w ten sposób tuż po dowiedzeniu się, że jego żona została zamordowana, a syn jest poważnie ranny i walczy o życie? Coś było z tym facetem zdecydowanie nie w porządku.

Ale z drugiej strony, Zellman zawsze był dupkiem. Jeden z funkcjonariuszy wyszedł z domu z workiem pełnym zakrwawionych prześcieradeł.

- To z pokoju dzieciaka? - zapytała Dunbar.

- Tak.

Zerknęła na czerwoną pościel i szybko się odwróciła, żeby zwymiotować prosto na zaczynający kwitnąć krzak rododendronu.

- W porządku?

- Tak - wytarła usta wierzchem dłoni. - To nie z powodu tego widoku.

Jeden z policjantów usłyszał to i roześmiał się złośliwie.

- No jasne, Dunbar. To na pewno nie krew, śmierć i przemoc. Musi być jakiś inny powód.

Splunęła na trawnik, wyprostowała się i popatrzyła na niego chłodno.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Policjant zaczął się histerycznie śmiać, ale w jednej chwili przestał, gdy zobaczył jej minę.

- Żartujesz? - zapytał - Kto ci to zrobił?

Stone zbliżył się do nich w chwili, gdy Dunbar powiedziała:

- Nie przejmuj się, to na pewno nie moje.

Spojrzał na nią badawczo, a potem wymienili z Harrisonem zdziwione spojrzenia.

- Ehm - Stone stracił wątek, ale otrząsnął się i dokończył: - Dzwonił szef. Nasz chłopaczek był ewidentnie bardzo zajęty wczorajszej nocy. Zgłoszono atak na Pieśń Syreny. Dwie kobiety są ranne. Nasi i ambulans są w drodze.

- Słyszałem, właśnie dzwoniłem do Laury. Jest na miejscu - powiedział Harrison.

Stone był już w drodze do samochodu:

- Jadę tam.

- Dopilnuję spraw tutaj i dojadę - powiedziała Dunbar. Harrison nie czekał. Biegł już do chevroleta. Spodziewał się, że detektywi będą chcieli wybić mu z głowy podróż do Pieśni Syreny, ale mogli nie strzepić sobie języków. Musiał zobaczyć na własne oczy, że Laurze nic nie jest.

- Hej! - zawołał za nim Stone - może pan tego potrzebować. - Trzymał w dłoni broń Harrisona. - Ma pan pozwolenie, sprawdziłem.

- Mówiłem, że mam.

Stone podał mu pistolet i usiadł za kierownicą.

- To nic osobistego, Frost. Po prostu nie ufam prasie.

Rozdział 42

Mike Ferguson uznał, że stary motel jest zajeździe fajny. Jechał do Deception Bay najpierw z parą emerytów pikapem, który wyglądał, jakby pochodził z lat sześćdziesiątych. Dowieźli go do rozjazdu na Mist i Jewell. Potem zabrało go dwoje nastolatków jadących wypasioną toyotą 4 runner. Oni z kolei nie uznawali jazdy wolniejszej niż sto na godzinę, co bardzo Mike'owi odpowiadało. Wysadzili go przy zjeździe do Seaside i szedł kilka kilometrów piechotą, zanim podwiózł go do Deception Bay facet, który twierdził, że jest kucharzem w knajpie Davy Jones's Locker. Ten kierowca forda focusa zatrzymał się w centrum miasta i Mike sam znalazł drogę do motelu, który Szalona Maddie, to znaczy matka Justice'a Turnbulla, traktowała kiedyś jak dom. Zignorował zamkniętą na łańcuch bramę oraz poruszający się na wietrze szyld z napisem „Nie ma przejścia” i w strumieniach deszczu dotarł przed wejście do motelu.

To była kompletna ruina, ale Mike i tak nie mógł się powstrzymać od myszkowania w kredensach i szafach poszczególnych domków. Nie zostało tu wiele rzeczy. Wyglądało na to, że ktoś tu kiedyś obozował i porzucił zjedzony przez szczury śpiwór w mieszkaniu kierownika, najlepszym ze wszystkich podupadających domków. Ciąg bungalowów, porozdzielanych wiatami garażowymi, był w opłakanym stanie. W dachach ziały dziury, a z kominów powypadały cegły. Niektóre drzwi zabito gwoździami, a większość okien pozasłaniano drewnianą płytą. Ogrodzenie wokół tego terenu było dziurawe jak ser.

Panował tu hałas. To ta bliskość oceanu.

Mimo wszystko znalazł kilka rzeczy, które nadawały się do zabrania. Stara tablica rejestracyjna z lat sześćdziesiątych, starsza niż Justice, pomyślał Mike, obrazek Chrystusa przyczepiony do kawałka drewna wyrzuconego przez morze, który wisiał kiedyś na ścianie, spadł z gwoździa i przeleciał przez dziurę w podłodze oraz psią obrożę z medalionem z wygrawerowanym imieniem „Sport”. Znalazł nawet kartę tarota i przypomniał sobie, że Szalona Maddie przepowiadała przyszłość z kart, więc karta śmierci była prawdziwym skarbem. Ale co należało do Justice'a Turnbulla? Czy została tu jakaś część małego chłopca, którym był?

Mike pomyślał, że przecież Justice spędził w motelu kilka ładnych lat swojego dzieciństwa, ale nie znalazł nic, co mogłoby to potwierdzić. Wiedział tylko, że kilka lat temu właśnie tu Tumbull próbował zabić swoją matkę i jeszcze jedną kobietę, ale nie było też żadnych śladów po tej zbrodni, minęło zbyt wiele czasu.

Siedział po turecku na brudnej podłodze i słuchał wycia wiatru. Jeszcze kilka godzin dzieliło go od odpływu, postanowił więc poczekać tutaj. Może w latarni morskiej znajdzie coś fantastycznego, co zaimponuje Jamesowi, a nawet... Karze Mathis. Byłoby naprawdę super!

Wyciągnął telefon i włączył go. Belinda napisała, że James go szuka. Tak, tyle sam wiedział. James wysłał mu milion esemesów i zostawił wiadomości głosowe. Zastanawiał się chwilę, czy nie oddzwonić, ale nie chciał usłyszeć, że jest idiotą. Niech James się martwi. Dobrze mu tak.

Tak czy siak, jutro przecież wróci do domu.

Po wizycie w latarni morskiej.

W Zellmanie było coś, co naprawdę niepokoiło Harrisona. Po drodze do Pieśni Syreny próbował dojść, co to takiego.

Na pewno znacznie więcej niż rozdmuchane ego i przekonanie o własnej doskonałości. Miał jakąś zdolność kierowania ludźmi. Tak, jakby chcąc udowodnić, jaki jest wspaniały, zmuszał do wykonywania swoich rozkazów.

Nie udało mu się tylko z Justice'em Turnbull-lem. Zellman nie zrozumiał własnego pacjenta.

Co mówił Zellman zapytany o groźby, jakie kierował pod jego adresem Turnbull? Coś o tajemnicy lekarskiej? Ale przecież nie zawsze zależało mu na jej przestrzeganiu. W czasie wcześniejszych rozmów powiedział wiele rzeczy, niektóre nawet napisał na komputerze, bo trudno było mu mówić.

Harrison przestawił wycieraczki na większą prędkość i zauważył, że deszcz pada mocniej, niebo jakby obniżyło się, a chmury były szare i ciężkie. Jedną z tych rzeczy, o których powiedział Zellman, było przekonanie Turnbulla, że potrafi wyczuć zapach mieszkańek Pieśni Syreny, gdy były w ciąży.

Wariactwo.

Ale czy więc telepatyczna między Laurą i Justice'em nie była równie niewiarygodna?

Jeszcze coś nie dawało mu spokoju. Widok detektyw Dunbar wymiotującej w krzakach pod domem doktora Zellmana przywiódł mu na myśl pierwsze spotkanie z Laurą, w czasie którego również ona miała torsje.

A czy były mąż Laury, ten głupek Adderley, nie wypytywał jej

O ciążę? Czy nie to właśnie mówił wtedy, na parkingu?

Doznał nieprzyjemnego wrażenia. Była zmęczona. Błada. Miała podkrążone oczy. Trzymała się na dystans.

Przypisywał to wszystko świeżości ich związku i presji, jaką wywierał na niej Justice Turnbull, ale może było coś jeszcze, co nie pozwalało jej spać i zaprzętało myśli.

- Daj spokój - skarcił się, wściekły na siebie. Skręcił za róg

i wystraszył kruka, który usiłował porwać z ziemi jakieś niezidentyfikowane truchło. Ptak uderzył kilka razy skrzydłami i wzbił się w powietrze.

Harrison ledwie zwrócił na niego uwagę. Opony jego chevroleta piszczwały na mokrym asfalcie, a jego myśli były już prawie tak samo czarne jak chmury. Przecież Laura na pewno nie była... Powiedziałaaby mu, gdyby... co? Była w ciąży z byłym mężem?

- Nie słuchaj tego złamasa Adderleya - poradził sam sobie, ale instynkt dziennikarza podpowiadał mu, że w dopiero rozpoczętym związku coś było bardzo nie w porządku i to nie dawało mu spokoju.

Zbliżając się do zjazdu do Pieśni Syreny, zwolnił. Dwie koleiny wyżłobione w nawierzchni alei pełne były kałuż i kępek trawy z bieżników opon kilku samochodów stojących pod bramą. Wejścia nie blokował ani łańcuch, ani milczące kobiety w sukniach jakby żywcem wyjętych z XIX wieku.

Zamiast tego gapiów trzymał z dala szpaler radiowozów, błyskających kogutów i uzbrojeni policjanci. Za nic nie chcieli wpuścić Harrisona do środka, choć próbował każdego sposobu. Policja starannie przeszukiwała teren po obu stronach ogrodzenia i próbowała znaleźć miejsce, przez które Justice Turnbull dostał się do środka.

Nawet Stone, który dotarł na miejsce przed nim, nie wyszedł, żeby udzielić mu zgody na wejście do środka. Ale Laura, która najwyraźniej na niego czekała, wypatrzyła chevroleta i szybko wyszła z domu, zmierzając w kierunku bramy.

Nie widzieli się od dzisiejszego ranka i jej widok sprawił, że zniknęły wszystkie wątpliwości. Wsuwała ramiona do rękawów

cienkiej kurtki. Uśmiechnęła się i pomachała, gdy spotkały się ich spojrzenia. Przypomnił sobie, jak całował jej usta i jak bardzo rozpraszała go jej bliskość poprzedniej nocy. Było w niej coś tak piekielnie seksownego i zmysłowego, co dotykało miejsca w nim, o którego istnieniu nie miał nawet pojęcia. Lorelei, pomyślał.

- Wszystko w porządku - stwierdziła stanowczo i skinęła głową w stronę Harrisona, rozmawiając z policjantem. - On jest ze mną.

Wyglądała na zmęczoną, a ciemne kręgi pod oczami były wciąż widoczne, tak jakby walczyła z gripą albo bezsennością. Myślał, że rozumiał. Teraz nie był już tego taki pewien.

Ale wiedział, że terror Justice'a odciska na niej swe piętno. Obecnie szaleniec miał na koncie nie tylko pościg za nią i próbę zabójstwa, ale także atak na jej siostry. Tutaj. W Pieśni Syreny. Gdzie miały być bezpieczne. Nic dziwnego, że była gotowa telepatycznie wyzwąć tego psychola na ostateczny pojedynek.

Co nie było dobrym pomysłem, jeśli jatka w domu doktora Zellmana stanowiła próbkę tego, na co stać mordercę. Było oczywiste, że Justice Turnbull popada w coraz większe szaleństwo. Patricia Zellman zabita, Brandt Zellman walczył o życie, i o ile dobrze zrozumiał, dwie z siostr Laury zostały poważnie ranne, ale ich życiu nie groziło niebezpieczeństwo.

Tak czy siak, to była długa i pracowita noc dla Justice'a Turn-bulla.

Oficer chroniący miejsce zbrodni, dwudziestokilkuletni mężczyzna z krótkimi rudymi włosami i stanowczym wyrazem twarzy, pasującym do kogoś znacznie starszego, pokręcił głową.

- Polecono mi nie wpuszczać nikogo, chyba że szeryf osobiście wyda zgodę. W przeciwnym razie nic z tego.

- Poproszę o zgodę detektywa Stone'a.

Policjant, który na odznace miał napisane „Crampton”, był niewzruszony:

- Powiedziałem „szeryf”. - Zmarszczył brwi, patrząc na Harrisona: - Ja pana znam. Jest pan dziennikarzem. Tym, który rozdmuchał całą historię wokół morderstwa w klubie w Portland. Boozedog.

- Boozehound - poprawił go machinalnie Harrison.

- Nieważne, zostaje pan tutaj.

- Jak twoje siostry? - zapytał Harrison.

- Nic im nie będzie. Za sekundę wychodzę - powiedziała Laura, najwidoczniej stwierdzając, że dyskusja z policjantem nie miała sensu.

Nie miał innego wyboru, jak tylko poczekać na zewnątrz. Deszcz zmienił się w mżawkę. W powietrzu wisiała zapowiedź nocnej burzy, ale na razie wiatr ucichł, a stara rezydencja, widoczna spomiędzy omszałych drzew, wyglądała mrocznie i groźnie. Zadzwoił do redakcji, sprawdził pocztę i wysłał wiadomość do redaktora, że pracuje nad materiałem o morderstwie w domu Zellmanów i o ataku na mieszkanki Pieśni Syreny.

Connelly zadzwonił do niego po pół godzinie właściwie tylko po to, żeby powiedzieć, by „tak trzymał”, po czym poinformował go radośnie, że od czasu historii o Śmiertelnych Grzesznikach liczba prenumeratorów pisma wzrosła o trzydzieści procent w porównaniu z tym samym okresem rok wcześniej. Mógł to być przypadek, ale Vic Connelly nie miał zamiaru dociekać. Był zadowolony z Harrisona. Zadowolony, bardzo!

Minęło jeszcze następne pół godziny, zanim Laura wróciła, tym razem wyglądało na to, że jest gotowa do odjazdu. W tym czasie przyjechała karetka i ratownicy medyczni, co znów przypomniało mu o oskarżeniach Adderleya, że Laura jest w ciąży.

Po prostu nie mógł o tym zapomnieć.

- Zmywajmy się stąd - powiedziała Laura, gdy minęła policjantów, przeszła przez bramę i spojrzała mu w oczy. Wyciągnął do niej rękę, ale powstrzymała go i powiedziała cicho: - Może spotkamy się gdzieś? - Jej piękne inteligentne oczy zatrzymały się na nim na moment: - Co powiesz na Sands?

- Okej.

Puściła jego ramię i Harrison zauważył, że obserwuje ich rudowłosy policjant i dwie siostry Laury, jedna na wózku inwalidzkim. Obydwie były na ganku i oczy miały utkwione w Laurze i Harrisonie.

Wiedział, że miała na myśli piekarnię Sands of Thyme, ale ktoś postronny mógł zinterpretować ich miejsce spotkania jako bar Sands w hotelu w Seaside albo małe bistro w Cannon Beach.

Przejechał już kilka kilometrów i starał się cały czas mieć w zasięgu wzroku jej tylne światła. Chociaż było wczesne popołudnie, dzień był ciemny, a chmury, zamiast się przeredzać, gęstniały. W strumieniach padającego deszczu reflektory subaru wyglądały jak małe czerwone latarenki.

Dojechał za nią do głównej drogi, przecinającej Deception Bay. Z zachodniej strony ulicy, za sklepami, był ocean. Ciemny i wzburzony, z białymi bałwanami na grzbietach fal, które dobijały do brzegu i wracały. Laura skręciła na mały parking przed piekarnią. Harrison zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Zamknął drzwi, a potem szybko ruszył, z kołnierzem kurtki postawionym dla ochrony przed deszczem, w huku fal głośniejszym niż zwykle. Zrównał się z Laurą w chwili, gdy podchodziła do drzwi frontowych.

Dzwoneczek nad drzwiami zadzwonił, kiedy weszli do wnętrza wypełnionego zapachami chleba i kawy.

- Hej, właśnie zamykamy! - zawołała Kirsten z zaplecza, zanim wyszła za ladę i zobaczyła brata. - To znaczy jesteście zamknięci. - Uśmiechnęła się.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie macie ani jednego migdałowego różka?

- Niestety, brachu.

- Jesteś sama?

- Dzisiaj moja kolej na zamykanie po południu. Barista wyszedł dziesięć minut temu.

- A może jest coś z menu lunchowego? - zasugerował Harrison, studiując tablicę z wypisanym kredą menu, wiszącą nad kasą. - Mówiłaś, że poszerzacie ofertę.

Wyszła z baru.

- Cóż... Mogę zrobić dla was wyjątek, tym razem, i poczekać jeszcze kilka minut.

Zamknęła drzwi od środka, tabliczkę z napisem „Otwarte” przekreśliła tak, że na zewnątrz widniał napis:

„Zamknięte”, wytarła ręce o fartuch i zapytała:

- Co mogę podać? Mam pyszne kanapki z rostbefem, pomidorem i mozzarellą, a jeśli ładnie poprosisz, to dodam bekonu i podgrzeję całe to diabelstwo.

- Wchodzimy w to - powiedział Harrison. -1 piwo.

- Ha, ha! Możesz brać, co chcesz z lodówki. Chyba że wolisz kawę, wtedy zapraszam do dzbanka. Jest jeszcze gorąca. - Kirsten odwróciła się i spojrzała wyczekująco na Laurę: -A dla ciebie? To samo? A może wolisz zabójczą sałatkę caesar z krewetkami?

- Doskonale! - pokiwała głową Laura i zajęła miejsce przy jednym ze stolików.

Harrisem nalał im obojgu kawy i przyniósł dzbanuszek ze śmietanką i koszyczek z cukrem.

- Wybierz, jaką chcesz truciznę - usiłował rozluźnić atmosferę, chociaż miał do niej dziesiątki pytań.

Opowiedziała mu, jak się obudziła i zobaczyła, że go nie ma, o telefonie od przerażonej Catherine i kolejnych godzinach spędzonych w Pieśni Syreny.

Kirsten przyniosła ich dania, kanapkę i miseczkę surówki co-lesław dla Harrisona oraz sałatkę i kilka kromek razowego chleba dla Laury. Dolała im kawy do kubków, a potem powiedziała, że oficjalnie skończyła pracę. Kiedy zjedzą, Harrison ma przynieść brudne naczynia na zaplecze, gdzie ona będzie sprzątać. Słyszeli jej krzątanie: lejącą wodę, dzwonienie naczyń, piosenki z lat osiemdziesiątych grane w radiu.

Laura wzięła kawałek chleba, posmarowała masłem i wbiła w kromkę zęby.

- Boże, jakie pyszne - powiedziała, zamknęła oczy i wydawało się, że naprawdę wędruje do bram nieba. - Nie zjadłam dzisiaj śniadania.

- Ani lunchu. - Ugryzł kawałek kanapki. Kirsten miała rację, kanapka była iście diabelska.

- Teraz twoja kolej na opowieść - poprosiła Laura, a wzrok miała poważny. - Słyszałam od detektywa Stone'a, że pani Zellman została zamordowana, a ich syn jest w szpitalu. Miałeś kolejny telefon?

- Tak. Od Turnbulla. - Pomiedzy kolejnymi kęsami opowiedział, jak postanowił nie budzić jej i zostawić w bezpiecznym miejscu, a sam jak szalony pojechał do rezydencji Zellmanów. - Doktor był w pracy. Od wczesnego ranka. Mimo że nadal miał problem z mówieniem.

- Ale Justice powiedział ci, że wszyscy nie żyją. A Zellmana tam nie było. - Wbiła widelec w jedną z krewetek.

- Tak. - Harrison pokiwał głową. Jego też to niepokoiło. Oprócz wielu innych rzeczy.

Skończyli jeść.

- On się rozkręca - stwierdziła Laura. - Ośmiela się. Ryzykuje. Podejmuje złe decyzje.

- I zabija ludzi.

- Isadora powiedziała, że go zraniła - powiedziała Laura, biorąc filiżankę w obie dłonie i zmrużyła oczy. - Uderzyła go

w głowę, ale nie wiadomo, czy odniosło to jakikolwiek skutek poza tym, że uratowało życie Ravinii.

- Szkoda, że go nie zabiła.

- Nigdy nie życzyłam nikomu śmierci, ale Justice... - westchnęła i odsunęła do połowy zjedzoną sałatkę. - On jest szczególnym przypadkiem.

- Amen.

- Zastanawiam się, jak mocno go uderzyła. Dokąd poszedł?

- Pociągnęła łyk z filiżanki. - Gdzie się czuje bezpieczny?

- Gdziekolwiek się chowa - Harrison myślał na głos - policja go znajdzie. Nie ma pieniędzy, kart kredytowych, pracy ani samochodu. Nie ma przyjaciół ani rodziny innej niż ta w Pieśni Syreny, a jego twarz pojawiła się we wszystkich gazetach. To tylko kwestia czasu.

- Im wcześniej, tym lepiej - mruknęła, a potem zerknęła na niego znad filiżanki. - A kiedy następnym razem zadzwoni, bądź tak miły i obudź mnie. Czy proszę o zbyt wiele?

Przypomniawszy sobie, jak spokojnie wyglądała, leżąc w łóżku z czterema kolumnkami, jak bolało go serce, gdy na nią patrzył. Czy go okłamywała?

- Chciałbym cię o coś zapytać - zaczął, starannie dobierając słowa. - Kilkakrotnie w czasie tej sprawy była mowa o ciąży. - Patrzył jej w oczy, ale zauważył, że jej wargi prawie niedostrzegalnie zadrżały. - Zellman, kiedy mówił o relacji łączącej Turnbulla z kobietami z Pieśni Syreny, wspominał, że on twierdzi, że łatwiej wyczuwa kobiety z Pieśni Syreny, kiedy są w ciąży. - Laura odwróciła wzrok i zaczęła bawić się odstawioną na stół filiżanką.

- A potem, na parkingu, twój były mąż...

- Zarzucił mi, że ukrywam przed nim ciążę - dokończyła Laura, przerywając mu, a jej niebieskie oczy przybrały kolor ciemnego granatu. - A ty pytasz, czy jestem w ciąży. Powiedziałam mu, że nie i to nie było kłamstwo. Nie jestem w ciąży, Harrisonie.

Odczuł chwilową ulgę, ale potem zauważył w jej twarzy poczucie winy. Odetchnęła głęboko i westchnęła.

- Ale jeśli chcesz znać całą prawdę, to byłam w ciąży. Niedawno. - Zagryzła wargę. - Byłam w ciąży, gdy cię poznałam, dopiero co się dowiedziałam, i tak, dlatego Justice tak łatwo mnie znalazł, ale to już przeszłość. - W jej oczach zalśniły łzy.

- Poroniłam.

Czuł się, jakby cały jego świat rozpadał się na kawałki.

- Nie planowałam tego... Byron i ja chcieliśmy spróbować naprawić nasz związek. Oczywiście nic z tego nie wyszło, ale dowiedziałam się o ciąży trochę ponad tydzień temu i... nie powiedziałam nikomu. Jediną osobą, która wiedziała, był Justice.

Harrison nie wiedział, co powiedzieć. Tak naprawdę nie spodziewał się, że ma rację, więc był zszokowany.

- Zaczynałam wszystko sobie układać. Chciałam mieć dziecko od lat, a teraz... Teraz miałam sprowadzić ją na ten potworny świat.

-Ją?

- Tak czułam. W mojej rodzinie rzadko rodzą się chłopcy i... Jedna z moich sióstr w Pieśni Syreny to przewidziała.

- Więc ona też wiedziała.

- No tak... - Laura spojrzała na niego.

- Nic z tego nie rozumiem! - Nagle wybuchł. Był wściekły, że mu nie powiedziała, nie zaufała mu. Wściekły na siebie. Ze marzył o niej, o tym, że będzie dzielił z nią życie... A to kłamstwo cały czas było między nimi!

Widziała furie, która rodziła się w jego duszy, czuła ten ból.

- Byłam gotowa na wszystko, byle tylko ochronić moje dziecko. Ale nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Uciec? Ukryć się tak daleko od Justice'a, jak to tylko możliwe? Oglądać się za siebie, za nią, do końca życia? Czy stawić mu czoło i próbować go zniszczyć? I nagle ty się pojawiłeś... Poszukiwacz prawdy. Myślałam... I wierzyłam, że zakochuję się w tobie. - Zamrugła i odchyliła się na krześle. - Ale najwyraźniej się myliłam.

- Tak - powiedział zimno. Jego gniew ją złamał:

- Powinnam była otworzyć przed tobą serce?

- Tak!

- Ale nie wiedziałam jak. - Przerzuciła torebkę przez ramię, podeszła do drzwi, otworzyła zamek i wyszła na zewnątrz.

Poderwał się i złapał drzwi, zanim trzasnęły, i pobiegł za nią, lawirując między kałużami, przez mały parking.

Wcisnęła już guzik na pilocie.

- Powinnaś była mi zaufać! - krzyknął, gdy dotarł do niej i całym ciałem zatrzęsął drzwi samochodu.

- Prosisz o zbyt wiele - Usta drżały jej z wściekłości i drugi raz mocno szarpnęła za klamkę. - Zejdź mi z drogi!

Kiedy się nie ruszył, popatrzyła na niego i zapytała:

- Czego do diabła ode mnie chcesz? - Deszcz spływał po jej twarzy i wpadał za kołnierz kurtki.

Chcę ciebie. Ciebie całej. Duszy i serca. Ale nie powiedział tego. Gdy nie odpowiedział od razu, posłała mu zdecydowane, twarde spojrzenie i jeszcze raz rozkazała:

- Zejdź mi z drogi!

- Lauro...

- Nie słuchasz mnie! Odsuń się, do jasnej cholery!

Najbardziej na świecie pragnął ją pocałować. Wziąć ją w ramiona i przytulić, przycisnąć usta do jej wilgotnych warg, spróbować przewinąć wstecz wszystkie dni i godziny i zacząć od nowa. Ale ona go okłamała. I to się liczyło.

Otworzyła drzwi, a on odsunął się i patrzył, jak siada za kierownicą.

- Podziękuj Kirsten ode mnie - powiedziała, przekreśliła kluczyk w stacyjce, wycofała samochód i wyjechała na ulicę.

A potem zniknęła.

Rozdział 43

Nie będzie płakać.

Odjeżdżając spod knajpki, zagryzała wargi, ale nie zamierzała płakać.

Popęłniła błąd, myśląc, że Harrison Frost jest inny od mężczyzn, których spotkała w życiu. Najwyraźniej się myliła. Widziała w rysunku jego szczęki, że powstrzymuje wybuch furii, a w oczach miał oskarżenie, gdy pytał ją o ciążę.

Powinnaś była mu powiedzieć.

- Ale jak? - zapytała samą siebie i zerknęła na swoje odbicie we wstecznym lusterku. - Kiedy? - Przecież skończyłoby się tak samo, tylko że wcześniej.

Jak mogła być na tyle głupia, żeby zakochać się tak szybko i tak bardzo?

- Idiotka - podsumowała i znów popatrzyła na swoje błękitne oczy, lśniące od powstrzymywanych łez, i brązowe włosy, jaśniejsze u nasady.

Potrzebowała zmiany. Chciała zostawić to wszystko za sobą. Wspomnienia z dziwnego dzieciństwa, nieudane małżeństwo,

stratę nienarodzonego dziecka i wreszcie Harrisona. Myślała

O kilku ostatnich wspólnych nocach, u Kirsten i w pensjonacie... Wydawało jej się, że w ciągu tygodnia przeżyli razem całe życie.

Matko, to było takie głupie.

Włączyła radio, usłyszała w wiadomościach o ataku na Pieśń Syreny, a potem przełączyła na stację grającą mieszankę popu

i rocka. Co nie znaczy, że w ogóle zwracała na to uwagę. Skupiała się na swoim następnym posunięciu. Tak długo, jak Justice był na wolności, nikt nie był bezpieczny. Ani ona, ani jej siostry, ani nikt jej bliski. Nie mówiąc już o przypadkowych ofiarach, które stawały mu na drodze. A na razie nikt nie mógł go znaleźć.

Tylko ona mogła nawiązać z nim kontakt.

Tylko ona mogła znaleźć tego sukinsyna. Nie musiała się już obawiać o życie swojego dziecka, nie sądziła też, żeby teraz, kiedy się rozstali, coś groziło Harrisonowi. Justice pewnie się o tym dowie, tak jak wiedział o niej wszystko inne.

- Zostaliśmy tylko ty i ja - powiedziała cicho. Nie była na tyle głupia, żeby przypuszczać, że uda się jej go zabić albo aresztować, ale może da radę go znaleźć albo wywabić z jego kryjówki, a później, gdy już będzie wiedziała, gdzie się ukrywa, zadzwoni na policję z anonimowym doniesieniem i powie im wystarczająco dużo, żeby go złapali.

A kiedy będzie po wszystkim, gdy Justice nie będzie już zagrażał jej siostrą w Pieśni Syreny, Laura zastanowi się, co zrobić z resztą swojego życia.

- Tylko mi nie mów, że to spieprzyłeś - powiedziała Kirsten, gdy Harrison wrócił do

kawiarnio-piekarnio-delikatesów i odniósł na zaplecze brudne naczynia. - Widziałam was przez okno.

- Jest wściekła.

- Więc ją przeproś. - Kirsten spojrzała na niego.

- Nie wiesz nawet, czy kłótnia była z mojej winy! Wzięła naczynia, schowała je do zlewu i zaczęła splukiwać przemysłowym wężem z dyszą. Na talerzach zbierało się coraz więcej piany.

- Pewnie, że wiem. - Pozwoliła wężowi schować się w kranie i pochyliła się nad blatem z nierdzewnej stali. -

Widziałam, jak na ciebie patrzy i jak ty patrzysz na nią. - Słaby uśmiezek pojawił się na jej ustach. - W ten sam sposób ja i Manny patrzyliśmy

na siebie. To mądra, piękna, zabawna kobieta, a ty pozwalasz jej wyslizgnąć ci się z rąk.

- Nic nie rozumiesz.

- Rozumiem tyle, że zrobiłabym wszystko, żeby mieć go z powrotem, odzyskać to, co zbudowaliśmy, ale to się nigdy nie stanie... - Jego siostra pokręciła głową. - Dobra, czaję. Laura nie powiedziała ci, że jest w ciąży. I co z tego?! - Kiedy zobaczyła, że się w nią wpatruje, dodała: - Trochę podsłuchiwałam.

- Skłamała.

- Tak? Naprawdę tak myślisz? Po tym koszmarze, który przeszliście razem? A jakie to ma znaczenie? Nawet, gdyby cały czas była w ciąży. Czy to sprawia, że jest innym człowiekiem? Może i tak. Będzie matką, to zwykle odmienia kobiety na lepsze. Ale nadal jest Laurą, a ty ją kochasz, czy się do tego przyznasz, czy nie. Czy ty wiesz, przez co ona przeszła? Właśnie straciła dziecko. Może takie, o którym długo nie wiedziała, może go nie planowała, ale pozwól, że cię poinformuję, że ta kobieta cierpi, a ty, mój drogi braciszku, tylko jej dokopałeś. Nie będę jej miała za złe, jeśli nie będzie cię chciała z powrotem.

- Hej, spokojnie, nie byliśmy razem!

- Tak? I wcale nie jesteś w niej zakochany do szaleństwa? Nie marzysz o niej w dzień i w nocy? Nie zastanawiałeś się nad tym, jak by to było żyć razem? - Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie, wyrażające zarzut, że okłamuje i ją, i samego siebie. - Pomyśl o tym z jej punktu widzenia. Co miała zrobić, kiedy cię poznała? Powiedzieć: „Cześć, nazywam się Laura i jestem w ciąży z byłym mężem?”. No chyba nie! A ty jak się dowiedziałeś, tak swoją drogą? Od jej byłego?

Harrison nie odpowiedział.

- Zresztą to nie ma znaczenia - powiedziała Kirsten, wracając do tematu: - Jeśli nie powiedziała ci o tym od razu, kiedy był ten odpowiedni moment? A potem straciła to dziecko... Boże, Harrison, przestań być takim bezmyślnym samcem, pomyśl o niej, o tym, przez co przeszła! Zapomnij na chwilę o swojej przeklętej męskiej dumie, dobrze? Harrison miał już dość.

- Dzięki za wszystkie siostrzane rady.

- Jestem do usług. Za darmo. Aha, i jeszcze jedno. Nie spotykałeś się z nikim więcej? Z żadną blondynką?

Harrison pokręcił głową:

- O czym ty mówisz? Nie spotykam się z nikim. Umówiłem się parę dni temu na drinka z Geeną Cho, ale w sprawach służbowych.

- Cho jest Azjatką? Bo ta dziewczyna zdecydowanie nie jest. Przyszła tu dzisiaj i zamówiła kawę. Zapytała, czy Kirsten Roj as to ja, a mój brat to Harrison Frost. Powiedziałam, że tak, a ona chciała wiedzieć, gdzie mieszkasz. Nie powiedziałam jej, tylko skierowałam jej kościsty tyłek do „Breeze”. - Popatrzyła na brata. - Ona nie jest warta rozstania z Laurą.

- Nie wiem, o czym do jasnej cholery mówisz! - warknął. Zwinęła dłonie w trąbkę wokół ust i powiedziała:

- Mówię, żebyś nie stracił Laury!

Pokręcił głową, podszedł do drzwi, a po drodze do samochodu rozchłapywał błotniste kałuże. W głowie huczało mu od informacji, o które nie prosił, a głos Kirsten odbijał się echem w jego uszach. „Nie jesteś w niej zakochany do szaleństwa?”

- Cholera - mruknął i wszedł za kierownicę. Musiał wszystko przemyśleć, a najlepiej myślało mu się przy pracy. Był świadkiem efektów ostatnich ataków Turnbulla, to dobry początek. Mógł zacytować tego szaleńca i użyć fragmentów rozmowy telefonicznej.

Przedarł się przez boczne drogi i dotarł do głównej szosy, kiedy jego telefon zadzwonił. Spojrzał na wyświetlacz z nadzieją, że to Laura. Ale to nie była ona. Ani Justice. Numer należał do Pauline Kirby. Prawdopodobnie wiedziała już, że był na miejscu zbrodni w domu Zellmana.

Nie miał nastroju na rozmowę z nią i pozwolił jej zostawić wiadomość.

W drodze do Ocean Park próbował obalić wszystkie spostrzeżenia Kirsten.

„Nie marzysz o niej w dzień i w nocy? Nie zastanawiałeś się nad tym, jak by to było żyć razem?”

„A ty jak się dowiedziałeś, tak swoją drogą? Od jej byłego?”

Słowa kłębiły się w jego głowie.

„Nie jesteś w niej zakochany do szaleństwa?”

„A ty jak się dowiedziałeś, tak swoją drogą? Od jej byłego?”

Może i tak, ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej dręczyło go to, że o jej ciąży dowiedział się od Zellmana. Mimo tajemnicy lekarskiej doktorowi wypsnęło się, że ciężarne kobiety z Kolonii były najważniejszymi celami Turnbulla.

Wtedy jeszcze Harrison

myślał, że Zellman popisuje się, próbując im zaimponować swoją wiedzą o tym świrze.

Świrze, któremu niechętnie pozwolił uciec.

Jego głowa wypełniła się czarnymi myślami, a palce zacisnął na kierownicy.

Wyglądało na to, że doktor specjalnie powiedział mu o tej sprawie z ciążami. Czy wygadał się nieprzypadkowo? Ale czemu miałby to robić? Zellman nie mógł wiedzieć, że Laura jest w ciąży. Wiedziała tylko ona. I Justice.

W co, do cholery, pogrywał, Zellman? Do Harrisona wróciło znów to samo uczucie nieufności wobec doktora.

Trochę zbyt ostro wziął zakręt i koła chevroleta zapiszczały na asfalcie.

Czy to na pewno Justice do niego dzwonił?

Z tą myślą, która nie dawała mu spokoju, zjechał na parking przed szpitalem Ocean Park i przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę tutaj, gdy przyjechał po Laurę, i ten gnojek, jej były mąż czynił jej zarzuty, zanim odjechał swoją corvetta. Od tej chwili upłynął tylko jeden dzień.

Jeden pieprzony dzień.

W szpitalu dopytywał o stan Brandta Zellmana, ale dowiedział się tylko tyle, że jest „stabilny”. Dowiadywał się też o jego ojca, ale w informacji nic o nim nie wiedzieli, zresztą z pobieżnego rzutu okiem na parking szpitalny wynikało, że nie ma tam czarnego lexusa. Spróbował raz jeszcze i zapytał, czy Conrad Weiser czuje się już na tyle dobrze, żeby przyjmować gości, ale spotkał się z kamiennym spojrzeniem i odmownym ruchem głowy pani w recepcji.

Chciał zobaczyć się z Laurą, ale nie było jej. Z trudem odsunął na bok myśli o niej i skoncentrował się na Zellmanie.

Gdzie mógł pojechać doktor? Do domu albo do biura.

Wsiadł do samochodu i pojechał do redakcji, bo tam mógł sprawdzić kilka rzeczy. Potem zamierzał znaleźć

Zellmana i przycisnąć go do muru. Coś z tym facetem było bardzo, bardzo nie w porządku.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę, głupi dupku! - James popatrzył na brata z obrzydzeniem. Mike ponownie przeszukał domki, a potem wrócił do domku kierownika, żeby zjeść kolejny batonik musli, jedyne jedzenie, jakie zabrał z domu.

- Nie musiałeś po mnie przyjeżdżać.
- Pewnie, że musiałem! Mama i ojciec nas zamordują, kiedy się dowiedzą.
James był naprawdę wściekły, szczęka drżała mu tak samo, jak tacie, kiedy nie mógł się opanować, a oczy mu błyszczały, jak gdyby starał się ze wszystkich sił nie przywalić swojemu braciszкови.
- Idziemy - zarządził James.
- Nie.
- Hej, debil, słyszałeś, co powiedziałem? Idziemy stąd i to natychmiast. - James popatrzył na gnijące deski i rozpadającą się podłogę, a potem pokręcił głową. - Nie wierzę, że chcesz tu zostać.
- Tylko przez kilka godzin. Poczekam na odpływ. O ósmej bez problemu dotrzemy do latarni. A o tej porze roku jest jasno do dziewiątej.
- Jesteś nienormalny!
- Dla ciebie też byłoby to super! Pomyśl, co powiedzieliby twoi kumple, gdybyś im pokazał, no nie wiem, sznurówkę z buta Justice'a Turnbulla!
- Chyba umarliby ze śmiechu! Niby jak miałbym to udowodnić?
- Tak? - Mike wyciągnął swojego iPhone'a. - Będę robił zdjęcia.
- Powiedzą, że to fotomontaż albo zdjęcia podrasowane w Photoshopie.
- Nie, jeśli umieszczę je na Facebooku jeszcze kiedy będziemy na wyspie. No wiesz, całą serię.
- To głupi pomysł - parsknął, ale w jego głosie wyczuwalne było wahanie.
- Masz z tym jakiś problem?
- A jeśli ten koleś się tam pojawi? Co wtedy?
- Nie pojawi się.
- A jeśli zostaniemy tam uwięzieni?
- Tylko jeśli okażemy się debilami.
- No, to mamy szansę. - James popatrzył na zdezelowaną kanapę, jakby miał zamiar usiąść, ale w końcu zmienił zdanie. -Może się tak okazać. Pewnie nimi jesteśmy.
Ale przynajmniej powiedział „my”.
- A co, jeśli trafimy na jakiś dowód, który umożliwi policji namierzenie Turnbulla?
James prychnął.

- Może się tak zdarzyć! - upierał się Mike. - Posłuchaj. Pójdziemy tam. Pobędziemy piętnaście minut, no, może pół godziny. A potem wrócimy i... pojedę z tobą prosto do domu.

- Pewnie.

Mike wyciągnął asa z rękawa:

- Powiem Belindzie Mathis, że to ty mnie zmusiłeś, żebyśmy tam poszli, bo ja w ostatniej chwili stchórzyłem.

- Wielkie rzeczy.

- Kara myśli, że wielkie i rozmawiała o tym z Belindą. Możesz zobaczyć w mojej komórce. - Przewinął milion esemsów. - Masz.

„ale super przywieź nam coś” Mike popatrzył na brata:

- To znaczy dla niej i Belindy. James jęknął:

- A co mnie obchodzi Belinda Mathis?

Kłamczuch. Mike się wycofał. Haczyk został zarzucony. Teraz trzeba było tylko go w to wciągnąć.

- Jak chcesz, ale ja idę. I wrócę do domu. Ale nie wcześniej. I ja przywiozę coś ze sobą. - Nie dodał, że „dla Belindy”, ale widział, że James daje się wciągać w pułapkę.

- A potem grzecznie wracamy?

- Pewnie.

- I powiesz mamie i tacie, że uciekłeś i musiałem po ciebie jechać i przywieźć cię z powrotem?

- Tak.

James westchnął i popatrzył przez brudne okno na zewnątrz, tam, gdzie jak wiedział Mike, był widoczny ocean.

- Chyba mnie pogrzało - mruknął James. - I chcę twoje bilety na Marinersów!

Marinersi byli drużyną bejsbolową z Seattle, a Mike dostał dwa bilety na mecz w prezencie urodzinowym.

- Dobra - zgodził się szybko. I tak nie przepadał za bejsbolem. Jeszcze tylko dwie godziny... I w końcu dobierze się do kryjówki Justice'a Turnbulla.

W głowie mi pulsuje. Mam wielkiego guza. Ból w ramieniu pali i rozrywa...

Było mnie stać tylko na powrót do sklepu wędkarskiego, zostawienie vana na parkingu i doczołganie się do mojego pokoju.

Jak mogłem być tak nierozsądny?

Pamiętam tę ekstazę z powodu bycia po drugiej stronie zakazanego muru, planowania ich śmierci i wreszcie zauważenia jednej z nich kątem oka.

Ravinia - obrzydliwa, plugawa istota - próbowała uciec.

Uśmiecham się na myśl o tym, jak udaremniłem jej ucieczkę, jak stłumiłem w zarodku jej pogoń za wolnością. Ją też bym zabił, przeciągnąłbym ostrze noża po jej delikatnej, białej szyi i obserwował, jak krew wypływa z jej ciała.

Wyobrażałem sobie zaskoczenie w jej oczach, strach, przerażenie spowodowane świadomością tego, że umrze... A potem druga z nich mnie zaatakowała. Uderzyła czymś ciężkim, co prawie roztrzaskało mi czaszkę. Zanim zdążyłem się odwrócić, kolejne mocne uderzenie. To trafiło w ramię.

Suko! Zapłacisz za to!

Jestem już w pokoju i ostrożnie zdejmuję kurtkę. W głowie mi dudni i pulsuje, a ramię jest całkiem bezużyteczne, na szczęście ręka działa.

Muszę wyzdrowieć. Zregenerować się.

Jedzenie, sen i morze... Muszę powrócić...

A wtedy szatańskie pomioty doświadczą mojego gniewu... wszystkie.

I Lorelei zrozumie, że nie da rady ich ocalić.

Jest teraz osłabiona. Załamana po stracie dziecka. Nie wyczuwam żadnej przeszkody przed dotarciem do jej myśli.

To twoja wina, sioossssstro, myślę. Wszystkie umrą z twojej winy...

W mgnieniu oka mur jest odbudowany i nie mogę się przez niego przedrzeć. Ale widziała... doświadczyła swojego przeznaczenia.

Przyszłość widzę jasno i wolą uzdrowię moje ciało. Lorelei umrze. Powoli. W bólu.

Zamilknie na zawsze.

Rozdział 44

Harrison rozparł się w fotelu przy swoim biurku w „Breeze” i nie zwrócił uwagi na jęki protestującego krzesła, bo jego myśli rozbiegły się w kilku różnych kierunkach. Przez ponad godzinę szukał informacji o Zellmanie i wyklarował się z nich bardzo niepocholebny obraz tego człowieka.

To dziwne. Dowiedział się, że obecnie Zellman przebywa w swoim gabinecie. Pracował. Jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jak gdyby jego syn nie walczył w szpitalu o życie. Jak gdyby jego żona nie zginęła.

To się nie trzymało kupy.

Chyba że... Harrison zadzwonił do Stone'a, który pierwszy raz w życiu odebrał telefon od razu.

- Stone.

- Mówi Frost. Witam. Mam do pana pytanie. O te telefony z komórki Zellmana, które dostawałem. Czy próbował pan wysledzić ten aparat? Jesteście pewni, że w jego posiadaniu nie jest kto inny?

- Nie mogę z panem rozmawiać na temat tego śledztwa, wie pan o tym.

- A prywatnie?

- To nie ma znaczenia. A czemu pan pyta? Myśli pan, że to nie Justice dzwonił?

- Nie wiem. Chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań na temat tego, co się wydarzyło w Pieśni Syreny. Możemy się spotkać?

- W tej chwili jestem trochę zajęty - powiedział znacząco.

- A mogę liczyć na telefon, jeśli namierzy pan tę komórkę? Jestem tym osobiście zainteresowany, rozumie pan, ze względu na to, że to do mnie się z tego telefonu dzwoni.

- Jak już mówiłem, nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa.

- Doprowadziłem pana do domu Zellmanów - przypomniał Harrison - właśnie dlatego, że ten świr do mnie zadzwonił.

- Kiedy będziemy już mogli upublicznić wyniki śledztwa, będzie pan pierwszą osobą z mediów, z którą się skontaktuję. Ale teraz muszę kończyć, mam drugi telefon.

Stone się rozłączył, a Harrison odsłuchał wiadomości; obydwie zostawiła Pauline Kirby, która chciała porozmawiać z nim jako „świadkiem” morderstwa w domu Zellmanów.

Kiedy wychodził, w pożegnalnym geście podniósł rękę w kierunku Buddy'ego.

- Dokąd idziesz?

- Na wywiad.

- Masz jakiś materiał dla Connolly'ego? Bo nie mam zamiaru spędzić tu całej nocy.

- Pogadaj z szefem.

Harrison wyszedł, wszedł do auta i był już w drodze do Halo Valley, myśląc o tym, co powiedział Stone'owi: dlatego, że ten świr do mnie zadzwonił.

Ale dlaczego? Dlaczego Justice nie zadzwonił do Laury i nie prześladował jej? Czemu on ? Przez jakiś czas Harrison tłumaczył sobie, że Justice woli kontaktować się z Laurą telepatycznie, zatruwać swoimi groźbami atmosferę i zastraszyć ją prawie na śmierć. Ale skoro więcej niż raz deklarowała, że odgrodziła się murem od jego myśli...

Czemu w zamian za to nie terroryzował jej przez telefon?

Zellman utrzymywał, że wpisał nazwisko Harrisona do książki telefonicznej w swojej komórce i że zrobił to automatycznie. Zależało mu, żeby mieć pod ręką namiary na dziennikarza?

Nie kupował tego.

Pomyślał o syczącym głosie w słuchawce, który brał za głos Turnbulla, ale czy był nim na pewno? Lekarz wiedział, w jaki sposób mówi Turnbull, co go ekscytuje...

Zabieganie o rozgłos? Turnbull? To nie było w jego stylu.

Więc dlaczego Harrison Frost?

Rozważając ewentualności, poczuł dziwne napięcie w żołądku. Zanim dojechał do Halo Valley był już pewien, że doktor Maurice Zellman nie jest ofiarą niczego więcej poza swoim własnym kłamstwem i perfidią. Według czarnego scenariusza, który ułożył się w głowie Harrisona, doktor Zellman był osobą, która od samego początku pociągała za sznurki i sterowała wszystkimi zaangażowanymi w sprawę. Jak inaczej dowiedzieliby się o sposobach zachowania i myślenia Turnbulla? Oczywiście od jego psychiatry, jedyne go powiernika i łącznika z zewnętrznym światem.

Im dłużej o tym myślał, tym więcej elementów układanki trafiało na właściwe miejsce i nie mógł uwierzyć, że tak dużo czasu zajęło mu zauważenie tego.

Teraz trzeba to było tylko udowodnić.

- Ty sukinsynu - powiedział głośno Harrison, tak jakby psychiatra był razem z nim w samochodzie. Godzinę później parkował auto na parkingu przed szpitalem Halo Valley. Z zaciśniętymi zębami spojrzął na budynek zbudowany z drewna sekwoi i betonu, na ów bastion dobrych intencji i opłakanych efektów, w każdym razie w przypadku Justice'a Turnbulla.

Schował do kieszeni malutki dyktafon i komórkę, a potem rozważał wzięcie broni, ale w końcu zrezygnował. W szpitalu psychiatrycznym było zbyt wiele kamer, a nawet wykrywacze metalu. Zostawił spluwę w schowku na rękawiczki i wszedł do szpitala.

Recepcjonistka w skrzydle A była oschła.

- Doktor Zellman nie przyjmuje w tej chwili nikogo - powiedziała, ewidentnie poinstruowana przez szefa.

- Wiem, że jeszcze nie doszedł do siebie, ale bardzo proszę

o przekazanie mu, że tutaj jestem. - Przesunął wizytówkę po blacie kontuaru. - Proszę powiedzieć, że mam nowe informacje

I chciałbym je z nim przedyskutować, uzyskać fachową opinię.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym westchnęła i wcisnęła przycisk na telefonie.

Odezwał się chrapliwy głos Zellmana, który Harrison natychmiast rozpoznał.

- Zdaje się, że prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

- Przepraszam, doktorze - powiedziała - ale jest tutaj Harrison Frost z „Seaside Breeze” i chciałby z panem porozmawiać. - Rzuciła Harrisonowi wąpiące spojrzenie i przekazała resztę jego wypowiedzi, po czym ku jej ogromnemu zdziwieniu, Zellman powiedział:

- Jest tutaj? W takim razie niech wejdzie, ale proszę mu przypomnieć, że jestem zajęтым człowiekiem.

- Och, on o tym wie, panie doktorze - powiedziała i się rozłączyła. Wpuściła Harrisona i wytłumaczyła, jak ma dotrzeć do holu, gdzie mieściły się prywatne gabinety i sale konferencyjne. Tam mógł dojść bez użycia kodów zabezpieczających wejścia. Skrzydło B, gdzie przebywał Justice Turnbull, było poza jego zasięgiem.

Włączył miniaturowy dyktafon, ale nie wyjął go z kieszeni.

Zellman siedział za biurkiem i pisał coś na laptopie, zerkając co jakiś czas do rozłożonych na uwalanej atramentem bibule akt w zielonych okładkach. Jego jasna marynarka wisiała na wieszaku, a kołnierzyk koszuli miał rozpięty pod szyją. Widoczny był bandaż na gardle oraz wyraźne rozdrażnienie.

Odsunął się od biurka i wskazał Harrisonowi jedno z dwóch krzeseł naprzeciwko.

- Jestem zajęty - powiedział z wysiłkiem.

- Myślałem, że jest pan w szpitalu, z synem.

- Ma się dobrze. Dzięki Bogu rany były zaskakująco powierzchowne.

- Szkoda, że pańska żona nie miała tyle szczęścia.

- Tak - powiedział, a twarz mu spochmurniała. Czy to był żal? Poczucie winy? Strach? Lekarz westchnął. - Czy ma pan jakąś sprawę?

- Dziwię się, że dał pan radę wrócić do pracy.

- Wiem. To trudne, ale nie potrafię czekać bezczynnie. Harrison postanowił przystąpić do ataku.

- Poczytałem trochę na pana temat, doktorze. Zellman zmrużył oczy i wyszeptał:

- Píše pan o tym wszystkim artykuł?

- Mhm. Przed dwoma tygodniami pana żona złożyła pozew o rozwód.

Zellman zamrugął.

- To jakieś nieporozumienie. - Ale zrobił się ostrożniejszy.

- Pana małżeństwo skończyło się już dawno temu.

- Panie Frost, kochałem Patricję. Wciąż ją Kocham - powiedział z urazą. - To niedorzeczne. Jeśli skończył pan mnie niepokoić, proszę wyjść.

Wydawało się, że mówienie sprawia mu ból, ale Harrison zastanawiał się, czy to nie cyniczna gra.

- Chciał się pan jej pozbyć ze swojego życia i dostrzegł szansę wyeliminowania jej. Nawet jeśli oznaczało to konieczność zrobienia krzywdy własnemu synowi.

- Co takiego? - Zellman zerwał się na równe nogi. Wyglądał na wstrząśniętego i, po raz pierwszy, niebezpiecznego.

Harrison nie spuszczał go z oczu, gdy ten wychrypiał: - Proszę wyjść! Bo wezwę ochronę!

- Proszę bardzo. - Harrison rozsiadł się wygodnie i wpatrywał w niego. - Czy Brandt chciał pana powstrzymać?

Uratować matkę? - zapytał, a w żyłach tętnił mu gniew.

- Jest pan szalony!

- No, na tym powinien się pan znać.

- Niech pan wyjdzie z mojego gabinetu, natychmiast! - rozkazał Zellman czystszy głosem, a skóra na zaczerwienionych

policzkach się napięła. Pod płaszczykiem kulturalnego człowieka pieklił się dziki, rozwścieczony mężczyzna.

- Żądała całego majątku? A może po prostu chciała odejść? Pana ego tego nie zniosło? - Harrison zmrużył oczy, jak gdyby nagle zrozumiał. - A, już wiem! Był ktoś jeszcze, prawda? Dziewczyna? Nie mógł pan ryzykować utraty reputacji i pieniędzy.

- Nigdy nie zdradziłem mojej żony! To Patricia... - zaczął mówić, ale szybko przerwał i usiłował się opanować. - To prawda. Chciała rozwodu. Nie miało dla niej najmniejszego znaczenia, jak to zniesie Brandt, w tak młodym wieku. - A potem dodał lodowatym tonem: - I to ona miała romanse, panie Frost. To ona nie rozumiała, co znaczą małżeńskie zobowiązania, odpowiedzialność za syna... - Stał nieruchomo. Jego gniew przemienił się w coś lodowatego i śmiertelnie niebezpiecznego. - Patricia nie dostrzegała, jakie konsekwencje będzie miał rozwód. Odezwawało się jej plebejskie wychowanie. - Spojrzał na Harrisona szyderczo. - Nawet nie ukończyła college'u.

- Bo zaszła w ciążę z panem.

Oczy Zellmana rozbłysły od tłumionego od lat, a może i dziesięcioleci, gniewu.

- Dlatego też ja jestem tutaj, w Halo Valley. Zamiast wykładać na Harvardzie, prowadzić badania w Yale...

- Więc ją pan zabił?

- Powiedziałem już...

Harrison odepchnął krzesło i wstał. Górował nad niższym mężczyzną.

- Podszyl się pan pod Turnbulla! Dzwonił pan do mnie, wykiwał mnie pan, udawał tego opętanego, szalonego psychologa, żebym zadzwonił na policję i żeby wszyscy uwierzyli w tę pana bajkę!

- Dość tego! - Zellman sięgnął do górnej szuflady biurka i wyjął z niej paralizator.

Wow. Harrison popatrzył na broń. Nie zabije go tym, ale unieszkodliwi na tyle, żeby znaleźć coś, czym dokończy dzieła... Na przykład nóż, którym poszlachtował swoją rodzinę.

- Naprawdę myśli pan, że się panu upiecze? - zapytał Harrison, mając pełną świadomość tego, że jeśli Zellman postanowi użyć paralizatora, nie uniknie uderzenia tysięcy woltów, bo doktor był przyzwyczajony do używania tego narzędzia w stosunku do psychicznie chorych morderców.

- Łudzi się pan, panie Frost - Zellman znów był spokojny, gdy skierował paralizator w pierś Harrisona. - Domyślam się, że wie pan, co oznacza paraliż spowodowany porażeniem układu nerwowo-mięśniowego? A może podatność na ból powie panu coś więcej? Tak czy siak, ta zabawka przepuści przez pana system nerwowy wystarczającą ilość napięcia elektrycznego, żeby się pan wił, walczył o oddech i kwiczał z bólu jak zarzynana świnia. - Powiedziawszy to uśmiechnął się do Harrisona w najbardziej obrzydliwy sposób, jaki Harrison widział.

- Jest pan pieprzonym mordercą, panie Zellman!

- Doktorze Zellman - odbił piłeczkę lekarz głosem wyraźniejszym niż kiedykolwiek. - Zapracowałem sobie na stopień naukowy i tytuł, a tacy ludzie jak pan czy Patricia nie mogli tego zrozumieć. - Broń lekko zadrżała w jego dłoni. Paralizator nie był naładowany, więc Zellman nie dałby rady powalić Harrisona na odległość, tak jak zapowiadał, ani zmasakrować jego układu nerwowego, ale z całą pewnością mógł poczęstować go taką dawką napięcia, żeby posłać go na deski. Jednak było to możliwe tylko przy bezpośrednim kontakcie.

Nie mógł do tego dopuścić. Ani się wycofać.

- Specjalnie pozwolił pan Turnbullowi uciec? Zamarkował swoje obrażenia? Wypuścił pan na wolność bestię tylko po to, żeby zyskać przykrywkę dla morderstwa żony i syna?

- Brandt żyje! Wyjdzie z tego! Jego rany są tylko powierzchowne. - Oczy miał zasnutę mroczną zasłoną i Harrison zdał sobie sprawę, że doktor czeka na pierwszy ruch z jego strony, na atak, który zmusi go do użycia siły w samoobronie, jego dolna szczęka drżała z wściekłości albo ze strachu; Harrison nie był pewien.

- Mógł go pan zabić. - Harrison rzucił oskarżenie, gotowy na reakcję w ciągu sekundy. Nie spuszczał wzroku z oczu psychiatry.

- Nie zrobiłbym tego!

- Oczywiście, że tak! Zajął się pan wszystkimi, którzy weszli panu w drogę, łącznie z Brandtem.

- Nie wie pan, o czym mówi!

- A ile razy policja była wzywana do pana w sprawie przemocy domowej? To, że nie wniesiono oskarżenia, nie znaczy, że nie ma po tym śladu. Czym pan przekupywał Patricję, żeby nie odeszła? Kwiatami? Brylantami? A może białym bmw...?

- Nie można jej było zaspokoić! - ryknął Zellman, głosem silnym, ale drżącym z wściekłości. - Nigdy! - Ponownie wycelował paralizator. - No chodź - zachęcał - chodź tu, zrób mi coś.

- Dać panu powód do użycia tego? - zapytał Harrison, choć pocił się jak w saunie.

- Nie potrzebuję powodu - syknął Zellman i rzucił się naprzód, a zęby paralizatora rozbłysły. Harrison uskoczył w bok. Zellman chybił. Niemal upadł.

- Ty zakłamanym oszuście! - Harrison przesadził jednym susem krzesło i wykręcił Zellmanowi rękę, zmuszając go do opuszczenia jej. Zdawało mu się, czy słyszał czyjeś kroki?

- Tutaj! - krzyknął w stronę otwartych drzwi. Zellman przekreślił się i wyswobodził rękę. Harrison odsunął się, ale Zellman zdążył przycisnąć paralizator do jego ręki. Cholera! Bzzzzzz! Ból, tak przeszywający, że aż krzyknął, rozsadał mu lewe przedramię. Kolana się pod nim ugięły i upadł, wywracając krzesło i ciągnąc Zellmana ze sobą na podłogę. Skulił się i przetoczył nad mniejszym mężczyzną, który poczęstował go kolejną dawką dwustu tysięcy woltów.

- Stój! Policja! - Z holu dobiegł głęboki głos i ku niezmiernej uldze Harrisona w drzwiach stanął Langdon Stone z pistoletem wymierzonym w doktora. - Maurisie Zellman, jest pan aresztowany.

- Nie podoba mi się to - powiedziała surowo Catherine, gdy otwierała szafkę z bronią i podała Laurze mały rewolwer, krótko-lufowy .38 Smith & Wesson, który miał już swoje lata.

- Mnie też nie, ale myślę, że przyda mi się broń. Porządna. - Laura wiedziała, co powinna zrobić. Ostatni przekaz od Justice'a, jej siostry wijące się w przedśmiertnych drgawkach, przekonał ją. Musiała go powstrzymać. Tylko ona mogła to zrobić.

- Nie powiedziałam policji, że strzelałam. Żadna z nas nie powiedziała - przyznała Catherine. Wyszły na zewnątrz i zatrzymały się na chwilę na frontowym ganku Pieśni Syreny. Deszcz miarowo kapał z dachu, a mocny

wiatr dał. Zamknęły za sobą drzwi, nikt nie mógł wiedzieć, o co poprosiła Laura, ale zauważyła, że zasłona w salonie poruszyła się i zobaczyła za nią dwoje oczu - chyba Cassandry - pilnie lustrujących sytuację. Zaraz potem za narożnym oknem tuż przy drzwiach pojawił się cień wózka. Lillibeth węszyła, z nadzieją na podsłuchanie choćby fragmentu rozmowy.

Minęło kilka godzin, odkąd Laura rozstała się z Harrisonem. W tym czasie obmyśliła plan, zadzwoniła do pracy z informacją, że jest chora i wróciła do Pieśni Syreny.

- Nie musisz tego robić. - Catherine była ponura, zmarszczki na jej twarzy wydawały się głębsze niż kiedykolwiek wcześniej, a szare włosy pasowały kolorem do szarego dnia.

- Coś trzeba zrobić, a tylko ja mogę się z nim skontaktować - powiedziała Laura beznamiętnie, a starsza pani popatrzyła na nią z niepokojem.

- To był koszmar.

- Mam nadzieję, że się skończy.

Catherine nie wyglądała na przekonaną, gdy sięgnęła do kieszeni swojej przepastnej sukni i wyjęła z niej stare pudełko nabojów.

- Boże, dopomóż - westchnęła, podając je Laurze. Zacisnęła palce na jej dłoni. - Proszę, bądź ostrożna.

- Będę - Laura zmusiła się do uśmiechu.

- Jeśli nie zadzwonisz na policję...

- Nie zadzwonię. - Nie miała zamiaru wystraszyć Justice'a zanim nie zyskała pewności, że go znalazła.

- W takim razie zabierz ze sobą tego reportera, Harrisona Frosta, proszę. Wygląda na silnego i Bóg jeden wie, jak bardzo cię kocha.

Och, Catherine, gdybyś tylko wiedziała.

Laura skinęła głową, bo wiedziała, że w przeciwnym razie Catherine nie da jej spokoju. Starsza pani zmarszczyła brwi, wyraźnie zaniepokojona tak szybką kapitulacją, ale Laura przerwała jej rozmyślenia.

- Niedługo się zobaczymy - obiecała i przytuliła kobietę, która zrobiła co w jej mocy, żeby ją dobrze wychować.

- Uważaj na siebie.

Laura wypuściła Catherine z objęć i poszła wśród kałuż do bramy, gdzie Earl czekał, aż będzie mógł ją za nią zamknąć. Wsiadła za kierownicę subaru, który na bagażniku dachowym miał

zamontowany gumowy ponton, dawniejszy zakup, który teraz mógł się bardzo przydać, jeśli miała zamiar zrealizować swój plan.

Wiedziała, że konfrontacja z Justice'em zakrawa na szaleństwo, ale miała to gdzieś. To się musiało skończyć. I skończy się. Dzisiaj.

Harrison patrzył, jak wyprowadzano skutego kajdankami Zell-mana. Odczytanie aresztowanemu jego praw i wyprowadzenie go ze szpitala zajęło jakieś piętnaście minut, ale teraz Harrison i detektyw Stone byli sami w jego gabinecie.

- Jak pan się dowiedział? - zapytał Stone'a.

- Tak samo jak pan. Zgłaszano przemoc domową, ale nie było oskarżeń. Zellman jest obłąkany. Myślał, że jego żona miała romanse, ale to nieprawda. A te rany zadane nożem Brandtowi i Patricii Zellman? Były zupełnie inne niż te, które zadawał Justice.

- Więc Turnbull atakował kobiety z Pieśni Syreny, a w tym czasie Zellman masakrował swoją rodzinę? Stone pokiwał głową.

- Działo się to w niewielkim odstepie czasu, więc musieliśmy rozważyć udział Zellmana. Planował to od dawna. Sprawdziłem jego lekarza. Markował swoje obrażenia, a przynajmniej udawał, że są poważniejsze, niż były naprawdę. Symulował, że nie może mówić, a potem naśladował Turnbulla, kiedy do pana dzwonił. Znaleźliśmy też komórkę. W koszu na śmieci przy Drift In Market, czyli bardzo blisko miejsca, skąd według operatora sieci wykonano ostatni telefon. Stawiam moją odznakę, że jedyne odciski palców, jakie na niej znajdziemy, będą należały do doktorka.

- Przyszedł pan na czas. Założę się, że miał zamiar utrzymać, że go zaatakowałem, a on musiał się bronić.

- Jak się pan czuje? - zapytał Stone.

- Naelektryzowany. Policjant uśmiechnął się blado.

- Całe szczęście, że nie ma pan przy sobie broni. Albo urządzenia nagrywającego, bo przecież nie chcielibyśmy, żeby coś nam przeszkodziło w przyskrzynieniu Zellmana za zamordowanie żony i próbę zabójstwa syna.

- Oczywiście - zgodził się bez mrugnięcia oka Harrison. -Nie wierzę, że ten drań zaatakował własne dziecko.

- Tak naprawdę nie zamierzał zrobić mu krzywdy. To było tylko alibi i musiał się upewnić, że dzieciak nie przeszkodzi mu, kiedy będzie zajmował się matką. Brandt nie ma żadnych głębokich ran. Nie rozpoznał ojca, bo w chwili ataku w jego pokoju były zasłonięte okna, poza tym spał. Przynajmniej tak twierdzi. Zanim zdążył oprzytomnieć i zacząć działać, Zellman zabarykadował go w jego pokoju, zastawiając drzwi kredensem z holu. Brandt nie miał siły, żeby się wydostać, a potem, jak sądzymy, stracił przytomność. Jeszcze nad tym pracujemy. - Stone ciężko westchnął. - Zellman musiał przeżyć ciężkie chwile, kiedy wydawało się, że Brandt jest w o wiele poważniejszym stanie, niż zakładał.

- I dobrze mu tak - skwitował Harrison zimno.

Szli korytarzem. Harrison zerknął przez okno na parking, gdzie stały ambulanse i radiowozy błyskające światłami. Nad miasto nadchodził wieczór. Jeden z policjantów pomagał Zellmanowi usiąść na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu.

Stone powtórzył:

- Ja nie żartuję, Frost. Niech pan nie schrzani mojej akcji, dobra? Może i Zellman jest walnięty, ale jest bogatym człowiekiem i stać go na dobrego adwokata. Ten proces musi być idealny. Jeśli ma pan jakieś nagrania albo notatki, nie chcę ich widzieć na oczy. Nigdy. W zamian za to obiecuję, że gdy będzie po wszystkim, dostanie pan pierwszeństwo pogadania z policjantami i Zellmanem. - Popatrzył na Harrisona. - A ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Musi pan przyjść na komisariat i złożyć oficjalne zeznania. - Potem szybko odszedł i wcisnął guzik windy. Harrison poczekał, dopóki nie ujrzał Stone'a na parkingu, a wtedy sięgnął do kieszeni, wyciągnął kieszonkowy dyktafon, rzucił go na podłogę i zmiażdżył obcasem.

Zrobiwszy to, pozbiierał odłamki, schował z powrotem do kieszeni i sam nacisnął guzik windy.

Zerknął na zegarek. Godzina dziewiętnasta. Teraz, gdy Zellman był już za kratkami, czas skoncentrować się na Turnbullu.

Oczywiście, myślał o Laurze, ale nie zagłębiał się w te myśli. Jeszcze nie czas.

Wyszedł na zewnątrz podbiegł do samochodu, włączył telefon i zanim ruszył, odczytał wiadomości.

Eseme, na który zwrócił szczególną uwagę, był od Buddy'ego i przyszedł przed piętnastoma minutami.

„Jest tu blondynka z info o morderstwie Manny'ego Rojas w Boozehound”.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w ekranik komórki. Anorek-tyczna blondynka? To jakiś żart? Ta sama chuda blondynka, która była w Sands of Thyme i rozmawiała z Kirsten? To właśnie ona? Miała informacje o śmierci Manny'ego? Poczuli we krwi uderzenie adrenaliny, które pojawiała się zawsze, gdy kroił się nowy materiał. A ten, o mężu siostry, był czymś więcej niż tylko interesującą historią. To mogło odmienić czyjeś życie. Kirsten. Didi. Jego. Usiadł za kółkiem i zadzwonił do Buddy'ego, który odebrał po drugim dzwonku.

- Czy ta kobieta wciąż tam jest? - zapytał od razu.

- Tak, ale już późno, wiesz o tym? Przekonałem ją, żeby zaczekała, ale chcielibyśmy iść kiedyś do domu. - A potem dodał: - Jest całkiem niezła. Jeśli lubi się takie naprawdę chude.

- A trzyma się kupy? To znaczy jej historia.

- Sam mi powiedz.

- Będę za dwadzieścia minut - zapowiedział. - Przekaż jej, że bardzo chcę z nią pogadać.

Nacisnął pedał gazu. Czy to możliwe? Upłynęło tyle czasu, a ona nagle się pojawiła?

Ale w noc strzelaniny na miejscu była drobna blondynka...

Zaparkował przed redakcją po pięćdziesięciu minutach i pospiesznie wpadł do środka. Siedziała naprzeciwko biurka Buddy'ego. Była ubrana w krótką spódniczkę, kozaki i bluzkę z długimi rękawami, była naprawdę bardzo szczupła, miała znudzoną minę i nastroszone platynowe włosy. Wokół niej unosił się zapach dymu. Spojrzała na niego, gdy wszedł.

- Pan Harrison Frost - powiedziała, a Harrison wiedział już, że to ta sama kobieta, którą widział na taśmach z monitoringu w Boozehound. Rzeczywiście była tam tej nocy, gdy zamordowano jego szwagra. - Staralam się śledzić na bieżąco, co się z panem dzieje.

- A mam przyjemność z...? - zapytał.

- Marilla Belgard. Byłam w klubie tamtej nocy i wiem, kto zabił pana szwagra.

- Zzna to pani na policji?

- Pewnie.

- Dlaczego teraz? Parsknęła.

- Czy to ważne?

- Tak sędzę.

- Pewnie wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że stracił pan pracę, no i... - Zakołysała złotym krzyżykiem wiszącym na łańcuszku na szyi - Bóg mnie odnalazł i odbywałem pokutę...

Harrison chwycił notatnik i zachęcił ją do mówienia. Po krótkim wahaniu przedstawiła mu całą historię, począwszy od tego, że przyznała się do znajomości z Billem Koontzem, do pracy dla niego jako organizatorka imprez i do tego, że pewnego wieczoru podsłuchiwała, że mówił komuś „jak pozbyć się Rojasa”. Ale aż do strzelaniny nie wiedziała, że planował zabić Manny'ego. Zniknęła, gdy sprawca się zastrzelił, bała się o swoje życie, a potem weszła na drogę wiary i przybyła wypowiadać się Harrisonowi.

- Powinna być zrobić to wcześniej. - Wciąż bawiła się krzyżykiem na łańcuszku.

- Załatwmy to od razu. Zadzwoń do detektywa Langdona Stone'a z Biura Szeryfa Tillamook. To mój przyjaciel. - Cóż, to pewnie było za dużo powiedziane. - Co prawda to nie wydarzyło się w jego regionie, ale współpracował z Departamentem Policji w Portland, więc będzie wiedział, gdzie nas skierować.

- Ale... Będzie pan tam ze mną, tak? Nie czuję się dobrze w towarzystwie glin.

- A obecność Jezusa?

Marilla spojrzała na niego podejrzliwie:

- Nabija się pan ze mnie? Harrison wzruszył ramionami.

- Zadzwoń do Stone'a i pojedziemy razem moim samochodem.

Trochę się odprężyła.

- Ale jeśli pozwoli mi pan palić w aucie. - Popatrzyła na niego zadziornie. - Mówię serio. Gliniarze mnie stresują.

- Będzie dobrze - obiecał Harrison, dla którego większym problemem był upływający czas i to, że zaczynał martwić się o Laurę. Dał się ponieść emocjom, a teraz, kiedy został już przyciśnięty do muru i podsumowany przez Kirsten, zaatakowany przez Zel-Imana i wysłuchał wyznania Marilli Belgard, dochodził do siebie i zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskni, jak się o nią martwi.

Prowadząc Marillę do samochodu, zerknął na telefon, ale nie miał żadnych wiadomości od Laury, widocznie wciąż była wściekła. I pewnie miała rację. Jak tylko przedstawi Marillę Stone'owi, odnajdzie Laurę i wszystko sobie wyjaśnią. Oczywiście miał do napisania tekst, w którym powie prawdę o śmierci Manny'ego i oczyści siebie. Ale ten materiał mógł poczekać kilka dni, dopóki Bill Koontz nie trafi za kratki.

Justice wciąż był na wolności, a Laura nie będzie bezpieczna, dopóki nie zostanie złapany.

Rozdział 45

Kiedy Harrison wyszedł z Biura Szeryfa Okręgu Tillamook, był pochmurny czerwcowy wieczór, a on czuł się, jak gdyby zapisano właśnie ostatnią stronę rozdziału w jego życiu, który dzięki temu mógł teraz zamknąć. Przedstawił Marillę Belgard detektywowi Stone'owi, który wysłuchał jej opowieści i zadzwonił do swojego byłego partnera z Departamentu Policji w Portland. Znosiło się na to, że wkrótce Koontz zostanie aresztowany i nareszcie, nareszcie zabójca Manny'ego odpowie za swoją zbrodnię. Zbrodnia.

Poczuł dreszcz niepokoju na plecach. Justice może być ranny, ale wciąż żył. Ciągłe był na wolności i przyświecał mu ten sam cel. A Laura nie była bezpieczna.

Harrison zadzwonił do Kirsten i przekazał jej wiadomość o nowych dowodach w sprawie śmierci jej męża. Kirsten była w szoku, zadawała miliony pytań i chociaż Harrison podzielał jej uczucia, chciał skończyć rozmowę.

- Muszę się skontaktować z Laurą - powiedział jej i niechętnie pozwoliła mu się rozłączyć.

Zostawił Marillę pod opieką Stone'a. Detektyw obiecał, że odwiezie ją do Seaside, do samochodu, który zostawiła pod redakcją „Breeze”.

Stwierdził, że nadszedł czas na wielkie pokajanie się, więc wcisnął przycisk szybkiego wybierania i połączył się z Laurą, ale od razu odezwała się poczta głosowa.

- Hej, to ja. Oddzwoń, proszę.

Zastanawiał się, czy oddzwoni. Miał złe przeczucia, gdy jechał do jej domu. Subaru nie było na miejscu, w którym zazwyczaj parkowała, a dom był pogrążony w ciemności. Mimo wszystko

zatrzymał się i otworzył sobie drzwi kluczem, który zatrzymał po wymianie zamków. Tak jak się spodziewał, nie było jej w środku. Ale wcześniej była.

Poznał koszulkę, w której spała ubiegłej nocy, leżącą w nogach łóżka, i małą torbę, którą miała ze sobą, a która teraz stała na podłodze w łazience. Czuł też zapach jej świeżych perfum... Więc planowała tu zostać? Wyszła tylko po... coś na kolację?

Obszedł dom, notując w pamięci jej rzeczy, książki, rośliny, wygodne meble, eklektyczne lampy, raj zbrukany przez szaleńca. Nie było jej, wiedział o tym, ale przeszukał nawet piwnicę, wyszedł na dwór, do zewnętrznych drzwi, ale nie znalazł tam nic poza starymi pudełkami i dawno nieaktualnymi wspomnieniami.

Zadzwoił do niej znów, ale nie odebrała.

Gdzie się podziewała?

Brał pod uwagę kilka możliwości i właśnie zastanawiał się, jak ją wysledzić, kiedy nagle jego telefon zadzwonił i serce mu podskoczyło.

Laura!

Ale numeru, który się wyświetlił, nie znał.

- Frost - powiedział.

- Och, panie Frost - powiedziała jakaś kobieta niepewnym głosem. - Cieszę się, że pana złapałam. Mówi Catherine Rutledge... Z Pieśni Syreny.

Serce Harrisona przestało bić. Zacisnął palce na słuchawce.

- Tak?

- Przyrzekłam Lorelei, że nie powiem o tym nikomu, ale pomyślałam, że powinien pan wiedzieć... Była tutaj i... Harrison przygotował się na najgorsze.

- ...i odjechała, żeby rozprawić się z Tustice'em. Jakąś godzinę temu. Jedzie do latarni. Jest przekonana, że on tam wróci. Próbowałam ją odwieść od tego pomysłu, ale była zdecydowana. Boże, naprawdę nie powinnam była pozwolić jej odejść, ale nie było sposobu, żeby ją powstrzymać. Ja... Ja... Po prostu pomyślałam, że powinien pan wiedzieć.

I się rozłączyła.

Odpyw odsłonił skały i płytkie zatoczki z rozgwiazdami, skorupiakami i małżami. Kraby goniły oddalający się ocean, a mewy krzyczały i kołowały nad odsłoniętą plażą w poszukiwaniu czegoś

nadającego się na następny posiłek. Deszcz na chwilę ustał. Przerwa w chmurach tuż nad horyzontem wpuściła ostatnie promienie zachodzącego słońca, a Laura w małym pontonie płynęła ku wyspie, ku skalistemu skrawkowi lądu, na którym piętrzyła się latarnia morska nieużywana od lat, jeśli nie liczyć czasu, kiedy ukrywał się tam Justice Turnbull.

Zamierzał tam wrócić, czuła to tak samo wyraźnie, jak wyczuwała w powietrzu elektryczność, zwiastującą nadchodzącą burzę.

Musiała się spieszyć, szybko dostać się na wyspę, ukryć ponton i czekać. Przygotowała się najlepiej jak potrafiła, miała nawet zapasy na kilka dni, ale wiedziała, że nie będzie musiała przebywać na wyspie tak długo. Justice przyjdzie do niej. Już nie mógł się doczekać.

Tylko się pospiesz, ty draniu, pomyślała. Dzięki odpływowi nie musiała się obawiać, że fale będą miały pontonem jak łódeczką wydlubaną z kory. Równie dobrze mogła przejść po odsłoniętych skałach, ale ponton mógł się przydać w drodze powrotnej, więc wiosłowała dalej, skupiona na wykonaniu swojej misji.

Usiłowała spychać na bok natrętne pytania, ale strach wypełniał jej myśli, gdy dotarła na wyspę i ruszyła w stronę przystani, a raczej zniszczonego molo, które obecnie wznosiło się prawie metr nad poziomem wody. Było puste, niegościnne i pokryte odchodami mew. Niedaleko, na piasku, leżała przedpotopowa deska surfingowa, a w każdym razie jej fragment. Przywiązała ponton do jednego z palików, odmówiła modlitwę i używając latarki, odnalazła ścieżkę, która prowadziła w górę małej skalistej wysepki.

Kiedy się wspinała, wiatr przybrał na sile, rozwiewał jej włosy i przeganiał po niebie chmury, a ona od niechcenia zastanawiała się, czy opuści tę wyspę żywa. Rozpadało się, myślała o dziecku, które straciła, o przerażonych siostrach w Kolonii i o Harrisonie... Sięgnęła do kieszeni i wygrzebała z niej telefon, ale nie była pewna, czy na wyspie jest zasięg.

Jej serce ścisnęło się, gdy pomyślała o nim.

Mimo że znała go tak krótko, kochała go, a teraz nie miała pewności, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Ostrożnie schowała telefon z powrotem. Nie mogła myśleć o tym teraz. A może już nigdy.

Serce waliło Jamesowi jak młotem. Był przerażony, odchodził od zmysłów i zastanawiał się, jakim cudem jego skretyniały brat zdołał go na to namówić. Nie byli sami na tej wyspie, jak obiecywał Mikey. Ten gnojek się pomylił! O Chryste.

James zobaczył faceta. Był wysoki, wiatr zwiewał mu na twarz jasne włosy, wyglądał jak obłąkany, bo taki właśnie był, stał na szeroko rozstawionych nogach, rozłożył ramiona, a długi płaszcz łopotał wokół niego. Patrzył na ocean i mówił coś, czego James nie słyszał, może odprawiał jakieś modły psychopatów. Palce jednej dłoni zaciskał na rękojeści noża.

Mikey jeszcze go nie zauważył, więc James złapał go za ramię, przyłożył palec do ust i wolną ręką pokazał, gdzie ma patrzeć.

Mikey spojrział w roztargnieniu i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem przyjrzał się lepiej i rozpoznał szaleńca. Otworzył szeroko oczy i zamrugał, jak gdyby chciał odpędzić ten widok. James pociągnął go na ziemię i ukryli się za skałą i kępą wysokiej trawy, wyższej niż roślinność u samego podnóża latarni.

Psychopata stał dokładnie pomiędzy nimi a jedyną ścieżką prowadzącą do starej przystani, gdzie zostawili kiedyś deskę surfingową, która, jak zareczał Mikey, pomoże im wrócić na ląd, jeśli znajdzie taka potrzeba.

To był szalony pomysł, James teraz to zrozumiał, bo odpływ kończył się i jeśli chcieli wrócić, nie zdając się na pastwę rozszalałego, lodowatego morza, powinni wyruszyć właśnie teraz.

Ale oczywiście nie było takiej możliwości.

Cholera, był pieprzonym idiotą, że posłuchał swojego durnego braciszka i zrealizował jego niedorzeczny plan.

Mikey dotknął jego ramienia i wskazał palcem na domek stojący u stóp latarni, tylną ścianą niemal do niej przylegający. Dzieciak myślał, że mogą się tam ukryć... To było szaleństwo, ale nie mieli zbyt wielu możliwości działania. Z wyjątkiem tej budki przy latarni, na wyspie nie było innej kryjówki, więc...

Zanim zdążył to przemyśleć, Mikey wystartował. James spojrział szybko na psychola, zobaczył, że jest do nich odwrócony plecami i pomknął za bratem. Dwadzieścia metrów, piętnaście, dziesięć, pięć... Szlag, świr zaczyna się powoli obracać, widział teraz jego przerażający profil.

Szlag! Cholera! Kurwa! James przebiegł dwa ostatnie metry i dopadł do brata, który przyłgął plecami do ściany budynku. Teraz od mordercy dzieliły ich tylko ściany tego domku, ale lepsze to niż nic.

James ostrożnie zbliżył się do drzwi. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Prawie zsikał się w majtki z przerażenia. I co teraz?

Krótki rzut oka za róg budynku potwierdził jego najgorsze przeczucia.

Psychopata zbliżał się do domku. Widział ich? O Boże...

Mikey spojrzał na niego poważnie i wskazał palcem latarnię. James pokręcił głową. Nie!

Wyciągnął rękę w kierunku brata, ale Mikey wystrzelił jak pocisk z pistoletu, pomknął za domek, przebiegł przez niewielką otwartą przestrzeń, a potem, ku przerażeniu Jamesa, pchnął drzwi latarni i wślizgnął się do środka.

James znów zerknął za róg.

Cholera! Ten psychol był już tylko dwadzieścia metrów od niego.

Ale nie mógł widzieć wejścia do latarni.

James nie miał wyjścia.

Zaczął biec tak szybko, jak potrafił.

I miał tylko nadzieję, że obłąkaniec go nie zauważył.

- Niech to jasny szlag! - W sekundę po tym, jak Catherine się rozłączyła, Harrison pobiegł do swojego samochodu, w którym wciąż unosił się smrodek papierosów Marilli.

Co Laura sobie myślała? Przecież nie mogła jechać na tę wyspę!

Wyjechał z jej podjazdu i skierował się do Cape Dread, miejsca spotkań surferów i jednocześnie punktu, skąd najłatwiej było się dostać do latarni.

Deszcz znów padał, było prawie ciemno i prawie przegapił zjazd na plażę w Cape Dread, najbliższej Whittier Island.

W ostatniej chwili zauważywszy znak, skręcił przed nosem innych kierowców, a kamper jadący za nim prawie władował mu się w bagażnik. Kierowca nacisnął klakson, ale Harrison właściwie nie zwrócił na to uwagi. Wcisnął gaz i jechał kawałek krótką ulicą, żeby zatrzymać się jak najbliżej parku.

Stało tam subaru Laury, zaparkowane tuż przed ogrodzeniem.

Serce mu zamarło.

Miał nadzieję, że Catherine się pomyliła, ale teraz... Obok był drugi samochód. Dodge charger, zaparkowany dziwnie, tak że zajmował prawie trzy miejsca parkingowe. Najnowszy samochód Tustice'a? Chryste, nie!

Żołądek Harrisona ścisnął się w spazmie przerażenia, kiedy sięgał do schowka na rękawiczki po pistolet. Sprawdził magazynek i wysiadł z auta.

Czy oboje byli już na tej przeklętej wyspie, w latarni? Czy Laura przemówiła do tego sukinsyna, rzuciła mu wyzwanie, zwabiła go na wyspę, zmusiła, żeby przyszedł i bawił się z nią w śmiertelną wersję gry w chowanego? Do diabła... Harrison utkwiał wzrok w miejscu, gdzie powinien być horyzont, a niebo spotyka się z morzem, ale ten punkt był niewidoczny, zasłaniały go chmury i ciemność. Jedyna dobra wiadomość to to, że poziom wody był niski i wyglądało na to, że na wyspę można dostać się suchą stopą.

A wtedy co?

A co, jeśli się tam dostaniesz, ale nie będziesz mógł wrócić?

Jeszcze raz spojrzął na samochód Laury i masował ramię w miejscu, gdzie Zellman przyłożył paralizator.

Niech to diabli. Zmierzając w stronę oceanu, zadzwonił do Stone'a i zostawił mu wiadomość, gdzie jest i co może się, według niego, wydarzyć. Czując serce w gardle, schował komórkę do kieszeni, mocno schwycił glocka i zaczął biec po odsłoniętych skałach w stronę wyspy, którą Justice Popieprzony Tumbull nazywał kiedyś domem.

Laura poczuła, że zbliża się burza, a grobowy nastrój się potęguje.

Justice mógł być gdzieś w pobliżu. Czują to. Zacisnęła palce wokół kolby pistoletu i zmrużyła oczy w obronie przed deszczem. Padał teraz równomiernie, chłodząc jej twarz.

Z wylotu ścieżki widać było latarnię w całej okazałości. Wieża strzelała w górę i zdawała się wwiercać w ciemniejące niebo. Stała na skalnym podłożu, obrośniętym kępkami trawy i górowała nad niskim, zdemolowanym domkiem u jej podstawy.

Jakie koszmary widziałaś?

Czy Justice kiedykolwiek przyprowadził tu kogoś? Czy chował się tu w samotności i popadał w coraz większe szaleństwo?

Ale tak naprawdę nie miało znaczenia, co się tu wydarzyło, ważne było, że już po wszystkim. Odbezpieczyła rewolwer, a potem podeszła do drzwi domku, które okazały się zamknięte na głucho. Tędy nie wejdzie. Powoli, czujnie, okrążyła budynek, przywierając plecami do ścian domku. Okna były zabite deskami, a tylne drzwi również zamknięto. Nie było szans na wejście tędy.

Miała ze sobą narzędzia i jeśli zaszłaby taka potrzeba, mogła się włamać do środka, ale najpierw chciała się upewnić, że jest sama. Ostrożnie, ale szybko, przebiegła do latarni, budowli, która, jak czytała, udzieliła Justice'owi schronienia. Tu znalazł spokój. Albo co innego, czego szukał.

Zasuwka nie była zamknięta.

A drzwi lekko uchylone.

Jej serce skuł lód.

On tu jest!

W środku!

Dobry Boże!

Strach ją sparaliżował.

Poczekaj! Nie masz pewności, że on tam jest. Drzwi mogły zostać otwarte dawno temu.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnia straszliwego błędu, czy nie powinna zawrócić, zadzwonić na policję, ratować się...

Zamiast tego wzięła głęboki, uspokajający oddech, a potem krótką lufą rewolweru pchnęła drzwi.

Kiedy otwarły się ze zgrzytem, wkroczyła w oślepiającą ciemność.

fest tutaj!

Czuję ją i jej puste, cuchnące tony. Głupia, głupia kobieta. Tak łatwo dała się ściągnąć do mojej kryjówki. Czuję, że na moje usta wkrada się uśmiech, bryza nad oceanu pieści mi twarz, a wiatr igra w moich włosach. Słyszałem jej żalony głos, próbujący mnie zawołać, zmusić mnie do przyjscia tu, do mojego domu, ale ja już tutaj byłem.

Jak zwykle, krok przed nią.

Biorę długie, uzdrawiające wdechy słonego powietrza, wprowadzam je do płuc, czuję ich boską, uleczającą moc.

Patrzę

w stronę Cape Dread, ten kawałek lądu w kształcie sękatego palca, który biegnie w głąb morza, mając wodami przyływu nierozważnych kapitanów i prowadząc ich na śmiertelne spotkanie z nieubłagany losem.

Dzisiaj wieczorem nie palą się tam światła, nie ma żadnego dowodu, że ten wąski kawałek lądu jest w ogóle zamieszkały. Zło czai się tu wśród gęsto zalesionych klifów. Właśnie tak, jak powinno być.

Czuję, że siły mi wracają.

Przed południem byłem słaby, jeszcze dochodziłem do siebie. Pozwoliłem pokonać się wstrętnym istotom. Byłem głupi. Ale teraz...

Znów jestem w pełni sił. I niecierpliwy. Czekam na Lorelei. Przygotuj się, dziwko.

Rozdział 46

Lawa wspinała się cicho, jedną ręką opierała się o zardzewiałą, okrągłą barierkę, drugą ścisnęła rękojeść pistoletu. Stare schody jęczały pod naciskiem, a gruba warstwa poznaczonej pęcherzykami powietrza farby łuszczyła się od jej dotyku. Czy Justice mógł ją usłyszeć przez ryk oceanu? Nie była pewna, ale pięła się do góry po rachitycznych schodach, a jej serce wybijało nierówny rytm.

Miała dwa wyjścia. Zabić go albo zranić, żeby go unieruchomić i poczekać na przybycie policji.

W innym wypadku już była martwa.

Wiedziała to.

I on też.

Wyżej, wyżej, coraz wyżej. Zaczynała odczuwać skurcze w nogach. Sztorm przybierał na sile i ocean szalał, a ona pięła się wciąż w górę we wnętrzu latarni. Tętno pulsowało, była cała mokra od potu.

Czekał już na nią?

Ukryty gdzieś w ciemnościach.

Gardło ścisnęło jej się ze strachu, gdy pomyślała, że może zepchnąć ją z tych wąskich, spiralnych schodów albo po prostu

przerzucić przez barierkę i pozwolić, żeby runęła na betonową posadzkę dwadzieścia metrów niżej.

Zrób to, Lauro. Zrób to teraz.

Zacisnęła zęby i wspinała się dalej.

Wpatrywała się w ciemność, uszy miała wyczulone na każdy najcichszy nawet szelest, a jej strach był wręcz namacalny. Ale się nie zatrzymała.

Zimna, arktycznie lodowata woda wpływała do małej zatoczki; odpływ się skończył i fale wcinały się coraz dalej w głąb lądu. Wiatr zachowywał się jak taran i po każdym kroku starał się zepchnąć go z powrotem.

Harrison niewzruszenie posuwał się naprzód i dystans, który miał do pokonania, zmniejszał się. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby jeszcze raz zadzwonić do detektywa Stone'a, ale ten nie odbierał. Ignorował jego telefony? Czy był zajęty Marillą? Zostawił drugą wiadomość i miał nadzieję, że detektyw jej odsłucha.

Jest późno. Mógł skończyć pracę na dzisiaj.

Rozważał zatelefonowanie pod numer ratunkowy, ale w końcu zrezygnował. A jeśli tak naprawdę nie było powodu? Jeśli dotrze na wyspę i nie zastanie tam nikogo? Jeśli Laura po prostu zaparkowała tam samochód i... I co?

Niemożliwe!

Była tam. W niebezpieczeństwie.

Wiedział to.

Czuł.

Niebo było ciemniejsze, ale jeszcze sporo brakowało, żeby woda zalała jego ścieżkę, więc poruszał się naprzód i skupiał się na tym, żeby nie spaść, nie zamoczyć się i trzymać pistolet gotowy do wystrzału.

Z każdym krokiem stawianym na śliskich skałach jego wewnętrzności kurczyły się coraz bardziej. Jakby ściągane paskiem, który już od początku był za ciasny. Odbierał mu oddech i przypominał, że jest tylko człowiekiem.

Ale szedł naprzód.

Przeskakiwał z jednej płaskiej skały na drugą. Zbliżał się do latarni.

Starał się skupić na zadaniu, ale z każdym krokiem na kolejną skałę serce mu zamierało, gdy myślał o Laurze i o tym, przez co może właśnie przechodzi.

Nie myśl o tym. Skup się.

Dal susa na następny kamień, jednak źle oszacował odległość i stopa ześlizgnęła mu się z kamienia, ale utrzymał równowagę.

Dasz radę. Jeszcze tylko kawałek, jakieś pięć czy sześć skał.

Ale poziom wody stale rósł, a szczyty skał znikwały pod dziko spienionymi falami. Musiał skupić całą uwagę na stawianiu kroków w chwili odpływu. Starannie odmierzać czas. Wybierać skały, które były najwyżej i omijać te, które zatapiała woda.

A czas przecież płynął. Minuty mijały. Zapadał zmrok.

Pomyślał o samochodzie Laury i tym drugim, nieznanym.

Nie myśl o tym. Nie pozwól sobie wpaść w panikę. Skoncentruj się, do cholery!

Deszcz padał miarowo, a wicher szalał, głośnie jak grzmot. Ocean był przerażający, wdzierał się coraz głębiej w ląd, zalewał skalną groblę i było oczywiste, że ktokolwiek jest teraz na wyspie, zostanie tam uwięziony...

Zadzwoniła jego komórka.

Stone! Dzięki Bogu.

Usiłował wyjść telefon z kieszeni.

I wtedy jego prawa stopa ześlizgnęła się ze skały.

Usiłował złapać równowagę, ale chwycił tylko powietrze i w desperacji balansował na krawędzi.

Fala uderzyła w skałę. Lodowata woda chlusnęła powyżej kostek.

Nie!

Zsunął się, poleciał w dół i zaczął się zanurzać, zalała go masa lodowatej wody, a on usiłował wdrapać się na skałę.

Pistolet wysunął mu się z dłoni i w panice usiłował go złapać, ale nie zdołał. Nie! Nie mógł stracić jedynej broni, jaką miał! Kurwa! Opadł na dno i zdał sobie sprawę, że w tej szczelinie, bardzo blisko brzegów Whittier Island, jest głęboko na jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów, akurat tyle, że mógł stanąć.

Jeszcze przez chwilę.

Bo z czasem, kiedy zacznie się przyptyw, poziom wody wzrośnie.

Zanurkował. Lodowata woda osaczyła go, miotła nim i ciskała o skały. Dotykał dna. Nic! W płucach płonął mu ogień, więc się wyprostował i złapał oddech.

Powinien iść dalej. Zapomnieć o broni. Tracił cenny czas, a ramię porażone przez paralizator zaczynało pulsować.

Ale

przecież potrzebował tej spluwy, do jasnej cholery! Zaczepnął powietrza i kiedy niezmordowana woda przykryła go, zanurzył się, przebierając palcami po piaszczystym dnie. Czuł kamienie, spod dłoni umknęła mu ryba, a potem wokół nadgarstków, jak dłonie kochanki, oplotły mu się wodorosty.

Rozsadzało mu płuca. Potrzebował powietrza. Ale się nie wynurzał.

Natrafił palcami na coś metalowego.

Chwycił to i wyciągnął na powierzchnię, a sam dyszał i parskął, podskakując na czubkach palców. Pistolet, prawdopodobnie całkiem bezużyteczny, znajdował się z powrotem w jego dłoni.

Rusz się, Frost! Tracisz czas.

Zmusił się do pójścia dalej, w kierunku pomostu, w przemoczonym, ważącym tonę ubraniu. Było mu zimniej niż kiedykolwiek w życiu. Czuł, jakby brnął przez błoto, a ocean nieustannie nacierał na niego, uderzał w drżące, poobijane ciało. Przy pomoście nie było drabiny, ale przycumowano do niego nadmuchiwany ponton i teraz miał już pewność, że nie jest na wyspie sam.

Laura ukrywała się gdzieś w pobliżu? Justice ją znalazł? Nie mógł myśleć o tym, że może już nie żyje, nie pozwalał swoim myślom wędrować w tym kierunku. Zaangażował wszystkie siły, żeby mimo bolącego ramienia wdrapać się na pomost i wciągnąć się na zniszczone, zbutwiałe deski. Deszcz spływał po jego i tak już przemoczonym ciele.

Przyszło mu do głowy, że może zamarznąć.

Ale to nie miało znaczenia.

Dopóki nie znajdzie Laury i nie upewni się, że jest bezpieczna.

Stone wkładał już kurtkę i wyruszał do domu, a jednocześnie odsłuchiwał wiadomości. Wysłuchał nagrań Frosta, informujących, że Justice Turnbull ukrywa się w latarni, a Laura Adderley ma tam na niego czekać.

Chyba żartuje!

Sprawdzili latarnię. Najlepiej, jak się dało, wzięwszy pod uwagę, że przez większość czasu była odcięta od lądu. To się nie trzymało kupy.

Ale sprawdził numery dodge'a, które podał Harrison i okazało się, że należy do Rona i Francie Fergusonów. Którzy mieszkali w dolinie. Hm. Nie zgłaszano kradzieży. Może nie miał nic

wspólnego z Turnbullem... A potem sięgnął po kaburę i pistolet. W ostatnich dniach Stone nabrał szacunku do dziennikarza. Frost pomógł przyskrzynić Zellmana i nie opublikował ani słowa z tego, co obiecał zachować w tajemnicy. Marillę Belgard przywiózł na policję, zanim napisał tekst, mogący okazać się zemstą, ostatecznym oczyszczeniem się z zarzutów o niekompetencję, gdy pisał o wydarzeniach przed klubem Boozehound, kiedy zginął jego szwagier.

No, tak czy siak, Frost był w porządku.

Nie wyglądał na kogoś, kto wszczyna alarm bez powodu.

Więc dlaczego do diabła nie odbierał telefonu?

Stone się zawahał. Pomyślał o Claire, która czekała na niego z ciepłym obiadem.

Znowu.

Wysłał Sawy Dunbar, żeby odwiozła tę Belgard do jej samochodu w Seaside, a sam miał jechać prosto do domu...

Och, do diabła, nic mu się nie stanie, jak pojedzie nad zatokę i sprawdzi, jak wygląda sytuacja.

Laura dotarła na szczyt latarni bez tchu i znalazła się w małym pomieszczeniu, w którym zamontowana była ogromna, od dawna niedziałająca lampa. W uszach słyszała bicie swojego serca, a skóra jej cierpła, od pewności - przeczucia - że Justice tu był. Pamiętała furję, z jaką zaatakował ostatnim razem, dotyk jego palca na plecach, bijącą do niego wściekłość.

Kompletny szaleniec.

Miała wrażenie, że na nią patrzy, czuła że śledzi z ukrycia każdy jej ruch. Widział ją? Kiedy przekazywał jej te koszmarne wiadomości, miał też możliwość patrzenia na nią? Siedzenia jak psychopatyczny podglądacz?

Odsunęła tę myśl i rozejrzała się po pomieszczeniu. Szyby były popękane i tak brudne, że prawie nie było przez nie widać oceanu. Szklane ściany umieszczone były na planie okręgu, a za jednym z okien było wyjście prowadzące na metalowy balkonik z barierką. Sama lampa, od dawna pogrążona w mroku, stała na samym środku okrągłego pokoju i stanowiła relikwiarz zamierzchłej epoki.

Epoki, którą Catherine, z jej długimi sukniami i niechęcią do wszystkich przejawów nowoczesności, bezcelowo usiłowała wskrzesić.

Skóra ścierpła Laurze na myśl, ile razy Justice pokonywał te schody, jak często przystawał w tym miejscu, w którym teraz stała. Wyobraziła go sobie na balkonie, z rozłożonymi ramionami i twarzą zwróconą ku zachodowi, gdy przygarniał do siebie morze.

Poczuła, że strach pełźnie jej po plecach, a jego lodowate palce zaciskały się wokół jej duszy.

Nie myśl o tym, powiedziała sobie.

A potem coś usłyszała.

Mimo ryku fal i świstu wiatru.

Ten potworny syk, głos Justice'a.

Ssiossstro... Cisnął w nią tym słowem i niemal upuściła pistolet. Odwróciła się, spodziewając się ujrzeć go za sobą, ale nie było tam nikogo.

Ssiossstrrrro!

Dźwięk, który tylko ona mogła usłyszeć, odbijał się od ścian jej czaszki. Był blisko.

- Gdzie jesteś, do diabła? - zapytała i wydawało jej się, że słyszy jęk przerażenia. Zza latarni? Niemożliwe.

I wtedy usłyszała ciężkie kroki na ostatnich schodkach. Podniosła głowę i ujrzała potężną, ciemną postać wchodzącą do środka.

- O Boże! - wyszeptała, a pistolet w jej dłoni zadrżał.

Justice wszedł do izby, jego twarz wyglądała jak maska wyobrażająca nienawiść, a lodowate oczy płonęły. Stała twarzą w twarz ze swoim śmiertelnym wrogiem, z Justice'em, który zablokował drzwi i uśmiechnął się groźnie i z triumfem.

- Głupia, głupia kobieto - warknął. Wyciągnęła pistolet.

- To koniec.

Lufa była wycelowana wprost na niego. Popatrzył na broń.

- Lorelei...

- Ani kroku, Justice.

- Nie możesz mnie zabić, Lorelei.

- No to uważaj. - Zęby zaczynały jej szczekać.

Jego twarz wyrażała czyste zło. Oczy miał zimne jak dusza demona. Usłyszała pisk i zerknęła na bok. Czy był tutaj ktoś jeszcze? O Boże...

W ułamku sekundy Justice skoczył.

- Ssssiosstro...

Pociągnęła za spust, żeby wysłać go prosto do piekła.

Rozdział 47

Oddychając ciężko i drżąc, Harrison pochylił się i oparł ręce na kolanach. Nie mógł zwolnić. Musiał przeć naprzód. W górę stromej ścieżki prowadzącej na szczyt tego maleńkiego skrawka łądu. Trzymał się starej, zrobionej z łańcucha barierki, ale szedł, a słona woda w jego butach chlupotała.

Dotarł do szczytu i poprzez ciemność wpatrywał się w latarnię. Nie widział nikogo.

Ale była tam. Musiała tam być.

I ktoś jeszcze. Właściciel dodge'a chargera.

Zaczął się skradać, z pistoletem w dłoni, oddychając ciężko, zataczając się w ciemnościach, ze wzrokiem utkwionym w latarni.

Bum!

Dźwięk wystrzału rozniósł się po całej wyspie.

- Kurwa!

Krótki rozbłysk pojawił się w oknie kopuły. Potem znów zapadła ciemność. Złowieszcza. Lauro!

Oczywiście wyobraźni widział, jak wykrwawia się od pocisku tkwiącego w piersi, rozkłada ramiona i wypada przez barierkę, jej włosy rozwiewają się, a krew rozpryskuje się, gdy zmierza na spotkanie ze śmiercią.

Puścił się w kierunku latarni obłąkańczym pędem.

Rozpętało się piekło.

Justice, z rykiem, poleciał do tyłu, a pod rozpiętym płaszczem widać było plamę krwi na jego podkoszulku.

Dwóch chłopców, ukrytych za ogromną lampą, zaczęło wrzeszczeć i wyskoczyło z kryjówki. Jezu! Dzieci? Co tu robiły dzieci?

Laura znów wycelowała w napastnika, ale nie mogła strzelać, nie kiedy w tym maleńkim pomieszczeniu byli chłopcy. Pocisk mógł się odbić rykoszetem...

Musiała podejść na tyle blisko, żeby wsadzić Justice'owi lufę między żebra.

Nie miała czasu na zastanowienie się. Złapał się framugi, wpatrywał się w nią, uniósł swój przeklęty nóż i rzucił się na nią ponownie.

- Biegiem! - wrzasnęła do chłopców, wycofując się i próbując wymacać zasuwkę zamykającą wyjście przez okno. Jeśli uda jej się wywabić go na zewnątrz, włada w jego obmierzłe ciało każdy pieprzony nabój, jaki ma przy sobie. Justice, skołowany, wpatrywał się w dzieci. Wycelowała.

- Zostaw ich, skurwysynu!

Przeniósł wzrok na nią i zobaczyła tę samą ślełą furię, co wcześniej.

- Ssiossstro! Ty plugawa dziwko!

Zrobił krok do przodu, ona cofnęła się, trzymając rewolwer tak pewnie, jak tylko mogła.

- Biegnijcie! - wrzasnęła jeszcze raz, kiedy Justice uniósł nóż i ruszył na nią.

Ale chłopcy kulili się przy ścianie, za lampą. Macała palcami zardzewiałą zasuwkę. Otwórz się, błagam... Otwórz się... Szarpnęła. Nic z tego.

Znalazła się w pułapce! Jedyne wyjście była za Justice'em, schodami, którymi tu przyszła. Chyba że na zewnątrz była drabina... No rusz się, dalej! Zacisnęła palce na zasuwce i jeszcze raz szarpnęła mocno. Coś trzasnęło i poczuła luz, ale w tym samym momencie Justice uniósł nóż i skoczył na nią.

Zrobiła gwałtowny unik i Justice stracił równowagę. Zatoczył się na lampę.

Chłopcy z piskiem przebiegli za jego plecami i rzucili się schodami w dół. Ich głosy odbijały się echem, a kroki dudniły na metalowych stopniach.

Justice przypuścił kolejny atak, a ona przycisnęła lufę do jego brzucha, ale w chwili, gdy nacisnęła spust, chwycił jej rękę i odciągnął. Pocisk bezładnie odbijał się od ścian małego pomieszczenia i w końcu z ogłuszającym hukiem rozbił lampę.

Szkoło się rozprysło. Justice rzucił się na nią całym ciężarem, przycisnął ją do ściany i trzymając za nadgarstek, wygiął jej rękę.

Ból rozsadzał jej ramię.

Zacisnęła zęby, nie mogła się poddać. Nie mogła! Siłując się z nim, popchnęła drzwi prowadzące na balkon.

Z jęklwym zgrzytem zasuwka odpuściła i skrzydło okienne stanęło otworem. Do środka wdarł się deszcz i wicher.

Wytoczyli się oboje na niepewną metalową platformę, otaczającą kopułę latarni. Zatrzęsła się i zaskrzypiała pod ich ciężarem. Była ledwie przymocowana do ściany latarni. Lauea opierała się plecami

o barierkę, a dodatkowo przygniatało ją ciało Justice'a, ciężkie

i cuchnące kwaśnym potem.

Oddała kolejny strzał, ale trafiła w powietrze. Trach!

Spazm bólu przeszył jej ramię.

Pistolet poleciał w dół, przez oczka w siatce stanowiącej podłogę platformy.

- Nie!

Z przerażeniem obserwowała, jak rewolwer Smith & Wesson zsuwa się poza krawędź balkonu i, wirując, znika w ciemności.

Walcząc o każdy oddech, Harrison biegł po schodach.

- Lauro! - krzyczał, a jego głos odbijał się echem w pustym wnętrzu latarni. Na zewnątrz huczał wiatr. - Lauro, trzymaj się!

Jeśli ten psychol ją skrzywdził... Cholera. Biegł w górę przeskakując po dwa stopnie i trzymając się mocno barierki.

Usłyszał kroki biegnące w dół, więc przycisnął się do ściany i opuścił broń.

- Lauro! - zawołał.

- Jest na górze - odpowiedział mu chłopięcy głos, a potem zobaczył dwóch nastolatków.

- Złapał ją! - dodał młodszy, wpatrując się w lufę pistoletu Harrisona. - Justice Turnbull, złapał ją!

- Zjeżdżajcie stąd! - wrzasnął Harrison.

Przemknęli obok niego, drżący, przerażeni, spieszący na dół. Harrison ruszył pod górę, adrenalina mu skoczyła, a gniew wypełniał mu duszę.

- Turnbull! - ryknął. - Dorwę cię, ty skurwysynu. Chodź do mnie!

A potem usłyszał krzyk Laury, wyrażający skrajne przerażenie.

- Giń, ssiosstro! - syknął Justice, a smród jego oddechu omiół jej twarz. Uniósł nóż, ona wrzasnęła i szarpnęła się, usiłując zepchnąć z siebie jego cielsko.

Ostrze złowrogo błysnęło nad jej głową.

Platforma jęknęła, a metal zgrzytnął, przedzierając się przez wycie wiatru.

Zamachnął się na nią, z zamiarem poderżnięcia jej gardła, ale zdążyła go kopnąć. Wcelowała kolanem w jego krocze, a on trafił ostrzem we własną nogę.

Zawył, targnęła nim konwulsja bólu, a ona odsunęła się, mając wciąż za plecami balustradę balkonu.

Rzuciła się w stronę otwartego okna, ale stare mocowania nie wytrzymały nacisku i platforma oderwała się od ściany. Mokra ręce ślizgały się jej po barierce. Zalewały ją strugi deszczu. Metalowa podłoga przechyliła się i Laura zaczęła się zsuwać w kierunku miejsca, gdzie podest oderwał się od latarni i huśtał niebezpiecznie nad skałami.

Justice rzucił się ku niej i chwycił ją. Kopnęła jeszcze raz, huśtając się na platformie. Obutą stopą ponownie trafiła go w krocze.

Wrzasnął i zgiął się wpół. Nóż wypadł mu z ręki, potoczył się po balkonie, zsunął się ku krawędzi, a potem, jakby w zwolnionym tempie, poleciał w ciemność.

Justice usiłował chwycić barierkę palcami mokrymi od swojej krwi i deszczu, ale własny ciężar ciągnął go w dół.

Laura trzymała się barierki zdrowym ramieniem i usiłowała choć o centymetr zbliżyć się do wejścia do środka, modląc się przy tym, żeby podest wytrzymał. Zgrzyt metalu ranił jej uszy. Powoli podciągała się w górę, desperacko chwytając elementy konstrukcji. Chwyciła się zardzewiałego metalowego słupka, zaparła się i położyła płasko na podłodze.

Z przeraźliwym zgrzytem prawie cała platforma oderwała się od ściany latarni. Część podłogi odpadła i poleciała w dół, do morza. Laura zamknęła oczy, trzymała się najmocniej, jak mogła, i się modliła. A potem poczuła zaciskające się wokół kostki palce.

Justice chwycił ją, ale był zbyt ciężki, ciągnął ją w dół.

Nie! Boże, pomóż mi. Podciągała się ku górze. Czowała, że zaraz wyrwie jej nogę ze stawu biodrowego. Kręciło jej się w głowie, opanowała ją ciemność, przenikliwy wicher hulał wokół.

Ze stopy zaczął zsuwać jej się but. Boże, ten ból.

Robiła, co w jej mocy, żeby się utrzymać, nie stracić przytomności, wygrać z desperackim pragnieniem puszczenia się.

Na przekór spazmom bólu zacisnęła zęby i wierzgnęła wolną nogą. Trafiła tego potwora w rękę.

Zaskowyczał.

Kopnęła raz jeszcze, ale zrobił unik. Odpuściła, bo tylko to mogła zrobić żeby nie zemdleć.

- Lauro!

Przez moment wydawało jej się, że słyszy głos Harrisona. O Boże. Serce ścisnęło się jej na myśl o nim. Znowu pojawiła się ciemność, mamiąca ją, żeby odpuściła. Żeby runęła do morza, tak jak jej patronka.

- Lauro, trzymaj się!

Świat przepływał jej przed oczami. Chmury kłębiły się nad nią, a morze pod nią. Ciemność odbierała jej świadomość i ściągała w dół.

Trzymaj się, powiedziała sobie, na litość boską... Ale ten ból. Miała wrażenie, że jej ciało jest rozrywane na dwie części.

Walcz, Lauro. Nie pozwól mu wygrać. Na miłość boską, nie pozwól Justice'owi wygrać!

- Ty żaloszny draniu! - Jeszcze jeden kopniak! Trach! Trafiła w jego nadgarstek.

Wrzasnął, a jego świdrujący krzyk rozdzierał jej duszę. I nagle puścił jej kostkę.

- Siossstro! Niiieee!

Odwróciła się. Justice runął się w noc, rozpaczliwie machając rękami i nogami, leciał w dół, w dół, w dół, w ciemność. Przez siatkę stanowiącą podłogę platformy obserwowała, jak znika, spadając na skaliste wybrzeże.

Przekazał jej jeszcze jedną ostatnią wiadomość. *Nigdy się ode mnie nie uwolnisz... Lorelei... Siossss...*

- Lauro! - Spojrzała w górę i w otwartym oknie latarni ujrzała Harrisona. Stał na tle czarnego wnętrza i wpatrywał się w nią z twarzą pobladłą z przerażenia. - Trzymaj się. Słyszysz? Trzymaj się! - Wychylił się, jedną ręką trzymał wyłamaną zasuwkę, drugą wyciągnął tak daleko, jak mógł.

Ale chwycił tylko powietrze.

- Złap mnie za rękę! - polecił. Ale ona nie mogła unieść rannej ręki. Nadgarstek jej pulsował, nie mogła nim poruszyć.

Musnął ją palcami.

- Harrison! - krzyknęła, ale już było za późno.

Z głośnym zgrzytem puściło ostatnie mocowanie i platforma oderwała się od latarni.

Laura, wciąż trzymając się barierki, zaczęła spadać, straciła nad wszystkim kontrolę. Niebo i ziemia zmieniły się w jedną, rozmazaną plamę...

- Lorelei! - zawołał Harrison, ale jego krzyk zagłuszyły fale. Platforma się zahubiła, a potem poleciała w dół, razem z Laurą. Wiatr wzmógł się. Poczula, że spada. Zamknęła oczy i czekała na śmierć.

Uderzyła w powierzchnię wody z taką siłą, że poczuła ból w całym ciele. Lodowata woda zalała ją, gdy opadała na dno. Fale uderzały w nią i miotały nią, odrywając ją od platformy. Złapała się skał i spojrzała w górę, poprzez masy wody. Nad sobą ujrzała okrągłą plamę jasnego światła.

Harrison... Kochany... Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. .. Powinna była ci powiedzieć...

Ciemność powróciła, zawładnęła nią, ciągnęła ją w dół ze sobą, wlała jej do płuc słoną wodę.

Laura odpuściła.

- Nie! - Harrison w śmiertelnym przerażeniu patrzył, jak Laura znika w morzu. Nie zastanowił się nawet, po prostu wziął rozbieg i wyskoczył przez okno latarni. Mógł źle wymierzyć i uderzyć w skały albo wpaść do wody i zginąć od obrażeń, ale nie wahał się ani chwili.

Leciał poprzez noc, z rozłożonymi ramionami, w stronę oceanu, którego nie mógł dostrzec. W ostatniej chwili wyprostował się i uderzył w wodę najpierw stopami, a fale natychmiast porwały go i zaczęły popychać do brzegu.

Wypłynął na powierzchnię, pluł słoną wodą i wypatrywał źródła światła... Na oceanie pojawił się jasny strumień, podświetlający wirujące, spienione fale. A pośrodku jasnej plamy zobaczył ją. Bezwładną. Nieprzytomną. Laure.

Było za późno.

Nie!

Podpłynął do niej, walczył z falą, żeby jej dotknąć. Kiedy dotarł do jej nieruchomego ciała, zdał sobie sprawę, że światło dochodzi z wiszącego nad nimi helikoptera, który zmagał się z szalejącą burzą i opuszczał właśnie koszyk ratunkowy.

- Lauro - wyszeptał, a w uszach słyszał ryk oceanu. Stracił ją. Boże Przenajświętszy, stracił ją! Myślał o swojej reakcji, gdy powiedziała mu, że była w ciąży, o tym, jaki był nieczuły. Egoistyczny kretyn!

Zdawało mu się, że dusza oderwała się od jego ciała, gdy trzymał ją, gdy patrzył, jak jej włosy unoszą się na wodzie wokół białej twarzy. Oczy miała nieruchome i wpatrzone w pustkę, skórę lodowatą jak morze, a deszcz spływał jej po policzkach jak łzy bogów.

- Lorelei... Nie umieraj. Proszę... proszę... Nie umieraj! -Słowa zagłuszał ocean. - Lorelei, kocham cię! Boże, nie możesz umrzeć. Nie możesz. Gdybyś tylko wiedziała...

Ocknęła się szpitalu w Ocean Park.

Pamiętała uderzenie w wodę, jasne światło i Harrisona wychylonęgo przez okno latarni morskiej. W rzadkich chwilach przytomności wracały do niej pewne sceny, ale raczej jako zdjęcia niż urywki filmu. Helikopter lecący nad oceanem i lądujący w szpitalu. Harrison przy niej... A może to był tylko sen?

Zamrugła.

- Jestem w północnym skrzydle? - zapytała, usiłując zmienić pozycję.

Parapet okna był zastawiony kwiatami, ale miała niemal całkowitą pewność, że wychodziło na północne skrzydło budynku.

- Dobry strzał. Północne skrzydło, sala 126. - Gos Harrisona zaskoczył ją. Odwróciła głowę i zobaczyła, że siedzi na jednym z krzeseł przysuniętym do łóżka. Panował tu bałagan, jak gdyby obozował przy jej łóżku. - Nareszcie przytomna - dodał z uśmiechem.

Próbowała podnieść rękę, ale miała podłączoną kroplówkę, przez którą, jak sądziła po swoim samopoczuciu, płynął jakiś lek przeciwbólowy. Chciała usiąść.

- Powoli - powiedział i już był przy niej; patrzył na nią z poczuciem winy. - No już... Pomogę ci. - Nacisnął guzik, łóżko się nieco uniosło.

- Jeśli nie dasz rady, mnie na pewno pójdzie lepiej.

- No proszę! Kto wrócił do żywych? - odezwała się Carlita Solano. - Jak się czujesz?

- Jakby przejechał po mnie pociąg, a potem zawrócił i zrobił to jeszcze raz.

Carlita parsknęła śmiechem:

- To by się zgadzało. Ale jesteś bardzo dzielna i wygląda na to, że będziesz żyć. Zbadam cię, a potem ty i on... - skinęła głową w kierunku Harrisona - możecie wrócić do rozmowy.

Carlita poinformowała ją, że ma złamany nadgarstek, zwichnięty łokieć, wstrząs mózgu i naciągnięty zginacz stawu biodrowego.

- Ale przecież mogło być gorzej - powiedziała Carlita, a potem zmierzyła jej temperaturę, puls i ciśnienie, wpisując wyniki do komputera stojącego przy łóżku. Kiedy skończyła, zapowiedziała, że wezwie lekarza na dalsze badania i wyszła z pokoju.

- Dobra, a teraz mów - zaczęła Laura, gdy za pielęgniarką zamknęły się drzwi. - Dlaczego oboje żyjemy?

- Mieliśmy szczęście.

- To była długa droga w dół.

- Co ty powiesz? Spojrzała na niego badawczo:

- Pamiętam, że byłeś w wodzie... Tak? Skinął głową.

- Jestem trochę poobijany, podrapany i posiniaczony, ale to nic takiego.

- A hipotermia?

- Mówiłem, miałem szczęście. Odetchnęła głęboko.

- A Justice?

- Nie żyje. Spadł na skały. Nawet on nie mógł tego przeżyć. Skręcił kark i połamał inne kości.

Zamknęła na chwilę oczy. Nie czuła wyrzutów sumienia z powodu jego śmierci. Zbyt wiele osób zginęło, zostało rannych i było przez niego prześladowanych. Harrison opowiedział jej o tym, co zrobił swojej rodzinie Zellman.

Kiedy skończył, spytała:

- Jak się czuje Conrad? - Kiedy ostatnio go widziała, ochroniarz nadal był w śpiączce.

- Wybudził się. Wczoraj wyszedł ze szpitala. A Zellman ki-bluje w więzieniu. Jego syn zeznaje. Wygląda na to, że nie było

na tyle ciemno, żeby Brandt nie zauważył, że jego własny ojciec chce zrobić mu krzywdę. Dzieciak uważa, że chciał go zabić. Jego ojciec zaklina się, że nie.

- Mój Boże.

- Zellman wykorzystał ucieczkę Justice'a do własnych celów. Jest tak samo walnięty, jak tamten psychol.

Laura przetrwała te nowiny.

- Jak długo byłam nieprzytomna?

- Tylko parę dni. Odzyskiwałam przytomność na chwilę i znów traciłam.

- Ale myślę, że tym razem wróciłam. Uśmiechnął się, a na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Miałeś jakieś wieści z Pieśni Syreny? Od moich sióstr?

- To - podszedł do okna i wskazał małą doniczkę z krzaczkiem róży, jasnożółtej i obsypanej kwiatami - jest od Catherine i twoich sióstr.

Podał jej bilecik. Proste życzenia powrotu do zdrowia podpisały wszystkie kobiety z Pieśni Syreny.

- Czuję, że Catherine się zmieniła, odkąd Justice wdarł się do jej domu, a niektóre z dziewcząt aż pałą się do życia na zewnątrz.

- Ravinia - zgadła Laura, przesuwając palce po zamaszystym bazgrole, dużym podpisie widniejącym tuż obok imienia Lillibeth, napisanego bardziej dziewczęco. Zamiast kropek, dziewczyna narysowała nad każdym „i” w swoim imieniu serduszko. Ravinia w ogóle nie stawiała kropek.

- A to - wskazał na duży bukiet tropikalnych kwiatów, z dużą strelcją królewską pośrodku - od Hudsona, Beki i Rachel.

- Czytałeś moją pocztę!

- Przyznaję się bez bicia. Becca dzwoniła. - Podał ją żółtą kopertę z zabawną kartką w środku. Była podpisana damskim charakterem pisma, przez Beccę, a resztę kartki zajmował bajecznie kolorowy zygzak wymalowany flamastrami.

- Wygląda na to, że dopisała się Rachel. Chyba jest dumna ze swojego autografu - Laura uśmiechnęła się, myśląc o córeczce Beki. - Jak ona się ma?

- Lepiej, jak sądzę. Sadząc po tym, co mówiła Becca. Ale cały czas się martwi.

- Z powodu daru - powiedziała głośno Laura. - Becca to rozumie.

Dorastanie, kiedy było się tak inną, było już wystarczająco trudne dla Laury i jej sióstr. Rachel będzie musiała stoczyć więcej walk niż przeciętna dziewczyna. Wróciło do niej kolejne wspomnienie.

- Tamtej nocy w latarni były jakieś dzieci?

- Wielce przedsiębiorczy bracia Fergusonowie - skinął głową Harrison. - Młodszy fascynował się całą tą sprawą z Justice'em Turnbullem. Mikey czuł jakiś dziwny pociąg do niego, chciał zobaczyć jego kryjówkę, może żeby zaimponować kumplom albo raczej dziewczynie; znaleźć jakąś pamiątkę, dowód, że tam był. Ale myślę, że wystarczy mu to, czego doświadczył w latarni.

- A ty wiesz to wszystko, bo...?

- Napisałem o nich tekst i zapewniłem im piętnaście minut sławy, w tym samym czasie, gdy ich rodzice zapewniali im trzydzieści dni bez komputera i komórek.

- Kara śmierci dla nastolatka.

- Tak, ale może dzięki temu zastanowią się, zanim następnym razem postanowią ścigać psychopatycznego mordercę.

- Dotknął jej dłoni. - A ty? Skończyłaś już telepatycznie łączyć się z maniakalnymi zabójcami?

- Miejmy nadzieję. Jeden osobisty seryjny morderca w zupełności wystarczy, nie sądzisz?

- I to z nawiązką!

Oczami wyobraźni zobaczyła Justice'a w oceanie, u stóp latarni. Widziała, jak był przerażony, a potem, kiedy już prawie przestała walczyć i przepęniała ją poczucie beznadziei i przeczucie nadchodzącej śmierci, usłyszała głos Harrisona, poczuła w wodzie jego ramiona. Przywołał ją z powrotem.

- A więc, ocaliłeś mi życie?

- Nie mogę sobie przypisać tej zasługi. - Kiedy uniosła brwi, zachęcając go do wyjaśnień, powiedział: - Tak naprawdę uratował cię funkcjonariusz straży przybrzeżnej. Porucznik O'Neal. Podziękowałem mu w twoim imieniu.

- Myślę, że porozmawiam z nim osobiście.

- Byłoby miło. No i ważny był też detektyw Stone. To on zawiadomił straż.

- A kto zawiadomił jego? - zapytała, obserwując zmieniające się na przystojnej twarzy Harrisona emocje.

- **Ja.**

- Ale ty byłeś w wodzie. - Myślała gorączkowo, przypomniawszy sobie go obok siebie, jak do niej mówił, prosił, żeby nie odchodziła. - Skoczyłeś! - wykrzyknęła, kompletnie zszokowana, a kiedy nie odpowiedział, dodała: - Jesteś szalony, Frost. A wiesz, że znam się na szaleńcach.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Co?

- Jestem ci winien przeprosiny.

- Za uratowanie mi życia?

- Za to, że byłem na ciebie wściekły z powodu ciąży.

- Ach - westchnęła, bo nie chciała jeszcze o tym mówić.

- Kocham cię, Lorelei. Zdałem sobie z tego sprawę i przestraszyłem się. Ale później... Kiedy myślałem o tym, że cię straciłem... - Usta mu zadrżały, ale się nie rozkleił. Zamiast tego dotknął palcami jej szyi, pochylił się i pocałował ją.

- Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo mi przykro.

- Powinnam była ci powiedzieć... Ale nie wiedziałam jak. Byłam w ciąży z byłym mężem i zamierzałam urodzić to dziecko. - Gardło zacisnęło jej się, gdy przypomniawszy sobie ból po poronieniu, utracie dziecka. Ale było coś jeszcze.

On był szczerzy, więc ona też powiedziała prawdę. - Prawda jest taka, że zakochałam się w tobie. Bardzo. I szybko. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To... po prostu nie trzymało się kupy.

- Wiem.

Patrzyła na niego uważnie, widziała jego ból, będący odbiciem jej własnego cierpienia, a potem uniosła się, żeby dotknąć jego ust. - Może moglibyśmy zacząć od nowa.

- Myślisz, że to możliwe? - zapytał.

- Wszystko jest możliwe, jeśli się tego bardzo chce - powiedziała, doskonale wiedząc, że oczy jej błyszczą.

- A jak ty tego chcesz?

- Bardzo. A ty?

- Jeszcze bardziej - odparł, a na usta wkradł mu się uśmiech. Roześmiała się. A potem go pocałowała. Mocno. Tak, jak

sobie wyobrażał.

Epilog

Płynąc motorówką Earla w kierunku Echo Island, Catherine myślała, że narobiła niezłego bałaganu.

Miała najlepsze intencje, chciała ochronić swoje podopieczne przed złamaniem serca, kpinami i bólem, ale się nie udało.

Przez dwa miesiące, które upłynęły od śmierci Justice'a, Catherine nie zdołała przywrócić w Pieśni Syreny normalności, takiej, jak ją rozumiała.

Brama znów została zamknięta. Ale wśród dziewcząt wyczuwalne było zniecierpliwienie i Catherine miała świadomość, że porządek, jaki wprowadziła i starała się egzekwować, był na zawsze zakłócony. Ravinia aż rwała się na wolność, a pozostałe dziewczyny miały ochotę iść w jej ślady.

Widziały Rebeccę z mężem i małą córeczką, obserwowały, jak niezwykle oddany Lorelei był Harrison Frost.

Fantazjowały o tym, że ryzykował dla niej życie.

Gdy Earl kierował łódkę ku maleńkiej przystani, na tej wyspie, będącej miejscem wygnania Mary, na jej Elbie, jak kiedyś powiedziała, Catherine zaczęła się zastanawiać, co powie siostrze, jak wytłumaczy zmianę postępowania.

Będzie potrafiła przyznać, że popełniła błąd? Że być może Mary powinna powrócić do Pieśni Syreny; powrócić, jak wszyscy myśleli, zza grobu? To oczywiście nie miało sensu. Na pewno były jakieś paragrafy na okoliczność sfingowania czyjejś śmierci. A teraz, gdy Lorelei spędzała więcej czasu ze swoimi siostrami, a jej narzeczony miał takiego nosa do sensacji... Nie, to nie mogło się udać.

Będzie musiała wymyślić coś innego.

Fale rozbijały się o przybrzeżne skały i rafy, a Mary zawsze mówiła, że działa to na nią kojąco.

Catherine nie była tego taka pewna.

Ale jeśli to ją uszczęśliwiało, to w porządku. Choć oczywiście Mary zawsze roiła sobie różne rzeczy... W ich rodzinie to się zdarzało...

- To nie powinno potrwać długo - powiedziała do Earla, gdy ten wyłączył silnik i zacumował. - Najwyżej pół godziny.

Skinął głową.

- Poczekam. Mam wędkę.

Pomógł jej wspiąć się na pomost, a kiedy odchodziła, otwierał pojemnik z przynętą. Podkasała spódnicę, żeby jej nie ubrudzić ptasimi odchodami pokrywającymi deski pomostu, przeszła do piaszczystej, zarośniętej ścieżki, która po trzydziestu metrach miała doprowadzić ją do domku Mary. Chatka była właściwie jednopokojowym bungalowem, znacznie bardziej odizolowanym i oddalonym od świata niż Pieśń Syreny. Ale to i tak cud, że nikt jej tu nigdy nie odnalazł... Chociaż, jak Catherine wiedziała z własnego doświadczenia, na świecie zdarzały się niewytłumaczalne zjawiska... Jak inaczej określić zdolności, jakie posiadały dziewczęta?

W mieście plotkowano o pustelniczce, która żyje na wyspie, starej czarownicy, która odpędza turystów, ale jeśli ktokolwiek skojarzył z Mary Beeman, Catherine nic o tym nie wiedziała.

Strząsnęła z czoła muchę i poczuła, że jest spocona. Było późne lato, zbliżał się wrzesień, a ciepłe sierpniowe światło grzało jej twarz.

Mucha? - pomyślała. Tutaj?

Dziwne.

Ale z drugiej strony, co nie było dziwne? Wszystko, co dotyczyło jej siostry, było od chwili jej urodzenia „odmienne”, „trochę dziwne” lub „dziwaczne”. Kiedy Mary zamieszkała na wyspie, Catherine powiedziała dziewczętom, że w czasie jednej z samotnych wędrówek Mary spadła z klifu i się zabiła. Kobieta widywana czasem na Echo Island miała być pogrążoną w żałobie i odizolowaną od świata żoną jednego z nieżyjących opiekunów latarni morskiej na Whittier Island, ale tak naprawdę nikt w to nie wnikał. W dzisiejszych czasach wszyscy byli zbyt skoncentrowani na sobie i własnych historiach, żeby przejmować się plotkami o samotnej kobiecie z Echo Island. Catherine przyspieszyła kroku. Osłaniając oczy przed zachodzącym słońcem, zauważyła, że ogródek Mary, zwykle tak

perfekcyjnie wypielęgnowany, był zaniedbany, krzaki róż były niepoprzycinane.

- Mary? - zawołała, podchodząc do drzwi, i wtedy zauważyła nieruszone pudełka z zapasami, stojące na ganku. Karton był wypłowiały od słońca, owoce i warzywa zepsuły się dawno, a smród zgniłego mięsa był trudny do wytrzymania.

Co do diabła?

- Mary! - zawołała raz jeszcze i popchnęła drzwi. Jak dawno tu nie była?

Drzwi nie były zamknięte, a ze środka cuchnęło jeszcze bardziej. Catherine uderzyła fala smrodu. Odgłos wydawany przez chmary much mógł śmiało konkurować z szumem morza. Catherine poczuła mdłości, gdy jej oczy zaczęły przyzwyczajać się do mroku. Na łóżku leżały zwłoki; to, co pozostało z jej siostry. Twarzą nie dało się rozpoznać, oczodoły były puste, w czarnych dziurach nie pozostał ślad po jej pięknych błękitnych oczach. Włosy miała długie i rozsypane wokół czaszki pokrytej pociemniałą skórą, a zęby obnażone widoczne, bo nie miała już ust ani policzków. Wyglądała jak zombi.

Z jej piersi sterczała rękojeść noża. To, co pozostało z palców prawej dłoni, obejmowało trzonek w takim geście, jak gdyby usiłowała wyciągnąć nóż. Na palcach i ramieniu było jeszcze widać fragmenty ciała.

Domek wypełnił krzyk. Wrzask najczystszej przerażenia.

Catherine dopiero po chwili zorientowała się, że to ona krzyczy.

- Matko Przenajświętsza - wyszeptała i niezdarnie zaczęła się wycofywać.

Odwróciła się i pobiegła do drzwi.

Dobry Boże, co przydarzyło się jej siostrze?